

№ 3

ŁÓDŹ

ZAKOPANE

GIEWONT

STYCZEŃ 1928
MARZEC

PRINTED IN POLAND

Nr. 3 ŁÓDŹ
ZAKOPANE

GIEWONT

ILUSTROWANE CZASOPISMO
POŚWIĘCONE SZTUCE, LITERATURZE, SPRAWOM ROZWOJU UZDROWISK
MONOGRAFJI MIAST POLSKI

Adres Redakcji: ŁÓDŹ
ul. Sienkiewicza 37 — 15. Telefon 63-05

Założyciel-Wydawca i Redaktor:
ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI

Adres Redakcji: WARSZAWA
ul. Warecka 11 — 21. Telefon 132-28

DLACZEGO ZAKOPANE — ŁÓDŹ?

„Rozpoczynając wydawnictwo „Giewontu“ ilustrowanego czasopisma w Zakopanem, pragniemy służyć sprawie rozwoju i rozkwitu jednego z najpiękniejszych zakątków naszego kraju!“

Temi słowy zaczęliśmy pierwszy zeszyt! Niestety, wkrótce przekonaliśmy się, że Zakopane samo nie jest w stanie ani dostarczyć odpowiedniego materjału ani też utrzymać na szerszą miarę zakrojonego wydawnictwa.

Przyczyniło się tu niezrozumienie podjętych przez nas zadań, trochę może złej woli i pewna zaściankowość czynników miejscowych, które niezawsze umieją wybiec myślą poza Krupówki.

Nie chcąc przerywać rozpoczętej pracy, zmuszeni byliśmy zastosować wydawnictwo do rzeczywistych danych, i nie zmieniając zasadniczo kierunku i celu służenia tej najpiękniejszej rubieży naszego kraju, jaką mimo swych „gazdów“ było i będzie Zakopane, obraliśmy, jako punkt oparcia, kolejne opracowanie monografji miast Polski, z dodaniem każdorazowo Zakopanego względnie innego z tak licznych u nas uzdrowisk.

Już drugi zeszyt „Giewontu“ — „Kraków — Zakopane“ wykazał dodatnie strony podjętych zmian i rozszerzył zadania i cele wydawnictwa do jaknajdalej posuniętych granic.

Nasuwały się coprawda wątpliwości w ugrupowaniu miast, którym kolejno poświęcić należało poszczególne zeszyty „Giewontu“.

Rozstrzygnęły same przez się warunki wydawnicze.

Bliskość Krakowa pozwoliła nam zebrać materjał, podczas pracy w Zakopanem, do drugiego zeszytu „Giewontu“, a trzeci...

Ba, trzeci zeszyt był to twardy orzech do zgryzienia!

Poznań czy Lwów? A może Kresy, Wilno?

Warszawa usuwała się sama przez się — ogromem materjału, nie czuliśmy się wówczas na siłach!

Ale dlaczego Zakopane — Łódź?!

Rozstrzygnęły warunki wydawnicze!

„Giewont“ był (i jest) dzieckiem „Tygodnika Łódzkiego“ ergo urodził się w Łodzi!

Łódź znamy i ta, jakże po macoszemu traktowana, jakże zapoznana Łódź — zna nas!

W tece redakcyjnej „Tygodnika Łódzkiego“ mamy opracowany niemal materjał Łodzi!

Łódź dotychczas wydawnictwa w rodzaju przez nas projektowanego nie miała!

Jakże łatwem, wdzięcznem zadaniem wydało się nam po zeszycie krakowskim opracowanie „Giewontu“ Zakopane — Łódź!

Trzeba przyznać, że tak łatwem nie było, owszem, nawet wcale trudnem!

Przedewszystkiem materjał, jaki mieliśmy, okazał się dla „Giewontu“ za nikły, grzeszył brakiem lokalnego nawskroś zabarwienia, słowem był materjałem dla „Tygodnika Łódzkiego“ ale nie był Łodzią!

A my chcieliśmy dać — Łódź!

Zaczęła się praca od najmniejszych fotografji, od zbierania notatek, pamiątek, starych ilustracji, aż do zabiegania o kolosy przemysłu, fabryki, warsztaty, zdjęcia maszyn, kotłowni, widoków miasta, fragmentów dawnych i dzisiejszych, by choć w części zobrazować tę Łódź, o której o miedzę — bo o dwie godziny drogi, w Warszawie, ludzie nie mają pojęcia!

Trudne warunki ostatnich czasów dla przemysłu, jeszcze trudniejsze w sprawach wydawniczych, przeciągały pracę w nieskończoność i nie pozwoliły tak odzwierciedlić Łodzi jakbyśmy tego pragnęli, to też to, co daje trzeci zeszyt „Giewontu“, uważać należy raczej za fragment, za przyczynek do podjęcia pracy nad monografją Łodzi, w przyszłości na jeszcze szerzej zakrojoną skalę.

Redakcja.

Dr. Henryk Wilczyński

TATRY A ZAKOPANE

UWAGI PO DWUDZIESTOLETNIEJ OBSERWACJI

Po ukazaniu się czasopisma „Giewont“, wydanego ozdobnie, niemal luksusowo, zdawaćby się mogło, że na rubieży Rzeczypospolitej jakaś nowa era nastaje. Gdy się przypomni czasopisma Zakopiańskie dawniejsze i porówna z pogodną treścią, zarazem bardzo celową, pierwszego numeru „Giewontu“ — sądzićby należało, że Zakopane wchłonęło jakieś nowe twórcze pierwiastki z odrodzonej Polski; że tam u podnóża Tatr powstaje far niente: — „bratniej pieśni i bratnich uczuć ognisko“; — że niedołęstwo tysiąca i jednej karykatury organizacyj społecznych, urzędowych i prywatnych — zapada się w godną siebie niepamięć.

Zdawaćby się powinno — że oto gdy fundator Zamoyski darował Polakom połowę Tatr pięknych, niebem przykrytych, oponą czystego powietrza, wielkiego blasku słońca, krzepiącą mrozami skalnych majestatów, — to zakopiański gmin zechce tym Polakom jeszcze od siebie zgotować czysty, ciepły serdeczny kąt przy kominku gawęd i gędźby wszechpolskiej: — może — może, a ozwią się Sabałowe bajki, kobza lub skrzypeczka w dymie poważnych fajek i zasłuchaniu szlachetnych turystów, znużonych pracą ducha i umysłu.

Uniosła się myśl wstecz — do czasów gdy karczma tatrzańska godną była podejmować Chałubińskiego, Sienkiewicza, Chmielowskiego, Matlakowskiego, Witkiewicza:

„Witajcie Panie“ — mówił dumny gazda —, „pójdźcie z nami gazdo“ prosił, zapraszał gość uczony — na pogwarkę lub w góry: i szły hen daleko razem tradycje przyziemnej pierwotnej swojskiej kultury wolnego górala, zadowolonego żentycą z hal, a wspartego na gotowej zawsze do cięcia ciupadze, i marzenia wykuwające skarby ducha i wiedzy, łaknące pierwotnych darów Natury, jej zasilającego prawdziwego Piękna, niemej a tak wymownej poezji.

Czy te tak dawne czasy, istotnie niepowrotnie zaprzepaszczone są, jak historyczna legenda?

Czy może czasy te — to blaga bajczarzy siwych — na przekór tym „nowogościom“, coby się podle czuli w rzetelnej karczmie a rozkosznie w spelunkach?

Bo cóż zastanie naprawdę ryzykowny gość, gdy skuszony „Giewontem“ (tym drukowanym) zjedzie zobaczyć Tatry z Zakopanego?

Wrażenia jego będą zapoczątkowane na krakowskim dworcu kolei w restauracji I-ej i II-ej klasy. Trudno ominąć Kraków. A że pociągi przychodzą wcześnie wieczorem i rano, czeka się nieraz godzinę, dwie.

W kiosku z gazetami — ceny zawsze grosz, dwa lub trzy wyższe niż w kioskach Poznania, Warszawy, Lwowa.

A garderoba na przechowanie rzeczy? — „Great attraction to Kraków“. Zgiełk, pomyłki, arogancja. Raz mi wydano cudzy kosz, drugi raz dwie walizki, w tem jedna moja... Od tej pory dla przechowania pakunków szukam zwykle jaką poczciwą twarz z numerem — i płacę większą taksę.

Wielki Kraków, wielki dworzec!

Mniejsza, że jazda do Zakopanego odbywa się wolno, — że nawet tak zw. kurjer niepotrzebnie się zatrzymuje w Krakowie-Podgórzu, Bonarce, Skawinie, Makowie, Jordanowie, Rabie Wyżnej, — ale oto Zakopane—Dworzec. Brudny zawieszony plakatami reklamowemi, pozatem



Giewont ze strony południowej

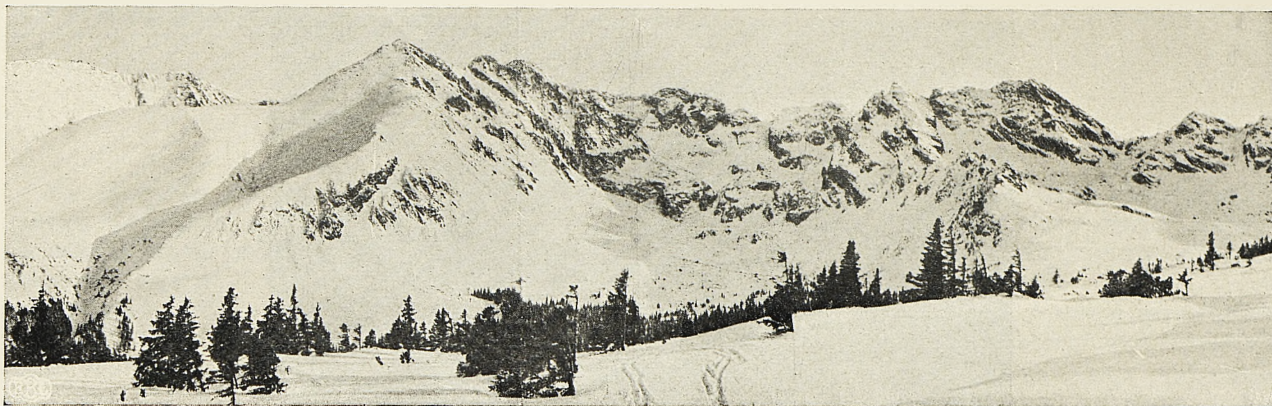


Wołoszyn Fot. T. S. Zwoliński

pełno nie zawsze trzeźwych obdartusów, małoletnich pośredników — i sławni bezczelni, brudni, obdarci, fiakrzy zakopiańscy. Prześcigają oni nawet dawnej daty gondoljerów. Taryfa dorożkarska to mit, to tylko uzasadnienie, jedno z wielu podobnych, dla bezcelowych posiedzeń urzędowych komisyj i dla manji przykładania pieczątek. To źródło humoru i gniewu: „jedź Pan na taksie". Rezultat, że zakopiański fiakier, zazwyczaj nieletni łobuz, prawie cały dzień próżnuje przed szynkiem, bo bodaj jednego głupiego gościa raz na dzień złupi za pięciominutową jazdę kwotą, starczającą w Warszawie na godzinę. Ale i to przeboleć można. Kłopot dopiero z hotelami i pensjonatami. Są one w budowlach, stawianych wzdłuż, w poprzek i trochę na ukos — tu pałacyk, tu chlewik, tu dworzec TT. i muzeum, szkoła, a tu walące się drewniane kramy — tu parczek, obok śmietnik, tu w monoklu ircha, obok jarmułka z bają, tu cuha z kominiarką — za nią wiedeńska cajgowa bluza z bażańcim piórem.

Pięknie w ludowym stroju ubrana dziewczyna lub młoda kobieta w Zakopanem to przybłędy rarytne — gdzież się zapodziały uśmiechnięte świeże, zdrowe, miłe twarze góralek? Na głowie zamiast jasnej czystej chusteczki — jaskrawa pończocha, lub zgoła brudna plecionka wełniana, zamiast zgrabnego gorseciku na białej koszuli — bluzki katowickie, spódnice obcisłe aż do rozwarcia rozporków na zatrzaski — do tego brudne żółte półbuciki na pończosze bez pięty już; — a na szyji — co kawaler da: wstążka, tasiemka, szkiełka, korale, muszle czy paciorki, fontaź, czy sznureczek i medalik, wszystko dobre i prawie międzynarodowe — cera blada, oczy matowe, ruchy niewyspane: nastrój beznadziejnych nudów niedbałych o siebie i jutro istot. Ale wracając do mieszkań, — gdy się dostanie do tego przybytku — hotelu, lub pensjonatu — to w pierwszej chwili, nieraz przeciągłej, nie wiadomo z kim się mówi — z właścicielem, czy służbą, czy może gościem? Z sieni najczęściej wpada się do jadalni i jej zapachów, albo do sypialni dzierżawczyni — słowem od wstępu nieokreślona sytuacja.

Co za rozmaitość metod bytowania! Tu tylko pokoje z obowiązkowemi śniadaniami, tam niema drugich śniadań i podwieczorków, tu płacisz kiedy się namyślisz, tam zgóry za dwa tygodnie — tu z ciepłą wodą, a tam ani zimnej do kanalizacji. W wannie się nocuje — w salonach myje. „Tylko dla chrześcijan", „tylko dla zdrowych", kuchnie same „wykwintne",



obsługa ma się rozumieć „wzorowa", ale uprasza się nie dzwonić (nadto baterje zwykle nieczynne) — sezon „leczniczy" — trwa cały rok („chorych nie przyjmuje się").

Dancingi z angielkami z Berdyczowa. Swojski demokratyczny bałagan — wszechstanowy, czy exstanowy.

Rehabilitowani sportowcy i dekorowani bohaterzy, decernenci wysokich urzędów i potentaci z Krupówek robią zabawę w modę, o ubogiej dystynkcji a jaskrawym tonie skąpych toalet. A nie tak dawno były zabawy wszechstanowe, wesela i bale, gdzie się czuło swojsko bez tej jazz-bandyckiej komendy.

Zabawa, sposób odpoczynku, ba nawet próżniactwo w pewnych okolicznościach, jest częścią socjalnego bytu — sprawą konieczną — dla temperamentów narodowych swoistą.

Ale bawiąc się na sposób cudzoziemski, sobie obcy — odejdą bez satysfakcji lub nabędą cech niewłaściwych, wypaczających charakter, zmieniający nawet obyczajność.

Nie jest w wychowaniu społecznem wszystko jedno, na co będą patrzeć oczy: stąd demoralizujący wpływ wojen, pewnych okresów sztuki i jej imitacji, wpływ mody i zabaw.

Nadmiar i pewien posmak zabawy — wyciąga kobiety z ich gniazd, wszczepia tęsknotę do zmian strojów, nastrojów i sytuacji: — w kąpieli błyskotliwej impressji dusza kobieca przeonacza się łatwiej i prędzej niż męska, a instynktowne odczuwanie szybciej przemijających sił twórczych — nakłania do intensywności wykorzystania chwili: z tem trzeba się liczyć poważnie. Zakopane, powoli, staje się miejscem stałej zabawy, dalszym a mniej skrępowanym ciągiem zabaw i uciech miejskich. Czy jest to pożądanem? Gdzie się podziały poważne zjazdy, czy odczyty, kursa, dokąd się przeniosły na wywczasy twórcze duchy Polskie? Co je stąd wypłoszyło? Bo Zakopane mimo reklamy upada, bo Tatry stają się zgiełkliwe, sportowe, międzynarodowe, gospodnio-szynkarskie.

Że Austrja nie dbała, nic dziwnego. Ale, że Polska nie zmieniła wytycznych, że nie opracowała stosownych, poważnych ustaw dla Tatr i Zakopanego — trzeba się niezmiernie dziwić i ubolewać. Ramowa ustawa o zdrojowiskach i uzdrowiskach — to wiele słów na papierze, a ustawa o okręgu Sanitarnym w Tatrach — uzależniona od widzimisię lokalnych kmotrów — to też rzecz na kolanie dyletantów spłodzona.

Mówi się i pisze wiele o parku Narodowym. Rozwodniona woda. Park jest — nie trzeba tylko budować w nim wyszynków, pakować weń zbyteczną tu,



Mnich w chmurach Fot. T. Zwoliński



demoralizującą się kompanję wysokogórską (et mea culpa!) nie trzeba ustanawiać nad nim tuzina gospodarzy, nie wolno lasu tego parku traktować jak się traktuje las tucholski, czy kowelski, — należy wygnać zeń bydło i kłusownictwo, należy uregulować i opanować turystykę, a specjalnie uporządkować Zakopane i gdzie nie wiadomo kto jest gorszy: wójt poseł, czy wójt hotelarz, ludzie co mało się znając i na hotelarstwie — zamiast pracować w urzędzie gminnym, referują w sejmie sprawy sanitarne, którym nie da rady niejeden wytrawny lekarz, profesor (Janiszewski w Krakowie) — niech o tem coś powie.

Jeśli Zakopane zamieni się w wielkie miasto, nie daj Boże powiatowe lub okręgowe — jeśli Zakopiańczycy i Nowotarżanie decydować będą o budownictwie, drogach, ochronach i t. p. — to Polskie Tatry będą zgubione, stracone dla przyszłości.

Już wszędzie przy drodze do Morskiego Oka budują — za łat parę będzie tam wstrętna ulica — kiszka między Morskiem Okiem a Jaszczurówką.

Trzeba raz się zgodzić, że Tatry są dla całej Polski, a nie dla Zakopiańskich przemysłowców hotelowych, i politycznych karjerowiczów. Porobić ich wszystkich konsulami i posłami w Gwatemalach i Nikaraguach — a Zakopanemu dać poważnych upełnomocnionych, bezinteresownych biegłych administratorów!

A prawo? Jeśli można zabierać majątki prywatne w nizinach na parcelacje — dla dobra mas — to wolno w wysokich górach, też dla dobra rzeszy turystów, zabierać parcele na komasację Tatr, wolno ograniczyć niektórych właścicieli w sposobie użytkowania. Zamoyski zapoczątkował, należy sprawę kontynuować.

Ustawę budowlaną dla Zakopanego wyobrażam sobie następująco:

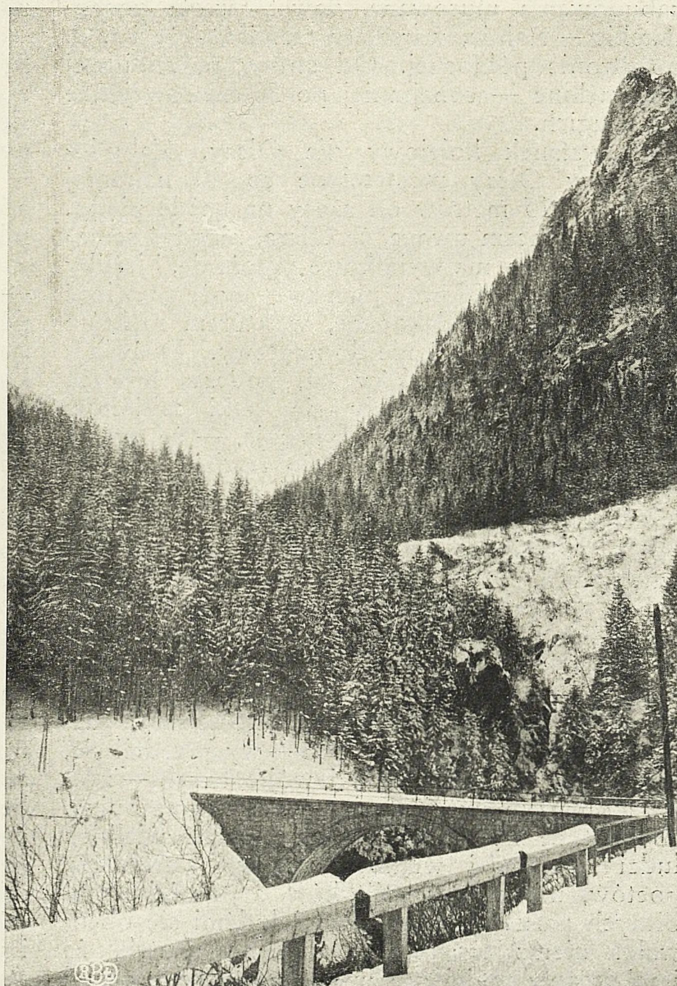
Zabudowania zwarte, murowane: ul. Krupówki po obu stronach, ul. Stara Polana, Nowotarska, Kościeliska, Witkiewicza. Zabudowania te zwarte od północy, a rozstrzelone — co 50 metrów — od południa, przyczem od chodnika odległość 15 metrów na piętro.

Inne ulice: zabudowania rozstrzelone, willowe, murowane lub drewniane, co 40 metrów, a od chodników po 10 metrów na każde piętro.

Sklepy i składy mogą się znajdować jedynie w zwartych kamienicach i przy dworcu kolei w odległości nie dalej 150 metrów.

Przeróbki z rozbudową domów drewnianych na terenach zwartych budowli są niedopuszczalne. Chlewy i stajnie (nawozy) mają być skasowane.

Nowe ulice i place mają być zaprojektowane w myśl planu regulacyjnego Prof. Stryjeńskiego z koniecznemi poprawkami.



Most na wodospadzie Mickiewicza



Widok z Boczania Fot. H. Szabenbeck

Od ulicy Nowotarskiej ku Bachledom — zabudowania murowane, nawet zwarte gospodarskie — stajnie, warsztaty rzemieślnicze i t. d. po stronie północnej. Od strony południowej rozstrzelone — conajmniej po 50 metrów jedne od drugich.

Przystanek kolejowy dla Olczy. Zabudowania w Olczy rozstrzelone co 40 najmniej metrów i 15 metrów od szosy na każde piętro.

Tu zwracam uwagę, że Olcza, niegdyś samodzielna gmina, ma wyjątkowe położenie, i jeśliby obecnie ją uregulować planem — może rozwinąć się i prześcignąć Zakopane, w którem niektóre braki i wady są już nie do naprawy. Doświadczenie kilku dziesiątków lat, podczas których przez Zakopane przelały się setki miljonów przygodnego grosza, — wykazuje, — że gmina ta nie umiała się odpowiednio rządzić, ani potrafiła pociągnąć ku sobie ruchu turystycznego na większą skalę, nie umiała wykorzystać tego potoku pieniędzy. W sporach i waśniach wewnętrznych, w lekceważeniu wskazówek inteligencji, w nieumiejętności współpracy, w ciągłej żebraninie od władz rozmaitych subwencji i taks — wreszcie w chciwości doczesnej, doraźnej — przetrwano do tego, że Zakopane stało się w znacznej części paskudnem miasteczkiem, a gazdowie — też w znacznej części — wysprzedali się, lub marząc o poselstwach i wójtostwach — zgasili alkoholem swe fantazje, — a były one bujne.

Fakt, że się w Zakopanem oglądało wielkich ludzi duchem i władzą: uczonych, artystów, poetów, ministrów, polityków, a później i wybitnych paskarzy, — że z tymi ludźmi się obcowało, nieraz przepiło — miał za skutek, że i miejscowy mniej lub więcej stały ludek zaczął sam sobie wydawać się imponującym — bachrzczono się bajecznie: Zakopane — letnia stolica! to tak jakby wójt był za pan brat z prezydentem Warszawy, a radni tej letniej stolicy, — toć kandydaci na posłów — nie przez zasługi lub zaufanie wyborców, ale tak — niejako z urzędu; byle Mańka z Przecznicy — mniemała się być prawie Messalówną — też stołeczna gwiazda.

A komisarze — hej kto ich nie pamięta — a tylu ich było — toć czyż nie pomniejsi namiestnicy czy gubernatorzy?

Jak daleko ta manja wielkości nieraz sięgała — dowód rok 1914 — gdy politykom, z Krupówek zaśniło się tworzyć Narodowy Komitet Zakopiański. A gdy istotne przyjezdne wielkości — opuściły Zakopane, do stolic rzeczywistych się przeniósłszy — okazało się ono zbiorowiskiem niedołęgów i marzycieli o poselstwach, konsulatach, województwach, ludzi eksportujących frazesy, a importujących mniejszości narodowe — i niezniszczalne ponad stan i możność projekta — i to na koszt Skarbu Publicznego. Dookoła w kółko te same błędy.

Park — na całe Tatry, ścisły plan regulacyjny — na całą gminę, kanalizacja — odrazu całe miasteczko, hotel — na 500 osób, garnizon na bataljon, światło elektryczne — po ośm żarówek do każdego okna, nawet w kramiku towarów mieszanych, — kawiarnie z freskami al Baccho, dancingi — z egzotyzmem bodaj berdyczowskim. Dlaczego mamy małpować bogate zagranice — a nie zastosować się do skromnych środków naszego społeczeństwa? Czyż ściany nie mogą być czyste, światło wystarczające, zabawy towarzyskie, woźnice czyści i uprzejmi, hotele mniejsze, ale wygodne i dostępne?

Czy projekta zawsze muszą być furioso-grandioso, by wykonanie wypadło fuga



Giewont w rannych mgłach Fot. H. Szabenbeck

odorata. Kolejka (handlowo-przemysłowa): na Świnicę, Monte Carlo na Gubałówce, Miasto — ogród na Krupówkach, Starostwo (czemu nie województwo?) w Zakopanem, no i PKU naturalnie. — Wogóle wygląda, że należy dążyć do tego, by powoli władze wszelkie, przynajmniej w sezonie letnim i przez ferje świąteczne ześrodkowały się na Krupówkach.

Bielatowicza przerobi się na Loursa, Trzaskę na Gastronomję, a Karpowicza na Ziemiańską — pocoby wtedy Warszawiacy nad Wisłę wracali? Byłoby wesoło i bez troski. A Narodowy Park w Tatrach — toć niedługo jak Saski ogród, może jeszcze nieco za wielki — ale to nic — zabuduje się, stać będzie tę letnią stolicę: tyle banków, tyle instytucji, tyle towarzystw akcyjnych, kulturalnych, oświatowych, muzykalno-wokalno-choreatycznych, tyle prądów międzynarodowych, taki potężny ruch budowlany, tyle znakomitych powag, cudowne warunki lecznicze dla gruźlicy — jak nie umrze pacjent od tańca i saneczek — to od wstrzyknięcia mleka lub barszczu napewne: — a śmierć najtańszy lekarz: — ino jechać, a jechać z dutkami, — a wyjechać bez.

Ale ot, nie jadą już jakoś, sanatorja puste, pensjonaty też, w kawiarniach tańczą sami swoi, fiakry stoją, aż konie ziewają, banki komasują się, — we wszystkich trzech klasach kurjera z Krakowa do Zakopanego 10-go stycznia — osób kilkoro: — bajeczna wygoda.

Czy nie czas zastanowić się i pomyśleć, że Zakopane straciło czucie z ogółem, że ten ogół nie znajdując tu tego, co mu potrzeba: przyjemnego wytchnienia, wygód, towarzystwa — a nie małomiejskiej blagi i nudy? Ciszy w górach, a nie fortepianu nad Morskiem Okiem, drogi w lasach i skałach, a nie wśród „restauracji" i drewnianych bud; w górach chce spotykać górali, a nie kompanje z indyczemi piórami, widzieć świstaka na hali, a nie pinczera przy kokocie, wreszcie chciałby posłuchać smętku siklaw i spojrzeć w rozmarzenie błękitu malutkich gencjan jak w oczy dziecka.

I jeszcze jedno: — mówi się o starostwie uzdrowiskowem? Co za kapitalny dziwoląg administracyjny — i jaki pożytek dla Tatr i Polski?

Pakować większy aparat administracyjny do najdroższej miejscowości, gdzie wszyscy próżnują zawodowo, bawią się, zgrywają? — O co chodzi? o fatygę pana Wójta i dostojników letniej stolicy, gdy do Nowego Targu trzeba jechać? Są wygodni — bardzo wygodni. A więc w myśl głębszych filozofów z pod Giewontu — niech się w Zakopanem dzieje Nowy Targ.

Tatry Wysokie to skarbnica własnego piękna, to źródło uzdrowienia nietylko ciała, ale nieraz i ducha wytchnienie — to rezerwat żywej i martwej przyrody: — a wtedy należy postanowić, że Zakopane nie może sobą Tatr przesłonić, a prywatni miejscowi ludzie — nie mogą uroku Tatr zabagnić knajpami, budami, zgiełkiem — by interes szedł.

Dzisiejsze społeczeństwo Podhalańskie musi się poddać pewnym ograniczeniom, musi się podporządkować dobru całego narodu — w myśl starogreckiego hasła — „Kochajcie kraj dzieci waszych" — i jeśli dla tego hasła w uwagach mych tu i ówdzie kontur zbyt ostry, wytknięcie zbyt wyraźne — to niech to będzie tłómaczonem na dobro sprawy Tatr.

Uwagi moje — to nie migawka: — to ćwierć wieku obserwacji dobrego tu, o czem celowo pisze „Giewont", i bardzo złego — na co się odważam wskazać—dla celów odległych, ogólnych.

Jan Rykała

PLASTYKA POLSKA OSTATNIEJ DOBY



Rita Sachetto-Zamoyska

Rzeźba W. Zamoyskiego

Redaktor „Giewontu“ wyraził dość niezwykłe życzenie jak na obecne czasy, aby napisać cóś o roli Zakopanego w plastyce polskiej. Życzenie dość osobliwe z tego powodu, że kto też może się teraz tem interesować. Gdyby jeszcze szło n. p. o nową parę światowej sławy tancerzy, murzyńską czy chińską orkiestrę jazzbandu, zainteresowanie możnaby zrozumieć, ale malarstwo, obrazy, malarze he! he! zanadto ich znamy, powie niejeden z czytelników.

Utarło się zdanie, że w Zakopanem co prosty człowiek to malarz, a obrazy, dość się ich można napatrzeć na Krupówkach w oknach sklepowych, a już jak tylko się ruszyć w okolicach Zakopanego do gór, to się człowiek na pewno natknie na malującego malarza. „Bo to wicie na świecie pełno rozmaitych pruźnioków co to nimajom co robić ino im figle w głowie“.

Przewidując takie i tem podobne zdania, w których zwłaszcza ze swego stanowiska jest część prawdy, jak prawdą jest, że nie tylko samych malarzy Tatry ściągają, tak również i to prawda, że wśród tych ostatnich więcej jest powołanych aniżeli wybranych.

Lecz wracajmy do rzeczy. Prawie każdy mieszkaniec Zakopanego słyszał coś niecoś o Witkiewiczu, choćby z tej racji, że jedna z ulic nosi to nazwisko. Że tak jest zawdzięczać to należy zasługom tego niezwykłego i wszechstronnego człowieka raczej w innych dziedzinach, gdyż żeby nie był malarzem, zyskałby raczej u przeciętnego ogółu na znaczeniu i może prędzej doczekałby się jakiego pomnika. Nie czas tu i miejsce, jak zresztą wynika z tytułu, podnosić zasługi Witkiewicza dla plastyki polskiej, a także Jemu współczesnych jak W. Elj. Radzikowski, Maślakowski, Rotsis, Mroczkowski i t. d., gdyż czynili to już bardziej do tego powołani, dotyczy to zresztą doby że tak nazwę poza wczorajszej a obecnie by chodziło głównie o wczoraj, bo bliższym dzisiaj, niechaj dopiero przyszłość swoje zdanie wypowie.

Wychodząc więc z tego założenia w pierwszym szeregu należy wymienić Fr. Wyczółkowskiego, który pierwszy, jak nazwano, odkrył dla malarstwa polskiego Tatry. Stało się to dlatego, że poza swym wielkim talentem wniósł do swej pracy całą wysoką wiedzę i kulturę współczesną, połączoną z ostatnim wyrazem techniki malarskiej. Dzięki właśnie swej kulturze przemówił tak potężnie i bezpośrednio stał się tak bliskim.



Pacierze — Rzeźba w drzewie W. Brzegi



Na pastwisku — A. Ćwikliński

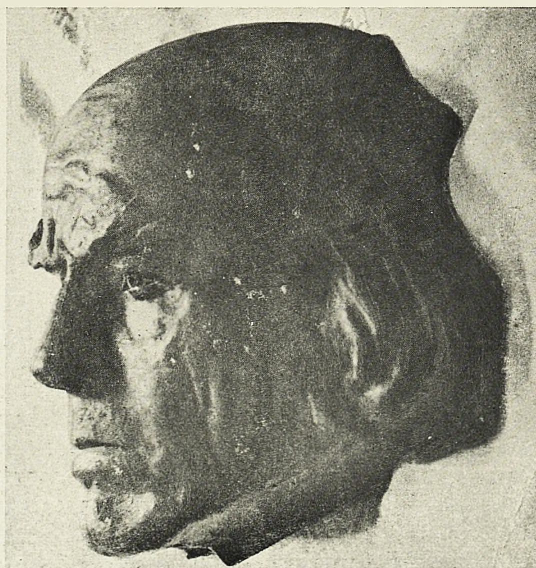
Wyczółkowski malował Tatry dla nich samych jako motyw artystyczny ze stanowiska znakomitego kolorysty. W jego krajobrazach tatrzańskich niema figur ludzkich ani nawet owieczek tak często gdzieindziej spotykanych. Krajobrazy tatrzańskie Wyczółkowskiego w jego najlepszych dziełach to żywiołowy rozmach, genjalne wniknięcie w kosmiczne siły, które te Tatry kształtowały. Tu widz nie gra już żadnej roli, może mu się to podobać lub nie, to artystę mało obchodzi gdy jest wierny sobie. Oczywiście że tak pojęte i wykonane dzieło sztuki tembardziej podobać się musi, a szczególnie tym co wymagają od obrazu czegoś więcej niż przyozdobienia ściany, tym co pragną coś przeżyć z wrażeń ponad przeciętną miarę.

Wyczółkowski ujmował motywy przeważnie fragmentycznie, jakaś część z Morskiego Oka, trochę wody, brzeg, mgłę lub toń wodną i niewiele brzegu, turnie pod mgłą i t. p., lecz w tych mógłby ktoś powiedzieć skromnych fragmentach jest nastrój, jest daleko więcej niż w niejednej „całej panoramie".

Słuszne jest zdanie, że Wyczółkowski odkrył Tatry i wielu do nich pociągnął, nie mówiąc o malarzach, dla których też nie pozostał bez wpływu, lecz pomiędzy następcami jego choć nie brak ludzi bardzo zdolnych, żaden jednak nie poszedł jeszcze wyżej. Prace Tatrzańskie Wyczółkowskiego to nie tylko ukazanie Tatr w ich najpotężniejszych momentach, to zarazem świetna karta w historji malarstwa polskiego.

Jeżeli Tatry same tak wiele przedstawiały interesu dla malarza tej miary co prof. Wyczółkowski i pozostały dotąd niewyczerpaną kopalnią motywów, to jednak, samo Zakopane względnie jego najbliższe okolice znalazły też wśród malarzy gorących zwolenników. Walny początek dał temu nie kto inny tylko ś. p. pr. Stanisławski, który przez szereg lat zjeżdżał tutaj w zimie z kolonją swych uczniów.

Zima, która tu trwa najdłużej na całym obszarze Rzeczypospolitej i jest bodaj piękniejsza od lata, szczególnie nadawała się do tego rodzaju ekspedycji. O fakcie, że Stanisławski obrał Zakopane za teren studjów krajobrazu dla swej szkoły,



Góral — Rzeźba w drzewie J. Rykały



Limba — A. Ćwikliński

nie wielu wie z pośród stałych mieszkańców, bo do tego, że spotykali jakichś malarzy z bleitramami i sztalugami, malujących wśród śniegu na polu czy w lesie, niedługo przywykli, lecz dla rozwoju malarstwa krajobrazu polskiego wywarł doniosłe znaczenie i wpływ tego trwa jeszcze ciągle.

Śmiało rzec można, że Zakopane i okolice Krakowa, gdzie też studjowano, to do pewnego stopnia kolebka obecnego rozwoju w tej dziedzinie, a ówczesna grupa uczniów Stanisławskiego to żelazna brygada współczesnych malarzy krajobrazu.

Z grupy ówczesnych uczniów Stanisławskiego znaczna część dzisiaj już zajęła pierwsze miejsce w szeregach malarzy, dość wspomnieć choćby paru jak: J. Glasner, St. Filipkiewicz obecny prof. Akademji, St. Ramocki, Ab. Neuman, H. Podgórski, A. Ćwikliński i inni, z całym szeregiem mniej znanych, których prace jednak, o ile się je spotka gdzieś na wystawach, zawsze wyróżniają się doskonałą techniką i kolorytem oraz nie banalnem ujęciem motywu. Dzięki współudziałowi takich talentów wystawy polskie zagranicą wzbudziły też zainteresowanie i zyskały uznanie przez swój wysoki poziom i odrębny charakter. Warto nadmienić, że motywy z lasu koło hotelu Turystów lepiej są znane z reprodukcji, dzięki polskim artystom, czytelnikom angielskiego pisma „The Studio“ niż obywatelom i ojcom gminy Zakopane, którzy jako że się zajmują „wielką polityką“, nie mają czasu na zajęcie się takiemi drobnostkami jak zachowanie malowniczości niektórym zakątkom, przyczem niestety Zakopane coraz bardziej się „europeizuje“.

Nie od rzeczy będzie wyjaśnić trochę, na czem polega znaczenie jakie wniosła szkoła Stanisławskiego do malarstwa polskiego. Dla przeciętnego widza wystarczy, jeśli ujrzy na obrazie z pewną zręcznością oddany motyw, który mu przemówi do wyobraźni, który mu przypomni rzecz gdzieś widzianą lub da wrażenie tego co mógłby widzieć, lecz pomiędzy obrazem zręcznie malowanym, a dobrze malowanym, jest ogromna różnica, różnica, której nie zdoła wyrównać często praca całego życia danego artysty, bo jak ktoś powiedział, że można całe życie malować śnieg a nie wiedzieć jeszcze jak on wygląda. Cała rzecz w tem z czem się do pracy przystępuje i czego się od siebie wymaga. Najprostszy motyw, gałąź czy pień drzewa, dobrze odtworzony, warty więcej niż kiepska cała panorama. Dwie rzeczy stanowią o doskonałości obrazu, których nie zastąpi żadne poetyzowanie: rysunek i koloryt, kolor i rysunek. Same ujęcie motywu, kompozycja czy idea, to sprawy osobiste, których właściwie nie powinno się dotykać. Od rysunku wymaga się żeby oddał jak najgłębiej charakter danego przedmiotu, zaś kolor jako dopełnienie ma wykazać całe bogactwo i harmonję odcieni. Jest to przeważnie zasługą ostatnich czasów, że zrozumiano iż kolor jakiegokolwiek przedmiotu stale nie istnieje, lecz zależny jest od wielu przyczyn, jak stopień naświetlenia, pora dnia, roku, odległość, sąsiedztwa innych barw i t. p.

Powszechnie jest wiadomo, że normalne oko reaguje na barwę, a to w ten sposób, że jeśli patrzymy w świetle na płaszczyznę czerwoną



Szałas — A. Ćwikliński

a następnie spojrzymy na szarą, to ta ostatnia wyda nam się zielonkawą i na odwrót, patrząc na płaszczyznę zieloną, szara nabierze następnie od=cienia czerwonawego. Gdzież więc jest prawda, wszakże codziennie oglądamy setki i tysiące przedmiotów barwnych i ciągle się ta sama hi=storja w mniejszym lub większym stopniu po=wtarza. Oczy same kierują się prawem harmonji znajdując dopełniające tonacje. Cała tajemnica malarstwa na tem polega, aby wynaleźć te dopeł=niające tony, stanowiące często tysięczną część zasadniczego koloru: uczeni (W. Oswald) okre=ślają na miljon rozmaitych odcieni, które można jeszcze rozeznać i zharmonizować zasadniczym kolorytem obrazu, gdyż obraz sam w sobie ma swe prawa i swą logikę.

Otóż jedną z zasług Stanisławskiego jest, że uczył patrzeć i odczuwać biernie w jej naj=intymniejszych zestawieniach, że uczył cenić kolorystyczną wartość zjawisk w naturze jako objaw wiecznego przepływu i zmienności owego „Pantarej“ greckiego, a z tego poziomu wszystko jest niezwykłe, wszystko olbrzymio=doniosłe, bo się już drugi raz identycznie nie powtórzy. To też z tego tylko stanowiska można zrozumieć talent, któremu za nic trudy, niedostatek czy osamot=nienie, który rezygnuje z innych przyjemności, bo daje mu zadośćuczynienie sam żywioł, błękit nieba, obłoki, przestrzeń ziemi barwna, wpro=wadzają go w świat gdzie lśni wiekuista radość, młodość, szczęście i zdrowie.

Pozostałoby jeszcze wspomnieć, o czem w swoim czasie było głośno, o sztuce ludowej na Podhalu i jej wpływie na zdobnictwo swojskie. To co było trudno z dniem dzisiejszym porów=nywać, gdy horyzonty się rozszerzyły i gdy Podhale a z niem i Zakopane zostało niejako wchłonięte i wliczone do ogólnych wartości kul=turalnych całej Rzeczypospolitej, zresztą w samej plastyce zaznaczają się dzisiaj inne prądy.

Co do samego zdobnictwa w drzewie, to Zakopane i jego okolice mają tę zasługę, że tu to zdobnictwo dochowało w całej swej pierwot=nej krasie i odrębności, (choć podobne motywy wraz z materjałem, który je warunkuje, jak drzewo, występują i gdzieindziej, jak w Szwecji, Norwegji, Rosji, Czechach, nawet i na Węgrzech) i że dało impuls do oparcia się o swoje własne wartości dekoracyjne. I nie jest to jeszcze karta zapeł=niona, jeszcze dużo będzie można wnieść stąd dla przyszłości, dla chętnych pole otwarte. Jak materjał można wyzyskać i jakie rozwinąć bo=gactwo, mogą służyć za przykład drzeworyty W. Skoczylasa, oparte na prymitywach ludowych.

Nie można też pominąć artysty tej miary co ś. p. J. Rembowski, który „owemi“ jak niektórzy nazywają typami, a w rzeczywistości wspania=łemi kompozycjami pokazał jak wygląda lud zamieszkujący podnóża Tatr, gdy się na niego nie patrzy tylko oczami gościa z werandy cu=kierni Trzaski czy Tatrzańskiej kawiarni.

Że rzeźba nie stanęła jeszcze na tym poziomie, na jaki wyprzedziło ją malarstwo, przyczyną prze=ważnie ciężkie warunki, jaki ten dział plastyki ma do zwalczenia. W innych ziemiach Polski z rzeźbą jest nie wiele lepiej, lecz miejmy nadzieję, że i tu przyszłość sama siłą faktów wypowie swoje jestem.



Widok Giewontu z Boczania

Z. Lubertowicz

ORLI RAPSOD

Bohaterskiemu przewodnikowi tatrzańskiemu
ś. p. Klimkowi Bachledzie.

Sześćdziesiąt już mijało lat,
jak chodzić jął po skalnej grani,
odkąd królował turniom rad
i orłom rad hetmanił!

Po stokroć wszystkie szczyty zbiegł
od bielskich Tatr po Osobitą,
przez każdy w żlebie piarg i śnieg,
ścieżynę miał wybitą!

I stokroć wolał bystrą perć
i przeskok zdradny przez przewieszkę,
gdzie się czaiła chytra śmierć
od gościa z grubym mieszkiem!

Ukochał gzyms skruszałych skał,
gdzie cap się jeno tłukł po turni,
gdzie orzeł twarde gniazdo miał,
w błękitach, — jak najgórniej!

Tu najpiękniejsze przeżył dni,
a w gromach skalnych burz rozsnuta,
krzesiła płomień jego krwi,
pogwarna wiatru nuta!

Czy znasz ty gościu cuda gór,
czy piorunowe burze znasz — ty,
gdy orkan kruszy turni mur
i strąca w przepaść maszty? —

Gdy lód i szreń pokryje grań
śmiertelnym swym nalotem,
a z wierzchu turni runie nań
lawina krwawym grzmotem?

Czyż może rozkosz większa być,
jak gdy piarg „furczy" z po podnogi,
gdy się żywota krucha nić
na płycie rwie złowrogiej? —

Sześćdziesiąt lat przehulał tak
po tych przepastnych górskich światach,
Klimek Bachleda halny ptak
i jego pierś skrzydlata!

I tak się z głazu darł na głaz
i z urwisk w górę na urwiska
byleby zoczyć jeszcze raz,
jak słońce z za turń — błyska!

Szczęśliwy był. kto chodził z nim,
Klimek nie wodził byle kogo...
i grosz był dlań, jak watry dym,
lub wiatru szum nad drogą...

Bo stary Garłuch, Krywań druh,
gwarzyli z nim, jak z rodnym bratem,
tam żył skrzydlaty jego duch
i nic nie widział za tem!

A przecież miał rodzinny kąt,
gromadkę dzieci, żonę miłą,
ale nie myślał, jak i skąd,
to mu się przygaździło!...

I był już Klimek stary dziad,
siwiała jego orla głowa,
gdy „ceper" jakiś w górach spadł,
wieść o tem szła... Hjobowa!

Napróżno żona, dzieci w płacz...
Z pogardą poszedł nieodpartą,
czy to dla baby Panie racz!...
poniechać człeka warto? —

A szła górami czarna lidź
kurniawa prała w nich straszliwa,
deszczem i lodem jęło bić,
a piargi szreń przykrywa...

I poszedł w góry stary sęp
i przepaść pod nim się otwarła,
znieśli druhowie krwawy strzęp,
z czeluści czarnej gardła.

Lecz póki Tatr kamienny maszt,
murem pod nieba błękit pnie się,
dopóty z Jaworowych baszt
Twe imię sława niesie.





Typowa chata góralska H. Szabenbeck

A. Strzelecki

PRZYSZŁOŚĆ ZAKOPANEGO

Przyszłość Zakopanego, rozwój tego cudnego zakątka u stóp Giewontu, nie od dziś leży na sercu wszystkich, którzy ukochali Tatry!

Że to „dziś" nie należy do najświetniejszych kart historji Zakopanego, z tem zgodzą się wszyscy. Nie robi się nic albo bardzo mało, a i to, co się robi, mija się z racjonalną celowością.

Nie należy jednak o wszystko obwiniać mieszkańców Zakopanego. — Wzajemne krytykowanie się, bo nie myślcie, że przyjezdni nie podlegają ostrym zarzutom górali, gazdów i stale zamieszkałych inteligentów Krupówek!

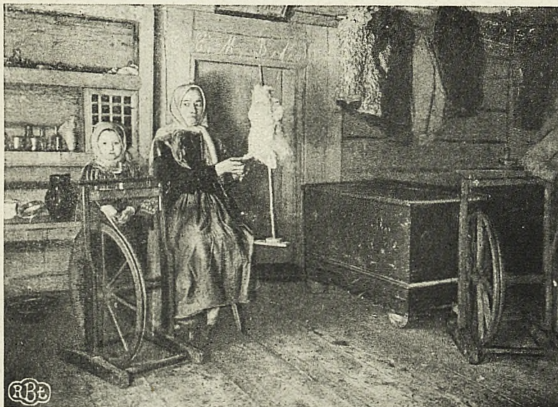
Przyjezdni z uporem manjaków twierdzą, że Zakopane to dziura, i z tymże uporem wracają tu co rok.

Miejscowi znów mają pretensję do obecnych, że to nijakie goście, bo „dutków" nie mają, a nim złocisza wyda, dziesięć razy go obejrzy. I co sezon wyglądają z utęsknieniem tak zw. ceprów. Drzewiej lepiej bywało, przyjeżdżali panowie, a dziś? Haj! — I okazuje się, że obecna sytuacja nie dogadza żadnej stronie.

Tyle się już pisało o tem, co i jak zmienić należy. Tyle planów, pomysłów, projektów, do planu regulacji Zakopanego włącznie, cieszyło się co jakiś czas aktualnością, żeby tego na wołowej skórze nie spisał.

A rezultatów żadnych!

Zakopanemu bowiem brak tylko drobnostki — wielkiego kapitału!





Wnętrze chaty góralskiej H. Szabenbeck

Pozatem wszystko jest: i położenie geograficzne jedyne na całem Podtatrzu polskiem, i dużo dobrych chęci i jeszcze więcej, jak już zaznaczyłem, planów i pomysłów. Ino „dutków" nima! haj!

I oto dziś w przededniu uzyskanej pożyczki, nasuwa się myśl, czy odpowiednie czynniki nie umiałyby dla siebie, to jest Zakopanego, przyciągnąć pożyczki kapitałów zagranicznych.

Czy nie możnaby zainteresować finansowo grupy kapitalistów, którzy na warunkach dogodnych umożliwiliby rozbudowę Zakopanego, wprowadzenie kanalizacji, budowę Domu Zdrojowego, rozwinięcie dróg, uporządkowanie Krupówek, Kościelnej, Kasprusiów i t. d.

Nie zdaje mi się, by to leżało w dziedzinie niemożliwości. I energiczne ujęcie sprawy pożyczki dla Zakopanego byłoby może istotnem wyjściem z labiryntu niefortunnych pomysłów, chybionych regulacji i poronionych planów.

W pierwszym rzędzie, dla uzyskania i przyciągnięcia kapitałów obcych, potrzebna jest Zakopanemu reklama i racjonalna, celowa propaganda. Co Zakopane robi w tym zakresie? Nic! A nawet mniej niż nic! Nadto każdą inicjatywę pod tym względem paraliżuje lub odrzuca. Tak było z Waszym „Giewontem", który w pierwszym zeszycie dał jak na nasze warunki, i prywatną imprezę, skończenie piękne wydawnictwo.

Tak było z nakładem „Bibljoteki Polskiej", która wydała „Zdrojowiska i uzdrowiska polskie", gdzie Zakopane figuruje na str. 181 na dwóch wierszach, cytuje dosłownie:

„Zakopane, stacja klimatyczna górska, czynna cały rok. Pow. Nowy Targ, woj. Krakowskie".

Gdy natomiast Busk dał 25 stron, Ciechocinek 19, Krynica 15 i t. d. — „Redakcja Bibljoteki" nie zawiniła, gdyż w przedmowie zaznacza wyraźnie, że „szerzej omówione są uzdrowiska, które nadesłały opisy na rozesłany kwestjonarjusz"!!!

Więc w Zakopanem żadna władza nie zdobyła się na danie informacji!? — pisze jedno z pism krakowskich?!

Otóż to niezrozumienie propagandy, to przekonanie, że „Zakopane tego nie potrzebuje!", jest jednym z poważniejszych błędów i świadczy o krótkowzroczności czynników władz miejscowych, jak też jego mieszkańców.

Jak to pisze Kornel Makuszyński w swem znakomitem „Co myślę o Zakopanem?":

„Wierzę, że to dzikie, nieokiełznane indywiduum, wychowane na koziem mleku, zrobi jednak światową karjerę, tak bardzo, tak nieprawdopodobnie jest piękne".

Ale coś trzeba zrobić także od siebie!

Przyszłość Zakopanego leży w kapitale, aby ten pozyskać, trzeba celowej, mądrej i energicznej propagandy Zakopanego! — I nie jako „perły Tatr" lub „letniego salonu stolicy", ale jako miejscowości, w której inwestycjach ulokowane kapitały dadzą dobry zysk i dużą dywidendę! Tylko samo to się nie zrobi!



Krzyż na Gubałówce H. Szabenbeck

Dr. J. Norski

GDY SPADNIE ŚNIEG!


Stary kościół w Zakopanem H. S.

Sezon zimowy z Zakopanem cieszył się zawsze, o ile pogoda dopisywała, specjalnem powodzeniem u mieszkańców czarnej i zadymionej Łodzi. Na Krupówkach roi się od znajomych, i to nietylko uprzywilejowanych tuzów przemysłu lub handlu. Nie, znaczny nader kontygens urzędników, młodzieży płci obojga, można tu na tle białych gór szczytów obserwować.

Co za rozjaśnione twarze, błyszczące oczy, rumiane policzki!

Wie pan, poprostu wierzyć się nie chce, zwierzał mi się jeden z takich szczęśliwców, wierzyć się nie chce, że jeszcze trzy dni temu siedziałem w kantorze.

A ta cisza, dorzuci drugi, dyrektor techniczny jednej z większych fabryk łódzkich, nic tylko ta cisza i śnieg. Czem one są dla nerwów, które jak rok długi szarpią się w rozhukanej olbrzymiej hali maszyn, można sobie wyobrazić. Kilku luminarzy łódzkiej Kasy Chorych krąży z zaaferowanemi minami po Krupówkach, od Trzaski do Karpowicza i z powrotem, upatrują willi czy pensjonatu, odpowiednie mają zakupić lub wydzierżawić. Naturalnie w sezonie to marzenia ściętej głowy, ale rozejrzeć się zawsze można, i nie wątpię, że Kasa Chorych zrobi dobry nabytek i da znów pewnej ilości swych pacjentów możność werandowania i odetchnięcia czystem górskiem powietrzem.

Na drodze do Białego, zapatrzonego w górskie szczyty, spotkałem małego cherlawego żydka, subjekt z jednej manufaktury.

Oczy mu łzami zaszły i dyszał jakby tu rzec — całą gębą. Co się panu stało, pytam.

Nic. — Co się miało stać?

Cóż pan taki zziajany?

Oddycham, wie pan, łapię słońce i powietrze.

Jakto łapie...?

Na zapas... żeby było na potem, na szare smutne dni w sklepie, na te nasze paskudne powietrze w Łodzi.

Istotnie, Zakopane jest cudne, urocze i gdyby tylko ludzie, nietylko tu, ale wogóle byli lepsi, więcej byłoby słońca, nawet w chmurnej Łodzi, no i lepsze powietrze.

Ale przejdźmy do weselszych tematów.

Sezon zimowy w Zakopanem, o ile jest udany, daje taką masę rozrywek, zabaw, wycieczek i sportowych zawodów, konkursów i t. d., że łodzianin nie wie gdzie i jak się rozerwać. Charakterystyczną cechą, coprawda nie dodatnią, jest pewna animozja do górskich wycieczek, z wyraźną predestynacją do zabaw na miejscu, lecz łatwo to wytłómaczyć przemęczeniem. W Łodzi pracuje się tak intensywnie i gorączkowo jak nigdzie, a ostre powietrze górskie, ten inny świat, kosodrzewiny, krokusów, limb, oszałamia mieszczucha z Piotrkowskiej i przez pierwsze dni poprostu zbija z nóg. Zresztą, wystarcza naprawdę, że się oddycha i odpoczywa, — tu nie słyszy się ani o wekslach, ani o konkursach, protestach, trattach, giełdach, cesjach — nic!

Jeno słonko grzeje, śnieg się skrzy i migoce a dzwonki grają — haj!

I nietylko dzwonki! Jazz-band u Trzaski, kabaret w Tatrzańskiej — dancing u konserwatywnego



Górale przy budowie H. S.

Karpowicza, dancing z witrażami i karykaturami Sichulskiego! Świat się kończy!

A danserki!

Głupi pójdę chodzić w góry, rzekł z namaszczeniem prezes B., sadowiąc się około roześmianej grupy blondynkowato-brunetko-szatynkowych garsonek, — które właśnie wróciły z wycieczki (na Gubałówkę) w białych swetrach, spodenkach (tak) z ciupażkami i niesamowitym apetytem.

Za chwilę zróżowione, rozszczebiotane to grono zacznie „charlestonować". — Narazie zajada „maczanki" i w przerwach między jednym kąskiem a drugim, obficie wilży usta... pomadką.

— Głupi pójdę chodzić, z uporem powtórzył pan prezes, zarzucając wędę rozanielonego spojrzenia na niesamowicie wygolony karczek pucołowatego blondaska-garsonki.

A jednak chodził biedak — ale na pasku właśnie owej garsonki, kuta była i ciupażkę miała niczego, a i główkę na wygolonym karczku nie od parady! — Haj!

Tylko że blondasek, obecnie już pani prezesowa, teraz przebywa w Arosie, czy w Saint Moritz, a pan prezes pilnuje w Łodzi businessu!

W Zakopanem tak jeszcze się zdarza!

Mróz i śnieg! Więcej do szczęścia Zakopanemu nie trzeba! Używają wtedy „Cepry" na sankowaniu, saneczkowaniu, nartach, a miejscowi zacierają ręce nie tyle z zimna ile z doskonałych interesów. Ale poco ja to piszę, przecież łodzianie znają Zakopane, jak swoją własną kieszeń, i niech tylko owa kieszeń pozwoli, a każdy z nich chociaż raz do roku w Zakopanem być musi — bo musi być! — Haj!





W dolinie Pięciu Stawów

Konrad Znicz

OBŁOCZNYM SZLAKIEM

Z wycieczki Łodzian

Pogoda była bardzo niepewna. Góry przybrały ponury, marsowy wygląd. Szafir niebios całkowicie przesłaniały chmury. Jakiś smętek panował w naturze.

Jednakże ryzykujemy i idziemy na dwudniową wycieczkę do Morskiego Oka. Przekonaliśmy się o tem, że ryzyko nieraz jest źródłem powodzenia.

Wkraczamy na piramidalne wzgórza reglów.

W dole za nami spoczywało Zakopane. Nie robiło tego efektownego wrażenia, jakie wywiera na widzu w oświetleniu słonecznem. Jakieś zaspane... szare... bezbarwne... Jedynie białawy kościołek wyróżniał się z pośród tłumu zakopiańskich domków.

Jesteśmy na Boczaniu... Brniemy w czerwonem lepkiem błocie, omijając ostrożnie zdradliwie wypełzłe oślizgłe korzenie drzew. Regle budziły w naszych duszach dziwny, nieujęty słowem nastrój — może nawet nieco groźny.

Bo oto całe zbocza z potrzaskanych głazów...

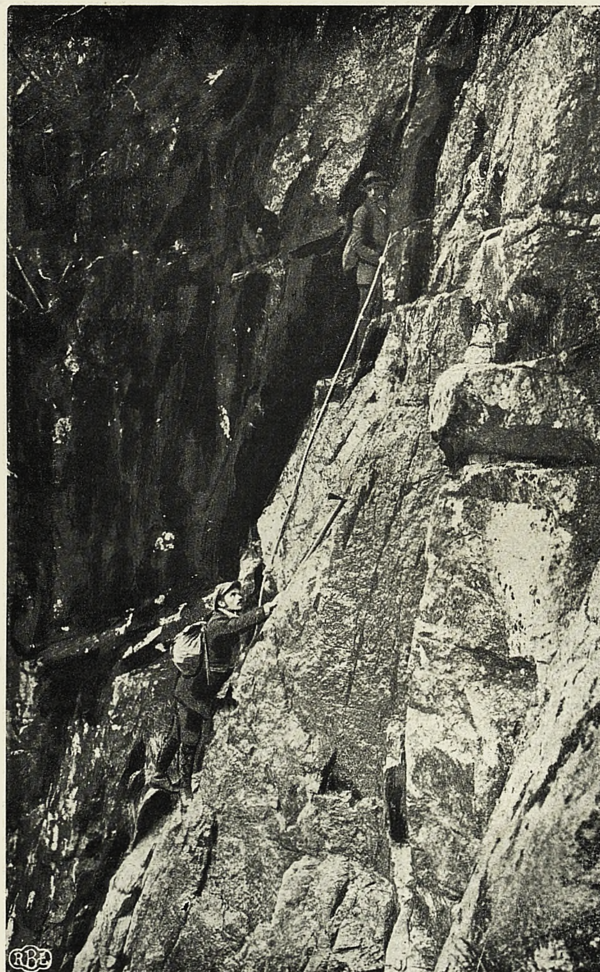
Tu i tam przewrócone pięścią wichru drzewo...

Wdali widnieje wielka postać Nosala. Dziwnie posępny wysterczał swemi poszarpanemi krawędziami, bodąc miękkie chmury. Przypomina nam się góralska piosenka, śpiewana tęskliwie, matowo, jakby na widok Nosala właśnie w taki dzień powstała.

Nosalu! Nosalu! cóżeś tak osowiał?
Cy cię słonko zgrzało, cy cię wiater owiał?

Wreszcie kończy się reglowa partja i przechodzimy do wysokotatrzańskiej.

Nagie, lichą trawą porośnięte zbocze — spowite w gęste mgły.



Niebezpieczne przejście



Odpoczynek

Świata nie widać. Naokół morze szarości.

Widnieje jedynie nikła sylweta zbocza.

Podobno strasznem jest tędy przejście podczas halnego wiatru.

Po pewnym czasie dało się słyszeć ujadanie psa, niewyraźne odgłosy góralskiej piosenki. Coraz lepiej chwytaliśmy słowa — znak, że zbliżamy się do doliny. Wreszcie uderzyła o nasze uszy swojska góralska piosenka, którą pastuch, pasący stada owiec, brzęczących dzwonkami, umilał sobie czas.



Wycieczka młodzieży łódzkiej

I leciały wartkim potokiem słowa wdal.

Powiadali, powiadali,
że zbójnika porubali,
porubali bucka w lesie,
a zbójnika wiater niesie.

Tymczasem mgła rzedła... opadała... Skończyło się błądzenie. Wzrok nasz zaczepił się o kształty — początkowo zjawiskowe bardzo — potem wyraźniejsze — wreszcie zupełnie ostro się zarysowujące. Mgła spadła! Byliśmy na miejscu. Groty słonecznych promieni uderzyły śmiało. Cały poprzedni ponury świat znikł jak mara. Góry roztęsknione poczęły się uśmiechać słonecznemi blaskami.

W tej ciągłej zmianie nastroju krajobrazowego tkwi jedna z przyczyn, dla której góry zyskują tylu zwolenników. I ta miłość do gór potęguje się przez ścisłą zależność nastroju naszej duszy od nastroju natury. A w górach nieraz kalejdoskopowo zmienia się nastrój, więc i nasza dusza przeżywa całą gamę różnorodnych impresyj. Właśnie dla tego wartkiego potoku wrażeń jesteśmi gotowi znosić trudy górskich wycieczek.

Błądzenie po górach, chłód, zaostrzyły nasze apetyty. Nic dziwnego, że z całym zapałem konsumowaliśmy mleko, ser, bułki, herbatę — „menu", na jakie stać było górskie niewielkie schronisko.

Dolina leży prawie już w strefie kosodrzewiny...

Jeno tam i sam wysterczał nieopatrznie zabłąkany w górne strefy smrek.

Dno zagłębienia zarzucone było wielkiemi głazami granitowemi, które jedynie tytaniczna moc lodowców mogła tu przywlec.



Na Hali Kondratowej Fot. T. Zwoliński

Idziemy do Czarnego Stawu Gąsienicowego, stąpając po wąskiej, słabo zaznaczonej, ścieżce. Co chwila potrącony nogą głaz opada w dół szybko w podskokach. Droga dosyć jednostajna — jedynie za nami roztacza się przepyszny widok na dolinę. Nie czas jednak na oglądanie się poza siebie, bo oto przebywamy skalny granitowy próg i stajemy wobec jednego z niezliczonych cudów natury — wobec jeziora. Pierwszy raz oglądaliśmy takie górskie wód zlewisko. Tafla wód, jakby łuską rybią pokryta, przy brzegu seledynowa, dalej przechodząca w ciemny granat.

Wielkie głazy przybrzeżne zdawały się być stróżami tego diademu gór.

Śliczną jest tatrzańska woda! — seledynowej barwy — czysta — krysztalna.

Idziemy brzegiem jeziora. Nagle z toni wód wynurza się jakiś niewielki, podłużny kształt. — Wysepka.

Z tą ostatnią wiąże się pomysł projektu rzuconego w swoim czasie, aby tu przewieźć zwłoki Juljusza Słowackiego i złożyć w skalnej, naturalnej, granitowej trunie.

Nie możemy wiele czasu tracić na oglądanie tak pięknego fragmentu natury. Wznosimy się więc coraz wyżej.

Jezioro (1626 m.) stale maleje. Zacierają się poszczególne skazy zmarszczek. Wreszcie przechodzimy przez jednolity, mały grzbiet, schodzimy w dół i zatrzymujemy się na wybrzeżu Zmarzłego Stawu. Ogarnia nas przejmujący chłód.

Granatową powierzchnię wód przesłania lodowa kra...

Do wody schodzą jęzory sfirniałego śniegu. Lód! Śnieg! Niebywała dla nas sensacja! Przyzwyczajeni do czerwcowych upałów nie możemy się pogodzić z widokiem tak wyraźnych śladów zimy.

Niewielkie to stosunkowo jezioro robi wrażenie drogocennego szafiru, zakutego w czerwonawy granit skał, splamiony biało tu i owdzie śniegiem.

Do jeziora usypuje się zielonawy piarg...

Bardzo ostrożnie trzeba sunąć brzegiem, gdyż po śliskim firnie można stoczyć się wgłąb



Nawis śnieżny (2013 m.)



Morskie Oko, z lewej Schronisko

wody — a to jest pewną śmiercią. Omal, że jeden z uczestników wycieczki nie uległ takiemu nieszczęściu. Pośliz-gnął się, padł i nie mając punktu opar-cia, począł staczać się w wodę. Uchwy-ciliśmy go szczęśli-wie. Długim wężem postępowaliśmy sta-le w górę ku Za-wrotowej Przełęczy.

Znowu zmienia się nastrój natury...

Słońca twarz za-słania wysokie, gór-skie zbocze... Wiel-kie płaty mgły po-czynają czołgać się po pochyłości skal-nej – to znów zatrzy-mują się, jakby do głazów przyssane.



Giewont w morzu chmur

Wkraczamy na jednolity zupełnie wielki płat śniegu. Noga co chwila ślizga się po sfirniałem śnieżystem podłożu. Za nami czeluść przepaści, na dnie której piękne, spokojne jezioro. Gdzieś w dole zaryso-wuje się kilka sylwetek, pewnie jakaś wy-cieczka.

Przepaść przesłaniać poczynają mgły...

Brrr! Wstrząsamy się. Jedno niewłaściwe stąpnięcie, a zlecimy jak głaz nogą trącony w dół.

Idący na czele kują czekanem zagłę-bienia w śnieżnej powłoce. Wre robota — żeby długi ludzki wąż mógł posuwać się naprzód. Bardzo powoli idziemy, zaha-czając nogami o zagłębienia. Czoło co pewien czas się zmienia, boć to męka tak kuć w zlodowaciałem firnie stopnie.

Nasi przewodnicy, panowie F. i G., czują się w swoim żywiole. Tylko my, jak cepry, powoli po stopniach musimy się piąć. Oni hasają po pochylonej śniegów płaszczyź-nie podparci czekanami. Nic dziwnego! Starzy taternicy, narciarze... Zazdrośnie spoglądaliśmy na te nadprzepastne harce. Bo ile tam było śmiałości, tężyzny!...

I tak stąpała ta ludzka nadśnieżna kara-wana, wsparta na pochyło ustawionych kijach.

Półtora kilometra znaczyliśmy w firni czyli szreniu, jak go Górale zowią, ślad naszych stóp. Aż oto spostrzegamy wy-łom w ścianie, niby naturalną bramę. Przez owe wrota widać rozśmiany słońcem świat.

I znowu zmiana nastroju. Spojrzeć w dół. Chmury hasające po przepaści zbo-czach, ponuro, ciemnawo — a tam za temi wrotami szerokoświetlisty świat. U samego przejścia na przełęczy (2159 m.) stoi na lewo, wyniosły, Zawrotowej Turni szczyt, stoi naksztalt mitycznego Cerbera u wrót do piekielnej przepaści.

Tam wdali, za Pięciu Stawów doliną, ciągnął się potężny łańcuch górski. Gdzieniegdzie wy-sterczały niby baszty zamczysk prastarych potężne turnie ta-trzańskie. Więc wi-dniały Rysy zdaleka, więc sterczał wzwyż gór — władyka Garłuch, a więc na prawo ciągnęły się potężnym, jedno-stajnym u góry wy-szczerbionym wałem Liptowskie Mury.

Na dalekich zbo-czach gór zieleniły się wielkie płaty mu-rawy, upstrzone tu i owdzie owiec bia-łych stadami.

A w dole...

W dole na dnie doliny „jak przecudne pióra pawie" lśni się w słońcu pięć jezior. To Pięć Stawów Polskich



Czarny staw Gąsienicowy zamarznięty



Z wichrem w zawody

Fot. T. Zwoliński

w śliczny diadem ułożonych, oddzielonych od siebie skalnemi granitu przegrodami.

Trawą porośniętem zboczem schodzimy w dół.

Zostawiamy za sobą Zamarłą Turnię.

Pośrodku doliny znajduje się kilka góralskich szałasów.

Dziwne wrażenie czynią te chaty do głazów przyrosłe. Naokół nich panuje wielki nieporządek. Aby się dostać do chaty, trzeba użyć grząźnięcia w błocie, pomieszanem z mierzwą.

Wejścia do szałasu bronił czarny, szatańsko góralski kundel.

— Cego chcom — zagadnął nas juhas.

— Napić się chcemy czegoś — odparliśmy.

— Mogą dostać żętycy, mleka niema — odpowiedział.

Trzeba było się zgodzić i na żętycę. Góral zaczerpnął tego drogocennego dla nas w danym momencie płynu z wielkiej kadzi skromnie lecz gustownie rzeźbionym czerpakiem.

Poczęła czynić się noc...

Za górami kładło się do snu przejaskrawione czerwonością słońce.

Po drodze spotykamy schroniska tatrzańskie dość duże i schludne.

Spoglądamy ostatni raz na jeziora.

Po granatowej, prawie czarnej powierzchni wód, goniły się czerwonawe odblaski zamierającego słońca.

Konchoidalnie wijącą się ścieżyną wchodzimy na Świsłówkę.

Jednostajne ściany góry urozmaicają w zakątach przysiadłe krzewy górskiej kosodrzewiny, ze szczelin wyzierające kielichy fioletowe jaślinku górskiego lub innych kwiatów, wreszcie zaróżowione zlekka od światła zorzy wieczornej płaty niekształtne śniegu.

Ze znacznej wysokości roztoczył się wspaniały widok na dolinę Roztoki.

Trzeba było jednakże dobić do celu dnia — do Morskiego Oka.

Mrok coraz bardziej gęstwiał... Po niejakimś czasie poczęła przezierać przez mroczne nocy cienie tafla jeziora.

Schodzimy w dół. Owal jeziorny staje się coraz większym.

Ścieżyna, którą stąpamy, wije się wśród świeżych, pachnących żywicą smereków.

Od pięknego koronkowego kształtu świerków odbijał czarny przepyszny kształt limby.

A oto schronisko!

Jesteśmy na miejscu.



Spinaczka



Śpiący rycerz w dolinie Kościeliskiej

Andrzej Stopka

Jako Królewna Bystrà uwiedła Gewonta, i na wieldziaźnom obràze Boskom, wiànek utraciła

Z cyklu Śpiący Rycerze

Ràz przisiadła gęstà mgła całe Tatry. Juści béła takà gęstà, jako bryja i rusić sie w niéj ani nie próguj, bo nie zdoles.

Widno béło ino przed siebie i za sobie na jakie trzi krocénià.

I wyseł w te mgłe z pod Gewonta ślicny, piékny juhas. Jak nie zacnie gonić po wsiak i hàlak. Nazganiàł se pare tysiąckôw owiecek i miał se tego do casu Bozego doś. A pàs se ik po turniak. Zaś sićka gazdowie, co im te owce pozajmowàł, straśnie sie troskali i biéli sie z myślami kany som jest. Lamentowali straśnie, boby skoda była strasnà, kieby ik nie naśli. Bàli sie o nie, bo nie wiedzieli, kaby sie podziàły one owce. Tak ik sukali do jesieni.

Przińdzie jesień, to juz jesiéniowiska nie cekàł, ino sićkie baranki, dojki, kurnótki i jàrecki zajon i du dumu poprzigamiał, ka trza béło. I ani jednéj nie hybiało. Sićkie sie nasły i lezały se w kosorze przi hałupie i kosarowały obore, abo ine pole, jako sie patrzi. Sér i oscypki za lato wedle miéry bèły téz, a pies owcàrek lezàł se przi nik i dozorowàł tego sićkiego, coby sie owiecki nie ozbiegały, abo coby wto séra nie ukràd. O — haj — tak béło.

Tak béło kielka roków i béło dobrze, a nik nie wiedziàł, ani ni móg zmiarkować, coby ono béło takiego, co te owiecki po turniak pasowało.

Róźni gazdowie selenie jakom prowadziéli gware, coby ono takiego béło. Jedni, ha — no, padali, ze sie Gewont biéł z bratami Hawraniem i Muraniem, co z ojce Gerlake źli na sie byli.

Pono im posło o tyk wojàków, co to nocowali i do siela nocujom po turniak hań w hàlak. Gewont béł jesce młody, juści słaby béł i bratowie go zabiéli i musiała sie jego dusa włóćić po świecie, jaze przindzie ten cas, kie miàł sàm dobrowolnie umrzéć. Jaze dusa jego wyhodziéła z pod Gewontu i sićko se owce pàsała, jako juhas. A kié miàł kwilke wolnom i owiecki béły napasione i podojone, to zakiela mieréndzały, to on skocył i usługowàł tym umrzikom, co spali w obozie.

To go ludzie słyhowali, jako śpiéwàł po lasak i hàlak:

Owiecki pasujem
   popod Wantulami;
Dziéwcęta mnie nie wcom,
   gardzem dziéwcętami.

Gardzem dziéwcętami,
   przizièràm owiecek,
Ej, bo ni màm cuzecki,
   ni màm i portecek.

Wantule, Wantule!
   wesoło mi gràjcie,
Ej, kié jà se zaśpiéwàm,
   to mi odpadàjcie.

Tak to śpiéwało, owce becały, kłapace zbércały, ale nik ik nie widziàł. Tak tó béło moc roków.

Jaze od jakiegosi króla, straśnie wielkomoznego i bogatego, uciekła dziéwka. A uciekać musiała i dobrze zrobiéła, ze uciekła, bo jom katowali i kcieli jom wydać za takiego, co ona go nie zalubiéła. Był nie naski cłek ba cudzi. Za hłopa nie kciała go nijakim światе.

Jaze przińdzie ràz do lasa, ozpuści włosi po plecak i zacnie loseckem płakać i lamentować tak, co sie jéj świérscki z oci ciurecke puściéły, a zrobiéł sie pote ś nik nie jedén ani nie dwa potocki, co se sły ładnie i wesoło dołu. Idom, idom, jaze porobiéły sie głębokie źlébki.

Kié tak loseckem płace i zawodzi ona królewna, uwidziała te postràhane kozy i owiecki, co pouciekały i zdzicały, kié ik gazda, baca i juhasi pokamiénieli, juści pozganiała ik do kyrdela. Pasowała ik juz pote, ciesyła sie ś nimi, a śpiéwała se i wyskała, co jaze giełcało po źlebak. Ino wse załośnie śpiéwała. Nàwiecéj zaś pasowała po Kościeliskak.

Kié se tak ràz śpiéwà i wyskà, juści usłysàł jom Gewont i obezwàł sie jéj, ona sie mu téz. Tak pote śpiéwali ku sobie, wyskali i obzywali sie, ale sie nie widzieli.



Tańce góralskie

A wse wybiérali nàpiékniéjse śpiéwonki, bo sie sobie zwidzieli. On jéj tak śpiéwàł:

Ani mie, ani mie,
  To dziéce nie minie,
Ej, co kozicki pasie
  Po kosodrzewinie.

A ona mu na to tak odśpiéwała:

Zaśpiéwàj se hłopce,
  Zaśpiéwàj jesce ràz,
Ej, ci sie ty mojemu
  Serdecku spodobàs.

Takom to nóte śpiewała mu ona dziéwka, co królewnom była, a Gewontowi sie straśnie zwidziała i béł juz pewny, jeze piéknom być musi, kié tak piéknie śpiéwà.

I Gewont jom kciàł końcem uźréć, ale ni móg, bo ona sie z nikim nikany nie spotykała, ani nie kamraciéła.

Pysnà béła, ze je królewnom i temu jom sićka nazywali Bystrom.

Jaze co sie nie stało, spotkali sie ràz w Kościeliskim źlebie tam na mostku, ka sie skręcà na Miętusiom hàlom.

Gewont stanon i patrzi. Cisto piéknie zgłupiàł — telo béłà piéknà ta juhaska. Zalubiéł jom.

Tozto hyci jom bez poły i idzie ś niom, jaze jom zawiód na wieldzaźnom wante i tam jom posadziéł i som se siàd przi niéj.

Siedzieli ta długo, bo sie bośkali i obłapiali ręcami, toz to im pilno do ozéjścià nie béło.

Oześli sie pote, bo prziseł wiecór i mgła przisiadła wielgà. Ale juz Gewontowi béło nijak. Straśnie im sie do sobie bazyło; béło im otukno bez siebie.

A Gewont od tego casu to tak załośnie śpiéwał przi owcak, jaze sie nad nim zlutowała, ona Bystrà.

Wbiéła patyk długi pod Cérwonem Wiérhe i zrobiéła tam tym patyke głębokom dziure jaze do samyk Kościelisk, coby on miàł wtórendéj ku niéj hodzić, a coby go ludzie nie widzieli i nie pomiarkowali o tem, jeze oni sie radzi widzom i shodzom sie, zeby se ukwalować, uradzić se i bośkać sie.

Tak to hodziéł se ku niéj Gewont poleku pocihu, jaze go ràz doźrała Sowa, co na turni



Kobziarz



Droga Kościeliska

siedziała w Kościeliskak i siedzi ta do dziśka. No, juści zdała ik, bo to babie wse zàzrość.

Gewont miàł od ojca surowo zakàzane ku dziéwkom hodzić, bo wej sługowàł u onyk wojaków, co pod turniami śpiom, juści taki powiny być do rzeci parobek — nie hodzić ku dziéwkom, jako włóka jaki.

Po całyk nocak nie béło go doma, ale sie ta z końca wse jakosi wyciganiéł.

Padał, ze go abo wojàci ka posłali, lebo co zmyśléł.

Juści ociec sie dowiedziàł i kciàł sie przekonać, wto mà pràwde, ci Sowa, ci Gewont.

Zebrała sie konwisijà. Wsuli dwa korca siecki pod Cerwonym Wiérhe do téj dziury, ka Bystrà źródło zrobiéła, coby jom zalàć wodom.

Kcieli pomiarkować, ci ta dziura jest naozajest nawylot i ci Gewont móg tanténdyj hodzić ku Bystréj.

Potem wypatrzowali, ci w Kościeliskak hań przi Pisanej wyńdzie siecka.

Naziwała sie ona, padà, ta Pisanà, Miękà turnià, ale jom panowie, co w niej śrébła i złota sukali, tak przezwali. Nazwali jom Pisanom, bo sie ta pisać mogli.

Wysła siécka z pod turnie, juści Gerlak namocył na sina powróz. Naucył on go pote rozumu, dàł on mu siustu.

Zaràz go pote zapar do turnie, ka przodziéj béł, i juz mu tamztela nie wolno mu béło wyhodzić.

Ani porządku z dziecke ni miàł casu zrobić, co go z Bystrom miàł, ani z bacom i juhasami, co jego owiecki pote za niego mieli paść i ik dozorować.

Bystrà zaś straśnie sie hańbiéła, jeze im to dziecko Pàniezus nagodziéł.

To weźnie to piskle i nie wielo myślęci zarźnie, a pote zakopie pokryjomu przi drodze i wantom prziłozi.

Zaràz pote w tém miéjscu biàły jawor wyrós, hociàj go nik nie sadziéł.

Ze béł straśnie piékny, toz to bełby sie straśnie juhasom przidàł na gęśle, abo ine delikatne roboty.

Ściéni go pote oni juhasi i porobiéli ś niego gęśle.



Ogólny widok Tatr

Ale cos, kié na nik inacéj nik nie zagrà, ino wse na jednom nóte. Na takom nóte wse grały.

Mamusia mie zarzezała,
Smutno skrzipko gràj,
Matusia mnie zakopała
Pod zielony gàj.
A tatuś mie dàł,
A tatuś mie dàł.

Lezem, lezem, długo lezem,
Nik o mnie nie dbà.
Tu sie moja dusa tłuce,
Pokoju ni mà.
A tatuś mie dàł,
A tatuś mie dàł.



Jan Sabała Krzeptowski

Tak to te gęśle grały i śpiewały. Jaze to śpiéwanie juhasi usłyseli i zrozumieli i luto im sie tego dziecka stało.

Toz to pilno urobiéli truchłe i powrucali do niej te kostecki, co ik w ziémi pod jaworem naśli. Potargali stare huścisko na fafręgi i nimi prziłozyli te kostecki w truchle, a pote zrobiéli pogrzéb, jako mogli.

Na tém zaś miejscu, ka ik naśli, wybudowali małom kaplicke, co je do siela w Kościeliskak.

Ale one gęśle przestały pote tak śpiéwać, ino popękały i juz nik na nik ni móg grać; ba te kostecki, to pote z truchły znowa wysły na wiérk i pod dylami w tej kaplicce som jest, co ik kazdy człek i dziś barz łacno widzieć moze, ino coby do Kościelisk do kaplicki poseł.

Ale juz telo roków temu, toz to popróhniały i zrobiéł sie ś nik mesek oprzędziony pajencinkom barz delikatnom.

Bystrà se zaś, jako Bystrà, skamiéniała z hańby i stoi se, ka stàła i myśli, ze sićka ludzie myślom, jako je dziéwka jesce, a ono nié.

Takom to wieldzaźnom obràze Boskom zrobiéła ona Bystrà, a pokutować sie jej nie kciało i pisklęcià hować nie wciała.

Gewonta uwiedła, juści on wyprowadzić wojàków ni móg i musieli dalej na kogo inego cekać.

Pedziàłbyś, ze je dziéwka, bo piékna béła i jest, ale coz z jéj piékności, kié wiànek straciéła. Haj.



Fot. T. Zwoliński

PENSJONAT „ŻYCHONIÓWKA"



Pensjonat „Żychoniówka" — Hall

Nie wystarczy w Zakopanem samo piękne i boskie powietrze, nie wystarczą wspaniałe i podniosłe widoki potężnej przyrody górskiej, nie wystarczą nawet chodniki i ławeczki przydrożne, nie wystarczy nawet i najschludniej urządzony pokoik, jeżeli nie da się gościowi tych dalszych, tak w życiu prywatnem jak i towarzyskiem jednostki potrzebnych urządzeń kulturalno-estetycznych.

W Zakopanem naogół mamy bardzo mało pensjonatów, któreby kładły nacisk na te uboczne, zdawałoby się, a jednak tak ważne urządzenia. Nieraz zdarzy się, że nawet porządnej sali jadalnej pensjonat poniektóry nie posiada.

A co tu mówić o hall'ach, salonach, łazienkach i t. p. według naszych dość częstych, a prymitywnych pojęć, luksusach. Z tego też względu nie wolno nam pomijać milczeniem tych pensjonatów zakopiańskich, które nie licząc się z dość wysokiemi kosztami, obciążającemi budżet roczny przedsiębiorstwa, duży nacisk kładą na te właśnie w naszem pojęciu „luksusowe", a zagranicą powszechne urządzenia domowe.

Niestety. Zakopane pasiada naogół bardzo mało pensjonatów odpowiadających średnim nawet warunkom pensjonatowym w europejskiem znaczeniu, a już o luksusowym wyglądzie tychże mowy niema. Zaledwie parę, które na palcach policzyćby można, noszą to europejskie piętno, a do nich w pierwszym rzędzie należy położony przy ulicy Sienkiewicza l. 27, pensjonat dla zdrowych, pani d-rowej Bronisławy Żychoniowej pod nazwą „Żychoniówka". Położony w samem centrum, a zdala od domów sąsiednich, w dużym ogrodzie, tonący wprost w potokach promieni słonecznych, o wspaniałym widoku na całe pasmo Tatr, od dziesięciu lat gromadzi doborowe towarzystwo, któremu staranna i gościnna opieka właścicielki daje gwarancję wszelkich wygód.



Pensjonat „Żychoniówka" — Salon

W salonach pensjonatu pani Żychoniowej cieszyły się wielkiem powodzeniem urządzane co tydzień przez znaną pianistkę śp. Klarę Czop-Umlaufową wieczorki literacko-artystyczne, które poza uprzyjemnianiem pobytu gościom tak pensjonatowym, jak i zaproszonym, nieraz wspomagały różne filantropijne instytucje.

Zamieszczone obok fotografje hall'u i salonu dają dostateczne pojęcie o wykwintnych cechach tego jednego z najpierwszych, a w każdym razie najmilszego zakopiańskiego pensjonatu.

K. S.



Księgarnia Zwolińskiego w Zakopanem

Z KRONIKI ZAKOPANEGO

Gdy Zakopane, „odkryte" jako uzdrowisko przez Dr. Chałubińskiego, było jeszcze cichą wsią góralską i zaczynało dopiero wkraczać w złoty okres swego rozwoju — gdy prawie wszystkie potrzeby życia kulturalnego, przybywający tu goście zaspakajać musieli aż w odległym Krakowie — gdy kolej żelazna dochodziła tylko do Chabówki, skąd jeździło się do Zakopanego góralskiemi „furkami" — tworzyć się zaczęło pod Tatrami, dzięki przybywającym tu rokrocznie wybitnym jednostkom ze sfer inteligencji — małe, lecz ruchliwe centrum kulturalne.

W tych więc warunkach, w r. 1892 założył Leonard Zwoliński, naówczas właściciel księgarni w Krakowie, filję swą w Zakopanem, prowadząc ją zrazu tylko sezonowo. Pierwsza ta księgarnia zakopiańska mieściła się w skromnej, otoczonej staremi jesionami, typowej chacie góralskiej („u Galjana") na Krupówkach; niemniej jednak spotkać tam było nieraz można ludzi o najsławniejszych w literaturze i sztuce nazwiskach...

W r. 1897 otworzyła firma dużą i zaopatrzoną obficie stałą księgarnię w drewnianym naówczas budynku hotelu „Morskie Oko" — lecz już jesienią tegoż samego roku spłonęła ona doszczętnie w czasie wielkiego pożaru, który zniszczył całą środkową część Krupówek.

Jak kulturalna placówka księgarska stała się w Zakopanem potrzebną i pożyteczną — dowodem listy, jakie L. Zwoliński otrzymał po tym wypadku od wielu wybitnych osób — z prośbami i zachętą do wytrwania mimo dotkliwej straty finansowej — na swym posterunku w Zakopanem...

Z wiosną 1898 r. została więc firma krakowska L. Zwolińskiego, posiadająca obfite zapasy książek, nut, papierów, przyborów piśmiennych etc. — przeniesioną na stałe do Zakopanego, zrazu do domku Curusia na Krupówkach, potem, w 1900 r. do nowego lokalu w dużym murowanym domu przy ul. Krupówki l. 39, który L. Zwoliński nabył wkrótce potem na własność, gdzie firma dziś się mieści.

W miarę wzrostu „letniej stolicy Polski" dzieliła księgarnia jej losy, rozwijając się ku pożytkowi gości miejscowych, Zakopanego i Podhala, propagując i prowadząc zdrową tylko literaturę, wydawnictwa tatrzańskie i turystyczne, stojąc wreszcie twardo na straży myśli narodowej. Po przetrwaniu wojny światowej i w niepodległej już Polsce — obchodził L. Zwoliński w r. 1922 trzydziestolecie istnienia swej księgarni. Wkrótce też, po rozszerzeniu i przebudowie lokalu, dalsze prowadzenie placówki, na której pracował niezmordowanie i w trudnych nieraz warunkach tyle lat, zyskując sobie niezwykłą prawością charakteru i rzetelnością kupiecką powszechne zaufanie i poważanie, powierzył synom swym, Tadeuszowi i Stefanowi Zwolińskim, znanym miłośnikom Tatr i turystom.

Obecnie zajmuje firma 3 duże ubikacje frontowe oraz składy i zatrudnia prócz właścicieli kilka osób personelu.

Dział księgarski mieści się w pokoju na prawo od wejścia. Zaopatrzony jest on obficie w dzieła z wszelkich gałęzi literatury — znaleźć tu można zarówno lekturę lżejszą, beletrystykę, jak też i książki naukowe, podręczniki szkolne, książki dla młodzieży etc. oraz nuty. Staraniem firmy jest oczywiście jak najszybsze zaopatrywanie się we wszelkie ukazujące się z pod prasy nowości literackie.

Z natury rzeczy — jako księgarnia zakopiańska — niemniej jak z racji zamiłowania w tym kierunku właścicieli — specjalną wagę przykłada firma do wydawnictw z zakresu literatury tatrzańskiej i turystycznej, których zgrupowanie w osobnym dziale umożliwia klijenteli zapoznanie się i łatwy wybór książek, przewodników i map tatrzańskich.

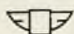
Za zasługę firmy poczytać należy usiłowanie wzbogacenia tego działu przez wydawanie nakładem własnym szeregu cenionych publikacji — jak np. mapa Tatr Polskich, opracowana przez Tadeusza Zwolińskiego. Jest to mapa turystyczna warstwicowa, wykonana wielobarwnie ze specjalnem uwzględnieniem dróg, ścieżek, kolorów znaków orjentacyjnych i innych ważnych szczegółów. Najlepszym dowodem jej pożyteczności i rozpowszechnienia zarówno wśród taterników jak i przygodnych wycieczkowiczów zakopiańskich— jest fakt, że wyszła obecnie już w czwartem (uzupełnionem) wydaniu. W przygotowaniu, po wyczerpaniu I nakładu, nowy, powiększony przewodnik po Zakopanem i Tatrach w opracowaniu własnem oraz nowa mapa całych Tatr.

Skład papieru, mieszczący się w pokoju na lewo od wejścia, zaopatrzony jest obficie i zaspokoić może wszelkie potrzeby w tym zakresie. Wszelkie gatunki papierów, przybory piśmienne, rysunkowe, malarskie i biurowe znaleźć tu można po cenach bynajmniej nie wyższych, niż „u źródła“ w mieście.

Pocztówki zakopiańskie, zarówno reprodukcje jak i oryginalne fotografje, albumy i powiększenia fot. są również specjalnością firmy. Księgarnia L. Zwolińskiego wydaje rokrocznie własne nakłady w tym zakresie, mając do dyspozycji przeszło 1500 pięknych klisz fotograficznych ze zdjęć T. i S. Zwolińskich, ilustrujących wszechstronnie cały obszar Tatr i Podhala. Wspomnieć warto o panoramie Tatr i Zakopanego (z nazwami szczytów) — stanowiącej zarówno dobry środek orjentacyjny jak i miłą pamiątkę.

Przy księgarni istnieje również od wielu lat wypożyczalnia książek, uzupełniana stale nowościami beletrystycznemi — także w językach obcych.

Dążeniem księgarni L. Zwolińskiego, której rozwój i zakres działania przedstawiliśmy wyżej, jest utrzymanie nadal równie jak dotychczas pochlebnej opinji Klijenteli oraz dawnych tradycji rzetelnej i solidnej firmy — jakoteż dalszy jej rozwój ku pożytkowi Zakopanego i Podhala.





JAKÓB WAWRYTKO KRZEPTOWSKI

W Zakopanem odbyła się niezwykła, pierwsza w Polsce, uroczystość wręczenia 62-letniemu przewodnikowi tatrzańskiemu i jednemu z najofiarniejszych członków ochotniczego Pogotowia ratunkowego, p. Jakóbowi Wawrytce Krzeptowskiemu — dyplomu honorowego i srebrnego medalu „Towarzystwa odznaczonych ratowników w Alpach nadmorskich“ (Société des Sauveteurs médaillés des Alpes Maritimes) w Nicei.

W urzędzie gminnym wobec przedstawicieli władz miejscowych, przedstawicieli i członków polskiego Towarzystwa tatrzańskiego i prawie wszystkich przewodników tatrzańskich — przemówił pierwszy p. Włodzimierz Kryński, wiceprezes Zarządu głównego polskiego Towarzystwa Czerwonego Krzyża, za którego pośrednictwem, a na wniosek P. T. T. wspomniane Towarzystwo francuskie nagrodziło najwyższem swem odznaczeniem polskiego ratownika. P. Kryński w prostych słowach przedstawił obecnym znaczenie tego wyróżnienia p. Wawrytki i po serdecznej doń przemowie wręczył mu dyplom i medal.

Z kolei p. Dr Mieczysław Świerz imieniem P. T. T. skreślił wymownie zasługi p. Wawrytki dla turystyki górskiej i ratownictwa, sławiąc go jako wzór w obu dziedzinach życia tatrzańskiego.

Imieniem Zwierzchności gminnej i komisji klimatycznej zabrał następnie głos p. Dr Józef Diehl, wyrażając przedewszystkiem wdzięczność Zakopanego — Francji, za to, że wyróżnieniem polskiego przewodnika dała dowód nowy, z jak wielką życzliwością i przyjaźnią śledzi wszystkie dziedziny naszego życia. Kilkakrotnym okrzykiem „Niech żyje Francja!“ — odpowiedzieli na ten ustęp przemówienia wszyscy zebrani.



Panorama Myślenic

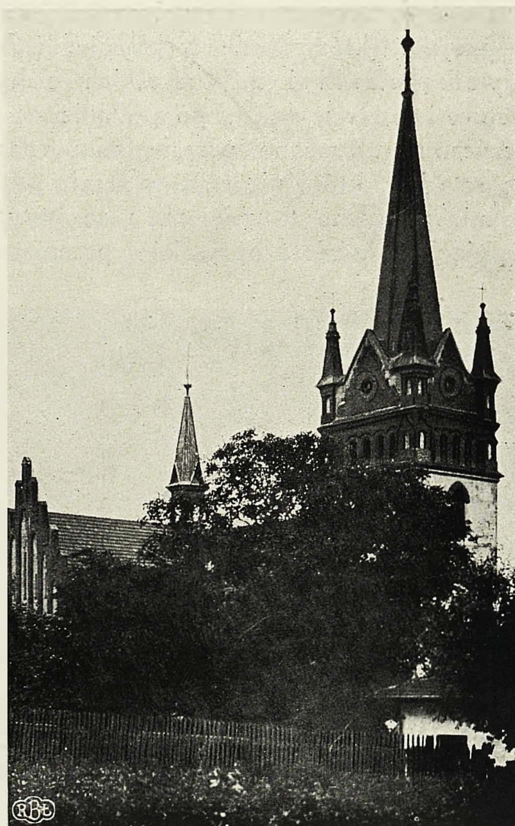
Józef Płatkowski

MYŚLENICE

W województwie krakowskiem, — w odległości 4 mil od stolicy, — na trakcie Kraków — Zakopane, leżą Myślenice, dzisiaj miasto powiatowe, którego początki giną w odległej pomroce dziejowej. Rozgościły się one kątem w rozległej dolinie, na lewym brzegu rzeki Raby, wśród lasów szpilkowych i wzniesień, które je — jak wieńcem — z trzech stron otoczyły.

Jak podają dzieje, miasto to starożytne powstać musiało najmniej w XI wieku, kiedy w tej okolicy myśliwi polowania urządzali, a skąd nazwa jego bierze swój początek, jak i herb, na którym przedstawionem jest w środku drzewo, a po bokach dwie siekiery. Nazwa miejscowości zmieniała się z biegiem czasu, i tak: brzmiała ona początkowo to „Miślimich", to „Misslomecz", „Myśliwice", „Misslimicze", lub „Misslomicz", aż ustaliła się na „Myślenice".

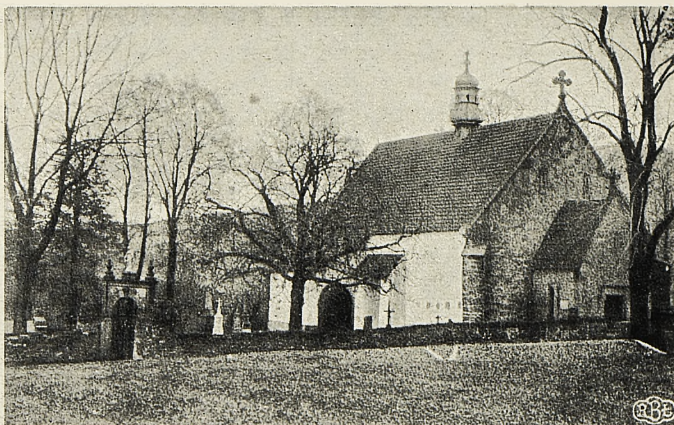
Wedle przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1253, Myślenice były już podówczas miejscowością wybitną, i z tego to przywileju dowiadujemy się o wsi Kurozwank, z której ludzie mieli strzec bramy „de Miślimich". Wedle Bielowskiego stanowiły one w XIII wieku gródek, a Łepkowski w „Przeglądzie zabytków przeszłości z okolic Krakowa" wspomina o przywileju Bolesława z r. 1278, w którym jest wzmianka o wielkich borach i o tem, że w nich polowanie przyznaje Ślazonom i Unazdonom. Pisze dalej: „Byłyć bory, kiedy Kazimierz, ów król gospodarz, 1342 r. nakazuje karczować lasy po obu brzegach Raby i Bysiny, i synom Pawła z Wieliczki sprzedaje sołtystwo w Myślenicach, wyjmując je z prawa polskiego, by się miasto na prawie niemieckiem dla zaludnienia pustej okolicy sadowić mogło. Powstało też miasto z obronnym zamkiem, a że wśród boru osiadło, więc go myśliwi „Myślenicami" nazwali. Uposażone przywilejami przez wielu królów polskich, jakkolwiek miało chwile sprzyjające do rozwoju, to jednak przechodziło zarazem i bardzo burzliwe czasy, które jego rozkwitowi nie tylko że stały na przeszkodzie, ale je zupełnie zniszczyły.



Kościół parafjalny



Stary kościół w Lubniu ad Myślenice

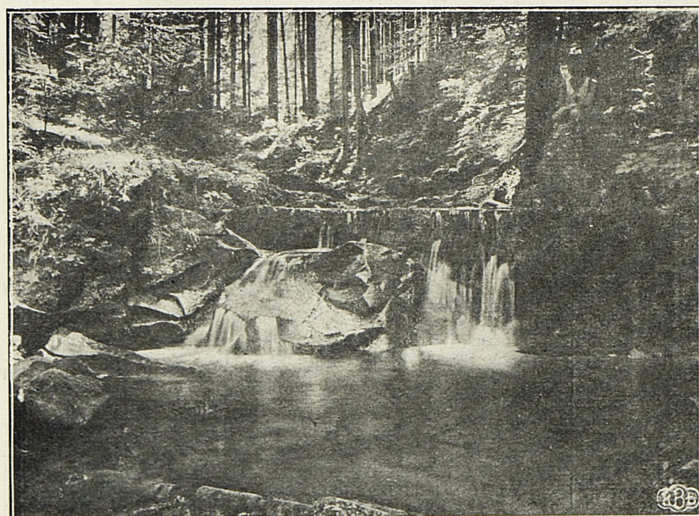


Stary kościołek (z XV wieku) w Myślenicach

I tak: w r. 1443 oddział Taborytów pod wodzą Biedrzycha, idąc z Śląska na Częstochowę, złupił je, potem około r. 1457 grasowały tu bandy znanej Katarzyny Skrzyńskiej z Barwałdu; znowu w tym samym roku w sierpniu: zbuntowane wojska (którym nie wypłacono żołdu), pod wodzą Kawki i Sciborowskich oblegały Myślenice i zajęły je wraz z górą Wapienną pod Dobczycami. „Ruszono przeciw nim znaczną liczbą szlachty, która nie była w stanie zdobyć wcale nie warowne to miejsce, a ze wstydem odstępując, zuchwałość opryszków pomnożyła.“

Tak piszą o tem Lipiński i Baliński w „Starożytnej Polsce.“ „Ciż rabusie spalili miasto 1458 r., lecz doścignięci od wojska, z kraju wyparci zostali“. Wtedy zbuntowani rozwalili kościół, aby sobie nagromadzić kamieni do obrony.

W latach 1466, 1472, 1601, 1624, 1652 i 1710 nawiedziło je morowe powietrze. O tym ostatnim roku pisze kronika, że wybuchła choroba ta w maju, a śmierć tak obfite żniwo urządziła, że w Myślenicach mało co ludzi zostało. „Nawet do metryk nie wpisywano zmarłych. Ludzie uciekali do gór i lasów. Mąż uciekał od żony, a rodzice od dzieci, krewni od krewnych zdaleka stronili. W lasach zaś z głodu umierano. Były kordony i nie wolno było za granicę, do cudzego miejsca wkraczać. Jęki i płacze po lasach się rozlegały. W mieście była ogromna śmiertelność. Nie miał kto grzebać zwłok. Jeden od drugiego uciekał. Przed wschodem słońca snuły się nad miastem mgły w różnych kolorach. Każdy dzień zrana po trzy fury z siennemi drabinami zajeżdżały na ulice, i chłopi obrani wyciągali trupy osękami z domów, i do głębokich dołów zakopywali. Bydło wygnane w pole tratowało zboża i łąki, i tam leżało i w dzień i w noc, bo nie miał kto koło niego chodzić. Na środku miasta i koło kościoła trawa zieleniała, bo nie miał kto jej podeptać. Nabożeństwa w kościele nie odprawiały się, bo księża także pomarli. Jedynie ks. Zieliński, wikary, (pochowany pod murem Przemienienia Pańskiego), słuchał na cmentarzu spowiedzi i zarażony też umarł. Miasto stało się głuchą pustynią. Tak było do października“. „To powietrze rozciągało się na 3—4 mile i wtedy w Kalwarji przeniosło się też do wieczności dziewiętnastu zakonników. Umarło wtedy tysiące ludzi.



Potok w lesie Oklejna



Gmach sokoli



Rzeka Raba

Obcy przychodzili do miasta i zamieszkiwali je biorąc gruntów ile chcieli i ile ich mogli obrobić i obsiać". Tak podaje kronikarz.

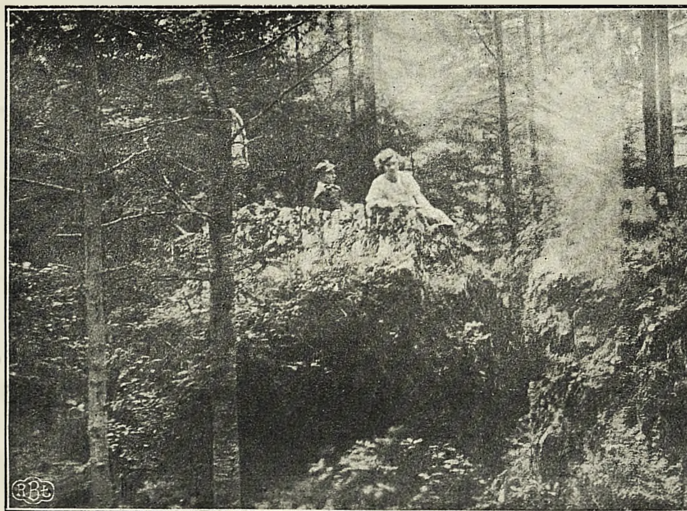
Dokuczyły też mieszkańcom w r. 1588 żołnierze z roty Piotra Myszkowskiego, będące tu na leżach zimowych. To znów w r. 1655 i 1658 spalili miasto Szwedzi. Nawiedzone też było wielkiemi powodziami w latach 1633, 1662 i 1813. Nie oszczędzili je i Rosjanie w r. 1769, kiedy w czasie Konfederacji Barskiej Kazimierz Puław- ski rozgromił ich pod Lanckoroną i do Myślenic się schronili. W r. 1831 cholera też wyludniła miasto, a o innych mniejszych pożarach i klęskach już nie wspominamy.

Przy takim stanie rzeczy nic dziwnego, że archiwum miejscowe uległo zniszczeniu, i że dzisiaj ogromnie trudno jest o rozbudowie miasta i o kolejach, jakie ono przechodziło, podać coś więcej szczegółowego.

O zamku za Rabą pisze Łepkowski, że przy wizytacji w r. 1443 leżał on już w gruzach, a sołtysi dwór nazwany był wówczas nowym zamkiem.

O tym starym zamku pisze komisja grona konserwatorskiego z Krakowa w r. 1907: „Za Rabą, wśród lesistych stoków góry Oklejny są szczątki średniowiecznego zamku, którego przeznaczeniem było osłaniać stolicę (Kraków) od strony węgierskiej, na szlaku ciągnącym się wzdłuż Raby ku Nowotarszczyźnie. W związku z tem jest starodawna nazwa wsi Stróża, a być może, że już wzmianka w dokumencie Bolesława Wstydliwego z r. 1253 (Kodeks Tyniecki Nr. 465) o ludziach do zamku krakowskiego należących, a osadzonych we wsi Kurozwęki (dziś podobno nazwa niw w Stróży) w celu strzeżenia bramy myślenickiej (ad custodiam bronae de Miślimich) odnosi się do tej strażnicy nad przesmykiem nadrabskim. W każdym razie już w r. 1443 zamek ten zwany jest „starym zamkiem".

Zwaliska przedstawiają się jako szczątki starożytnej budowy, przy której używany był tylko kamień łupany, łączony z oprawą wapienną. W niewielkiem oddaleniu od siebie leżą cztery partje zwalisk, których warstwowanie nie poziome, ale pionowe lub skośne, wskazuje, że to część budowy, która została w sposób gwałtowny rozerwaną i przewróconą. Mury mają grubości



Gruzy ruin zamku myślenickiego pod Oklejną



Willa „Stasia“



Chata wiejska (z Polanki)



Droga leśna

4.30 m. i zarówno od zewnętrznej, jak i od wewnętrznej strony zakreślone są łukiem, tak, że budowa przedstawiała się jako okrągła wieża kamienna, o niezwykłej grubości murów. Zachowały się dwa wąskie, a głębokie otwory okien czy też strzelnic. Nierówności terenu kamieniste, pozwalają postawić pytanie, czy oprócz owych czterech partyj, nie zachowały się pod niemi jeszcze jakie inne szczątki murów, czy to z górnych części wieży, czy to z jakiego ogrodzenia.

Otóż co do wzmiankowanego rozsadzenia ruin tych w sposób gwałtowny, zdaje się znajdujemy wyjaśnienie w notatkach ks. Michała Króla, których pisząc o Katarzynie Skrzyńskiej, podaje, że ona po śmierci męża Włodka „upodobawszy sobie wichrzące życie, przewodziła bandzie łotrów. Tak śmiało i zuchwale gospodarowali koło Dobczyc, Myślenic, Barwałdu, w lasach Czanieckich i na górze Bukowcu, że wojsko przeciw nim działać musiało, i to nie zawsze z dobrem powodzeniem. Rozproszeni — znowu się zbierali. Sprzykrzyło się to zuchwalstwo w bliskości Krakowa wichrzące, Kazimierzowi Jagiellończykowi, a dawszy wojska coś Pieniążkowi, staroście krakowskiemu, nakazał raz na zawsze oczyścić lasy i zamki z tego plugastwa“. Wtedy musiano owe stare mury rozwalić.

Dr. Jan Żubrzycki, prof. archit. na Polit. Lwow., uważa zamek ów „za jeden z najstarszych stołpów starolechickich, co do czasu równorzędny ze stołpem w Czechowie, w Bolesławiu, a nawet zbliżony do stołpu w Kruszwicy nad Gopłem“.

Co do zamku drugiego, o którym przed chwilą jako o „nowym“ wspomniano, to zbudował go około r. 1550 Wawrzyniec Spytek Jordan, kasztelan sądecki, i podskarbi Koronny, objąwszy wójtostwo myślenickie, w którym to zamku przeważnie zamieszkiwał. Zamek ten obronny stał jakby na wyspie, otoczony fosą i oblany dokoła wodą, sprowadzoną z rzeki Bysinki. Z fos zamkowych spływała woda na grunta dworskie i tworzyła trzy stawy, jeden za drugim, z których wypływając biegła aż do Raby. Do zamku prowadził most z tarcic, stojący na palach. W zamku tym Mikołaj Rej z Nagłowic dokończył pisania III księgi swego „Żywotu człowieka poczciwego“, i temu kasztelanowi dedykował z datą: „Myślimic, 30 września 1567“.

W liście X. Józefa Sarjusza z Olbrachcic Bielskiego, kanonika WWSS. kollegjaty krakowskiej, wystosowanym do Stanisława Poniatowskiego, kasztel. krakow. około r. 1700, jest o zamku tym taka wzmianka: „Jest pamiątka J. O. kasztelana tego, którego herbowne Dant clarum sonitum Tubae. Wymurował zameczek pod miastem Myślenicami, w którym często rezydował, ten już vetustare et longo temporis lapsu spustoszał, jest jednak nieśmiertelną pamiątką“(!!!)

Z zameczku tego niema dziś prawie ani śladu, prócz stawu, powstałego po wykopaniu

fundamentów, i ich resztek, przy ulicy dzisiaj imieniem Reja nazwanej.

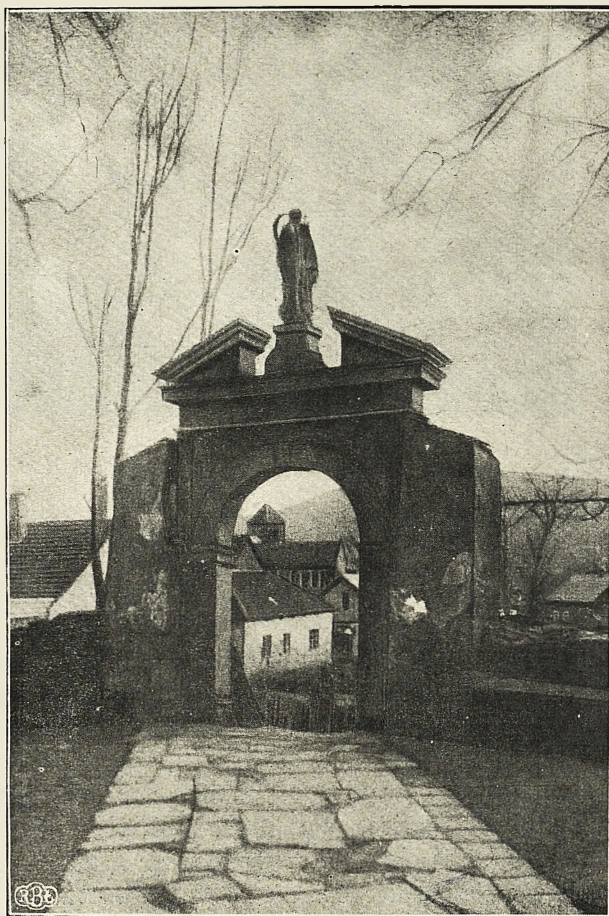
Starzy ludzie z opowiadania jeszcze starszych powtarzają, że materjał z tego zamku użyto na zbudowanie piętrowej kamienicy, jaka niedaleko od miejsca w mowie będącego znajduje się, i jest obecnie (jak i dwór opodal stojący—), własnością księcia Kazimierza Lubomirskiego.

Myślenice pamiętne są też zjazdem króla Władysława Jagiełły z cesarzem niemieckim Zygmuntem Luksemburskim, królem duńskim Erykiem VIII i różnymi książętami, kiedy jechali na koronację czwartej jego żony Zofji, księżniczki Kijowskiej, w lutym 1424 r., o czem obszerniej pisze Szajnocha w swem dziele p. t. „Jadwiga i Jagiełło“.

Król Jagiełło tu ich gościł, tu nocowali, a potem z tłumem rycerzy odjechali do Krakowa przez Wieliczkę. Po dwu tygodniach znowu odprowadzano tych gości przez Myślenice aż do Nowegosącza.

W roku 1472 bawił tu także królewicz Kazimierz, kiedy powracał z Węgier i nim za ten „powrót“ jako karę przeznaczono mu pobyt na zamku dobczyckim.

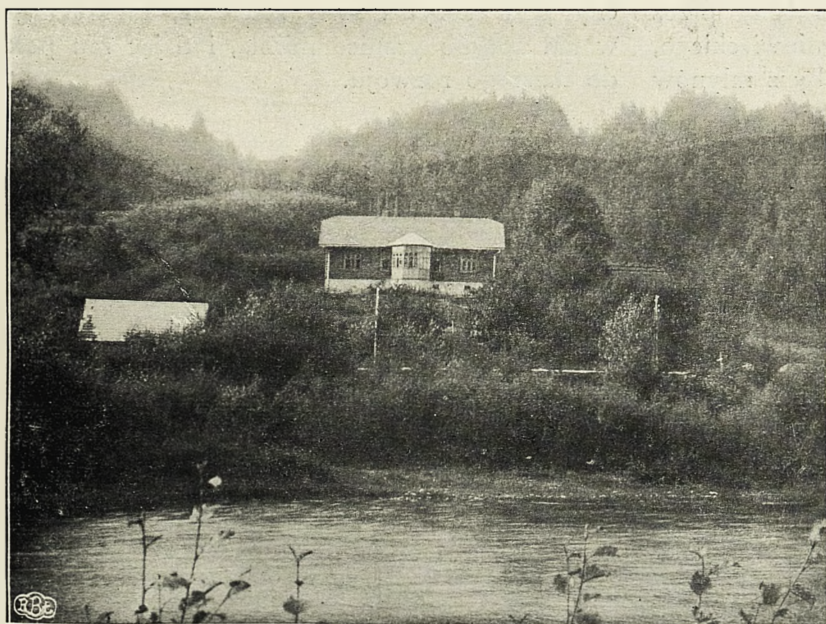
W Myślenicach są obecnie dwa kościoły, oba starożytne. Jeden w prastarej dzielnicy Stradom pod wezwaniem NP. Marji zbudowany w r. 1442, zwany „miejskim“, okolony cmentarzem, (kościół ten był w dawnych wiekach farnym), a drugi w śródmieściu, nowszy, parafjalny, z dwoma kaplicami, z których w jednej (zbudowanej kosztem kasztelana krakowskiego Stanisława



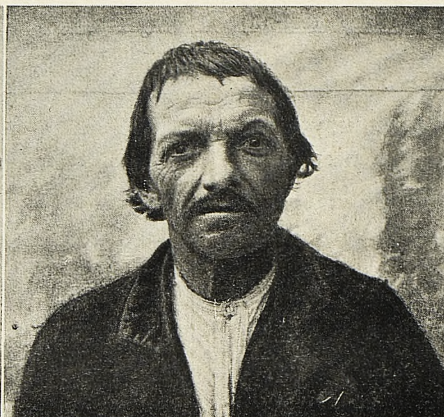
Stara brama przy kościele parafjalnym

Koniecpolskiego w roku 1647) znajduje się starożytny obraz Matki Bożej cudami słynący, przywieziony do Polski przez księcia Jerzego Zbaraskiego, kaszt. krakow., któremu go darowała „Panna jedna zakonna, Przełożona na ten czas klasztoru Weneckiego za wielki upominek, powiadając że go miała od Dziada swego Sykstusa V testamentem legowany“.

Podczas morowego powietrza w Krakowie w r. 1624, miał być obraz ten wraz z innemi przedmiotami spalonym, ale uratowany przez mieszkańca myślenickiego niejakiego Marcina Grabyszę, (będącego podówczas ekonomem w Łagiewnikach), został do jego domu przeniesiony, a skoro zasłynął cudami, umieszczono go w roku 1633 w kościele. Jak wielką on cieszył się sławą, dowodzi że marszałkowa de Guebriant



Willa „Bergielówka“


Typy ludowe z okolicy Myślenic

Dostawca drzewa na opał — *„Piastowiec“* — *„Piasczan“ (handlarz bydłem)*

około r. 1645 jadąc w poselstwie francuskiem na dwór Władysława IV umyślnie zboczyła z drogi, aby się przed nim pomodlić. Ks. Wojciech Ofiarowicz (proboszcz myślen.) spisując cuda jakie się działy, podaje: „co wotów i różnych insygniów srebrnych i złotych było zawieszonych na ołtarzu, że nie do oszacowania. Możnaby za to wszystko nie tylko kaplicę, ale cały kościół pokryć miedzianą blachą“. Przed inwazją szwedzką szacowano skarbiec ów na 40.000 złp. Dawniej Myślenice słynęły cudami jako miejsce odpustowe na całe Królestwo, póki jeszcze Kalwarji nie było. Obraz w Kalwarji Zebrzydowskiej jest tylko kopją obrazu N. M. P. w Myślenicach.

W r. 1561 Spytek Jordan z Zakliczyna, na Melsztynie dziedzic, wojewoda sandomierski, starosta przemyski i kamionacki, sfundował tu szpital, następnie w r. 1741 uposażony przez Janusza Ant. Korybuta ks. Wiśniowieckiego, kaszt. krakow., któren postanowił by z młynów jego dawano ordynarję dla znajdujących się w tym szpitalu ubogich.

Dzisiaj Myślenice, jako stacja klimatyczna ma wielkie widoki rozwoju, potrzebują tylko koniecznie połączenia kolejowego ze światem i jakiegoś przedsiębiorczego opiekuna, aby im pomógł rozwinąć się jako zdrojowisko, gdyż mają po temu wszelkie warunki.

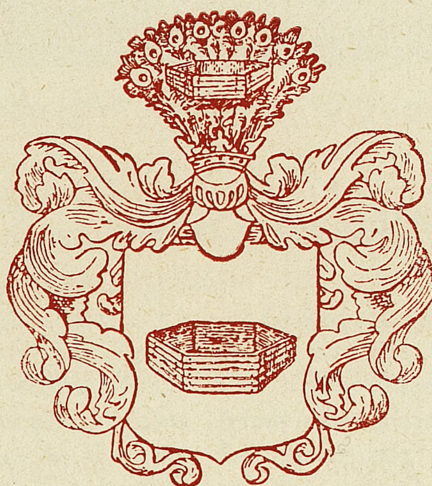
Wokoło lasy świerkowe, góry osłaniające je od wiatrów, klimat bardzo łagodny i Raba pozwalająca przybyszom używać kąpieli w zdrowej górskiej rzece.

Rok 1925 zapisał się również złotemi literami w dziejach miasta przez przyłączenie do niego dwóch wsi obokległych, które w dawnych czasach tworzyły przedmieścia (Dolne i Górne), a później — za czasów austrjackich — stały się oddzielnemi gminami. Dzisiaj one znów powróciły pod skrzydła swej macierzy, zaokrąglając w ten sposób granice miasta, i dając mu pole do dalszego rozwoju.




Fragment Rynku

ŁÓDŹ



„GIEWONT" WYDAŁ i REDAGOWAŁ: ADAM KOWALCZEWSKI-SIEDLECKI.

WYKONAŁA DRUKARNIA Z. MANITIUSA w ŁODZI
POD KIERUNKIEM DYREKTORA ZAKŁADU: J. BORYSIEWICZA.
ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE: ZAKOPANE — H. SZABENBECK
ŁÓDŹ — A. URBANOWICZ, J. SZENFELD, A. TYRASPOLSKI
A. PETRI, A. MEIER ORAZ SZEREG ZDJĘĆ AMATORSKICH.
KLISZE WYKONAŁY ZAKŁADY FOTOCHEMIGRAFICZNE
R. BORKENHAGEN — GRAWURY OKŁADKI J. SZCZEPAŃSKI.
RYSUNKI WINIET ORAZ PROJEKT OKŁADKI: Z. WILSKI.
ILUSTRACJE „STAREJ ŁODZI" Z MUZEUM MIEJSKIEGO ORAZ ZE ZBIORÓW PRYWATNYCH.

DRUK NAKŁADU UKOŃCZONO 15-GO WRZEŚNIA 1928 ROKU.

Cena zeszytu Giewontu № 3 Zakopane-Łódź 35 złot.

GIEWONT

Pragnąc przyczynić się do utrwalenia i zachowania niejednej z cennych pamiątek przysypanych pyłem niepamięci lub niedostępnych szerszemu ogółowi, wydawnictwo „Giewontu" odpowiadając niejednokrotnie wyrażonym życzeniom zawiadamia, że

przyjmuje do opracowania druku i całkowitego wydania

w redakcji i nakładzie własnym t. j. w zeszytach Giewontu lub oddzielnie w formie książkowej w określonej ściśle liczbie egzemplarzy:
Monografje miejscowości, uzdrowisk, rezydencji, dworów, opisowe skatalogowania prywatnych galerji obrazów, zbiorów, bibljotek, jak również starych rękopisów, pamiętników, szkiców rysunkowych, albumów artystycznych i t. p. w najwykwintniejszem wykonaniu i ujęciu, w każdej żądanej formie i szacie, tak co do druku, papieru jak i rodzaju ilustracji, od sztychu do wielobarwnej reprodukcji włącznie. W miarę potrzeby opracowanie i uporządkowanie rękopisów, zdjęcia fotograficzne i t. p. na miejscu.

Uzdrowiska, miejscowości klimatyczne, mniej znane zakątki naszego kraju, cenne zabytkami kościołów, klasztorów i t.p. wydawnictwo zamieszcza zgodnie z nadesłanym materjałem, tekst i fotografje, w Giewoncie (wzór str. 29 do 33. Myślenice) zastrzegając sobie jedynie ocenę artystyczną i ujęcie redakcyjne. — Warunki zgodnie z umową.

Wydawnictwo „Giewont"

Łódź
ul. Sienkiewicza Nr. 37, m. 15.
Telefon Nr. 63-05.

Warszawa
ul. Warecka Nr. 11, m. 21
Telefon Nr. 132-28.



Co było, gdzie dziś ulica Piotrkowska!

ŁÓDŹ — ANNO DOMINI....

Dzisiejsza Łódź tętniąca życiem, zalana na Piotrkowskiej elektrycznem światłem tysiąca lamp, rozdzwoniona dzwonkami elektrowozów, wrzaskiem szybko mknących aut, stłoczona z obu stron jezdni publicznością, spieszącą do domów, kawiarni, kin rozjarzonych stu tęcz kolorowych błyskiem, odsuwa w daleką zamierzchłą przeszłość XII wieku to, co, wertując stare manuskrypty, widzi kronikarz. Oto gdzie dziś ulica Piotrkowska, ciągnęła się droga, wstęgą wyboistej szosy, po obu stronach sterczały zbite czarne ściany sennie szumiącego lasu, z którego wydostawszy się na otwarty już szlak do Piotrkowa, z ulgą oddychał podróżny.

Cicho, sennie mijały noce i ranki. Lata grały puszczy rozgwarem. Świt budził się czerwienią wschodzącego słońca, borów głębokich tchnieniem, gwarem ptaszęcym, bekowiskiem jeleni, rączo sarn tropem sunących. Owdzie, acz zrzadka, miś się zdarzył, za barcią z odległych ostępów zbłąkany, albo li odyniec zapamiętliwy utytłan mazią trzęsawisk i błot, czarnem cielskiem, otyłem a sprośnem, czohał pień dębu stuletniego. Bywało, żbik pryśnie z gałęzi, a przydusi w chaszczach pardwę, czaplę spłoszy w mokradłach, a zajęczych skowytów zawodzeniem, rozgłosi pazurów i kłów swoich mocarność.

Łodzi jeszcze niema. Niema Grand Hotelu, niema Casina, Malinowej, Teatralnej, wogóle nic niema, a najstarsze z dębów, buków, brzóz, przez sen nawet nie zdradzają w szumie listowia, jazzbandowych dancingów dreszczy. W rozlicznych topieliskach, stawach i bajorach, nie przegląda się, usta barwiczką mażąca, marząca pięknooka łodzianka, tylko posępnie brodaty, sędzielizną omszały łoś, łeb dostojny a już wówczas rogami strojny, nad wodą pochyla, tam, gdzie dziś Plac Wolności i Magistratu osiedla.



* * *

Na Gromniczną znów, gdy się puszcza sędzieliną szronu ubieliła, i wilczysko się z kędy, łacno gąszczem przekradło, liska chytrorudego za sobą wiodąc — smakowitych łupów łakomego.

I nic nie było ponad puszczę i drapieżne się zmaganie z walką o byt.

* * *

Aż oto — kowanie się jakoweś po boru roz= niosło.

Dzięcioł li, klon chory opukuje?

A może zgoła bobry tamę na źródlisku trzepią?

Żałośliwie coś stuk on po lesiech poszedł.

Człowiek jawił się!

Dźwiękły toporzysk ostrza.

Rozzłociły się ogniska.

Dym poszedł po puszczy jałowcowym ży= wicznym lamentem.

Rusałki a dziwożony chynęły w głąb ostępów, żachnął się bartnik — miś, i w jary przepadł.

Lis jeno się kitą omiatając, na skraju polanki przysiadł — a dziwowisku ciekawy, jął pilnie poglądać — co będzie?

I powstała chałupinka niska, jedna, druga potem trzecia i czwarta. Nad strugą rozklekotał się zębatem kołem — młyn swarliwy a grzeszny.

Aż i jednego ranka, skowronka dzwonienie w błękitach, ostro a zapalczywie sygnaturka za= głuszyła — jako że było na prymarję.

I tyle było dobrego... zwierz pierzchł, pusz= cza w oczach, jak borsuk na zadku w przedwioś= nie, zrudziała, zleniała, aż i zgoła całkiem jej nie stało!

Ścieżkami na przełaj, przez wykroty, mo= kradła, robactwu podobne, toczyć się zaczęły biedki dwukolne, wasążki skrzypliwe, a pod= czas i bryka zasobna w topieli koliskiem utknęła.

I jął się szwargot niebosiężny, zawodzenia, swary, skrzotów pisk, babów jazgoty, a chłopów ujadanie.

Siekiery już co lepszą ciosiołkę uprawiać jęły, kowal dymić się uwziął na całą okolicę, a iż żydki przemyślne z perkalem, wstąż= kami a siwuchą na pokuszenie ludzkie — po rozstajach dróg się rozsiadły, Bóg wie= dzieć skąd!

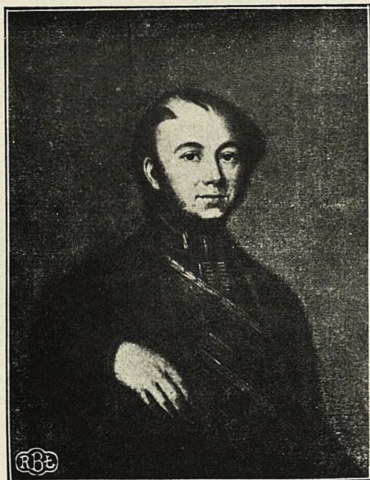
Lisek jeden, jako że jucha wypatrywał kury i kaczęta po sadybach, choć go mgliło, wczesnym rankiem albo i zgoła o północku zakradał się w opłotki, i tu zwiedział się, że u skraju pusz= czy to co się pobudowało — to miasteczko — jeno psy buszować długo mu nie zwoliły, i tak zac= nie haratały, że raz ledwo żyw a patynki gubiąc, jamy swojej dopadł — poczem całkiem za resztą inszego zwierza wywędrował — i wtedy przyśli niemce, a fabrykanty wszelakie — i tak się stała — Łódź.

A. K. S.

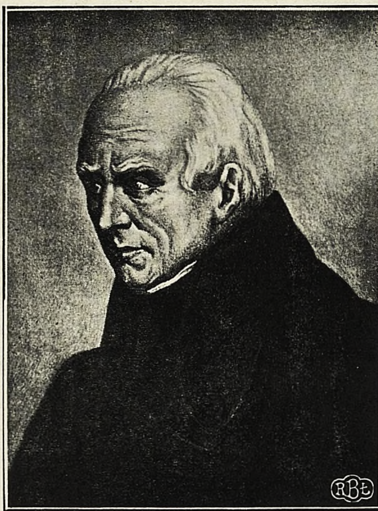


Kościołek katolicki dawniej N. M. P. dziś Św. Józefa

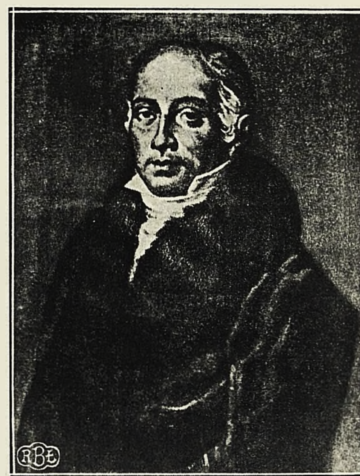
obecnie przeniesiony na ul. Ogrodową, zbudowany w latach 1765—1768



Książę Drucki-Lubecki
Minister Skarbu w 1821 r.



Stanisław Staszic



Tadeusz Mostowski
Minister Spraw Wewn. w 1829 r.

Zygmunt Lorentz

RODOWÓD ŁODZI

Łódź powstała w zaraniu XIV wieku.

W ciągu stu lat była wioską, w głębi puszczy rozległej położoną. Wchodziła w skład posiadłości biskupów kujawskich, jako osada krańcowa wielkiego klucza wolborskiego. Nazwę zawdzięcza najpewniej znakomitemu biskupowi Gerwardowi, który pochodził najpewniej z rodu Łodziów.

Po stu latach, w okresie Jagiełłowych bojów z krzyżakami, gdy Wolborz, jako miejsce zbioru wojsk koronnych, — zyskał duże znaczenie, inaczej już było w tych stronach. Obok wsi Łodzia, posiadającej prawo niemieckie od roku 1387, rozciągało się miasteczko o tej nazwie — z kościołem parafjalnym, urządzeniami samorządowemi i przywilejami na jarmarki.

Przez następnych lat czterysta nie zaszły na tym partykularzu gospodarcze i kulturalne przewroty. Podobna do mnóstwa prywatnych osad rolniczo-handlowych w Polsce, ukryta w borach wilgotnych, zdala od ognisk cywilizacyjnych, — była „Lodza oppidum" targiem i karczmą dla kilkunastu sąsiednich wiosek w województwie łęczyckiem. Mniejsza czterokrotnie od bliskich Pabjanic i Rzgowa — kwitnących w XVI wieku stolic t. zw. dóbr chropskich kapituły krakowskiej, wolna od cudzoziemców, żyła życiem sielskiem. Biskup zazwyczaj wydzierżawiał dobra łódzkie. Mieszkając stale we dworze obok miasteczka, zyskali sobie owi tenutarjusze przewagę nad burmistrzami i wójtami osady. Nieświadomie i nieznacznie pogrążyła się i Łodzia w odmęcie bezwładu, który zapanował w miastach polskich XVII wieku. Tragizm kurczenia się i obumierania, zrozumiały dla „łyków" dawnej Łodzi jedynie w łunach pożarów, jakie często trawiły całe miasteczko, wyraził się w wielkim spadku liczby ludności: z 75 rodzin w roku 1532, do 190 osób w roku 1793.

Epoka stanisławowska dała mieszkańcom Łodzi ostatni przywilej biskupa, znoszący odwieczne powinności i ustanawiający czynsz w pieniądzu, jako jedyną formę świadczeń względem pana. Ale zanim ta reforma, echo dalekie kołłątajowej kuźnicy, zdążyła objawić się w skutkach, — przyszedł drugi rozbiór Polski i odciął te strony od macierzy.

Król pruski wydarł Łodzię dotychczasowym panom; uczyniwszy ją domeną państwową, brał podatki i ciął lasy. Na wyrudowanych nowiznach pojawili się wtedy pierwsi w tych stronach Niemcy, osadzani przez rząd w myśl programu politycznego Fryderyka Wielkiego na warunkach dobrze pomyślanych i korzystnych dla państwa i przybyszów. Do osad targowych napłynęli w pewnej ilości kupcy żydowscy, liczący na ożywienie się handlu w związku z pruskiem osadnictwem. I to



Rajmund Rembieliński
Prezes Komisji woj. mazowieckiego

zjawisko emigracji w dniach pogrzebu Rzeczypospolitej zamyka pięciowiekowy okres istnienia Łodzi, możnaby rzec — przedhistoryczny.

* * *

W opieszałem i pierwotnem bytowaniu tych okolic zaszła w latach burz napoleońskich wielka zmiana. Podjąwszy mądre pomysły statystów XVIII wieku, ziemianie, dotąd wśród borów starym trybem gospodarujący — uparcie a roztropnie budują osady przemysłowe, lokując w nich przybyszów rękodzielników na podstawie norm, zapożyczonych od Prusaków.

Skomplikowany proces przebudowy gospodarczej olbrzymiego terytorjum Polski historycznej w kierunku systemu kapitalistycznego — uzewnętrznił się najwyraźniej w tem organicznem powstawaniu nowych skupień ludzi, zajmujących się głównie czy wyłącznie rzemiosłem.

Wola Prusaków i dziedziców w związku z podatnością osadniczą stron, które nigdy dotąd nie wchłaniały elementu osadniczego z zewnątrz, sprawiły, że właśnie tu, na pograniczu ubogiem łęczyckiego, sieradzkiego i mazowieckiego województw, nastąpił silniejszy niż gdzieindziej wyrój wszelakich „olendrów". Do 1820 r. powstało kilkanaście większych osad sukienniczych, z których na pierwszem miejscu postawić trzeba Ozorków Starżyńskich (1811 r.) i Aleksandrów Bratoszewskiego (1818 r.). Element osadniczy z tych lat był przeważnie biedny; uciekał z ojczyzny przed zwycięskimi kapitalistami, szukając możnych na obczyźnie opiekunów. Ale wśród przybyszów byli także ludzie zamożni, liczący na rozwój osad i handlu — głównie kupcy, przędzalnicy i farbiarze; oni właśnie interesowali się sprawą organizacji osad i uzurpowali sobie prawo reprezentowania gromad. Łodzia, licząca w 1820 roku 800 mieszkańców i ciągle jeszcze rolniczo-handlowa, znalazła się sto lat temu w obrębie zupełnie nowych drgnień gospodarczych.

* * *

Rząd Królestwa Polskiego, działający na $^1/_6$ terenu dawnej Rzeczypospolitej, usiłował zorganizować i ubezpieczyć życie gospodarcze w państwie oraz usystematyzować to wszystko, co na ziemiach polskich rozmaicie budowano. Tadeusz Mostowski, Stanisław Staszic i Ksawery Drucki-Lubecki umieli ocenić wagę chaotycznie powstających warsztatów przemysłowych i, co ważniejsza, wyzyskać eksperymenty Prusaków i osób prywatnych. Jako możny i wszechwładny pan „lokator" występuje od roku 1820 — państwo. Rajmund Rembieliński, prezes województwa mazowieckiego,

Skassowany Papier Stęplowy Ceny Groszy 10 dołącza się.

Geschehen in der Stadt Łodż den 18ten Maj Jahr 1827.	Działo się w Mieście Łodzi dnia 18. Mca Maja roku 1827.
DEKLARATIONS PROTOKOL.	PROTOKUŁ DEKLARACYINY.
Vor dem Bürgemeister der Stat Łodż Stelte sich persöhnlich … gebürtig … letztens … bewohnter Offenbarte seinen wunsch, eine fon den, bey der Stadt Łodż errichteten Spinn Kolonien zu erchalten, welchem in dieser hinsicht folgende von der Masoviesсhen Woiewodschaft Kommission angewilligte Bedingungen vorgelesen würden,	Przed Burmistrzem miasta Łodzi stanąwszy osobiście … rodem z … w ostatniem czasie w … zamieszkały Oświadczył chęć objęcia iedney z osad prządniczych pod miastem Łodzią urządzonych, któremu następuiące w téy mierze przez Kommissyą Woiewództwa Mazowieckiego zastrzeżone kondycye i warunki odczytanemi zostały
1. Wer nur Flachs zu spinnen versteht; und dieses gehorig dem Bürgemeister der Stadt Łodż, mit passenden Attesten oder auf eine andere art beweisen wird, der kann einen drey Morgen grossen Platz in der neüen Spinn Kolonia dieser Stadt, ohne Rüksicht ob er gerade vom Ausland komt, oder einheimisch ist, auf eigenthum erhalten.	1. Ktokolwiek len prząść umie i toż przed Burmistrzem miasta Łodzi przynależnie za złożeniem stosownych w tém świadectw, lub innych dowodów, usprawiedliwi, otrzymać może na własność plać trzy morgowy w nowéy Osadzie prządniczéy miasta tegoż, a to bez względnie, czyli iest Cudzoziemcem wprost z Zagranicy przybywaiącym, alboli też Krajowcem.

Nadanie osadnicze z 1827 r.

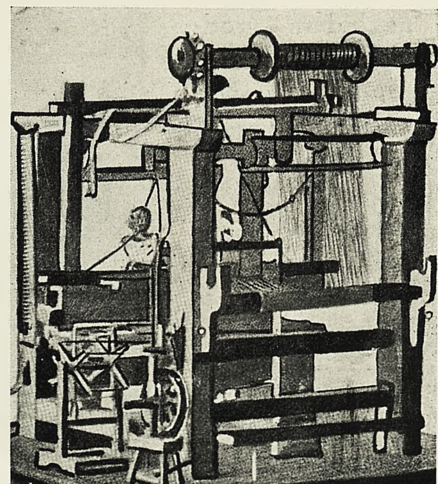


Pierwsza fabryka Geyera, wzniesiona w roku 1829

urzędnik niezwykłej inteligencji, pracowitości i energji, zwrócił uwagę rządu na okręg Łęczycy i wypracował plan uprzemysłowienia miasteczek rządowych w tych stronach; obfitość ziemi i lasu, a więc nieograniczone możliwości regulacyjne i tani budulec, mnogość strumieni i młynów odwiecznie tkwiących nad jeziorkami, a więc możność wyzyskania wody bieżącej i napędu wodnego — oto szereg warunków, które miały ułatwić urzeczywistnienie wielkiego zamiaru. Rząd przyjął plan Rembielińskiego w całej rozciągłości i wydał szereg dekretów (od 18 września 1820 roku), określających zasady lokacyjne, kompetencje urzędów, rozmiar kredytów państwowych oraz podstawy organizacji wytwórczości i zbytu. Wśród miejscowości, zaliczonych pierwszym dekretem do rzędu obdarzonych przywilejami osad fabrycznych, znalazła się Łodzia, od czasu pruskiej „inkameryzacji“ miasteczko rządowe.

* * *

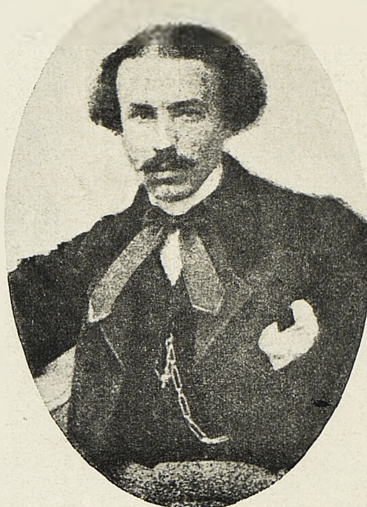
Po kilku latach zakwitł już w Królestwie Polskiem przemysł sukienniczy, a na czoło osad włókienniczych wysunął się rządowy Zgierz na trakcie „fabrycznym“ Warszawa—Kalisz. Przybysze z Niemiec, a często z terenów zachodnich dawnej Rzeczypospolitej, gdzie teraz zabijała rękodzielników, Polaków i Niemców, konkurencja z Zachodem, osiedlali się najchętniej tam, gdzie już stukały warsztaty. Masowa lokacja sukienników w Zgierzu sprawiła, że owczym pędem tam sadowili się późniejsi imigranci Łodzia, w której zaczęto przeprowadzać



Pierwszy warsztat tkacki



Andrzej Rosicki
Prezydent miasta Łodzi w roku 1863



Ignacy Radziejowski
Pierwszy naczelnik miasta Łodzi w roku 1863



Wiktor Jaworski
Porucznik partji łęczyckiej z roku 1863

regulację i wyznaczać na południe od Starego — Nowe Miasto, rozwijała się w ciągu kilku lat bardzo słabo. I to może skłoniło Rembielińskiego do wzięcia pod uwagę tej osady przy realizowaniu planu utworzenia ośrodka przemysłu bawełnianego.

Zapewniwszy sukiennictwu lata rozwoju przez zahamowanie wwozu towarów pruskich i wzięcie rekompensaty za 160 tysięcy klm² dzielnicy pruskiej i austrjackiej — na Litwie i Rusi, tudzież w Rosji, dzięki korzystnej umowie celnej z Rosją i Prusami, rząd Królestwa pchnął z miejsca sprawę przemysłu lnianego i bawełnianego. Studja i wywiady skończyły się w roku 1823 pomyślnie. Dużym nakładem środków materjalnych wsparto pracę licznej gromady drobnych tkaczy i prządków oraz kilkunastu obrotnych kapitalistów. Cała ta masa pracowników osiedlona została w Łodzi — o 10 kilometrów od Zgierza, nad wspomnianym traktem, wzdłuż ulicy Piotrkowskiej i nad rzeczką Jasienią. Małe i wielkie place, bezpłatny budulec, zwolnienie od podatków bezpośrednich na lat sześć, udział w zarządzie miasta, gwarancje komunikacyjne i kredytowe — oto najważniejsze przynęty i bodźce rządowe.



Franciszek Traeger
Prezydent miasta Łodzi 1843—1862

Rosnący z godziny na godzinę popyt wsi i miast na tkaniny tanie zapewniał przemysłowi bawełnianemu dobrą konjunkturę na długie lata, pomimo zamkniętych wrót do ziem wschodnich. Walka z towarem pruskim i rosyjskim na rynku wewnętrznym małego Królestwa miała się toczyć z powodzeniem przez lat dwadzieścia pięć. W ciągu tego czasu, po powstaniu listopadowem car Mikołaj ukazami celnemi zdławił sukiennictwo polskie: odtąd miało ono wegetować w ciasnych ramach Królestwa Polskiego. To też rozwój osad sukienniczych po roku 1831 stał się powolny i następstwa rozbiorów wystąpiły w całej jaskrawości. Natomiast przemysł bawełniany rozrasta się nieprzerwanie, wyprzedzany ciągle przez pojemność rynku wewnętrznego. Łódź, bo takie brzmienie nazwy miasta coraz powszechniejszem się staje, rośnie w tempie wyjątkowo szybkiem, coraz wyraźniej ogniskując w sobie najcelniejsze zamierzenia i prace



Magistrat i kościół ewangelicki na Nowym Rynku (dziś Plac Wolności) w roku 1827

W głębi ulica Piotrkowska

pionierów bawełny. W roku 1826 jest tu 27 majstrów tego rękodzieła; po trzech latach liczba pracowników sięga 700 osób, liczba ludności 4273 w 369 domach, a produkcja 600 tysięcy łokci. W ciągu lat dwudziestu liczba mieszkańców Łodzi i domów wzrasta czterokrotnie, ilość pracowników fabrycznych dziesięciokrotnie, a produkcja piętnastokrotnie.

Pozbawiona opieki państwowej, doczekała się przecież zupełnej zmiany postępowania Rosji w dziedzinie celnej. Urzeczywistniając zamiar polityczny absolutnego wcielenia ziem polskich do Rosji, car zniósł w roku 1850 granicę celną pomiędzy Królestwem a Cesarstwem; Łódź rzuciła się wtedy na wschód i dostosowywać zaczęła do jego potrzeb część wielką rosnącej wciąż produkcji. I dzięki temu, że, pomimo rozbiorów, miała możność działania na rozległym terenie, a przedewszystkiem na 450 tysięcach klm². Litwy i Rusi, gdzie zostawiała zgórą 40% t. zw. „rosyjskiego" wywozu, stała się nowoczesnym olbrzymem, wyposażonym w dziwy techniki — od machiny parowej Geyera z 1835 roku poczynając. Dzisiaj, pracując dla obszaru, wynoszącego pół Polski przedrozbiorowej, spełniając swą powinność z dniem każdym normalniej i lepiej, widzi wciąż rosnące możliwości rozwoju. Łodzianie zaczynają rozumieć, że rozwój tego centrum włókiennictwa, jako wykwit ewolucji gospodarczej na terenie Polski historycznej odbywał się nieprawidłowo i zależny był od konjunktury politycznej — tak rzadko dla Polaków pomyślnej i że w mocarstwie polskiem rozwój ten odbyłby się piękniej i mądrzej. Ale dumni są z tego, co osiągnęli sami i dumni ze swych miljonowych wrzecion i tysiącznych krosien, które przerabiają w ciągu pracowitego roku dziesiątki tysięcy tonn surowca.

Na Starem Mieście w Łodzi są jeszcze tu i ówdzie drewniane chaty dawnych „łyków" biskupich. Kościołek drewniany z 1768 r., przeniesiony z dawnego centrum miasteczka, stoi cicho na terenie dawnych „ogrodów". Na Nowem Mieście, i w Osadzie Tkackiej, i w Osadzie Prządniczej, i „na Ślązakach", i tu i ówdzie, stoją stereotypowe parterowe domy, często mansardami, gankami i klasycznemi pilastrami ozdobione — wedle życzenia architektów rządu Królestwa Kongresowego; są to domy pionierów włókiennictwa, stuletnie „fabryki" Łodzi. W sąsiedztwie placu Katedralnego i Górnego Rynku, przeważnie nad rzeczką Jasienią i stawami wznoszą się kilkupiętrowe, tynkowane, z klasycznemi frontonami i małemi oknami — koszary fabryczne możnych przemysłowców, także stuletnie pomniki pracy. Te „zabytki" przytłacza rosnąca wciąż masa domostw wielopiętrowych i kolosalnych gmachów fabrycznych — czerwonych, światłem tysięcy szyb migocących, ozdobionych imitacją dumnych baszt.



Fabryka Ludwika Grohmana

ŁÓDŹ PRZED 100 LATY

Z UPRZEJMIE UŻYCZONYCH PAMIĘTNIKÓW ZYGMUNTA MANITIUSA

Wzrost Łodzi jako miasta i placówki przemysłu, jest jak na stosunki europejskie, zwłaszcza w czasach dawniejszych tak niezwykły, że porównać da się jedynie z warunkami, w jakich wzrastały i rozkwitały nagle miasta w Ameryce.

Tam, gdzie dzisiaj dziesiątki tysięcy robotników stoi przy maszynach, gdzie setki kominów fabrycznych sterczy ku niebu, gdzie ruch uliczny przypomina najbardziej ożywione ulice stolicy — tam przed stu niespełna laty szumiał wysokopienny gęsty las. Prawda, przecięty szosą, która od Petersburga przez Warszawę, Kalisz wiodła na Wrocław — do Berlina, łącząc tą jedyną arterję Wschodu z Zachodem. Niemniej był to w całem tego słowa znaczeniu las, pustkowie ożywione z kilku chałup złożoną osadą, nad rzeczką Łódką, osadą, która mimo wyglądu ubożuchnej wioszczyny, nosiła już oficjalnie nazwę miasteczka.

W grupie 44 domostw stał drewniany, mały kościółek, ten sam, który w 1888 r. przeniesiono na stary cmentarz, i który do dziś dnia stoi na ulicy Ogrodowej przy fabryce Poznańskiego.

W roku 1806 miasto przeszło w posiadanie rządu, i od tej chwili datuje się pewne polepszenie stosunków, niemniej jeszcze w roku 1821 liczy miasto Łódź zaledwie 799 mieszkańców i 112 kominów.

Po Kongresie wiedeńskim i burzy wojen Napoleońskich w 1815 r. losy miasteczka Łódź krystalizują się już konkretniej. Nadania i przywileje oraz niezwykłe ulgi, jakie osiedlającym się przybyszom świadczono, jak nadanie darmo $1^1/_2$ do 2 mórg gruntu, budulcu z lasów i t. p., wszystko darmo, pod jednym tylko warunkiem, zabudowania się w przeciągu dwu lat, nadto przysługiwało 6 lat zwolnienia z wszelkich opłat i podatków, i zwolnienie osadników, jako też ich dzieci zrodzonych zagranicą, od wojska! Po 6 latach osadnik płacił minimalny podatek, złotego z morgi.

Za przykładem Łodzi, Zgierza i Pabjanic poszli również więksi właściciele ziemscy i w ten sposób równocześnie z Łodzią, powstały osiedla fabryczne jak Tomaszów, Konstantynów i Aleksandrów. Już w grudniu 1823 r. wzniesiono w Łodzi na t. z. nowem mieście sześć domów, w których osiedli sukiennicy.

Liczba osadników w roku następnym wzrosła już do liczby 50 majstrów przędzalniczych, tworząc odrębną kolonję tkaczy, tak zwaną Wólkę, dzisiejszą ul. Wólczańską.

Zbyt towarów rósł z dnia na dzień, według opowiadań współczesnych, dziesiątki kupców przybyłych z Rosji oczekiwało tygodniami na dostawy sukna, a całe sznury wozów wysokoładownych



Fabryka Kopischa (dawniej J. Petersa)

istną karawaną ciągnęły w dalekie strony. Jak głoszą kroniki już w 1826 r. w Konstantynowie pracowało 60 sukienników, z których każdy prowadził własne warsztaty.

Rychłe wzbogacenie się mieszkańców, ogólna zamożność Konstantynowa, Aleksandrowa, Zgierza, zrazu szybko ogarnęły rynek i tak dalece wyprzedziły Łódź, że podczas gdy same szumnie miastami się zwały, Łódź ironicznie „miasteczkiem" zwano. Tymczasem po rewolucji 1830 r. Łódź odrazu zaczęła wybijać się na dominujące stanowisko, podczas gdy w okolicy sukiennictwo stopniowo zaczęło podupadać, Łódź przemysłem bawełnianym odrazu stanęła na mocnym gruncie.

W tym okresie (rok 1835) sprowadził też L. Geyer pierwsze parowe maszyny i wzniósł pierwszy komin fabryczny, których liczba odtąd rosnąc stale, miała stać się niejako symbolem naszego miasta.

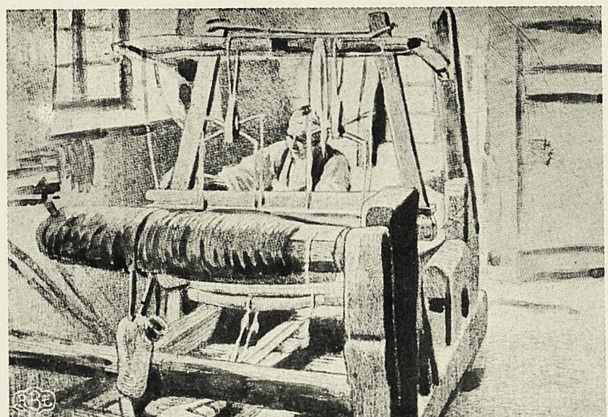
To też liczba mieszkańców w r. 1840 wzrosła do imponującej liczby 20.000, stawiając w ten sposób Łódź na miejscu drugiego miasta po Warszawie w Królestwie Polskiem.

Mimo jednak tak kolosalnego wzrostu, Łódź jak i przedtem robiła wrażenie wyciągniętej wzdłuż głównej drogi olbrzymio wydłużonej (5 wiorst) wioski.

Gdy ojciec mój przybył do Łodzi, tylko w rynku i na Starem mieście było kilka jednopiętrowych domów, na całej Piotrkowskiej zaś jeden tylko, reszta były to wszystko domki parterowe, na całej też ulicy Piotrkowskiej niemal wcale nie było sklepów, tak, że nawet najniezbędniejsze zakupy dla domowego gospodarstwa trzeba było załatwiać w Zgierzu.

Zato jak Piotrkowska długa, ze wszystkich domków okien, drzwi dolatywał charakterystyczny i jakże mi pamiętny z lat dziecinnych klekot i stuk tysiąca warsztatów.

Bocznych ulic, wówczas, wcale nie było, poza kilku w pole wiodącemi uliczkami, w stronie Starego miasta i rynku, i to nie zabudowanych, a dobrze jeśli walącym się płotem ogrodzone. Z Piotrkowskiej, w lewo czy w prawo odrazu było się na polu, zaraz tuż za domkiem Majstrów Tkackich, dziś róg Przejazd i Piotrkowskiej, kończył się bruk, i ciągnęła dalej zwykła szosa, a ścieżki, zastępujące chodniki, odgrodzone były od jezdni głębokim i szerokim rowem. Gdzie dzisiaj kościół św. Jana, wkrąg jak



Ręczny warsztat tkacki



Fabryka Ludwika Geyera

okiem sięgnąć do Głównej, dość gęsto coprawda już podówczas zabudowanej, ciągnęły się uprawne pola, i jakże często, pomnę, przemierzałem całe dzielnice na przełaj wśród kłoniących się i rozszumiałych łanów zboża.

Charakterystyczną komunikację z Łodzią utrzymywała Warszawa, rodzajem omnibusów — dyliżansów, żółtych pudeł na wysokich kołach, zwanych popularnie „szteinkellerkami“ od fabrykanta tych wehikułów Szteinkellera w Warszawie na Lesznie.

Jeszcze w 1853 r. posiadała Łódź zaledwie cztery parowe fabryki, dopiero 1855 r. wzniesione przez Karola Scheiblera olbrzymie zakłady fabryczne podniosły znaczenie Łodzi, a otwarta w roku 1866 Kolej Fabryczna, Warszawa — Łódź, stworzyła dzisiejszy polski Manchester.

* * *

*) W Starem Mieście, od kościoła i rynku biegły ulice: Zgierska, Brzezińska, Wolborska, Stodolna, Podrzeczna i Drewnowska. Mieszkali tam starzy obywatele Łodzi, pomni sielanki i biedy dawnych lat, oraz zabiegliwi Żydzi.

Na południu, za rzeczką i bajorem rozpościerało się szeroko Nowe Miasto (Osada Sukiennicza). Nowy Rynek, otoczony wielkim kwadratem ulic, noszących nazwy stron świata, ozdobiony ratuszem i kościołem ewangelickim, biegł ku zachodowi i wschodowi ulicą Średnią, a ku południowi — Piotrkowską. Na wschodzie dawne łany wójtowskie i dworskie pozwalały wyciągnąć się ulicy Średniej daleko.

Wdal, bez końca zda się, szła ulica Piotrkowska, przecięta na terytorjum t. zw. Osady Tkackiej Łódki, mierzonemi przecznicami: Cegielnianą, Dzielną, Krótką, Przejazdem, Nawrotem, Główną, Pustą i Boczną. Te ulice uciekały w pola, przecinając równoległe do Piotrkowskiej: Wólczańską po stronie zachodniej (zwaną tak od Wólki — wsi klucza łódzkiego), a Dziką (dzisiaj Sienkiewicza) i odchyloną Widzewską po stronie wschodniej.

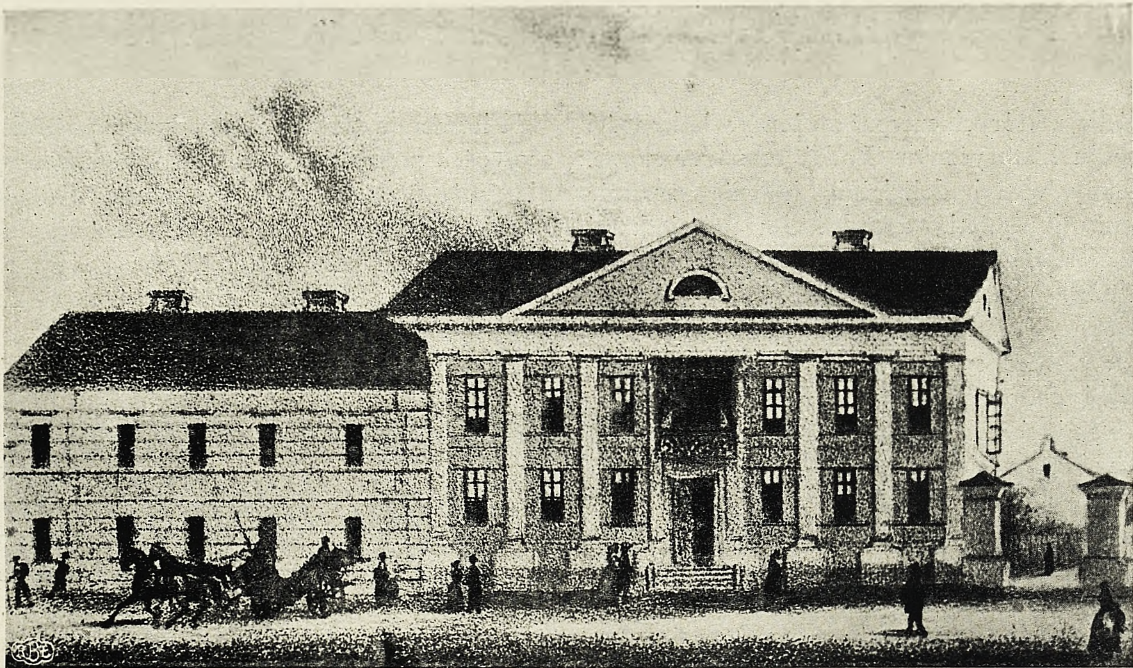
Za Boczną (dzisiaj Brzeźną) był Rynek Fabryczny (dzisiaj plac katedralny); od niego otwierały się Placowa i Emilji, a potem, za Czerwoną i za rzeczką, wyrastał Rynek Górny, odsyłający na wschód długą ulicę Zarzewską (od Rozdrażewa — wsi klucza łódzkiego).

Ulica Główna kończyła się na wschodzie Rynkiem Wodnym, przy którym zakwitał zielenią i kwieciem park angielski, zwany „Źródliskami“ albo z niemiecka „Kwelą“. Przed parkiem ciągnęła się ulica Targowa, a za parkiem odchodziła ku Zarzewskiej, Przędzalniana.

Na tej ogromnej przestrzeni, jak w odzieniu na wyrost, przy błotnistych ulicach, w domkach stereotypowych, pracowali owi pionierzy-fabrykanci. Przez dzień cały trwał klekot warsztatów i zręczne ręce ludzi czyniły cuda z posłuszną nicią. Wielka rzesza wciąż napływających wyrobników, robotników koszarowych, pracowała

---

**) W zakończeniu podajemy jeszcze te kilka szczegółów zaczerpniętych z wydanego w Łodzi 1926 r. dziełka Z. Lorentza, „Narodziny Łodzi Nowoczesnej“.*



Gmach Feszlera

w wielkich zakładach: Geyera (Piotrkowska i Rynek Górny, 700 ludzi), Petersa (Rynek Fabryczny przy Emilji, 78 ludzi), Grohmana (Targowa, 122 ludzi), Moesa (Przędzalniana, 62 ludzi), Landego (Kątna, 148 ludzi) i innych. Wszystkie te fabryki wznosiły się nad obfitą w wodę rzeczką Jasienią i biły w oczy wielkością murów, budowanych nie bez ambicyj architektów, wyznawców stylu klasycznego.

Obok pracowników włókienniczych różnego pokroju (z tasiemkarzami i pończosznikami włącznie) tudzież farbiarzy, pracowała liczna grupa najrozmaitszych rzemieślników, licząca zgórą 400 par rąk roboczych.

Wiktuały kupowało się na targach; ale w tym okręgu wielu osad fabrycznych dowóz był stosunkowo mały, więc panoszyła się drożyzna.

Z ulic bardzo długich daleka była droga po wszelkie towary. Bowiem handel był wciąż jeszcze w rękach Żydów, którym, z pewnemi wyjątkami, nie wolno było mieszkać w nowych dzielnicach miasta; w okolicach Starego Rynku skupiały się sklepy wszelakie, których Łódź liczyła wogóle 265.

Miasto miało wówczas trzech lekarzy i dwie apteki, oraz okazały szpital miejski na 50 łóżek (przy Rynku Fabrycznym). Posiadało szkołę powiatową (8 nauczycieli, 100 uczniów), 7 szkół ludowych (w nich 750 dziatwy) i 2 szkoły niedzielne. W zarodku znajdowała się kasa oszczędnościowa.

Życie towarzyskie ogniskowało się w cechach; najokazalszym terenem w tym względzie był murowany „Meisterhaus"; cukiernia, kawiarnia, szereg szynków i 7 zajazdów dopełniają obrazu tego żywego miasta.

Życie płynęło czynnie i gorączkowo w dni powszednie, sielsko, w polach i borach okolicznych w dni świąteczne. Zabawy strzeleckie i sylwestrowe były największą rozrywką; bawiono się ochoczo, głośno i trywjalnie.

Wszędzie przeważał element niemiecki, już teraz demoralizowany przez Rosję, usiłującą wygrywać go przeciw Polsce. Kto był choć trochę „edukowany" — lgnął wyraźnie do polskości, reprezentowanej na gruncie łódzkim przez garstkę urzędników, zawodowców i wyzutej z ziemi szlachty. W związku z warunkami politycznemi, rodziły się i zaostrzały problematy narodowościowe; ale w tym czasie głucho jeszcze było i spokojnie.

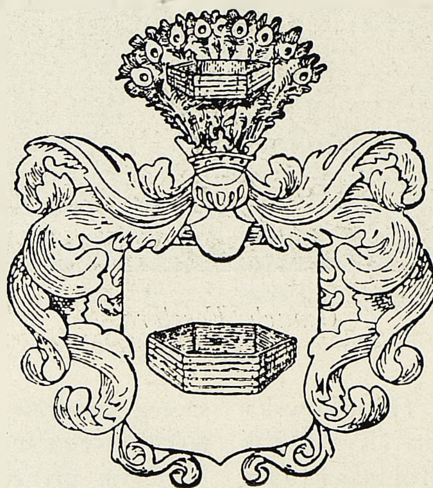
Las uciekał coraz dalej. Trzeszczały furgony na bitych traktach do Łowicza i Rokicin — do kolei. W mieście ustawiczne budowanie, ustawiczna krzątanina, brzęk złota, turkot maszyn i niemota nadmiernego ludzkiego wysiłku. Nad miastem wiatr rozwiewał pierwsze kłęby dymów, a w nich, niby wyraz myśli od pracy codziennej odbiegających, trzepotały się gołębie, ulubione „webrów" ptaszki — lotne srebrniki i wywrotne „fajfry"... Patrzał na to wszystko stary „łyk" patrycjusz, biskupich mieszczan potomek. I zmieniał się sam powoli — w rzemiośle, w gospodarce rolnej, w obmyślaniu komornego z domu, albo w fabrykanckiem przyswojonem dziele. Ale patrzał zdumionemi oczyma...

PRZYWILEJE, NADANIA i DOKUMENTY

Źródła, z których czerpać możemy wiadomości o rozwoju historycznym Łodzi, są nader skąpe. Posiadamy w tej dziedzinie jedynie szczupłe fragmenty i notatki. Przed kilku dziesiątkami lat ukazała się w Warszawie broszura Oskara Flatta „Opis miasta Łodzi“ oraz prof. I. Kochanowskiego „Szkice i drobiazgi historyczne“, ale prace te dawno są już wyczerpane i niedostępne. Godnem wzmiankowania jest tylko drobne studjum historyczne proboszcza tuszyńskiego, St. Muznerowskiego „Przyczynki do monografji Łodzi“ (1922), na którem opieramy się przeważnie w rozdziale o najdawniejszej historji naszego miasta.

Początki powstania naszego miasta ukryte są w mrokach dziejów. Kiedy i przez kogo zostało ono założone, o tem dziś jeszcze nic pewnego, stwierdzonego dokumentami, nie wiemy, przyjmuje się jednak z pewną racją, że Łódź musiała istnieć już w XIII wieku. Oczywiście tylko jako uboga wioska, stanowiąca własność biskupów kujawskich.

Istnieje dokument, podpisany w Sieradzu dnia 6 października 1250 roku przez Kazimierza księcia ziemi kujawskiej i łęczyckiej, w którym to dokumencie książę zatwierdza biskupom kujawskim wszelkie prawa i przywileje, dotyczące ich posiadłości na ziemiach książęcych. Są tam wymienione wszystkie dobra biskupie, jednakże o Łodzi niema jeszcze wzmianki.



Herb Łodzia

z t. zw. herbarza witebskiego

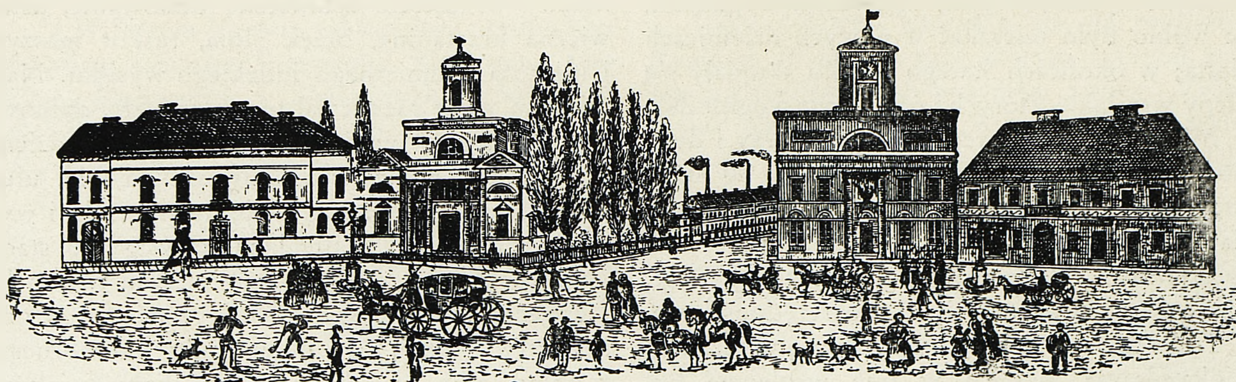
Pierwszym dokumentem, który pośród miejscowości, położonych w ziemi łęczyckiej, wymienia także Łódź (Lodza), jest pismo Władysława, księcia ziemi łęczyckiej i dobrzyńskiej, z dnia 6 września 1332 roku, którem to pismem nadaje książę wymienionym miejscowościom, między innemi i wsi Lodza, różne przywileje.

Oryginał tego ważnego dokumentu został niedawno odnaleziony przez proboszcza Muznerowskiego w archiwach kapituły włocławskiej. Dotychczas znane były tylko nieliczne i niedokładne odpisy owego przywileju.

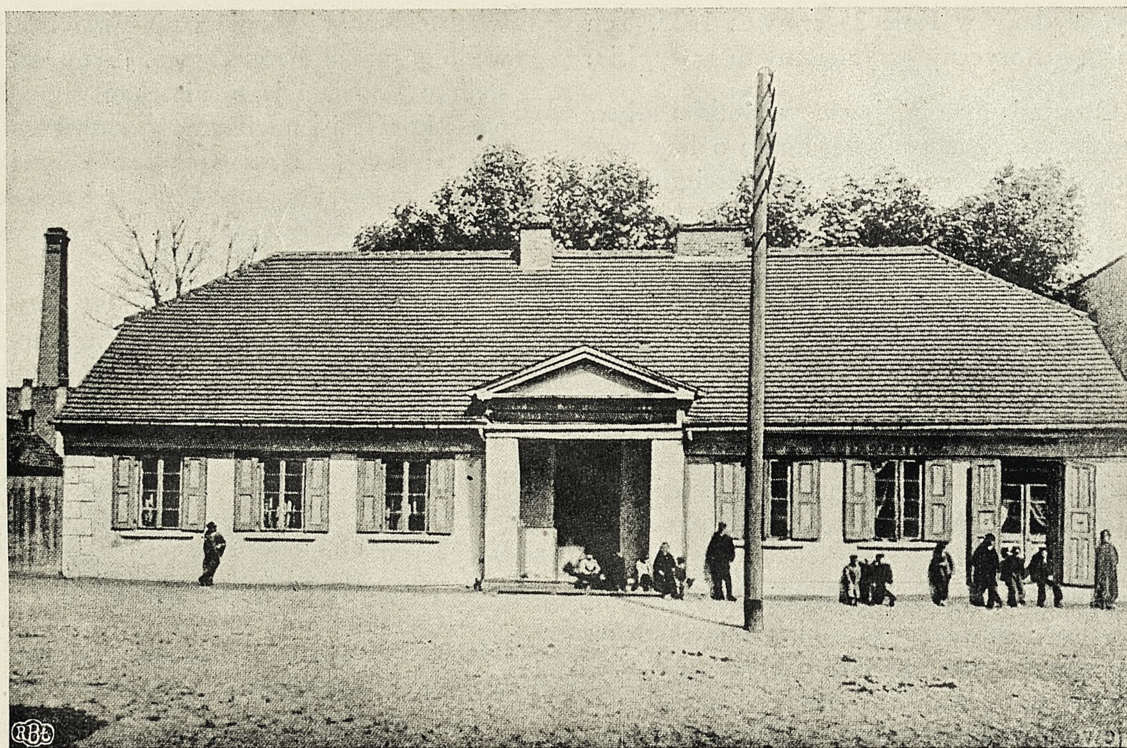
Skąd pochodzi nazwa Łódź i komu miasto nasze zawdzięcza swe powstanie? Łódź nad Łódką. Powszechnie przyjmuje się, że nazwa ta pochodzi od łodzi, łódki. Ale tak nie jest.

Proboszcz Muznerowski rozumuje: miasto nie leży nad rzeką, zaś strumyk Łódka nie był nigdy wodą, do której przebycia potrzebaby było łódki. Również dawniejsi mieszkańcy nie zajmowali się nigdy budową łodzi. Ci, którzy się tem rzemiosłem trudnili, nadawali wsiom swoim nazwę Korabniki, od staropolskiego wyrazu korab (dziś łódka). I istotnie wsie tej nazwy nie są w Polsce rzadkie. Ale wszystkie one leżą nad wielkiemi wodami, a niegdyś zaopatrywały dwory książęce w czółna.

Najstarsi z pośród mieszkańców Łodzi słyszeli często od swoich ojców o dawnych lasach łódzkich i stawach, zwłaszcza o owym wielkim



Nowy Rynek (w roku 1827) dzisiaj Plac Wolności



Stary domek Związku Majstrów Tkackich t. zw. „Meisterhaus“
przy ul. Przejazd i Piotrkowskiej

stawie, który leżał za dzisiejszym Placem Wolności, a nad którym osiedlili się pierwsi blicharze i farbiarze. Zatem wody było dość, więc były zapewne i łódki.

Zresztą nie jest rzeczą ważną, czy przy powstaniu Łodzi były tu łodzie, czy nie. Ważniejszym jest już fakt, że ówczesna nazwa łodzi brzmiała korab. Decydującemi są jednak najdawniejsze wiadomości z okresu powstania Łodzi, tam zaś nosi ona nazwę Lodza lub Lodzia.

Według Muznerowskiego, miasto nasze zawdzięcza swą nazwę i powstanie jednemu z najwybitniejszych wielkopolskich rodów szlacheckich, herbu Lodza lub Lodzia, a w szczególności słynnemu w historji Kościoła w Polsce biskupowi kujawskiemu Gerwardowi, który piastował godność biskupią na Kujawach od roku 1300 do 1323 i pieczętował się herbem Lodzia. Ów książę kościoła położył wybitne zasługi w dziedzinie administracji swego biskupstwa, a zwłaszcza co do zachowania i pomnożenia dóbr biskupich i kapitularnych. Nałożył on na nie podatki według zasad prawa niemieckiego. Jeśli więc w okresie, z którego datują pierwsze wieści o Łodzi, godność biskupią piastował człowiek tego pokroju, zwłaszcza przedstawiciel rodu o herbie Lodzia, nie może podlegać wątpliwości, że on był założycielem naszego miasta.

Druga wieść o Łodzi datuje się z roku 1387; dokument ten został sporządzony we Włocławku przez biskupa kujawskiego Jana z przydomkiem Kropidło, księcia opolskiego. Na mocy tego aktu biskup Jan w porozumieniu z kapitułą kujawską ustanawia we wsi Lodzia sołectwo, do którego przydzielona zostaje również wieś Widzewnica (Widzew).

Podobnie jak dokładna chwila założenia Łodzi, tak i moment jej erygowania na miasto jest nieznany. Pewnem jest natomiast, że Łódź już w roku 1424 była miastem.

Fakt ten potwierdza przywilej, nadany miastu przez biskupa Jana Pellę z Niewierza.

Mieszczanom łódzkim nadane są tam pewne ulgi na przeciąg lat sześciu, po upływie których każdy zobowiązany jest już do podatków na rzecz biskupa, acz od innych ciężarów i świadczeń jest wolny.

Dalej wzmiankowane jest, że nikt nie może zmieniać swego miejsca pobytu ani sprzedawać majętności bez zgody biskupa, w przeciwnym razie utraci prawo posiadania. Dalej każdy mieszczanin obowiązany jest oddawać proboszczowi ze swego pola po pół korca żyta i owsa, a z każdego domu po pół grosza.

Akt powyższy został w dziewięć lat potem zatwierdzony przez przywilej króla Władysława

Jagiełły, wydany w Kole 25 czerwca 1433. Ten dokument historyczny przytaczamy tu w wypisie:

„Oznajmiamy niniejszem wszystkim obecnym i przyszłym osobom, komu o tem wiedzieć należy, jako na prośbę Czcigodnego w Chrystusie Jana, z łaski Ojca biskupa włocławskiego, Królestwa Polskiego kanclerza, szczerze przez Nas umiłowanego, że miasto nazwane Lodzią, a należące do kościoła włocławskiego, w ziemi łęczyckiej położone, ze wsiami doń należącemi, jako są w swych granicach, przenosimy na wieczne czasy z prawa polskiego na prawo magdeburskie; znosząc jednocześnie wszystkie prawa, zwyczaje i obyczaje polskie, które często temuż prawu są przeciwne.

Zwalniamy na zawsze wójta, obywateli, kmieciów, słowem wszystkich mieszkańców tego miasta, jako też mieszkańców wsi doń należących, od wszelkiej władzy i jurysdykcji wojewodów, kasztelanów, starostów, sędziów, podsędków i wszystkich jakichbądź urzędników, pod których władzą dotąd się znajdowali. Zabraniamy, aby powyżsi mieszkańcy byli przez nich sądzeni o kradzież, podpalenie, okaleczenie, zabójstwo lub jakie inne występki. Jeśli się dopuszczą jakiego przestępstwa, wójt będzie sądził mieszczan, a sołtys kmieci. Wójt zaś i sołtysi mają stawać przed sądem biskupim albo Naszym i to wtedy tylko, kiedy będą Naszym pismem, pieczęcią opatrzonem, zawezwani. Gdyby zaś dopuścili się w sądach niesprawiedliwości, będą odpowiadać według prawa niemieckiego. W sprawach kryminalnych i ważnych, wyżej wyłuszczonych, dajemy wójtowi i sołtysom całkowitą władzę karania i wymierzania sprawiedliwości według prawa niemieckiego. Aby zaś miasteczko Lodzia i jego mieszkańcy mogli odnosić korzyści i mieli dowód szczególniejszej Naszej łaski, na zasadzie prawa cywilnego, z którego korzystają inne miasta i miasteczka, pozwalamy zaprowadzić tu jarmarki roczne i tygodniowe w każdą sobotę.

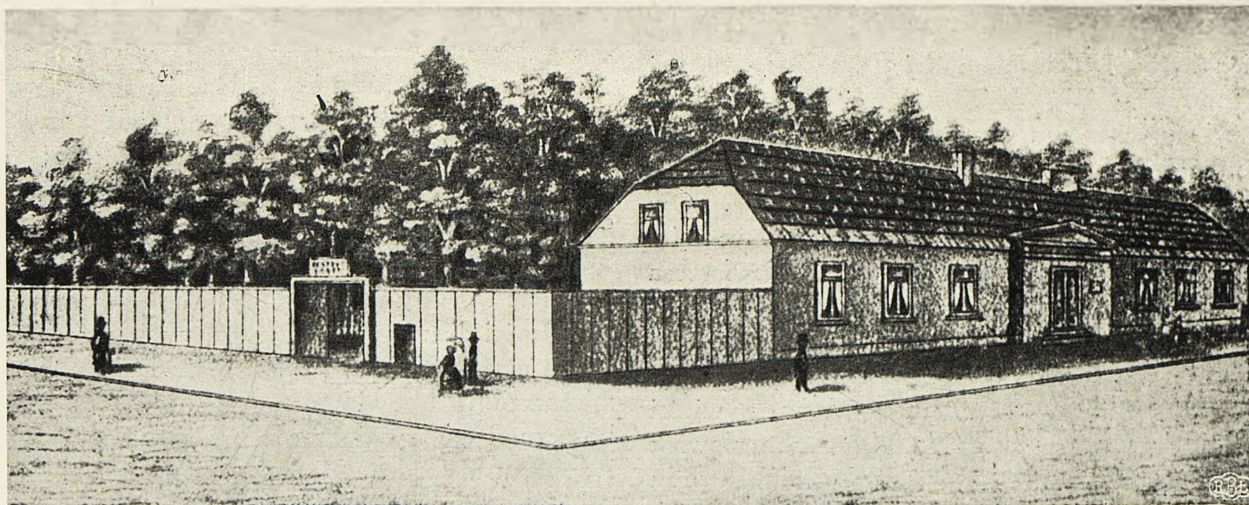
Roczne mają się odbywać dwa razy przez cztery dni w dowolnym czasie, bez przeszkód jednak innym miastom i miasteczkom okolicznym. Pozwalamy wszystkim jakiegokolwiek są stanu przychodzić na te jarmarki z jakimikolwiek towarami i rzeczami, takowe sprzedawać, kupować lub zamieniać bez żadnych przeszkód ze strony naszych urzędników.

Przykazujemy wkońcu wszystkim Państwa Naszego starostom, aby te Nasze przywileje, miastu omawianemu nadane, szanowali, do których Naszą pieczęć przytwierdzamy.

Dan w Kole w czasie sejmu, zebranego na wyprawę przeciwko Krzyżakom, nazajutrz po Św. Janie Chrzcicielu roku pańskiego 1433".

Posiadamy też znamienny dokument, rzucający światło na ówczesne stosunki. Wśród aktów kapituły włocławskiej, w 96 tomie, zatytułowanym: „Privilegia super bona episcopalia", znalazł proboszcz Muznerowski przywilej biskupa Uchańskiego z dnia 12 października 1561 r., który w przekładzie polskim z łacińskiego oryginału brzmi:

„Jakób Uchański, z Bożej łaski biskup włocławski i pomorski, niniejszem oznajmiamy wszystkim obecnym i przyszłym, którzy



Ulica Piotrkowska i róg Przejazd w roku 1858



Dworek Gehliga przy ul. Zachodniej

gdzie mieścił się pierwszy sklep kolonjalny i cukiernia w Łodzi

niniejszem pismem będą się interesować, że, mając na celu dobro i powiększenie dóbr naszych biskupich, stanowimy co następuje: ponieważ mieszkańcy miasteczka naszego, Lodzia, przez naszych poprzedników ufun= dowanego i erygowanego, płacą mniejsze czynsze, niż mieszkańcy innych naszych miast biskupich, a z przywilejów ich, przez naszych poprzedników im udzielanych, niewiele do= wiedzieć się możemy o ich dochodach; aby więc tak my, jako i nasi czcigodni następcy mogli od tychże mieszczan mieć pewne do= chody bez nadmiernego ich obciążania, na co się już niejednokrotnie przed nami i Ka= pitułą użalali, stanowimy, by odtąd z 28 łanów, które w miasteczku posiadają, oddawali z każ= dego po 8 groszy i po 2 kapłony. Nadto ponieważ są tam pewne role, zwane Przy= miarkami długiemi i nowemi, z których dotąd nic nie placili, odtąd mają z nich płacić po 2 grosze; nadto z każdego domu mają dawać po 2 grosze i po jednym kapłonie, a dawniej oddawali po dwa kapłony. Z 28 placów przy rolach i z tych, co są przy stawie — również po 2 grosze; warzący piwo po 12 groszy; sprzedający zaś po 3 grosze. Rze= mieślnicy, jako to: kowale, stolarze, koło= dzieje, szewcy i inni, którzy na mocy naszego zezwolenia korzystają z lasów naszych, mają płacić po 12 groszy. Czynsz ten mają od= dawać co rok na św. Marcin. Pozwalamy nadto wszystkim mieszkańcom rąbać drzewo na opał w naszych lasach, jak również i na budynki, z warunkiem, by szkód nie robili i zezwolenie nasze uzyskali.

Pragnąc, by mieszczanie mogli się dorabiać i bogacić, dodajemy im pole Wzdżarowe zwane Piaszczyste, położone na południe od miasteczka, a sąsiadujące ze wsią Rokicie.

Dla ich własnej wygody i korzyści pozwa= łamy im pobudować ratusz razem z jatkami, o ile uznają to za potrzebne; ratusz ten, który, jak mniemamy, będzie pobudowany, zwalniamy na wieczne czasy od wszelkich czynszów, opłat i danin. Pozwalamy też w tych jatkach na wszelki handel, przede= wszystkiem mleć sól, sprzedawać wszelkie rupiecie, garnki, świece, obuwie i wszelkie inne rzeczy i to bez żadnej opłaty jarmarcznej.

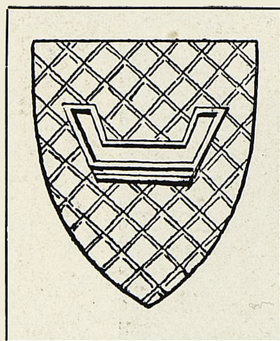
Każdy rzeźnik obowiązany nam i na= szym następcom oddawać na św. Marcin kamień łoju nietopionego, jak to zresztą i dawniej oddawali.

Przywilej niniejszy potwierdzamy naszą i kapituły naszej pieczęcią".

Z rozlicznych jeszcze przywilei, nadań i do= kumentów miasta Łodzi, nie wiele zresztą się uchowało do naszych czasów. Kilka tych aktów, które stulecia przetrwały, zachowane były w archi= wum miejskiem, niestety, zaginęły w czasie po= wstania w 1830 r.

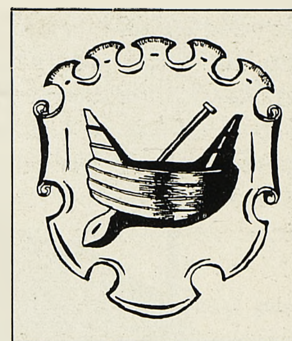
Z ważniejszych dochowanych do dnia dzisiej= szego w archiwum miejskiem znajduje się jeszcze dokument z 1792 r., który tu podajemy in extenso:

„Roku 1792, dnia 28 miesiąca kwietnia Oby= watele miasteczka Łodzi, zwanego Duchowne,



Herb Łodzia
z roku 1373

do Biskupstwa Kujawskiego należące, czyniąc swe tłumaczenie, oświadcza, że zawsze i zupełnie gotowe swej Zwierzchności z mocy praw i przywilejów podlegać. Ale gdy się znajduje przez różnych czasów przypadki, odmiany w kraju, rewolucje, inkursje i ognie ogołoconym z Lokacyjnego miasteczka swego przywileje, równie jak innych może wyjednanych przywilejów, a sam tylko Jaśnie Wielmożnego Imci Księdza Jakóba Uchańskiego, wówczas Biskupa Kujawskiego i Pomorskiego sobie dany, i ten za twierdzę swego Urządzenia i całości być mieni i tym niby Tarczą swoje Jestestwo obywatelskie zasłaniać i utwierdzać pragnie. Ciąg jednak dawnych lat tego przywileju różnego czasu, różnych osób mogłoby różne tłumaczenie rzeczonego przywileju sprowadzić, a osobie Obywatelom uciążenie uczynić. Przeto w tym czasie światła i przezorności, raz na zawsze chce różne tłumaczenie oddalić, i wszelkiemu zatrudnieniu nadal złożyć tamę i wszelki pozór do podciągania siebie w uciążenie odjąć i tym przeto końcem ocalając swoją spokojność i majątek swój zabezpieczając, przy twierdzy rzeczonego przywileju za daniny wszelkie z łanów, przymiarków, ogrodów, folwarków, łój, drób i pobór od rzemieślników zsypkę od sztuki, owo zgoła za wszystkie opłaty tak co do gruntów, jako też rzemieślników, piwowarów i szynków i z nich użytki z miasteczka rzeczonego Łodzi, — rok rocznie opłatę do Skarbu Jaśnie Wielmożnego Imci Księdza Biskupa i Następców Jego Złpol: 450, piszę Zło: pol: czterysta pięćdziesiąt, na Świętego Marcina B. K. oddać rozmyślnie i samowolnie przyrzekają i obowiązują się. My przeto zesłani i umocowani od Jaśnie Wielmożnego Imci Księdza Józefa Rybińskiego Biskupa Kujawskiego i Pomorskiego rzeczoną daninę od Obywateli Łódzkich przyjmując i akceptując i za dopełnienie danin w przywileju rzeczonym Jaśnie Wielmożn. Uchańskiego umieszczonym czyli Equivalentium uznając i przyznając, wszystkie dotąd opłacone daniny za niebyłe poczytujemy, a na potym (prócz dobrowolnie do zapłacenia od Obywatelów Łódzkich w Złp: 450) do Skarbu przyjętych i obowiązanych od wszystkich poborów, danin opłatów, datków, tak w zbożu jako drobiu innych rzeczy, jakiegokolwiek gatunku uwalniamy od wszelkiej uciążliwości zabezpieczony, same tylko Złp: 450 dico czterysta pięćdziesiąt za całkowity, ogólny, powszechny Czynsz przyjmujemy, do zapłacenia rzetelnie na Święto Świętego Marcina Biskupa i Męczennika rok rocznie obowiązujemy i na to się własnemi podpisujemy rękami".



Herb m. Łodzi
dzisiejszy

Datt. w Łodzi Miasteczku 1792 roku 28 kwietnia.

(L. S.) (podpisano) X. Ludwik Kuczkowski.
K. Z. K. Kommissarz Delegowany.

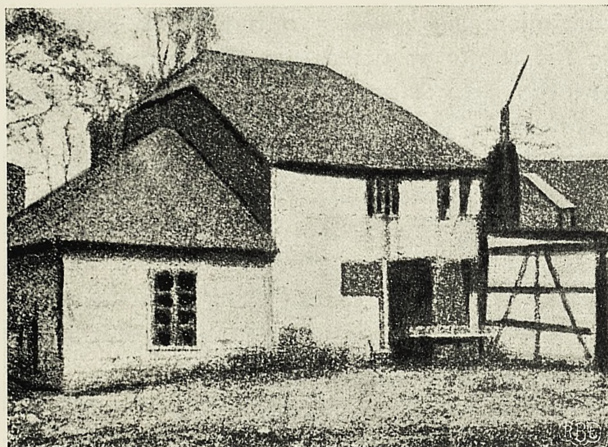
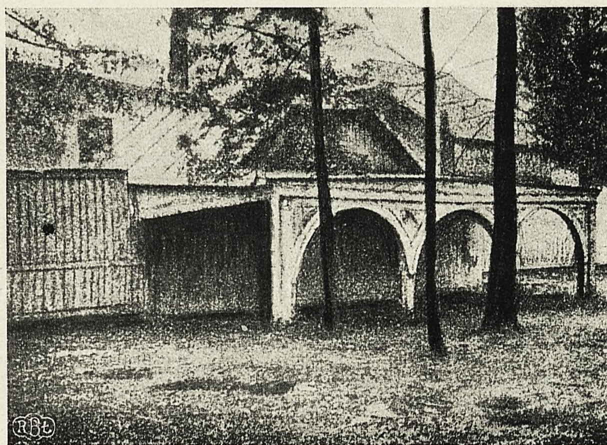
Kazimierz Kuszewicz, dóbr Jaśnie Wielmożnego Biskupa Kujawskiego i Pomorskiego Kommissarz Jeneralny Delegowany.

Ksiądz Jendrzej Mejer przytomny.
Józef Zaniewski, Possesor dzierżawca.
Jan Pełzowski, Burmistrz ręką trzymaną
Jan Retwiński, Pisarz, Imieniem całości Miasta, ręką własną.

Ostrzega sobie jeszcze Obywatelstwo miasta Łodzi, aby im wolno było podług praw sobie służących place zabudowywać, co Im się pozwala, drzewa jednak użycie na budowle z wiedzą Rządzących, Imieniem Jaśnie Wielmożnego Biskupa Kujawskiego być ma.

(podpisano) Ksiądz Kuczkowski c. c. c.



Pierwszy teatr w Paradyżu, gdzie grywała H. Modrzejewska

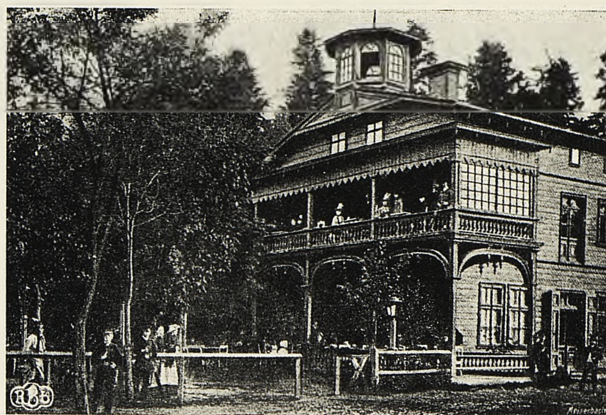
ŻYCIE TOWARZYSKIE

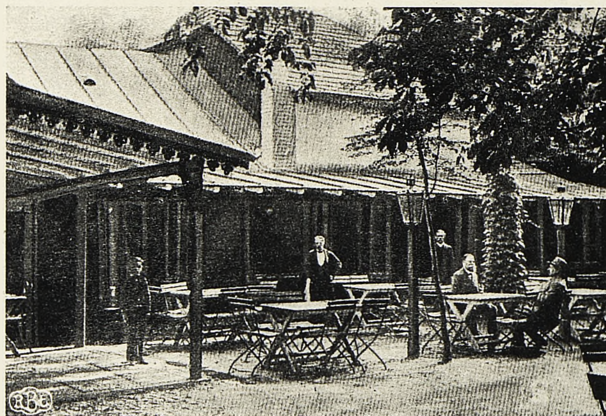
Życie towarzysko-kulturalne Łodzi w latach 1827—1840 było żadne. Wytężona praca z jednej, krystalizowanie się napływowej inteligencji z drugiej strony, zróżniczkowanej nadto kastowością, uposażeniem, narodowością niezasymilowanej ani z sobą, ani z krajem, obojętnej zresztą na wszystko co poza ramy twardej codziennej pracy i zdobywania cal za calem obcego terenu przemysłu, wykraczało. Życie to było istotnie życiem kolonistów, zamkniętych w czterech ścianach rodziny i domowego ogniska.

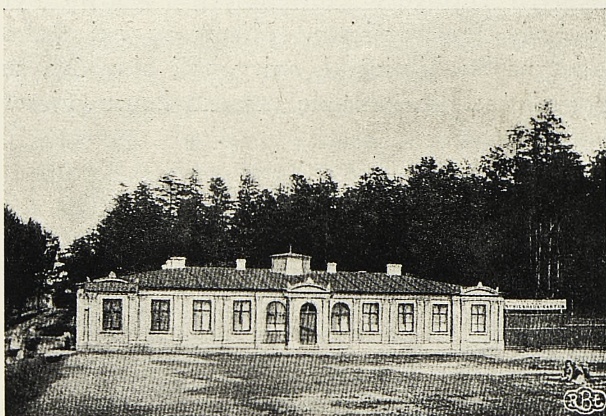
Życie polskie nurtowały później, walka z najeźdźcą i tragedja bytu narodowego, życie niemców oparte było na scalaniu własnej kolonji w jedność i zdobywanie majątku. Żydzi wreszcie ujmowali zadania merkantylnie i poza domem i gminą własną niczem się nie interesowali. Stąd też Łódź nie miała nigdy szczęścia do żadnych zdobyczy kulturalnych i jałowa była w życiu towarzyskiem. Niema tu ani teatru, ani gmachu bibljoteki, ani galerji obrazów, ani pomników, nic, poza dorywczem koczowniczem



Park Angielski czyli t. zw. „Kwela"









1) Leśniczówka t. zw. Waldschlösschen 2) Paradyż 3) Dom Tow. Strzeleckiego 4) Zielone Świątki tak zw. „Fajka"

zmaganiem się z walką o byt. Tak samo nic się nie robiło w dziedzinie upiększenia miasta, i trudno było ze względu na poziom kulturalny szerokich warstw mieszkańców Łodzi. Gdy w 1860 r., np. prezydent miasta Traeger polecił obsadzić drzewkami ulicę Dziką, (później Mikołajewską, a obecnie Sienkiewicza), już po tygodniu wszystkie sadzonki były połamane i wycięte, ocalało jedno jedyne, jest to po dziś dzień stojąca brzoza przed domem gminy ewangelickiej około kościoła Św. Jana.

Życie towarzyskie i kulturalne Łodzi w latach późniejszych ogniskowało się w sferach niemieckich w stowarzyszeniach, cechach, związkach śpiewaczych, strzeleckich i t. p. Polacy uciskani przez carat, byli w stokroć gorszem położeniu, a szczupłe grono inteligencji w zdecydowanej i uciemiężonej mniejszości. Pierwszy teatr polski w Łodzi znaczą kroniki w 1854 roku pod dyrekcją Marji Rybickiej w Paradyżu. Wprawdzie już 1844 zjechał do Łodzi teatr polski niejakiego Marjanowicza, a w r. 1846 w zabudowaniach L. Geyera grał Pietrzykowski, lecz imprezy te po kilku przedstawieniach kończyły się. Dopiero trupa krakowska Pfeifra w 1857 r. zjechała na szereg przedstawień i cieszyła się zasłużonem powodzeniem, historję teatru w Łodzi dajemy zresztą na innem miejscu. Pierwszy park publiczny z inicjatywy Franciszka Potockiego zyskała Łódź w 1840 roku, był to znany Łodzianom ogród „Źródliska" z niemiecka „Kwelą" zwany. Tu w każdą niedzielę i święto odbywały się promenady i rewje strojów i tu ogniskowało się szersze życie, jakże odmienne od wielkomiejskiego gwaru dzisiejszych dni. Jedyna zrazu cukiernia i sklep towarów kolonjalnych W. Gehliga, nie gromadziła pięknych łodzianek ani rozgadanych kawiarnianych polityków, nie było to w modzie, a i lokal był za szczupły. Później znacznie, zyskała Łódź miejsca rozrywek jak Leśniczówkę t. zw. „Waldschlösschen", restauracja w ogrodzie „Paradyż". Ogród przy Zgr. Majstrów Tkackich, jak również t. zw. „Schützenhaus" czyli Stow. Strzeleckie (gdzie dziś Wodny Rynek). W wspomnianym też już parku Źródliska czyli w „Kweli", odbywała się rok rocznie w Zielone Świątki uroczystość strzelania i zabawa tak zw. „Fajka". Na tę zabawę śpieszyła cała Łódź ówczesna, rozliczne orkiestry, huśtawki, karuzele, widowiska i dziwowiska ściągały gawiedź całego miasta. Pozatem w święta i w niedziele cała ludność wylegała za rogatki w polu, spragniona ruchu i powietrza. Rozliczne piwiarnie na drodze do Zgierza, Pabjanic i t. d., z charakterystycznemi ogródkami, piwem, solankami,



Rodzina obywatelska w Łodzi w 1840 roku

i muzyką dawały ludności napływowej wypoczynek po całotygodniowej pracy. Były to miejsca rozrywek, gromadzące jednak głównie ludność niemiecką.

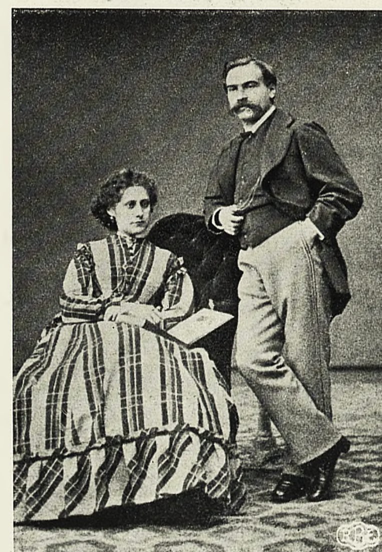
Żywszem echem w życiu polskiem w Łodzi ozwała się dopiero w 1880 roku w ślad za Warszawą i tu zorganizowana „Lutnia“ Tow. śpiewacze, które zogniskowało wśród swych sekcji i miłośników teatru amatorskiego, który grywał od czasu do czasu u Selina, urządzało zabawy, koncerty, przedstawienia i t. p. Później powstała „Lira“, która rokowała duże nadzieje, lecz przy nader szczupłej garstce inteligencji trudno było dwa Tow. śpiewacze o tych samych zadaniach i celach utrzymać, to też „Lira“ wkrótce zamilkła.

Wspomnieć tu należy o najstarszem polskiem Tow. śpiewaczem, założonem w 1869 roku t. j. o „Echu kościelnem“, które jednak z natury rzeczy w życiu towarzyskiem, zwłaszcza w epoce represji po powstaniowych, żadnego udziału nie przyjmowało.

Życie jednak biegło naprzód, Łódź rosła jak na drożdżach, przybywało ludzi, fabryk, rozwijał się handel. Ku radości mieszkańców, a zwłaszcza ożywieniu ruchu wieczornego Łódź w roku 1869 otrzymuje oświetlenie gazowe, trochę skąpe, ale zawsze np. od Rynku t. j. dzisiejszego Placu Wolności, do ulicy Pustej świeciło się od godziny 9 wieczorem do 11 (w noce bezksiężycowe) aż 70 latarni.

Niemniej na ówczesne czasy stanowiło to nielada sensację dla Łodzi. Coraz częściej też zaczęli przyjeżdżać goście z Warszawy, która wówczas nieporównanie większy wpływ wywierała na Łódź. Przemysłowcy łódzcy zaczęli też zdradzać pewne chęci urządzenia sobie pobytu przyjemniej i wykwintniej, na ulicy raz po raz zjawiać się poczęły eleganckie powoziki, landa, faetony, zaprzężone w rasowe, czystej krwi konie.

Obok dworków i chałup zaczęły wyrastać pałacyki, wille, ba, dwu i trzypiętrowe domy, gmachy fabryczne rozrastały się do całych kompleksów. Mimo wszystko jednak poza codzienną pracą i ogniskiem rodzinnem, życie kulturalno-towarzyskie w ówczesnej fabrycznej Łodzi przedstawiało się szaro i smutno. W tej dziedzinie nawet dziś, w dobie dancingów, jest dużo do zrobienia, mimo jakże odmiennych warunków.



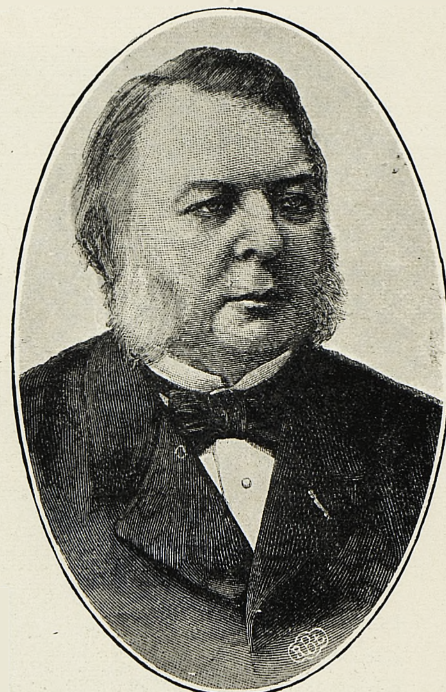
W 1859 roku



Ludwik Geyer



Ludwik Grohmann



Karol Scheibler

PIONIERZY PRZEMYSŁU ŁÓDZKIEGO



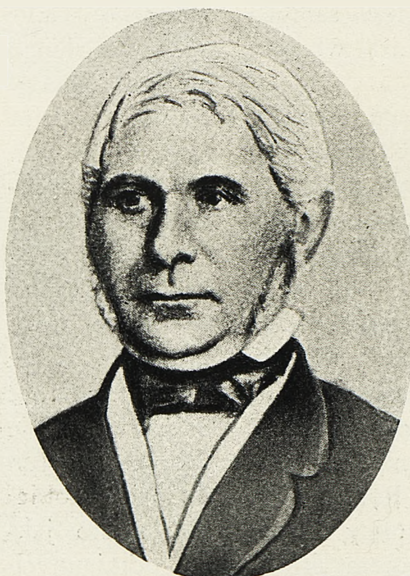
Karol Anstadt



E. Krusche



I. K. Poznański



A. W. Peters



Juljusz Heinzel



Fabryka Ramischa przed wojną w śródmieściu

Aleksander Bolesław Cyps

OBLICZE ŁODZI

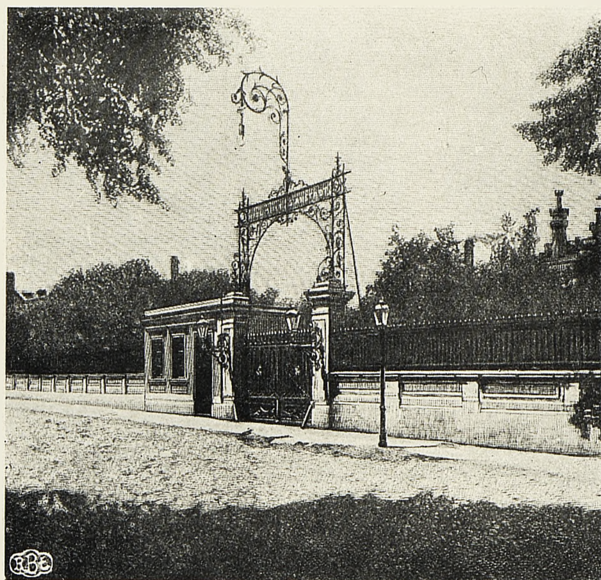
Chcąc być wiernym i dokładnym obserwatorem danego miasta, należy przystosować oko do zjawisk miejscowych i szukać tych sił, które złożyły się na obraz społeczny i kulturalny danego zbiorowiska, ponadto nie trzeba zapominać o tem, że szowinizm lokalny dyktuje tylko komplementy, ubliżające temu, kto pochlebia i — temu, kto tego słucha.

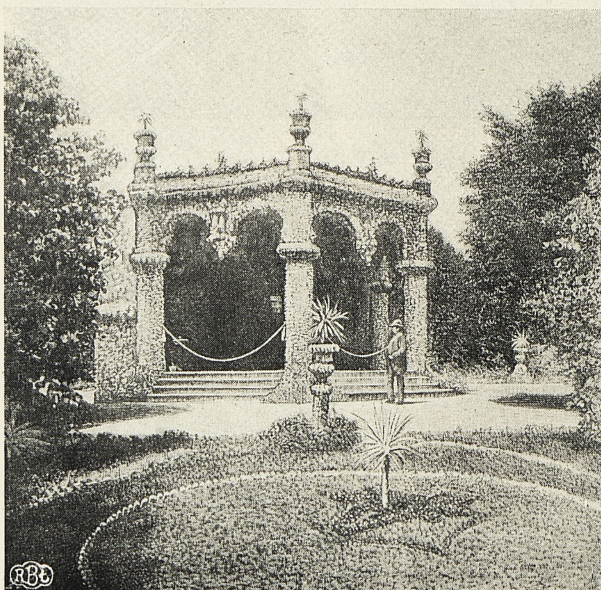
Tak przedstawia się rzecz z artykułami poświęconemi Łodzi. Służą danej klasie społecznej, padają na kolana albo przed Lewiatanem, albo przed rozumnemi maszynami do liczenia, albo przed ciemną masą niemych gromad roboczych, wiedzionych na łańcuchu solidarności w demagogji, głoszącej z automatyzmem byka hiszpańskiego, tresowanego do publicznych wystąpień w cyrku — pamiętajcie o psychologji tłumu, o żołądku głodnym, boć to podstawą jest kulturalną „masy pracującej"! Wobec innych miast mają owe sprawozdania łódzkie inne oblicze. Nie chcą wydać się prowincjonalnemi, więc pomniejszają swoje miasto i swych ludzi, tem samem, mierząc Łódź miarą niewłaściwą. W mieście kominów i maszyn do pisania oraz sumowania





Domy fabryczne i robotnicze







Helenów

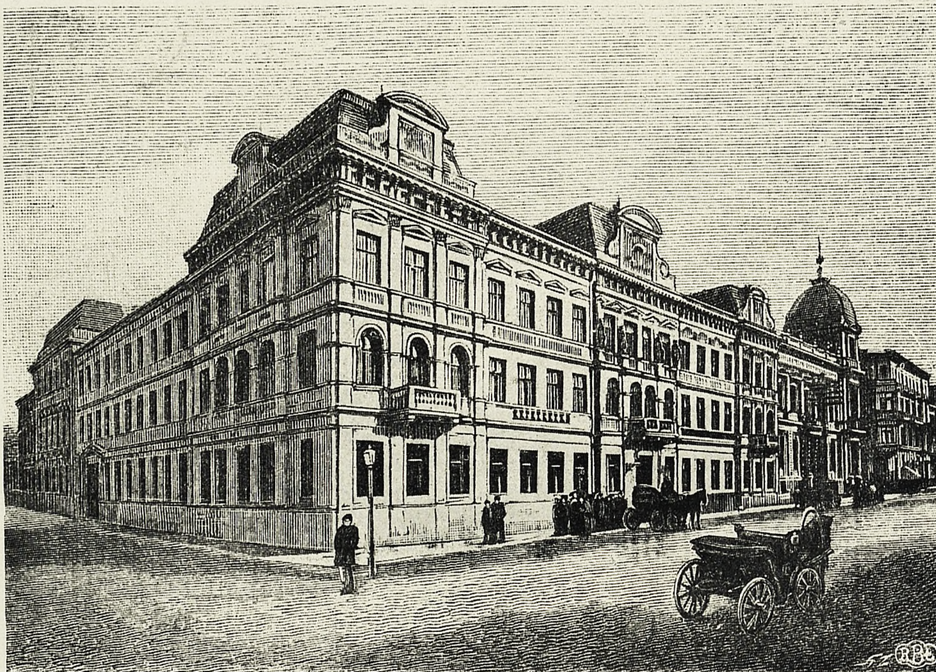
cyfr skarżą się na brak literatów, malarzy, rzeźbiarzy, muzyków, historyków sztuki, na brak pomników, uniwersyteckich zbiorów bibljoteczno-muzealnych.

Znamy przysłowie: krawiec kraje jak mu sukna staje.

Stąd wniosek, że dane miasto, jako ciało społeczne i ciało żyjące nie może służyć jedynie hasłu „całość dla części" (w tym wypadku Łódź dla potrzeb estetycznych), ale część dla całości. Gdy mowa o ciele społecznem i żyjącem, mamy na myśli żywy organizm społeczny, złożony z jednostek zależnych od siebie, skrępowanych niemal biologicznie przez związek krwi przemysłowo-handlowej. Maszyna pracy i zarobku sprzęgła masę ludzką nicią wspólnych interesów. Tego nie chciał czy nie mógł zaobserwować Władysław Reymont w „Ziemi obiecanej". Stąd pokutująca zła opinja o tem mieście pracy. Prawda, pisał to nie socjolog, ani psycholog masy, ale artysta, widzący czarną plamę, mrowiącego się, wielo- i obcojęzycznego tłumu. Po dziś dzień patrzymy w Polsce na „Ziemię obiecaną" przez okulary Reymonta — kolorysty, nie zaś socjologa i psychologa ciała społecznego i żyjącego, nie tylko poruszającego się jak procesja chłopów, ciągnących na Jasną Górę. To nie nowość, bo Lorentowicz zarzucił „Ziemi obiecanej" brak psychologizmu i pogłębienia socjologicznego, jedynie przelotny tam był rzut oka na miasto z okien wagonów pociągu pośpiesznego. Nadto, Reymonta oko kształtowało się na wsi, stąd przekonanie, że miasto jest zaduchem, zbiorowiskiem grzechu i niemoralności, roztrzęsionych nerwów i niesamowitych licytacyj „ile mi dasz" lub „ile zarobię"?

Innemi słowy, czas już, byśmy zarzucili metodę patrzenia na Łódź okiem artysty, przerażonego w swej naiwności dziecka liczbą, towarem i cedułką bankowo-giełdową, bo to dobre jest dla romantycznego idealisty, rozczulonego jękiem zadymionych chłopiąt i kobiet w murach fabryki. Rozczulała się Konopnicka już tem w nowelkach „Dym" i „Miłosierdzie gminy".

Tymczasem ciało społeczne organizmu wielkofabrycznego nie jest polipem i nie jest Lewiatanem. Polipem — dlatego, że Łódź nie jest kolonją zwierzęcą, w której jednostki są złączone „fizycznie", choć fizjologicznie żyją niezależnie. Odwrotnie, ten olbrzymi organizm różni się od innych żyjątek zbiorowych tem, że każde stworzonko „czuje" swoją własną współpracę. Jestestwo dane może nawet powstrzymać się od tej pracy, jeżeli współpraca okaże się bezpośrednią,



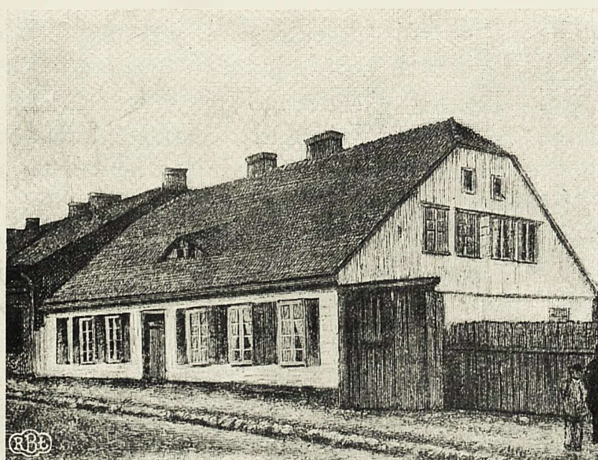
Dawny „Grand Hotel“

a szkodliwą. Mam na myśli bankructwo lub strajk (włoski czy powszechny).

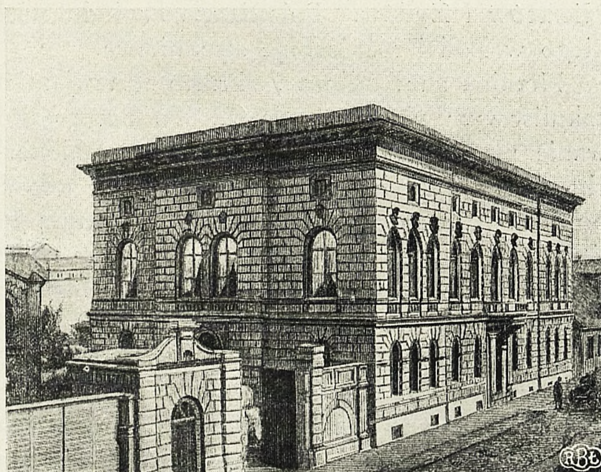
Natomiast Łódź wykazuje solidarność i współżycie społeczne. Dlatego od „polipa“ różni tę masę ludzkiego mrowia indywidualny składnik społeczeństwa zazwyczaj samodzielny. Raczej mrówki pracy i zarobku są wolne, niezależne w życiu rodzinnem i towarzyskiem, nie przestając być organem wielkiego jestestwa t. j. Ludzkości. Mam na myśli rasę ludzką, splot tradycji i zwyczajów, może i ideałów kulturalnych.

Płytkie jest też określenie, że Łódź jest Lewiatanem. Nie jest tam twór sztucznego człowieka, człowieka maszyny i sztucznej duszy. Nie jest kapitalizm wielkiem, niesamowicie niezgrabnem zwierzęciem, bo wzrost każdy jest zrozumiałem zjawiskiem, jest proces zcalania się w pewnych okresach, a skoro tak, czyż to narastanie jest martwe? Są siły z zewnątrz idące, które regulują nadmiar. Mówi się powszechnie, że kapitał łódzki skurczył się, zbiedniał, włożył moc gotówki w uruchomienie zniszczonych maszyn, zdewaluował się wreszcie.

Podział pracy zwłaszcza w Łodzi uderza wprost. Społeczeństwo jest zróżniczkowane, rozproszone na klasy i koterje, a nie zwarte, gdzież mowa o „bezkształtnej“ masie? Mamy hurtowników i detalistów, inżynierów i robotników, i tu odcienia i stopnie, rangi i płace, kwalifikacje i aspiracje.



Domek fabr. Biedermana w r. 1835



Pałacyk fabr. Biedermana w r. 1859



Ulica Moniuszki dawniejszy Pasaż Meyera

Patrzmy na Łódź teraz z innego boku, z innej strony. Są magnaci pieniężni, wyrywający sobie rząd dusz i królestwa bawełny. Są tam obozy w cichej, konkurencyjnej, cennikowej walce. Są grupy i towarzystwa wyznaniowe, religijno-kulturalne. Są lokale i kluby oświatowe (bezwyznaniowe lub wyznaniowe). Są sale kinowe, sale do tańców, sportsmeni i t. d. Nawet przyzwoici i t. zw. nieprzyzwoici. Różnorodność mówiąca, że Łódź różniczkuje ludzi tego samego obozu. Ta sama jednostka może być członkiem różnych związków, zbiorowości czy grup. Pewne interesy jednego człowieka wchodzą w konflikt z członkami innej grupy. Są przeto konflikty rozumowe i moralne. Tak bywa u Polaków, Niemców i Żydów. Polonizacja kapitału wielkiego w Łodzi różniczkuje stronnictwa.

Nomina sunt odiosa... Przeto zostawiam to zakulisowym plotkom miasta. To rozproszkowanie ma źródła w elementarnych znamionach charakteru danych grup (skłonność lub odporność wywołana dobrobytem lub konjunkturą polityczną), w elemencie społecznym, który nawet czuły jest na wzruszenia i uczucia czy instynkt zwracania się do przedmiotów (giełda), osób (trybunów stronnictw), wzory postępowania (sfery towarzyskie). Dużo obserwacji dają zabawy publiczne, pewne rodzaje sztuk scenicznych, maskarady karnawałowe, koncerty ogródkowe i t. d.

Tu przystępujemy do analizy Łodzi z punktu psychologicznego. Dzienniki i kino wychowują tłum w Łodzi, który zdaje się być zwartą masą, razem biorąc to ludzie chowani w zabobonie kasty czy sekty. Nastawieni przez sytuację daną jednogłośnie mówią jak mechanizm naciśnięty guzikiem. Stąd ta opinja, która wiele znaczy. Opinja, która dla alarmów jest wszystkiem.

Wiadomo, że na całym świecie drogi handlowe torowali w różnych krajach obcy przybysze. Znana jest rola Włochów w wiekach średnich w Anglji czy Francji, wielki przemysł jedwabniczy. Kupcy dostarczali surowca do przeróbki rzemieślnikowi, tem samem stawali się organizatorami produkcji. Nie mogła więc Łódź jako osada fabryczna być wyjątkiem. Łódź stworzyli nie Polacy, ale Niemcy, przybysze, emigranci. Stworzyli tu swoją kolonję. Tam, gdzie jest ekonomiczny rozwój społeczeństwa, jest przenoszenie się większych grup z jednego kraju do drugiego. Psychologja obcego przybysza kładzie piętno na przemysł i osadę. Dowiedzione, że obcy przybysz ma silnie rozwinięty zmysł kapitalistyczny. Niezależny jest ten zmysł od otoczenia danego dawniej osiadłych czy zamieszkałych stale mieszkańców. Obcy przybysz nie widzi i nie dba o to, że jego praca może być w konflikcie z daną miejscową religją, narodowością, etyką społeczną. To nie jest tylko cechą Żydów, ale i chrześcijan (np. Francuzów w Louizjanie w XIX wieku). Anglicy także „tak" pracowali w Stanach Nowej Anglji. Wniosek, że zmiana miejsca czyli wędrówka powoduje zawsze ducha



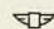
Ulica Piotrkowska w roku 1897

kapitalistycznego, rodzi go. Przybysz traci poczucie rzeczywistości na obcym gruncie. Jego ojczyzna i religja zabrana z ziemi, którą opuścił, gubi się w kapitaliźmie i chęciach zysku. Jest tu asymilacja do środków służących zyskowi. Praca ta nie jest dla dziś, ale z myślą o miljonach, które identyfikują się z obrazem przyszłości. Jest tam proces inny od normalnego życia z historją. Przeszłości nie masz, jest przyszłość. Taki kolonista ma praktyczny pogląd na obce mu otoczenie. To co monumentalne musi być praktyczne, nie ładne. To co malownicze musi być praktyczne (rzeka), źródłem zysku. Stąd źródło czemu Łódź nie ma pomników i stylu artystycznego, ulic krętych, zakątków czarujących, afiszy pięknych, ogłoszeń wykwintnych. Krzykliwość tam jest najlepszą reklamą. Nowy przybysz nie kieruje się rozwagą starych firm, ryzyko jest mu bogiem. Szuka nowości. To tylko dla niego schodki do wyższych pięter. Nie chce poprzestać na jednem. Mówiąc dzisiejszym żargonem: amerykanizuje się. Cóż dopiero ludzie, którzy przebyli ocean, by szukać ziemi obiecanej. Nic on nie ma do stracenia. Spekulacja go nie przeraża, bo on jest przechodniem bez przeszłości. On się oderwał, wisi w powietrzu między miljonami przyszłości a ryzykiem i spekulacją teraźniejszości. Gorączka rodzi nowość i zmienność zachcianek. Jest on szybszy od ruchu uczuć i myśli. Drga życiem jak wąż nadepnięty nogą Molocha. Ustawiczne krążenie, ustawiczny ruch, komunikacja bez wytchnienia. Technika, wynalazki mają tu swe królowanie, pokup.

Znów stąd nowy wniosek, że Łódź jest tak dobrze jak bez tradycji. Obcy przybysz nie może oprzeć się na pewności, że to co ma, to mu już wystarczy. Szuka wielkich placów, buduje wielkie gmachy, reguluje techniczne udogodnienia — wciąż jest w stanie rozbudowy. Taką jest też Łódź. Nie jest zamkniętą w tradycji oazą wielkich cieni. Jest ona dla każdego terenem rozbudowy. Gdy źle — emigracja... Dalej... dalej... za oceany.

Lecz nie jest tak źle. Dobór naturalny ma tu głos. Szuka się ludzi do wyższych celów, ludzi zdolnych i pewnych. Czynnik etyczny segreguje fuszerkę od „solidnej“ materji, tandeta jest lekceważona, idzie jako środek pomocniczy, nim się pogardza. Stąd różnica między Niemcami a Żydami i animozja wzajemna.

Co się tyczy Żydów, są oni zazwyczaj pośrednikami między obcym kupcem, który sam nie wywozi swych towarów, a zagranicą lub starym mieszkańcem ziemi, mało ruchliwym, by trafić do Niemca, nowego przybysza. Jest Żyd wtenczas podwójnie obcym. Ale i musi być na wszystkie fronty ruchliwym, elastycznym, spekulować więcej i objektywnym. Przyjaźnić się może — to handel tego nie wymaga, raczej być bystrym a ostrożnym. Stąd też i jego pogląd na rzeczy widziany jest różnorodnie, nie prostolinijnie. Polak ma pogląd więcej idealistyczny, wszystko ma jednemu służyć i ojczyźnie.





Ogólny widok Łodzi w roku 1895

C. B. Aleksandrowicz

ŁÓDŹ — MIASTO DYMÓW

Powyższe uwagi w artyk. „Oblicze Łodzi" tyczyły się problemów, które wyrażają się w ogólnych cechach fizjognomji miasta jako osady przemysłowej. Poruszyliśmy pewne niesłuszne zarzuty, tyczące się Łodzi jako zbiorowiska i określiliśmy motywy, które osadzie nadają znamiona psychiczne gniazda przybyszów, aklimatyzujących lub zaklimatyzowanych. Ponadto, określiliśmy jeszcze cechy różniczkujące społeczeństwo łódzkie. Są to pewne filary, na których zbudowano ciężkie gmachy fabryczne o piętrzących się kominach. Dym ciemny, gęsty, duszący, unosząc się jak chmura nad miastem — jest symbolem warczącej i bezustannej walki o kapitał, o miljony i wyznacznikiem pracy ludzkiego mrowia w bluzie robotniczej. Dym, który zaciemnia horyzont, i dym, który odgradza od słońca i słonecznej, beztroskiej przyszłości ludzi bezwzględnie honorowych i krystaliczno-czystych w ludzkich pragnieniach, dym, który gryzie i dusi ludzi wzajemnej konkurencji, gdzie nie masz miejsca na przykazanie „o miłości bliźniego".

Zejdźmy ze szczytu komina fabrycznego na bruk ulicy, do ogrodów, do domów prywatnych, do instytucyj kulturalnych.

Życie ulicyześrodkowuje się na Piotrkowskiej. Szeregi taksówek prują powietrze, unosząc z sobą spieszących się do fabryk dyrektorów większych i mniejszych fabryk, adwokatów, spieszących do sali sądowej — ludzi pracy na wyższych stanowiskach, dla których „czas to pieniądz". Ci ludzie, pogrążeni w własnych myślach, obojętnie wodzą oczyma na ludzi, tłoczących się na chodnikach. Rzucą nerwowo okiem na zegar u wylotu ulicy Dzielnej, obecnie Narutowicza lub na bank, gdzie mają swoje lokaty, lub w okna wystawowe firmy bankrutującej. Bo przecież to nie jest spacerowa przejażdżka, ale inna forma pośpiesznego myślenia w taksówce. Chłopak, wykrzykujący na cały głos „Ku — ryjerek" lub „Repu — blika" podbiega do znanej twarzy „pana dygnitarza" czy „grubej ryby" i wrzuca pospiesznie do taksówki numer dziennika z ukłonami przyjaznemi. Dygnitarz rzuca okiem na dziennik, patrzy na dział giełdowy i zwija gazetę w trąbkę, by dalej myśleć o swoich sprawach. Szofer mija przecznice ulic, podrzuca taksówka gościa, maszyna wymija ludzi i tramwaj, by szybko spełnić rozkazy służbisty zawodowego z zegarkiem w ręku.

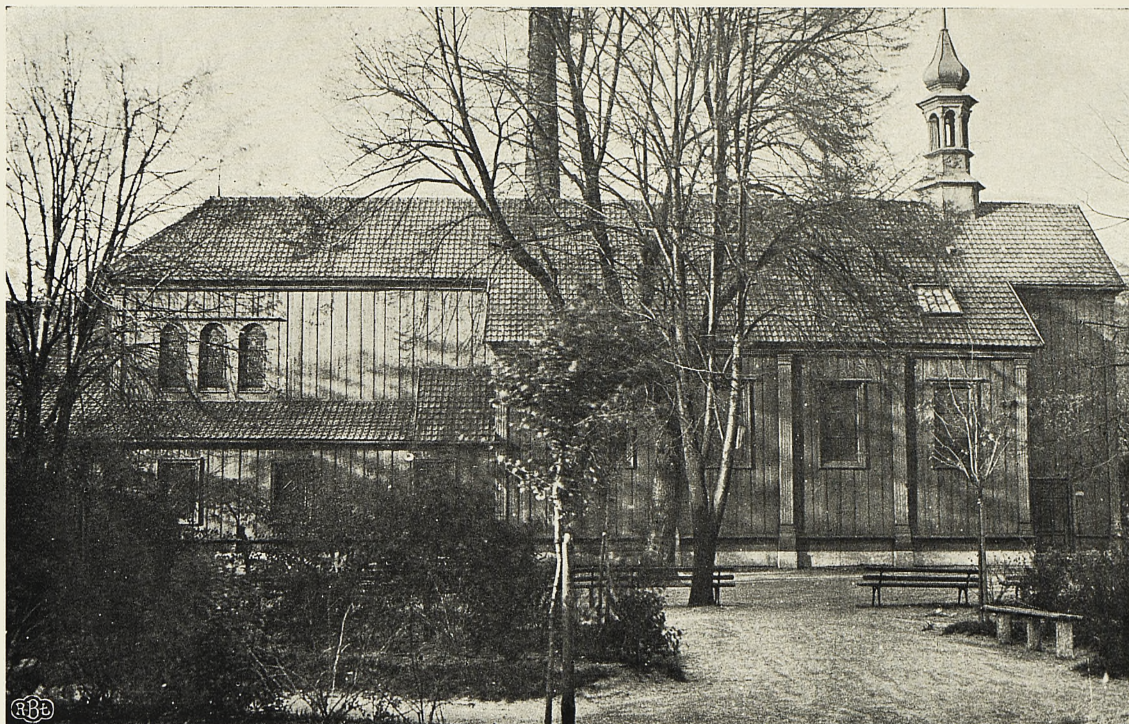
Tramwajowe wozy zbierają gromadki pasażerów i dudnią po szynach na zakrętach ulic, wyrzucają z siebie jednych, aby innych wchłonąć. A wszystko nerwowe, obliczające czas na minuty, zajęte przelotną myślą szczęśliwego zajęcia zwolnionego miejsca, popychające się w tłumie pracowników, dusza „obowiązku" kołacze się w tych typach „stających do apelu" na odgłos dzwonka, zegara czy syreny. Zobaczysz tam blade twarzyczki dziewcząt sklepowych, pogarbionych i stetryczałych nauczycieli, wesołych i głośno rozprawiających o „dwójach" sztubaków, wylęknione, zaspane jeszcze, z kajecikami, notatkami, notesikami, ujrzysz urzędniczki biur, skromnie



Typowe podwórze fabryczne

przysiadujące wśród pasażerów. Widzisz je wiecznie czynne i zajęte kusą spódniczką, nie mogącą żadną miarą zakryć kolan. Te ruchy, gesty, miny, ukłony i komeraże potrąconych dają inny obraz zdenerwowania i biedoty, której nie stać na jazdę „samopas" wzdłuż ulicy. Tu typy zabijanego zwolna życia troską o byt bardzo skromny, lęk o to, by nie utracić posady wyżebranej „pokorą" i służbistością, obawa, by władzy się nie narazić i być „na miejscu". Ileż ten miejski tramwaj ponosi westchnień „byle prędzej", ile obrazów tego nerwowego rzutu na zegarek, ile zmechanizowanej woli. Proletarjat pracujący umysłowo!

A gdy się wejdzie w dzielnice czysto-fabryczne, gdzie wzdłuż ulic i uliczek stoją jak dwa szpalery wojsk, chroniących wejścia do fabrycznych labiryntów — dwa szeregi wysokich płotów, malowanych białą farbą, zdala pałacyki dyrektorów i właścicieli fabrycznych, a nad tą oazą cegły czerwonej osadzonej w zieleni drzew, sadzonych pedantycznie niemiecką ręką — wielkie, grube, odymione kominy. Obok wejścia bocznego, przy głównej bramie, widzi się gromady robotników, kontrolowanych przed wyjściem na zewnątrz, czy nie wynoszą skradzionych produktów. Widzi się długie twarze chudych robotników niemieckich, starannie, czysto ubranych, widzi się polskich „robociarzy" rozgadanych, nieco podnieconych, podrażnionych nerwami. Wśród jednych i drugich nędznie przyodziane dziewczyny i kobiety fabryczne. Nie jest ten widok miły. Nie można szczycić się zdrowiem tej warstwy, radością z życia, chęcią używania. Psychologja rozpaczy — wódka „siwucha". I nie przesadza Żeromski dając typy robociarza polsko-łódzkiego czy z Dąbrowy w czarnych barwach. Sen o chlebie jest i widzimy go, bez komedji



Kościołek N. M. P., dziś na ul. Ogrodowej pod wezwaniem Św. Józefa

demagogicznych wieców i konwulsji wściekłości, że — na świecie nie mają wszyscy ludzie równo — miljonów. Tak jest, zobaczy się i wyschnięte dłonie od pracy ciężkiej, na suchych kościach bluzy niebieskie i szare, brudne mankiety i chusty wełniane, figury rude, zżółkłe, zczerniałe, zadymione, zstrzępione, skóry kwasem przeżarte. Wszystko spotniałe od pracy, przykre swą krzyczącą biedą.

I tak mkną ci ludzie wzdłuż czerwonego muru, wzdłuż białych płotów, na ścieżki boczne trawą porosłe, na wieś już prawie — idą pochyleni z latarkami lub z blaszanką tylko. Suną gromadami, potem się jak cienie zwijają i wydłużają na zakrętach ulic, giną gdzieś za latarniami podmiejskiemi. Noc pokrywa wszystko, zdala tramwaje dają znać o sobie.

Tego obrazu łódzkiego przemysłu można pozazdrościć Łodzi. Tyle grozy, tyle mocy, tyle pracy. Bo nawet brzydota ma czar i piękno.

To element bardzo ważny z punktu narodowego, zapewniający polskość Łodzi. Ale i to element wielce niespokojny, walczący o byt i solidarnie idący. Jest tam siła, ale idąca na pięści, rewolucyjnie usposobiona, jednak drżąca o to, żeby nie utracić zajęcia i być — bezrobotnym.

Tak w locie ptaka przedstawia się Łódź jako miasto: ruchliwe, pracowite i robotniczo-fabryczne.

Sfery finansowe w Łodzi są trojakie: wielcy fabrykanci „królowie bawełny, wełny" i t. d. oraz firmy bankierskie, towarzystwa akcyjne. To nie mitry, nie korony hrabiowskie. Żyje się w braku arystokracji dobrze i usłużnie z wyższymi urzędnikami państwowymi, wojskowymi, miejskimi, duchownymi nawet. Łączą jednych z drugimi wspólne usługi, sprawy miłosierdzia (ochronki, krople mleka, T. K. Oświaty, dom kalek i in.). Każdy z panów proszony jest o składkę, o udział w towarzystwie dobroczyńców, sypnie hojnie raz i drugi. Nie idzie tu o kilkaset złotych, ale kilka tysięcy naturalnie! No i — l'utilité rapproche bientôt les distances. Skoro się wielkiego przemysłowca potrzebuje i prosi o zapomogę dla protegowanej przez tego kogoś instytucji czy rodziny, nie wypada zamknąć drzwi przed nosem takiemu bogaczowi ze strony nawet dygnitarza państwowego. Nikt mimo wzajemnych animozyj, małych szykan i drobnych plotek nie chce uchodzić za człowieka — źle wychowanego.

Średnio zamożni — to wyfraczeni bywalcy salonów i saloników. Młodzież, uważająca się za doborową, zwłaszcza skoligacona z „królami bawełny", ich adherenci. Tych ludzi wabi uprzejmość i machina tysiącznych umizgów.

Tym jednostkom zależy na długiej znajomości, a nie pokazie od święta. Chcą, naśladując wyższych, być dla nich przyciągającymi. Cały

nakład sił — tu się kieruje, by być obliczonym na efekt. Ta praca jest trudna. Mało mieć pieniądze, chyba strasznie duże sumy, trzeba tym mniejszym mieć i towarzyskie stanowisko.

Wymaga to dużego taktu, dobrej szkoły, talentu naśladowczego, zaparcia się swej natury, przeszłości, nawyków, często chamstwa kulturalnego. Pigułki połyka się pod krzyżem miłosierdzia — res sacra miser! Hojny dorobek płaci nędzy i biedzie ulicznej i — protegowanej familijnie lub klubowo.

Na tym koniku jadą sfery żydowskie. Sami nęcą przepychem i gastronomją, wielcy i mali zjadacze chleba wysiadują, będąc łącznikiem między zamkniętym w sobie szlachecko-urzędniczym, uprzywilejowanym światem a żydami polskimi. Te sfery bogate nie grzeszą brakiem wykształcenia, ale płytko, dorywczo dla pokazu. Sednem rzeczy — to umieć bawić gości. Panna chce być towarzysko filuterną, być miłą, młodzieniec chce być bywalcem, flirciarzem i znającym się — na koniach i sleepingach.

Ładna główka, gdy ma talencik — jest rozrywana, o nią bój toczą, mówią błyskotliwie, pływa się z nią po wierzchu tanich efektów naracyjnych.

Ale i tu często nudno, wiecznie wkoło Macieju. Nastrój, półcień, dreszcz, tryk, abażur myślowy i parawanik uczuciowy. Polowanie za błędną gwiazdą, marzonych miljonów przez krewnych w — Amsterdamie.

Gdy idzie o lekturę — jest dużo — ale nierozciętych jeszcze książek. Kellerman lub Erenburg! No, i Tuwim — bo to nasz. Ale cała tu moralność obraca się wokół konwenansu, dużo chłodu encyklopedycznego, wolterjanizmu i brandyzmu, dużo pretensji z europeizmu i artyzmu. Wszystko wyłazi jak przekład z polskiego, nie polskie dusze. Wskutek czego: zgrzyt, mezaljans, miłość z aryjskością, wyjście z siebie, łapanie się serc w chwytach erotyki między wierszami czasu i interesu.

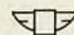
To co chropawe — to drapie, dlatego, że sam proces zbliżenia się ras jest przykry. Każdy naród zna te tarcia i zastrzeżenia w zbliżeniu. Zmiana religji kładzie kres, ale nie procesowi, ile kłopotom z jakiej kto jest parafji i jaką wodą oblany.

Wielkie miasto i mające przyszłość, jeżeli idzie o rynek rosyjski — stracony, przez spór chińsko-angielski — odzyskiwany.

Wielkie miasto przez budowle, zalewające czerwienią ulice, gdyby nie ta wada... kanalizacyjna. Oby rychło.

Dziwne miasto, gdzie w handlu się politykuje i boczy, a od tyłu się zna, od strony podwórza — gdy nikt nie widzi.

Dziwne miasto, bo ludzi ceni się dolarami i brylantami.





Ulica Piotrkowska w śródmieściu i dzisiaj w r. 1928

ŁÓDŹ

Który tu idziesz — nadzieję rzuć
Wesela, słońca, błękitu nieb!
Czarne tu dymy, i czarny chleb,
Który tu idziesz — nadzieję rzuć
to Łódź!

— — — — — — — —

Posępny, czujny, spowity w strach
Z oparów nocy — świt się podrywa
Wznosi się słońca, rwąc mroków łach,
Na horyzoncie, krwawa pokrywa.

Wstaje kominów ponury las.
Upiornie w rannych mgieł tkwi tumanie.
W zaułkach przywarł jak złodziej — czas,
I na pieniądza czeka wołanie. —

Zalękła cisza zstygła u bram,
Ktoś na coś czyha... coś ma się stać. —
Za gardło śpiących — chwyta — głód cham!
Skowyty fabryk — poczęły grać!

Wkrąg rżą syreny, jak stado wiedźm,
Siekących biczem grzbiet pochylony,
Do pracy! — za chleb, byt, — groszy miedź!
— — — — — — — — —
Łódź — Ranek słońcem wstał zróżowiony. —
— — — — — — — — —

Szept furtek, bram, zagadał próg,
Szybkie, rwane, rozstukane...
Głodne, zziębłe, wpółodziane,
Pędzą kroki setek nóg. —

Coś trzepoce się, coś płacze...
Gwizd fabryczny dławi krtań,
Ktoś, gdzieś, — chciałby żyć inaczej...
Życie rwie z serc łzawą dań.

Warczy motor, drżą maszyny,
Szarpiąc przędzę jak złe psy.
Dławią dymem się kominy,
Rozwiewając pyłem sny. —

Niema złudzeń, niema słońca
W kłębowisku wełny, przędz,
Niema skąd słać ducha — gońca,
Ponad znój codziennych nędz...

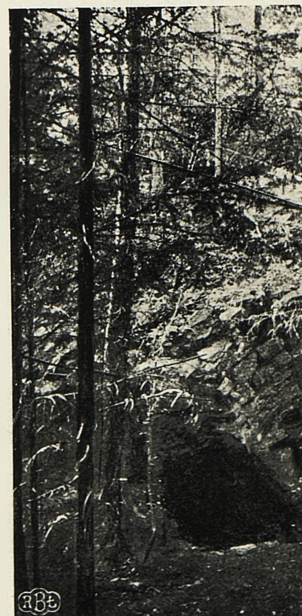
I tak dzień za dniem ulata,
W szkliwie szyb fabrycznych sal,
Stygną chore tęsknot lata,
Przysypane kurzem — w żal. —

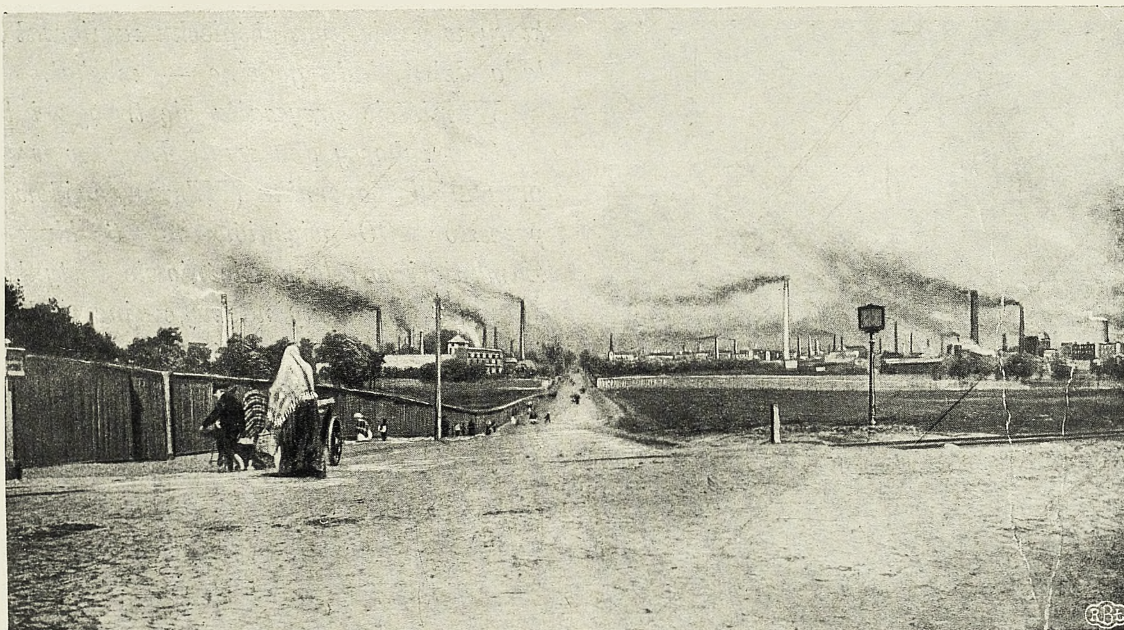
Kędyś kwietne są równiny,
Kędyś światy pełne złud,
Kędyś gdzieś... brzask czarem inny...
Życie wiosną — piosnką trud! —

Który tu idziesz — nadzieję rzuć
Wesela, słońca, błękitu nieb!
Czarne tu dymy i czarny chleb
Który tu idziesz — nadzieję rzuć
to Łódź!









Łódź w roku 1914 z szosy Pabjanickiej

WOJNA

Okres wojny światowej w życiu Łodzi wstrząsnął murami miasta, spłynął ogniem i żelazem, by po kataklizmie dziejowym, zamkniętym jak klamrą, kilkakrotnem zmaganiem, okupacją, nędzą rekwizycji, bezpośrednio niemal w samem mieście toczonemi bitwami, ocknąć się do nowego życia w wolnej i niepodległej Polsce.

W jakże odmiennych warunkach znalazła się Łódź. Jak zmieniło się wszystko, jak niemal na nowo stanęło miasto u progów poczynań twórczych, i z jaką energją wzięto się do pracy!

Zniszczone fabryki, wywiezione maszyny, rozgrabione przez okupację zapasy towarów, brak rynków zbytu, zubożała ludność, słowem zniszczone wszystko, co stanowiło podstawy przemysłu i bogaty dorobek naszego miasta.

Ale Łódź to twarde miasto, nie lęka się trudów, nie zraża przeciwnościami. — Niema maszyn — to będą! Niema towarów — to się je zrobi, brak starych rynków zbytu — stworzy się nowe!

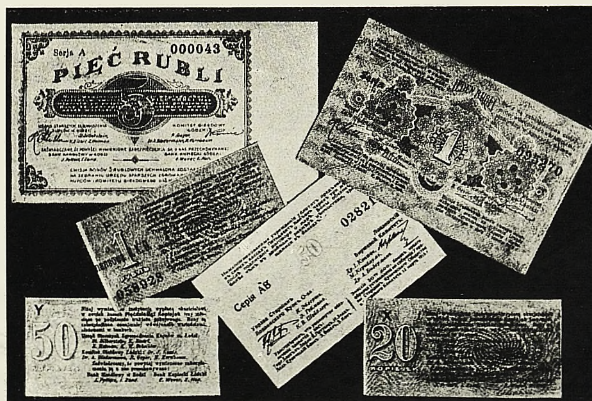
I zawrzała gorączkowa praca u podstaw z rozmachem, energją i przedsiębiorczością, na jakie tylko Łódź w dziedzinie pracy zdobyć się może.

Wojna bolszewicka w r. 1920. — Inflacja — zastój — wszystko to, wstrząsy, nie zdolne wstrzymać rozpędowego koła twórczej pracy Łodzi.

Sierpień 1914 roku gromem uderzył w rozpędzone koła maszyn. Wojna! Coś co się zdawało nieprawdopodobnem, czego nikt nie umiał objąć ni pojąć w całej grozie — stało się!

Ale to przecież miało tak krótko trwać! Pamiętamy wszyscy!

Miesiąc, sześć tygodni najwyżej. — Ciekawość wyległa na ulice miasta. Aż przyszły wieści z Kalisza!



Bony wojenne zastępujące monetę obiegową



Pierwszy wybuch bomby
rzuconej na Bałutach z niemieckiego aeroplanu

Roztrajkotały się w błękitach „Taube“ niemieckie, padły pierwsze z aeroplanów bomby, nocą niebios skłon łuną szkarłatną spłonął — i dalekie, jak grom, ozwało się armat granie.

Łódź zamarła, bo oto wróg tuż — tuż. Nie było tajemnicą, że władze rosyjskie gorączkowo szykują się do ewakuacji.

Zorganizował się komitet obywatelski — milicja, społeczeństwo ujęło w ręce władzę, którą w panicznym pośpiechu zamierzał rzucić lada dzień, lada godzinę — moskal.

W mieście przyczaiła się trwoga i lęk.

Gdy zaborcy opuszczali Łódź, w więzieniu przy ulicy Kopernika (Milsza) znajdowało się przeszło 400 więźniów na 6 kluczników. Zamknięci w celach więźniowie instynktownie odczuwali, iż zaszły nadzwyczajne wydarzenia i zaczęli się buntować, pragnąc wolności. Chwile te dla miasta były bezwątpienia groźne. Komitet Obywatelski nie tracił jednak czasu i zajął się niezwłocznie objęciem i zabezpieczeniem więzienia. W dniu 4-ym sierpnia 1914 roku adjutant Straży Haertig z rozkazu komendy sformował ze strażaków—ochotników straży ogniowej oddział i po kilku godzinach objął więzienie. Jako uzbrojenie wręczono wszystkim pozostawioną przez rosjan starą broń. Na drugi dzień wybuchł ogólny bunt więźniów. Strażacy jednak pod dowództwem adjutanta Haertiga i przy pomocy nowozorganizowanych oddziałów milicji obywatelskiej opanowali wkrótce sytuację i uspokoili rewoltujących.

Równocześnie z odejściem policji rosyjskiej i żandarmerji zebrał się na stacji Łódź—Kaliska przy ul. Leszno w pobliżu olbrzymich składów węgla kilkotysięczny tłum z workami w zamiarze rabowania węgla. Ponieważ w mieście szpitale i różne instytucje dobroczynne były bez opału, zawiadomiono o tem Straż, aby uratować choć część tak nader wówczas cennego materjału. Nawoływania



Pod Rzgowem

i groźby nie pomogły i udało się ocalić zaledwie 8 wozów węgla a gdy poraz drugi wrócono na plac pozostało tam zaledwie trochę miału.

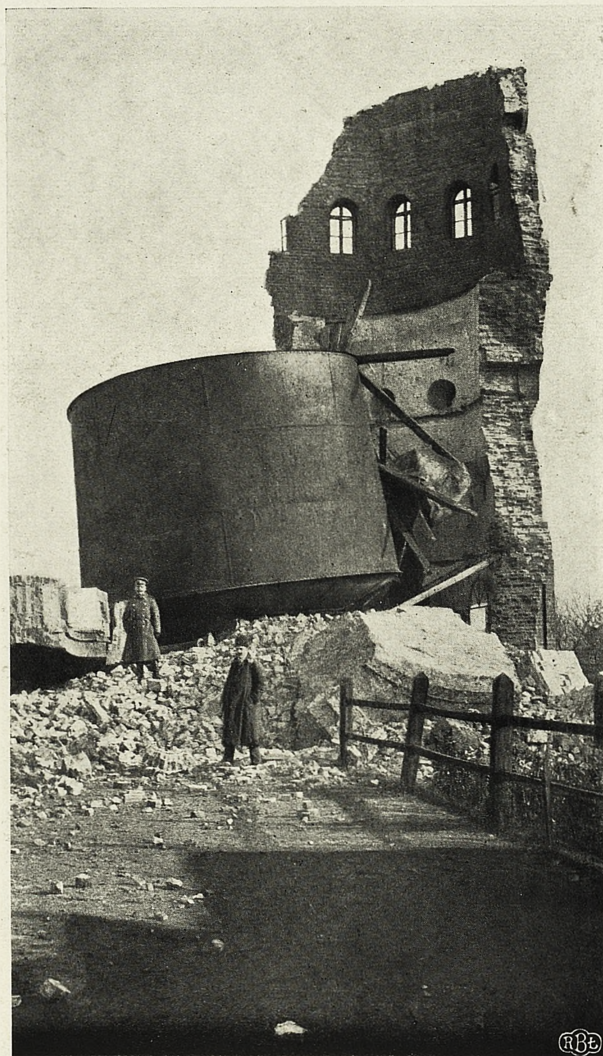
W magazynach towarowych dworca kaliskiego znajdowały się znaczne zapasy mąki, zboża i różnych towarów. I tu rzuciły się tłumy na rabunek, jednak udało się pomimo groźnej postawy rabujących, obrzucających strażaków kamieniami, tłum rozegnać i dość znaczne jeszcze zapasy zboża i mąki uratować; użyto je następnie dla szpitali i na inne cele publiczne.

Kiedy Niemcy po przegranej pierwszej bitwie pod Warszawą w początkach października 1914 r. rozpoczęli odwrót, przystąpili do burzenia i palenia magazynów i budynków kolejowych. Na interwencję Komitetu Obywatelskiego niemieckie władze wojskowe zgodziły się nie palić magazynów drewnianych i drzewo zwieziono do dyspozycji Komitetu Obywatelskiego, który zużył je na opał dla szpitali i instytucyj dobroczynnych, oraz biednej ludności miasta.

Oto kilka luźnych notatek z pierwszych nastroi chwil, jakie przeżywała Łódź.

A później . . . później zaczęły się bitwy tuż pod Łodzią.

Nie naszą rzeczą i nie miejsce tu na krwawe karty wojny, nie chcieliśmy jednak pominąć w kronice Łódzkiej tak doniosłej, wstrząsającej w walk okresie, przełomowej potężnej chwili dziejów. Z walk tych i wojny zmagań Łódź wyszła zwycięsko, do nowego życia i pełni rozkwitu, dojrzała w ogniu walk i mocna do walki o swe znaczenie i przyszłość w wolnej Polsce.



Na dworcu Kaliskim



Pierwszy rekonesans niemiecki



Strącanie dzwonów z wieży kościelnej



Jeńcy rosyjscy



Rekwizycja miedzi

Z PAMIĘTNIKA

Pierwszy świadek wojennych wydarzeń — samochód osobowy z Kalisza. Sierpień. Piękne południe. Ulica Piotrkowska, niedaleko dawnej „Dzielnej". Przed cukiernią Grycendlera, wówczas bardzo uczęszczaną, zatrzymuje się zakurzone, okopcone auto i szofer zaczyna opowiadać o tem, co Niemcy robią w Kaliszu. Padają pierwsze słowa oskarżenia na barbarzyństwo „rycerskich" leutnantów i majorów niemieckich. Łódź dowiaduje się o szturmie majora Preuskera — kata Kalisza.

Dworzec Kaliski. Ani śladu rewirowego i żandarma. Na torach ostatnie długie pociągi towarowe dla rezerwistów, jako że „40 łoszadiej ili 28 czełowiek" można pomieścić w jednym wagonie. Tłum pstry, pijany, hałaśliwy z całym spokojem rabuje magazyny kolejowe. Na resorki ładuje się wory mąki „krupczatki", plombowane kosze owoców, skrzynie cukru.

Teraz wszystko wolno... idzie wojna, zbliża się anarchja.

Demonstracja wiernopoddańcza. Dwóch „policejskich" niesie carski obraz zdjęty w którejś z sal urzędowych. Za nimi kilkunastu szpiclów z „ochrany", kilkadziesiąt niewyraźnych postaci napoły kryminalistów i brudne, wrzaskliwe dzieciaki.

„Dołoj Germanja".

Rekwizycja majątku poddanych niemieckich i austrjackich. Na „Targowym Rynku" (dziś plac gen. Dąbrowskiego) setki powozów, bryczek, wozów, rolwag zwykłych i olbrzymich ciężarowych do przewożenia kotłów i maszyn. Obok meble: kredensy, szafy, lustra. Na bryczce powalone pianino. Pod rolwagą — żardiniera do kwiatów. Chaos zniszczenia, pustka. Na placu króluje rudy „okołodocznyj", który zwykle panował i rządził na dworcu fabrycznym.

Rezerwiści. Na ulicy Cegielnianej, handlowej dziwne zamieszanie. „Młodzi ludzie" z różnych kantorów, biuraliści i ekspedjenci otrzymali nakazy mobilizacyjne. Natychmiastowe wcielenie do szeregów dywizji strzelców stacjonowanej w Łodzi. Godzina szósta przed wieczorem. Ładny, parny dzień sierpniowy zwolna gaśnie. Na zaśmieconej jezdni zbita masa ludzka chwieje się i kołysze, otaczając, a raczej oblepiając wylękłe postacie w zbyt szerokich mundurach zielonkawo-szarych i olbrzymich czapkach „zaszczitnago cwieta" bez daszków.

Na trotuarze stoi niewzruszony feldwebel. Jest dla kontroli i porządku.

Przed cukiernią Roszkowskiego. Gazeciarze, dorożkarze i tłum ciekawy, węszący sensację, łatwowierny. W cukierni bardzo gwarno. Znajome twarze dziwnie pozmieniane. Lekarze — w oficerskich mundurach. Salutują dość niezgrabnie wchodzącym oficerom, którzy z pobłażliwym uśmiechem prawdziwych „armejców“ oddają ukłon.

Cukiernia Roszkowskiego jest jeszcze lojalna i wiernopoddańcza.

Bank Państwa i „Kaznaczejstwo“ wyniosły się cichaczem z Łodzi. Brak drobnych. Pojawiają się pierwsze nowe ruble papierowe i pierwsze podejrzanie nowe, świeże niby z pod prasy trzyrublówki zielone. Prawdziwe i fałszywe... wszystko jedno, aby żyć.

W piątek na Zielonym Rynku niezwykły napływ wozów. Z okolicznych wiosek i kolonji przywozi chłop wszystko, co sprzedać można. Nadmiar kartofli, nabiału, drobiu żywego, grzybów. Byle sprzedać, byle się pozbyć. Lepszy srebrny rubel w komorze niż korzec ziemniaków w piwnicy. Chłopski rozum, wiadomo nie miastowy. Po roku za szesnaście papierowych „rublów“ odda znów chłop srebrnego. Spekulanty.

I nagle... wkroczenie Niemców. Starzy, brodaci ludzie. Źle maszerują, ubrani, ale nie — umundurowani. Wysokie czarne kubełki na głowie. Landsturm zajmuje Łódź. Będzie tego z jeden bataljon. Dziwnie. Na olbrzymiem podwórzu narożnika Piotrkowska 36/8 ustawiona kuchnia polowa. Niemcy gotują smaczną grochówkę. Landsturm zdjął buty i spacerują w pantoflach. Pykają porcelanowe, bawarskie fajki.

A w gmachu Grand Hotelu na Pasażu Majera (obecnie Sąd Wojskowy) młodzi i szykowni leutnanci urządzili sobie... arabską awanturę. Kilka pokojówek z przeciwka i kilka panienek z półświatka. Strzelają korki szampana. Hoch der Kaiser.

Odwrót z pod Skierniewic. Na lichych „furmankach“, na tęgich meklemburskich szkapach, pieszo — maszeruje Landsturm Piotrkowską. Twarze zmęczone, ruchy senne, wyczuwa się rozczarowanie, może nawet lęk.

Wojna rozpoczyna się na dobre. Niemcy zajmują Belgję.

Wojska rosyjskie w Łodzi. Na Nowym Rynku (dziś plac Wolności) spieszony dywizjon kozaków. Małe konie poprzywiązywane do żelaznych prętów i słupów okalających Rynek.



Rozbijanie dzwonu



Wejście Niemców



Rekwizycja manufaktury



Wczoraj

3 grudnia podaje „Nowy Kurjer Łódzki“ wiadomości z pobojowisk okolicznych.

„Straszny widok przedstawiają dzisiaj okolice Łodzi. Linja kolejki zgierskiej, znaczna część słupów, leży zwalona lub połamana. Druty pozrywane leżą całemi zwojami na torze, a miejscami aż na polach. Na dole, pomiędzy Langówkiem a Lorencówką stoi dotąd wagon motorowy tramwaju z wagonem gospodarczym. W ścianach wagonu motorowego widnieją dziury od kuli armatniej, która przeszedłszy przez wagon utkwiła połową w ścianie przeciwległego domu drewnianego. Na polach, a głównie na szosie leży mnóstwo wozów porozbijanych. Leżą też gęsto trupy końskie. Liczne okopy, wyrwy w ziemi od pocisków i powywracane drzewa, płoty dopełniają smutnego obrazu pobojowiska“. Tyle gazeta.

Nowomiejska, Ogrodowa, Konstantynowska zapełnione wojskiem. Idą tabory. Małe fury zaprzężone w jednego konika „pod dugoj“. Setki nieokutych kół dudni na drewnianym bruku Piotrkowskiej. Na Zachodniej przed budynkiem Centralnej Łaźni zator koni wierzchowych, oficerskich i eleganckich wojskowych bryczek. Dziesiątki ordynansów i „kuczerów“ wierci się po lepkiem błocie ulicy. Oficerowie kąpią się.

Wieczór. Deszcz ze śniegiem. Gołoledź. Na Geyerowskim Rynku (dziś plac Reymonta) u wylotu nieoświetlonej Rzgowskiej ulicy, zamajaczyły wysokie papachy kubańców.

Pędzi kareta szczelnie osłonięta, otoczona zgraną seciną cwałujących jeźdźców.

Niewiadomo kto, skąd, dokąd.

Ale już po godzinie złe wieści obiegają miasto. Gen. Daniłow pobity pod Uniejowem. Śląskie pierony w strasznym ataku na bagnety zmiażdżyły dwie rosyjskie dywizje. A może nieprawda?

Podobno generał strzelił do siebie. Dogorywa.

Na Wodnym Rynku — punkt opatrunkowy. Z szpitala Anny-Marji co pewien czas wynoszą trupy i kładą na rolwagi. Ciężko jedzie trupi wóz, ledwie przykryty rogożą na stary cmentarz na Zarzewie. Śmierć jest w mieście.

Most kolejowy na Widzewskiej ulicy (dziś Kilińskiego) zbombardowany. Żelazne załamane wiązania zawisły nad ulicą. Ruch kołowy wstrzymany całkowicie. Co śmielsi przekradają się popod kamiennym murem filarów mostowych.

Na Kolejowej ulicy (zdaje się, że tak się i teraz nazywa) przed bramą na jednym z placów węglowych — posterunek. Grupa ciekawych. Przed drewnianą budą z wagą towarową, na posłaniu z kilku wiązek słomy leżą: trup dziewczyny



Przed Grand Hotelem, gdzie mieścił się sztab niemiecki

i dwóch żołnierzy. Czarna chustka zarzucona na wszystkie twarze.

W pobliskiej cerkwi biją dzwony. Nabożeństwo za umarłych — „Wiecz=nyj upokoj".

A znów na brzezińskiej szosie, na piątym czy szóstym kilometrze, w płytkim okopie strzeleckim — mo=giła. Dwóch ich tu leży — z Archan=gielskiej gubernji. Daleko!

Dwa dni bombardują już Niemcy Łódź. Podobno, że są otoczeni pod Andrzejowem. Podobno, że generał Rennenkampf dostał od niemieckiego sztabu miljon rubli. Podobno, że w Łodzi jest japoński attaché i nawet bardzo przystojny. Nad miastem grają szrapnele i wście=kle wyją granaty. Z górnych pięter lokatorzy schodzą na parter i do piwnic. Rosną plotki i rodzą się nowe flirty. Amor inter arma!



Dziś

Hanowerska dywizja w Łodzi. Z sześćdzie=sięciu tysięcy chłopa, co szedł na Antwerpję zostało teraz w szeregach do ośmiu tysięcy. Idą od Zgierza przez Stare Miasto i Piotrkowską sztywnym, pruskim krokiem. Żywy mur płasz=czy, kasków, bagnetów. Jest w tem siła praw=dziwa, ale jest i pruska buta.

Gmach Banku Ryskiego (dziś Banku Dyskon=towego Warszawskiego). Sztab niemiecki.

Zimowe popołudnie. Dwóch szyldwachów przed dwiema budkami wrosło w ziemię. Pada urywana, chrapliwa komenda. Żołnierze prezen=tują broń. Gen. Mackensen z adjutantami wy=chodzi na codzienny spacer od Benedykta (6=go Sierpnia) do Karola. Dwa razy tu i z powro=tem. Publiczności wolno go podziwiać... o sześć metrów, z oddalenia.

Żuławski w Łodzi. Przed wystawą sklepową braci Szwalbe, w niedzielę, przy ładnej pogodzie i dużym ruchu. Nosi mundur szary, strzelecki, kożuszek ułański również szary z potrzebami, kołnierz karakułowy czarny, maciejówkę i brą=zowe sztylpy. Mówi głośno z przejęciem i werwą, a w melodję słów wpada brzęk ostróg... „Jeszcze Polska nie zginęła".

Legjoniści. Łodzianin kiwa głową, Z pew=nem politowaniem. Młodzież ogląda z zacieka=wieniem. Pensjonarki — z przejęciem.

Następny ciężki 1915 rok. Gazety niemieckie w Łodzi. Tłumy oficerów na ulicach. A w nie=dzielę — capstrzyk przed generalicją przed Grand Hotelem.



Jeńcy rosyjscy przy orce



Ewakuacja Łodzi przez Rosjan

Depesze o zwycięstwach. Zajęcie Warszawy. Uroczysty pochód wojsk niemieckich z pochodniami. A życie ciężkie, coraz cięższe. Chleb — razowiec wojenny. Brak pracy. Głód na Bałutach.

Na Konstantynowskiej ulicy wagon tramwajowej kolejki zapchany ludźmi, drugi i trzeci. Przed wagonami warty. Na chodniku kobiety, dzieci. Płacz, lament, wyrzekania, przekleństwa. Łódzki bataljon robotniczy wyjeżdża do niemieckich fabryk amunicyjnych. Pokojowa mobilizacja ludności. O dziesiątej zamiera ruch na mieście. Z remizy wyjeżdżają tramwaje. Szyby matowane papierem. Czerwony krzyż, czarny krzyż. Przewozi się rannych, wywozi trupy. „Pałkarze" snują się jak cienie.

Sylwester 1916 roku. W lokalu „kawiarni i mleczarni" przy zbiegu Piotrkowskiej i Przejazdu (obecnie, zdaje się, sklep rymarzy i siodlarzy) bal sylwestrowy. Kamienna podłoga posypana piaskiem. Ściany ozdobione papierowemi chorągiewkami o barwach niemieckich i austrjackich (!). Ogrodowe stoliki i krzesła.

Młodzież oficerska deboszuje po ulicach. Kilku paskarczyków szuka wyraźnie sposobności, aby mieć zaszczyt złożenia ukłonu umundurowanym, pruskim smykom.

— — — — — — — — — — —

Tu pamiętnik się urywa. Łódź jeszcze zgórą osiemnaście ciężkich miesięcy przetrwać musi do jasnych dni listopada 1918 roku.



Egzekucja na podwórzu fabrycznem



Garaż w kościele

BITWA POD ŁODZIĄ

Bitwa pod Łodzią była jedną z największych bitew w wojnie światowej i trwała od 17 listopada do 6 grudnia 1914 r. Któż z łodzian nie pamięta tej grozy ognistej ulewy granatów, kartaczy, szrapneli, nieustannego huku armat, dławiącego spazmem bladego lęku, czającego się strachem śmierci, tak po zaułkach przedmieść, jak i w samem śródmieściu, przez całą wieczność zda się trwające trzy tygodnie. Już w pierwszej połowie listopada miasto zaczęły obiegać głuche pogłoski, że „Niemcy idą“ by znów, to jest już po raz trzeci zająć Łódź. Pogłoskom nie dawano wiary, pamiętamy wszyscy czem były wówczas paniczne, nieraz bezsensowne plotki, jakie potworne krążyły wersje, by nagle, w najmniej spodziewanym momencie, rzeczywistość nie dowiodła, że plotka była żartem w porównaniu z istotną grozą.

To też, gdy mimo zapewnień optymistów, na ulicach Łodzi zjawiły się nagle wczesnym rankiem sznurem w popłochu ciągnące wozy, furmanki, bryczki, bezładnie naładowane sprzętem, pościelą i płaczącą dziatwą, wiedziano, że istotnie „Niemcy idą“! Już następnego dnia potwierdziły się hiobowe wieści. Skoro zaświtał 18 listopad ozwał się armat grom, rozdzwoniły okienne szyby, zadygotały oddrzwia, zatrzęsły mury kamienic.

Kanonada trwała bez ustanku dzień i noc, w dodatku nad miastem ukazały się aeroplany bombami obrzucające domy, place i ulice.

Był to dzień przełomowych walk na odcinku Łódź—Aleksandrów.

Największe piekło przeżyli jednak mieszkańcy Łodzi w noc 21 listopada, gdy zaczęto planowo z ciężkich armat ostrzeliwać miasto.





Pochód narodowy w dniu 3 Maja 1916 r.
z próbą wywołania paniki

Pierwsze pociski padły na Bałutach. Nieopisany zgiełk, lament, płacz i modlitwy zlały się w jedno, z ogłuszającym hukiem dział. Oszalała ludność w panice rzuciła się ku śródmieściu.

Ale i tu nie było schronienia, krążące aeroplany rzucały bomby na bezbronne miasto, na ludność nieprzytomną z lęku i przerażenia, w dodatku naokoło, jak okiem sięgnąć (można było obserwować z wysokich gmachów, jak Grand Hotel, Savoy i inne) okolice całe stały w płomieniach pożarów i walk.

Tuszyn, Rzgów, Brzeziny, Koluszki z jednej strony, Widzew, Zarzew, Chojny z drugiej strony tworzyły krwawe, łuną pożogi owiane, śmiercią ziejące linje ognia i bitew.

Tymczasem miasto całe przemieniło się w jeden olbrzymi szpital. Wszystkie większe gmachy zajęte były rannymi, których liczbę (Rosjan i Niemców) podawano na 35.000. Wszystkich należało opatrzyć i co najważniejsze nakarmić.

A tu nędza, niema mąki, mleka, gdyż dowóz oddawna do miasta już był odcięty, zbrakło mięsa, kartofli, słowem wszystkiego.

Około 25 listopada kanonada ucichła — Niemcy zostali odrzuceni. Tegoż dnia pojawiły się oddziały konwojujące przez miasto jeńców niemieckich, podobno z górą 20.000.

W dniach 26, 27, 28 zdawało się burza przejdzie, omijając nadal miasto.

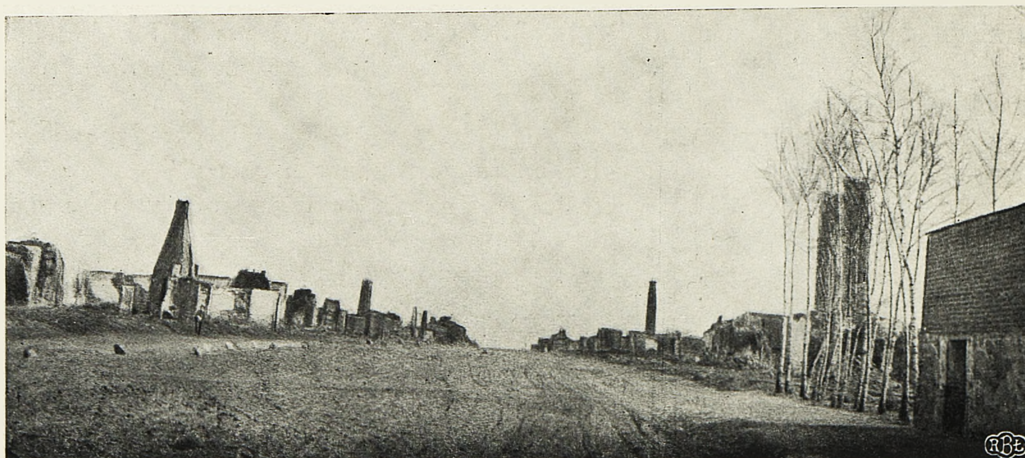
Po czterech dniach nagle rankiem 30 listopada wstrząsł miastem huk jakby walących się światów. Pociski zaczęły padać w centrum miasta. Ulice Sienkiewicza, Traugutta, Przejazd, Narutowicza, Piotrkowska, al. Kościuszki i inne były pod ogniem działowym, w ulewie szrapneli i granatów.

Nastał sądny dzień!

W mieście nie było jednej szyby całej, pociski biły w samo serce miasta, cała ludność schroniła się do piwnic.

Jak podaje kronika ofiarą tego nieludzkiego, zwierzęcego bombardowania miasta padło zabitych 28 żołnierzy, 30 cywilnych i około 120 kobiet i dzieci.

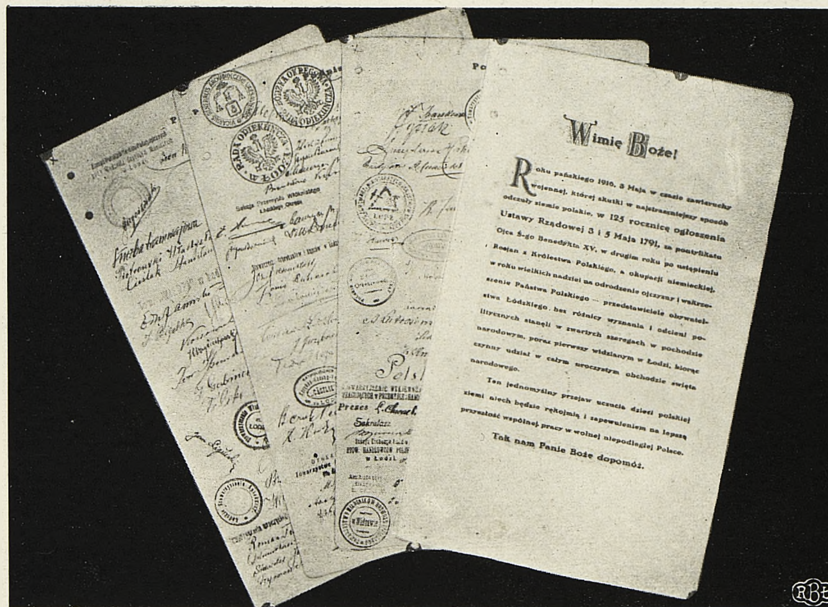
Około 5 grudnia wojska rosyjskie rozpoczęły ewakuację. Dnia 6 grudnia 1914 r. w niedzielę po południu Niemcy zajęli Łódź.



Okolice Łodzi po ogniu huraganowym



Grób Nieznanego Żołnierza w Łodzi



Akt umieszczony w Katedrze przy tablicy pamiątkowej 3 Maja 1916 r.

W IMIĘ BOŻE!

ROKU PAŃSKIEGO 1916, 3 MAJA W CZASIE ZAWIERUCHY WOJENNEJ, KTÓREJ SKUTKI W NAJSTRASZNIEJSZY SPOSÓB ODCZUŁY ZIEMIE POLSKIE, W 125 ROCZNICĘ OGŁOSZENIA USTAWY RZĄDOWEJ 3 I 5 MAJA 1791, ZA PONTYFIKATU OJCA Ś-GO BENEDYKTA XV, W DRUGIM ROKU PO USTĄPIENIU ROSJAN Z KRÓLESTWA POLSKIEGO, A OKUPACJI NIEMIECKIEJ, W ROKU WIELKICH NADZIEI NA ODRODZENIE OJCZYZNY I WSKRZESZENIE PAŃSTWA POLSKIEGO — PRZEDSTAWICIELE OBYWATELSTWA ŁÓDZKIEGO, BEZ RÓŻNICY WYZNANIA I ODCIENI POLITYCZNYCH, STANĘLI W ZWARTYCH SZEREGACH W POCHODZIE NARODOWYM, PO RAZ PIERWSZY WIDZIANYM W ŁODZI, BIORĄC CZYNNY UDZIAŁ W CAŁYM UROCZYSTYM OBCHODZIE ŚWIĘTA NARODOWEGO.

TEN JEDNOMYŚLNY PRZEJAW UCZUCIA DZIECI POLSKIEJ ZIEMI, NIECH BĘDZIE RĘKOJMIĄ I ZAPEWNIENIEM NA LEPSZĄ PRZYSZŁOŚĆ WSPÓLNEJ PRACY W WOLNEJ, NIEPODLEGŁEJ POLSCE.

TAK NAM PANIE BOŻE DOPOMÓŻ!



Łódź dzisiejsza Fot. A. Urbanowicz

St. Borawski

PIĘKNO ŁODZI

„Drzewa chwiały się nad nim sennie i rozsypywały krople światła migotliwego i barwiły w coraz inne desenie trawniki. Głuche echa miasta dopływały czasami i nikły, rozlewając się w ciszy parku, ...czasem jakieś głosy rozbite gamą wpadały w zalane upałem aleje.

Ale rychło ucichło wszystko.

Tylko jaskółki niestrwożone przelatywały nad parkiem, przecinały aleje wężowemi skrętami, obiegały dzieci, wymijały ludzi i drzewa i wciąż przewijały się wkółko".

Tyle Reymont w drugim tomie swej rozsławionej i już obecnie filmowanej powieści „Ziemia obiecana", dokładnie na stronicy 115 nowego zupełnego i zbiorowego wydania pism.

Z powszechnie znanego w Łodzi Helenowa, dawniej za „dobrych, panie, czasów" zwanego Helenhofem — z parku o pretensjonalnej architektonice drzew i klombów, sztucznych grot i drewnianych niby szwajcarskich kiosków, — z tej mieszaniny dobrego i złego smaku wydobył artysta piękno.

Otóż, należy pamiętać, że tego właśnie piękna jest w Łodzi dużo więcej, niż się przypuszcza.

Zwykle mówi się o robotniku łódzkim, o wielkim i małym przemyśle, który przeżywa chroniczną stagnację.

Fachowca zastanawiają dane cyfrowe wyrobu tkanin bawełnianych, wełnianych lub półwełnianych, wreszcie pozycje statystyczne przywozu do Łodzi węgla, bawełny surowej i przędzy angielskiej.

Tak, to wszystko jest.

A nawet więcej. Każde ministerstwo wysyła do Łodzi swoich urzędników, aby tu na miejscu badali warunki, wydajność i organizację pracy w przemyśle. Po każdej wycieczce powstaje memorjał ministerjalny, sprawozdanie w prasie stołecznej. Nieraz jeszcze pojawi się uczona



ul. Piotrkowska

książka, lub memorjał stanie się pracą dyplomową fachowca — ekonomisty, zwykle b. młodego, — o Łodzi.

Ale ostatnio Łódź staje się dla kraju ciekawą. „Kurjer Warszawski“ prowadzi już stałą rubrykę „Z Łodzi“ podobnie jak ultra przeciwny „Robotnik“. Aż oto „Ilustrowany Kurjer Krakowski“ przynosi w numerze z dnia 23 grudnia 1917 r.(!) pierwszy swój feljeton o Łodzi.

Małopolanie poznają Łódź. Nie miasto kominów i dymu, jak to bywa, po dziś dzień, na fatalnych obrazkach w naszych podręcznikach geografji, — ale prawdziwą Łódź, olbrzymie środowisko kapitału i pracy, drugie po stolicy miasto Rzeczypospolitej.

A jednak... w samej Łodzi brak znawców i znawstwa miasta, jego fizjognomji ulicznej, rytmu i mocy jego pracy.

Warszawa ma Wasylewskiego, Tretera, Lecha Niemojewskiego i tylu innych pomniejszych, którzy ciągle widzą piękno zygmuntowskiej stolicy.

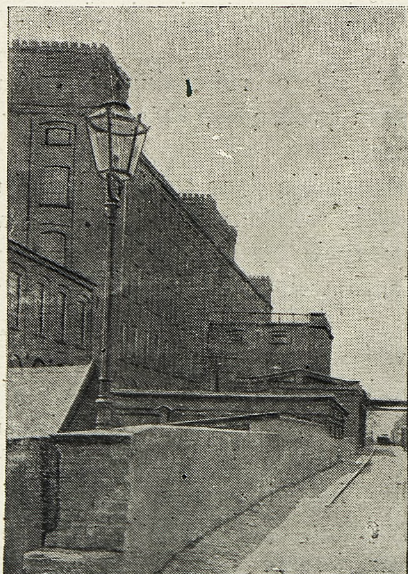
Badają urok tajemniczy jej świątyń i pałaców, przepych królewskiego zamku, melancholijną zadumę Rynku Starego miasta, barokową malowniczość czynszowych domków mieszczańskich i żywą legendę listopadowej nocy pod Belwederem.

Warszawa ma Kraushara, co z pożółkłych pergaminów wydobywa zapomniane imiona, daty, osoby i snuje od lat swoją opowieść o dworkach przy Marszałkowskiej drodze i panu staroście Tłómackim, o rodzinie Krasińskich i początkach Saskiego Ogrodu.

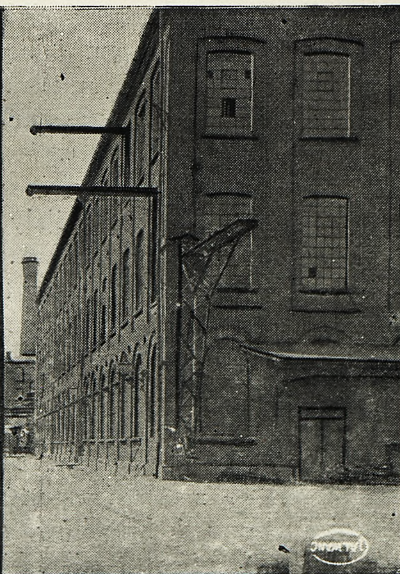
Ma wreszcie Warszawa zastęp młodych malarzy, których pendzel chwyta wszystko, co pięknem stolicy można nazwać.

Mrok krętych zaułków Starego Miasta, majestat wiślanego przestworu, niesamowitość brudnych i ciasnych uliczek przedmieścia, cieplarniany urok Aleji Róż — wszystko wymalowano.

W Łodzi ludzie nie dostrzegają nieba, zawieszonego nad brudnym skrawkiem zadymionej ulicy. Nie odczuwają zmiany pogody, bo kurs dolara i cena bawełnianej cienkiej przędzy omotały całkowicie umysły.







A przecież to piękno jest; utajone, niby zawstydzone kryje się w bocznych ulicach, za wysokiemi sztachetami ogrodowych murów, w głębi pozornie mrocznych pałaców, świątyń, gmachów.

Nowoczesna Łódź uchodzi za zbieraninę wszelkich, nowych stylów, jest niby jedną wielką secesją w budownictwie, zdobnictwie, pono i w swych ogrodach.

Rzeczywiście. Piękno sędziwej starości murów, do których przywarła pieczęć dziejów (jak to się zwykło mawiać) — tego w Łodzi prawie że niema.

Powtarzamy — prawie, ale nie zupełnie.

Bo Rynek Starego Miasta, owa „Starówka“ handlarzy i tandeciarzy, — nasuwa pewne porównania, zestawienia, nawet... wspomnienia.

Nawprost jezdni i anemicznego trawnika „od Niemców“, pomiędzy ulicami Aleksandryjską i Jakóba — biegnie sznur jedno i dwupiętrowych kamienic.

Tynk poraniony i w nieludzki sposób poobtłukany. Ściany brudne, zakopcone i często gnijące, ozdobione przytem szyldami, na których lew pożera stosy mydła, a młoda gąska kąpie się w purpurze.

Ale uważniejszy badacz spostrzeże pewne, bardzo ciekawe szczegóły.

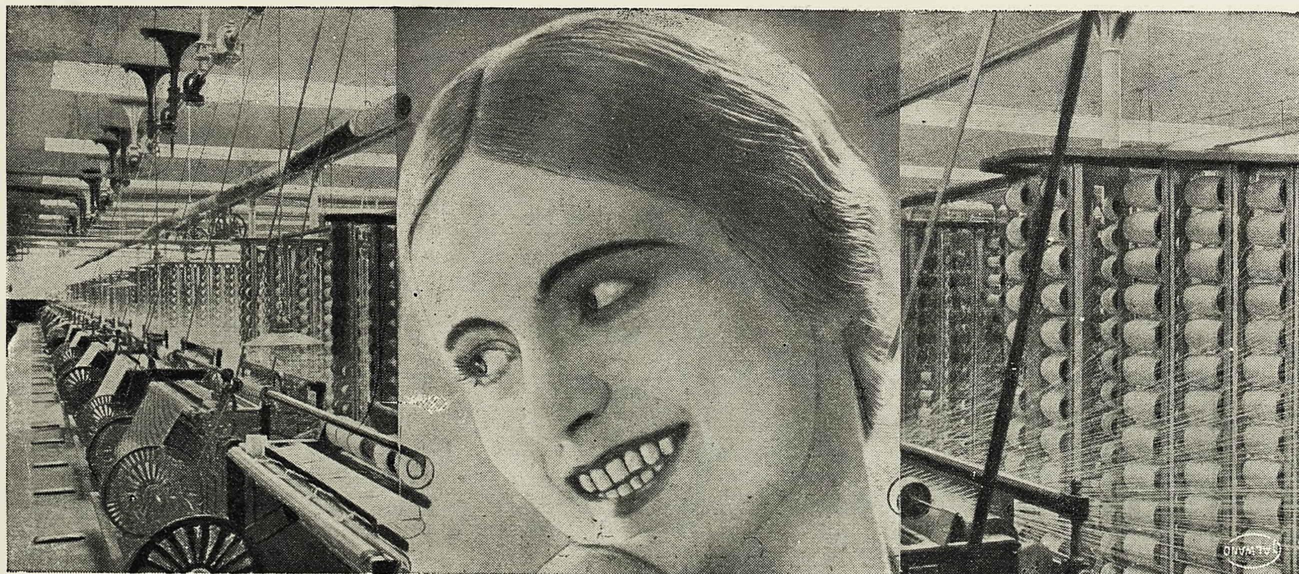
Oto potężnie sklepione, szerokie i przysadziste bramy, niby w dawnych polskich zajazdach z XVIII wieku. Dalej ślady podcieni na zaśmieconych podwórzach i szczątki ładnie rzeźbionych, drewnianych galeryjek na wysokości pierwszego piętra. Frontony kamienic przeważnie dla pierwszego piętra czterookienne, dla drugiego już zwężone tylko trzyokienne, z charakterystyczną trójkątną attyką, jako zakończeniem całości. A w narożnikach skarpy potężne, prawie jakiejś fortecznej grubości u podstawy.



ul. Piotrkowska

Czasy Królestwa Kongresowego. Rok 1828. Czasy romantyzmu, ekstrapoczty i sielskiej pogody życia.

Zamiast ulic — drogi, obsadzone drzewami. Ciche, drewniane domki tkaczy i szeroko rozbudowane, porządnie tynkowane gmachy ręcznych manufaktur.





Panie w szerokich kapeluszach i bufiastych sukniach, nieliczni panowie urzędnicy w bajecznie kraciastych ubiorach, w olbrzymich, wysokich kołnierzach, owiniętych halsztukami.

Czas cofnął się.

We wtorki i piątki na Nowym Rynku dzień targowy — jejmoście fabrykantowe sprzedają często same na łokcie wełniane towary.

A w 1831 r. na słupach przed sławetnym Magistratus'em wylepiane odezwy gen. por. Kluckiego, komenderującego na lewym brzegu Wisły.

Tak, czas cofnął się i pan generał Dwernicki z pod Sieradza pomaszerował właśnie ku Wiśle, pod Mniszew. Piotrkowską szosą waliły bataljony linjowej piechoty, wiarusy, co niejedną widzieli kampanję i bitwę.

Ogród na plebanji przy kościele Najśw. Marji Panny na Starem Mieście.

Wysoki mur z polewanej cegły i grube sztachety, bluszczem owite.

Z za muru dźwiga się w niebo, niewidzialna dla oka w swej podstawie, strzelista nawa kościoła, nad nią korona wieżyczek i ostre igły dwóch kolosalnych wież frontonu.

Na prawo, przed nami, z za liścia starych kasztanów wygląda stylowa plebanja.

Polski, rodzimy gotyk mazowiecki, tak bardzo już dziś rzadki, dziwnie nastraja na tle tego również prawie mazowieckiego nieba.

Więc wspomnienie nasuwa opowiadania o potężnym rodzie Wielkopolskim panów Górków, herbu Łodzia. Z tego rodu Łukasz z Górki, wojewoda poznański, otrzymał był około 1520 roku patent hrabiowski na cesarskim dworze we Wiedniu. Pieczętował się zaś „pan grabia" herbem Łodzi srebrnej w polu błękitnem.



Gazownia Łódzka



Park Staszyca i gmach Szkoły Realnej Zgr. Kupców m. Łodzi

Tuż obok Bałuty. Łagiewnicka ulica, a w połowie ulicy Męka Pańska, jak u rozstajnych dróg wioskowych.

Te właśnie Bałuty, wieś komorników i zagrodników parcelowała rodzina Zawiszów przez długie 30-lecie, od wojny krymskiej do tureckiej kampanji poprzez mękę styczniowego powstania.

Zeszły się dwa światy. Dawny — rdzennie polski, niełódzki. Późniejszy — trójjęzyczny i trójnarodowy.

Przechodzimy w ulice śródmieścia. Północna, Południowa, Wschodnia i Zachodnia zamykają w czworoboku wąskich uliczek i niskich domów całą dawną Łódź.

Tu przed laty 60 i 70-ciu mieszkiwali lekarze, rejenci i nieliczni adwokaci, wyżsi urzędnicy magistratu, a przy ulicy Kamiennej, dziś strawionej nędzą, umieściła się poczta w dwupiętrowym, dość stylowym domu empire i przemysłowiec Scheibler wystawił skromny, cichy i nieco ciemny pałacyk z niewielkim ogrodem.

Z krzywej i ciasnej ulicy Jakóba wychodzimy na niewielki, brudny i zupełnie niezadrzewiony placyk. I nagle stajemy zdumieni.

Z pośród ruder domów wyrasta koronkowej roboty w stylu weneckiego, prawie czystego renesansu, fronton synagogi t. zw. chassydów.

Wiedeński architekt, który podobno projektował ten gmach, nie miał widocznie przed sobą szkicu sytuacyjnego miejsca. Inaczej powstydziłby się chyba tyle bogactwa i przepychu ornamentacji świetnie stylizowanej stawiać, jak na urągowisko, pośród tej nędzy i ruiny.

Z Północną łączy się ulica t. zw. Ogrodowa.

Od Zachodniej rozpoczyna się państwo murów fabrycznych.

Pamiętamy wszyscy z przed kilku laty odczyt prof. Noakowskiego z Politechniki Warszawskiej.

Wybitny historyk architektury mówił m. in. o symbolice stylów. Jako przykład symbolu siły brutalnej, mocarnej, ale jednocześnie spętanej wolą człowieka, dał na ekranie doskonałe zdjęcie korpusu fabrycznych zabudowań firmy I. K. Poznański.



Widoki Łodzi Fot. A. Urbanowicz

Żałować należy, że wielki uczony nie miał pod ręką zdjęcia innego gmachu, który niemniej dosadnie ilustruje pojęcie siły w motywach architektonicznych.

Mamy na myśli portal przędzalni firmy dawniej L. Grohman przy ulicy Przędzalnianej.

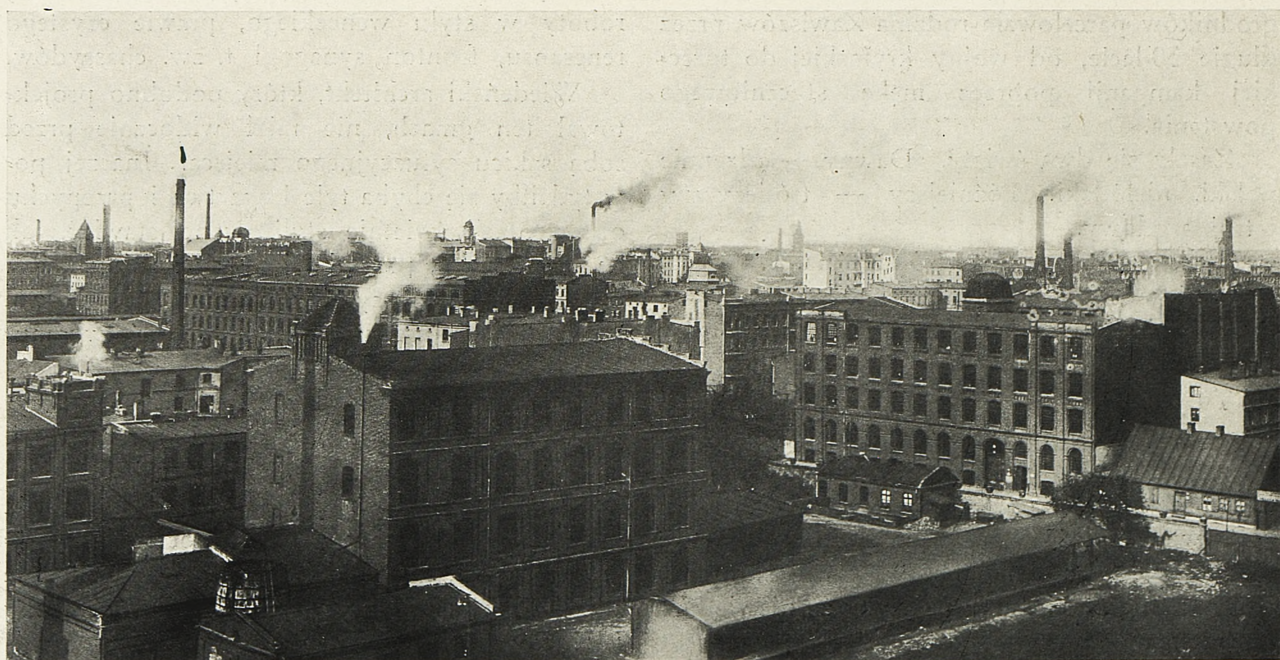
Wysoka brama, łagodnie sklepiona, spoczywa lekkim, półkrągłym łukiem na dwóch masywnych filarach prawie romańskich.

Całość czyni wrażenie zamkowej budowli na przejściu od romanizmu do gotyku, a jednocześnie, przyznajmy, pewnej majestatycznej i surowej królewskości.

„Królowie bawełny" nazwał przecież Reymont przemysłowców łódzkich.

Nawprost cichej ulicy Ewangelickiej, wciśnięty pomiędzy trzypiętrowe kamienice przesadnie ozdobione tanią sztukaterją — niknie pałacyk Schlösserów przy ulicy Piotrkowskiej.

Gładki fronton z piaskowca kieleckiego zdobi jeden tylko balkon wenecki jasny i szlachetny w rysunku, o linjach wyraźnych i czystych.





Widoki Łodzi Fot. A. Urbanowicz

Renesansowy, florentyjski pałacyk zamieniony na parterze na składy i biuro, ale mimo to bezwzględnie piękny.

Niemal u wylotu Piotrkowskiej na plac Reymonta, owym do niedawna „górniaku" łódzkim pomiędzy niskiemi domkami a stuletnim gmachem Geyer'owskiej przędzalni stanęły dwa masywne domy — pałace rodziny Steinert'ów.

Barokowe, a mimo to ciężkie kształty dachów, moc drobiazgów architektonicznych przedziwnej, precyzyjnej roboty, wytworne witraże olbrzymiego okna wewnętrznej klatki schodowej, masywne bramy wjazdowe i stylizowana kamienna tarcza herbowa na portalu.

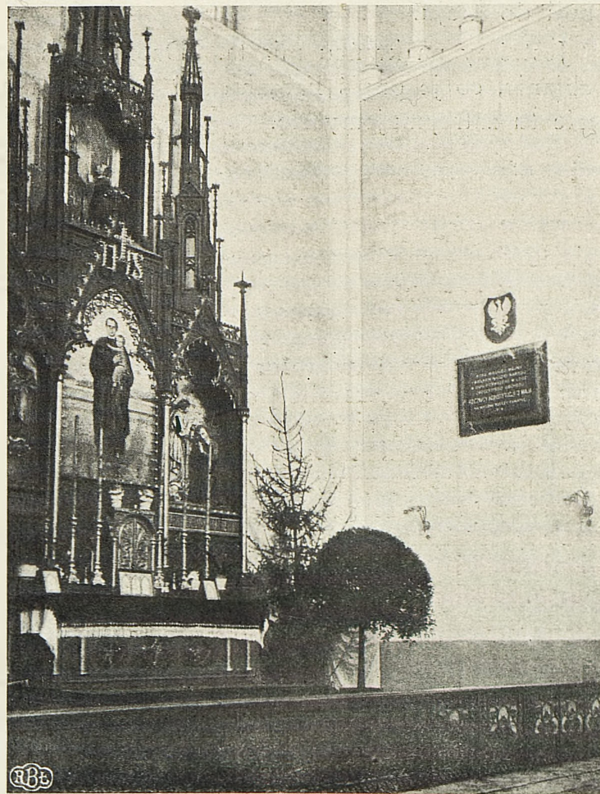
Alt-Heidelberg z XVII na XVIII wiek przeniesiony w dokładnej i jedynej, o ile wiemy, kopji do kraju.

Jesteśmy na krańcu miasta. Dalej szosa do Pabjanic, co je ongiś Fabjanicami zwano. Narazie tu zatrzymujemy się.





Jego Ekscelencja
Ks. Biskup Wincenty Tymieniecki
Biskup Łódzki



Kaplica Św. Stanisława Kostki w Katedrze z pamiątkową tablicą 3 Maja 1916 r.

ZAGADNIENIA JUTRA...

Kiedy w r. 1820 rząd Królestwa Kongresowego Łódź, lichą mieścinę o 799 mieszkańcach, zaliczył do rzędu miast fabrycznych, w najśmielszych przewidywaniach nie byłby w stanie odgadnąć, czem ona stanie się za lat sto.

Już wcześniej rząd Księstwa Warszawskiego podjął akcję uprzemysłowienia kraju. W tym samym kierunku poszedł rząd Królestwa Kongresowego. Były to pierwsze etapy zmiany polityki gospodarczej w Polsce.

Obok rolnictwa, które stanowiło dotąd podstawę bogactwa narodowego, przystępuje się do stworzenia własnego przemysłu.

Gdyby nie polityka rządu rosyjskiego, który w okresie przedwojennym przez cały szereg zarządzeń starał się podważyć rozrost przemysłu łódzkiego na korzyść okręgów w głębi Rosji, gdyby nie przekraczająca wszelkie granice prawdopodobieństwa dewastacja, prowadzona celowo przez okupantów niemieckich, gdyby wreszcie nie skutki wojny i walki o utrzymanie odzyskanej niepodległości, energja przemysłowca i pracowitość robotnika łódzkiego dokazałaby po dziś dzień większych jeszcze cudów.

Obecnie Łódź dźwiga się z rumowisk, jakiemi przywaliła ją światowa zawierucha wojenna.

Jeszcze kilka lat twardej pracy a stan naszego przemysłu dorówna przedwojennemu.

Tak, jak lat temu sto, przed nami staje nakaz uprzemysłowienia kraju. Nakaz tem silniejszy, że nastąpiły u nas zasadnicze przesunięcia w dziedzinie zagadnień ekonomicznych.

Polska przestaje być krajem rolniczym.

Ciężar zatem dochodów, jakie państwo otrzymać musi, przenosi się zatem na przemysł.

Wprawdzie przez połączenie wszystkich dzielnic kraju zyskujemy poważne ośrodki przemysłowe na Śląsku Górnym i Cieszyńskim, niemniej jednak ciężar zadań spoczywa na okręgu łódzkim, a ściślej rzecz traktując — na Łodzi.

Ośrodek jakiejkolwiek z dziedzin życia zdradza właściwy charakter i rozwija się normalnie o tyle tylko, o ile nie jest skrępowany specjalnemi warunkami, na których układ nie posiada żadnego wpływu. Aczkolwiek ostatecznego wyrazu fizjonomja naszego miasta nie posiada jeszcze, to jednak z zestawienia właściwości okresu przedwojennego z obecnym, możemy w przybliżeniu określić, po jakiej linji pójdzie postęp.

Wszelka analiza Łodzi musi odbywać się z uwzględnieniem pewnika, że silniejszy niż gdziekolwiek w Polsce wpływ na jej życie

wywierają interesy dwu sfer: robotniczej i przemysłowej. Inne warstwy nie przejawiały od chwili powstawania Łodzi i nie przejawiają dotąd dosyć żywotności, by swoje istnienie w całości zaznaczyć piętnem wydatniejszem.

Przemysł łódzki, aczkolwiek rozrastał się w amerykańskim stylu, właściwej organizacji nie posiadał, gdyż łatwość zbywania swoich wytworów na rynkach rosyjskich nie zmuszała go do tego, a nie będąc dostatecznie polskim i przepojonym troską o siłę kraju, który mu dał wszelkie warunki do powstania i rozwoju, nie poczuwał się do konieczności przeciwstawienia polityce rosyjskiego rządu, swej własnej, identyfikującej się z interesem polskim.

Wojna jednak radykalne spowodowała zmiany.

Polska odzyskała niepodległość, Rosję od szeregu lat toczy robak bolszewizmu.

Robotnik polski ma możność organizowania się, co zapewnia mu obronę jego interesów z jednej strony, z drugiej robi go potężnym czynnikiem w dziedzinie rozbudowy państwa.

Wolny ruch robotniczy w Polsce liczy lat niewiele a jednak posiada swoiste zupełnie cechy.

Robotnicy zorganizowali się, posiadają swoje związki, będą walczyć o swe ludzkie prawa, o ochronę pracy, o oświatę, ale pójdą bez wahania na zew Ojczyzny, gdy jej bronić będzie potrzeba i odepchną od siebie wrogie podszepty, jak już tego złożyli dowody. Dojrzałość i uobywatelnienie robotnika łódzkiego jest wzorem, któremu nie dorównali nawet robotnicy w państwach zachodnich.

Znacznie powolniej następuje wyłanianie się zbiorowej myśli łódzkich sfer kapitalistycznych.

Przemijające powojenne warunki dały możność robienia olbrzymich fortun ludziom rzutkim i energicznym. Pamiętać jednak należy o tem, że coraz szybciej zbliżamy się do stosunków normalnych, gdzie do konkurencji wystąpią nietylko czynniki krajowe, ale i zagraniczne.

I o ile łódzki przemysł nie skonsoliduje się, nie stworzy nowych wartości czy też nie tchnie ducha świadomości w istniejące już swoje organizacje, może być nietylko zdystansowanym przez przemysł zagraniczny, ale nawet zupełnie zduszonym. Wśród przemysłowców łódzkich znajdują się liczni jeszcze, którzy nie zawsze identyfikują interes państwowy z interesem własnym. Polityka świadomych sfer przemysłowych iść winna nietylko w kierunku podnoszenia produkcji swoich zakładów i szukania rynków zbytu dla wytworów, lecz również w uobywatelnianiu i uspołecznianiu tych, których świadomość co do tego jest niedostatecznie rozbudzona.



Szczątek chorągwi narodowej, skonfiskowanej w 1914 roku w Łodzi przez Rosjan

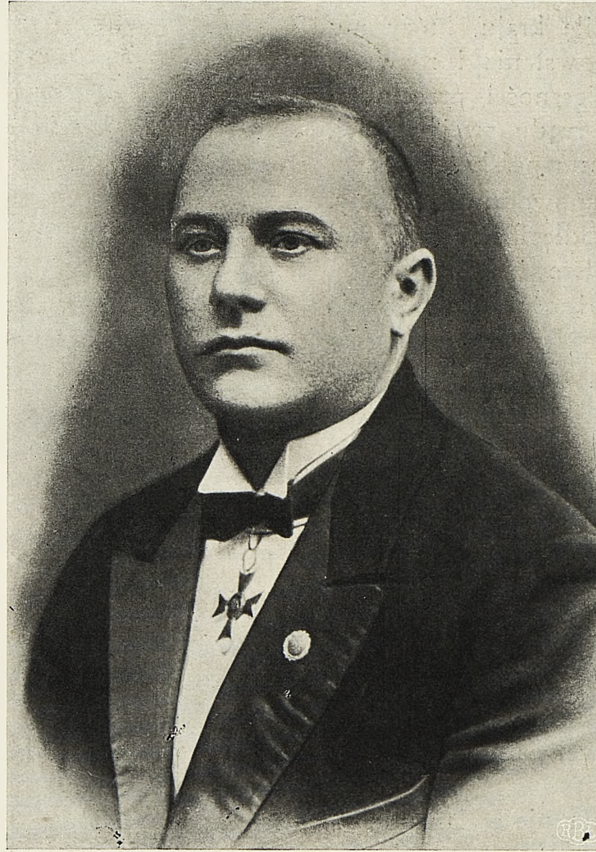


Pamiątkowa tablica 3 Maja 1916 roku umieszczona w Katedrze

PRZYSZŁOŚĆ ŁODZI

Jeden z angielskich publicystów, zwiedzając w roku ubiegłym Łódź, wypowiedział charakterystyczne zdanie o naszem mieście: „Jeżeli ktoś chce poznać przeszłość Polski, winien zwiedzić Kraków, teraźniejszość odzwierciadła Warszawa, przyszłość polski, Łódź.

Uprzemysłowiona Polska to potęga państwa, to amerykanizacja naszej produkcji, to wykorzystanie należyte naszych bogactw naturalnych, to wyższy poziom kulturalny oraz dobrobyt ludności. Łódź stanowi niezbędne ogniwo w ustroju państwowym Polski.



Aleksy Rżewski
Pierwszy Prezydent m. Łodzi, obecny Starosta

Państwo nasze bez silnych ośrodków przemysłowych byłoby kaleką, zdaną na łaskę obcych. Łódź to stolica polskiego proletarjatu, forteca rodzimego przemysłu, warsztat pracy twórczej. „Złem miastem" jest Łódź dla ludzi przeszłości, dla przewrażliwionych schyłkowców, których przeraża przyśpieszone tętno życia współczesnego, dla ludzi słabych, których niepokoją: przemysł fabryczny i rozwój miast.

W Łodzi, w turkocie wrzecion, w pędzie transmisji i huku motorów, tworzą się i wzrastają te wartości gospodarcze, na których podstawie świat dzisiejszy ocenia przedewszystkiem rozwój i potęgę państwa. Minęły czasy romantyzmu orężnego, dziś wytwory przemysłowe podbijają, jak ongiś oręż, coraz to nowe przestrzenie dla ludzkiej pracy i ducha. Łódź rozsławia imię polskie po całym świecie. Na dalekich przestrzeniach Syberji, Mandżurji, Persji, Afganistanu, Turkiestanu, Bucharu i Chin, wytwory polskiej pracy zdobywały sobie mir i uznanie. Zależność miasta od wsi polskiej i odwrotnie, jest koniecznością życia gospodarczego. Zły stan rolnictwa odbija się ujemnie na pojemności rynku wewnętrznego, maleje i kurczy się zapotrzebowanie na narzędzia rolnicze, towary, produkty rynku miejskiego. Kwitnący stan rolnictwa przyczynia się do rozwoju warsztatów pracy miejskiej i jest jednym z najważniejszych czynników uprzemysłowienia kraju. Wieś wytwarza produkty roślinne i zwierzęce, a więc to, co jest podstawą naszego wyżywienia. Z aprowizacyjnego punktu widzenia, miasta muszą się interesować rozwojem kultury rolnej na wsi i dbałością o należyty rozwój rolnych warsztatów pracy.

Łódź w roku 1910 obejmowała 1/3 produkcji całego b. zaboru rosyjskiego i zatrudniała 1/4 ogółu robotników fabrycznych.

W dziedzinie przemysłu włókienniczego na Łódź przypadało 2/3 produkcji całego zaboru rosyjskiego.

Łódź stanowi ośrodek przemysłu, który rozsiadł się w szerokim promieniu i ogniskuje głównie w pobliskich miastach: Zgierzu, Pabjanicach, Ozorkowie, Zduńskiej Woli, Tomaszowie i innych.

W roku 1919 liczba zakładów fabrycznych wynosiła 1975, robotników 207.800, wartość produkcji 429,3 miljonów rubli.

Wojna światowa sparaliżowała przemysł łódzki, znajdujący się w pełnym rozkwicie.

Ludności ubyło 150 tysięcy, najtęższe siły robocze wciągnięte zostały w wir wojny, a cios najcięższy zadała Łodzi gospodarka niemieckich władz okupacyjnych. Zrabowano i wywieziono surowce i gotowe towary. Dla kilku kilogramów miedzi niszczono najcenniejsze maszyny. Wyzwolenie ojczyzny w r. 1918 zbudziło do nowego życia przemysł łódzki.

W ciągu roku odbudowano fabryki i maszyny, a po otrzymaniu węgla i surowców, rozpoczęła się syzyfowa praca odbudowy gospodarczej naszego miasta.

Rozwój gospodarczy państwa zależny jest od najintensywniejszego uprzemysłowienia kraju.

Niezależność polityczna jest fikcją bez niezależności ekonomicznej. Rozkwit miast toruje drogę wzmożonej wytwórczości rodzimej. Z tego punktu widzenia Łódź musi odegrać w przyszłości wybitną rolę i wraz z innemi ośrodkami przemysłowemi utrwalić niepodległość ekonomiczną Państwa.

Aleksy Rżewski.



Gmach Szkoły Zgromadzenia Kupców m. Łodzi

Z ROZWOJU SZKOŁY

GIMNAZJUM MĘSKIE ZGROMADZENIA KUPCÓW M. ŁODZI

W roku 1898 została założona 7 Kl. Szkoła Handlowa Zgromadzenia Kupców m. Łodzi. Pierwszy impuls do założenia szkoły dał pan Władysław Wścieklica, ówczesny sekretarz Komitetu Handlu i Przemysłu, który zapoznał członków Komitetu z wymienioną ustawą.

Myśl tą poparł Prezes Urzędu Starszych pan Edward Herbst; zabiegi zaś koło otwarcia i zorganizowania szkoły ujął w energiczne dłonie właściwy jej twórca, pan Jan Alfons Surzycki.

Na pierwszego dyrektora szkoły upatrzono zasłużonego pedagoga, pana Ksawerego Służewskiego. Petersburg jednak na dyrektora-Polaka stanowczo nie zgodził się i zatwierdził Rosjanina p. Eugenjusza Garszyna. Szkoła mieściła się w wynajętym gmachu, odpowiednio do wymagań higjeny przerobionym, przy ul Dzielnej Nr. 41.

Rada Pedagogiczna liczyła 15 osób personelu, w tem 10 Polaków, z prefektem, obecnym Księdzem Biskupem Wincentym Tymienieckim.

Uczelnia rozwijała się normalnie, nie odczuwała żadnych braków, wszystkie potrzeby jej były zaspakajane; żadne wydatki nie przerażały opiekunów szkoły, o ile mogły przyczynić się do podniesienia jej wartości naukowej.

W roku 1904/5 szkoła liczyła 16 oddziałów z 567 uczniami. W tym roku wybuchł strajk szkolny i szkoła, zrzuciwszy z siebie zewnętrzną powłokę rosyjską, wyrzekłszy się wszelkich praw państwowych, przeprowadziła reformę i stała się placówką polską. Nastąpiło to w końcu grudnia 1905 roku. Na dyrektora powołano p. J. J. Boguskiego, obecnie znanego i cenionego profesora politechniki warszawskiej.



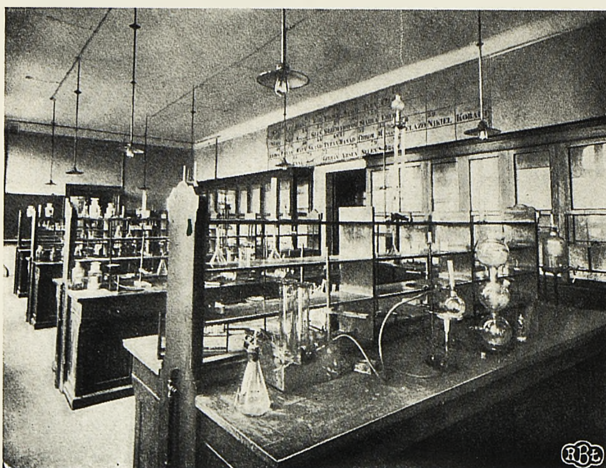
Dyr. Antoni Idźkowski



Sala konferencyjna



Zbiory fizyczne



Laboratorjum chemiczne

Od 1907/8 roku przez 13 lat dyrektorem szkoły był p. Wacław Kloss, obecny dyrektor Państwowego Gimnazjum im. Władysława IV-go w Warszawie.

Kupiectwo Łódzkie, w dążności do stworzenia szkole jak najlepszych warunków pracy, postanowiło wybudować własnym sumptem gmach szkolny, któryby odpowiadał wszelkim wymaganiom higjeny i wymogom pedagogicznym. Zakupiono od miasta obszerny teren w sąsiedztwie parku miejskiego, pod względem zdrowotnym możliwie najidealniej położony i zbudowano kosztem 350 tysięcy rb. wspaniały budynek, a zaopatrzywszy go we wszelkie potrzebne pomoce naukowe, oddano w roku 1911 na użytek uczelni. Duże, widne klasy, szerokie, przestronne korytarze, audytorja chemiczne i fizyczne, pracownie oddzielne dla chemji, fizyki i przyrody, sala gimnastyczna, duży, niczem nie zasłonięty dziedziniec szkolny, oto pierwszorzędnego znaczenia cechy, któremi odznacza się gmach Szkoły Zgromadzenia Kupców m. Łodzi.

Szkoła jest zaopatrzona we wszelkie potrzebne pomoce naukowe ze wszystkich dziedzin nauczania. Gabinety fizyczny i chemiczny posiadają bogate zbiory przyrządów do demonstracji zjawisk fizycznych i do praktycznych zajęć uczniowskich. Przeszło dwustu uczniów otrzymuje komplety naczyń do prac laboratoryjnych z chemji i towaroznawstwa.

Nauka przyrody korzysta z bardzo licznych okazów zoologicznych, preparatów anatomicznych i zbiorów mineralogicznych, mieszczących się w specjalnem Muzeum Przyrodniczem. Niepodobna przy wyliczeniu pominąć wspaniałego, drugiego największego w Polsce co do ilości i prawie że kompletnego zbioru motyli i owadów. Praktyczne zajęcia z tego przedmiotu odbywają się w pracowni przyrodniczej, urządzonej według najnowszych wymagań tej dziedziny nauki. Kilkanaście mikroskopów umożliwia prowadzenie prac mikroskopowych.

Bibljoteka szkolna posiada 14.000 tomów, z czego na dział naukowy przypada 8.000 tomów, pozostałe 6.000, to zbiór bibljoteczek uczniowskich, usystematyzowanych według klas i przedmiotów. Bogactwo bibljoteki nauczycielskiej polega nietylko na poważnych dziełach naukowych, pochwalić się ona może rzadkiemi, cennemi „białemi krukami".

Szkoła posiada własną kaplicę, ołtarz-tryptyk według projektu architekta Stryjeńskiego i obraz Matki Boskiej — dzieło Stryjeńskiej.

Do programu wychowawczego wcieliła szkoła zadanie uspołecznienia oraz wyrobienia i umocnienia w młodzieży zmysłu oszczędnościowego.

Do powyższych celów zdąża przez rozwijanie instytucji, t. zw. „Samopomocy Uczniowskiej"



Ołtarz szkolny

i jej agendy, Kasy Oszczędności. Jest nadzieja, że, prócz rozwinięcia uczuć altruistycznych, szkoła zdoła zapoznać swych wychowanków dokładnie z wartością pieniądza oszczędzanego i ułatwi w ten sposób młodzieży dalsze kształcenie się na uczelniach wyższych w warunkach normalniejszych.

Siedmioklasowa Szkoła Handlowa Zgromadzenia Kupców, mimo że posiadała program, szczególniej w zakresie chemji, matematyki i przyrody tak wysoki, iż jej wychowankowie w roku 1911, jeszcze za czasów rosyjskich, uzyskali prawo studjów na uniwersytetach w Austrji, Szwajcarji, a nawet w Anglji, pod naciskiem władz okupacyjnych niemieckich była zmuszoną otworzyć klasę ósmą i zmienić nazwę szkoły na matematyczno-przyrodniczą.

Wtedy Zgromadzenie Kupców, nie chcąc wyrzec się myśli, która zrodziła szkołę, mianowicie dania miastu przemysłowemu i handlowemu, jakiem jest Łódź, a przez nią i krajowi, światłych i wykwalifikowanych pracowników w dziedzinie przemysłowo-handlowej, utrzymało dawny program przy zmianie (jedynie dla użytku władz okupacyjnych) nazwy, co stwierdza Najwyższy Trybunał Administracyjny w wyroku swym w sprawie dodatków do patentów.

Utrzymanie dawniejszego programu handlowego, miało być z czasem, wobec spodziewanego osłabnięcia agresji ze strony okupantów i dzięki funduszowi z patentów, podstawą dla utworzenia instytutu handlowo-towarowego o typie wyższej uczelni.

Kupcy bowiem w Łodzi, traktując szkołę jako swoje dzieło, widzieli w niej zawsze tylko jeden ze stopni szkolnictwa handlowo-przemysłowego, które stworzyć zamierzali w kraju, czemu przeciwdziałały władze okupacyjne, a co właśnie mogło nastąpić w wolnej Ojczyźnie.

Największą zasługę położyli przemysłowcy i kupcy łódzcy około sprawy oświaty, kiedy podczas okupacji niemieckiej zmusili okupantów do pobierania od przemysłu i handlu przeznaczonych dla szkoły dodatków do patentów, czego władze niemieckie pobierać nie chciały, zamierzając w ten sposób doprowadzić do upadku tę potężną placówkę oświatową, przygotowującą młode pokolenie do walki konkurencyjnej z handlem i przemysłem niemieckim.



Gabinet przyrodniczy

Ani obumarcie handlu i przemysłu, ani niepopularność tego podatku, wobec wyschnięcia źródeł dochodu, nie powstrzymały Zgromadzenia Kupców m. Łodzi od ofiar, które były niewątpliwie większe, aniżeli przy założeniu szkoły, a to ze względu na różnicę ciężaru gatunkowego pieniądza w czasie rozkwitu Łodzi i w czasie zaniku życia ekonomicznego.

Należy zwrócić uwagę jeszcze na jeden fakt, który najprawdopodobniej niema sobie równego w Polsce pod tym względem.

Chcąc dla szkoły zdobyć jak najlepsze siły pedagogiczne i dać im odpowiednie warunki do pracy, ukończono w 1926 roku olbrzymi czteropiętrowy budynek mieszkalny dla nauczycieli. Dokonano tego w najcięższych chwilach gospodarczego zastoju.

Obecny personel pedagogiczny szkoły składa się z 27 osób, na czele z dyrektorem Antonim Idźkowskim, powołanym na to stanowisko w roku 1920.

Członkami Rady Opiekuńczej są obecnie pp. Dr. Marceli Barciński, Dyr. Paweł Biederman, Insp. szkoły Piotr Gorczykowski, Dyr. Włodzimierz Horodyński, Mieczysław Hertz, Dyr. Antoni Idźkowski, Dyr. Ludwik Koral, Dyr. Karol Zaleski, prezesem zaś długoletni, bo od roku 1906 członek Rady opiekuńczej, p. Wilhelm Hordliczka.



Korytarz szkoły



Dom Juljusza Kindermana

jeden z piękniejszych stylowych gmachów Łodzi

MUZEUM MIEJSKIE

ZADANIA I PRZYSZŁOŚĆ TOW. NAUKI I SZTUKI

Dzieje muzeum w Łodzi wiążą się ściśle z pracą oświatową, jaką zakreśliło sobie grono osób, tworząc tego rodzaju placówki kulturalne, jak Tow. Naukowe, Tow. Krzewienia Oświaty, Tow. Muzeum Nauki i Sztuki, Tow. Bibljoteki Publicznej i t. p.

Myśl stworzenia muzeum na terenie miasta Łodzi, kiełkowała od dawna, jednakże formę realną przyjęło po wystawie antyalkoholowej w roku 1910 na wniosek D=ra Przedborskiego. Zorganizowane Tow. Muzeum Nauki i Sztuki zebrało pierwsze eksponaty, ofiarowywując swój drogocenny czas i ciężko zapracowany grosz na stworzenie zaczątków muzeum.

Pomimo trudności, praca postępowała w nadzwyczajnym tempie, wystarczy nadmienić, że w ciągu roku t. j. dn. 1 kwietnia 1911 r. nastąpiło uroczyste otwarcie muzeum w lokalu wynajętym przy ul. Zielonej 8.

Ze względów politycznych Muzeum Nauki i Sztuki przyjęło zupełnie inny charakter, jaki powinno było sobie zakreślić. Kryjąc się przed czujnem okiem zaborcy, trzeba było, na pierwszym planie, krzewić ducha polskiego i walczyć z analfabetyzmem. Muzeum musiało ułatwiać i uzupełniać działalność pokrewnych instytucji oświatowych, przeto gromadzono okazy wszelkiej wartości a skupywano eksponaty i pomoce szkolne, ułatwiające tem działalność niektórych towarzystw oświatowych.

W kilka miesięcy napełniły się sale okazami z różnych dziedzin wiedzy. Potworzono działy jak: przyrodniczy, etnograficzny, historyczny i gabinet fizyczny. Na specjalną uwagę zasługiwało urządzenie gabinetu fizycznego, w którym rozmieszczono przyrządy na wzór berlińskiej „Uranji"; co dało możność zwiedzającym samodzielnie wykonywać wszystkie nieomal doświadczenia na przyrządach, ustawionych wzdłuż ścian.

Zainteresowanie instytucją wzrastało z dnia na dzień. Zbiory powiększały się, a lokal szczuplał, tak że Zarząd zmuszony był szukać obszerniejszą siedzibę.

W roku 1913 przeniesiono zbiory do nowego lokalu przy ulicy Piotrkowskiej 91. Mając do dyspozycji 4 duże sale, zdawało się, że rozwinie się działalność Towarzystwa.

Zebrane około 1000 eksponatów rozmieszczono po salach, przyczem jedną przeznaczono na ruchomą wystawę sztuk plastycznych, jak i eksponaty z różnych dziedzin wiedzy, za pomocą których oddziaływano na życie kulturalne Łodzi. Znaczenie tego dzieła wzrośnie, jeżeli zaznacze na krótki czas Towarzystwa, urządzono następujące wystawy:

7 wystaw prac różnych malarzy polskich jak Pankiewicza, Łubieńskiego i w. innych. Wystawa p. t. „Ruiny Francji", 3 wystawy sztychów, 4 wystawy plakatów; wystawę konkursową fotografji artystycznej; wystawę entomologiczną z konkursem preparowania owadów i wielką wystawę retrospektywną malarstwa polskiego, jako mająca być zaczątkiem stałej wystawy w Łodzi.

Wojna wszechświatowa przerwała pracę Towarzystwa. Muzeum N. i Szt. zamknięto na szereg miesięcy. Dopiero po ustaleniu się warunków bytu, rozpoczęto pracę na nowo. Lata wojny zachwiały istnieniem muzeum, gdyż mieszkańcy Łodzi skierowali całą swą ofiarność ku celom, związanym z wojną.

Składki, z jakich utrzymywało się muzeum, przestały napływać. Trzeba było kołatać do zarządu miasta, aby pokrywało niedobory budżetu Tow. O kompletowaniu zbiorów mowy nie było.

Nareszcie i Magistrat m. Łodzi odmówił subsydjum.

Nie widząc wyjścia w tak trudnej sytuacji i nie chcąc dopuścić do zniszczenia owocu kilkuletniej pracy kulturalnej, postanowiono zwrócić się do Magistratu m. Łodzi o umiastowienie zbiorów.

1 września 1923 roku miasto przejęło zbiory od Towarzystwa. Polepszyły się warunki o tyle, że zapewniono egzystencję, jednakże zahamowała się praca, przez oddanie 2 sal wystawowych, przeznaczonych na powiększenie zbiorów.

W związku z oddaniem sali, zlikwidowano gabinet fizyczny.

Jako instytucja miejska zmieniono charakter muzeum, a mianowicie: postanowiono gromadzić okazy o charakterze regjonalnym t. j. zobrazować poglądowo odbicie tego co znajduje się na terenie okręgu łódzkiego, biorąc pod uwagę człowieka, kulturę i przyrodę.

Łódź, w styczniu 1928 r.



Charakterystyczny gmach fabryczny

„Eiserta i Schweikerta" przy ul. Gdańskiej



II-gi Oddział Ł. O. S. O. przed wyruszeniem na miasto

ŁÓDZKA STRAŻ OGNIOWA OCHOTNICZA

W roku 1873 przemysłowiec łódzki, ś. p. Ludwik Grohman, utworzył pierwszy w swoich zakładach przemysłowych doraźną pomoc przeciwpożarową w postaci zorganizowanego zespołu z grona pracowników fabryki.

Dalsze podjęcie inicjatywy stworzenia racjonalniejszej obrony przeciwpożarowej dla miasta przypisać należy obywatelskiemu stowarzyszeniu strzelców (Bürger-Schützengilde). Członkowie tego stowarzyszenia, istniejącego już wówczas od lat 50-ciu, ś. p. Leopold Zoner i Robert Wergau, zamierzali w końcu roku 1874 zorganizować z grona członków stowarzyszenia „strzelecką straż ogniową“. W następstwie projektu tego w takiej formie zaniechano i w krótkim czasie z inicjatywy towarzystwa, a szczególnie dzięki niepospolitej energji i niestrudzonym zabiegom wyżej wzmiankowanych ś. p. Leopolda Zonera i Roberta Wergau'a, myśl założenia straży pożarnej ochotniczej spopularyzowano wśród obywateli miasta i niebawem powołano komitet organizacyjny.

Komitet odbył z udziałem obywateli miasta kilka zebrań przygotowawczych, zachęcając za pośrednictwem prasy młodych ludzi do wstępowania w szeregi organizującej się straży.

Rząd rosyjski, wrogo odnosił się do powstającej organizacji społecznej, i przy każdej sposobności sprawiał różne trudności. Do czasu naprzykład otrzymania oficjalnego zatwierdzenia ustawy policja wielokrotnie zatrzymywała i szykanowała strażaków, śpieszących z zapałem w mundurach na ćwiczenia lub do pożarów. Wskutek tych szykan zarząd na posiedzeniu w dniu 12-ym stycznia 1876 roku ponownie postanowił zabronić członkom czynnym noszenia narazie mundurów. Pomimo wszystkich tych trudności praca i energja zarządu przy organizowaniu drużyny strażackiej i nadzwyczajny zapał członków czynnych przyczyniały się do szybkiego postępu prac.

W końcu roku 1875 Łódzka Straż Ogniowa Ochotnicza posiadała już potrzebną ilość narzędzi do sprawnego działania oraz zorganizowaną i umundurowaną drużynę.

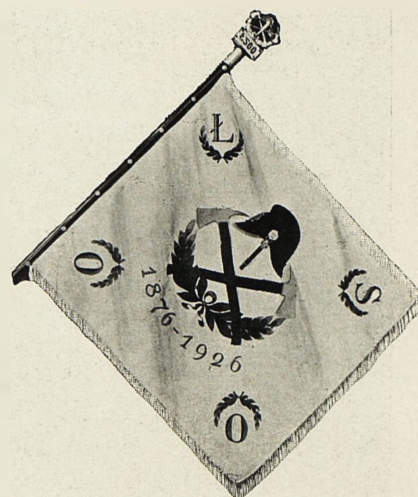
Z powodu jednak niezatwierdzenia przez odnośne wyższe władze ustawy straży,



Alarm







Ludwik Grohman

Założyciel i pierwszy Komendant Łódzkiej Straży Pożarnej

miejscowe władze administracyjne nie zezwalały na żadne zbiorowe wystąpienia straży w mundurach czy to przy pożarach, czy też przy ćwiczeniach.

Rządy rosyjskie, zwłaszcza wówczas po zgnieceniu swą przemocą liczebną powstania 1863 r., starały się wszelkiemi siłami zahamować ogólne dążenia do organizowania i zrzeszania się, czego bali się zaborcy gorzej niż ognia. Lecz przeciwdziałanie nie odnosiło skutku, gdyż dzięki swej ogólnej wytrwałości i ofiarności, społeczeństwo zdołało i na polu pożarnictwa ojczystego pokonać wszystkie usiłowania najeźdźców i dopiąć wytkniętych celów.

Ze względu na rozległość miasta, ciągnącego się wąskim, kilkukilometrowym długim pasem, przeważnie wzdłuż ulicy Piotrkowskiej, tak zwanej „Linji przędzalniczej" i wspomnianej „Linji Czeskiej", korpus czynnych członków Łódzkiej Straży Ochotniczej zorganizowano nie według systemu ogólnie stosowanego w strażach ochotniczych, lecz zgodnie ze wskazaniami organizacyjnemi instruktora Hauera z Wiednia. Nie formowano bowiem oddziałów ze specjalnem przeznaczeniem, lecz stworzono wspomniane 3 poszczególne oddziały w ten sposób, iż każdy stanowił samodzielną całość. Dzięki tej umiejętnej, zastosowanej do warunków miejscowych i zachowanej do dzisiejszego dnia nowej formie organizacji, Łódzka Straż Pożarna Ochotnicza, odrazu stanęła na poziomie zawodowych straży pożarnych wielkomiejskich.



Juljusz Jarzębowski

Prezes Łódzkiej Straży Pożarnej



Dr. Alfred Grohman

Komendant Łódzkiej Straży Pożarnej



Wyjazd straży z remizy

Pierwszy natomiast „chrzest ogniowy“ otrzymała młoda drużyna dnia następnego t. j. 20-go maja 1876 r.

Dużo zyskała Łódzka Straż Ogniowa przez założenie w dniu 10-ym czerwca 1884 r. fabrycznej straży ochotniczej przy zakładach przemysłowych Tow. Akc. Karola Scheiblera. Straż ta, utrzymywana wyłącznie na koszt firmy, dzięki hojności swego szefa-założyciela, zaopatrzona została obficie w najnowsze narzędzia pożarne i przyłączyła się do Łódzkiej Straży Ochotniczej, jako V-ty oddział. W kilka lat później, dn. 18-go marca 1890 r. Tow. Akc. I. K. Poznańskiego, założyło również straż fabryczną, przyłączając się do istniejącej instytucji jako VI-y oddział. Wzmiankowane fabryczne oddziały wyjeżdżają na wezwanie do każdego większego pożaru w mieście i wtedy podporządkowywują się zarządzeniom i rozkazom komendanta Łódzkiej Straży.

Głównem źródłem dochodów Łódzkiej Straży były na początku dobrowolne składki fabrykantów i obywateli miasta, zbierane przez honorowych inkasentów. Magistrat miasta po długotrwałych zabiegach zdobył się wreszcie na wyznaczenie pensji w wysokości 90 rubli rocznie dla 1 sikawkowego przy dwóch miejskich sikawkach, które przekazano do użytku straży. Znikomą tą sumę w porównaniu do budżetu straży wypłacano corocznie zarządowi. Wszystkie późniejsze starania zarządu o otrzymanie od miasta odpowiedniego, stałego zasiłku dla straży, były podczas rządów rosyjskich bezskuteczne.

Z biegiem czasu jednak ofiarność publiczna zmniejszyła się. Z drugiej zaś strony wydatki rosły w stosunku do rozwoju miasta i straż nie mogła sprostać obowiązkom, jakie ciążyły na niej z uwagi na rozrastający się stale przemysł i nieustanną rozbudowę miasta. Do uzyskania przymusowych opłat obywateli na utrzymanie straży, zarząd nie mógł się zdecydować, pomimo, że na zasadzie rozporządzenia byłego Namiestnika Królestwa Polskiego z d. 15-go czerwca 1819 r. miał ku temu podstawy prawne, uważał bowiem, iż obywatelska straż ochotnicza nie powinna zastosowywać do swych współobywateli jakiegokolwiek przymusu. Powołano zatem w roku 1881 finansowy komitet obywatelski i starano się wspólnie z inkasentami honorowymi wpłynąć moralnie na współoby-



Próba węży motorowych

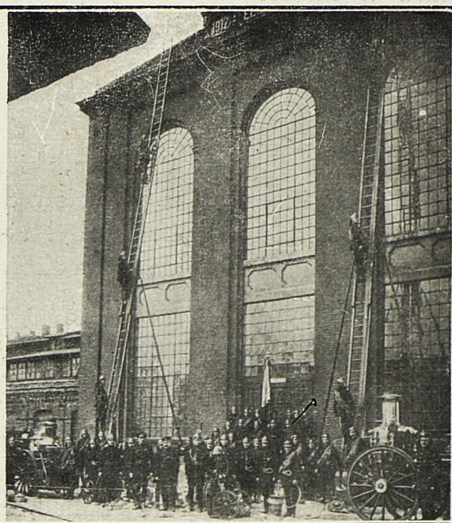


Dom Inwalidów Straży Ogn. Ochotn. w Łodzi.

wateli, aby zasilić pustą kasę straży. Dążenia te odniosły pożądany rezultat. Składki dobrowolne i ofiary wpływały znowu hojniej i zarząd na pewien czas pozbył się kłopotów finansowych.

Z inicjatywy ówczesnego komendanta i prezesa zarządu Ludwika Meyera, zarząd wystąpił w roku 1894-ym do władz Tow. Kredytowego miasta Łodzi z umotywowanym memorjałem, w którym prosił o udzielenie znaczniejszego stałego zasiłku na utrzymanie straży w zamian za obowiązkowe dostarczanie (na zasadzie prawa obowiązującego) narzędzi do pożarów przez zrzeszonych w Tow. Kredytowem właścicieli nieruchomości. Walne zebranie T-wa Kredytowego, po wysłuchaniu ustnego umotywowania wniosku przez prezesa i komendanta straży, L. Meyera, postanowiło: z osiągniętych oszczędności budżetowych udzielać straży





Ćwiczenia VI-go oddziału Straży Ogniowej



„Księży Młyn" Przędzalnia K. Scheiblera i L. Grohmana

stałego zasiłku rocznego w sumie 10.000.— rubli. Dnia 14-go maja 1901 roku Łódzka Straż Pożarna Ochotnicza obchodziła uroczyście jubileusz 25-ciolecia swego istnienia. Liczny zjazd przedstawicieli straży ochotniczych z całego b. Królestwa był najlepszym dowodem sympatji i uznania, jaką się cieszyła straż w szerokich kołach działaczy pożarniczych Polski. Po uroczystych nabożeństwach w kościołach katolickim i ewangielickim, nastąpił przemarsz drużyn przez miasto z delegacjami na czele. Wszyscy mieszkańcy ówczesnej Łodzi byli na nogach i wybiegali przy pierwszych dźwiękach orkiestr na ulicę, radośnie witając jubilatkę i obsypując strażaków kwiatami z balkonów i okien.



Członkowie II-go oddziału po odbytych ćwiczeniach na nowo sprowadzonych drabinach mechanicznych

W tych najtrudniejszych czasach, jakie Łódź przeżywała, obywatele miasta mieli sposobność przekonania się, czem była i czem jest dla nich obywatelska Straż ochotnicza. Wszyscy odwoływali się wówczas o pomoc do Straży. Tu bank, szturmowany przez klijentów domagających się zwrotu wkładów, wzywał pomocy Straży, tam szumowiny podmiejskie po ustąpieniu policji przystąpiły do rabowania magazynów kolejowych, gdzie również odwołano się do Straży o pomoc. Słowem wzywano Straż wszędzie, gdzie tylko groziło jakie niebezpieczeństwo, lub zagrożony był spokój publiczny półmiljonowego miasta.

Rosjanie bowiem dopiero w ostatniej chwili przed swem ustąpieniem dopuścili do ukonstytuowania się Komitetu Obywatelskiego i miasto po ewakuacji zaborców pozostało bez służby bezpieczeństwa.

Straż wszędzie i zawsze w miarę sił i możności śpieszyła z pomocą tym, którzy się do niej o tę pomoc odwoływali.

Okres wojny światowej stanowi też w dziejach Łódzkiej Straży Ochotniczej jedną z chlubniejszych kart.

Obecnie Straż Łódzka stanowi największą placówkę obrony pożarowej w całem Państwie. W razie dużego pożaru może stanąć do walki z żywiołem 750 strażaków, gotowych oddać swe życie w obronie współobywateli.



Ćwiczenia IX-go oddziału

Przyszły gmach Teatru Miejskiego w Łodzi pg. projektu prof. C. Przybylskiego

TEATR POLSKI W ŁODZI

Z KRÓTKIM ZARYSEM RETROSPEKTYWNYM

Jedną z najciekawszych, najbardziej charakterystycznych placówek Łodzi, był zawsze i będzie teatr polski.

Od najwyższych szczytów, rozkwitu promieniującego na wszystkie sceny polskie, do najsmutniejszego upadku sztuki, notuje skrzętnie kronika teatru polskiego najróżnorodniejsze momenty w annalach swego bytowania w Łodzi.

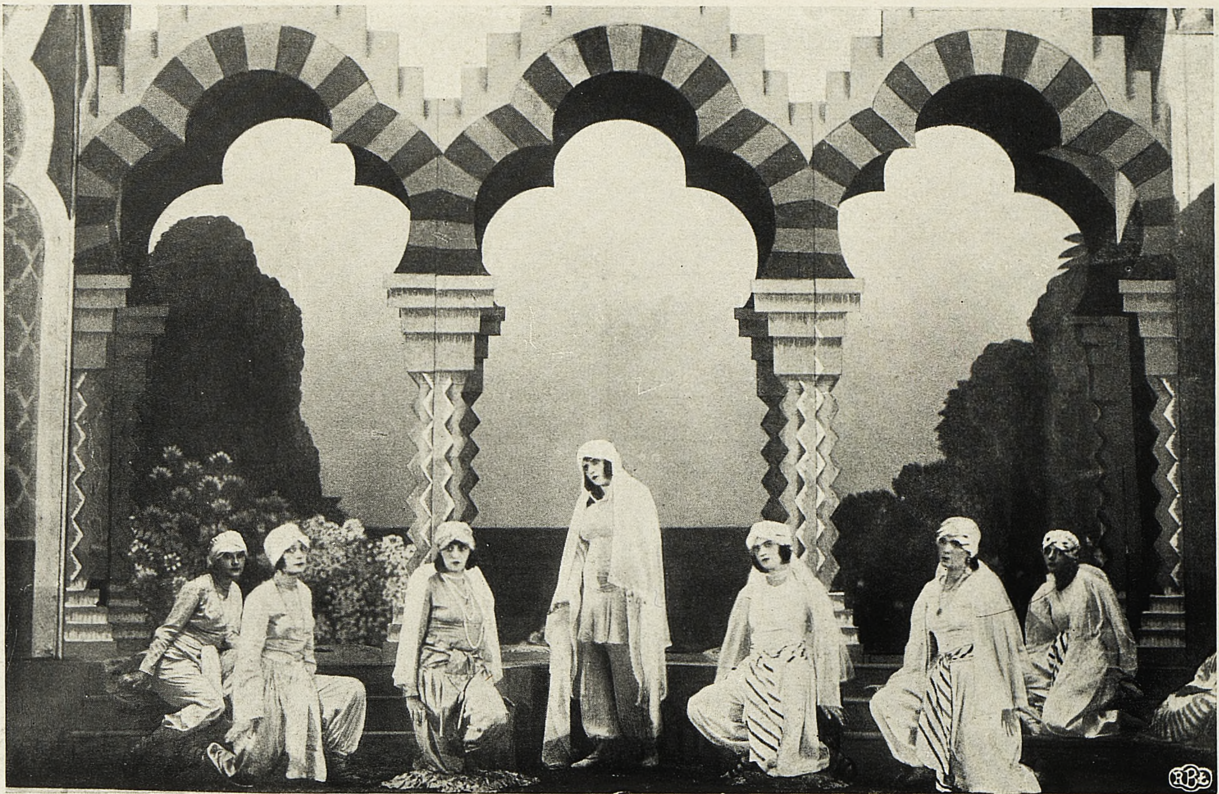
Zanim podamy sprawozdawcze dane z obecnego sezonu, niezwykle, powiedzmy to na wstępie, szczęśliwego pod każdym względem, bo i artystycznie i materjalnie, dyrekcji Bolesława Gorczyńskiego, cofnijmy się nieco wstecz by choć w skrócie dać krótki rys historji sceny polskiej w Łodzi.

Nie będziemy wspominać pierwszych poczynań amatorskich ni prób dyletancko-pionierskich z lat tysiąc osiemset pięćdziesiątych w Paradyżu, a nawet jeszcze wcześniejszych.

Były to wysiłki maluczkie, niejednokrotnie a raczej prawie zawsze oparte na imprezach



Bolesław Gorczyński
znany dramaturg, dyrektor Teatrów Miejskich w Łodzi



„Książę Niezłomny“ Feniksana (Irena Grywińska) w otoczeniu służebnic



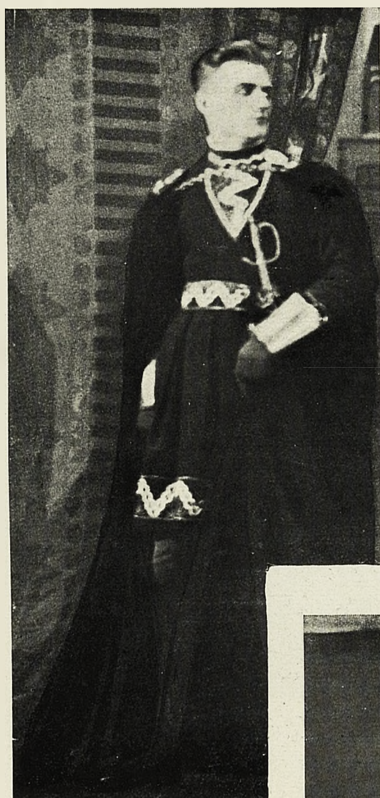
I. Grywińska i J. Osterwa
w „Księciu Niezłomnym“

merkantylnej natury. Kroniki urywkowo, niejasno podają, pozbawione ciągłości, nie sezonowe, lecz na tygodnie, szereg wieczorów zaledwie, obliczone gościnne przedstawienia, przyjezdnych zespołów dramatycznych.

Pierwszym teatrem z prawdziwego zdarzenia był zespół krakowski, który w roku 1857 zjechał do Łodzi, pod dyrekcją Anatola Pfajfra i tak poziomem przedstawień, jak doborem sztuk oraz gronem sił aktorskich zaimponował Łodzi, przetrwał aż dziesięć przedstawień i w ten sposób niejako zapisał pierwszą kartę w dziejach teatru polskiego. Grano wtedy w Paradyżu i jak legenda głosi, z niezwykłym sukcesem. Po kilku latach około 1865 w ogródku przy ul. Konstantynowskiej wybudował znany z swej przedsiębiorczości „stary Selin“ drewniany teatrzyk i rozpoczął na własną rękę, z przygodnie dobraną trupą aktorów przedstawienia.

Teatrzyk był mały, z boków otwarty, grano tylko w lecie i przy pogodzie. Prowadzenie zależne było od tylu najrozmaitszych szczęśliwych zbiegów okoliczności, że dziwić się należy, jak jednak impreza ta, acz kulejąc, lat parę przetrwała.

Wreszcie zlitowały się losy nad sceną polską, w roku 1867 zjechał do Łodzi Anastazy Trapszo, z własną trupą, dekoracjami, repertuarem i od





Po lewej stronie:

L. Lisowski

jako Don Juan w „Księciu Niezłomnym"

Po prawej stronie:

D. Damięcki

Don Henryk w „Księciu Niezłomnym"



Juljusz Osterwa

„Książę Niezłomny"





Po lcwej stronie:

St. Janowski

jako król w „Księciu Niczłomnym"

Po prawej stronie:

Artur Kwiatkowski

jako Mulej w „Księciu Niezłomnym"



„Kredowe Koło". W pałacu Bogdychana. Dekoracja K. Mackiewicza

tej chwili, można już datować historję stałego teatru w Łodzi. — Następują kolejno po sobie dyrekcje znanych już nazwisk jak Grabińskiego, Łuby, Czartoryskiego, Marcelego Trapszy, Sarnowskiego. Selin sprowadza Adolfinę Zimajer, i zjeżdża w 1873 teatr poznański, wreszcie w 1877 w nowo wybudowanym teatrze Victoria (gdzie dziś Casino) rozpoczyna Józef Texel nową erę sceny polskiej w Łodzi. Niestety nie trwało to długo. Po likwidacji dyrekcji Józefa Texla, którego dużą zasługą była inicjatywa wzniesienia gmachu oraz niejako ustabilizowanie teatru polskiego w Łodzi, zaczęto się sprawą teatru poważniej interesować, wreszcie w 1888 r. grono miejscowej inteligencji zawiązało t. zw. Tow. Teatralne i ująwszy gospodarczą stronę w swe ręce, powołało na dyrektora znanego publicystę i dziennikarza Łucjana Kościeleckiego, rozpoczynając uroczystą inaugurację, nowy etap w rozwoju sceny łódzkiej.



„Kredowe Koło". Hai-Tang i Książę Tao
(Karolina Lubieńska i Franciszek Brodniewicz)

Nie naszą rzeczą, historja teatru łódzkiego, nie pozwalają nam na to ramy wydawnictwa, to też streścimy się do podania ważniejszych dat z przeszłości, by dojść do interesującego — sezonu dni naszych.

Z szeregu dyrekcji, które wybitnie zaznaczyły się w rozwoju sceny łódzkiej, i zresztą pamiętne są jeszcze łodzianom, wymienić tu należy: okres dyr. Józefa Kopczewskiego, Czesława Janowskiego, który umiał przez cztery lata



„Kredowe Koło". W herbaciarni

utrzymać teatr w swem ręku przy powodzeniu i niezwykle ożywionej frekwencji i zainteresowaniu publiczności.

Mniej szczęśliwym był Michał Wołowski, mimo że za jego dyrekcji poziom artystyczny stał na wysokim poziomie. — Henryk Grubiński, który rozpoczął przedstawienia w nowo wybudowanym Teatrze Wielkim, pod jak najlepiej wróżącemi auspicjami, po niezwykle uroczystem inauguracyjnem przedstawieniu (1901 r.) na którem obecni byli Henryk Sienkiewicz i Siemiradzki, oraz niemal cała elita życia literacko-kulturalnego Warszawy, nie mógł się utrzymać w Wielkim Teatrze — i wrócił do Teatru Victoria.

I znów następuje nowy zwrot, zawiązuje się Tow. Miłośników Sceny — powołany na stanowisko dyrektora Marjan Gawalewicz, mimo usiłowań i wydatnej pomocy — zadaniu nie podołał. — Rozkwit i pełne powodzenie zdobywa dopiero A. Zelwerowicz, niestety katastrofa pożaru teatru Victoria w środku sezonu przerywa tak obiecująco rozpoczętą pracę. — Po przeniesieniu przedstawień do nowego, przebudowanego budynku przy ulicy Cegielnianej (gdzie i dzisiaj mieści się teatr miejski), znów zapowiada powodzenie — i znów teatr ten pada klęską pożaru.

Po tej katastrofie zaledwie po roku przerwy, wznowił teatr łódzki w 1912 r. przedstawienia, pod dyrekcją W. Maliszewskiego i A. Bednarczyka, jednak bez powodzenia, dopiero dyrekcja Bolesławskiego pomału zdobywać zaczęła publiczność doborem sił artystycznych jak repertuarem, niestety w 1914 wojna przerwała wszystko.



„Kredowe Koło". Scena sądu



Irena Horecka, jako żona Mandaryna Ma

Wprawdzie w r. 1915 podjęto usiłowania pod kierunkiem p. Szeffera, później 1916/17 przyłączył się do imprezy znany artysta p. Orliński i dzięki niemu podniósł się poziom artystyczny przedstawień o tyle, że przetrwano w najtrudniejszych warunkach do września 1917 r., w którym to sezonie objęli teatr Stanisławski i Frączkowski, wnosząc ożywczy prąd zapału i energji.

W r. 1918/19 rozpoczął sezon lubiany art. dram. p. Wład. Kindler i acz borykając się z trudnościami, przetrwał prócz sezonu zimowego do późnej jesieni.

Wreszcie w październiku 1919 r. miasto objęło gmach byłego teatru niemieckiego, teatr polski jako taki umiastowiono, powierzając dyrekcję p. K. Rychłowskiemu. W roku 1920 dyrekcję objął A. Zelwerowicz.

Po katastrofie pożaru, jakiemu z kolei uległ teatr „Thalia" kolejno dyrekcje obejmowali Noskowski, Barwiński wreszcie Pawłowski i Wroczyński.

Dyrekcje te nie wniosły walorów poważniejszej wartości, ale trzeba i przyznać, że teatr przy ul. Cegielnianej w ówczesnym stanie niezbyt się dla dodatnich eksperymentów nadawał.

Zwłaszcza sezon drugi dyrekcji Wroczyńskiego obniżył znacznie poziom przedstawień i repertuaru, tak że publiczność zupełną zdradzać zaczęła obojętność i teatr świecił pustkami. Wreszcie by uzdrowić teatr łódzki, postanowiono zwrócić się do znanego w Warszawie dyr. A. Szyfmana, by objął teatr łódzki.

Po krótkich acz żmudnych pertraktacjach, wreszcie umowa doszła do skutku i A. Szyfman rozpoczął sezon, przy literackim kierunku Bol. Gorczyńskiego, znanego chlubnie dramaturga i obecnego dyrektora scen miejskich w Łodzi.



K. Szubert, jako Wang, właśc. herbaciarni

Dyrekcja p. A. Szyfmana zawiodła oczekiwania, mimo olbrzymich subsydji, teatr dawał deficyt, i co gorsza, nie stał na tej wyżynie, której po dyr. Szyfmanie ogólnie się spodziewano.

Wreszcie zdecydowano powierzyć dyrekcję p. Bolesławowi Gorczyńskiemu. Przechodząc poniżej do szczegółowego ujęcia obecnego sezonu, zaznaczyć pragniemy, że retrospektywne ujęcie dotychczasowego istnienia teatru polskiego w Łodzi, uważaliśmy za konieczne, chociaż mimo skrótu, przekroczył znacznie zakreślone ramy.

W treści jednak dotychczasowej zauważyć się daje ciągła i nieustanna nić szarej troski, kłopotów i niepowodzeń w rezultacie.

A. K. S.

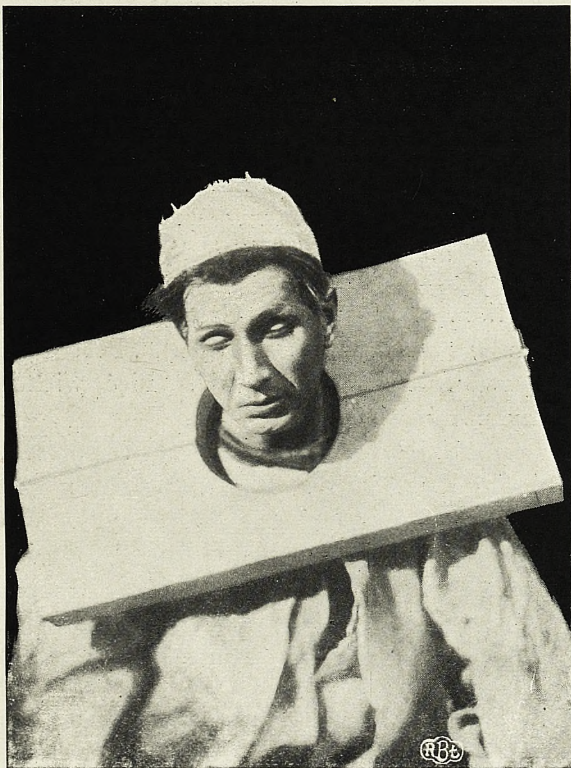
ROK 1927/8 W TEATRZE ŁÓDZKIM

Od pierwszej chwili powodzenie towarzyszy dyrekcji Bolesława Gorczyńskiego. Powodzenie to nie jest wynikiem przypadku, ani, jak się to w Łodzi zwykło mawiać, pomyślnej konjunktury.

Powodzenie, powtarzamy, teatru, a raczej teatrów miejskich w Łodzi, jest owocem wieloletniej sumiennej, iście benedyktyńskiej pracy kierownika obecnego, jest dziełem jego talentu w dziedzinie twórczej — pisarskiej, jego daru obserwacji i pogłębieniu środowiska oraz doświadczenia i znajomości rzeczy latami w teatrze zdobytej.

Gorczyński rozpoczynał sezon pod auspicjami z pod ciemnej gwiazdy.

Jakto?! Po Szyfmanie. Niemożliwe! „Napewno się wywali..".



Jerzy Woskowski, jako Wu-Li-Czang

Były zoile i „szengeisty", mędrcy biegli w piśmie, a też augurowie domorośli, którzy w chwili gdy Gorczyński formował zespół, tłukąc się po wagonach z krańca w kraniec Polski, zakładali się, że do Bożego Narodzenia nastąpi „krach" na całej linji.

Różne były nastroje. Macano grunt. „Hepać" — nie „hepać"?! Po błocie ulicy Cegielnianej człapali ludkowie na „inaugurację" z sceptycznym uśmiechem na ustach i z zatrutem piórem w zanadrzu. W teatrze przemówił Słowacki. „Książę Niezłomny" stanął w majestacie łańcuchów i grozie zgrzebnej koszuli.

Spiżowe słowo księcia poetów, zapał i wysiłek zespołu porwały tłum. Zrozumiano, że tu „nie da rady". Że można od czasu do czasu do czegoś przyczepić się, napsocić, psi figiel jakiś wyczynić, ale batalji wydawać niepodobna.

Bo na widowni pełno. Kluczy Ceuty nie oddało się byle komu.

Okrzyk:

„Czemu mi Ceuta nie zdana!"

trafił w próżnię. Steru Gorczyńskiemu nie zdołano wytrącić z rąk. Teatr trwa. I jest taki, o jakim się od lat w Łodzi nie śniło. Jest taki, że rozmachem, repertuarem, frekwencją, intensywnością roboty, czujnością i sprawnością stoi w Polsce na placówce niemal przodującej.

Wbrew „zakładom"! Wbrew żółciowcom! Wbrew malkontentom!

* * *

„Linja repertuarowa", ten konik, na którym lubi sobie pohasać, każdy z moich kolegów po piórze od Niemna do Noteci, przedstawia się w sposób następujący:



Kazimierz Kijowski, jako Mandaryn Ma



Zespół artystyczny Teatrów Miejskich w Łodzi



Marja Dąbrowska w „Grubych rybach“

„Książę Niezłomny“ (Słowacki — Calderon), „Kredowe Koło“ (Klabund), „Dziady“ (Mickiewicz), „Peer Gynt“ (Ibsen), „Wyzwolenie“ (Wyspiański). Pięć wielkich premjer w trzy miesiące!

A w interwallach, jako wypoczynek, cały współczesny repertuar polski i zagraniczny. Reprezentowani: Przybyszewski („Śnieg“), Kawecki („Fura słomy“), Wroczyński („Aby żyć“), Verneuil („Panna Flute“, „Azais“), Tołstoj („Kreutzerowska Sonata“), Tristan Bernard („Kawiarenka“), Bałucki („Grube ryby“), Bracco („Niewierna“), Perzyński („Lekarz Miłości“), Zapolska („Moralność Pani Dulskiej“).

Nie wspominamy tu o szeregu sztuk bądź wznowionych („W rajskim ogrodzie“, „Mecenas Bolbec“, „Proboszcz wśród bogaczy“, „Peg, moje serce“), bądź wystawionych okolicznościowo i dla specjalnej publiczności (bajki dla dzieci, ballady i piosnki ludowe dla młodzieży szkolnej), bądź przedstawień składanych z okazji uroczystości.

Pobieżnie jeno zaznaczyć wypada, że w ramach teatru przy ul. Cegielnianej było zbyt ciasno publiczności, aktorom i kierownictwu teatru.

Że pęd mas do teatru z jednej strony, a rozmach kierownictwa z drugiej, musiały tworzyć nowe placówki dla realizacji zamierzeń artystycznych i pojemności wrażeniowej publiczności.



Z. Dziewońska i T. Krotke



Janina Morska



A. Kwiatkowski i I. Grywińska

Tak sobie, z niczego tedy, mimochodem, zorganizowano teatr Kameralny, celem odciążenia placówki przy ul. Cegielnianej od komedji i sztuk t. zw. „salonowych“ (nieznośny balast repertuarowy teatrów mieszczańskich).

Teatr zaś przy ul. Cegielnianej w naszych warunkach i zamierzeniach — wielka scena łódzka — wyłącznie prawie poświęcony jest sztukom zespołowym ze skarbnicy wielkiego repertuaru.

Aczkolwiek dwa dni w tygodniu w teatrze tym przeznaczono dla zrzeszeń robotniczych, nie licząc przedstawień po cenach popularnych, popołudniowych i zniżonych — praktyka wykazała, że nie wystarcza to potrzebom najszerszych mas robotniczych. Tedy powstaje trzecia scena pod dyrekcją Gorczyńskiego — scena



Karolina Lubieńska urocza Hai-Tang

robotnicza w sali Zakł. Przemysłowych Scheiblera i Grohmana, o specjalnie i starannie opracowanym repertuarze, (w oprawie artystyczno-dekoracyjnej, w przygotowaniu reżyserskiem na poziomie centrali teatralnej przy ul. Cegielnianej).

* * *

Reasumując powiedziane wyżej: mamy trzy sceny — trzy równolegle pracujące, samodzielne teatry. T. zw. „Miejski“ przy ul. Cegielnianej, reprezentacyjny, dla repertuaru wielkiego, Kameralny dla komedji, farsy, i od czasu do czasu przedstawień eksperymentalno-kameralnych w ścisłem słowa znaczeniu, oraz Robotniczy dla mas najszerszych.

Od czynników powołanych, a sprawujących rządy komunalne oraz prasy łódzkiej zależy, by wszystko to, co w zarysach pracą dyr. Gorczyńskiego



Irena Horecka

Teatr ten, ubożuchny, borykający się z trudnościami powszedniej natury, rozporządzający w bieżącym sezonie materjalnem poparciem gminy nieledwie o połowę mniejszem, niż to miało miejsce w latach ubiegłych, zapewnił sobie dorywczą współpracę i występy aktorów tej miary, co Juljusz Osterwa, Kazimierz Junosza-Stępowski, Karol Adwentowicz, Mieczysław Frenkiel, Mieczysława Ćwiklińska, Aleksander Moissi, Aleksander Zelwerowicz, Józef Węgrzyn, Józef Leszczyński, Leon Schiller. (Przytaczamy w chronologicznym porządku występów).

Teatr nasz, pozatem co już publiczność łódzka widziała, ma w opracowaniu literackiem, reżyserskiem i artystycznem szereg sztuk z najnowszego repertuaru światowego, dotąd w Polsce niegranych, a które już częściowo będą zrealizowane, gdy niniejsze wydawnictwo ukaże się w druku.

Więc: Szczegolewa i Tołstoja „Spisek carowej", Tollera „Hinkeman" (repertuar E. Piscatora w Berlinie), Coorarda „Angielska sobota", Michała Bułhakowa „Mieszkanie Zośki", Dymowa „Bron Express", Broadway i in.

* * *

i jego współpracowników artystycznych zostało nakreślone w rzucie ogólnym — rozbudować, rozszerzyć i utrwalić na przyszłość.

Bo publiczność łódzka zrobiła swoje. Ta publiczność, która dawała swe serce, oklaski i pomoc przez szereg lat dobrym imprezom i poczynaniom (stąd, bo z Łodzi właśnie wyszli najwięksi aktorowie polscy i tu się niemal chowali), a stroniła zawsze od tandety, spekulacji teatralnej i, że tak rzekniemy poprostu, bałaganu.

* * *

Na zakończenie pragnę pokrótce zaznaczyć, że teatr łódzki, pracujący gorączkowo, szybko, a zawsze walczący o chleb powszedni, uczcił rocznice artystyczne, o których zapomniano w największych polskich ośrodkach kulturalnych: Wyspiańskiego, Przybyszewskiego, Ibsena, Tołstoja.



Konstanty Tatarkiewicz, główny reżyser



Jerzy Woskowski



Stefan Tymowski
Sekretarz i Główny Administrator Teatrów Miejskich



A. Dunajewska

Szczupłe ramy przygodnego artykuliku nie pozwalają mi na szersze rozwinięcie zamierzeń kierownictwa teatru oraz zanalizowanie szczegółowe dotychczasowej jego pracy.

Jedno tylko pragnę podkreślić.

Drobny ten szkic mój nosi charakter ściśle orjentacyjny, rzeczowy i konstatujący li tylko fakty, zarówno w dziedzinie artystycznego, wewnętrznego życia teatru i pulsu pracy kierownictwa, jakoteż stosunku do tego teatru publiczności i prasy.

Czynię to tem chętniej w wydawnictwie perjodycznem, które mi na swych cennych łamach użyczyło gościnności, w przeświadczeniu, że mówię nietylko do swych czytelników dzisiejszych, ale że znajdę czytelników i jutro.

Czytelników, którzy wydawnictwo to potrafią z czasem wydobyć z pod pyłu bibljotecznego i słowa moje, jako charakterystyczny przyczynek i signum temporis może sobie rozważą.

Daleki natomiast jestem, co stanowczo podkreślam, od wyciągania wniosków i ferowania sądów krytycznych.

Rola moja skromna. Przypadł mi bowiem w udziale zaszczyt współpracownictwa w dyrekcji Bolesława Gorczyńskiego, a to ogranicza mnie tylko do roli człowieka, który w słowach prostych chce opowiedzieć o pracy, którą widział poza murem odgraniczającym Teatr od Publiczności.

Nic więcej.

Krytyka pozostaje w powołanych dłoniach kolegów, którzy pozostali po tamtej stronie muru.

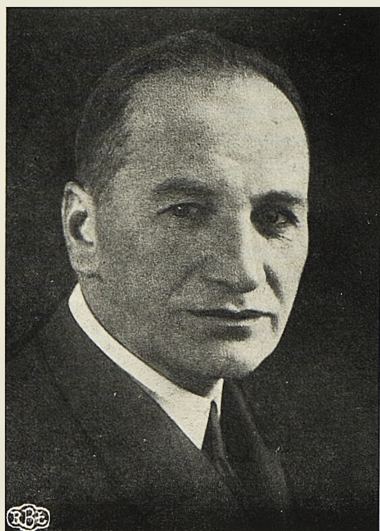
Wierzę, że niema w pracy naszej dysonansu. Zarówno bowiem oni i ja kochamy teatr, i wedle sił swoich kładziemy cegły pod jego przyszłość w Mieście Pracy.

Jedno jest niezbite, dobry teatr w Łodzi, zawsze liczyć może na powodzenie — dowodem obecny sezon.

Andrzej Nullus.



Michał Znicz



Feliks Halpern

ŁÓDŹ A MUZYKA

Miasto fabryczne, nawskroś handlowe — to placówka dla sztuk pięknych niewdzięczna, a gleba jałowa dla ich krzewienia. Że Łódź wydała S. Hirszenberga, Pilichowskiego, Łubieńskiego, Szczyglińskiego, Tuwima, Savoir'a, Tansmana, Kleckiego, Artura Rubinsteina, to nie jest zasługą Łodzi, bo spiritus flat — ubi vult, natomiast faktem jest niezaprzeczonym, że wszyscy ci artyści, malarze, muzycy, bądź poeci, zmarnieliby doszczętnie, gdyby w porę t. j. w czasie rozkwitu ich talentów, Łodzi nie opuścili. Ale ma Łódź i swoje tradycje. Mieliśmy ongi pierwszorzędne teatry, piękne wystawy obrazów, Towarzystwo muzyczne, poważną uczelnię Braci Hanieckich, „Lutnię" z Niedzielskim na czele — to rzeczy, których się nie zapomina, a ten retrospektywny rzut oka na Łódź przedwojenną ułatwi nam nieco zobrazowanie Łodzi dzisiejszej pod względem jej muzykalności i wydajności artystycznej. Łódź przedwojenna miała wszelkie cechy miasta prowincjonalnego, ale cechy dodatnie. Nie potrzebowała ona podniety do stwarzania nowych gałęzi wytwórczości oraz pobudzenia energji i ta żywotność organizmu tego miasta była rzeczą naturalną, to były aspiracje pięcia się wzwyż, był entuzjazm.

„... Nagle szeregi, które w oddaleniu nieruchome stały, posunęły się naprzód. Z początku ruchem miarowym i spokojnym jęły opuszczać dotychczasowe stanowisko. W miarę tego jak zbliżały się do celu, coraz mniej myślały o zachowaniu ładu zewnętrznego, a coraz więcej dawały się porywać uniesieniu. Naprzód! Już przeszkód przed sobą nie widzą, już nie oczy, ale ślepy instynkt drogę im wskazuje. W najwyższym oto bezładzie mkną przed siebie, czem kto może, drogę sobie torując. Z dzikim blaskiem w oczach, z włosem rozwianym, szczerząc uszy, spieszą wciąż przed siebie i nie ustaną, dopóki wskazanej pozycji nie zajmą. Biada zwyciężonym!..."

Myli się ten z czytelników, kto sądzi, że opisuję, powyżej atak wojsk pod Łodzią. Poprostu są to wrażenia z koncertu, odebrane w chwili, kiedy solista rozpoczyna ostatni numer programu, po którym spodziewane są bisy. Zwycięzcami są ostatnie rzędy, a wypartymi ze stanowisk — nieszczęśni, którzy z powodu niesprawiedliwości losu mieli możność zajęcia miejsc, bardziej zbliżonych do estrady.

Skąd powstał ten zwyczaj, nie dający się spotkać w żadnem z równic muzykalnych, ale bardziej na Zachód położonych miast, nie wiadomo" — pisałem wówczas w jednej ze swoich recenzji, a przytoczyłem fragment ten, by określić entuzjazm, do jakiego dzisiejszy zblazowany i powolny słuchacz koncertowy nie jest zdolny.

Gdy w roku 1914 zagrzmiały działa, a umilkły warsztaty pracy, znaleźli się muzycy zawodowi wobec ruiny ekonomicznej i niepewnego jutra. Należało więc stworzyć placówkę ratowniczą, by zapobiec szerzącej się wśród muzyków łódzkich nędzy. Wtedy to narodziło się „dziecię wojenne" w postaci orkiestry symfonicznej, któremu nadano imię „Ł. O. S.". W ciągu kilku miesięcy wątły ten organizm dawał słabe oznaki życia, aż wreszcie w styczniu 1915 roku pod dyr. Tadeusza Mazurkiewicza odbył się pierwszy koncert symfoniczny w gmachu nieistniejącego już dzisiaj Teatru Wielkiego. Orkiestra liczyła wówczas 70 członków i w roku 1915/16 dała 27 wielkich koncertów pod dyr. Aleksandra Türnera, bądź Tad. Mazurkiewicza, bądź Bronisława Szulca, stałych kierowników orkiestry. Z biegiem lat instytucja ta stała się poważną placówką i wiedzieli o niej dyrygenci wszechświatowej sławy, zjeżdżający do Łodzi jako goście, w celu dyrygowania, a w kilka lat później orkiestra otrzymała miano „Łódzkiej Orkiestry Filharmonicznej", a siedziba jej „Sali Filharmonji". Ożywiony, niemal gorączkowy ruch muzyczny w sezonach koncertowych i nacisk, jaki się kładzie w wychowaniu na wykształcenie muzyczne, są dostatecznym wyrazem tęsknoty za muzyką. Mimo to orkiestra pracowała z deficytem, ciężkie przechodząc terminy, a miasto przez lat ośm korzystało z ofiarności kilkudziesięciu biednych muzyków, którzy dostarczali nam rozrywki duchowej zupełnie bezinteresownie. Korzystając z ofiarności i innych



Stefanja Jarkowska
ulubienica łódzkiej publiczności

praktyk w rodzaju loterji fantowej i wydajnej pracy jednego z członków zarządu instytucji, inż. Henryka Goldberga, który od założenia orkiestry był jej spiritus movens, przetrwała orkiestra jeszcze dwuletni okres wegetacji i 4 stycznia r. b. święciła dziesięciolecie swego istnienia. Jubileusz swój zaznaczyła Ł. O. F. koncertem, połączonym z uroczystą akademją, na której przemawiali delegaci związków muzycznych oraz prezes rady miejskiej dr. Fichna, podkreślając zasługi tej placówki kulturalnej i apelując do społeczeństwa i do obecnych na uroczystości władz municypalnych, od których byt instytucji był uzależniony. Apel ten nie przebrzmiał bez echa, albowiem dziś orkiestra istnieje dzięki nikłemu subsydjum, jakie otrzymuje od miasta, ograniczyła jednak swą działalność redukując ilość koncertów do minimum: 4 ludowych poranków i 1 koncertu wielkiego miesięcznie.

Jest w naszem mieście druga instytucja, którą założyli w r. 1919 ludzie dobrej woli, przejęci pragnieniem, by w przeciwieństwie do zwykłej sali koncertowej, rażącej sztucznym przepychem, stworzyć wnętrze poufne, aby w ramach sharmonizowanej i subtelnej atmosfery muzyka stała się wewnętrznem przeżyciem. To Towarzystwo Miłośników Muzyki, które ma na celu krzewienie muzyki kameralnej i które dało już sto kilkadziesiąt koncertów z udziałem wybitnych sił. Obecnie T. M. M., stłumione w swych zamierzeniach pod kloszem obojętności swych kilkuset członków, skierowało swój zapał w stronę rzesz robotniczych. Przejrzało ono, że poza uprzywilejowaną garstką arystokracji duchowej, mogącej a niechcącej obracać się w wykwintnej atmosferze muzycznej, stoi nieprzejrzany tłum wydziedziczonych, spragniony estetycznych wrażeń, stęskniony za muzyką. Niedzielne akademje muzyczne dla robotników, podjęte przez towarzystwo miłośników muzyki cieszą się wyjątkowem powodzeniem i nader liczną frekwencją. Ta akcja wychowawcza zasługuje na podkreślenie, albowiem wartość społeczna szczepionej tą drogą kultury jest niezaprzeczona.

Pod względem ruchu muzycznego Łódź starała się zawsze naśladować naszą stolicę. Składały się na to powyższe dwie instytucje oraz dyrekcja koncertowa Alfreda Straucha, która w urządzaniu koncertów wyrobiła sobie zaufanie zarówno u występujących artystów jak i publiczności. Ona to obecnie niepodzielnie trzyma rękę na pulsie całego ruchu muzycznego w Łodzi, bo wszystkie nasze stowarzyszenia śpiewacze, znane ze swej pracy owocnej przed wojną jak „Lutnia", zapadły w chroniczną śpiączkę i zadawalniają się sporadycznemi popisami, związanemi z jakąś uroczystością, bądź jubileuszem.

Czy wspomnieć jeszcze o nowopowstałem towarzystwie operowem, którego organizatorami są kapitan Orlot i dyr. Ryder? Ku osiągnięciu celu wszyscy współdziałający w pracy ofiarują swe usługi bezinteresownie — t. zw. system wystarczalności. Dotychczas wystawiono „Halkę" z wystarczającym na długo deficytem i niewystarczającym wynikiem artystycznym.

Instytucje muzyczne przeżywają teraz wszędzie kryzys, a szczególnie w Łodzi, mieście nawskroś zmaterjalizowanem, stawiającem opór w krzewieniu wszystkiego, co wychodzi poza ramy życia praktycznego. Radjo, gramofon i dancing — oto co wystarcza z muzycznej strony dzisiejszemu możnemu społeczeństwu. A cóż powiedzieć o szerszych masach, którym nasz duch czasu nie dał nic więcej ponad ducha krytyki, czyniąc je niezdolnemi do stanu bezkrytycznej kontemplacji, w którym powinniśmy stawać wobec każdego dzieła sztuki.

Dzisiaj żadna placówka kulturalna o własnych siłach się nie ostoi, bo nie jesteśmy już zdolni do entuzjazmu, a ten entuzjazm stanowił ongi jedną z głównych cennych zalet naszego społeczeństwa.



TEATR KAMERALNY

REFLEKSJE SEZONU 1927/28

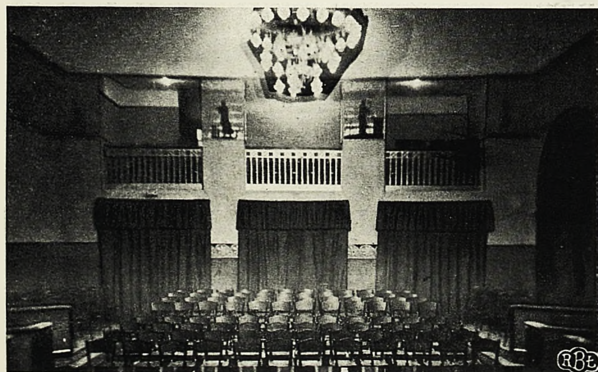
Na bankiecie inauguracyjnym w r. 1925, dr. Arnold Szyfman, obejmujący podówczas łódzki Teatr Miejski, wyraził był m. in. śmiałe przypuszczenie, że nie znajdzie się bodaj nikt dość odważny, aby w przyszłości przejąć Teatr Łódzki po Szyfmanowskich sukcesach i Szyfmanowskich wspaniałościach repertuarowych. Rzeczywistość jednak, jak to się często zdarza, zadała kłam tej niezmiernie ryzykownej samoocenie. Nie wdając się bynajmniej na tem miejscu w roztrząsania „blasków i nędzy" dwóch sezonów dyrekcji dr. Szyfmana, nie wyliczając szeregu doświadczeń, zarówno kierownictwa jak publiczności, w tym czasie nabytych, — stwierdzimy tylko, że w dwa lata później, t. j. w r. 1927, rolę przysłowiowego śmiałka, z rzędu tych, którym f o r t u n a i u v a t, odegrał na łódzkim terenie teatralnym p. Bolesław Gorczyński, najbliższy współpracownik dyrektora Szyfmana i szczęśliwy dzisiaj kierownik łódzkiej sceny miejskiej.



Red. Bolesław Dudziński

Szanując w należytym stopniu energję, pracę i wiedzę, wkładane przez dyr. Gorczyńskiego w trudne przedsięwzięcie prowadzenia Teatru Miejskiego w Łodzi, nie widzę jednak najmniejszej potrzeby spowijania słów i sądów swoich w obłok kadzidlanych dymów albo, — zaciemniania prawdy panegiryzmem nudnym i jałowym, stronię także od bezwzględności sądów, dyktowanych często, właśnie jeśli o teatr chodzi, względami... zakulisowemi. Z tych to — decydujących dla mnie względów — nie będę uważał dyr. Gorczyńskiego ani za czarodzieja, któremu wszystko się udaje, ani za uosobienie dyrektorskiego ideału, którego każdy czyn i pomysł są doskonałe. Ale te same względy nie przeszkodzą mi podkreślić, że dyr. Gorczyński, znalazłszy właściwą linję postępowania, daleką zarówno od merkantylizmu jak od... donkiszotyzmu, oparł w sezonie bieżącym Teatr Miejski na jedynie właściwej podstawie chłodnej logiki i zdrowego rozsądku, co — oczywiście — nie pozostało bez jak najlepszego efektu. Ale te cerebralne cnoty — to jeszcze bynajmniej nie wszystko: w parze z niemi idą osobiste walory dyr. Gorczyńskiego, jako dramaturga i wytrawnego znawcy teatru, oraz jego wysoka kultura literacka, co również się na kamieniu nie rodzi. Dodając do tych personalnych warunków kierownika Teatru Miejskiego pomyślniejszą niż w latach ubiegłych konjunkturę ogólną i poważny sukurs finansowy samorządu, — otrzymamy sumę momentów sprzyjających konstatowanemu z zadowoleniem powszechnem — powodzeniu Teatru Miejskiego w sezonie 1927/28.

Dyr. Gorczyński, pracując wespół z dyr. Szyfmanem przez dwa sezony poprzednie na gruncie łódzkim, nie mógł oczywiście nie spostrzec popełnianych błędów i nie wyciągnąć z ich konsekwencyj — właściwej nauki. Nauki te stanowczo nie poszły w las — i stało się to z korzyścią dla sceny łódzkiej. Nie wdając się w drobiazgi i szczegóły, wspomnę jednak o tem, że — pisząc parokrotnie o Teatrze Łódzkim w warszawskiem „Życiu Teatru" w latach 1926 i 1927 — musiałem wytknąć dwa bardzo poważne — mojem zdaniem — błędy, w których tkwił uporczywie poprzednik dyr. Gorczyńskiego. Chodziło mi mianowicie: o usunięcie zbyt daleko idących wpływów repertuaru Warszawy na repertuar Teatru Łódzkiego i o zracjonalizowanie systemu „występów gościnnych", których nadmiarem demoralizowano publiczność i — zespół miejscowy. Stałem bowiem, tak jak stoję dzisiaj, na stanowisku, że Łódź zasługuje na to, by mieć teatr w ł a s n y, nie będący cieniem czy echem Warszawy; że w tym teatrze





Teatr Kameralny: widownia i scena



W. Relewicz-Ziembińska

własnym powinien być zespół aktorski, odpowiedni zarówno na dzień powszedni jak na święto; że — wreszcie — „występy gościnne“ gwiazd mogą być doskonałem urozmaiceniem repertuaru, ale nie powinny być bynajmniej jego częścią integralną, wobec której gaśnie, blednie i zamiera cała reszta.

Jak wskazuje praktyka sezonu bieżącego, łódzki Teatr Miejski poczynił ogromne postępy na drodze repertuarowego usamodzielnienia się. Praca kierownika Teatru nosi piętno inwencji i inicjatywy, dzięki czemu zerwaliśmy na dobre z metodą automatycznego czy mechanicznego przeszczepiania na grunt łódzki wszystkiego, co grają albo co „poszło“ w Warszawie. Zespół aktorski, wśród którego wybija się zdecydowanie kilka rzetelnych talentów, nie oślepia blaskiem niezwykłości, ale cieszy, naogół biorąc, równem i jasnem światłem zapału, pracy i zdolności. Strona reżyserska i dekoracyjna stoją na wysokości zadania, a niejednokrotnie osiągają poziom, w Łodzi dotychczas nieoglądany. Ta „niewdzięczna“ i „chłodna“ dla niektórych Łódź potrafiła się jakoś od samego początku sezonu rozgrzać i do teatru przekonać: frekwencja znakomicie wzrosła, komplety przestały być zjawiskiem wyjątkowem, a niektóre z pośród granych sztuk osiągają rekordowe wprost cyfry — 50 przedstawień! Ten „nawrót“ publiczności łódzkiej do własnego, jedynego teatru nie jest zresztą niczem cudownem ani niespodziewanem. Ot — zerwano w e w n ą t r z z bezplanowością i traktowaniem teatru łódzkiego jako piątego koła u wozu, odwrócono się od rutynizmu i dreptania po linji najmniejszego oporu, więc zmieniły się i n a z e w n ą t r z — opinje, sympatje i nastroje.

Nie mogę wdawać się tutaj w szczegółowe omawianie całego repertuaru tegorocznego, w czem zresztą wyręczyli mię we właściwym czasie koledzy — recenzenci codziennych pism łódzkich. Ale chcąc być możliwie dokładnym w tem szkicowem i sumarycznem ujęciu działalności Teatru Łódzkiego, muszę wspomnieć o kilku bardzo — pod każdym względem — starannych i udałych reprezentacjach z zakresu żelaznego repertuaru, które pozostaną i na przyszłość trwałym i cennym dorobkiem Teatru Łódzkiego. Wymienię więc: „Księcia Niezłomnego“ (z Osterwą), „Wyzwolenie“ (z Osterwą), „Peer Gynt'a“ (z Woskowskim w roli tytułowej), „Dziady“ (ze Szpakiewiczem jako Konradem), „Grube Ryby“ (z mistrzem Frenklem), „Moralność pani Dulskiej“ (z Dunajewską w roli tytułowej). Do tych reprezentacyj, szczególnie zasługujących na wyróżnienie, zaliczę także „Kredowe Koło“ — Klabunda; utwór ten nie jest perłą poezji, jak to mniemają niektórzy, — posiada jednak sporo przystępnego liryzmu i ogromne walory widowiskowe, wykorzystane w sposób pierwszorzędny na scenie łódzkiej.

O sztukach błahych lub obojętnych pisać nie mam potrzeby — nawet krótko i węzłowato. Są one nieuniknionem złem w każdym teatrze, zmuszonym zaspokajać potrzeby różnych kategoryj publiczności, myśleć zawsze z troską o — jutrze. Co się zaś tyczy najsłabszych pozycyj w repertuarze dotychczasowym, zaliczę do ich rzędu „Królowę Biarritz“ — Hennequina i Coolusa, „Dar Poranka“ — Forzana, całkiem niepotrzebnie odkurzony z przedwojennego pyłu „Tajfun“ — Lengyela (doskonały zresztą Tokeramo — p. Bonecki) oraz budzący awersję moralną i fizyczną — „Spisek Carowej“ — Tołstoja i Szczegolewa (tutaj p. Kijowski jako Rasputin dokonał rolą swą rewelacji). Wiadomo mi wprawdzie, że „Spiskiem Carowej“ robił w Berlinie sensację p. Fischer-Piscator, grający na cymbałach „rewolucyjności“; nie wydaje mi się jednak, aby już to mogło służyć za



R. Bonecki

rekomendację do wprowadzenia na scenę łódzką sztuki szczególnie obrzydliwej i pozbawionej doszczętnie jakichkolwiek wartości literackich czy teatralnych. Przykre wspomnienie „Rasputina" rozwieje się zapewne bez śladu w zapowiedzianych na najbliższe tygodnie nowych wrażeniach teatralnych. Zobaczymy w sezonie bieżącym jeszcze niejedno godne widzenia, a wśród tych zapowiedzi pragnąłbym znaleźć również choć jedną komedję Fredry, który — twierdzę to stanowczo — pisał rzeczy o wiele lepsze od... „Fury słomy", „Aby żyć" i tym podobnych sztuczek...

* * *



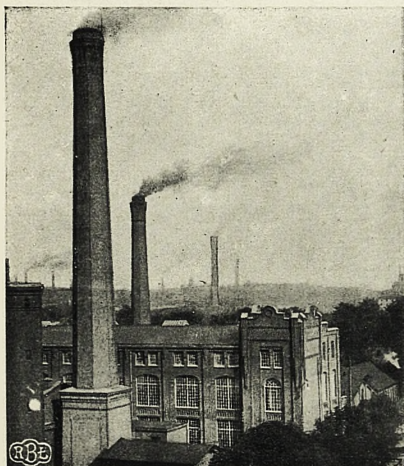
Irena Grywińska

Co się tyczy Teatru Kameralnego, uruchomionego w listopadzie ub. r., działalność jego — jeśli chodzi o stronę artystyczną — zawiodła nawet te skromne nadzieje, jakie przywiązywać było można do bardzo oględnych wynurzeń i wyjaśnień dyr. Gorczyńskiego. W Teatrze Kameralnym pokutują jeszcze, niestety, duchy dawnego teatralnego systemu. Poza „Śniegiem" Przybyszewskiego (doskonale zgrani: Lubieńska, Szpakiewicz, Horecka, Brodniewicz), pozostały repertuar posiada tak niski... ciężar gatunkowy, że impreza „kameralna" mogłaby się wprost rozlecieć jak domek z kart pod dmuchnięciem wiatru, gdyby nie Junosza-Stępowski albo Ćwiklińska.

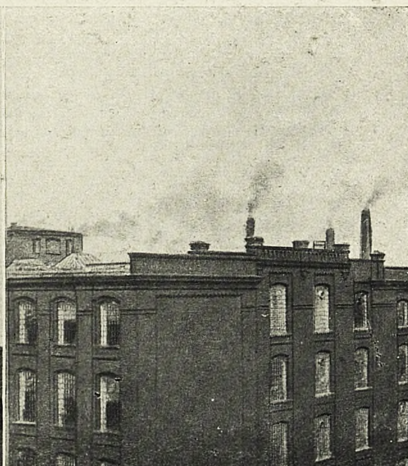
O żadnem nowatorstwie i eksperymentatorstwie Teatru Kameralnego dotychczas niema mowy i na nic podobnego wcale się nie zanosi. Teatrzyk przy ul. Traugutta, jak dotąd, nie wykazuje żadnych aspiracyj w kierunku literackiego i teatralnego pionierstwa i nie zamierza bodaj zupełnie przekształcać się na przybytek teatralny dla wybranej publiczności o dalej sięgających wymaganiach i upodobaniach. Nie chcę zresztą czynić z tego powodu zarzutów dyr. Gorczyńskiemu, który sam wie bezwątpienia najlepiej, czem ma być i czemu służyć Teatr Kameralny, jako filja Teatru Miejskiego.

Zresztą, jak już wspomniałem, Teatr Łódzki, jako całość, wykazuje w sezonie bieżącym wielką pod każdym względem poprawę i pocieszające możliwości rozwojowe, co dowodzi, że w ogólnym bilansie przewaga — i to wybitna — jest po stronie pozycyj dodatnich i uznania godnych.

Bolesław Dudziński.









Lucjan Dąbrowski
Pierwszy prezes syndykatu dziennikarzy w Łodzi

PRASA POLSKA

Jedną z chlubniejszych kart w kronice Łodzi zajmuje łódzka prasa polska, której zmagania z szarą troską codziennego bytowania, zwłaszcza za czasów rosyjskich a także i podczas okupacji wojennej, nosiły stale stygmaty istnej martyrologji.

O łódzkiej prasie polskiej powiedzieć można, że zawsze i wszędzie czy to w chwilach żmudnej pracy, czy podczas zatargów i wstrząsów ekonomicznych, czy wreszcie w dziejowych momentach wielkiej wojny, stała zawsze na wysokości zadania.

Nie sposób skreślić na łamach „Giewontu" historji codziennej prasy polskiej w Łodzi, na to trzebaby tomów, i wierzyć należy, że znajdzie się odpowiednie pióro, które ujmie w poważniejszej publikacji ten ogrom społecznej czy narodowej pracy poszczególnych pism, zszereguje zasługi i utrwali z przeżyć i walk każde, które taką czy inną sprawę, pro publico bono, ująć, oświetlić i przeprowadzić zdołało.

A gdzie, jak gdzie, w Łodzi wstrząsów, szarpań i walk było może więcej niż w któremkolwiek z innych miast Polski.

Do przeżyć 1904—6 roku dodać należy szczególną sytuację Łodzi, która przemysłowym swym charakterem, uświadomieniem robotnika i rozpasaniem rosyjskiej cenzury, była zawsze w wrzącem kotłowisku żywiołowych wybuchów i namiętności, łódzkiej prasie szczególnie twarde stawiając nakazy, w każdej chwili domagając się czujności, bystrej obserwacji i godności pióra, strzegącego ile sił praw uciskanego obywatela.

Do weteranów pism codziennych łódzkich zaliczyć należy na pierwszem miejscu „Rozwój", założony przez ś. p. W. Czajewskiego w r. 1897,



№ 207
XXX r. istnienia
Łódź.

ROZWÓJ

DZIENNIK NIEZALEŻNY OD ŻADNEJ PARTJI

Do P. T. Czytelników.

REDAKCJA.

Franko-sowiecki pakt o nieagresji.

Uzależniony jest od stanowiska Sowietów do Polski.
Rakowski wraca do Moskwy.

„Wojnę europejską Niemcom narzucono".

Niewytrzymująca krytyki obrona prezydenta Rzeszy

Stolica Apostolska

Stosuje represje wobec przywódcy polakożerczej partji litewskiej

Rząd kowieński działa.

Aresztowania i rewizje na Litwie trwają w dalszym ciągu

Ceny w Zakopanem znacznie spadły



Nr. 257. Poniedziałek 19 września 1927 r.

Kurjer Łódzki

Numer pojedyńczy gr. 20.

Wychodzi codziennie o godzinie 6-ej rano.

W przyblicy na polach Tannenberga.

Niemcy budzą ducha wielkiej wojny.

Olbrzymia manifestacja niemczyzny na wschodnich granicach Rzeszy.

POD ZNAKIEM BARW CESARSKICH.

W żałobnym kondukcie do bratniej mogiły.

Powrót prochów bohaterskich żołnierzy Francji.

Węzeł przyjaźni francusko-amerykańskiej.

Wycieczka delegatów Legionu Amerykańskiego w Paryżu.

Zapowiedź odwrotu z Paryża do Moskwy

Rakowski zamierza opuścić Francję.

Mąż zaufania Mussoliniego.

WYPADEK W ZAKOPANEM.

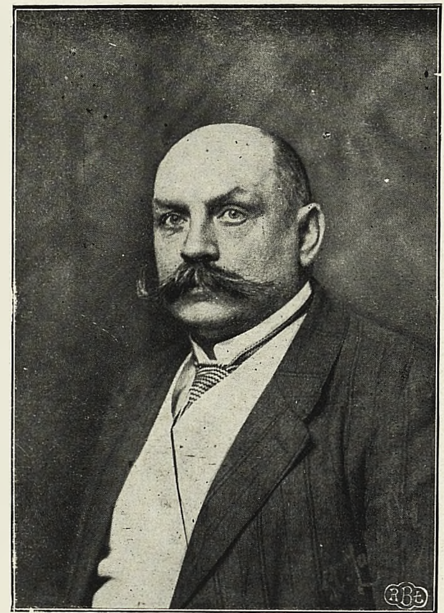
POWÓDŹ W ANGLJI.

ROKOWANIA FRANCUSKO-SOWIECKIE.

PO ZAMACHU W GENEWIE.

Wilcza pożądliwość gen. von Lieberta.

Dr. Med. HELMAN.



Wiktor Czajewski
Założyciel i wydawca „Rozwoju“

a więc przeszło 30 lat temu, potem „Kurjer Łódzki“, założony w roku 1900 przez St. Książka, następnie idzie „Głos Polski“, założony przez M. Sachsa w 1917 roku, wreszcie najmłodsze, niemniej dobitnie charakteryzujące chwilę obecną „Republika“.

Tak „Kurjer Łódzki“ jak „Republika“ wychodzą dwa razy dziennie, wydając pierwszy „Echo Łódzkie“, druga „Express“, cieszące się niezwykłem zainteresowaniem i poczytnością u swych Czytelników.

Poza polską prasą codzienną Łódź posiada też wydawnictwa tygodniowe jak „Łodzianin“, „Prawda“ i t. d. a także prasę niemiecką i żydowską.

Z pism niemieckich wspomnieć należy założone w r. 1902 przez ś. p. A. Milkera „Neue Lodzer Zeitung“. Pismo to, obchodzące obecnie 25-lecie istnienia, stało zawsze i nieodmiennie na stanowisku obywatelskiej współpracy ze społeczeństwem polskiem.

W zakończeniu krótkiej tej notatki zaznaczyć jeszcze należy założenie w r. 1920 Syndykatu Dziennikarzy Łódzkich z inicjatywy ś. p. Lucjana Dąbrowskiego, organizatora i pierwszego prezesa, tyle doniosłej dla braci po piórze, placówki. — Obecnie prezesem Syndykatu Dziennikarzy w Łodzi jest naczelny redaktor „Kurjera Łódzkiego“ p. Czesław Gumkowski, od szeregu lat znany w naszem mieście tak z niezwykle miłych zalet towarzyskich, jak też z energicznej i pełnej inicjatywy działalności na terenie zadań i rozwoju Syndykatu. Jak doniosłe i poważne cele ma organizacja Syndykatu Dziennikarzy w takiem mieście jak Łódź, dodawać nie potrzeba, życząc tylko jaknajszerszego rozwoju tak sympatycznej i ogromnie pożytecznej pracy.



Łódź, Poniedziałek, 19 września 1927 r. Rok X

GŁOS POLSKI

DZIENNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY i LITERACKI.

Cena 20 groszy

Wielka demonstracja cesarskich Niemiec

Poświęcenie narodowego pomnika na pamiątkę bitwy pod Tannenbergiem

Marsz. Rataj ośmiesza parlamentaryzm

Taka jest opinja zdecydowanego zwolennika rządu pos. Karola Polakiewicza



ILUSTROWANA REPUBLIKA

WYDANIE PORANNE

Bojówki wojują na wiecach!

Wczorajsza niedziela wiecowa rozbrzmiewała wrzaskami awantur i odgłosami razów. — Zainteresowanie wyborami ogarnęło dotychczas tylko klasę robotniczą.

N. P. R. lewica

Zw. Lud. - Narodowy

Wiece inteligencji

Chadecja

Zrzeszenia gospodarcze

Lewica żydowska

Duchowa militaryzacja Niemiec.

Prezydent Hindenburg obecny był na uroczystości w Tannenbergu.

Komuniści



Wystawa wnętrz w Galerji Sztuki

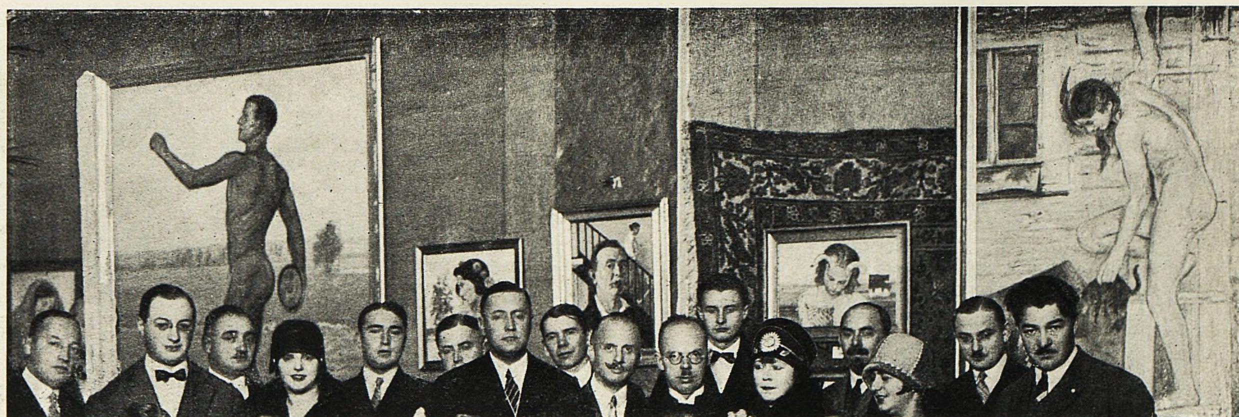
MIEJSKA GALERJA SZTUKI

W jednym z pawilonów parku Sienkiewicza, od 1924 r. Magistrat miasta Łodzi pomieścił Galerję Sztuki. Budynek acz nie może rościć sobie pretensji do monumentalności, niemniej wnętrzem odpowiada zadaniu tak rozmiarami jak światłem.

W okresie od 1924 do 1926 r. zorganizowano 28 wystaw prac artystów warszawskich, krakowskich, poznańskich, lwowskich, podhalańskich, łódzkich i innych. Poza tem jak dalej opiewa sprawozdanie „dla ożywienia instytucji i rozszerzenia jej duchowego terenu działalności zorganizowano w latach 1925 i 1926 trzydzieści odczytów pod nazwą „czwartki literackie w sali wystawowej, a także z inicjatywy Dyrekcji M. G. Szt. odbył się konkurs zdobienia okna sklepowego w grudniu 1926 r.“.

Przy sali wystawowej mieści się czytelnia, gdzie odbywają się również audycje radjofoniczne.

Z zakreślonych zadań i celów M. G. Szt. najubożej przedstawia się zapoczątkowanie stałego zbioru, jak bowiem ze sprawozdania wynika, w okresie 1924 do grudnia 1926 r. — zdołano zakupić cztery obrazy, — ofiarowano trzy obrazy, ponadto „2 minjatury architektury maurytańskiej (odlewy w gipsie), zbiór czasopism artyst. francuskich i niemieckich i model statku gdańskiego! Jeżeli się zważy, że głównym celem każdej galerji obrazów, czy muzeum, czy nawet czytelni jest głównie i przedewszystkiem gromadzenie zbiorów stałych, czyli własnych, to wyż. przytoczony ściśle pg. sprawozdania, wynik z trzechletniego okresu pracy — jest jak na Łódź, nader skromny. Dyrektorem M.G. Szt. jest p. M. Dienstl-Dąbrowa.



Fragment z otwarcia wystawy Wlastimila Hofmana



Plac Wolności

SAMORZĄD MIEJSKI

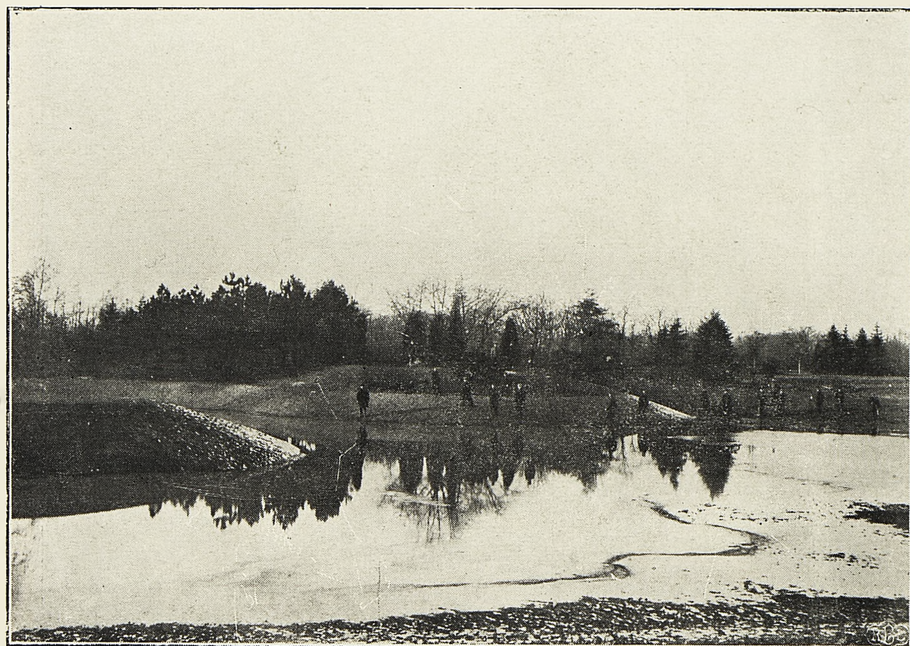
Pierwiastki niepożytej tężyzny społeczeństwa łódzkiego, które w dobie przedwojennej znajdowały ujście w działalności gospodarczej i które doprowadziły do tak wspaniałego rozwoju przemysłu łódzkiego, znalazły po odrodzeniu Rzeczypospolitej zastosowanie również w życiu społecznem a przedewszystkiem w działalności samorządu miejskiego. Demokratyczna ordynacja wyborcza, przygotowana przez pierwszy rząd Moraczewskiego, dopuściła do udziału w sprawowaniu zarządu miejskiego całe społeczeństwo, które w drodze pięcioprzymiotnikowego głosowania wybiera władze samorządowe.

Samorząd łódzki, będący wykładnikiem interesów szerokich mas ludności miasta, dał wiele przejawów twórczej myśli i nieugiętego dążenia do naprawienia zaniedbań, jakie pozostawił nam w spuściźnie rząd carski.

Pierwszem dziełem, jakie podjął samorząd łódzki po swem ukonstytuowaniu się, było przeprowadzenie powszechnego i obowiązkowego nauczania. Pod tym względem Łódź wyprzedziła wszystkie inne miasta b. zaboru rosyjskiego. Trzeba było usunąć niesłychane upośledzenie, wyrażające się w braku szkół i wielkiej liczbie dzieci, nie pobierających wogóle nauki. Ze zdumiewającą energją samorząd zabrał się do tworzenia sieci szkół powszechnych i zadanie to w całej pełni zrealizował. Przed wojną Łódź liczyła 46.500 dzieci w wieku szkolnym, nie pobierających nauki szkolnej, dzisiaj wszystkie dzieci uczęszczają do szkół. Oto pierwszy niezmiernej wagi



Plac Wolności u wylotu ul. Piotrkowskiej



Staw w parku im. Poniatowskiego

rezultat działalności samorządu miejskiego. — Ale nie tylko na polu oświaty ludowej panowały braki i zaniedbania, którym społeczeństwo polskie nie mogło przeciwdziałać w tych warunkach politycznych, w jakich znajdowała się Łódź, podobnie, jak i cały kraj w ciągu wielu dziesiątków lat niewoli. Zdrowotność publiczna była za czasów rosyjskich przedmiotem bardzo niewielkiej troski ówczesnych władców, urządzeń zaś opieki społecznej wogóle nie było.

Należało więc podjąć niezmiernie trudne dzieło stworzenia w mieście racjonalnych podstaw służby zdrowia i opieki społecznej.

I w tej dziedzinie samorząd w ciągu krótkiego, bo zaledwie 10 lat trwającego okresu swej działalności stworzył rzeczy poważne.

Do dorobku pracy samorządowej w dziedzinie administracji zdrowotnej zaliczyć należy przedewszystkiem rozbudowę szpitalnictwa miejskiego, które dysponuje dziś liczbą 1071 łóżek szpitalnych, podczas, gdy przed wojną miasto utrzymywało tylko jeden szpital, liczący zaledwie 80 łóżek. Otworzono nadto cały szereg ambulatorjów miejskich, utworzono wzorową sekcję walki z gruźlicą, zapoczątkowano również na szerszą skalę walkę z jaglicą, wybudowano wielki zakład kąpielowy, umiastowiono Pogotowie Ratunkowe, podjęto walkę z rakiem i t. d.

Podobnie poważnemi wynikami poszczycić się może młody samorząd łódzki w zakresie działalności opiekuńczej.

Jak już wiemy, przed wojną zarząd miejski (rosyjski) nic w tej dziedzinie nie czynił. Jeżeli istniały wówczas niektóre instytucje opiekuńcze, to utrzymywały się dzięki ofiarności i wysiłkom osób prywatnych. Dziś natomiast miasto utrzymuje cały szereg domów wychowawczych dla dzieci i młodzieży, bursy i internaty, pogotowie opiekuńcze dla dzieci, domy noclegowe, wydaje obiady dla niezamożnej ludności, prowadzi zakłady dla moralnie zaniedbanych, wysyła dzieci na kolonje letnie, subsydjuje „Kroplę Mleka" i t. d. i t. d.

Gałęzią pracy samorządowej, w której osiągnięto poważne rezultaty, jest także dział oświaty i kultury.



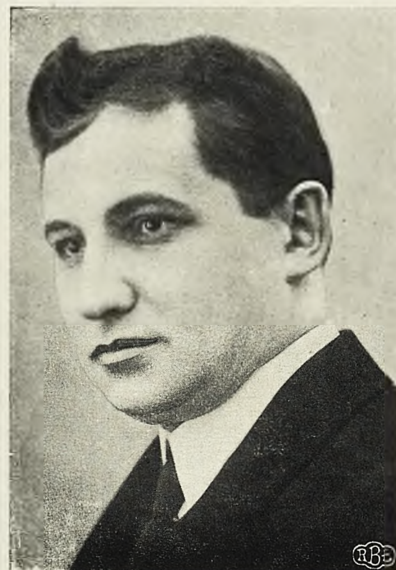
Park Sienkiewicza



Dr. Ed. Wieliński
Wiceprezydent



B. Ziemięcki
Prezydent miasta Łodzi



St. Rapalski
Wiceprezydent

Poza wprowadzeniem powszechnego nauczania, o czem już wyżej była mowa, zanotować wypada założenie szeregu przedszkoli, szkół specjalnych, gimnazjów i uczelni innego typu, krzewiących wiedzę szkolną wśród znacznego zastępu dziatwy i młodzieży, następnie założenie sieci bibljotek i czytelń miejskich, uruchomienie Miejskiego Kinematografu Oświatowego, Miejskiej Galerji Sztuki, prowadzenie Teatru Miejskiego, Muzeum Miejskiego i licznych innych placówek oświatowych i naukowych.

Niedołężna przedwojenna gospodarka miejska pozostawiła po sobie dotkliwy ślad w postaci braku urządzeń wodociągowo-kanalizacyjnych. Niepodobna myśleć o radykalnej poprawie stosunków zdrowotnych w mieście przy braku tych urządzeń. Mając to na względzie, władze samorządowe łódzkie uznały za rzecz pilną i nieodzowną podjąć dzieło budowy wodociągów i kanalizacji. W dniu 1 maja 1925 roku rozpoczęto pierwsze roboty ziemne. Prace są prowadzone podług projektu, opracowanego w 1909 roku przez znakomitego angielskiego inżyniera Williama H. Lindley'a; kieruje zaś niemi inż. S. Skrzywan, uczeń i długoletni współpracownik Lindley'a. Budowa kanalizacji i wodociągów w Łodzi jest zarówno pod względem finansowym jak i technicznym, przedsięwzięciem wielkiem. Kosztorys I serji robót wykazuje sumę 4 i $1/2$ miljona dolarów. Na ogólną ilość 118 kilometrów kanałów, przewidzianych w I serji robót, wykonano do dnia 31 grudnia 1927 roku 25.500 metrów, w tem znajdują się wszystkie główne kolektory oraz zasadnicza część stacji oczyszczania ścieków. Roboty te pochłonęły dotychczas 1.400.000 dolarów, pokryte w lwiej części z normalnych wpływów miejskich. Podkreślić należy, że od lipca 1927 roku sieć kanalizacyjna w Łodzi już funkcjonuje. Roboty kanalizacyjne są nadal prowadzone w szybkiem tempie. Liczba robotników, zatrudnionych przy tych robotach, sięga 2 tysięcy.

Tych kilka przykładów, zaczerpniętych z działalności samorządu miejskiego w Łodzi, wystarczy, aby uświadomić sobie wielką skalę i owocność całokształtu jego prac. Dają one podstawę do stwierdzenia, że samorząd łódzki ujawnia niezmiernie wiele inicjatywy i realnych wysiłków w kierunku wzniesienia warunków życia miejskiego na wysoki szczebel, odpowiadający wzorom zachodnio-europejskim.

Przejdziemy obecnie do zamierzeń inwestycyjnych samorządu łódzkiego na okres lat najbliższych.

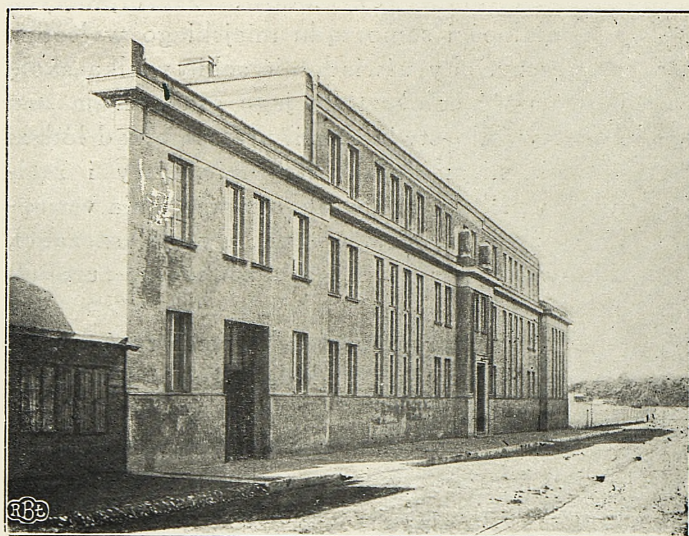
Przedewszystkiem zaznaczymy, że w dalszym ciągu kontynuowane będą w niesłabnącem tempie roboty kanalizacyjne. Na rok 1928 przewidywane jest całkowite wykończenie stacji oczyszczania ścieków, budowa



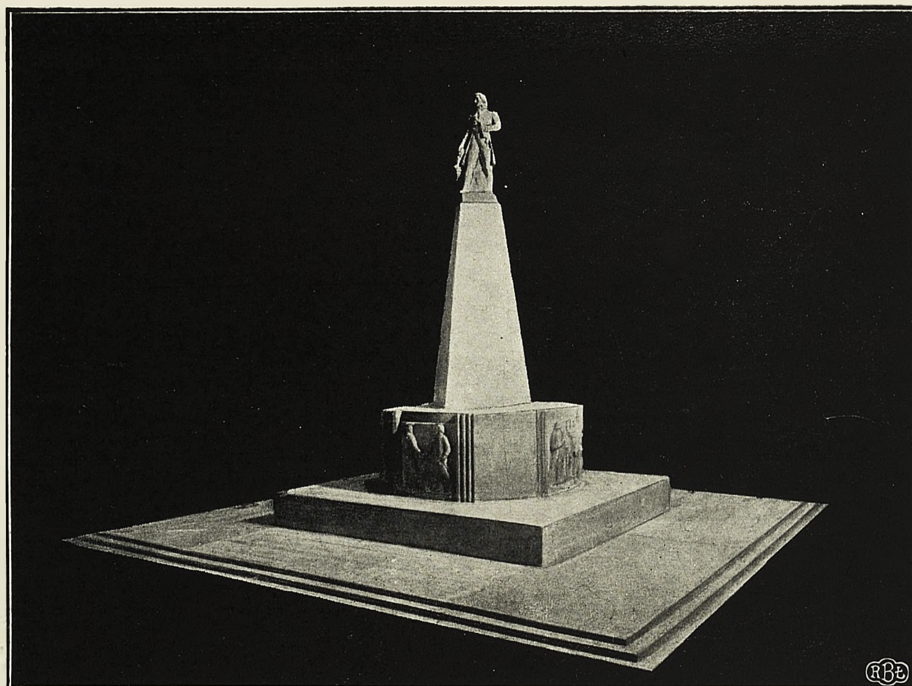
Szkoła powszechna przy ul. Nowo-Marysińskiej

pierwszej partji osadników oraz 12.000 metrów kanałów ulicznych. Pozatem zamierzone jest podjęcie w najbliższym czasie budowy urządzeń wodociągowych (również podług planu inż. Lindley'a). Pierwsza serja tych robót kosztować będzie w przybliżeniu 5 i $^1/_2$ miljona dolarów. Ilość dostarczanej wody ma wynieść w I serji 37 i $^1/_2$ tys. metrów sześciennych na dobę. Według przeprowadzonych obliczeń dochód roczny z wodociągów w ramach I serji wynosić będzie 550 tys. dolarów. Przy pełnej rozbudowie sieci wodociągowej dzienne zużycie wody wyniesie 150 tysięcy metrów sześciennych. Budowa potrwa przypuszczalnie około 4 lat. Projektowane jest zaciągnięcie przez miasto pożyczki zagranicznej na podjęcie i przeprowadzenie wodociągów w Łodzi.

Z innych zamierzeń inwestycyjnych samorządu łódzkiego wysuwa się na czoło budowa 2 kolonij mieszkalnych robotniczych. Koszt budowy obydwu kolonij wyniesie przeszło 15 miljonów złotych. Konkurs na zaprojektowanie domów w tych kolonjach już został ogłoszony i jeszcze w bieżącym roku zostaną podjęte roboty budowlane w wielkim stylu. Efekt całkowity tych robót wyrazi się w postaci 11 tysięcy izb mieszkalnych. Pod budowę zostały wyznaczone wielkie obszary w najzdrowszych dzielnicach miasta. Jest rzeczą godną podkreślenia, że program ogłoszonego konkursu przewiduje również zaprojektowanie w każdym kompleksie zabudowań stacji opieki nad matką i niemowlęciem, ochronki, kilka pomieszczeń biurowych i handlowych dla kooperatyw i innych lokali, przeznaczonych na cele użyteczności społecznej.



Szkoła Powszechna przy ul. Wspólnej



Projekt pomnika Kościuszki przy pl. Wolności
art. rzeźb. Mieczysława Lubelskiego

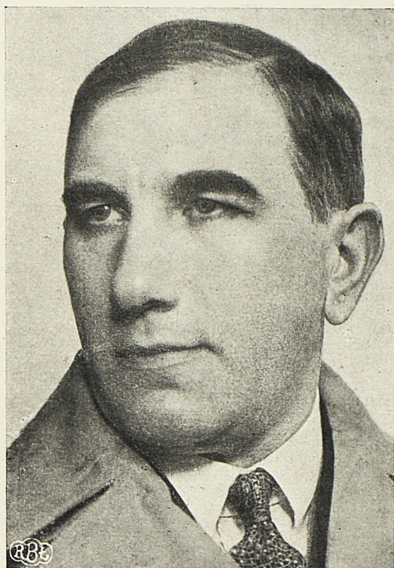
Akcja budowlana samorządu miejskiego przyczyni się wybitnie do złagodzenia głodu mieszkaniowego w Łodzi.

Dążenie samorządu miejskiego do podniesienia zdrowotnych warunków wśród ludności miasta znajduje również wyraz w zaprojektowanej budowie wielkiego szpitala powszechnego, obliczonego na 2500 łóżek. Pozatem w planie inwestycyjnym zarządu miejskiego figuruje budowa 3 ośrodków zdrowia, nowej wielkiej łaźni ludowej, 2 sanatorjów gruźliczych, zakładu położniczego oraz nowocześnie urządzonego zakładu utylizacyjno-sterylizacyjnego. Wspomniane prace zostaną zapoczątkowane częściowo już w roku bieżącym.

W dziedzinie budownictwa plan inwestycyjny samorządu łódzkiego obejmuje poza kapitalnem dziełem budowy 2 kolonij robotniczych z 11 tys. izb mieszkalnych, następujące większe prace: budowę Domu Ludowego, baraków dla wyeksmitowanych, domów dla pracowników miejskich i nauczycieli, domu dla osób bezdomnych, a także budowę wiaduktu, budowę i uruchomienie nowej cegielni mechanicznej oraz budowę pomnika bohatera narodowego Tadeusza Kościuszki. Pozatem w dziale budownictwa miejskiego budżet Zarządu miasta Łodzi na rok administracyjny 1928/29 przewiduje znaczne sumy na bruki miejskie oraz zakup gruntów. — Jak widzimy, gospodarka samorządu miejskiego w Łodzi zakrojona jest na wielką skalę i wypełnia stopniowo dotkliwe braki, jakie w licznych dziedzinach życia miejskiego pozostawiły po sobie długotrwałe rządy obcych czynników.



Postać Kościuszki



Mieczysław Lubelski
Art. Rzeźbiarz
Projektodawca pomnika Kościuszki

A teraz słów parę o pomniku, jaki wkrótce wzniesie się na placu Wolności.

W pomniku Tadeusza Kościuszki dla Łodzi podkreślony jest w koncepcji twórcy artysty rzeźbiarza p. A. Lubelskiego charakter Kościuszki jako reformatora, wolnomyśliciela i wodza narodu, ochraniającego wolność. Figura wieńcząca pomnik mierzy 4 metry, płyta pod nią 35 centymetrów. Fragmenty z życia Tadeusza Kościuszki ujęte są w płaskorzeźby, umieszczone na czterech stronach ośmioboku, będącego podstawą dla piramidy. Cztery strony tego ośmioboku są prostemi ścianami, a cztery, na których są umieszczone płaskorzeźby, są odcinkami cylindra.

Koncepcja pomnika oparta na wypośrodkowaniu stosunku do placu Wolności, przyczem też stosuje się artysta do warunków miejscowych Łodzi, jako miasta nowego, bez tradycji stylowych. Monumentalność pomnika warunkuje się nietylko samym tematem, ale i wielkością placu i krzyżujących się perspektyw czterech wielkich ulic.

Ustawiona w dniu 4 września 1927 roku kulisa pomnika dała dodatni rezultat w stosunku wielkości do placu, jak również gmachu obecnego Magistratu i projektowanego przez prof. Przybylskiego gmachu Rady Miejskiej, co da początek racjonalnego zwartego i monumentalnego zabudowania placu Wolności, którego posiadaniem m. Łódź poszczycić się może.

Cały pomnik mierzy 17 metrów wysokości. Stopnie zajmują przestrzeń 20 na 20 metrów.

Figura i płaskorzeźby projektowane są w bronzie. Do wykonania architektury pomnika projektuje się granit polski.



Szkoła powszechna na Nowem Rokiciu



Ulica Piotrkowska w letnie popołudnie

ŁÓDŹ DZISIEJSZA

Jest taka nowa, dobra powieść Perzyńskiego o niepodobnie długim tytule: „Nie było nas, był las". A przecież można było dać inny, krótszy tytuł: Warszawa dzisiejsza.

Łódź — miasto nie ma, narazie, swojego własnego Perzyńskiego i tylko zrzadka ten lub ów feljetonista użyje sobie na panu Gancegal, czy innym lodzermensch'u, albo aktualnej sensacji.

Ale czyni to zwykle od niechcenia, między wierszami, w kilku słowach.

. . . .

Cukiernia wytworna Grand Café. Godziny od szóstej do ósmej, codziennie, latem i zimą, pogoda czy deszcz, dzień powszedni lub święto, hauss'a na dolar lub baiss'a na bawełnę.

Wszystkie prawie panie przychodzą na jedną chwileczkę, z paczkami i pakiecikami. „Moja droga pani, naprawdę, nie mam czasu, na jedną chwilę"... Chwila trwa zwykle godzinę, nieraz... dłużej.

Stół średniego przemysłu. Panowie starsi, otyli, niektórzy z lekką astmą. Rozmowa polsko-rosyjsko-niemiecka. Gazety także różne.

Panowie od dyskonta na jeden sześćdziesiąt pięć miesięcznie. Jeden wysoki szczupły brunet od asekuracji. Podobno, że asekuruje wszystko, oprócz cnoty niewieściej... Dwóch braci od samochodów. Smary i oleje. Ekspedycja krajowa i własne pociągi do Rumunji. Odpadki bawełniane i prana w Strykowie wełna krajowa.

Zrzadka wpadnie oficerski mundur, a wtedy wstydliwie ukryje się gdzieś w kącie na uboczu.



Stare miasto



Pochód



Defilada

Orkiestra wojskowa wygrywa skoczne shimmy. Pozatem spokój, dystynkcja, zielone empire obicia i dobre kaloryfery.

Uświadomione panny i rozwodzące się przed srebrnem weselem mężatki nie zwracają naogół uwagi na panów; chyba... jakiś nowy przyjezdny.

„Sala Malinowa". Była taka sala przed wojną, kiedyś. Teraz niema malinowego dywanu smyrneńskiego, ale pozostała nazwa i zamiast restauracji — dancing.

Niedziela zimowa. Popołudnie tańczące. Panie do siedemnastu lat, panowie w podobnym wieku. Kwiat narodów (!). Tańczy się wyłącznie black-bottom'y i podobne amerykańsko-murzyńskie niedorzeczności.

Dzieci się bawią. Starsi przyjdą wieczorem.

Spacer na deptaku od Traugutta do Przejazdu i od 6-go Sierpnia do Św. Andrzeja. Ruchem wahadłowym posuwa się tłum młodzieży. Ukłony, uśmiechy, żarty. Nowe czasy, nowe pokolenia.

Przed wystawą sklepu galanteryjnego tłum młodzieży. Słychać szepty i śmiech. W oknie wystawowem woskowe panie w bieliźnie.

Nad kioskami gazetowemi lampy, nad jezdnią szerokie płachty reklamowe kin i cyrku.

A propos wystaw. Galerja Miejska w parku imienia Sienkiewicza. Cicho, pusto, ciepło. Publiczność należy do okazów. Zwykle nikt nie bywa. Chyba, że jakaś para, która nic sobie jeszcze nie powiedziała, lub wszystko ma do powiedzenia...

Łodzianie lubią, obrazy... ale w kinie.

Teatralna. Nocny kabaret. Pije się kawę, w maszynkach samogotujących. Do tego likier. Jeden kieliszek na osobę. Dla ozdoby stołu i zresztą, przecież nie wypada inaczej, chyba że się pije znacznie dużo więcej...

Maskarada karnawałowa. Sala Filharmonji zawieszona pstrokatemi płachtami płótna. Girlandy gałęzi jodłowych i papierowych kwiatów na kolumnach. Na estradzie, jak zwykle,





Targ na Wodnym Rynku



Gmach „Grand Hotelu" w centrum Łodzi
wybudowany przez Arch. H. Lande

„wytworna kawiarnia". W garderobie bufet i winiarnia. Baloniki zbierają się u sufitu w barwne festony. Padają ostre światła kolorowe reflektorów na wywoskowaną posadzkę... Zabawa w pełni.

Rodzą się flirty, miłostki, uczucia. Wszystko płynie i wszystko się powtarza.

Zrzadka wybuchnie skandal. Ktoś kogoś, niewiadomo zaco i dlaczego. Zamieszanie trwa kilka minut i znów wszystko się uspakaja. Maskarada... maskarada.

Koncert Filharmonji Warszawskiej. Olbrzymia sala prawie pusta. Kilkadziesiąt osób. Z tego połowa krytycy i recenzenci. Więc poco i dla kogo?

Czytelnia. Tylko nowości. Wszyscy czytują nowości. Może Micińskiego „Vita"?

Nikt nie wie. Zresztą... nazwisko polskie. Co innego De Cobra, Ola Hannson, Karin Michaelis.

Mądra kobieta ta Metta Trapp — decyduje starsza panna.

Czy zna Pani „Miłość Anny Ney?"

Zrzadka przeczyta ktoś Reymonta.

Jeżeli „Romans na Wsi" Kisielewskiego — to pewnie starszy pan, albo... nauczyciel.

Takim wolno.

Bibljoteka Publiczna. Mały, dwupiętrowy domek odsunięty wgłąb podwórza, zdala od ulicy. Czytelnia na miejscu. W dużej sali słychać bicie miarowe zegara, a siedzi do pięćdziesięciu osób. Tu jest przynajmniej rzetelna praca w odpowiednich warunkach.

Publiczność i kierownictwo rozumieją się doskonale.

„Miejskie Muzeum". Tak głosi napis. Wchodzimy z podwórza do oficyny na drugie piętro, do sali niby muzealnej. Jest ręka mumji. Warsztat tkacki z przed stu laty. Modele chat polskich. Kolekcja monet. Zardzewiałe, podobno polskie szable.

O piętro wyżej — zbiory przyrodnicze. Przedmioty przed dwudziestu laty darowane. Należałoby przenieść raczej do pracowni przyrodniczych. A co zrobić wtedy z Muzeum?

Miejska wypożyczalnia książek dla dorosłych. Bezrobotny prosi o ekonomję polityczną. Uczeń starszej klasy chciałby zgłębić tajniki pozytywizmu według literatury Chmielowskiego. Dziwne wrażenie. Czyżby tu była prawda życia?

Parki. Stary, dawny — Kolejowy. Najstarszy park w Łodzi. Po szerokich alejach przed 30 laty spacerowali „ludzie z towarzystwa", lojalni obywatele. Z za listowia drzew przeglądają kopuły cerkwi i w letni wieczór cicho zagra jedyny, mały dzwon. Sic transit gloria...

Park imienia księcia Józefa. Olbrzymie przestrzenie trawników, kilka ładnych klombów kwiecia i najniepotrzebniej sztuczny staw a na nim dwa smutne łabędzie. O godzinie dwunastej ryk fabrycznych syren wypełnia aleje. Park jest w Łodzi.

Ogród, teraz „park" Staszica. I właśnie dlatego, że tak się nazywa, niema tu pomnika Staszica.

Za to u wyjścia, na półkulistym trawniku umieszczono najlepszy dla Łodzi pomnik: łódzkiego nieznanego robotnika.

Wszystko inne przemija i zmienia się, ale z pracy łódzkiego robotnika powstało, żyje i rozwija się: Łódź—Miasto.

N. R.



Szkoła powszechna przy ul. Drewnowskiej



Brama fabryczna zakładów Tow. Akc. Scheibler i Grohmann

U FABRYCZNYCH BRAM

Ranek.

Blady świt zaspanym brzaskiem zbudzonego dnia rozgląda się po pustych ulicach Łodzi.

Nagle zdaleka jakby kołatek stukotanie...

Jedne, drugie, coraz więcej, szybciej, dążą zewsząd, potężnieją w jeden nieustanny akord gigantycznego zda się ksylofonu.

To robotnicy łódzkich fabryk...

Nagle ciszę rozrywa przeciągłem wołaniem syrena fabryczna, oddalona, zalotnie dzwonna, wibrująca na wysokiej nucie jak tanecznica w purpurze wschodzącego słońca. Głucho, posępnie by z leśnych ostępów poryk niedźwiedzi zaczyna wtórować zew drugi, trzeci... Coraz potężniej łączą się octawy tonów, dygocą coraz silniejszemi, najróżniejszemi dźwięki, raz po raz nabijane ostremi gwizdy parowych kotłów, huczą już po nad całem miastem, zawodzą zwycięsko w jeden przepotężny rytm— hymn pracy. Zaroiły się ulice. Szary, ciemny, tysiącgłowy wąż wypełz na miasto, dążąc do bram fabrycznych. Sunie milcząc, jakby w skupieniu. Tylko syren fabrycznych słychać szloch, cichnący jękliwem zawodzeniem. — — — —

Drgnęły maszyny, ozwał się zgrzyt, zazębiły tryby, transmisje i pasy zwisłe i zwiotczałe w bezruchu, nagle sprężyły się, strun napiętych rozbrzękły dźwiękiem, by łuku cięciwą rozegrały, aż z przeciągłem wiukaniem targnęły w rytm ciągły, a nieustanny, tysiączne koła, kółka i koliska, warsztatów, przędzalni, tkalni, krosien, wiertarek, heblarek, frezmaszyn, tokarni, dziesiątki, setki, tysiące, miljony...

Dudnią, jęczą, sapią, skrzypią, dygocą, małe, wielkie, potworne, żelazne dziwaczne skręcone straszydła maszyn, w rytm zda się rozkołysały mury fabryczne, ziemia drży, podłogi sycone smarem uginają, schody trzepocą, windy jęczą, łańcuchy dzwonią... a szara masa ludzka pochyliła ramiona, rozwarła ręce, przylgła do swych warsztatów i rozpoczęła codzienną zajadłą walkę o byt, o chleb, o trwania moc!

Łódź cała rytmem maszyn dygoce, tętni transmisji pulsem, jak jeden człowiek jednem serca biciem gra.

Rozpoczął się dzień, zwykły roboczy pracy dzień.



Do pracy



Fajerant



Po wypłacie

W portjerniach wiszą już na swych numerach blaszane marki.

Majstrowie, werkfirerzy, magazynierzy do szeregowców roboczych włącznie — wszyscy na stanowiskach!

Walka o byt! Jedna z trzech set bitew roku z nędzą, zmaganiem się, o czarny, twardy chleb zaczęta.

Maszyny terkocą jak mitraljezy, poszczekują krosna, huczą motory, kotłownie ogniem piekielnym zioną.

Elektrownie jedne syczą z cicha, wypięknione błyskotem mosiądzu, stali polerowanej lustrem lśnią, i gigantycznych kół rozpędowych bezszelestnym pędem, tem są groźniejsze — że w nich zwarta życia moc!

Bitwa trwa!

Jak oficery a sztabu starszyzna, raz po raz wypryskuje na sale fabryczne to z urzędników młodszych który, to dyrektorek jaki, to główny z werkfirerów, to sam właściciel zlustruje salę, to znów, zupełnie jak na terenie walk, grupa obcych przybyszów — gości, prowadzona przez którego z wice-dyrektorów, niby attache zaprzyjaźnionych mocarstw zwiedza fabrykę, pole walk.

A bitwa trwa — o byt, o chleb, o płótna strzęp, sukna szmat dla żon, dzieci — na własny grzbiet!

— — — — — — — — —

Krzyk raptowny — gwałtu wstrząs, omdlewa maszyn rytm. — Cisza. Jak szleje u wozu zwisły w bezruchu pasy, zwiotczały transmisje, zamarły koła w bezruchu...

Krew, jęk i szloch...

Bezład, lament, lęk, gniewnych zwoływań grad. Chwila... drgnienie, już koła warczą w rytm, maszyny biorą pęd... okaleczony ludzki wynoszą strzęp. — Bitwa trwa...

— — — — — — — — —

Są widne białe przędz puchem sale, ciche szelestem krosien, prześwietlone słońcem i piękne urokiem dziewczęcych główek pochylonych w pracy. Są w ogniu płomieni, potem lśniące, wpółobnażone torsy gladjatorów, dźwigające młot i gnące stal, są czarne sylwety potępieńców, są skupienia pełne nad lśniącą maszyną, czujne, baczne, mądre oczy



Wiec na Wodnym Rynku

świadome, pewne oczy dążnego celu w pracy robotnika... Są wilcze z podełba patrzące, chytre nieroby, popsuje a maruderów czerń różna... jak na wojnie!

— — — — — — — — — — — —

Znagła bledną twarze, czerwienieją ściany. Ognia trzask, dymów kłąb — gore!

Gejzerem tryska ognia słup, zwałem skłębionego dymu dławi gardziele krzyk!

Niebosiężny krzyk...

Pożar... płonie fabryka... cztery piętra... parę set dusz w klatce żaru i płomieni...

Miasto huczy syren wyciem, dygoce wozów tętentem. Jasny trąbek wrzask — Straż.

Pędzi, leci, gna . . .

Zatoczyły koliskiem wozy, sypnęły garściami straceńców ofiarnych w dym, żar, na śmierć! Upiornie dźwigają się drabiny, wznoszą wwyż nad ogień, dymu gryzącego kłęby. Trysnęły hydranty, strumieni srebrnych haftem, migocą na złoto-szkarłatnem tle, wiją się jak węże i jak węże gryzą, szarpią, rwą.

Dzwonią topory — komenda gra — zewsząd huraganem toczą się tabory, dźwięczą sygnały — dudni ziemia — drżą domy...

Dębowe dyle podłóg przesycone smarem gną się w ogniu, wyginają kraty okien, lecą



Pożar



Pogorzel

Zamiera zagasły dzień — gorączki budzi się noc. W krwi tętno bije, w serc rytm, w oddechów umęczonych szept, ulic zgiełk, miasta wir — życia wszechpotężny zew!

Zaludniły się tramwaje, zatrajkotały plotką sklepiki, ożyły piwiarnie. Po suterynach, mansardach, oficynach przedmieść rozkwitły lampek żółte, chorowite ogniki, dzieci płacz, padają na stół chleba skąpo krajane kęsy, jeszcze skąpszy grosz, rozpacznie zła, twarda pięść!

— — — — — — — — — — —

Są czasem dni... o świtu szarym brzasku... głuche syrenich ech.

Kominy fabryczne z dymów czarnych, rozwichrzonych czupryn odarte, sterczą zimne, niemądre, ciekawie w bladość ranka zapatrzone.

Kotłownie stygną, ślepe ognisk wygasłych paleniskiem, w kątach sal czają się maszyn zaginione zgrzyty, szczerzą w bezruchu tryby i koliska, pokutują stukotem rur stygnących podźwięki, błądzi po kątach roztańczony strach.

Nadzieje, lęk zysków, strat, nędza, głód, tysiąc klęsk jak w pocisk jeden zamknięte, zaklęte w bezczynu — czyn!

Strajk!!!

Podziemnym grzmotem bełkocą namiętności, syczy zawiść, złość ludzka rozgadana wypełzła z nor, nędza szykuje swe odświętne chusty...

Strajk!!!

— — — — — — — — — — —

Wkrąg fosgenowy żółty pełga lęk.

Adam Kowalczewski-Siedlecki.

schody, maszyny, walą brandmury, pękają ściany... żar, piekło!

Bitwa trwa...

— — — — — — — — — — —

Zmierzch — by z żalem, głoszą syreny pracy kres. Znów z bram fabrycznych czarna płynie fala. Ale ginie, rozlewa mętnie, po uliczkach, zaułkach, wsiąka w bramy, sienie, ścieka do suteryn, izb dusznych, ciemnych...

Klangorem syren gra fabrycznych zew. Fajerant!

— — — — — — — — — — —

Fioletów cienie wieczorne snują mgły, blade księżyce lamp elektrycznych wykwitają w mroku beznadziejnie długiemi sznury. Kołyszą się senne, ciche jak upiorne, białe kwiaty, na błotnych moczarzysk rdzawiskach.



WOJEWÓDZTWO ŁÓDZKIE

Województwo łódzkie stanowi jedną z najciekawszych połaci kraju, już samo ustosunkowanie ludności do jej zajęć, jak wybitnie przemysłowy i w przeważającej liczbie miejski charakter, wyróżnia je niezwykle z pośród innych województw naszego kraju.

Na terenie województwa łódzkiego skoncentrowany jest wielki przemysł włókienniczy Polski, który zdobył sobie rozgłos w licznych krajach europejskich i pozaeuropejskich. O zurbanizowaniu województwa łódzkiego świadczy fakt, że posiada wyższy odsetek ludności miejskiej, niż jakiekolwiek inne województwo. Mianowicie w województwie łódzkiem ludność miejska stanowi 38,1 proc. ogółu ludności województwa, a więc wynosi procentowo tyleż, ile wynosiła w 1910 r. ludność miejska w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, a więcej, niż obecnie wynosi odsetek ludności miejskiej w Szwecji. Wśród ludności województwa łódzkiego znajdujemy 83,2 proc. polaków, 12 proc. żydów, 4,6 proc. niemców i 0,2 proc. osób innych narodowości. — Struktura zawodowa ludności województwa łódzkiego przedstawia się następująco: rolnictwo 53,8 proc., przemysł 24,6 proc., handel — 8,3 proc., komunikacja — 2,7 proc., służba publiczna — 2,7 proc., służba domowa — 3,2 proc., inne zawody — 4,7 proc.



Władysław Jaszczołt
Wojewoda łódzki



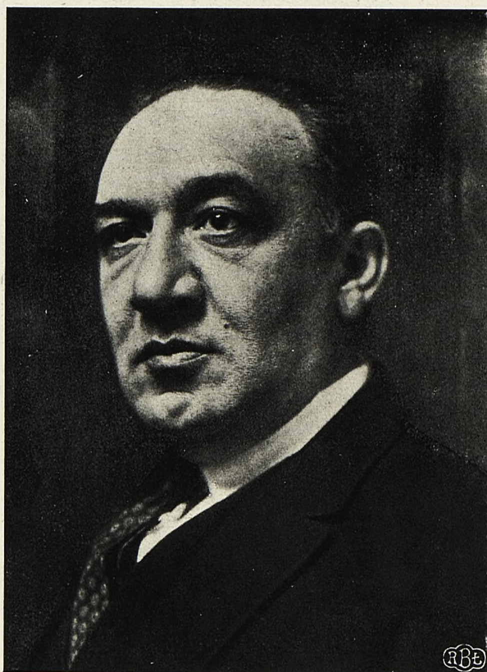
Urząd Wojewódzki w pałacu Poznańskich

Wysoki urząd wojewody łódzkiego sprawowali kolejno pp. inż. Kamieński, Rembowski, dr. Garapich i Darowski.

Od 1926 roku urząd wojewody łódzkiego piastuje p. Władysław Jaszczołt, cieszący się wielką sympatją, zaufaniem i poważaniem wśród ludności całego województwa.

Urząd województwa przeniesiony obecnie do gmachów pałacu Poznańskich zyskał odpowiednie pomieszczenie tak pod względem wygody jak i reprezentacyjnie, do czasu wzniesienia monumentalnego gmachu własnego.

MIASTO PRACY



Dr. Marceli Barciński

Dyrektor naczelny Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskiem

Ten przydomek przylgnął do Łodzi i jest w zastosowaniu do niej używany tak powszechnie i często, że stał się przez to czemś niemal konwencjonalnem, za czem przestaje się szukać głębszego sensu. A przecie trudno naprawdę o głębsze uzasadnienie przydanej nazwy, jak właśnie tej. Leży ono bowiem nietylko, jak prawdopodobnie mniema wydatna większość używających tego przydomka w słowie i piśmie, w pracy setek tysięcy robotników, stanowiących główny kontyngent mieszkańców: trzeba się cofnąć myślą do pierwszych zaczątków tego tak bardzo swoistego i odrębnego miasta i zgłębić całkiem indywidualne jego cechy obecne, by zrozumieć, jak bardzo i słusznie nazwa miasta pracy i z innych jeszcze przyczyn mu się należy.

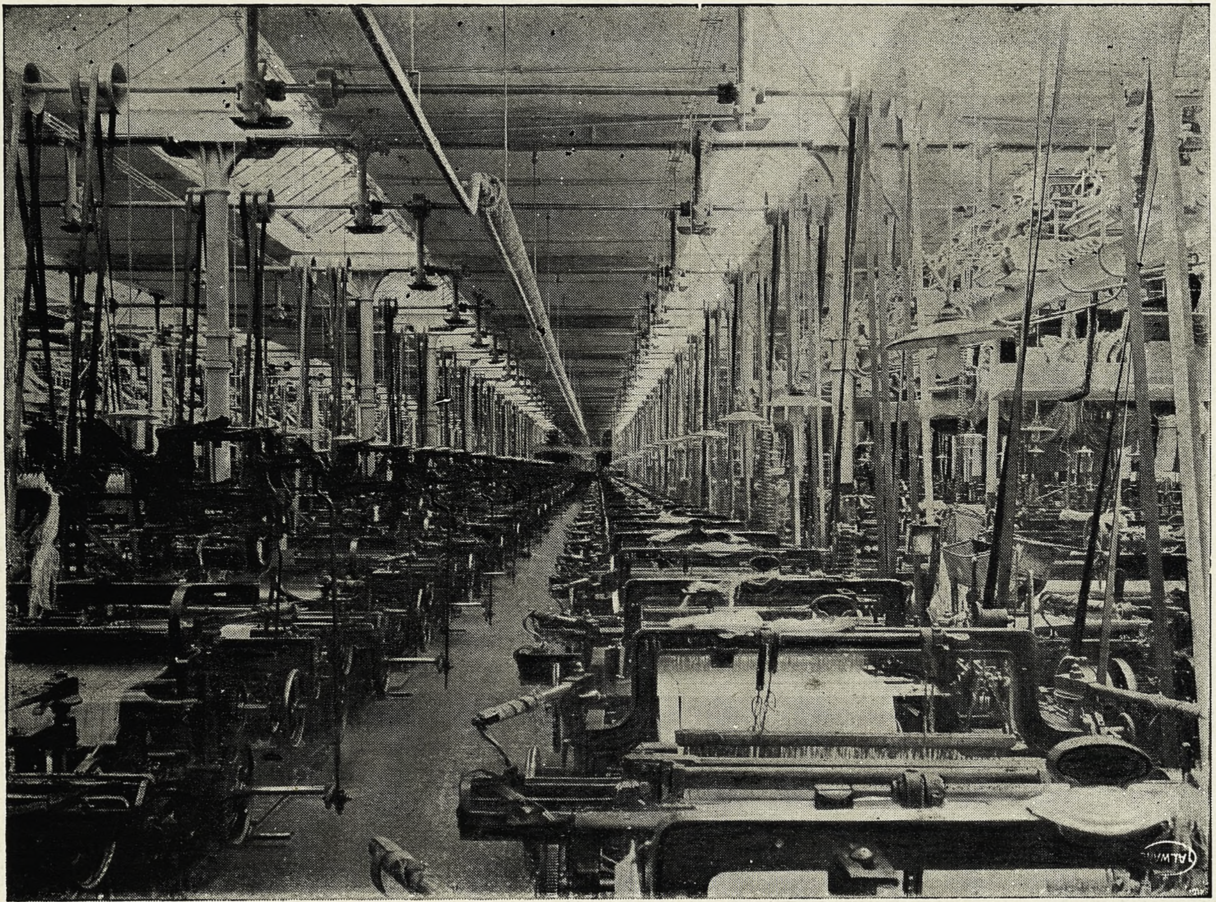
Łódź powstała przed wiekiem, jako osiedle pracy, zamieszkałe przez ludzi, którzy w jej poszukiwaniu opuścili pielesze ojczyste, ściągając tu w coraz liczniejszych zastępach. I budowali na tej wolnej od wszelkiej tradycji glebie — miasto? — nie: warsztaty pracy i narzędzia zarobku. Czy były to, jak z początku, wątłe chałupy, czy, jak później, już murowane gmachy fabryczne — wszystkie powstawały jako jednostki same w sobie, bez myśli o całości, bez troski o piękno, według jedynego tylko wskazania: celowości. On, przedsiębiorca, sam usuwał się w cień: mieszkał bylejak, byle przy fabryce, pracował byle gdzie, byle przez pomieszczenie dla swego biura nie uszczuplić miejsca, potrzebnego dla ustawienia maszyn. I biura panów fabrykantów mieściły się prawie bez żadnego wyjątku w najciemniejszych kątach zabudowań, bez powietrza, bez widoku z okien.

Od tego czasu wiele się już zmieniło: wraz ze zwiększonemi potrzebami kulturalnemi biura z bocznych nor przeniesione zostały do widnych i wielkich pomieszczeń frontowych, a skromne izby mieszkalne zamienione na piękne domy i pałace, te jednak w przeważnej większości pozostały niezmiennie na terenie fabrycznym. I to jest nader symptomatyczne, jako dowód tego, że w tych synach, a niekiedy i wnukach założycieli wielkich przedsiębiorstw przemysłowych pozostał jeszcze, mimo tak bardzo odmiennych warunków wychowania i wykształcenia, instynkt dziadów i ojców, nakazujący im pozostawać w największej bliskości warsztatu pracy.

Z takiego to powstania i rozwoju miasta wynikła w konsekwencji jego brzydota, tak bardzo i niemile uderzająca każdego obcego przyjezdnego, który nie widzi i widzieć nie może nic, prócz wąskich, przedługich, źle zabrukowanych ulic i szpetnej pstrokacizny budowli, wznoszonych w różnych intencjach i celach i bez żadnej myśli twórczej, dbałej o skoordynowanie odrębnych poczynań. Gdyby ta myśl była istniała — to znaczy: gdyby z jednej strony wzrost zapotrzebowań kulturalnych był szedł w parze ze wzrostem zasobności materjalnej, z drugiej zaś warunki ustrojowe i stosunek rządu do miasta były dopuszczały myśl o mieście obok myśli o pracy — to już przed dziesiątkami lat troszczonoby się o to, by fabryki nie powstawały w śródmieściu, a piękne domy mieszkalne nie były porozrzucane i nie ukrywały się przed okiem przechodniów poza parkanami fabrycznemi. I miasto byłoby przybrało inny zupełnie wygląd.

Czy jednak wtedy straciłoby było swój charakter miasta pracy? Liczne są dowody na to, że nie, i że tylko Łódź, zamiast być brzydkiem miastem pracy, mogłaby się była stać ładnem.

Bo cóż jej, prócz licznych kominów fabrycznych, prócz idących do pracy i wracających od

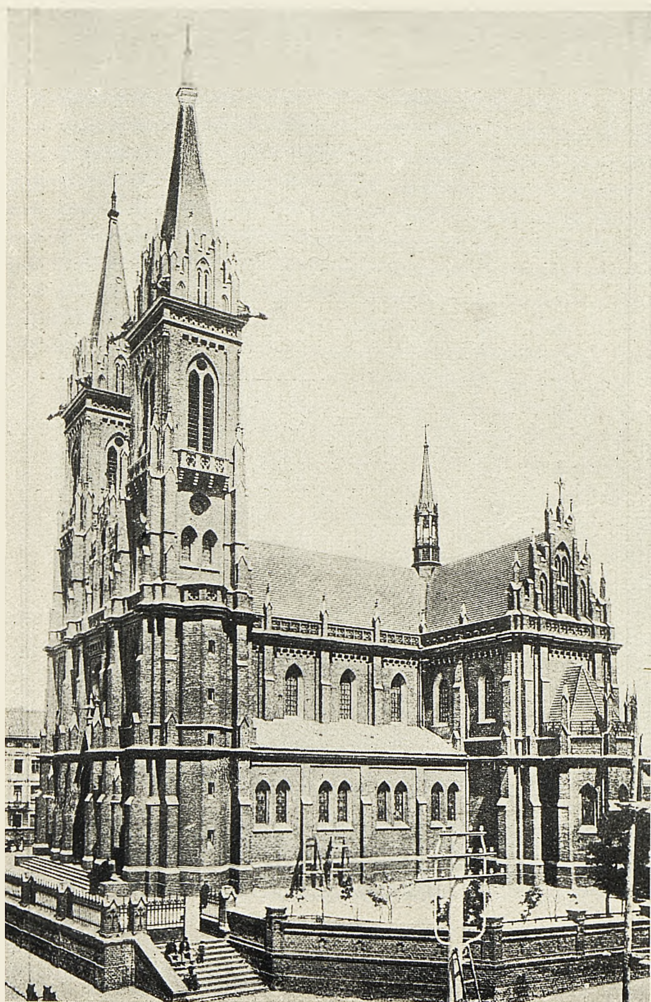


Sala o 1496 krosnach w Zjedn. Zakł. Przem. K. Scheiblera i L. Grohmana

niej mas robotników, prócz pośpiechu przechodniów, prócz przepełniających domy biur i składów, prócz typowych wozów ciężarowych, krążących stale po wszystkich ulicach, ten charakter nadaje? Tryb i sposób życia i tych również sfer mieszkańców, które innym miastom nadają specjalny koloryt życia wielkomiejskiego. W Łodzi tego niema, bo wszyscy pracują od wczesnego rana do późnego wieczora i tylko pracą życie sobie wypełniają. Nie znają synekur, bo zasiadając w radach i zarządach pracują i tam. Z powodu takiego trybu życia mieszkańców miasto przybrało właśnie ten charakter, jaki go wyróżnia od wszystkich innych miast. Wtedy, kiedy powstawało—rozrastało i rozwijało się tylko według wskazań jedynej potrzeby: pomnażania ilości warsztatów pracy. Innych potrzeb nie było — ani estetycznych, ani kulturalnych. Później zaś, gdy te potrzeby stawały się coraz głośniejsze i natarczywsze, albo już było zapóźno, albo przeszkadzał rząd zaborczy, albo wreszcie silne rozdwojenie narodowościowe i wyznaniowe stawało w poprzek wszelkim zbiorowym poczynaniom, poczynania indywidualne zaś wyładowywały się całkowicie w wysokim stopniu rozwoju kultury mieszkania prywatnego, ukrytego przed okiem przyjezdnego obserwatora. Stąd ten bijący w oczy brak wszystkiego tego, co stanowi piękno miasta, więc zadrzewienia i możliwości spaceru, monumentalnych gmachów publicznych, will i pałacyków, podmiejskich stacyj wycieczkowych, wytwornych lokali rozrywkowych, a nawet wielkich kawiarń i t. p.

Czyn zbiorowy był paraliżowany, a inicjatywa prywatna, podejmowana przez jednostki przygodne, pozbawiona należytego rozmachu, manifestowała się w poczynaniach prowizorycznych aż do tandetności, których po spłonięciu wszystkich dawnych gmachów teatralnych jedynym widomym śladem pozostały Sala Koncertowa i ubożuchny lokal Teatru Miejskiego.

W dodatku wielką przeszkodą w rozwoju kulturalnym miasta był stosunek doń społeczeństwa polskiego, które stroniło od Łodzi, składając na barki szczupłej pierwotnie tylko garstki troskę o nadanie miastu charakteru polskiego i rozwój polskiej kultury. I gdy uświa-



Kościół N. M. P.

domić sobie tendencje rządu, kierującego się zasadą „divide et impera“, oraz pełne przeciwności warunki ogólne, stwierdzić trzeba, że poczynając od ostatnich dziesiątków lat w. XIX, na tem polu zdziałano bardzo wiele — tak wiele, że przecie wbrew zaczątkom historycznym, wojna zastała Łódź już jako miasto o zdecydowanie przeważającym charakterze polskim.

Ale pozbawiona tradycyj wiekowych, sięgających do czasów przedrozbiorowych, Łódź wytworzyła sobie tradycję własną, a tej na imię praca. Mimo ewolucji, jaką dzięki wzrostowi zamożności i poziomu kulturalnego przebyli ludzie sami, nie rozleniwili się i spędzają życie na pracy, uważając niejako za rzecz zrozumiałą i naturalną, że potrzeby kulturalne i rozrywkowe zaspakaja się w Warszawie, lub w czasie dorocznego urlopu zagranicą, a w Łodzi się pracuje — i to tem lepiej, iż nic z zewnątrz nie odrywa uwagi i nie przerywa skupienia. Praca jest tu zatem alfą i omegą życia i na jej tle niema miejsca na żadne względy uboczne. Jej zadania skupiają przy jednym stole ludzi, nie mających poza nią nic ze sobą wspólnego, a nawet wyraźnie rozdzielonych dziwnie zakonserwowanym na terenie łódzkim, przepastnym wprost separatyzmem wyznaniowym. Ludzie, spotykający się stale przy wspólnej działalności, a nawet związani wspólnemi interesami, mogą nawzajem nie wiedzieć o sobie, gdzie mieszkają, czy i jakie mają rodziny, bo to już wykracza poza zagadnienia pracy.

Z tych przyczyn Łódź, niezależnie zupełnie od wszelkich znamion zewnętrznych, również dla swej istoty i struktury wewnętrznej jest, jak żadne inne miasto w Polsce, a może nawet na świecie całym, miastem pracy *par excellence.*

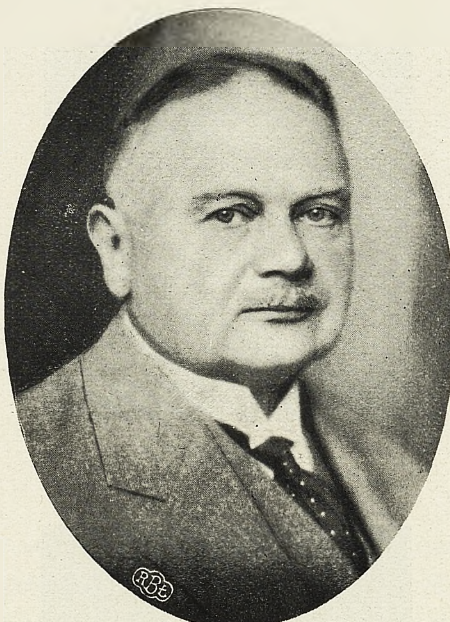
Niech kto chce osądzi, czy ten walor, zwłaszcza w dzisiejszych naszych warunkach powszechnego zubożenia, z którego tylko wytężona praca wyjście utorować nam może, nie zastępuje licznych niedomagań estetyki, na które narzekają najgłośniej przygodni przyjezdni, choć najwięcej cierpią nad niemi mieszkańcy stali.

Marceli Barciński.

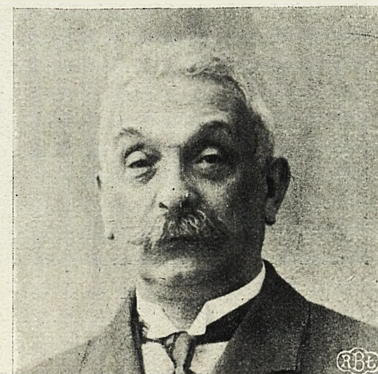




Maurycy Poznański
Wiceprezes



Dr. Alfred Biedermann
Prezes Zarządu



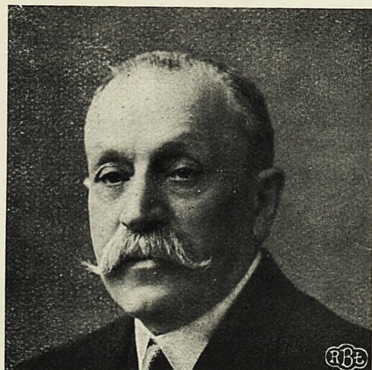
Maks Kernbaum
Wiceprezes

ZWIĄZEK PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO
W PAŃSTWIE POLSKIEM

Związek wielkiego przemysłu włókienniczego został zorganizowany w roku 1913 pod nazwą „Sekcja Przemysłu Włókienniczego przy Towarzystwie dla popierania Przemysłu i Handlu".

Celem tej organizacji było zbiorowe przeciwstawienie się przez wytwórców poważnym trudnościom, wynikającym dla nich z niepoprawności i samowoli klienteli szerokiego obszaru b. Cesarstwa Rosyjskiego. W skład Sekcji wchodziło ok. 50 największych zakładów przemysłowych, wytwarzających tkaniny wełniane i bawełniane, przędzalnie bowiem, jako mające zupełnie inną sferę klienteli, początkowo ze względu na główny cel organizacji do niej nie należały. Działalność Sekcji okazała się niezmiernie celowa i skuteczna, gdyż już po kilku miesiącach jej istnienia zaznaczyła się wydatna poprawa stosunków przemysłu z klientelą.

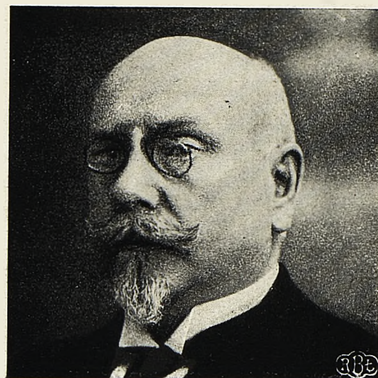
Po 10 miesiącach swego istnienia Sekcja z powodu wybuchu wojny światowej zmuszona była przerwać swą działalność na okres blisko całoroczny i podjęła ją nanowo dopiero we wrześniu 1915 roku. Począwszy od tej chwili, Sekcja znalazła się w obliczu wielkich zadań i całego szeregu nowych zagadnień. Był to okres okupacji, kiedy przemysł łódzki literalnie uginał się pod ciężarem łupiestw, dokonywanych przez władze niemieckie. Od tej chwili datuje się widoczny rozwój tej instytucji, w której w czasie wojny zrzeszyły się wszystkie



Edward Heiman
b. pierwszy Prezes Związku Przem. Włókienniczego



Henryk Grohman
Prezes zarządu fabr. K. Scheiblera i L. Grohmana



Feliks Krusche



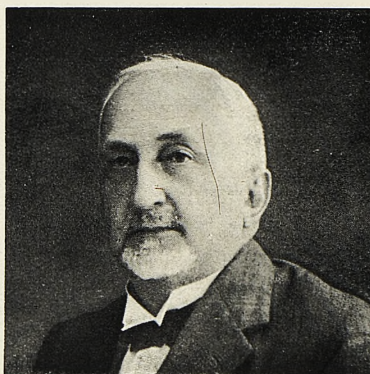
K. W. Scheibler



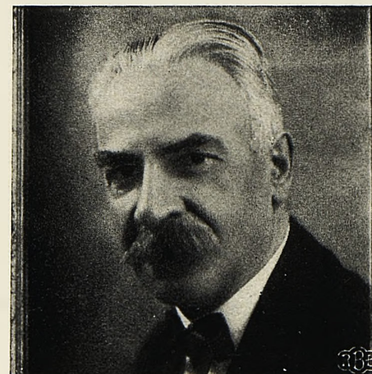
Karol Hoffrichter



Kazimierz Poznański



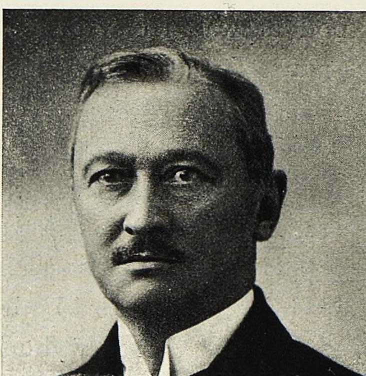
Karol Weil



Dr. Leon Hirszberg



Teodor Steigert



Juljusz Kindermann



Henryk Barciński



Wilhelm Schön
(Sosnowiec)



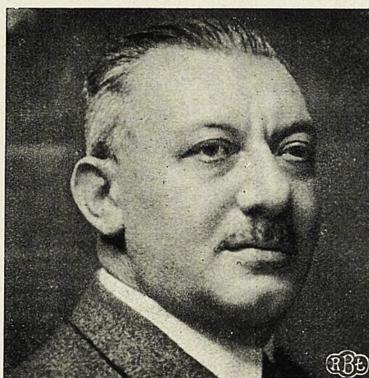
Andrzej Wierzbicki
(Warszawa)



Stefan Laurysiewicz
(Warszawa)



Robert Geyer



Stefan Barciński



Karol Eisert

firmy bez wyjątku, należące do wielkiego przemysłu b. Król. Kongr., a w ich liczbie też wielkie przędzalnie bawełny i wełny. Obszerna korespondencja Sekcji z władzami okupacyjnemi najlepiej świadczy o jej pracy i wysiłkach. Korespondencja ta, zebrana i opublikowana w wielkim tomie, stanowi bardzo ciekawy przyczynek do historji okupacji niemieckiej w Polsce. W okresie tym Sekcja Przemysłu Włókienniczego stanowiła ogniwo pośrednie między władzami okupacyjnemi a swymi członkami, broniąc wszelkich ich interesów i potrzeb, i być może, że działalnością swą przyczyniła się w pewnej mierze do złagodzenia zarządzeń władz okupacyjnych, które bez tej obrony ze strony Sekcji byłyby były jeszcze bezwzględniejsze.

Niezwłocznie po ustąpieniu okupacji Sekcja przekształcona została w Związek, oparty na własnym statucie, zatwierdzonym przez władze polskie. W miejsce p. Edwarda Heimana, jednego z założycieli i pierwszego i długoletniego jej prezesa, który zrzekł się tego mandatu, wybrany został p. Dr. Alfred Biedermann, a p. Dr. Marceli Barciński, dotychczasowy kierownik Sekcji od jej założenia, pozostał dyrektorem Związku. Od tej chwili Związek stał się instytucją, reprezentującą wszelkie interesy zawodowe i ekonomiczne polskiego przemysłu włókienniczego.

Dzięki energicznej i odpowiedniej administracji, Związek odegrał wybitną rolę podczas odbudowy i powojennego uruchomienia przemysłu, dokonywując zbiorowych zakupów niezbędnych artykułów technicznych, a zwłaszcza przyczyniając się do uzyskania kredytów zagranicznych na zakup surowców. Związek prowadził również zakup i repartycję węgla, niektórych surowców, chemikaljów i t. d., a także podejmował się zbiorowych dostaw dla tworzącej się armji polskiej.

W miarę stopniowego normalizowania się warunków Związek likwidował tę dziedzinę swej działalności, koncentrując się wyłącznie na obronie interesów zawodowych i gospodarczych przemysłu włókienniczego. Obszerne sprawozdania, publikowane corocznie, poczynając od roku 1920, świadczą najwymowniej o szerokim zakresie celowej i owocnej działalności tej Instytucji.

W roku 1927/28 Zarząd Związku stanowili pp.: prezes — Dr. Alfred Biedermann, wiceprezesi: Maks Kernbaum, Maurycy Poznański; członkowie: Stefan Barciński, Dr. Józef Berlinerblau (Warszawa), Paweł Biedermann, Edward Borst (Zgierz), Karol Eisert, Robert Geyer, Henryk Grohman, Dr. Leon Hirszberg, Karol Hoffrichter, Juljusz Kindermann, Feliks Krusche (Pabjanice), Stefan Laurysiewicz (Warszawa), Adam Osser, Kazimierz Poznański, Karol Wilhelm Scheibler, Wilhelm Schön (Sosnowiec), Teodor Steigert, Karol Weil, Andrzej Wierzbicki (Warszawa). — Prezes i delegat Sekcji Wełnianej — Henryk Barciński.

ŁÓDŹ KARTELI i TRUSTÓW



Dr. Leszek Kirkien

Łódź leży na najdalej na wschód wysuniętej linji granicznej, biegnącej ku północy przez Berlin, południową Szwecję, Antwerpję, Amiens, Paryż, Miluzę, Medjolan, Vorarlberg, Austrję dolną, Morawy, Śląsk i z powrotem do Łodzi, a obejmującej kraje, stanowiące, poza Anglją w Europie, centrum kapitalizmu.

Jeśli uwzględnić pozatem ośrodek, jaki się wytworzył po drugiej stronie Atlantyku we wschodnich stanach Ameryki północnej, to granice terenowe ognisk kapitalizmu byłyby zakreślone zupełnie dokładnie.

O ile światowa gospodarka w pełni ocenia rolę, jaką odgrywa Łódź w międzynarodowym ustroju kapitalistycznym, w Polsce nie ma się o tem właściwego pojęcia. Możliwem jest, iż odgrywa tu ważną rolę niepolskie pochodzenie tych, którzy zbudowali tę najbardziej na wschód wysuniętą placówkę centralnego obszaru europejskiego kapitalizmu. Faktem jednak pozostaje iż wartość Łodzi, stolicy pracy i wysiłku kupieckiego, nie jest należycie oceniona.

Do niedawna jeszcze Łódź była „kopciuszkiem", uważana przez bardzo wiele, wpływowych nawet osobistości — za twór szkodliwy, który nawet należałoby bodaj zlikwidować. Ta fatalna koncepcja nurtowała przez cały czas inflacji, kiedy Łódź, uzależniona od surowca zagranicznego, była jednym z najpoważniejszych, bo grupowo występującym, klijentem giełdowym, któremu przypisano główną winę, niespowodowanych przez nich, chociaż fatalnie na społeczeństwie się odbijających skutków inflacji.

Poglądy te pokutowały jeszcze nawet w okresie waloryzacji, i zaczęły ustępować dopiero w erze pierwszej stabilizacji, by zaniknąć wreszcie podczas drugiej, zdaje się, ostatecznej stabilizacji naszej waluty, gdy ulegalizowany został zdeprecjonowany parytet złotego. Ogół polski daleki jest jeszcze od zrozumienia charakterystycznych cech i przejawów życia Łodzi, tej najbardziej na wschód wysuniętej placówki wielkiego bloku europejskiej wytwórczości przemysłowej. Wystarczy tylko przeprowadzić analogję między psychiką ludności kresowej, czy też nawet pogranicznej, a psychiką mieszkańców centralnych połaci każdego kraju, aby zrozumieć podłoża antagonizmu uczuciowego, między ludnością rolniczej Polski, a kapitalistycznej Łodzi. Tam, gdzie stykają się dwa różnorodne elementy, dwie kultury, trudne jest porozumiewanie się i operowanie jednakowemi pojęciami.

Łódź, podobnie, jak Górny Śląsk, leżący w orbicie centrum, skupiającego najbardziej rozwinięty kapitalizm europejski, znalazły coprawda nareszcie język, którym mogą porozumiewać się z rządem, ale niestety nie spotkały się ze zrozumieniem bardzo znacznego odłamu ludności Rzeczypospolitej, wyrosłej i żyjącej w warunkach, zupełnie odmiennych i nie wykazujących tego stopnia rozwoju gospodarczego, co te dwa okręgi przemysłowe. Gdy zaczniemy naodwrót porównywać strukturę gospodarczą Łodzi, jako polskiego ośrodka produkcyjnego, z ustrojem przemysłowym krajów, objętych zakreśloną powyżej granicą rozwoju kapitalizmu, a przyjętą przeze mnie od znakomitego uczonego prof. dr Wernera Sombarta, to trzeba będzie stwierdzić, iż tworzymy w nim komórkę, stojącą na niskim stopniu ewolucji.

Zachód, a nawet polski Górny Śląsk — nie obejmuje tem pojęciem bielskiego przemysłu włókienniczego, administracyjnie, a nie genetycznie związanego z górnośląskim okręgiem, — wykazują formę organizacji przemysłowej, która przeszła już granicę epoki „pełnego kapitalizmu" i znajduje się już w okresie t. zw. „późnego kapitalizmu". Łódź natomiast tkwi jeszcze organizacyjnie w epoce „pełnego kapitalizmu".

Prawda, iż również na zachodzie, — nie licząc Anglji, gdzie kapitalizm zachował dotychczas wiele cech indywidualistycznej przedsiębiorczości — przemysł włókienniczy kontynentu, poza wytwórczością sztucznego jedwabiu, stojącą w pewnem tylko pokrewieństwie z włókiennictwem, nie wykazuje narazie większej dążności do koncentracji produkcji, która jest główną cechą okresu, „późnego kapitalizmu". Fakt ten jednak nie polepsza wcale sytuacji. Skupienie bowiem wokół i w samej Łodzi, na stosunkowo małym obszarze tak wielkiej ilości maszyn włókienniczych, odcięcie od głównego przedwojennego rynku zbytu — Rosji, nieuregulowana i chaotyczna konsumpcja wewnętrzna oraz trudności finansowe są czynnikami, które przyśpieszyć winny raczej proces dalszej ewolucji organizacyjnej naszego przemysłu, aniżeli go opóźniać.

Tymczasem pod tym względem Łódź nie przejawia należytych postępów; co więcej struktura gospodarcza wykazuje raczej więcej znamion, cechujących okres „pełnego kapitalizmu“, aniżeli „późnego“.

Sama organizacja naszych towarzystw akcyjnych w przemyśle włókienniczym nie stoi na poziomie przemysłów konkurencyjnych. Wartość inicjatywy twórczej, przeważającej części spadkobierców łódzkich fortun przemysłowych, odbija się od poziomu zachodnio-europejskich włókienników.

W ostatnim dziesiątku lat Łódź posiada bardzo nieliczne jednostki, któreby mogły być zakwalifikowane do kategorji ludzi, skierowywujących wytwórczość na nowe drogi. Coprawda, produkcja w związku z utratą rynku rosyjskiego uległa gatunkowej poprawie, nie rozwiązano jednak problemu wyzyskania pełnej zdolności produkcyjnej przemysłu w sposób, któryby z jednej strony zapewnił możliwość ciągłości pracy, z drugiej nie wywoływał wstrząsów na rynku, które są nieuniknione, gdy występuje zjawisko nadprodukcji.

Tak typowe dla okresu „pełnego kapitalizmu“ postacie „captains of industry“, pogłębiających i opanowujących techniczną stronę zagadnień produkcyjnych, znajdują się w stosunkowo największej choć liczbowo małej ilości w naszym przemyśle. Natomiast postaci „businessmanów“, uzdolnionych kupiecko przemysłowców kierujących stroną handlową przedsiębiorstw, posiada Łódź stosunkowo bardzo niewiele, jakkolwiek ustrój włókiennictwa czyni z natury rzeczy problem sprzedaży szczególnie trudnym. Intuicja handlowa, wyczuwanie konjunktur, posiadanie owych przysłowiowych „oczu przyszłości“ nie należą do cech należycie rozwiniętych u przemysłowców łódzkich. Trzeci natomiast, charakterystyczny dla „okresu pełnego kapitalizmu“ typ przemysłowca finansisty „corporation financier“ jest wogóle nieznany na gruncie naszym. Wykorzystywanie wszelkich możliwości finansowych, jakie stwarza konjunktura, nawiązywanie korzystnego z punktu widzenia narodowego stanu posiadania kontaktu z obcym kapitałem, są zaletami typu finansisty przemysłowego. Możliwem jest, iż nie mógł on się rozwinąć na tutejszym gruncie, ze względu na „rodzinny“ charakter największych włókienniczych towarzystw akcyjnych.

Przewaga zdolności fachowych nad zdolnościami kupieckiemi i finansowemi, wśród naszych przemysłowców nie tylko powoduje stępienie cech, jakie wykazywać był winien przemysł łódzki w okresie „pełnego kapitalizmu“, ale nawet nadaje mu pewne znamiona typowe dla okresu „wczesnego kapitalizmu“. Tymczasem linja ewolucyjna Łodzi, podobnie jak innych ośrodków przemysłowych, leżących w obrębie wielkiego centrum kapitalistycznego Europy, promieniującego na wsze strony i atakującego obszary przemysłowo-bierne, idzie w kierunku koncentracji i racjonalizacji produkcji, opartej na ściśle opracowanym programie produkcyjnym. To jest cechą epoki trzeciej t. zw. „późnego kapitalizmu“, której początek zbiegł się z wybuchem wojny światowej.

Łódź zaraz po wojnie wykazywała pewne tendencje w tym kierunku. Gdyby podówczas doszedł był do skutku projektowany trust bawełniany, stalibyśmy pod względem organizacyjnym na czele kontynentalnego przemysłu włókienniczego. Niezrozumienie tej wielkiej idei i niechęć do zrezygnowania z rozmaitych ambicji osobistych unicestwiło zrealizowanie tych projektów. W okresie inflacji, który się potem rozpoczął, nikt o tem nie myślał, a później podczas ciężkiego kryzysu waloryzacyjno-stabilizacyjnego przemysł miał za dużo kłopotów codziennych, aby móc powrócić do tej idei.

Dopiero z końcem 1927 roku siedm największych firm przemysłu bawełnianego: „Scheibler i Grohman“, „I. K. Poznański“, „Krusche i Ender“, „Karol Ender“, „Ludwik Geyer“, „Zawiercie“, ,,K. Steinert“, dla których ukułem w prasie codziennej i gospodarczej „grupy siedmiu“, rozpoczęło rozmowy na temat porozumienia cennikowego i ustalenia jednolitych warunków płatności. Zaczęły się nawet dyskusje nad opracowaniem wspólnego programu, mającego na celu zapobieżenie nadprodukcji. Niestety jednak nie znalazł się nikt, ktoby odważnie określił sytuację i stwierdził, iż jedynie forma kartelu sprzedaży, albo też syndykatu, czy też trustu może definitywnie rozwiązać zagadnienie programu produkcyjnego bawełnianej Łodzi. — Widocznie nie wystarcza narazie przykład tutejszych przędzalń czesankowych, które, chociaż pracują w pomyślnych konjunkturach, tem nie mniej starają się usunąć czynnik konkurencji przez porozumienie i tem samem stoją na wyższym poziomie organizacji przemysłowej.

Obecnie w marcu 1928 r., niepomyślne warunki atmosferyczne, jak też okres wyborczy, nie oddziaływujący pobudzająco na rynek, wreszcie przecenienie wpływu pożyczki stabilizacyjnej wytworzyły sytuację, w której porozumienie „grupy siedmiu“ straciło wszelkie znaczenie praktyczne. Tem nie mniej jest ono pierwszym przejawem, wskazującym kierunek ewolucji ,,Łodzi — przyszłości“.

Wielki trust bawełniany, którego produkcja będzie zaspakajała znakomitą większość zapotrzebowania wewnętrznego — to obraz Łodzi przyszłości, wyrozumowanej, jako logiczna konsekwencja tendencji rozwojowych, przemysłu światowego i główna charakterystyka obecnego okresu „późnego kapitalizmu“, w którego pierwszym okresie znajduje się blok kontynentalnego kapitalizmu. Chociaż charakter zapotrzebowania i produkcji włókienniczej pozostawia wiele miejsca większym, mniejszym, a nawet małym zakładom przemysłowym, posiadającym dostateczną elastyczność do chwytania wszelkich, choćby krótkotrwałych korzyści konjunkturalnych, — jednak koncentracja i podporządkowanie jednej silnej ręce całej wytwórczości włókienniczej jest naturalną ewolucją, do której zmierza Łódź — ten polski Manchester.

Leszek Kirkien.

MIASTO NASZYCH TĘSKNOT



Czesław Ołtaszewski
Naczelny Redaktor „Republiki"

Łódź, jak Ameryka, urosła w ciągu stu lat. Jak do Ameryki, przyjeżdżali tu ludzie, nie aby ją kochać, lecz aby zarabiać. Nie ulega wątpliwości, że pierwsze pokolenie niemieckich majstrów, które tu przybyło, związane było duchowo bardziej z Saksonją, Brandenburgją i Śląskiem, niż z Łodzią i Polską. Robotnik polski, wędrujący tu za zarobkiem ze wsi okolicznej, tęsknił do niej w dusznych murach fabrycznych. Żydzi, przybyli najpierw ze Zgierza, Ozorkowa i innych miasteczek, później z Warszawy, Kalisza, wreszcie z Litwy i Rosji, pogrążeni w fabrykacji i handlu, siedzieli w swem manufakturowem Eldorado, ale byli z niem związani tylko interesem.

Oto jest „złe miasto" Reymonta . . .

Warunki polityczne nie pozwalały półmiljonowej już ludności przedwojennej na ściślejsze związanie się z miastem. Cóż tu było do roboty, skoro Łodzią rządziło paru rosyjskich „czynowników"; istniały ostre różnice i tarcia klasowe i narodowościowe (za poparciem okupantów), a nie było żadnego łącznika, żadnej wspólnej platformy? Na każdą pracę społeczną patrzano, jak na zamach przeciw państwowości rosyjskiej, każda inicjatywa czyniła obywatela „podejrzanym politycznie", a miljony rubli wywożono do Petersburga nieprodukcyjnie dla kraju i miasta. Tu było tylko miejsce nędznego robotniczego zarobku za 14—16 godzin pracy, miejsce rewolucyjnego buntu na barykadach i sowitego zysku z fabrykacji i handlu z całą Rosją. Łódź była fabryką, biurem, mieszkaniem na czas pracy. Salonem, zabawą i tęsknotą — Warszawa i zagranica . . .

W tych warunkach wytworzył się typ „lodzermensza" przysłowiowego, człowieka bez skrupułów i tradycji — coś w rodzaju gorszego gatunku amerykanina lub lepiej — amerykańskiego snoba.

Łódź nie miała od początku i nie wytworzyła później patrycjatu, nie narodziła warstwy średniego mieszczaństwa, miarodajnej w naszych czasach dla określenia przeciętnej kulturalnej każdego środowiska.

* * *

Ta Łódź należy już do przeszłości, może niedawnej, zawsze jednak przeszłości. My, łodzianie, odczuwamy to i widzimy najlepiej. Rozwój życia samorządowego i udział w niem szerokich warstw zapoczątkował ten doniosły przewrót na małym, łódzkim odcinku polskiego życia. Jest nas dziś blisko 600,000. Jesteśmy największem po stolicy centrum polskiem, posiadamy odrębną, nawskroś produkcyjną i praktyczną psychikę, mamy własne potrzeby, związane ze specyficznemi warunkami włókiennictwa, ba, mamy nawet własne potrzeby gospodarczo-polityczne! Oceniamy politykę państwową, jako obywatele kraju, ale równocześnie z punktu widzenia potrzeb produkcji manufakturowej. Zagadnienia polityki zagranicznej są dla nas często kwestją rynków zbytu. W Polsce conajmniej pół-rolniczej tworzymy zwartą komórkę przemysłową i często musimy to przypominać Warszawie. Jest to nasz żywotny łódzki interes, ważny, bo będący podstawą naszego bytu.

Cóż, zresztą, mówić o teoretycznych racjach istnienia czegoś, co żyje, rozwija się i toruje sobie drogę wśród haszczy i zapór tysięcznych? Czyż nie lepiej zwrócić uwagę, że walka o byt organizmu gospodarczego, partykularny interes produkcyjny, specyficzne warunki rozwoju



Charakterystyczny pałacyk w Łodzi
(przy fabryce Eiserta i Schweikerta)

społecznego, waga gatunkowa miasta i ludności, rozwój życia samorządowego, wpływ czasu, wzrost inteligencji zawodowej i pracy — oto są czynniki zmierzające wyraźnie do nadania Łodzi właściwego piętna psychicznego i własnego kulturalnego wyrazu?

Przedewszystkiem wskazać trzeba, iż od długiego już czasu zniknął indyferentyzm w Łodzi w stosunku do własnego miasta. Odwrotnie, każdy bezstronny obserwator widzi tu wybitne zainteresowanie.

Pozostawmy na boku kulturę materjalną — ta nie przemawia do wszystkich ludzi i gotowi nas znów posądzić o „lodzermenszyzm". Łódź, jako ośrodek kulturalny uczyniła w ciągu ostatnich lat olbrzymie postępy.

Jest pierwszem w Polsce miastem, które we własnym zakresie wprowadziło obowiązkowe nauczanie powszechne. Wyrazem dążeń kulturalnych jest ufundowanie, zdaje się, że pierwszej, czy drugiej w Polsce, miejskiej nagrody literackiej za dzieła możliwie związane z Łodzią. Prasa, przed laty jeszcze dziesięciu będąca słabem echem Warszawy, wyrosła do poziomu poważnego czynnika lokalnego, zdobywając równocześnie miejsce w szeregach prasy całej Polski. Tworzą się zaczątki lokalnej pracy naukowej i artystycznej. Łódź dorabia się swej historji i prac monograficznych. Dojrzewają powoli warunki powstania łódzkiego uniwersytetu i z pewnością będziemy go mieli w niedalekiej przyszłości. Koncentruje się myśl polityczna i Łódź zaczyna w tej dziedzinie odgrywać poważniejszą w państwie rolę.

Są to, naturalnie, pierwociny indywidualnego rozwoju miasta. Nie mniej jednak — są, i, mając objektywne dane stworzy się tu z pewnością pewien regjonalny ośrodek polityczny i kulturalny, jak stworzył się gospodarczy. Łódź posiada ku temu wszelkie szanse, a dziś już i podstawy.

Narodziny „patrjotyzmu lokalnego" są najlepszym dowodem tego stanu rzeczy.

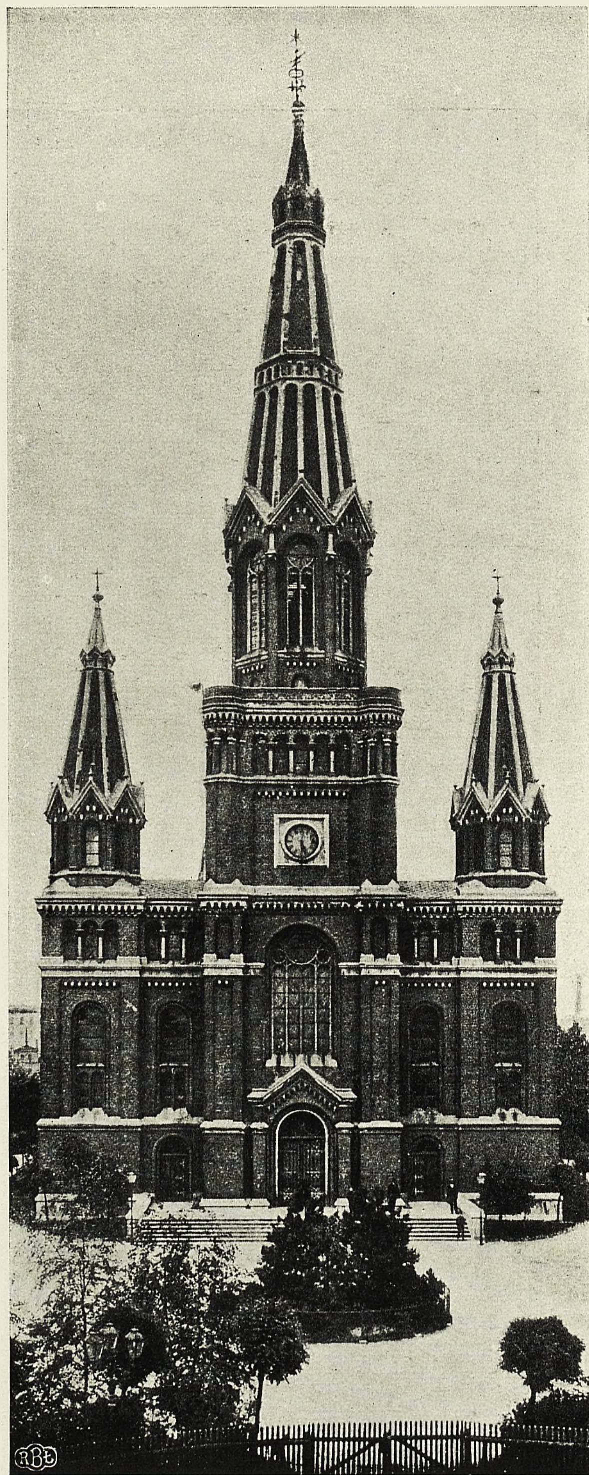
* * *

My kochamy Łódź. Mimo że jest brzydka i zadymiona i nie ma kanalizacji. Tu stały nasze dziecięce kolebki, temi zabłoconemi ulicami brnęliśmy do szkoły, tutaj prześniliśmy naszą młodość. Do Łodzi tęskniliśmy przez długie lata rozproszenia po świecie, często na dalekich frontach wojennych. Tutaj prowadziliśmy walkę podziemną z wrogiem Polski, tutaj czasem siadywaliśmy w więzieniu niemieckiem i rosyjskiem. Wielu z nas wywożono stąd na Sybir i do Prus w niewolę. Pod tem zakopconem niebem znajomy nam jest każdy kamień i każda twarz. Płyną tu lata naszej ciężkiej pracy i tu zapewne złożymy nasze kości do snu wiecznego. I tu żyć będą nasze dzieci i wnuki, oby swobodniej i lepiej.

Dlatego kochamy Łódź i przywiązani jesteśmy do niej całą duszą. Narzekamy i klniemy czasem — ale to z serca . . . I dlatego nie lubimy, bardzo nie lubimy, kiedy ktoś klnie i pogardza, a nie widzi i nie czuje.

Bo Łódź — to jesteśmy właśnie my, zrośnięci z tem miastem wszystkiem, co w nas jest dobrego i złego, każdym nerwem, każdą kroplą krwi, całem jestestwem pracowitych, praktycznych a jednak wcale nie bezdusznych łodzian.

Czesław Ołtaszewski.



Kościół ewang. Św. Jana



TELEWIZJA

* *Artykuł od Wydawnictwa na str. 224.*

IDEAŁY I ŻYCIE

Odkąd Prometeusz wykradł bogom ogień z nieba i obdarzył nim ludzi na ziemi, ogień ten płonie po dziś dzień niestrawionym żarem najświętszych uczuć, najwznioślejszych porywów ducha.

Ale za ten czyn świętokradzki Prometeusz ściągnął na siebie gniew bogów; przeto z ich wyroku przykuto go do skały, aby cierpieniom jego nie było końca.

I popłynęła niebosiężna, rozpaczna skarga w sennem powietrzu nocy zrzucona z piersi olbrzyma i zawisła kędyś w wirach przestworzy nad słabą ziemią, pod głuchem, bezlitosnem niebem — skarga żywej duszy...

Sprawiedliwości stało się zadość. I oto ogień boski po dziś dzień w sercach ludzkich imieniem tego się znaczy, co tam kiedyś u wrót tajemniczych ogrodów ludzkości rozjęknął wieczystem męki echem...

A ludzie zapragnęli odtąd stać się równymi bogom, ale jednocześnie nie mogli wyzbyć się tych pęt nawyknień i pożądań, któremi życie ziemskie oplata człowieka od chwili jego narodzin, by go z nich nie uwolnić aż do śmierci. Bo tylko bogom płynie życie wśród nieśmiertelności. Tylko bogom

„Róże kwitną . . . . . .
Wiecznie wonne ponad ruin światem".

Człowieka prawem stało się, że musi grzebać się w tych ruinach, któremi rzeczywistość codzienna zasypuje jego nadzieję i umiłowania. Człowiek musi żyć. Pozostaje mu do wyboru, jak mówi Schiller:

„Rozkosz zmysłów, albo ducha cześć".

— albo rezygnacja ze świata i wstąpienie w królestwo ideałów, albo rzeczywistość życia, w którem panuje przymus prawa, konieczność i niewola.

I oto odwieczne, tragiczne rozszczepienie duszy ludzkiej: z jednej strony rwanie wwyż, do słońca, w krainę Ideału, z drugiej — dreptanie po szarym, jednostajnym gościńcu codziennego życia.

Nieustanna walka wewnętrzna, ustawiczne zmaganie się dwóch pierwiastków, dwóch typów natury ludzkiej: idealnego, a materjalnego; nieskończoności, a ograniczoności; heroizmu, ofiarności bez granic, a niskiej chciwości i samolubstwa; światła, a ciemności; dobra, a zła.

A ponad te wszystkie starcia i walki wyższe kroczy Życie, dostojne w swym majestacie, wszystko ogarniające, niczem niepowstrzymane.

Ale czemże ono jest, to życie; objawieniem, czy tajemnicą? Rzeczywistością, czy może snem tylko, który śni ludzkość cała od tysięcy lat..?

* * *

Filozofja indyjska, sięgająca wyżyn Platona i Kanta, mówi istotnie, że życie jest snem, a świat cały — złudzeniem, maya.



Eugenjusz Krasuski

Miotani falami na wielkim oceanie bytu, nie widzimy w około siebie punktu stałego. Objęte pędem, niosącym ku otchłani śmierci, życie wszelkie we wszechświecie powstaje jakby poto, aby przyjść i zniknąć, jak złudzenie, jak sen jakiś ciężki a męczący.

„Tu zwycięskiej nie okryje skroni
Wonny wieniec i przy dźwiękach liry
Nie wypoczną członki ze znużenia:
Życie pędem ustawicznym goni,
Czas porywa nas w swe szumne wiry
Chociaż w piersi zgasną już pragnienia".

pisał Schiller w swoim wierszu „Ideały i życie".

Więc wszystko jest tylko zmiennością, znikomością. To uczucie dręczące myśl ludzką od zarania jej rozwoju nigdy i nigdzie nie wystąpiło z taką siłą, jak w Indjach. Tam, na tle podzwrotnikowej przyrody, wśród całego jej bogactwa i przepychu, wśród olśniewającego wyobraźnię piękna, pod upalnemi promieniami słońca, które rozleniwia i usypia, w odrętwieniu i duszności dżdżystych pór roku, mieszkaniec Indji czuł swoją bezsiłę i małość. W tej zobojętniającej do życia niemocy świat cały przestawał wydawać mu się czemś realnem, a życie jeno snem być się zdawało. I czemże innem być mogło, jak marą senną i złudzeniem, co przychodzi, mija i ginie bezpowrotnie w przepaściach czasu. Więc istotną rzeczywistość według tej filozofji osiągnąć można nie na drodze życia, ale przeciwnie przez odwrót od tego różnorodnego, złudnego świata, do najgłębszej skrytki naszego własnego „ja". „Uczyń tak — uczy Wedanta —

a spostrzeżesz rzeczywistość różną bardzo od rzeczywistości zmysłowej, rzeczywistość bez czasu, bez przestrzeni, bez zmian".

Taką drogą w pojmowaniu życia poszli myśliciele indyjscy i na tej drodze spotykają się ciągle później aż do naszych czasów najrozmaitsi inni filozofowie i poeci, dla których filozofja wyrzeczenia się jest nietylko najmoralniejszą, ale i najpewniej prowadzi do szczęścia. Wyraził to pięknie poeta polski Wacław Wolski:

„Odkąd ci twardo zaprzeczyłem, życie,
Odkąd tem żyję, co dla cię — chimerą
Ja żyć zacząłem, potworze, dopiero,
I czegoś wreszcie być pewnym niezbicie...
. . . .

Ujrzałem prawdę radosną, cierpienie,
Występku, błędu i miłości złudy...
I Ducha mi się odsłoniły cudy,
I ciche, złote sezamy Marzenia...
. . . .

Odkąd ci twardo zaprzeczyłem, życie
I odepchnąłem twe kłamne ponęty,
Stałem się sobie tajemniczy, święty,
Poznałem bowiem, żem jest wiecznie w Bycie...

* * *

Świat klasyczny stanął naogół wobec zagadnienia życia na odrębnem stanowisku. W twórczości Greków nic tak nie uderza, jak energja życiowa, rozmach sił, rozkosz działania. Zachowywać się czynnie wobec świata, wobec życia było zawsze jądrem mądrości greckiej. Realne życie było w czasach greckich prawdziwą rzeczywistością, w ramach której mieściła się cała działalność społeczno-polityczna. Ono też było źródłem i ujściem całej twórczości artystycznej. Czynność każda przy całym swym rozmachu i ruchliwości nie porzuca u nich na chwilę gruntu danego świata, choć niejednokrotnie wiąże się bezpośrednio z różnorodnemi stanami duchowemi. Dlatego niema tu żadnego bezpłodnego zatapiania się w samym sobie, żadnego nurzania się w nastroju. Walka życiowa podejmowaną jest odważnie i w dobrej myśli, człowiek rozwija w niej i hartuje swoje siły, zdobywa wielkość panowania nad światem. Ale nie jest to jakiś płytki, lub naiwny optymizm, który byłby ślepym na troski, cierpienia i bóle życia. Te ostatnie jasno występowały w świadomości Greków i stanowiły niejednokrotnie przedmiot głębokich zastanowień. Epoka grecka z czynnej postawy wobec świata czerpała wciąż nową odwagę, nowe siły do życia. Ponad wszelkie wątpliwości i rozczarowania istniała nieugięta wiara w porządek i rozum całości. A głównie wiara w rozum. A kiedy później okres sofistów przyniósł z sobą zwrot do radykalnego oświecenia i powoli zapanowało przekonanie, że niema istotnie żadnej prawdy rzeczowej, żadnego wyższego porządku rzeczy ponad rozum człowieka i jego skłonności przyrodzone, samo pojęcie życia zmienia się na pojęcie pożytku i użycia. Człowiek mocy zacznie wtedy szydzić z wszelkiego porządku, jako ustawy tylko, wymysłu słabych, którym przeciwstawi potęgę i przywilej silnego, jako jedyne prawo natury. Tak powoli w tej epoce dobro ustępuje przed pożytkiem, dialektyka rozsadza wszelką stałość, dowcipna gra słów burzy powoli całą powagę życia, wyłącza jego głębię.

Ale niczego ludzkość na dłużej tak bardzo nie znosi, jak swawolnego traktowania podstawowych zagadnień życia i duchowego istnienia.

Więc musi nastąpić reakcja. Musi nastąpić przezwyciężenie takiego stylu życia. I przychodzi ono przez uświadomienie wewnętrznych wartości człowieka. W jego własnej duszy musi wznieść się świat, który zdoła uwolnić człowieka od dowolności i oprzeć wartość i sens życia na niewzruszonych podstawach Ideału.

Przyjdzie Platon i wzniesie oto taki nowy świat. Włoży on w poetyzowanie i myślenie mocną osobowość moralną, która wszystko badać i wyjaśnić jest zdolna i wypowie pogląd, że tylko to jest prawdziwem i posiada wartość, co podnosi całość duszy człowieka, co ją krzepi, oczyszcza i uszlachetnia, bo, jak mówił, „całe złoto ziemskie i podziemne nie zdoła przeważyć cnoty".

* * *

Miną wieki. Oto u wrót otchłani ginącego w cynizmie własnego życia świata starożytnego, w zapadającym zmierzchu bogów pogańskich, płoną pochodnie chrześcijaństwa — wonne kwiaty Ideału skoszone na łące ofiary strasznym mieczem kolizji między niebem, a ziemią.

Ponad nieuniknione zło wszystkiego co „jest z tego świata" wznosi się przybytek Królestwa Bożego, wyrasta ponad ograniczoność życia strzelisty gmach ideałów: wiary, miłości, nadziei. Ponad nieskończoną doliną ludzkiego cierpienia rozbrzmiewa głośna, radosna pieśń zmartwychwstania: Alleluja!

I oto u podnóży ołtarzy, przy dźwiękach tej pieśni, co idzie w nieskończoność, odzyskuje dusza utracony spokój. Choć padołem nędzy i bólu jest życie, tęsknota za jakimś bytem wyższym, lepszym, która w każdym człowieku wybucha z niepohamowaną siłą i namiętnością, nie jest tylko płonnem jakiemś marzeniem. Staje się ona rzeczywistem przeczuciem rzeczy przed okiem zmysłowym ukrytych, choć niemniej dla duszy realnych; staje się doświadczeniem wewnętrznem, wysoko ponad poziom dowodów rozumowych wzniesionem.

Im głębiej zło, jako treść życia czujemy, tem gwałtowniej i namiętniej wybucha z dna duszy protest, tem mocniejszem staje się przeświadczenie o istnieniu jakiegoś innego, lepszego świata, choćby miał to być świat nadzmysłowy. Uczucie nasze, marzenia i pragnienia wynoszą nas ponad szarą i niedoskonałą rzeczywistość życia, w świat Ideału, ponad rozpacz zwątpień i wiodą w inny, lepszy świat. —

I tak było po wszystkie czasy. Po przez całe dzieje ludzkości przebija ów zasadniczy rytm, owe kolejno po sobie następujące okresy, w którym raz ludzkość w dyonizyjskim szale to życie potwierdza, to znów w apollinskim spokoju od niego się odwraca.

A na rubieży tych dwóch krain ducha ludzkiego rozlane, stoją ponure, ciemne wody pesymizmu — naturalne ujście wszelkich romantycznych, a więc niedających się ukoić pragnień i pożądań.

* * *

Romantyzm opiera się na przeświadczeniu, że istniejący świat jest złym, że nie odpowiada on wymaganiom i pragnieniom naszym, że nie ziszcza naszej tęsknoty za szczęściem. Więc szuka oparcia w innym świecie, który stwarza sobie na podstawie swych nieskończonych pożądań. Z takiego przeświadczenia rodzi się romantyzm, nie jako kierunek literacki, ale jako światopogląd, jako dążenie do pozyskania władzy nad własnem życiem. W chwilach bezwładu i bezsiły, wyrosłych na tle życiowych klęsk i niepowodzeń, człowiek patrzy na siebie samego, jak gdyby z sali widzów na scenę, patrzy na swe własne istnienie, jak gdyby z poza grobu. I oto rodzi się chęć stworzenia sobie świata posłusznego własnej woli, odpowiadającego naszej myśli, naszej psychice — tej psychice, jaką ukształtowało w nas życie, społeczeństwo, w którem żyjemy. I oto człowiek przekonywa się niebawem, że gdy usiłuje żyć na zasadzie tej psychiki, nie kłamiąc przed samym sobą, jest to niemożliwem; spostrzega, że otaczająca go rzeczywistość nie odpowiada temu postulatowi. Więc musi albo kapitulować, zrzec się tej psychiki, podporządkować się nieuznanemu przez nią porządkowi rzeczy, albo musi wstąpić na drogę buntu przeciwko całej rzeczywistości życia.

„Romantyzm to bunt kwiatu przeciwko swym korzeniom; kwiatowi wydaje się, że żyć to znaczy pachnąć". Tak określił kiedyś romantyzm Stanisław Brzozowski.

Tym sposobem romantyzm staje nad otchłanią pessymizmu.

. . . . . w te gmachy przyszłości,
Pełne wesela, ciepła i jasności,
Które się dźwignąć mają na ruinie
Starego świata, co gnije i ginie:
Chciałbym uwierzyć, lecz... wierzyć nie mogę,
I coraz większa pustka jest przedemną,
Oczom mej duszy coraz bardziej ciemno — —

* * *

W odwiecznej losów kolei, u rozwartych wrót pessymizmu pełnią straż: beznadziejność i zwątpienie.

Stoją one blade, nieruchome i milczące na skraju szarych, pustynnych ugorów, kędy wiedzie znojna droga Życia. Po niej snują się, jak jakieś mary senne, owi pielgrzymi życiowi. Każden z nich łachmanem przyodzian, na kiju wsparty; każden z nich ślady swoje krwią znaczy, co z poranionych ciężką i daleką drogą stóp jego się sączy; u każdego na spiekłych wargach zastygł bezustannie powtarzany wyraz; „napróżno".

Idą oni wszyscy tym szarym bezkresnym ugorem w krainę nocy zimnej i bezgwiezdnej, aby ukorzyć się przed ową wszechmocną potęgą Zła.

Ale oto w takiej godzinie, kiedy za chwilę ma się wszystko skończyć, kiedy zapaść się ma w niezgłębione czeluście nicości, w takiej godzinie na dnie duszy człowieka rodzą się jakieś trwożne przeczucia, jakieś niepewne zrazu marzenia o świetlanej postaci dobra, która oczyma Chrystusa patrzy z krzyża Golgoty wyrozumiale i przebaczająco na smutną tragedję człowieka.

Na ruinach tego złego świata wyrasta zwolna tęskny delikatny kwiat nadziei, a obok niego inny, pewny, strzelisty kwiat wiary, wiary w siebie, w niestrawioną wartość naszego wewnętrznego „ja", którego treść jest sprawą niemniej, a może i więcej realną, jak cały świat zewnętrzny.

Człowiek odnajduje w głębiach własnej duszy swój „Skarb", jak nazywa to Staff. Bo

„Tylko duch słaby, by wierzyć w sny swoje
Musi je dłoni dotknięciem uderzyć.
Ja niemożności niezniszczalne roję,
Bowiem w to umiem, w co chcę wierzyć!"

Ale trzeba chcieć wierzyć!

Bez nadziei i wiary cała działalność człowieka, wszystkie jego usiłowania i przedsięwzięcia zgóry skazane są na niepowodzenie! stają się czemś bezmyślnem, przypadkowem, jak bezmyślne są konwulsyjne ruchy człowieka spadającego ze znacznej wysokości. Trzeba w coś wierzyć i coś umiłować. Wiedza sama w życiu wystarczyć nie może. Kto odcyfrował zagadkę życia, kto odczytał słowo tajemnicy istnienia — nie należy już do świata żyjących.

Uchylenie zasłony Izydy, jedno spojrzenie w oko bóstwa — zabija.

A tu trzeba żyć. Człowiek wpleciony jest miljardem związków w przęsła życia społecznego i narodowego. To jest faktem, który nie da się niczem zmienić. Życie w ramach organizacji społeczno-narodowej swobodzie jednostki przeciwstawia powagę obowiązku.

Człowiek przestał być produktem tylko przyrody, jest on twórcą wartości wiecznych, które pozostaną, choć on przeminie. Tym sposobem człowiek staje się cząstką wieczności, wieczność w nim się realizuje. Taki człowiek jest zawsze człowiekiem idei.

„Wieczysty cel powinien i może być osiągniętym w życiu i przez życie, bo rozum rozkazuje mi żyć — dopiętym będzie — bo ja jestem", pisał Fichte.

Kto ma wielki cel przed sobą, widzi świat cały w świetle tego celu, taki człowiek idzie ze słońca do słońca. Idzie ze słońca kosmicznego do słońca Ideału.

Ale czemże są właściwe ideały?

Niczem innem jak urojeniami, złudzeniami, złudzeniami nieuniknionemi i koniecznemi, bez których życie byłoby tylko bezmyślnym, szalonym „skokiem w próżnię".

Wielkie ideały ludzkości, jakie znajdują odwieczny wyraz swój w moralności, w prawie, religji, sztuce, nauce, są początkowo niczem innem, jak złudzeniami, złudzeniami, które nasz instynkt gatunku w wiekowym pochodzie ludzkości uznał i wybrał jako pożyteczne i do życia nieodzowne. Brzmi to trochę szorstko. Nie odpowiada naszym dzisiejszym nawyknieniom myślowym, wygląda na obniżanie wartości ideałów, których przyzwyczailiśmy się zawsze szukać w niebie, a nie tu na ziemi. A jednak tak jest. Bo zastanówmy się, czy straciła dla nas co na wartości prawidłowość świata liczb, czy przestała być dla nas logicznie obowiązującą z tego powodu, że wiemy dziś, jak cały nasz system dziesiętny powstał i wykształcił się na zasadzie dziesięciu palcy rąk naszych?

Czemże w istocie, jak nie złudzeniami w naiwnej wyobraźni poczętemi były na progu dziejowym ludzkości: fetyszyzm, animizm, kult dziadów, mity, legendy, z których powstały tak piękne twory ducha, jak poezja, religja, sztuka, nauka?

Tylko czas zrobił swoje. Utrwalił dziedzicznie te początkowo proste, rubaszne złudzenia, wysubtelnił je, oblókł w mgliste szaty abstrakcji, — a człowiek przeniósł je wkońcu z ziemi na niebo, jako ideały.

I oto dziś są one dla nas drogowskazem życia, pouczają nas o tem, co i jak czynić powinniśmy, aby żyć, — są wyrazem niczem niestłumionej i niczem stłumić się w nas niedającej Woli do Życia.

Choć niedościgniony jest cel, który stawia sobie każden ideał, droga do niego jest już sama w sobie dla nas celem, bo wychowuje i hartuje w nas wolę, budzi zapał do czynu.

Ten tylko ostać się może wobec życia, i życie swoje tworzyć świadomie, komu przyświeca gwiazda Ideału. Inaczej człowiek staje się podobnym do rozbitka, któremu ster i wiosła wypadły z ręki: musi on zginąć w falach nieustannie bijącego o wieczność Życia.

„Ty będziesz silnym przez to, w co uwierzysz,
Jako w cel życia wzniosły, choć daleki...
Przez to, co prawdzie oddasz, z swego życia...
Szczęśliwym będziesz przez to, co twa dusza
Ukocha,
Przez to, co oddasz w służbę ideału".

* * *

Istnieje zasadniczy i stały w kolei wieków rytm rozwoju, którego drogę znaczy bezustanna walka ducha z materją, treści z formą, — walka jakby dwóch odrębnych i przeciwstawnych sobie biegunów Wszechbytu.

Odczuwamy ją niemal bezustannie sami w sobie.

Po obłędnym tańcu codziennego życia przychodzą ciche chwile zastanowienia i wewnętrznych, najtajniejszych wzruszeń.

Czujemy wtedy wyraźnie, że świat zewnętrzny, świat naszych trosk i zabiegów codziennych nie wyczerpuje sensu istnienia.

Odczuwamy w sobie świat inny, świat jakichś tęsknot niezgłębionych, świat tajemnic zawieszonych w bezkresnej otchłani Wieczności...

Taka kontemplacja idąca z głębin otchłannych własnego naszego ja, daje człowiekowi to, czego tak skwapliwie, a daremnie poszukuje w życiu.

Daje mu świat Ideału, świat zaczarowany, a cudny rozkwitu jego własnej duszy, daje mu poczucie dobra i harmonji wewnętrznej, której tak potrzebuje, aby... dalej żyć.

Jest to całem i prawdziwem szczęściem człowieka, że, żyjąc i chcąc żyć nie samym tylko chlebem, zdolen jest opromieniać swe istnienie instynktownem odczuciem wielkich tajemnic, że potrafi z głębin swojego najtajniejszego ja wykrzesać takie wartości, które ostaną się, choć on przeminie.

Taki człowiek nietylko wie, ale odczuwa całą swą istotą, że byt jego obecny jest i być musi jednym tylko okresem niezliczonych momentów istnienia i musi rozpłynąć się w bezkresnym strumieniu nieskończoności!

Pozostanie tylko to, co zdołał on stworzyć w sobie i z siebie.

W ten sposób człowiek sięga w Wieczność. W duszy jego świta promień ogarniającego wszechświat słońca:

— — L'amor che muove il sole e l'attere stelle . . . (Dante. Commedia. Paradiso. XXXIII. 145).

Eugenjusz Krasuski.



PAJĘCZYNY

Z cyklu „Po tamtej stronie“



ĘDĘ PRZY TOBIE GDY MNIE JUŻ NIE BĘDZIE...
WRÓCĘ NA NIKŁEJ WSPOMNIEŃ PAJĘCZYNIE,
NIE BĘDĄC NIGDZIE — ODNAJDZIESZ MNIE WSZĘDZIE
BO Z ISTNIEŃ KAŻDE TRWA I JUŻ NIE GINIE.

BĘDĘ PRZY TOBIE I NAOKÓŁ CIEBIE,
ZNAJDZIESZ MNIE W KĄTKU NAJCICHSZEGO ŻALU,
I NA RADOŚCI TWYCH — SZARYM POGRZEBIE,
JA BĘDĘ TĘCZĄ — BARWNEGO OPALU. —

I NIE OPĘDZISZ SIĘ TYCH WSPOMNIEŃ O MNIE,
BOWIEM ZAMIESZKAM W TOBIE, JAK W MYM DOMU.
JAK JA DO CIEBIE — BĘDZIESZ TĘSKNIĆ DO MNIE,
CHOĆ SIĘ Z TYCH PRAGNIEŃ NIE ZWIERZYSZ NIKOMU.

POZNAMY WZAJEM NASZE TAJEMNICE
W ROZPAMIĘTYWAŃ CICHYM ROZGOWORZE,
WNIKNIEM W ZADUMY NAJSKRYTSZE ŚWIĄTNICE...
W BŁOGOSŁAWIONEJ SZARYCH GODZIN PORZE. —

ROZGRZESZAĆ BĘDZIEM WZAJEM SWE PRZEWINY,
ŻAŁOŚCI, KRZYWDY CZYNIONEJ NIEBACZNIE,
BĘDZIESZ MI JEDNĄ — JAKO JA — JEDYNY,
Z KTÓRYM SIĘ NOWE LEPSZE ŻYCIE ZACZNIE!

CZEKAĆ CIĘ BĘDĘ, TAM — PO TAMTEJ STRONIE,
I PRZEWODNIKIEM BĘDĘ CI W ZAŚWIATY,
BĘDZIESZ MIEĆ CHWILE — MARZĄCE O ZGONIE...
I O SPOTKANIU NASZEM — JAK PRZED LATY. —

* * *



NIEBNEJ SZARUGI PYLNYCH GWIAZD
ASTRALNEM ŻYCIEM ZMĘCZONY
DOŚĆ ELIZEJSKICH MAJĄC JAZD
WRÓCĘ NA ŚWIAT — ODRODZONY!

Z ISTNIEŃ MYCH NOWY POCZNĘ KRĄG,
DOPRAWDY — SAM NIE WIEM KTÓRY,
NI WIEM GŁODNEMI CHWYTY RĄK,
JAKIE ZAKREŚLĘ KONTURY?

CZY BĘDĘ DĄŻYŁ WZWYŻ CZY W DÓŁ,
DLA INNYCH ŻYĆ — CZY DLA SIEBIE?
W SKALE DO NIEBA SCHODY KUŁ
BY DOSTAĆ SIĘ DO CIEBIE? —

CZY MOŻE RAZEM ZNACZĄC ŚLAD,
BŁYSKAWIC CICHEM LŚNIENIEM . . .
WRÓCIM — PAPROCI PŁONIĄC KWIAT,
W UPALNĄ NOC — PRAGNIENIEM?

MOŻE ZŁĄCZENI W SREBRNYCH MGŁACH,
WŚRÓD PLANETARNYCH OBRĘCZY,
ZWIŚNIEM U ZŁOTYCH SŁOŃCA BLACH,
NA SZCZĘŚCIA — NICI PAJĘCZEJ . . .

LUB MOŻLIWOŚCIOM NIE KŁADĄC TAM
ZNARKOTYZOWAN ETEREM...
OCKNĘ SIĘ LECĄC Z PODNIEBNYCH BRAM
PILOTEM TWYM — LUB SZOFEREM?

ŻE PRZYJDĘ, WRÓCĘ — BĘDĘ ZNÓW
WIERZĘ JAK W PRZEZNACZENIE
JAWĄ PRZEŻYJĘ KAŻDY Z SNÓW
JAK ZISZCZĘ KAŻDE PRAGNIENIE . . .

KRĄG NOWY POCZNĘ W ISTNIENIU SWYM
JAK OTO KOŃCZĘ TE STROFY
TY BĘDZIESZ — DAMĄ — JA SŁUGĄ TWYM
DO NOWEJ ZNÓW KATASTROFY . . .

AŻ GDY PRZETRWAMY TAK SZEREG ŻYĆ
W ULEWIE GWIEZDNEJ SKĄPANI
SPŁONIEMY — ZGOŁA PRZESTAWSZY BYĆ
W JEDNYM CAŁUNKU NIRWANY.

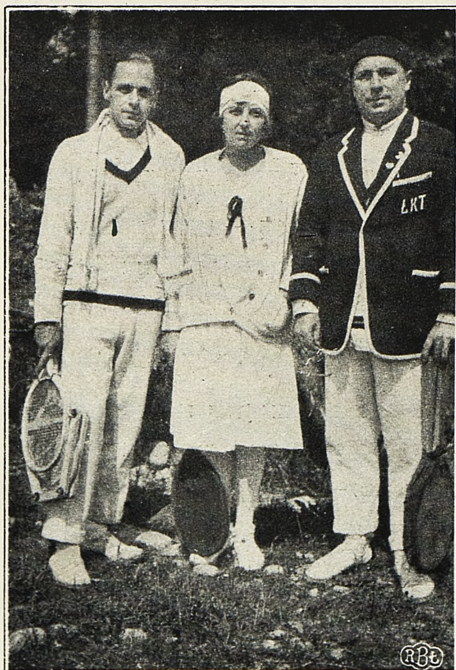
Adam Kowalczewski-Siedlecki



Z turnieju tennisowego

ZE SPORTU TOWARZYSKIEGO

Życie towarzyskie Łodzi, wartkim płynące nurtem, w coraz nowych przejawiające się ugrupowaniach, zorganizowało się zwłaszcza w Stowarzyszeniach i Klubach Sportowych.



Jerzy Stolarow *Karol Steinert*
Wiera Rychterówna

Między innemi przy Klubie Cyklistów powstała sekcja tennisowa, która w roku 1909 zorganizowała pierwszy ogólny turniej tennisowy.

Już w 1913 roku sekcja zmieniła się na samodzielny Łódzki Klub Lawn-Tennisowy, który obecnie odgrywa dominującą rolę w polskim tennisie.

Jako przykład wymienić można i podkreślić fakt, że w roku 1926 trzy mistrzostwa Polski (z ogólnej liczby czterech) zostały zdobyte przez członków Ł. K. L. T., zaś w roku ubiegłym na mistrzostwach Polski we Lwowie aż cztery mistrzostwa (z pięciu) zostały wygrane przez łodzian.

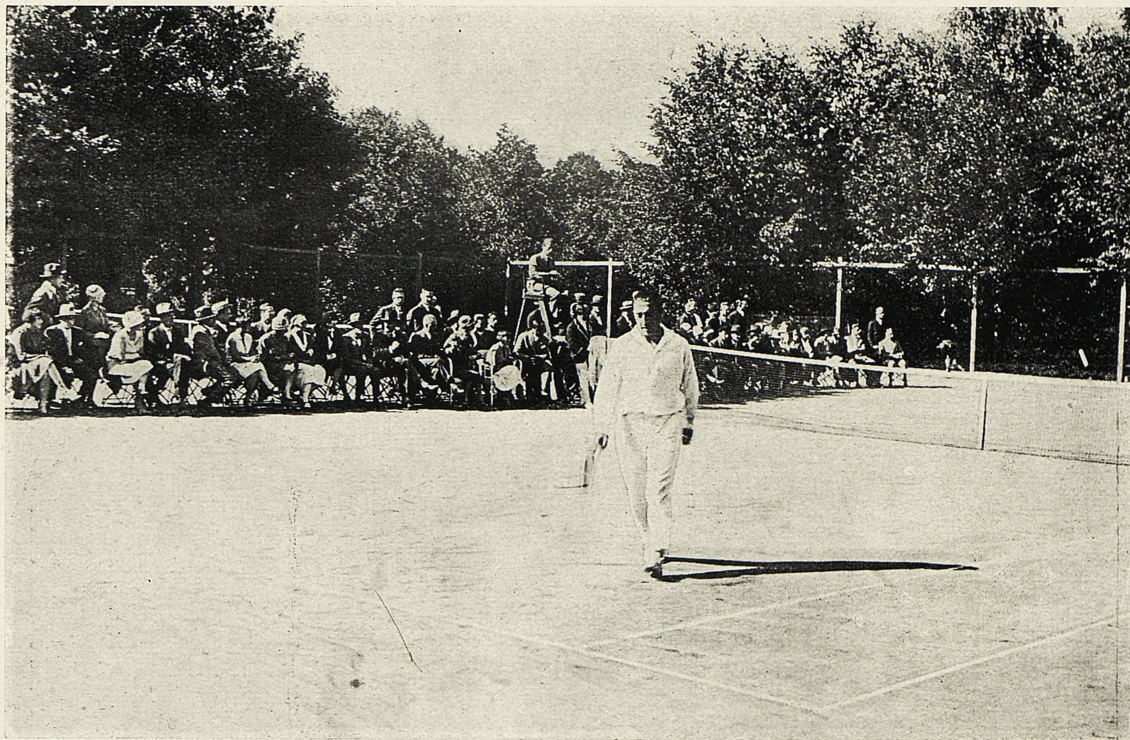
Wskutek braku możliwości treningu na krytych kortach podczas zimy, poziom gry ekstraklasy zagranicznej coprawda jeszcze nie został osiągnięty przez naszych tennisistów, lecz drużyna składająca się z Richterówny, braci Stolarow i Steinerta, śmiało mogłaby stanąć do jakiegokolwiekbądź turnieju międzynarodowego zagranicą.

Turniej Międzynarodowy urządzony w ubiegłym sezonie, w kolejnej liczbie turniejów jedenasty, przeszedł wszelkie oczekiwania i powiódł się znakomicie.

Gdy się zaznaczy, że udział swój zgłosili między innemi tak znani mistrze gry jak Gotlieb



P. Kazimierzowa Poznańska



Na korcie

z Brna, który zwyciężył w swoim czasie słynnego mistrza czechosłowackiego Kożelucha, oraz niezrównana para graczy de Lacroix — Heydenreich z Berlina z Klubu Łyżwiarskiego, gdy do tej wyborowej grupy gości zagranicznych doda się współudział nieomal wszystkich wybitnych tennisistów z Warszawy, Poznania, Krakowa i Wilna z mistrzem Czetwertyńskim na czele, to świetne wyniki turnieju, wysoki poziom gry, jak pełny osiągnięty sukces jedenastego turnieju Ł. K. L. T. nie zdziwią nikogo.

Przepiękna pogoda przez cały czas turnieju, jak też zbiorowy udział towarzyskiej elity naszego miasta i wysoce wytworna klasa gry, nadała całości ton pierwszorzędnych kortów Zachodu. *K. S.*



Pp. Czetwertyński i Warmiński

OPOWIADANIA SATYRYCZNE

„A KTO JEST BEZ GRZECHU"

Od lasu Akermańskiego ku Genezaret szedł Pan w otoczeniu uczniów swoich. I ujrzał na drodze tłum ludzi, który, pędząc przed sobą zbiedzonego i okrwawionego człowieka, lżył go i naigrawał się z niego, nie szczędząc mu razów i śliny.

Tedy Pan z uczniami zaszedł drogę kłębiącej się masie ludzkiej. Poznali Go prześladowcy nieszczęśliwego człowieka, a na dany znak zatrzymali się, słuchając co rzecze. Więc zapytał Pan jakie grzechy ciążą na człowieku, któremu tyle zniewag zadają, jako też dokąd go wiodą. Odrzekli, że zbyt wiele grzechów ciąży na onym człowieku, iżby je można spamiętać; wiodą go na wzgórek, aby go ukamienować.

Tedy rzekł im:

— „A kto jest bez grzechu, niechaj na niego rzuci kamieniem."

I posypały się nagle kamienie ze wszech stron, a im kto większe miał grzechy na sumieniu, tem cięższe kamienie wybierał, iżby się zdawało, że bardziej jest czysty.

I zasmuciło się oblicze Pańskie, bowiem Pan wiedział, że ludzie to jeno z nieprawości czynią. Zaś uczniowie Jego sądzili byli, że tylu jest sprawiedliwych.

I szukał Pan wzrokiem człowieka, któryby się po kamień nie nachylił, jako, że byłby to człowiek, co z sumieniem swojem robiąc rachunki za lepszego nie chciał się wydać.

Ujrzał wreszcie człowieka, który stojąc na boku patrzał na skazańca i głośno płakał.

Tedy spytał się Pan człowieka onego:

— Czegoż płaczesz sprawiedliwy człowieku, co na nieszczęśliwego kamienia nie podnosisz? Azaliż go też bardzo żałujesz?

— O Panie! — odrzecze zapytany — płaczę, albowiem ze starości krzyż mi zesztywniał i nie mogę się schylić po kamień.

WYROK KRÓLA SALOMONA

Przed mądrego króla Salomona, który publiczne sądy sprawował, przyprowadzono niewiastę oskarżoną o maltretowanie swego małżonka; ciężkie uszkodzenia cielesne, na skutek których nieszczęśliwy zmarł.

Rozpatrzywszy sprawę podsądnej, mądry król Salomon orzekł, że kobiecie za karę należy obciąć taki członek ciała, którego pozbawienie stanowiłoby dla niej najdotkliwszą stratę. Tedy wykonawca wyroków sądowych zapytał mądrego króla:

— Czy kobiecie tej mam wykłuć oczy?

— Nie! odrzekł król Salomon — To nie byłaby zbyt ciężka kara, albowiem kobieta nigdy nie patrzy na świat własnemi oczyma.

— To obetnę jej uszy?

— Czyż kobieta kiedykolwiek słucha innych? Na cóż jej uszy?

— A może obciąć jej ręce?

— Kobieta zawsze lubi się posługiwać cudzemi rękoma.

— Obetnę jej nogi?

— Będzie miała powód męczyć nowego męża, by jej kupił lektykę.

— Najpiękniejszą częścią ciała kobiety są piersi. Obetnę jej piersi?

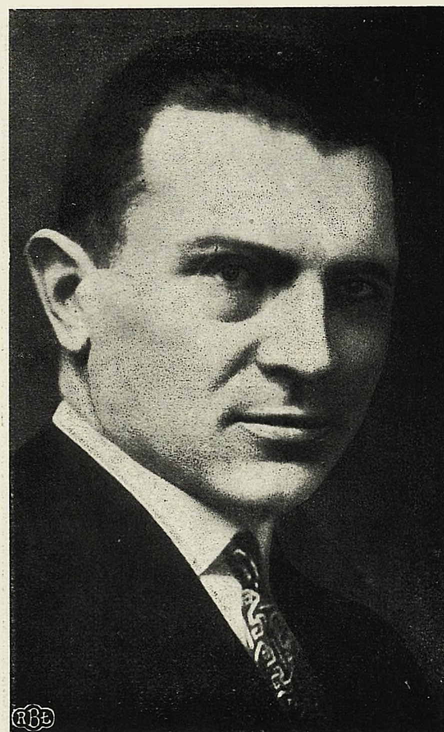
— To sobie kupi sztuczne.

— Cóż więc mam obciąć kobiecie, o mądry królu, aby ją unieszczęśliwić.

— Obetnij jej język — odrzekł król Salomon — a wtedy kobieta nietylko zaniemówi, lecz również ogłuchnie, oślepnie i przestanie chodzić.

A gdy się stało zadość wyrokowi mądrego króla Salomona, zdarzyła się rzecz niespodziewana, której mądry król nie przewidział — kobieta zaczęła pisać powieści.

Zbigniew Koliński.



Zbigniew Koliński
Naczelny Redaktor „Rozwoju"

GODZINA SERCA



Czesław Gumkowski
Naczelny Redaktor „Kurjera Łódzkiego"

Mstr. Eleazar wysłuchał ostatniego sprawozdania swego agenta giełdowego, podyktował ostatni list maszynistce, poczem, rozpogodziwszy groźne oblicze arcy-biljonera, trzęsącego finansowemi losami nietylko kraju, lecz nieomal kontynentu, pośpiesznie przycisnął guzik, misternie umieszczony w złotym kielichu empirowej rozety.

W drzwiach ukazał się kornie schylony lokaj.

— John — maszynę. Jedziemy!

Wkrótce dobiegł suchy turkot puszczanego w ruch motoru. Mstr. Eleazar wyszedł do przedpokoju, gdzie giął się szereg lokai, ustawionych rzędem i trzymających według kolejności palto, kapelusz, rękawiczki oraz laskę. Był to system skracania czasu mstr. Eleazarowi. Mimo tę oszczędność chronometryczną, właśnie z braku czasu mstr. Eleazar, mimo swą pełnię sił, pozostawał jeszcze w stanie kawalerskim, bowiem nie znosił kobiet za ich płytkość, lekkość i afektację.

Jedyną rozrzutnością pod względem uczucia bywały w życiu władcy złota t. zw. „godziny serca". Regularnie co sobota, po załatwieniu najwięcej palących spraw bieżących, mstr. Eleazar między godz. 1—2 po południu udawał się automobilem do jakiegoś wybranego z pośród setek petentów, w ciągu tygodnia proszących ultra bogacza o wsparcie czy inną pomoc. Wybór odbywał się skrupulatnie. Sekretarz osobisty z nawały próśb przedkładał kilkanaście, a z tych sam król giełdy wybierał najwięcej przemawiającą mu do przekonania.

Tym razem również nadchodziła właśnie „godzina serca". Pan Eleazar wskoczył szybko do wspaniałego auta i krzyknął szoferowi:

— Park Narodowy!

W automobilu, pędzącym z zawrotną szybkością przez centrum miasta, bogacz zaczął sobie zdawać sprawę, iż jest niezwykle podniecony.

Istotnie tak było. Dwa miesiące temu, jedna prośba nie była nią właściwie. Był to raczej impertynencki nieco list, który brzmiał:

Szanowny Panie!

„Nie powinnam się właściwie doń zwracać. Nie znając Pana, nienawidzę Go. Nienawidzę za to, że napewno zdaje się Panu, iż Jego majątek czyni go wyższym od innych ludzi oraz że Jego pieniądze stanowią alfę i omegę życia. Zresztą nienawidzę wogóle bogaczy. Piszę to, aby Pan wiedział odrazu, iż choć zwracam się doń z prośbą, czynię to nie bez uczucia pogardy dla siebie za to upokorzenie, do jakiego zmuszają mię Pańskie miljardy. Wątpię, czy wogóle potem oświadczeniu będzie Pan chciał coś dla mnie uczynić. Byłoby to zresztą zupełnie zrozumiałe, gdyż tego rodzaju ludzie, jak Pan, którym zdobyte pieniądze zawróciły w głowie, wolą głupie pochlebstwo niż szczerość. Lecz jeśli Pan przyjdzie, to czekać będę w Parku Narodowym o godz. 4-ej w sobotę".

List był bez podpisu. Król giełdy uśmiał się po przeczytaniu go i zaintrygowany a zarazem ciekawy zobaczenia owej złośliwej osóbki, przybył na wyznaczone miejsce. I tam poznał dziewczę, które swą niezwykłą, fascynującą wprost urodą, swym sarkastycznym nieco dowcipem, jaki ujawniła w toku rozmowy, swą zupełną obojętnością a nawet pogardą, jaką mu okazywała, zdołała zrobić na nieczułym dotychczas wobec wdzięków kobiecych miljarderze wrażenie niezatarte. Jak się okazało, chodziło o pomoc nie dla samej autorki listu, lecz dla kogoś chorego na płuca, któremu lekarz nakazał wyjazd do Włoch. Kto to był, tego nieznajoma nie chciała ujawnić. Prośbie naturalnie mstr. Eleazar chętnie uczynił zadość.

Lecz jakież było jego zdumienie, gdy otrzymał kategoryczną odmowę dalszego widywania się. Mimo próśb i nalegań nieznajoma okazała się nieugiętą. Nie chciała też ujawnić ani swego nazwiska, ani adresu.

Ta „godzina serca" okazała się fatalną dla mocarza finansowego. Pamięci o nieznajomej nie mógł w żaden sposób odegnać od siebie. Od tego czasu zjawiskowa jej postać towarzyszyła jego wyobraźni wszędzie. Wkońcu zrozumiał ku swemu przerażeniu, że jest — zakochany po uszy.

Lecz ślad nieznajomej zaginął. Przez długie tygodnie poszukiwania nie dały żadnego rezultatu. Wkońcu jednak potęga pieniądza zdziałała swoje. Cały sztab najlepszych światowych



Kościół Św. Krzyża przy ul. Przejazd

detektywów, sprowadzonych z Londynu i Paryża, zaczął przetrząsać miasto. Wreszcie nieznajoma została odszukana. Była to córka ubogiej wdowy po dymisjonowanym pułkowniku. Obie mieszkały w skromnem i małem mieszkanku na piątem piętrze w oficynie wielkiej kamienicy na jednej z drugorzędnych ulic miasta. Panna zarabiała udzielaniem lekcji muzyki. W domu ich nie bywał nikt, oprócz jakiegoś młodzieńca, urzędnika pewnej instytucji kredytowej.

To było wszystko. Lecz najważniejsze — adres i nazwisko zostały osiągnięte.

Król giełdy, który w ostatnich dniach przed wyszukaniem nieznajomej tracił coraz więcej głowę z niecierpliwości oraz, o dziwo! z tęsknoty, z właściwą sobie szybkością decyzji wystosował do panny list, iż kocha ją i proponuje zatem małżeństwo, ofiarowując jej swe życie i całą swą fortunę. Jako miejsce omówienia szczegółów wyznaczył Park Narodowy, gdzie odbyło się pierwsze spotkanie.

Automobil wjechał w szeroką aleję parkową i zatrzymał się. Mstr. Eleazar wyskoczył zeń i począł się rozglądać na umówionem miejscu.

Nie było nikogo.

Po kilku minutach z głębi alei ukazała się mała dziewczynka, która podeszła do króla giełdy i podała mu list. To był ten sam, tak dobrze znany charakter pisma.

Rozerwał kurczowo kopertę i czytał:

Panie! Niestety, oferty Jego przyjąć nie mogę. Nie chcę wyjść za Pana za mąż. Proszę się nie gniewać. Kocham innego i zawsze pozostanę Panu wdzięczną za pieniądze, zaofiarowane przez Pana, które umożliwiły jego kurację. W tych dniach powraca z Włoch a niezadługo potem odbędzie się nasz ślub.

Miljarder ścisnął kurczowo liścik.

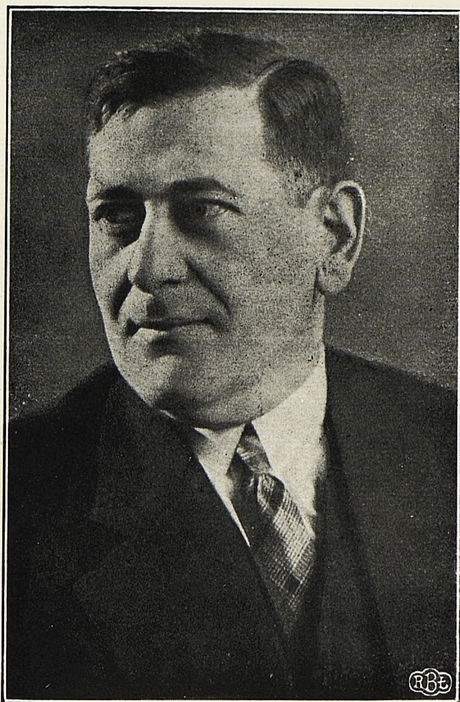
Ta „godzina serca" odebrała mi lata szczęścia — szepnął z goryczą, wskakując do auta.

I wspaniały Dion Bouton potoczył się z powrotem po wspaniałych ulicach centrum stolicy.

„Godziny serca" króla giełdy zostały od tego czasu zniesione.

Miljarder stracił serce.

Czesław Gumkowski.



Gustaw Wassercug
Naczelny Redaktor „Głosu Polskiego"

ŚWIAT i JA

Nie mogę sobie wyobrazić, abym miał kiedykolwiek umrzeć.

Ale o ile wątpię w to, posiadam zato niezłomną pewność, że się urodziłem. Ci, którzy, prócz mnie, pamiętają te czasy, twierdzą, że wyszedłem na świat Boży wrzeszcząc rozpaczliwie, bez powodu i bez sensu, z czego odrazu wywnioskowano, że będę albo konferencjerem, albo dziennikarzem.

Lata mego dzieciństwa nie różniły się niczem od lat dziecięcych wielkich mężów starożytności i czasów współczesnych. Wprawdzie żadna córka Faraona nie podrzucała mnie w sitowie, aby się potem tłumaczyć, że mnie znalazła; wprawdzie nigdy później nie osadzałem na miejscu Bucefała; — natomiast przez całe życie trzymałem się zdaleka od koni, wiedząc, że takie bydlę może kopnąć i zlikwidować nawet najgenjalniejszego człowieka.

Mogłem więc zostać wielkim i znakomitym, gdyby ojcu memu nie wpadło na myśl oddać mnie do szkoły.

Tutaj nauczyłem się grać w szewca, szubienicę i jeszcze jedną grę, która powoduje rumieniec na twarzach ludzi, słyszących jej nazwę, i rumieniec nieco odmiennego typu u biorących w niej udział. Tutaj nauczyłem się handlować markami, wywłaszczać towarzyszów niedoli z przynoszonych bułek i ciastek, wykpiwać się z najtrudniejszych sytuacji, utrzymywać się na powierzchni cudzą pracą i denuncjować niemiłych mi kolegów. Ale, niestety, nauczyłem się również czytać, pisać i teoretycznie rachować.

Dzisiaj dopiero, gdy załzawionem nieco, ale spokojnem okiem patrzę wstecz, widzę, jaką mi wyrządzono krzywdę.

Gdybym pozostał analfabetą, mógłbym dzisiaj być wielkim przemysłowcem, człowiekiem poważanym, pozostającym w bliższych stosunkach ze wszystkimi wydziałami ministerstwa skarbu i sprawiedliwości, mógłbym urządzać prywatne rauty, na których każdy gość znajdowałby pod talerzem dolarówkę...

A tak? Cudem poprostu otrzymywałem co rok promocję, jako że już w trzeciej klasie interesował mnie bardziej kształt nóżek koleżanek, niż budowa wielbłądziego kopyta, a wstręt nieodparty wzbudzały we mnie te wszystkie podejrzane istoty, z niewiadomych przyczyn do sympatycznego rodzaju żeńskiego zaliczone, jak Gramatyka, Ortografja, Teorja, Reguła, Kaligrafja i wiele, wiele innych.

Kogo zdziwi, że wobec tego spóźniałem się do szkoły przeciętnie 25 razy miesięcznie, że każdą godzinę niedyspozycji nauczyciela uważałem za szczególną łaskę niebios, że wolałem jeździć łódką po stawie w Helenowie, objadać się lodami na „borg", pograć w footbal i pobujać na gigantach.

Mimo tego wstrętu do nauki, wskazującego, jak wielkie możliwości kupieckie i przemysłowe drzemały we mnie, skończyłem jednak szkołę i z trzaskiem zasunąłem szufladę z książkami i kajetami, przysięgając, że otworzę ją chyba poto, by napalić tą makulaturą w piecu.

Ale los widocznie zawziął się na mnie! Rada familijna zdecydowała, że mam się dalej kształcić i to na kupca, w akademji handlowej.

Pojechałem do Szwajcarji i przesiedziałem tam trzy lata.

Nauczyłem się w tym okresie rozmawiać z krawcem o cierpliwości ludzkiej, z właścicielem lombardu o bezcennej wartości mojej garderoby, nauczyłem się, jak powinien wyglądać weksel w teorji, a poznałem go w praktyce, wykształciłem się w karambolach, pokierze, szmendeferku, w kierowaniu saneczkami, w życiu na kredyt, poznałem gruntownie wszystkie elementy, z których w życiu buduje się trójkąt i równoległobok...

W akademji nauczono mnie, jak się oblicza sumiennie dyskonto wekslowe metodą drabinkową, co to jest bimetalizm, jakie traktaty zawarła Korea z Angorą w XVI wieku, ale nie nauczono mnie handlować świecami bez knotów, nie nauczono obliczać fikcyjnych kosztów przy dyskontowaniu weksli, nie wtajemniczono w arkana ukrywania towarów i wypełniania kwestjonarjuszy do zeznań o podatku dochodowym i obrotowym, — słowem zabito we mnie wszelkie zdolności wrodzone do współczesnego handlu i przemysłu. Byłem przytem całe życie takim nędznym kaligrafem i rysownikiem, że się nawet do konkurowania z bankiem emisyjnym zabrać nie mogłem.

Niezdolny do żadnej pracy wogóle, a wojennej w szczególności, zostałem dziennikarzem.

W chwilach wolnych od zajęć uczę się tańczyć, bywam konferencjerem w kabaretach na cel dobroczynny, a wreszcie z przyzwyczajenia zawodowego strzygę papier, co mnie czyni podobnym do króla Augusta. Ale też na tem się kończy arystokratyzm mego ducha.

Jestem, jak widzicie, człowiekiem wykolejonym, wściekłym na los, który chce siebie na gwałt wywyższyć, poniżając innych! I mogę tylko marzyć o tem, jak dobrzeby mi było, gdybym nie poznał alfabetu i wiele przykrych chwil czytania tego, co piszę, zaoszczędziłbym Wam, niepoprawni czytelnicy, którzy z dnia na dzień żyjecie nadzieją, że może jutro napiszę coś mądrego i ciekawego.

Oczekiwania Wasze są daremne! Niechaj Was jednak pocieszy myśl, że Wasza trwała nadzieja utrzymuje wielu biedaków ze mną na czele przy życiu i daje im chleb powszedni, czasami z masłem, czasami czerstwy z wodą w areszcie prewencyjnym.

Gustaw Wassercug.



Gimnazjum Męskie i Żeńskie N. S. G. w Łodzi

(przy al. T. Kościuszki)



St. Kempner

Ceniony feljetonista „Kurjera Łódzkiego"

ŁÓDZKA REDUTA

Mam już za sobą trzy reduty. Żadna z nich nie ma nic wspólnego z redutą Ordona. Teraz mam zamiar zabrać się do zdobycia czegoś w rodzaju twierdzy Bergoobzonu. Pełen wiary jestem, że ją zdobędę.

Po balu maskowym naznaczyliśmy sobie na dziś rendez-vous w parku Sienkiewicza. Nie widziałem jej dotąd nigdy. Pamiętam tylko niemal dziecięcy jej głosik. Uprzytamniam sobie subtelne linje jej postaci, drobną rączkę, osłoniętą czarną, jedwabną rękawiczką. Przyrzekłem jej, że przez cały czas maskarady będę zachowywał się przyzwoicie. Nie pozwolę sobie na nic, co mogłoby narazić na szwank jej honor kobiecy. Ślubowałem, że przez cały wieczór nie będę nalegał, ażeby odsłoniła mi rąbek swej tajemnicy, a w łamanym charlestonie i, spokrewnionym z nim black-bottomie, nie miałem ośmielić się na szeptanie do ucha spowitego zresztą w kaptur domina, jakichkolwiek zaklęć miłosnych i wyznań erotycznych. Zgodziła się pójść na kolację pod warunkiem, że nie będę nalegał, by i wówczas uchyliła twarz swą z pod maski. Dalej przyrzec musiałem, że nie będę usiłował odprowadzić ją do domu.

Nie wiem dlaczego, zgodziłem się na te wszystkie warunki mej maseczki. Ukazanie się moje bowiem na sali, po roku nieobecności w rodzinnem mieście, było sensacją. Zasypywany byłem najdalej idącemi propozycjami ze strony różnych masek.

Inne znów maski, rzucając mi się na szyję, domagały się, abym wypił na ich cześć małą, maleńką butelczynę szampana lub zaopatrzył je w bombonierki.

Szalona zabawa, pełna przeróżnych niespodzianek, flirtów, bachanalij z najpiękniejszemi kobietami po rozmaitych „kątach" wielkiej, kolumnowej sali, uśmiechała się do mnie zewsząd; samo szczęście lazło mi do rąk.

W pewnej chwili, gdy zapomniałem o wszystkiem — z pośród tysiąca masek i tyluż uśmiechów zalotnych, spojrzeń obiecujących, wybrałem ją jedną w czarnem dominie, w czarnej masce, w czarnych jedwabnych pończoszkach i w czarnych z błyszczącego laku pantofelkach.

Dotrzymałem swych przyrzeczeń i w najmilszej harmonji spędziliśmy ze sobą owe 6 godzin na balu maskowym. Nie zdradziła się ani jednem słowem, z którego mógłbym wnioskować, że wie coś z mego życia lub z mej przeszłości. Nie wiedziała, czy jestem wolny, czy też żonaty. Z tego, co mówiła, wynikało, że jest jej wszystko jedno. Nie obchodzi ją moja teraźniejszość. Podobam się jej takim, jakim jestem i choćby dlatego, że ją z tysiąca wybrałem. Nie powiedziała mi nawet swego imienia. Im bardziej była tajemniczą — tem więcej przykuwała mnie do siebie. Nie opuszczałem jej przez cały bal ani na krok. Dostrzegłem, gdy spragniona, popijała chłodzący napój, obramowanie karminowych usteczek i dwa rzędy alabastrowych ząbków. Łamałem sobie głowę nad tem, ażeby dociec tajemnicy, któż jest owa maseczka, z którą spędzam wieczór, a o której nikt nie wie. Zadziwiające, że tematy rozmów, jakie prowadziliśmy ze sobą, a właściwie jakie ona wszczynała, nie miały nic wspólnego z bieżącym dniem. Nie mówiła ani o poezji, ani o rondlach. Nie zapytywała o żonę, o której ja osobiście chętnie nie mówiłem. Często jeno przyprowadzała mnie do równowagi, którą od czasu do czasu, nie wiem dlaczego, traciłem i zdawało mi się, że lecę w jakąś bezdenną przepaść.

— — — — — — — — — — — —

Obudziłem się. Na zegarze biła godzina 6-ta. Nie mogłem zorjentować się, gdzie jestem i co się ze mną dzieje. Zrozumiałem, że wypiłem za wiele szampana. Powoli zaczęło mi świtać w mózgu. Byłem wszak wczoraj na balu maskowym w towarzystwie tajemniczej maseczki, z którą mam się dziś spotkać właśnie o godzinie 6-ej w parku Sienkiewicza.

— — — — — — — — — — — —

Przetarłem oczy. Jakaś zmora przygniatała pierś mą. Z oplecionemi ramiony dokoła szyi mej, leżała, oddychając równomiernie z rozwichrzoną czupryną moja małżonka. Na fotelu rozpostarte było czarne domino, a na niem czarne pończoszki i owe przecudne czarne z błyszczącej laki pantofelki. W jednej chwili oprzytomniałem. Zrozumiałem wszystko. Jak mogłem najczulej spojrzałem w oczy przecudnej mej królewny i pojąłem, (o czem dotąd nie wiedziałem), że jest ona najukochańszą dla mnie istotą, jest ową twierdzą, która oczekiwała na poddanie się. —

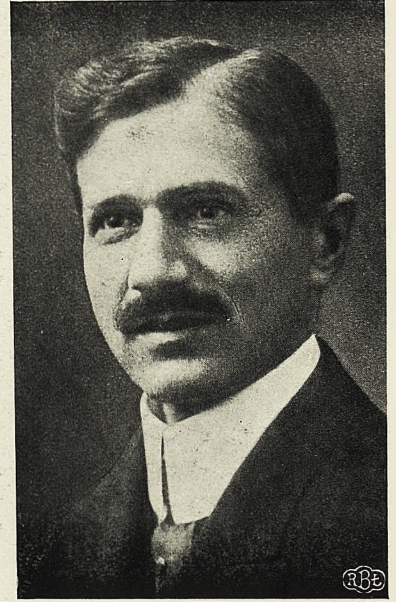
St. Kempner.



J. Płuciennik

Dyrektor Poczty Łódzkiej





Inż. J. Uleyski

Dyrektor Telefonów Łódzkich

POCZTA — TELEGRAF TELEFONY

Jednym z najpopularniejszych gmachów Łodzi jest bezsprzecznie dom przy ul. Przejazd róg Kilińskiego. W gmachu tym mieści się splot nerwów całego miasta: Poczta, Telegraf i Telefony czyli „Pasta", ta ostatnia na wylocie, bo zbudowała sobie gmach nie byle jaki, własny przy ul. Al. Kościuszki Nr. 12, którego centrala telefoniczna będzie w stanie objąć 20.000 abonentów.

Dyrektorem Telefonów Łódzkich jest pan J. Uleyski, który mimo nieszczęsnych liczników cieszy się ogólnem uznaniem i sympatją za uprzejmość wnikania w sprawy abonentów.

Budowę sieci rozszerzono do krańców miasta włączając posterunki policyjne i gminy podmiejskie, okoliczne objekty komunalne i wojskowe oraz majątki i fabryki rozmieszczone w promieniu kilkunastu kilometrów od Łodzi.



Wincenty Taff

Dyrektor Urzędu Telegraficznego



Główny gmach poczty

Stację telefoniczną łódzką połączono też kablami podziemnemi z sieciami i stacjami w Pabjanicach i Zgierzu.

Centrala łódzka, która dzisiaj przeprowadza już 150,000 rozmów dziennie, coraz szersze zataczając kręgi i staje się niezbędnym centrem zbiorowego życia i pracy.

Poczta łódzka stoi na wysokości zadania tylko i wyłącznie dzięki sprężystej i niezwykle pracowitej energji dyrektora J. Płuciennika, gdyż ani gmach (zajęty obecnie także przez telefony i telegraf) ani urządzenie, nie odpowiadają potrzebom dzisiejszym Łodzi.

Wzniesienie nowego gmachu poczty z zastosowaniem najbardziej nowoczesnych zdobyczy na tem polu, a wzorowanych na wielkich centrach życia przemysłowego Zachodu, nie dziś to jutro stanie się kwestją palącą i pierwszorzędnej potrzeby.

Urząd telegraficzny Łodzi działa sprawnie pod wytrawnym kierunkiem dyrektora Zarządu Telegrafu p. W. Taffa, obejmując równocześnie telegramy telefoniczne międzymiastowe.

Podkreślić tu należy niezwykłą pracowitość, uprzejmość i szybkie załatwianie interesantów przez wszystkich pracowników tych trzech pokrewnych sobie instytucji. A Łódź ma swoje wymagania, którym nie łatwo podołać!

Życzyć tylko należy, zwłaszcza poczcie, możności rozwinięcia aparatu i pomnożenia filji — co w takiem centrum przemysłu i handlu jak nasz polski Manchester jest niezbędne i konieczne.

R. J.

GAZOWNIA MIEJSKA

W roku 1867 została zawarta umowa koncesyjna między Magistratem m. Łodzi a firmą W. C. Holmes & Co. w Londynie na budowę i 40-to letnią eksploatację gazowni, po którym to czasie gazownia, wraz z siecią rur, miała przejść bezpłatnie na własność miasta.

Koncesja powyższa postanowioną została przez Radę Administracyjną Król. Polskiego w dniu 3 maja 1867 r. i zatwierdzoną przez Komisję Rządową Spraw Wewnętrznych w dniu 21 maja tegoż roku, a 25 czerwca nastąpiło podpisanie umowy.

Gazownię uruchomiono w 1869 r., 25 czerwca i od tego czasu liczył się początek koncesji. Ulice po raz pierwszy oświetlono gazem 13 lipca 1869 r.

Dnia 6 marca 1869 r. nabyło gazownię wraz z koncesją od firmy W. C. Holmes & Co. — Łódzkie Tow. Gazowe (z siedzibą w Hamburgu) za 278.000 rubli. Akcji wypuszczono 600 szt. po 500 rb. W roku 1879 wypuszczono 7%-owych nowych obligacyj po 200 rb. na sumę 75.000 rb., które do 1889 zostały zupełnie zamortyzowane.

W roku 1882/3 przeniesiono siedzibę Towarzystwa z Hamburga do Berlina. W tym roku wypuszczono 300 sztuk akcyj 6%-wych po 500 rb.

W roku 1890/1 zaczęto amortyzować kapitał akcyjny, którego amortyzację ukończono w r. 1900.

Dnia 26 czerwca 1909 r. Łódzkie Towarzystwo Gazowe zdało gazownię Magistratowi m. Łodzi.

Otrzymaną gazownię od Łódzkiego Towarzystwa Gazowego, Magistrat oddał w dzierżawę dnia 20 sierpnia 1909 r. Konsorcjum Dzierżawców (pierwszemu) na czas od 26 czerwca 1909 r. do 14 kwietnia 1920 r. z tem zastrzeżeniem, że może już 14 kwietnia 1911 r. wymówić dzierżawę na 14 kwietnia 1912 r. wzgl. 1913 i t. d.



Dyrektor Jan Kapusta

Z powyższego prawa Magistrat skorzystał w drugim terminie.

Konsorcjum Dzierżawców wypuściło dla prowadzenia gazowni 3000 udziałów po 250 rb. na sumę 750.000 rb., na co jednak zażądało wpłacenia tylko po rb. 100.— na udział, tak, że kapitał zakładowy wynosił rb. 300.000.—.



Ogólny widok Gazowni Miejskiej w Łodzi



Koksownia

W roku 1914 utworzyło się nowe Konsorcjum dla eksploatowania gazowni, które egzystowało przez cały czas wojny.

Dopiero w r. 1920 — 14 kwietnia — przejął Magistrat gazownię w bezpośredni zarząd.

Wobec przestarzałych i zużytych urządzeń do produkcji gazu, zamierza Zarząd miasta przystąpić do budowy nowej gazowni na ul. Srebrzyńskiej, gdzie obecnie znajduje się zbiornik do gazu o pojemności 7.500 mtr. sześc.



Magazyn Gazowni Miejskiej w Łodzi

ZNACZENIE ŁÓDZKIEGO PRZEMYSŁU WŁÓKIENNICZEGO

Strajk robotników=włókniarzy w Łodzi w marcu 1927 r. skupił uwagę całego kraju na tem centrum polskiego przemysłu włókien= niczego. Należy to podnieść ze względu na to, że społeczeństwo polskie w znacznej swej części nietylko nie zdaje sobie sprawy ze znaczenia przemysłu łódzkiego dla gospodarstwa państwo= wego, ale nie ma także dokładnego pojęcia o rozmiarze tego ośrodka przemysłowego i jego wytwórczości, ba, nawet twierdzićby można, że w odrodzonej Polsce żyją całe zastępy gospo= darczo i intelektualnie wysoko stojących jedno= stek, które — biorąc pod uwagę polską sieć kolejową — nie bardzo dobrze orjentują się co do położenia geograficznego Łodzi, miasta pol= skiego, pod względem zaludnienia na drugiem miejscu stojącego.



Poseł Dr. M. Solański
Sekretarz Zarządu Związku Przemysłu Włókienniczego w Państwie Polskiem

Przedewszystkiem należy sobie uprzytomnić, że Łódź nie jest, jak prawie wszystkie miasta, tworem komunalnym, powstałym przez osiedle= nie się w danem miejscu jednostek zaintereso= wanych, bądź z powodu korzystnego położenia geograficznego, jak sąsiedztwo rzeki lub innych kryterjów, nadających się do obrony osiedla, albo odpowiednich dla komunikacji, ułatwiającej prowadzenie pracy zarobkowej, bądź też z po= wodów bliskości skarbów ziemi, szczególnej urodzajności gleby i t. p. Łódź jest raczej tworem sztucznym, a więc celowym, przed prze= szło stuleciem założonym przez ówczesne władze państwowe, które miały na oku cel państwowo= gospodarczy. Cel ten został w zupełności osiąg= nięty, a przemysł włókienniczy, który powstał w Łodzi, doznał znacznego rozwoju w chwili przyłączenia Królestwa Kongresowego do obszaru celnego imperjum rosyjskiego przez nastawienie się pod względem struktury gospodarczej i tech= nicznej oraz rodzaju wytwórczości prawie wy= łącznie na Rosję, jako rynek, pochłaniający całą produkcję. — Polityka kredytowa i celna rządu, jak i ogromne wewnętrzne zapotrzebowanie państwa, zapewniały przemysłowi równomierny tryb, bez znamiennych wstrząśnień gospodarczych, fawo= ryzowały jego konkurencyjność wobec zagranicy, a tem samem jego szybki rozrost i zwalniały go od szukania rynków eksportowych. Cha= rakter ten dobrze fundowanego przemysłu kra= jowego Łódź utrzymała do chwili powstania Państwa Polskiego. I w tem leży jedna z naj= ważniejszych przyczyn, dlaczego Łódź nie stała się — zwłaszcza dla innych dzielnic Polski — pojęciem, z którem łączyłaby się apercepcja wiel= kiego ośrodka przemysłowego o wartkiem tętnie życia gospodarczego, apercepcja skupienia pew= nego stopnia dobrobytu ludności, promieniują= cego na dobrobyt kraju. Przyczyna więc natury psychologicznej, która dowodzi, że spokojna praca, zapewniony zbyt produkcji w kraju, nie reklamują przemysłu.

Prawdą jest, że ten wyłącznie niemal na stronę gospodarczą nastawiony tryb życia nie zrodził innych walorów kulturalnych, które, wy= chodząc z tego środowiska realnej pracy, zwra= całyby nań uwagę i pośrednio wskazywały na źródło sił, ożywiających równocześnie Apollina, jak i Merkurego. Słowem, nie pozostało po= głosu po czasach zaborczych, gdyż w kalejdo= skopie wypadków dziejowych w Łodzi nie było momentów nazewnątrz efektownych, w jakie obfitowały inne miasta.

Dalszą przyczyną, dla której utrzymało się jeszcze do dnia dzisiejszego to nieuświadomienie o znaczeniu przemysłu łódzkiego, jest na fał= szywych przesłankach oparte uprzedzenie do jakości wytworów łódzkich. Właśnie okolicz= ność, że przemysł ten prawie wyłącznie obsłu= giwał Rosję, której znakomita część ludności była odbiorcą towarów łódzkich, stworzyła legendę o niskim stanie przemysłu łódzkiego. Zapomina się o tem, że przemysł ten był dosto= sowany do wszystkich, różnorodnych warunków etnograficznych, klimatycznych i kulturalnych państwa tak rozległego, jak Rosja. Łódź za= spakajała zarówno potrzeby mieszkańca okolic arktycznych, jak tropikalnych okolic południa, osiedleńca syberyjskiego zarówno, jak elegantów z Petersburga i Odessy. Rozumie się, że w pań= stwie 150=miljonowem, w którego strukturze społecznej konsument materjału wykwintniej= szego stanowił znikomy odsetek, również i produkcja nastawiona była na ten stosunek, który nadawał całokształtowi swe piętno. Mylne jest przeto zdanie, że przemysł łódzki nie jest w stanie pod względem jakości sprostać wszel= kiemu zapotrzebowaniu państwa, co do ludności pięć razy mniejszego, niż Rosja. Już ze względu na prawo ekonomiczne, które działa jak prawo natury, twierdzenie takie jest nie do utrzymania.

Siła żywotności przemysłu, jego pęd samozachowawczy, muszą produkcję jego dostosować do popytu. Towaru niepożądanego niepodobna narzucać rynkowi, a można iść tylko z prądem. A to jest tylko kwestją techniki.

Co do tej dziedziny, szersze sfery nie poinformowane nie wiedzą, że przemysł włókienniczy łódzki zawsze zmuszany był do modernizowania się pod względem technicznym i w tym kierunku nie ustępuje pierwszeństwa innym zakładom kontynentalnym. Stanowi to również jedyny dodatni skutek wojny, która zdziesiątkowała siły gospodarcze Łodzi. Dewastacje w środkach produkcji, wyrządzone przemysłowi przez okupantów niemieckich, pozostawiły do dnia dzisiejszego niezatarte ślady w warunkach materjalnych przemysłowców łódzkich, ale zmusiły ich do zupełnego odnowienia technicznego swych warsztatów pracy. I tu owa siła żywotności odniosła triumf nad brutalną wolą niszczenia.

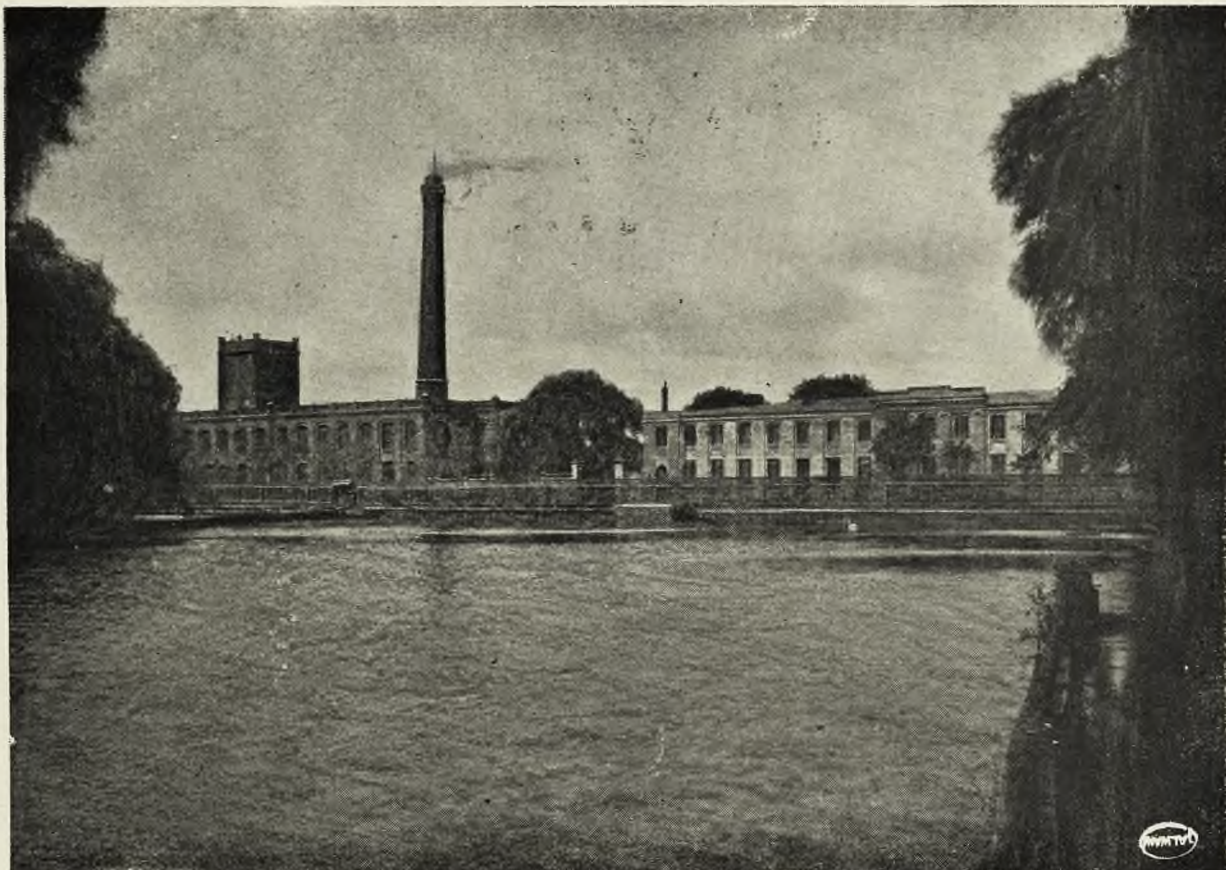
O ile więc chodzi o techniczną doskonałość, o zdolność wytwarzania zarówno najprostszych, jak i najwytworniejszych towarów włókienniczych, przemysł łódzki stoi na wysokości swego zadania, polegającego na pokryciu zapotrzebowania rynku wewnętrznego Polski pod względem ilościowym i jakościowym. Jeżeli więc konsumenci, a przynajmniej pokaźna ich część, żądają towarów zagranicznych, to obok przywary narodowej, jest to wynikiem pewnego rodzaju działania siły bezwładności, pozostałej z czasów przedwojennych, kiedy przemysł łódzki swych wyrobów nie mógł kierować do wszystkich dzielnic dzisiejszej Rzeczypospolitej, a więc nie był tam reklamowany. Dzieje się to naturalnie ze szkodą przedewszystkiem konsumenta, który za wyższą cenę otrzymuje towar gatunkowo równorzędny z krajowym. Równocześnie jednak wychodzi tego rodzaju uprzedzenie na szkodę gospodarstwa społecznego, bo tamuje zbyt wyrobów rodzimych, a równocześnie faworyzuje import towarów zagranicznych i osłabia bilans handlowy.

Dziwnym objawem jest, że niektóre sfery społeczne, w pierwszym rzędzie te, które najbardziej zainteresowane są w utrzymaniu w ruchu zakładów przemysłowych, zajmują stanowisko nieprzychylne dla tendencji eksportowej przemysłu włókienniczego. Przyczyną tego jest fakt, że przemysł, chcąc współzawodniczyć na rynkach zagranicznych, musi zmniejszyć do minimum koszty produkcji, oraz swój zysk, ew. nawet całkowicie z niego zrezygnować. W dalszej konsekwencji wszyscy zainteresowani w eksporcie winni się zgodzić na ponoszenie ofiar natury materjalnej. Hinc illae lacrimae. Na miejscu tedy będzie przytoczyć słowa I. Ramsay Mac Donalda, leadera Labour Party w Anglji, co do znaczenia eksportu: „Byłoby jednak błędem pierwszego rzędu, gdybyśmy naszą politykę przemysłową skierowali na złą drogę przez operowanie głównie na rynkach imperjum brytyjskiego. Musimy w dalszym ciągu wywalczać sobie sporą część handlu światowego. Na oba rynki zbytu należy skupić jednakową uwagę“.

Przemysł łódzki, który, jak wyżej pokazano, nie był przed wojną przemysłem w znaczeniu ekonomicznem eksportującym, gdy nadeszła chwila, w której zmuszony był wstąpić w szeregi współzawodnictwa na rynkach światowych, przystąpił do zadania tego z energją, cechującą jego siły żywotne i ze świadomością, że nie powinien się zrażać pierwszemi trudnościami i ofiarami. Jeżeli więc zdobył sobie udział pewien na rynkach zagranicznych i np. w roku 1926 wyeksportował około 4 i pół miljona kilogramów tekstyljów, wartości około 43 miljonów złotych, po zaspokojeniu rynku wewnętrznego, wykazał, jak ważnym czynnikiem jest w orbicie gospodarstwa polskiego nietylko jako producent artykułów pierwszej potrzeby, ale i jako współregulator dodatniego bilansu handlowego. Czynnik taki powinien cieszyć się specjalną pieczą sfer rządowych i sympatjami społeczeństwa.

Dr. Solański.

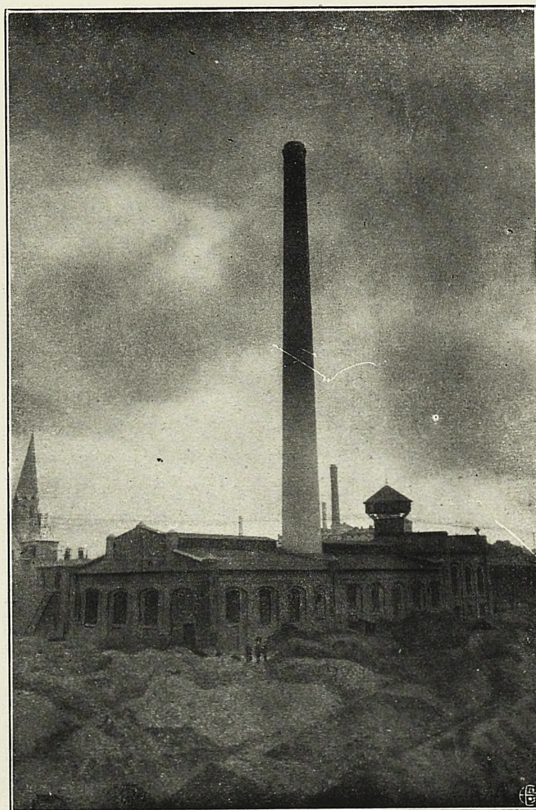




Widok fabryki od strony stawu

ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO
„LUDWIK GEYER" SP. AKC. W ŁODZI

Firma została założona w roku 1829 przez Ludwika Geyera z Zittau. W tym czasie wybudowany został główny frontowy korpus zespołu budynków t. zw. „Starej Fabryki", którego masywne mury o grubości od 1,4 do 1,6 metra spoczywają na fundamentach z olbrzymich głazów polnego kamienia. Ten system budowy tłómaczy się trudnościami zakładania fundamentów na trzęsawisku i moczarach, jakie w owych czasach istniały w tem miejscu, leżącem w bezpośredniem sąsiedztwie nieistniejącej już dzisiaj rzeczki „Jasień", która jednak w początkach rozwoju Łodzi dzięki obfitości źródeł wodonośnych sprawiła, że w jej pobliżu począł usadawiać się przemysł tkacki i farbiarski mimo wielkich trudności terenowych. Sprowadzenie wielkich głazów kamiennych, belek i innych materjałów na miejsce budowy wymagało ogromnego nakładu pracy i pokonywania niezwykłych trudności ze względu na właściwości terenu, będącego obszarem błotnistym.



Pierwszy komin fabryczny w Łodzi



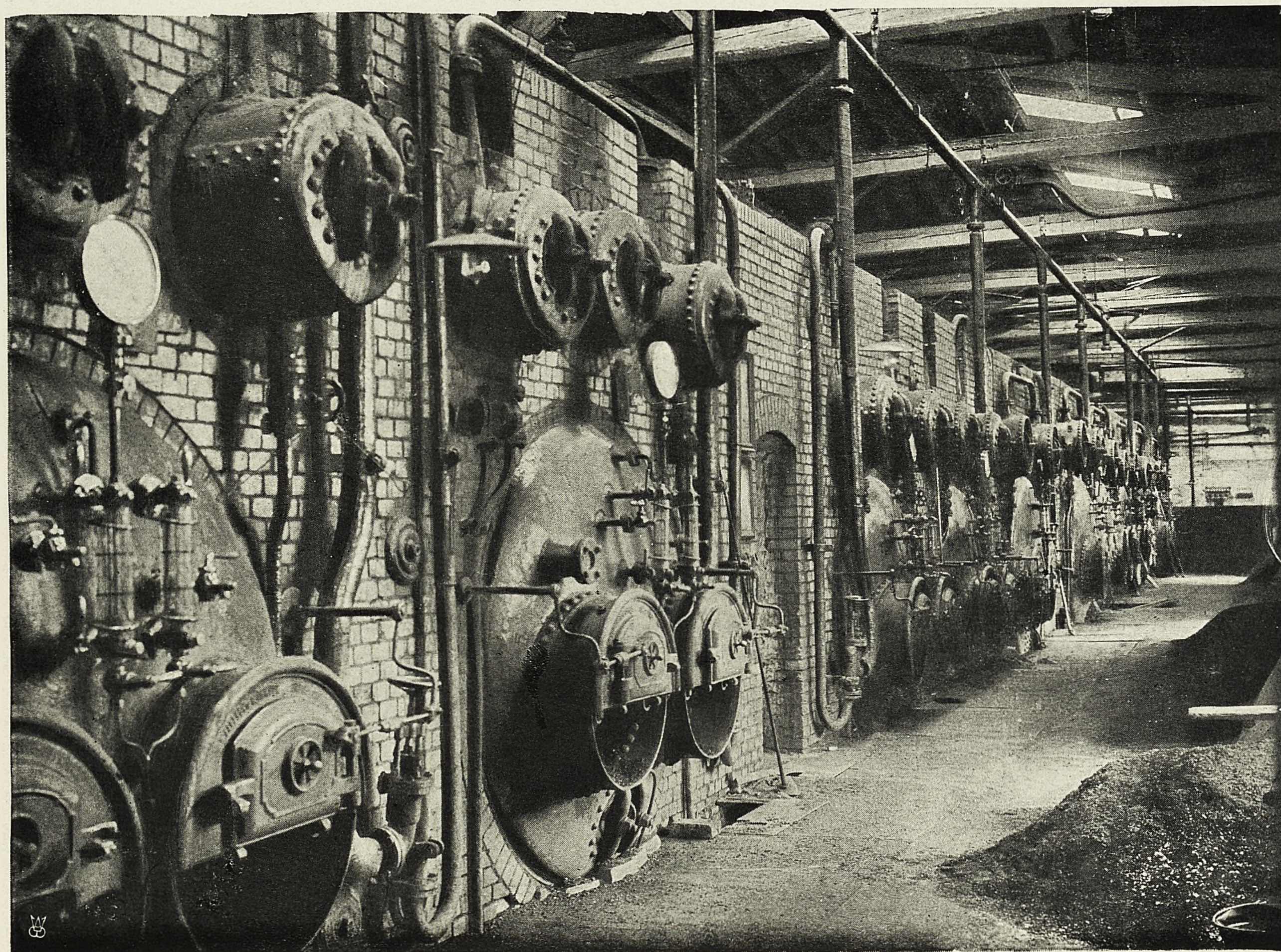
Fasada nowej fabryki

Pierwsza maszyna parowa, uruchomiona w Łodzi, sprowadzona została przez założyciela firmy Geyerowskiej w roku 1841, drogą na Włocławek. Maszyna ta o sile 60 koni przybyła do Włocławka drogą wodną, a stąd do Łodzi końmi. W początkach swego rozwoju fabryka zatrudniała 579 robotników, a posiadała 7728 wrzecion, 180 krosien i wyrabiała 70.000 klg. przędzy oraz 435,000 metrów „Perkalu", przedstawiających wartość 2.000.370 rubli.

Firmie L. Geyer przypadł również zaszczyt sprowadzenia do kraju pierwszych maszyn walcowych do drukowania tkanin.



Zgrzeblarnia



Kotłownia

Szybki rozwój zakładów firmy zatamowany został na pewien czas ciężkim stanem przejściowym po latach 1862 do 1863, spowodowanym w znacznym stopniu znaczną ilością podrobionych bonów firmowych, jakie pojawiły się na rynku pieniężnym Łodzi. W owym bowiem czasie przemysłowcy łódzcy, na skutek dotkliwego braku monety obiegowej, zmuszeni byli emitować własne bony.

Dzięki niespożytej energji, pracowitości i przezorności synów założyciela firmy, zakłady w ciągu niespełna 8 następnych lat wracają do stanu kwitnącego i rozrastają się w szybkiem tempie.

W roku 1913 liczą już 4684 robotników, 50.736 wrzecion, 1.841 krosien i 8 maszyn drukarskich, a wytwarzają 12 miljonów funtów angielskich towarów o wartości 8,67 miljonów rubli.

W tym samym czasie zakłady posiadają już 7 maszyn parowych o sile 4475 koni, 24 kotły parowe opow. ogrzew. 3.304 met. kw. i 160 silników elektr. o łącznej mocy 2040 koni mech.

Przedtem jeszcze w roku 1885 firma przekształcona została na towarzystwo akcyjne.

Lata wojny światowej i okupacji niemieckiej przyniosły zakładom ogromne i dotkliwe szkody. Pomijając miljonowe straty (5 miljonów rubli złotych) u dłużników na obszarze b. cesarstwa rosyjskiego, okupanci niemieccy zarekwirowali bez jakiegokolwiek odszkodowania i wywieźli następujące ilości towarów i materjałów:

670.000 klg., czyli 67 wagonów 10-tonnowych bawełny o wartości 683.000 rbl., różnych towarów bawełnianych (przeważnie tkanin damskich i kołder) za 1.377.000 rbl., kocioł parowy o 120 mtr. kwadr. powierzchni, kilkanaście silników elektrycznych i transformatorów o łącznej mocy 1719 koni, 13 wagonów 10-tonnowych części miedzianych, powyjmowanych i powyłamy-



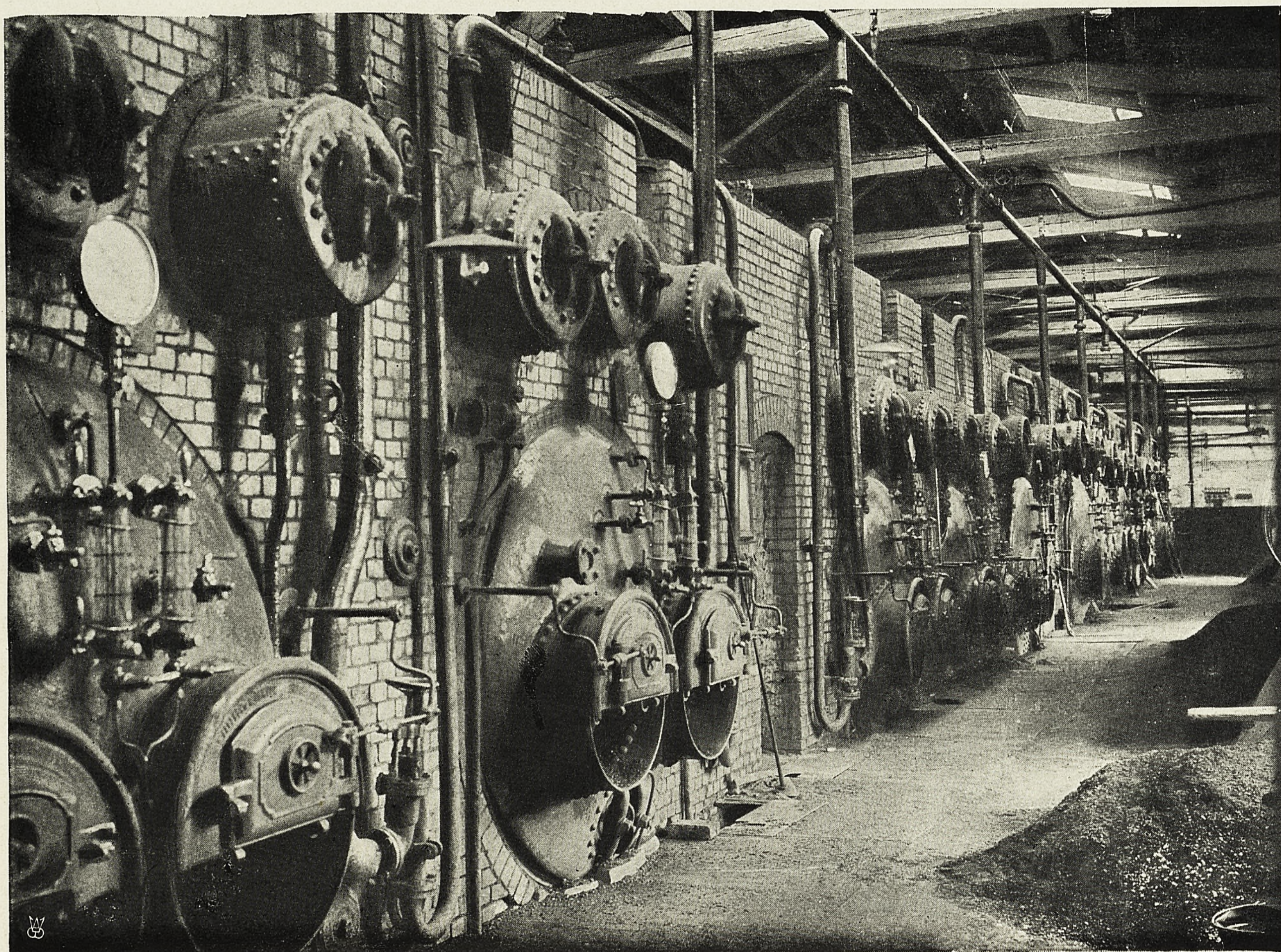
Fasada nowej fabryki

Pierwsza maszyna parowa, uruchomiona w Łodzi, sprowadzona została przez założyciela firmy Geyerowskiej w roku 1841, drogą na Włocławek. Maszyna ta o sile 60 koni przybyła do Włocławka drogą wodną, a stąd do Łodzi końmi. W początkach swego rozwoju fabryka zatrudniała 579 robotników, a posiadała 7728 wrzecion, 180 krosien i wyrabiała 70.000 klg. przędzy oraz 435,000 metrów „Perkalu", przedstawiających wartość 2.000.370 rubli.

Firmie L. Geyer przypadł również zaszczyt sprowadzenia do kraju pierwszych maszyn walcowych do drukowania tkanin.



Zgrzeblarnia



Kotłownia

Szybki rozwój zakładów firmy zatamowany został na pewien czas ciężkim stanem przejściowym po latach 1862 do 1863, spowodowanym w znacznym stopniu znaczną ilością podrobionych bonów firmowych, jakie pojawiły się na rynku pieniężnym Łodzi. W owym bowiem czasie przemysłowcy łódzcy, na skutek dotkliwego braku monety obiegowej, zmuszeni byli emitować własne bony.

Dzięki niespożytej energji, pracowitości i przezorności synów założyciela firmy, zakłady w ciągu niespełna 8 następnych lat wracają do stanu kwitnącego i rozrastają się w szybkiem tempie.

W roku 1913 liczą już 4684 robotników, 50.736 wrzecion, 1.841 krosien i 8 maszyn drukarskich, a wytwarzają 12 miljonów funtów angielskich towarów o wartości 8,67 miljonów rubli.

W tym samym czasie zakłady posiadają już 7 maszyn parowych o sile 4475 koni, 24 kotły parowe opow. ogrzew. 3.304 met. kw. i 160 silników elektr. o łącznej mocy 2040 koni mech.

Przedtem jeszcze w roku 1885 firma przekształcona została na towarzystwo akcyjne.

Lata wojny światowej i okupacji niemieckiej przyniosły zakładom ogromne i dotkliwe szkody. Pomijając miljonowe straty (5 miljonów rubli złotych) u dłużników na obszarze b. cesarstwa rosyjskiego, okupanci niemieccy zarekwirowali bez jakiegokolwiek odszkodowania i wywieźli następujące ilości towarów i materjałów:

670.000 klg., czyli 67 wagonów 10-tonnowych bawełny o wartości 683.000 rbl., różnych towarów bawełnianych (przeważnie tkanin damskich i kołder) za 1.377.000 rbl., kocioł parowy o 120 mtr. kwadr. powierzchni, kilkanaście silników elektrycznych i transformatorów o łącznej mocy 1719 koni, 13 wagonów 10-tonnowych części miedzianych, powyjmowanych i powyłamy-

wanych z maszyn włókienniczych (w tem 77.040 klg. rytowanych walców drukarskich), 18 kilometrów pasów skórzanych napędowych, 4,8 kilometrów przewodników elektrycznych izolowanych.

Łączna wartość strat z powodu tych rekwizycyj po potrąceniu wartości części odzyskanych silników wynosi 6.205.450 franków złotych.

Pomimo tych olbrzymich strat materjalnych i szkód technicznych, wyrządzonych przez okupantów rozmyślnie w tym celu, aby uniemożliwić nietylko rozwój, ale i egzystencję polskiego przemysłu włókienniczego, zakłady firmy dzięki energji, bogatemu doświadczeniu i zdolnościom kierownictwa fabryki, zostały uruchomione w nieprawdopodobnie krótkim czasie, bo już w ciągu pól roku po wyjściu okupantów.

Początkowo uruchomiono tylko małą część maszyn i warsztatów, następnie jednak w szybkiem tempie zdołano już całkowicie wszystkie zakłady odbudować. — We wrześniu 1923 roku liczba zatrudnionych robotników przekroczyła nawet najwyższą cyfrę przedwojenną i wyniosła 6422.

Obecnie, na skutek reorganizacji i udoskonaleń technicznych, zakłady spółki akcyjnej „Ludwik Geyer“ zatrudniają 3793 robotników i posiadają 44.376 wrzecion cienkoprzędnych, 10.550 wrzecion odpadkowych i wigonjowych, 3300 wrzecion niciarkowych, 1841 krosien, 9 maszyn drukarskich, kocioł blicharski, 40 draparek, obejmują zaś przestrzeń zabudowaną 124.750 mtr. kwadr., oraz placów 131.875 mtr. kwadr.

W zakładach spółki akcyjnej wyrabiane są następujące rodzaje towarów: materjał ubraniowy męski i damski, zwany „Kolumbją“, drukowane chusteczki na głowy, kolorowe perkale drukowane, flanele drukowane, flanele kolorowo tkane, kołdry bawełniane wzorzyste, chustki bawełniane, płótno introligatorskie.

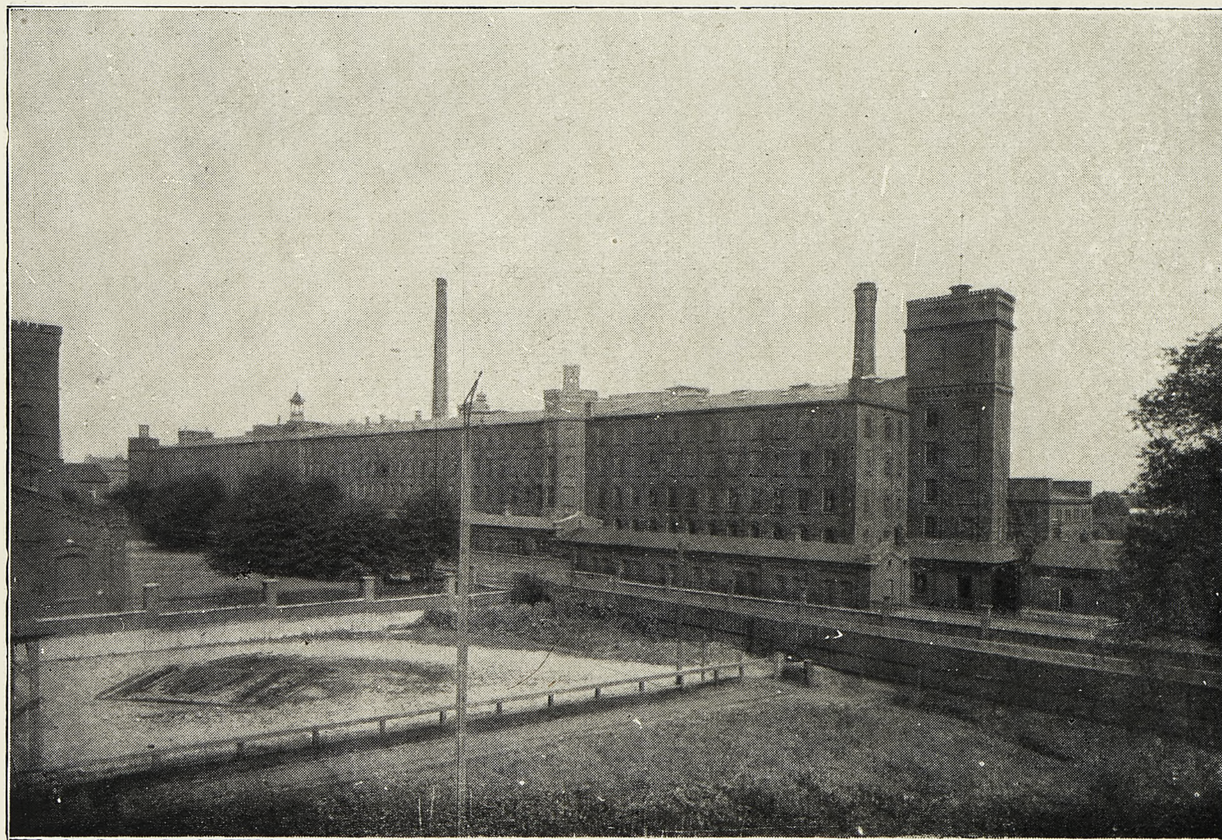
P. R. W zakończeniu dodać należy, że nazwisko „Ludwik Geyer“ jest niejako synonimem Łodzi. Pierwszy komin fabryczny w historji przemysłu łódzkiego był wzniesiony przy fabryce Ludwika Geyera. — Od tej chwili mija 100 lat. W roku 1929 zakłady spółki akcyjnej „Ludwik Geyer“ święcić będą stulecie istnienia.



Fasada starej fabryki

Turbina

Sala obręczniaków



Przędzalnia o 153.808 wrzecionach

K. SCHEIBLER i L. GROHMAN SP. AKC. W ŁODZI

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY PRZEMYSŁOWE

Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i L. Grohmana Sp. Akc. powstały w roku 1921 z połączenia 2-ch najstarszych niemal fabryk łódzkich: fabryki Grohmana i fabryki Scheiblera.

Historja obu tych fabryk starą jest, jak starym jest przemysł bawełniany w Polsce i sięga dwudziestu lat ubiegłego stulecia. Starsza z tych fabryk — Grohmana — powstała w roku 1827-ym i założoną została przez Traugott Grohmana z 2000 wrzecion i 100-ma krosnami tkackiemi (podówczas jeszcze ręcznemi). W roku zaś 1854 Karol Scheibler zakłada w Łodzi przędzalnię o 18,000 wrzecionach i pierwsze 100 krosien tkackich mechanicznych. Wywołało to w roku 1861 rozruchy wśród ręcznych tkaczy, obawiających się utraty zarobków. Rozruchy, których skutkiem było zdemolowanie tkalni mechanicznej Scheiblerowskiej, nie osłabiły energji założyciela Tow., gdyż już wkrótce uruchomionych zostało do 40,000 wrzecion i 400 warsztatów mechanicznych. Tym sposobem staje się Scheibler pionierem tkactwa mechanicznego w Polsce. W ciągu szeregu dziesiątek lat obydwie fabryki stale się powiększały. W roku 1881 fabryka Scheiblera przekształca się na Spółkę Akcyjną z kapitałem zakładowym Rbl. 9.000.000.—, zaś fabryka Grohmanowska przechodzi w roku 1899 na Spółkę Akcyjną z kapitałem zakładowym Rbl. 3.000.000,—, powiększonym w roku 1911 do 5.000.000 rubli.

Fabryki posiadają wszelkiego rodzaju maszyny potrzebne do fabrykacji, począwszy od przerobu surowca, aż do zupełnego wykończenia tkaniny.

Towarzystwa Akcyjne posiadają: 6 przędzalni, 4 tkalnie, 2 wykończalnie, bielnik, 2 farbiarnie, drukarnię, 2 draparnie oraz warsztaty mechaniczne, rytownię, 3 gazownie, elektrownię o 4,000 PS., odnogę kolejową długości 12 klm., tabor kolejowy, kolejki podjazdowe, straż ogniową, domy robotnicze i urzędnicze i t. p.

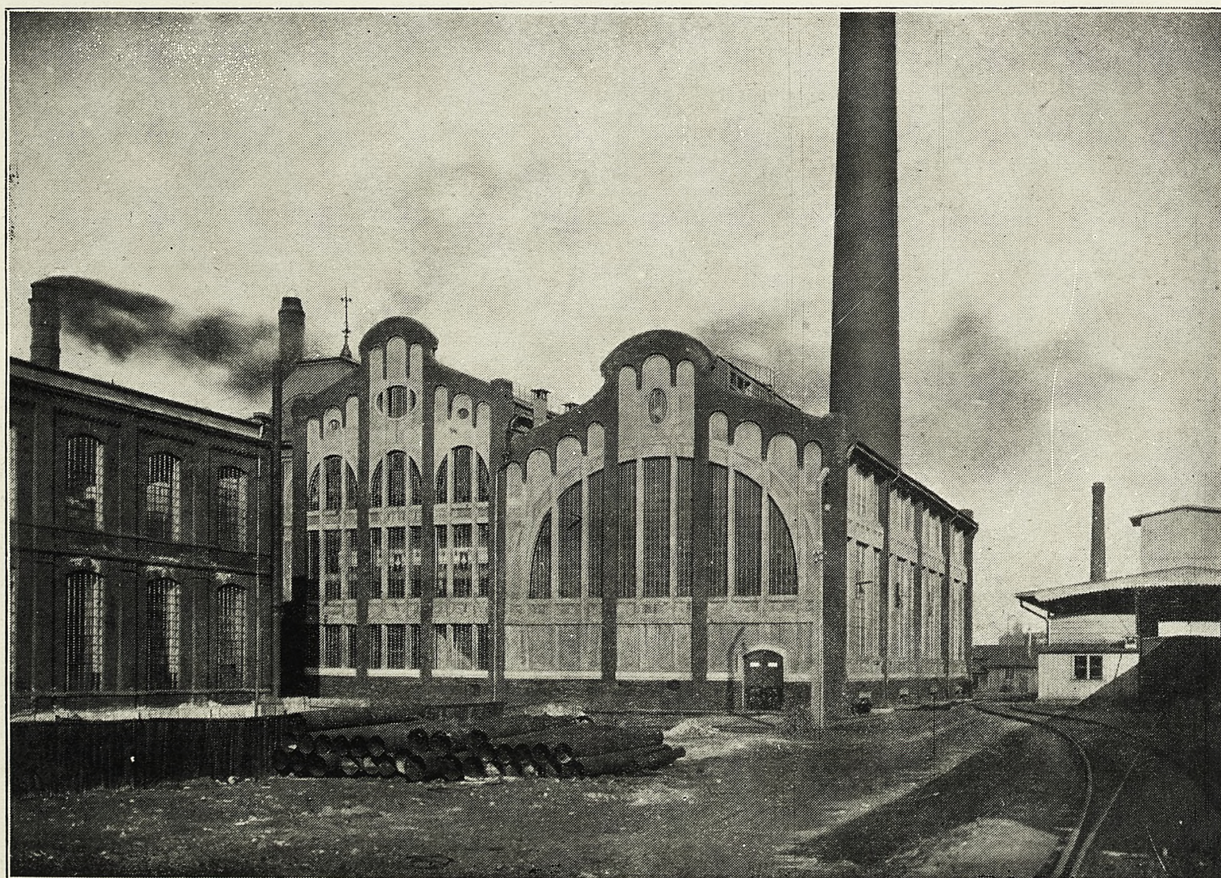
Fabryki obejmują terytorjum o 215 ha.

Urządzenia dobroczynne: Tow. Akc. K. Scheiblera i Grohmana posiadają w roku 1912: 5 szkół



Siedziba Zarządu i Biuro Główne

dla około 2.400 dzieci z 35 nauczycielami, koszty utrzymania których, nie licząc lokalu, wynosiły rocznie Rbl. 55.000, sklep spożywczy, tanią kuchnię, piekarnię robotniczą, łaźnię etc. Szpital: 6-ciu lekarzy, 4-ch prowizorów, 6-ciu felczerów, 2 akuszerki, 1-ną gospodynię i 25 osób posługi szpitalnej. Leczy 500 chorych rocznie i oprócz tego około 75.000 wypadków ambulatoryjnych,



Elektrownia (4000 P. S.)

utrzymanie czego wynosiło rocznie około 100.000 rbl. Apteka wydawała rocznie około 65.000 recept za rubli 50.000.— Zapomogi wynosiły około 60.000 rubli. Ochronka mieściła około 500 dzieci i zatrudniała 10 ochroniarek. Orkiestra fabryczna dla robotników, utrzymanie której wynosiło około 10.000 rubli rocznie.

Oprócz własnych zakładów dobroczynnych firma zasilała zakłady miejskie sumą około Rbl. 50.000 rocznie.

W czasie wojny obie firmy ucierpiały bardzo wskutek rekwizycyj niemieckich; wartość towarów i maszyn zarekwirowanych wynosiła około 8.000.000 rubli w złocie, co równa się około 20.000.000 fr. szwajcarskich.

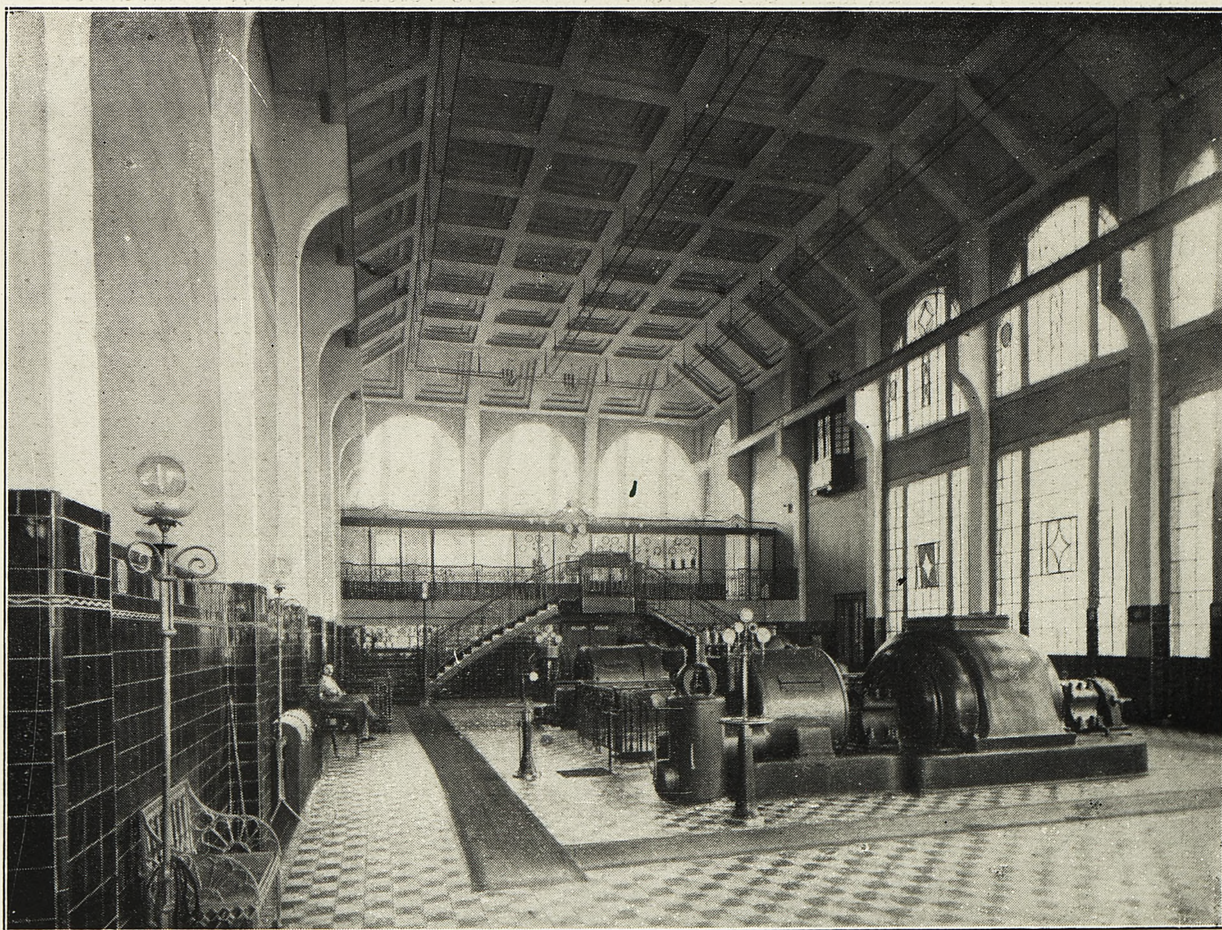
Pomimo wszystkich trudności rok 1919 był rokiem przełomowym. W połowie tego roku zaczęto fabryki uruchamiać.

Dnia 1-go listopada 1919 r. Tow. Akc. K. Scheiblera i L. Grohmana przeszły pod wspólną administrację, jako zapoczątkowanie ostatecznego połączenia się w dniu 1-ym stycznia 1921 r. pod obecną firmą.

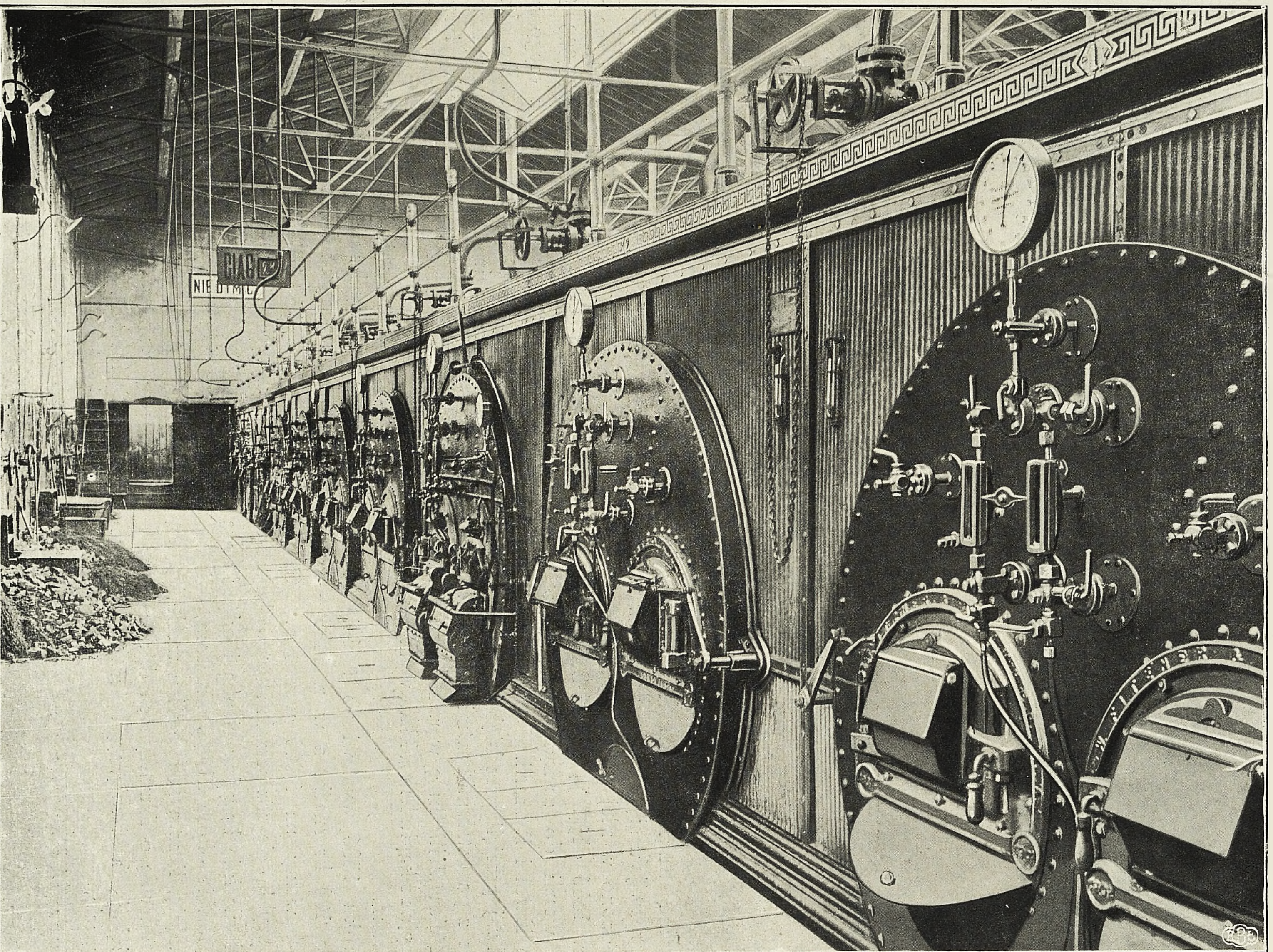
Zjednoczone Zakłady Przemysłowe K. Scheiblera i L. Grohmana, zatrudniające obecnie około 8000 robotników, wyrabiają:

Przędzę od Nr. $3^3/_4$ do Nr. 100 z bawełny egipskiej, amerykańskiej i indyjskiej (wątkową i osnowną, nitkowaną, pończoszniczą, gazowaną i t. d.).

Tkaniny bawełniane wszelkiego rodzaju w stanie surowym i bielonym, towary farbowane, drukowane, żakardowe i t. d. Krośniaki, madapolamy, nansuki, prześcieradła, ręczniki, chusteczki na głowę drukowane, płócienka kolorowe drukowane, satyny farbowane i drukowane, flanelety farbowane, drukowane i kolorowo-tkane, Sybiry, Tyki, kołdry deseniowe oraz chustki z frendzlami, przyczem 80% produkcji sprzedaje się w kraju, około 20% zaś eksportuje się zagranicę, a mianowicie: do Rumunji, Gdańska, Estonji, Łotwy, Węgier, Turcji, Palestyny, Anglji, Finlandji, Holandji, Persji, Chin, Jugosławji, Austrji, Indji, Francji, Danji, Niemiec, Grecji etc.



Elektrownia (sala turbogeneratorów)



Kotłownia w Zakładach Przemysłowych K. Scheiblera i L. Grohmana

15 kotłów ogólnej powierzchni ogrzewalnej 1467 metr. kwadr.



Widok ogólny fabryki

TOWARZYSTWO AKCYJNE KAROL STEINERT W ŁODZI

Przedsiębiorstwo zostało założone w r. 1834 przez Karola-Bogumiła Steinerta — początkowo jako ręczna drukarnia perkalu. Fabryka stopniowo rozwijała się coraz bardziej; w r. 1856 zaprowadzono w niej ruch mechaniczny.

W r. 1886 objął ją Adolf Steinert, jednocześnie weszli do zarządu firmy jego starsi synowie Karol i Ryszard.

Ci dwaj przejęli przedsiębiorstwo w r. 1903 wspólnie z pozostałymi braćmi Robertem i Emilem i przekształcili firmę w r. 1914 na towarzystwo akcyjne z kapitałem zakładowym 3 miljonów rubli złotem.

W roku 1886 wystawiono tkalnię mechaniczną o 100 krosnach, a w r. 1893 — przędzalnię bawełny na 5,000 wrzecion. Odtąd fabryka szybko się rozszerzała i teraz obejmuje:

1) przędzalnię bawełny cienką i odpadkową o liczbie około 21,000 wrzecion,
2) tkalnię, liczącą 500 krosien mech.,
3) drukarnię o 5 maszynach drukarskich,
4) bielnik, farbiarnię, wykończalnię i merceryzację,
5) warsztaty reparacyjne.

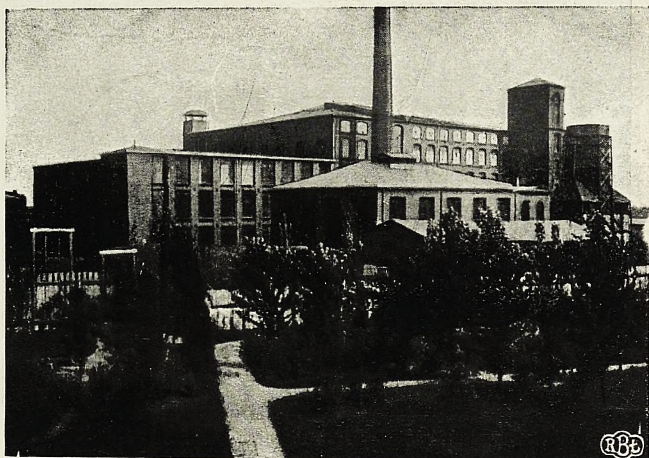
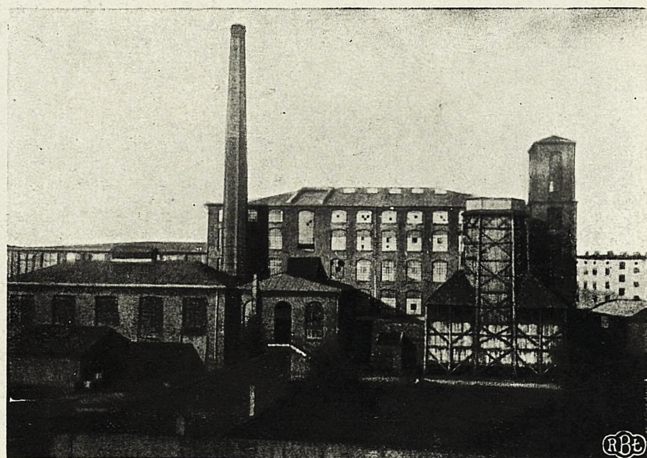
Pozatem fabryka posiada 3 maszyny parowe o łącznej sile 1000 KM, 10 kotłów parowych o powierzchni przeszło 6000 m², oraz 11 elektromotorów o sile około 600 KM.

W r. 1913 fabryka przerobiła około 1,500,000 kg. (1500 t.) bawełny i około 800,000 kg. (800 t.) odpadków bawełnianych, z czego wyprodukowano: około 520,000 sztuk albo około 18,400,000 metrów drukowanego towaru bawełnianego, oraz około 40,000 kg. przędzy bawełnianej na sprzedaż.

Pomimo strat, poniesionych w czasie wojny wskutek przepadłych w Rosji dużych należności, jak również wskutek rekwizycji okupantów niemieckich (zabrano i wywieziono z fabryki m. in. 3000 bel bawełny, dalej — przędzę, gotowe towary, miedź, walce i t. d.) przedsiębiorstwo w latach powojennych odżyło i obecnie zatrudnia 1150 robotników.

Obecny zarząd towarzystwa stanowią pp. Ryszard Steinert, Emil Steinert i Karol Steinert mł. Kapitał akcyjny, po przewalutowaniu w r. 1925, wynosi zł. 7,500,000.—.



Przędzalnia „Dąbrowa“ w Łodzi

„BELGIJSKA SPÓŁKA AKCYJNA EMIL HAEBLER“

„TOWARZYSTWO AKCYJNE PRZEMYSŁOWE I HANDLOWE DAWNYCH PRZEDSIĘBIORSTW EMILA HAEBLERA“

W roku 1900 baron Emil de Haebler, obecny prezes Towarzystwa, złączył kilka swych prywatnych przedsiębiorstw w jedno ogólne przedsiębiorstwo akcyjne pod powyższą nazwą, z kapitałem zakładowym 5.000.000 franków w złocie, który w roku 1903 przez likwidację hurtowej sprzedaży węgla został zmniejszony do 4.000.000 franków w złocie, podzielonych na 40.000 akcyj po 100 franków w złocie każda i 40.000 udziałów założycieli nieokreślonej wartości. Siedziba Towarzystwa Akcyjnego znajduje się w Brukseli i mieści się przy 42, Avenue des Arts. Akcje Towarzystwa są notowane na giełdzie w Brukseli od roku 1911.

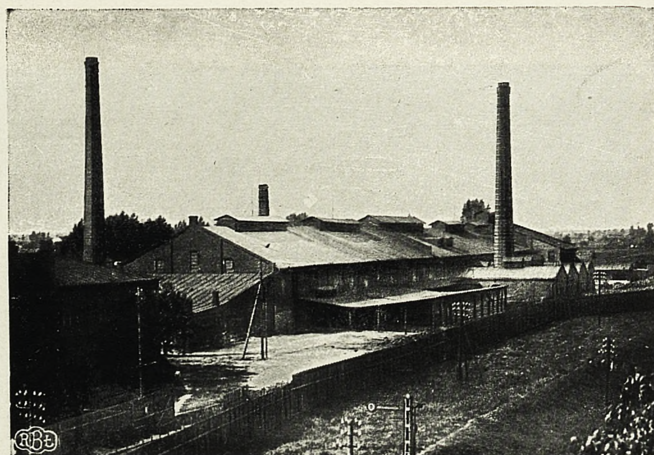
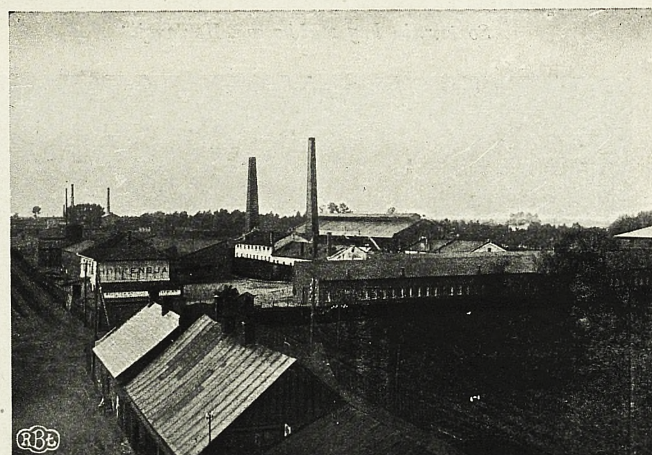
Do Towarzystwa należą znajdujące się na terytorjum Rzeczypospolitej cztery przedsiębiorstwa, a mianowicie: Przędzalnia bawełny w Łodzi, huta szkła taflowego, huta szkła galanteryjnego i tartak wraz z wytwórnią skrzyń w Piotrkowie.

Przedsiębiorstwa piotrkowskie znajdują się przy kolei Warszawsko-Wiedeńskiej w Piotrkowie i posiadają własne bocznice kolejowe.

Oprócz tego Towarzystwo posiada własne oddziały handlowe w Warszawie, Lwowie, Łodzi, Poznaniu i Bydgoszczy.

Generalną dyrekcję dla wszystkich oddziałów przedsiębiorstwa stanowią pp. A. i A. baronowie Haebler, jako delegowani administratorzy i uprawomocnieni reprezentanci Towarzystwa.

Biuro generalne znajduje się w Łodzi, przy ulicy Pustej Nr. 9. Tam również znajduje się kierownictwo przędzalni bawełny. Kierownictwo

Huty szklane „Kara“ i „Hortensja“ w Piotrkowie



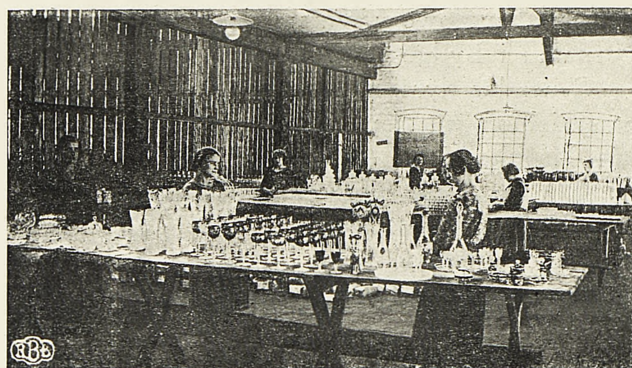
Tartak i wytwórnia skrzyń w Piotrkowie



Biuro Centrali w Piotrkowie



Domy robotnicze w Piotrkowie



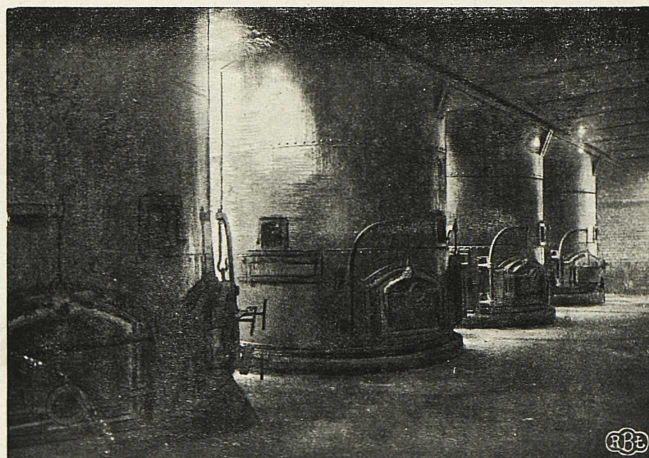
Sortownia kryształów w „Hortensji"

zaś przedsiębiorstw w Piotrkowie zostało zjednoczone w biurze Centralnem przy ul. Legjonów Nr. 9, i znajduje się pod zarządem dyrektora p. Reinholda Chrystmana.

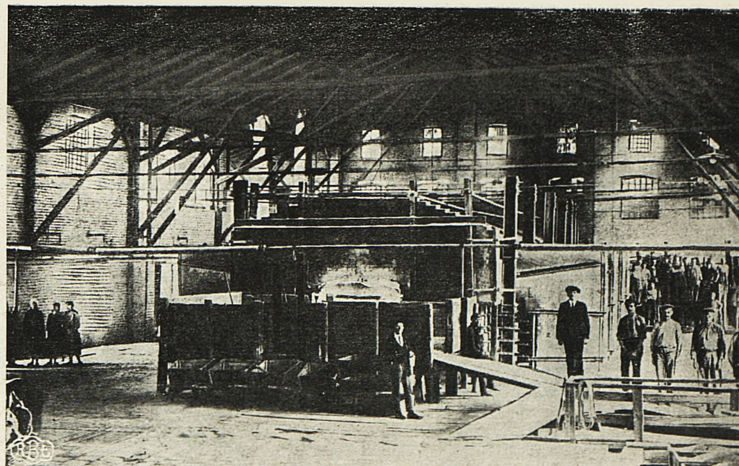
Towarzystwo Akcyjne dziś oprócz kapitału zakładowego w wysokości 4.000.000 franków w złocie rozporządza kapitałem rezerwowym w ilości przeszło 3.000.000 franków w złocie i jest ogólnie znane jako Towarzystwo najlepiej zabezpieczone, którego akcje notuje się i po wojnie wyżej parytetu w złocie.

Towarzystwo zatrudnia obecnie przeszło 2500 osób urzędników i robotników, a przy wykorzystaniu wszystkich sił może liczbę tę podwyższyć do 3000 ludzi. Obrót roczny Towarzystwa wynosi od 12-tu do 15-tu miljonów franków w złocie.

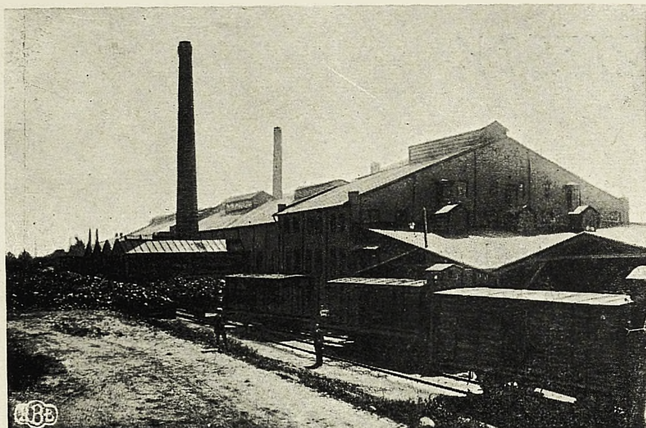
Przędzalnia w Łodzi, po powiększeniu ostatnio o 10.000 wrzecion, posiada dziś 32.000 cienkoprzędnych wrzecion i niciarnię o przeszło 8000 wrzecion. Przędzalnia obecnie została przerobiona podług najnowszego systemu „Casablanca". Produkuje ona przędzę w surowym stanie od Nr. 4 do 44 we wszystkich gatunkach, które są pożądane na rynkach.



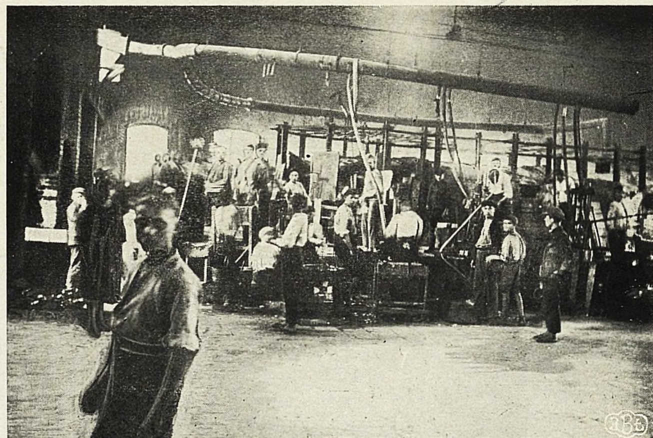
Generatory w hucie „Kara"



Wanny do stopu szkła w hucie „Kara"



Huta szklana „Kara“

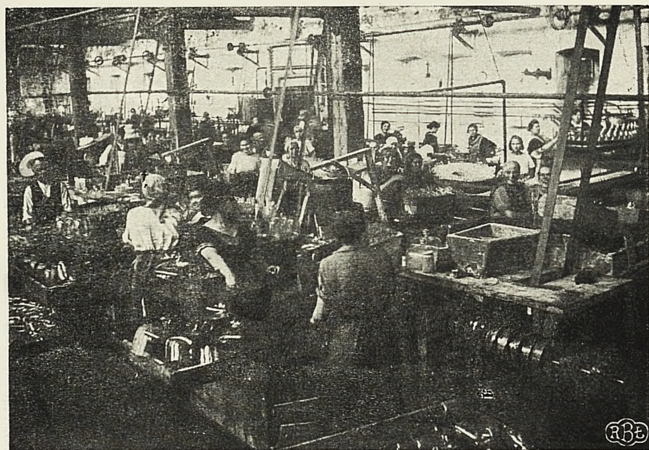


Jedna z wanien do stopu szkła „Hortensji“

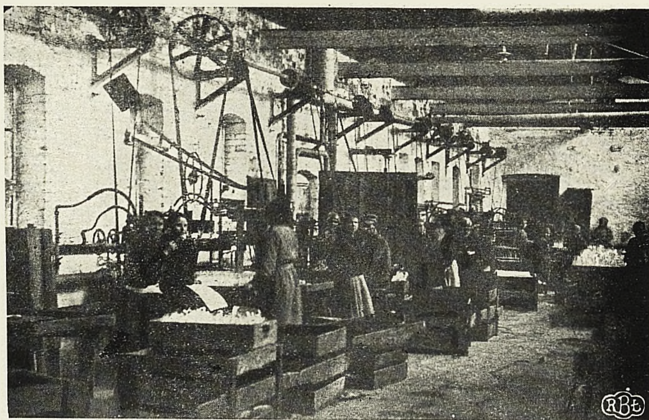
Huta szkła taflowego „Kara“ jest największą hutą w Polsce i produkuje szyby o najlepszym gatunku, we wszelkich rozmiarach i grubościach, jak również balony do kwasów i butelki. W roku 1923, z powodu rekonstrukcji i nowego wybudowania II-ej wanny, zdolność produkcyjna wzrosła wyżej niż podwójnie i wynosi dziś 2 miljony metrów kwadratowych rocznie.

Huta szkła galanteryjnego „Hortensja“ została po wojnie znacznie rozbudowana i zajmuje dziś pod względem wielkości i jakości produkcji pierwsze miejsce w Polsce. Praca w tej hucie odbywa się przy pomocy pieców i wanien i posiada dziś własne oddziały: dla gładkiego i giloszowanego szkła dętego; szkła świetlnego dla elektryczności, gazu i nafty; szkła prasowanego każdego rodzaju; słojów do konserw i szklanych artykułów perfumeryjnych, malarni na ciepło i na zimno, dla ciężko i lekko szlifowanego szkła oraz białych i kolorowych czeskich kryształów.

Wobec wielkiego zapotrzebowania skrzyń oraz obróbki drzewa budulcowego i stolarskiego Towarzystwo wybudowało w roku 1924 własny tartak według najnowszych wymagań.



W szlifierni szkła „Hortensji“



Wytwórnia szkieł do lamp w „Hortensji“



Jeden z pieców do stopu szkła „Hortensji“



Wytwórnia kryształów w „Hortensji“

WIEK DWUDZIESTY

(POEMAT)

I.

Jak żółwie nieporadnie pełznące pociągi,
Stalowe sieci anten, szepty i szelesty,
Tajnych depesz po niebie żórawiane ciągi
I krzyki syren czasu —
Jam jest Wiek dwudziesty! —

W zawrotnych ślizgawicach rozpędzone auta,
Na wszystkich bitych drogach wszystkich części
[świata,
Śpiewają harde hymny na chwałę rybałta,
Który z miedzi i stali stanze wieku splata.

Skonał dawno wiek pary w uścisku fal Hertza,
Drwią głośno z lokomobil zdyszane Junkersy,
Na całym niemal globie rytm jednego serca —
Od stoków Alp do śmiesznych drapaczy
[New-Jersey!

O, jakże niecierpliwi podróż Atlantykiem
W pięćdziesięcio-piętrowych niemrawych
[okrętach,
Gdy je Breguet dwudziesty) przedrwiwa*
[silnikiem,
Co odległość jak więźnia sznurem pędu spętał!

II.

Europo, która tańczyć uczysz się od Negra
I muzyką grzechotek uspokajasz nerwy, —
Twą symfonją przyszłości jest radjo-telegraf —
Tętno Twojego mózgu bijące bez przerwy.

Niby olbrzym z legendy stoisz, Europo,
I głos twych słabych piersi zamieniasz
[na grzmoty.
W łachmanach, krwią oblana, a przecież
[pod stopą
Dla wzbogaconych ludów dzierżysz piorun złoty.

Tyś pierwsza szept dziecinny naszych słabych
[piersi
*Na falach elektronów**) rozniosła po świecie,*
Syny Twe innym ludom przypięli najpierwsi
Skrzydła jarzmiące burze, wichry i zamiecie!

*) System samolotu.
**) Elektrony — cząstki atomu.

III.

Genjuszu starej rasy, oto ręka Twoja
Wyrasta w nieskończoność i chwyta za włosy
Czas nawet, co był ludom jedyną ostoją
I dziś nie Chronos jeden, ale już Chronosy!

Bo gdy wczoraj mierzono czas ziemi obrotem,
Dziś mierzymy go dźwiękiem, barwą
[i promieniem,
Wieściły wszakże zdawien poetów tęsknoty,
Że długim wiekiem chwili może być westchnienie.

O, jakże śmiesznie skamlą dni-analfabeci
Twierdząc, że genjusz ludzki w „zgniłej"
[Europie
Może bawić jedynie półgłówków, lub dzieci! —
Słyszycie tętent Jutra w zuchwałym galopie?!

Telewizja i radjo. — Znikają podróże!
Ożyją martwe punkty uczniowskich atlasów...
I cała kula ziemska może w miniaturze
Wejść do waszych pokoi, nie ruszając zasuw!

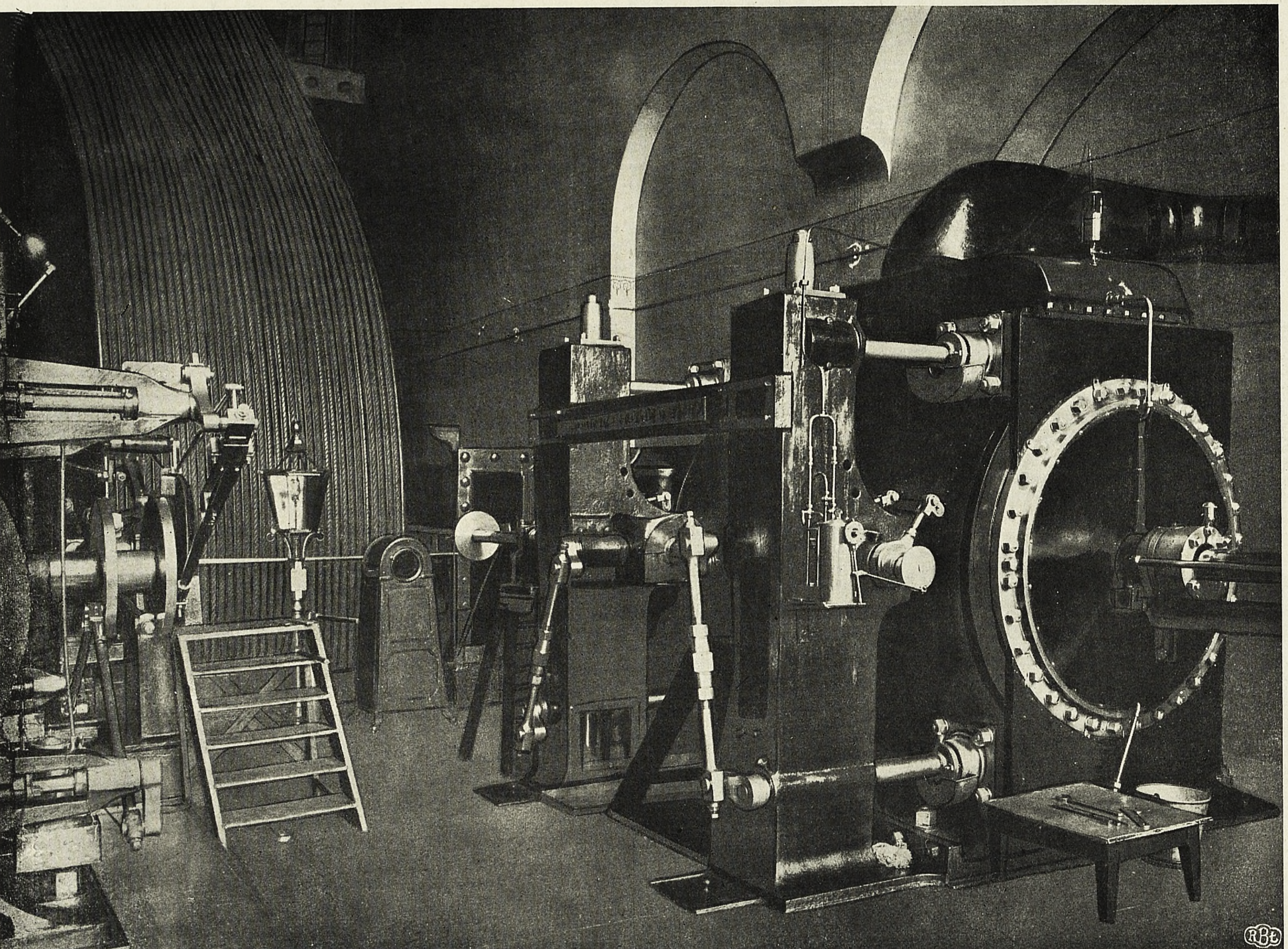
IV.

To kłamstwo, że Twe ludy stara, biała raso,
Degeneracją tknięte i zaniku trądem.
Jak cow-boy'e chwytamy kulturę na lasso
I zwycięstwa głosimy elektrycznym prądem.

Jeśli hołota tańczy pod wrzaski Charlestona
Nie znaczy to, by światem rządziły pigmeje.
Na ziemi, co na równość podniosła ramiona,
Od wieków były bagna, lecz i Pireneje!

Jak Himalaje Ducha, pracownie uczonych
Ogłaszają potyczki, lub walne zwycięstwa.
Na czołach królów ducha, chociaż bez korony,
Goreją znaki jasne wieku czarnoksięstwa.

Eviva, Eljen, Banzaj! — krzyczcie
[wszystkie ludy
I czołem bijcie Stwórcy za szał Prometeja.
Bo znów, jak w średniowieczu, jest epoka
[cudów
I oszalałą ziemię postęp wykoleja!



Maszyny parowe i turbogeneratory w fabryce I. K. Poznańskiego



Nowe chłodnie olbrzymy Elektrowni Łódzkiej

V.

Nieśmiertelne jest piękno błękitnych katastrof
Pieczętowane życiem podniebnych Ikarów,
Którzy drogi dalekie torują hałastrom
W pośród ciszy lazurów, lub wichrowych gwarów.

O, wieku, tryumfalną świetny zwycięstw arką,
Coś wskrzesił średniowiecznych błądzących
*[rycerzy, *)*
Zamieniających ziemię w pięć morgów folwarku,
Otwierających ludom bezkrańce rubieży!

Jakże bardzo miłuję i podziwiam bardzo
Szybujące nad głową metalowe ptaki.
I tych, co wielbią życie i wraz śmiercią gardzą,
Czyniąc przedmieściem Rzymu porty Nagasaki.

Dzięki nim jedną częścią jest pięć części świata,
Łoskot zaś ich motorów jest podzwonnem granic.
I człowiek jest naprawdę, jak duch co odlata
I bajką są dziecinną krawędzie krzesanic!...

*) Lotników.

VI.

Przeczuwam już poetów, tęskniących do twarzy
Ujrzanej w telewizji na srebrnej Alasce, —
Oglądających cuda kolońskich witraży,
Nie marzących na strychach o tem, jak o łasce.

Wiem, że jutro usiądę w studenckiej mansardzie,
Podpatrzę życie w Tokjo, albo też w Bombaju.
Nie wychodząc z pokoju, pójdę w awangardzie
Walczących o ojczyznę dzielnych samurajów.

Mój wiersz o cudach morza, lub grzędzie
[chryzantem
Telewizja wyjaśni czarownym obrazem.
Mogę na moście westchnień błądzić razem
[z Dantem,
Mogę mówić o tundrach i pampasach razem.

Największy nieuk świata „zobaczy" me wiersze,
Płonące barwą wschodów, zachodów, południ,
Słowa staną się większe, barwniejsze i szersze
I nic już mej poezji tłumom nie utrudni.

VII.

Można kochać epokę minstreli i ballad,
Marmurowych kominków i barwnych kawalkad;
Można wielbić rycerskie legendy Graala,
I marzyć o turniejach i mieczowych walkach.

Niezawodnie jest piękna helleńska Arkadja,
Pałace florentyńskie, wieże Dagestanu,
Ale poezja nowa śpiewa w falach radja
I w zwycięskim do Tokjo locie aeroplanu!

Widzę historję wojen w błyskawicach szabel
I bohaterskie piękno husarskich ataków,
Ale cudniejsze dzieje zna podmorski kabel
Nucący oceanom pieśń prądu jednaką.

Z Paryża do New-Yorku i do San-Francisko
Miljardy słów po drutach wędrują bez końca.
I biegun od bieguna tak bardzo jest blisko —
I jedynie daleko jest zawsze do słońca!

VIII.

Kominy fabryk, smukłym idące pochodem,
Ukorzą się przed białym wodospadów węglem.)*
Że odtąd będą stały nad ziemią-ogrodem,
Jak mitycznych olbrzymów niebotyczne kręgle,

Jak drzewca w krwawych bitwach podartych [sztandarów,
Jak strzeliste pomniki wysiłków człowieka.
I będą pytać wnuki swoją babkę starą: —
— Na co ten słup czerwony tak cierpliwie czeka?

Ja kocham szał katarakt i dynamo-maszyn,
Które miastom fabrycznym zwrócą słońce złote;
I zamienią w Europę Kaczy Dół i Raszyn,
Ustokrotnią w nas życie, piękno i tęsknotę!

Będą się złote gwiazdy jeszcze jaśniej jarzyć,
Nad światem się zapalą girlandy łukowe.
Wszystko się może spełnić i wszystko wydarzyć
W tym wieku, który przypiął skrzydła Ikarowe!

IX.

Słyszycie prężne marsze jutrzejszych pokoleń
Po złote runo słońca na szczyty wysiłku?
Wiek dwudziesty! Wiek mocy, walki i wyzwoleń!
Człowiek, grający ziemią, jak dziecinną piłką!...

W zawrotnych ślizgawicach rozpędzone auta
Na wszystkich bitych drogach, wszystkich części [świata
Śpiewają dumne hymny na chwałę rybałta,
Który z miedzi i stali stanze wieku splata.

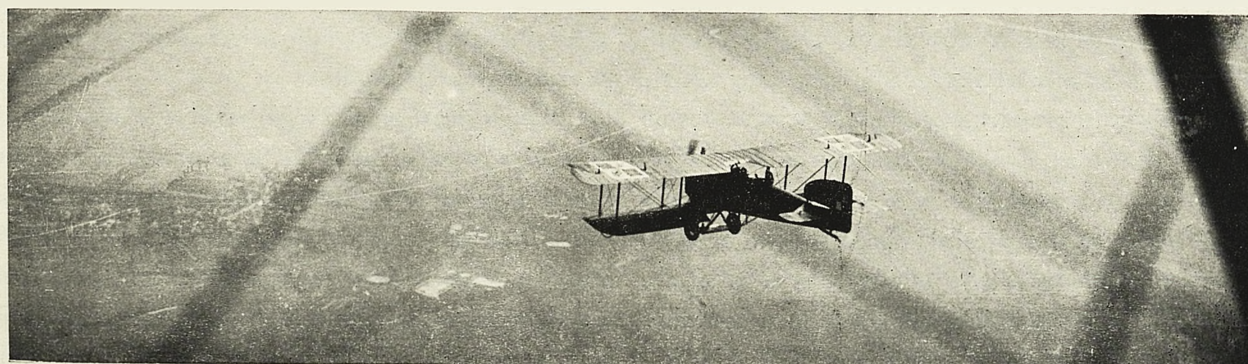
Skonał dawno wiek pary w uścisku fal Hertza,
Drwią głośno z lokomobil zdyszane Junkersy.
Na całym niemal globie rytm jednego [serca —
Od stoków Alp — do śmiesznych drapaczy [New-Jersey!

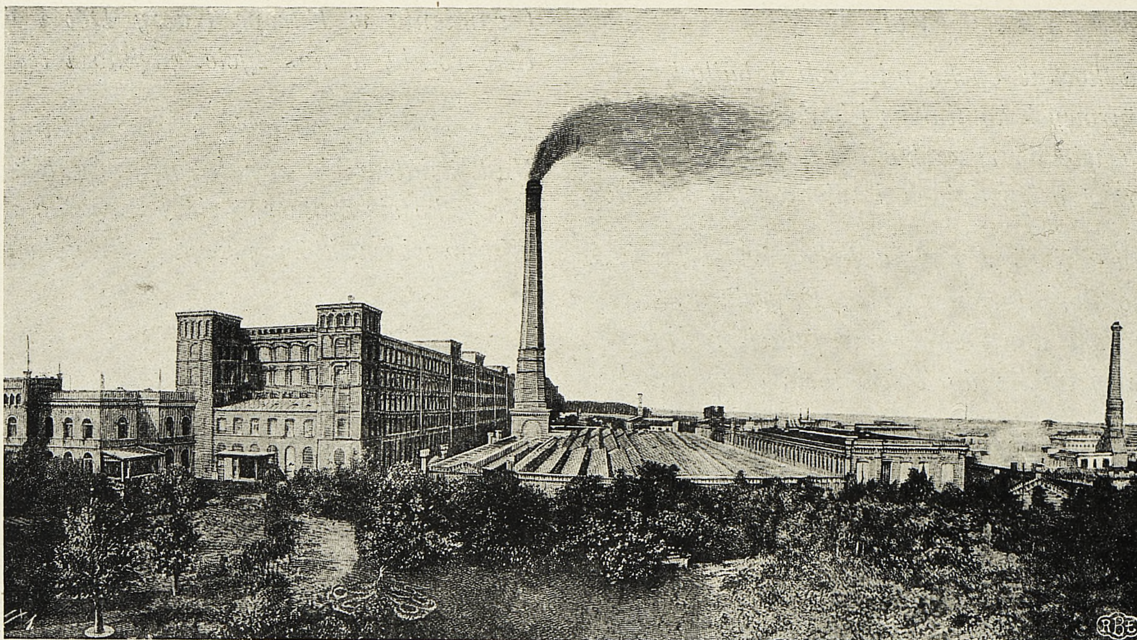
— — — — — — — — — — — —

Jak żółwie nieporadnie pełznące pociągi
Stalowe sieci anten, szepty i szelesty...
Tajnych depesz na niebie żórawiane ciągi
I krzyki syren czasu: —
Jam jest Wiek dwudziesty!

JULJUSZ WIRSKI.

*) *Biały węgiel — siła wodna wytwarzająca prąd elektryczny.*





Ogólny widok zakładów fabrycznych

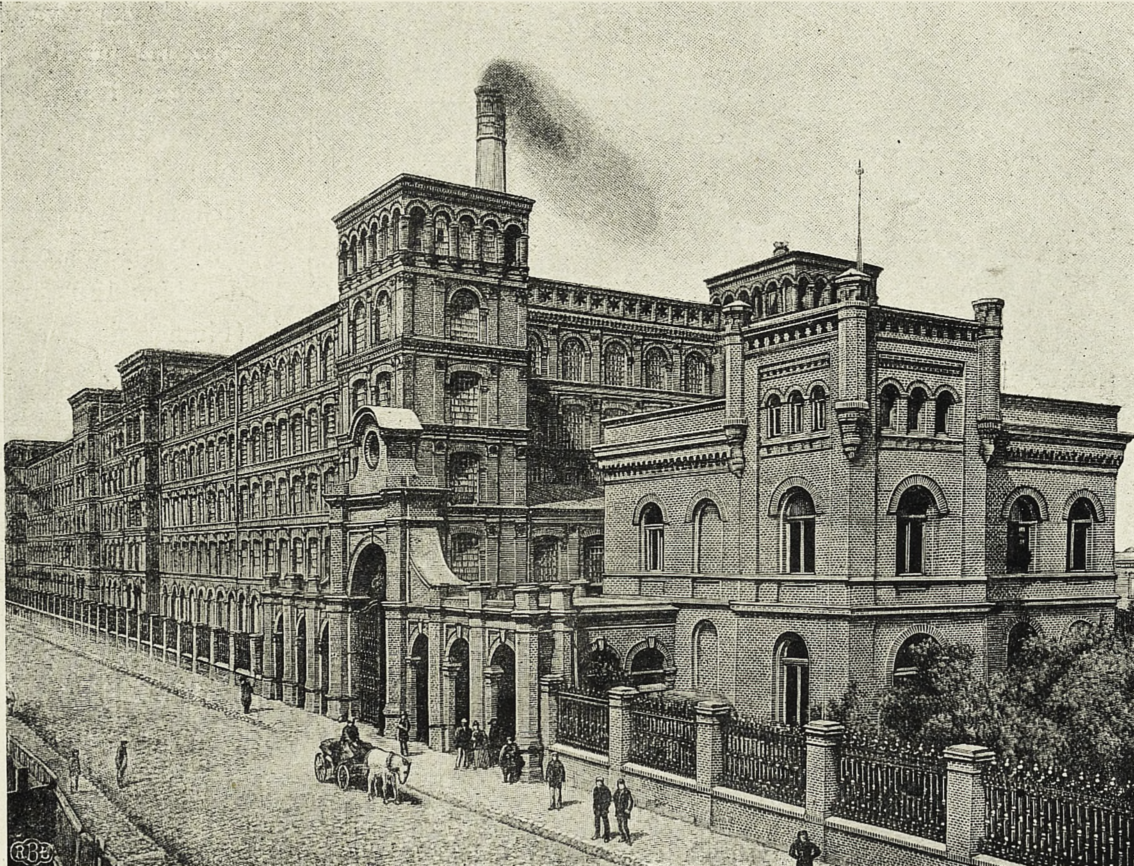
SP. AKC. WYROBÓW BAWEŁNIANYCH I. K. POZNAŃSKIEGO W ŁODZI

Jedną z największych fabryk wyrobów bawełnianych w Polsce jest fabryka Sp. Akc. I. K. Poznańskiego w Łodzi. Fabryka powyższa założona w r. 1872 zajmuje ogromne terytorjum wynoszące 415.000 m² ziemi i obejmuje wszystkie stadjum przeróbki bawełny, a więc od przybywającej surowej bawełny do gotowych artykułów (tkanin) włącznie. Objętość budynków wynosi aż 1.400.000 m³, co wymownie świadczy o rozmiarach fabryki (rys. Nr. 1). Kapitał zakładowy wynosi 10.000.000 rubli złotych, czyli 5.000.000 dolarów.

W fabryce powyższej jest przerabiana bawełna amerykańska, egipska i indyjska, przybywająca wagonami przez Bremę i Tryjest wprost do ogromnych magazynów na terytorjum fabryki po normalnotorowej fabrycznej bocznicy, gdzie bawełna jest rewidowana przez władze celne i gdzie bawełna pozostaje aż do chwili zabierania jej do przędzalni. Imponująco wygląda pięciopiętrowa przędzalnia posiadająca 150.000 wrzecion dla wyrobu przędzy od Nr. 6 do Nr. 40, 25.000 wrzecion dla wyrobu z bawełny egipskiej cienkiej przędzy od Nr. 50 do Nr. 120 włącznie i wreszcie 10.000 wrzecion dla wyrobu przędzy wigonjowej i odpadkowej. Obok gmachu przędzalni stoi drugi gmach, w którym jest rozmieszczona duża motalnia i niciarnia, posiadająca 30.000 wrzecion.

Zwraca na siebie uwagę ta okoliczność, że fabryka I. K. Poznańskiego, zrujnowana w czasie wojny przez Niemców, którzy nietylko zabrali surowiec i gotowe wyroby, lecz także zdemontowali maszyny, zabierając części najcenniejsze, wszystko razem na sumę około 9.000.000 rbl. złot., w krótkim czasie po wojnie została odbudowana, przyczem zostały poczynione większe inwestycje przez sprowadzenie z Anglji znacznej ilości maszyn przędzalniczych tak, że dzisiaj jestto fabryka odpowiadająca najnowszym wymaganiom techniki.

Posuwając się dalej wgłąb fabryki, znajdujemy tkalnię, posiadającą 5000 krosien różnej szerokości i systemów. Imponująco wygląda jedna duża sala tkalni, w której mieści się aż 2000 krosien. Niedaleko od gmachu tkalni położone są dwa duże gmachy, w których znajdują się przygotowawcze oddziały przędzalni i tkalni.

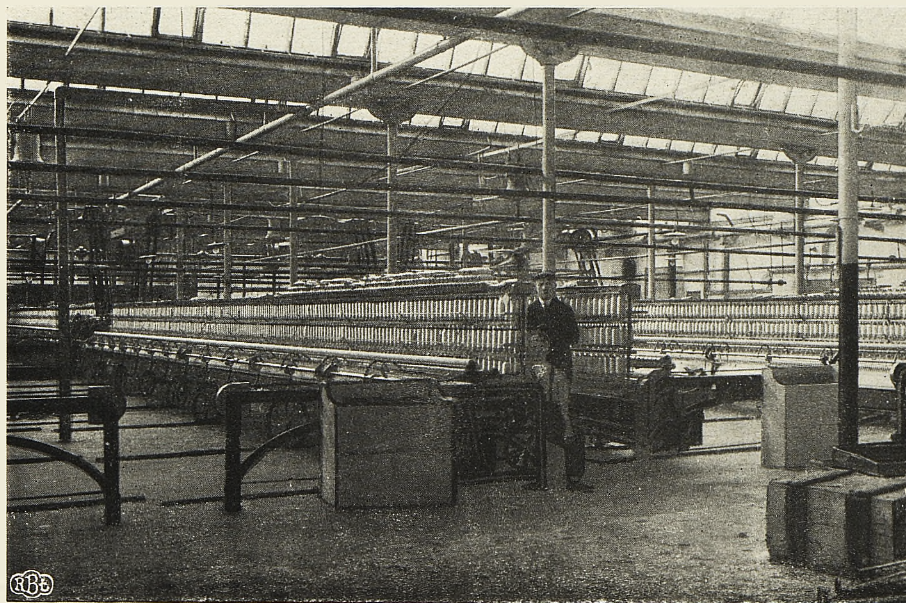


Monumentalna fasada gmachów fabrycznych I. K. Poznańskiego

Dalej zdajdujemy szereg gmachów, w których mieszczą się oddziały wykończalni: farbiarnia przędzy i sztuk towaru, apretura, bielnik, drukarnia, drapalnia, opalarnia, merceryzacja. Każdy z tych oddziałów zajmuje szereg dużych sal i składa się z najbardziej skomplikowanych maszyn. Tak np. w drukarni pracuje 12 maszyn drukarskich, w drapalni pracuje zgórą 100 maszyn, w bielniku znajduje się 8 dużych kotłów, pozatem specjalny oddział wyrabia sztucznie lód dla potrzeb wykończalni.

Cały ten ogrom fabryki posiada napęd elektryczny i parowy, mianowicie turbogenerator o mocy 2400 K. W. i kilka ogromnych maszyn parowych o łącznej sile 6000 H. P. W toku są prace celem całkowitego zelektryfikowania napędu w fabryce drogą ustawienia dwóch nowych dodatkowych turbogeneratorów, jednego o sile 3600 K. W., drugiego o sile 2400 K. W. Wzamian 36 starych kotłów są stawiane nowe kotły o wysokiem ciśnieniu (24 Atm.) przy zastosowaniu opalania pyłem węglowym bez rusztów. Będzie to pierwsza instalacja tego rodzaju w Polsce. Dane powyższe wymownie świadczą jak przemysł tekstylny w Polsce się modernizuje, jak szeroko są zakrojone w fabryce I. K. Poznańskiego w Łodzi roboty inwestycyjne celem potanienia i ulepszenia produkcji.

Na całem olbrzymiem terytorjum fabryki transportowanie jest dokonywane za pomocą sieci normalnych i wąskotorowych linij kolejowych, po których poruszają się własne fabryczne parowozy i wagony normalnotorowe, oraz motory benzynowe wąskotorowe z odpowiedniemi wagonami. Pozatem fabryka posiada kolosalne co do rozmiarów domy mieszkalne dla robotników (z górą 1500 mieszkań), gmach szkolny, szpital na 150 łóżek, wyposażony według najnowszych wymagań, wreszcie jadalnię i teatr dla robotników, oraz własną straż ogniową bogato zaopatrzoną we wszelkie nowoczesne urządzenia nie wyłączając parowych sikawek, niezależnie całe terytorjum i gmachy posiadają znaczną ilość hydrantów i każdy gmach fabryczny

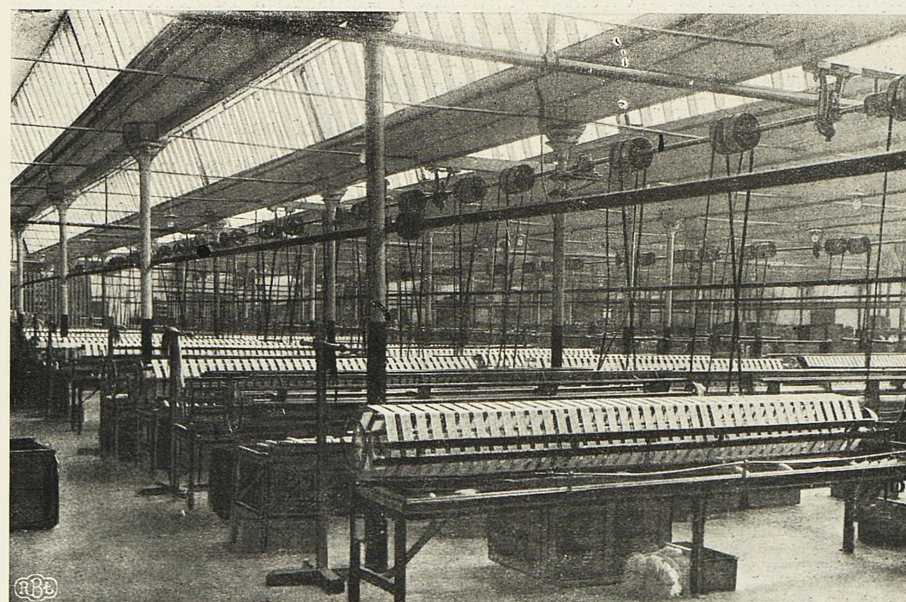


Selfaktory

posiada ponadto springlery, za pomocą których w razie pożaru woda automatycznie zalewa miejsce pożaru. Fabryka zatrudnia 8000 ludzi, licząc zaś skromnie na każdego robotnika jeszcze po dwóch członków rodziny, utrzymujemy, że jedna fabryka karmi z górą 20.000 ludzi, t. j. całe małe miasto. Należy zaznaczyć, że tak dużych kompleksów nie posiada nawet przemysł tekstylny angielski, to też zapoznanie się z tego rodzaju przedsiębiorstwami jest rzeczywiście nawet ciekawe.

Fabryka wyrabia na sprzedaż przędzę pojedyńczą i podwójną w kopsach, w paczkach lub na krzyżowych szpulach tak zwyczajną, jak i trykotażową od Nr. 6 do Nr. 120 włącznie (Numeracja angielska) oraz wszelkiego rodzaju tkaniny białe, kolorowe, farbowane i drukowane. Niżej przytoczone nazwy wyrabiamy w tkalni: szyrtingi, madapolamy, krośniaki, szyfony, nansuki, batysty, popeliny, muśliny, liberty, zefiry, inlety, molinosy, prześcieradła, ręczniki, obrusy, oksfordy, flanele, bojki, flaneletty, kołdry, bukskiny, wszelkiego rodzaju materjały podszewkowe i ubraniowe.

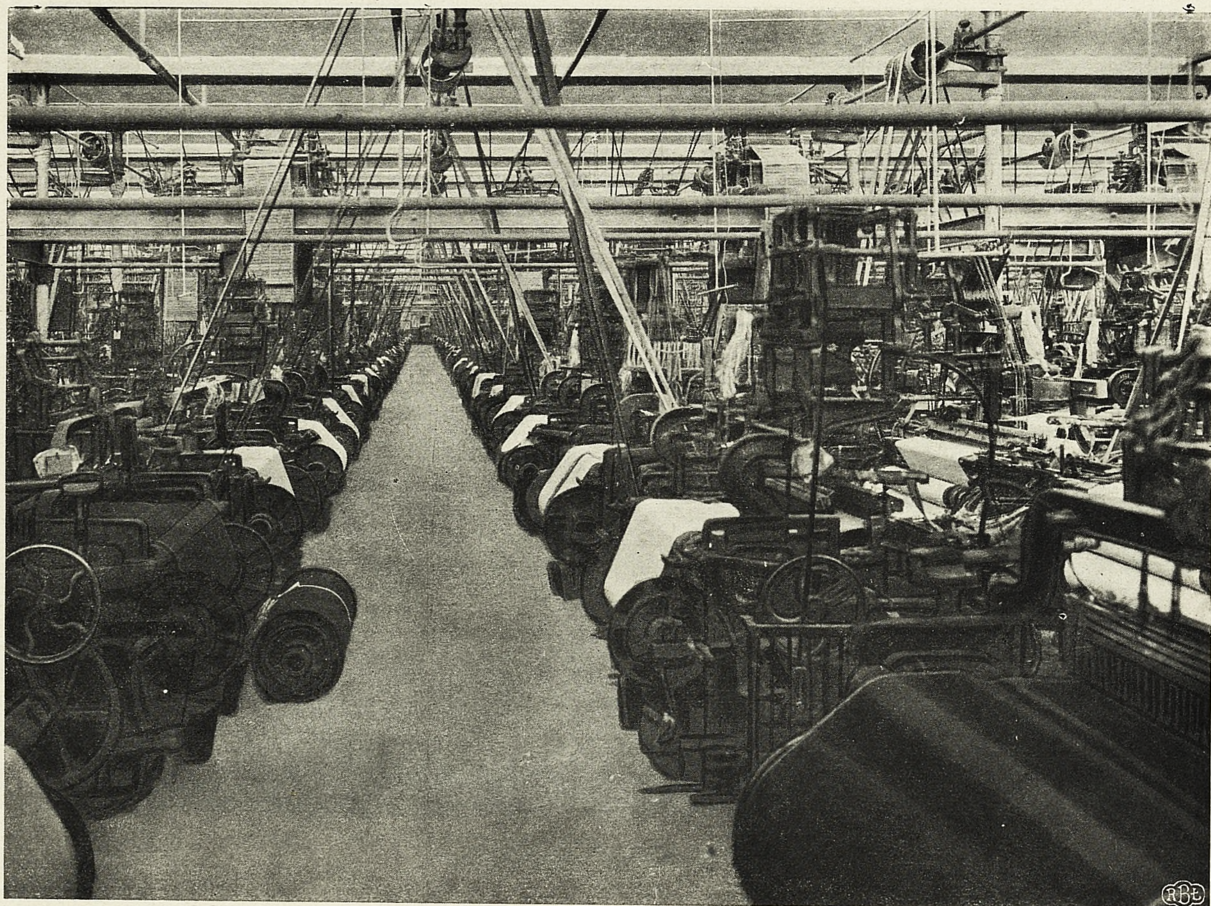
Na specjalną uwagę zasługują wyrabiane w fabryce I. K. Poznańskiego tkaniny wigonjowe i odpadkowe, za które fabryka otrzymała na wystawach szereg złotych medali i które w znacznej ilości są eksportowane do Rosji, Rumunji, Bułgarji, Turcji, Państw bałtyckich, Chin, Ameryki a nawet Anglji. Do powyższych tkanin w pierwszym rzędzie należą: flanele różnego rodzaju, kołdry, chustki, ciepłe bojki, ciepłe podszewki, (angora welwetyn) towary ubraniowe (bukskiny i melanże, khaki).



Motalnia

Tkaniny powyższe pod względem swych ładnych kolorów, deseni i dobroci wyrobu oraz ceny zasługują na szczególne wyróżnienie.

Jak szeroko i daleko znana jest Łódź, tak też i firma Poznańskich jest symbolem przemysłu.



Tkalnia

Drukarnia



Ogólny widok maszynowni

ELEKTROWNIA ŁÓDZKA

Elektrownia łódzka powstała na podstawie koncesji, wydanej w roku 1900 przez ówczesne władze firmie „Siemens i Halske". Firma ta nie zdołała sfinansować koncesji i dopiero w roku 1906 po nabyciu jej przez Towarzystwo Elektrycznego Oświetlenia 1886 r., posiadające również elektrownie w Petersburgu i Moskwie, została uruchomiona tymczasowa elektrownia w gmachu Grand Hotelu i przystąpiono do budowy właściwej elektrowni przy ul. Targowej 1.



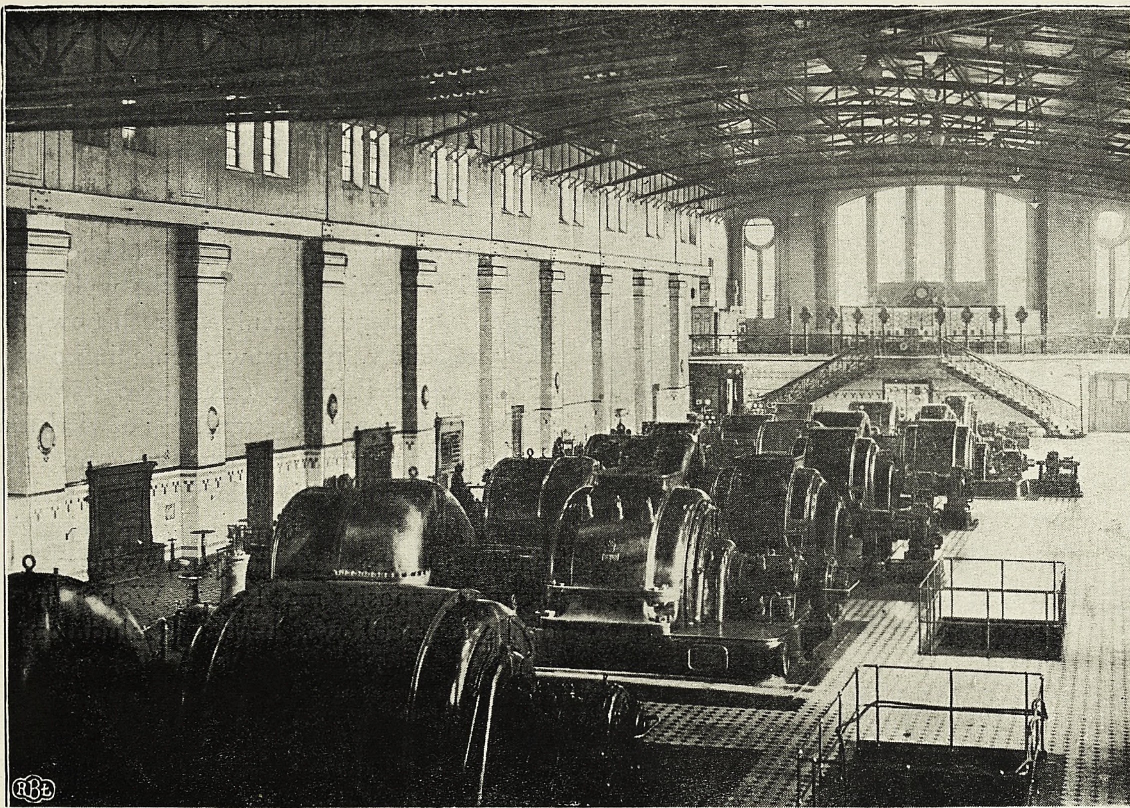
Inż. E. Ulmann, dyrektor

W końcu 1907 roku ustawiono cztery kotły po 315 m. kw. powierzchni ogrzewalnej i dwie pierwsze turboprądnice po 1050 kw. Od tej chwili elektrownia łódzka rozwijała się w prawdziwie amerykańskiem tempie.

W roku 1914 elektrownia posiadała już 15 kotłów parowych, o ogólnej powierzchni ogrzewalnej 5280 m. kw. i 7 turboprądnic o ogólnej mocy 21,100 kw. Odpowiednio do mocy maszyn wzrosła i sieć kablowa.

Podczas wojny Niemcy wywieźli dwie turboprądnice, blisko połowę kabli i zdewastowali rozdzielnię przez zarekwirowanie z niej połowy szyn miedzianych.

Wprowadzenie zarządu państwowego zastało elektrownię w tak zrujnowanym stanie, że nie była ona w możności podołać zapotrzebowaniu energji przez szybko odradzający się przemysł łódzki. Stąd wynikły różne ograniczenia w dostawie prądu, jednakowo przykre dla przemysłu, jak i dla samej elektrowni. Znaczne polepszenie nastąpiło z chwilą, gdy udało się wyrewindykować



Wnętrze maszynowni

w roku 1922 jedną zabraną turboprądnicę i zamiast drugiej zamienną, nieco większej mocy oraz część kabli, jak również zakupić znaczną ilość nowych kabli. Następnie w ciągu lata 1923 uruchomiono trzy nowe kotły po 500 mtr. kw. powierzchni ogrzewalnej i nową turboprądnicę o mocy 6400 kw., przez co doprowadzono ogólną moc elektrowni do 28.900 kw. Również doprowadzono do porządku rozdzielnię i uzupełniono sieć kablową.

Elektrownia oddana została Łódzkiemu Towarzystwu Elektrycznemu sp. akc., które jest spadkobiercą dawnego właściciela Towarzystwa Elektrycznego Oświetlenia z 1886 roku.

Nowy zarząd zajął się wprowadzeniem racjonalnej polityki taryfowej.

Jednocześnie rozpoczęto z wielkim rozmachem roboty inwestycyjne, mające na celu zabezpieczenie ciągłości działania elektrowni. Mianowicie przystąpiono do budowy nowej studni artezyjskiej, która ma stanowić rezerwę dla studni pracującej obecnie bez przerwy od 16 lat. Wybudowano urządzenie wyładunkowe dla węgla, składające się z suwnicy mostowej o rozpiętości 40 m. mostu stałego długości przeszło 200 m., krążących po nich dwóch wiszących wózków czerpakowych i łamacza węglowego, dzięki czemu stało się możliwe gromadzenie na placu większych zapasów węgla, przyczem wielkość węgla nie odgrywa roli, gdyż zbyt duże bryły mogą być potłuczone w łamaczu do wielkości, nadającej się do użytku elektrowni. Jednocześnie również przebudowano odpowiednio bocznicę kolejową.

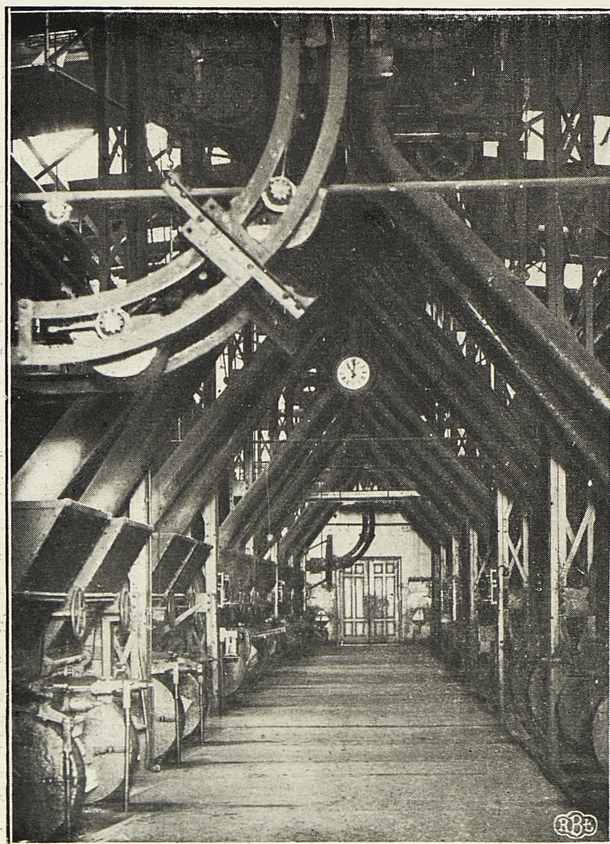
Jeszcze w czasie prowadzenia tych robót rozpoczęto przygotowania do powiększenia mocy elektrowni, by zabezpieczyć miastu dostawę wszelkiej potrzebnej ilości energji elektrycznej.

Ustalono pewien program budowy na kilka lat, ale, gdy przystąpiono jesienią 1926 roku do wykonywania ostatecznych projektów, okazało się na podstawie posiadanego już obciążenia i zgłoszeń nowych abonentów, że pierwotny program rozbudowy trzeba jeszcze rozszerzyć i przyśpieszyć o jeden rok. To co miało być wykonane w roku 1928, musiało być wykonane jesienią 1927 roku. Niektóre z tych robót trzeba było wobec tego rozpocząć już w grudniu 1926 roku, jak naprzykład przebudowę jednego ze starych gmachów fabrycznych na laboratorjum i warsztaty licznikowe, skład i stację próbną dla transformatorów i t. p.

Najważniejszemi punktami programu, ułożonego na rok 1927, (który został wykonany w całości) było ustawienie dwóch wielkich kotłów o powierzchni ogrzewalnej po 1050 m. kw.



Początek budowy nowej kotłowni



Stara kotłownia elektrowni

i prężności 35 atmosfer, które są największymi z dotychczas ustawionych w Polsce, oraz ustawienie również największej obecnie w Polsce turboprądnicy o mocy 20,000 kw. na miejsce dwóch najstarszych turbin na 1000 i 2000 kw. Po ustawieniu tej maszyny elektrownia łódzka ze swoją mocą 45,800 kw. jest znów największą po Chorzowie elektrownią w Polsce.

Z inwestycji zewnętrznych wykonuje się w dalszym ciągu ułożenie czterech nowych zasilaczy na 3000 v., przeprowadzenie linij o napięciu 35,000 v. do Pabjanic (częściowo kablem, częściowo linjami napowietrznemi) i oświetlenie ulic.

Według uprawnienia rządowego nr. 12 winna elektrownia corocznie założyć własnym kosztem około 100 lamp ulicznych w jednej dzielnicy miasta. Ogólna ilość lamp nowych poza istniejącemi, wynosić ma 1500. Wobec tego podzielono środkową, bardziej zaludnioną część miasta na 15 dzielnic, które kolejno, według ustalonego przez magistrat porządku mają być oświetlane. Lampy o mocy 500 v. zawieszane są nad środkiem jezdni na wysokości 9 m. w odstępach około 50 metr.

Połowa lamp ma palić się całą noc, a druga połowa do północy. W tym celu urządzona będzie osobna podwójna sieć kablowa i lampy kolejno przyłączane będą do sieci światła całonocnego, względnie północnego. Zapalanie i gaszenie lamp odbywać się będzie wprost z elektrowni.

W pierwszych dniach października r. ub. uruchomiono oświetlenie pierwszej dzielnicy, obejmującej ulice, łączące środek miasta z dworcem Kaliskim, a pozatem wykonano w r. 1927 część oświetlenia, objętego programem lat przyszłych. Mianowicie, oświetlono dalszą część ulicy Piotrkowskiej, od Głównej do Placu Reymonta i częściowo oświetlono ulicę Ogrodową, zaś kończą się obecnie prace nad instalacją na ulicy Zachodniej, tak że w najbliższym czasie dojazd do województwa będzie dostatecznie oświetlony. Ogółem uruchomiono w 1927 roku 138 lamp po 500 v.

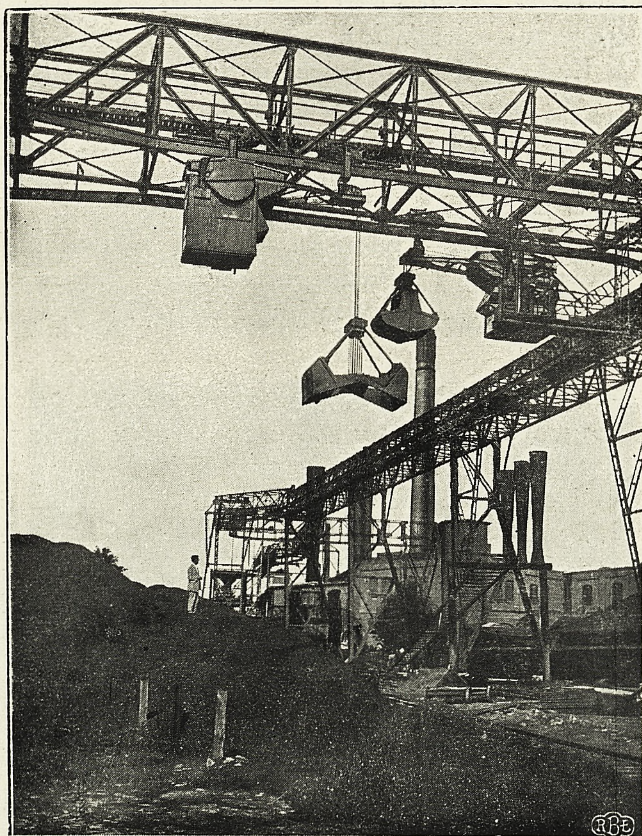
Poza oświetleniem środka miasta zwrócono również uwagę na oświetlenie jego krańców. Na zasadzie specjalnej umowy z magistratem ma być corocznie oświetlone 10 klm. ulic przedmieść przy pomocy 100-watowych lamp z odpowiedniemi reflektorami, umocowanemi na wysokości 5 metr. w odstępach około 50 mtr. Na tej zasadzie oświetlono w roku ubiegłym ulice: Zgierską, Aleksandrowską, Łagiewnicką, Pabjanicką, Rokicińską, Kunitzera, Płocką, Ciasną i Marysińską. Są to przeważnie ulice łączące



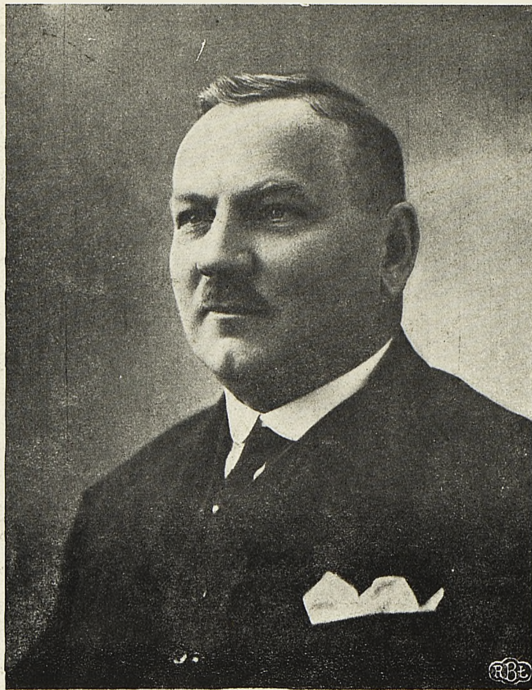
Kolejka wisząca do przewozu węgla

szosy dojazdowe ze środkiem miasta. Długość oświetlonych ulic krańcowych doszła w roku ub. nawet do 13 klm., a więc przekroczyła ilość objętą umową. W bieżącym zaś roku ma być norma ta doprowadzona nawet do 16 klm. Ponieważ długość oświetlonych ulic śródmieścia wynosi przeszło 8 klm. przeto ogólna długość oświetlonych ulic w ub. roku na zasadzie uprawnienia i dodatkowej umowy z magistratem wyniosła przeszło 21 klm.

Wreszcie okolice Łodzi, poważnie uprzemysłowione, pozbawione są dotychczas należytego zaopatrzenia w energję elektryczną. Oczywiście budowa oddzielnych elektrowni w poszczególnych miastach i osadach byłaby nieracjonalna pod względem wydatku kapitału oraz kosztów wytwarzania, wobec czego najbardziej wskazane jest pobieranie energji z elektrowni łódzkiej, posiadającej turbogeneratory dużej mocy, i jak już wyżej wskazaliśmy urządzonej iście po amerykańsku, co daje dostateczną rękojmię, że energja z tego źródła kalkulować się może znacznie korzystniej. Pierwszy krok w kierunku przyłączenia do elektrowni łódzkiej sąsiednich miast został już dokonany przez przyłączenie sieci urządzonej w m. Pabjanicach. Należy się spodziewać, że inne ośrodki sąsiednie pójdą za tym przykładem. Elektrownia łódzka ma wszelkie widoki na dalszy rozwój i znaczne zwiększenie swej działalności na terenie tutejszym.



Czerpak kolejki wiszącej po wysypaniu węgla



Emil Eisert



Ludwik Schweikert

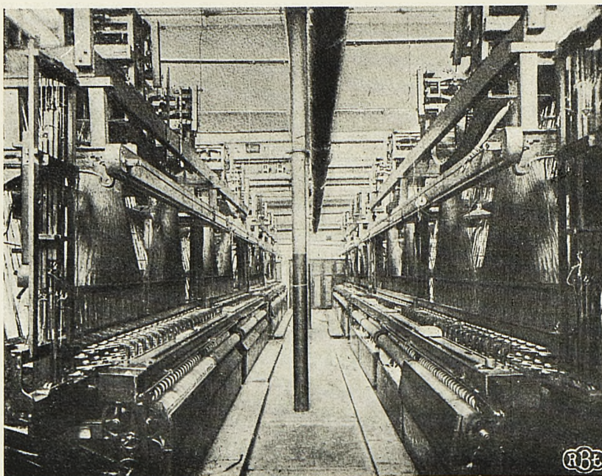
EMIL EISERT i SCHWEIKERT

SPÓŁKA AKCYJNA

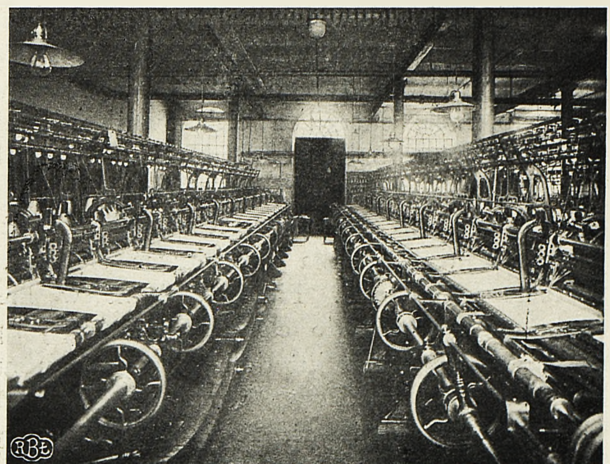
Założona w roku 1880 fabryka koronek i wstą≠żek, obecnie istniejąca pod firmą: Fabryka koronek i wstążek „Emil Eisert i Schweikert", Sp. Akc., pierwotnie należała do przemysłowca i poprzednika p. Rudolfa Kellera, który też był założycielem.

W końcu 1906 roku została nabyta przez firmę Emil Eisert i S≠ka (wł. Emil Eisert i Lud≠wik Schweikert) i w marcu 1922 r. przemiano≠wana na Spółkę Akcyjną pod obecną firmą.

Od samego początku fabryka wytwarzała tasiemki, taśmy wełniane, bawełniane i gumowe, koronki i t. p. odrazu zyskując niezwykłe powo≠dzenie, ponieważ ta gałąź przemysłu była jeszcze w Kraju niemal zupełnie nierozwinięta i niewy≠korzystana. Pomyślne warunki, odpowiednia chwila i sprężysta rzutkość, i pomysłowa energja nowonabywców, pozwoliła, odrazu z pierwszej chwili podjętych prób, rozwinąć akcję, opanować nowe rynki zbytu a zwłaszcza rozbudować i roz≠szerzyć fabrykę, stawiając ją równocześnie na pierwszorzędnym stopniu ulepszeń technicznych. Sprowadzeniem nowych maszyn, które stopnio≠wo zastąpiły dawniejsze, precyzyjnością wyrobów, jak wogóle całą organizacją w zmodernizowaniu



Krosna wstążkowe w jednej z głównych sal fabryki



Maszyny pończosznicze najnowszego typu „Cotton"

pracy, oraz zastosowaniu wyrobów do wymogów i potrzeb chwili, firma w krótkim czasie pozyskała rynki zbytu w całym kraju a po części i zagranicą, przeważnie wysyłając swe wyroby do Rumunji i Gdańska.

Jak to zaznaczyliśmy już na wstępie, fabryka wyrobów wyżej wspomnianej branży jest na terenie Łodzi jedną z fabryk najstarszych i równocześnie największą. To też już przed wojną miała w miarodajnych sferach przemysłowych wyrobioną i ustaloną opinję.

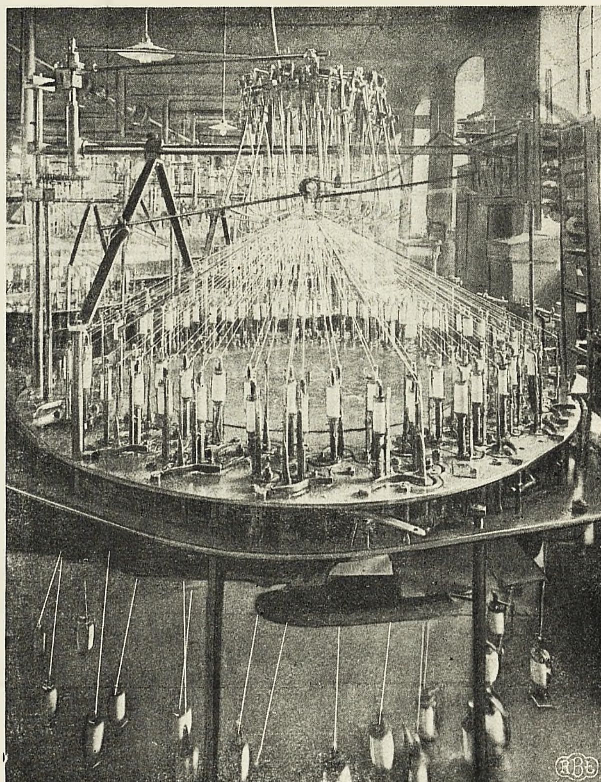
Gmach fabryki w licznych widnych i obszernych salach mieści oddziały: koronkarski, tasiemkowy, tkalnię wstążek i tasiem bawełnianych i wełnianych, tkalnię tasiem gumowych i t. d. Pozatem fabryka rozporządza i posiada własne: farbiarnię, wykończalnię, bielnik, glancernię, stolarnię, ślusarnię i t. p.

Ilość zatrudnionych robotników wynosi obecnie przeszło 700 wykwalifikowanych pracowników, nie licząc sił pomocniczych.

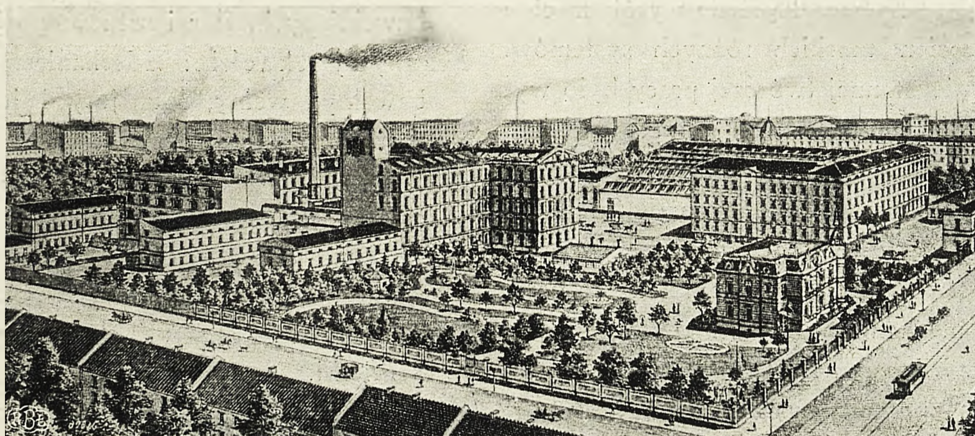
Sprowadzony kompleks maszyn obejmuje narazie tytułem próby 3 zespoły (Sätze) maszyn pończoszniczych po 4 maszyny — razem dwanaście, oraz 25 maszyn również najnowszej konstrukcji do wyrobu skarpetek i 27 maszyn pomocniczych.

Od pierwszej chwili puszczenia w ruch nowo otworzonego oddziału, datuje się też powodzenie zupełne tej szczęśliwie pomyślanej próby. Pończochy i skarpetki są wyborowego gatunku, wykończone bez zarzutu i ceną biją tego rodzaju artykuły na rynku łódzkim bezkonkurencyjnie i co nadto zastępują w zupełności wyroby zagraniczne.

Zestawienie maszyn daje niejakie pojęcie dokonywanej pracy, i tak oprócz wyżej wymienionych maszyn pończoszniczych sale mieszczą około 2000 sztuk maszyn tasiemkowo-koronkarskich, około 100 krosien wstążkowych, 330 maszyn pomocniczych, 34 silników elektrycznych, że nie mówi się już o transformatorach, kotłach, filtrach i t. p. Siła nośna silników elektrycznych z parową maszyną wynoszą razem 350 KM. Fabryka zaopatrzona w najnowsze urządzenia.


Maszyna koronkarska

Prezesem Zarządu i Dyrektorem zarządzającym jest p. Emil Eisert, Dyrektorem zarządzającym i Członkiem Zarządu — p. Jerzy Schweikert. Oprócz tego należą do Zarządu pp. Dr. Kurt Schweikert, Ludwik Schweikert, Adolf Daube oraz Leon Albrecht. Prokurę mają pp. W. Leege, J. Neumann i A. Schubert.





Ogólny widok fabryki i odlewni

„BRACIA LANGE"

FABRYKA MASZYN i ODLEWNIA ŻELAZA, SP. AKC., ŁÓDŹ

Rok założenia 1844. Najstarsza i największa fabryka maszyn włókienniczych w Polsce, rozpoczęła swoją twórczość od wyrobu przyborów tkackich. Od roku 1870-go począwszy, rozszerzając zakres działania, przedsiębiorstwo przeszło z budowy maszyn drewnianych dla tkactwa ręcznego do wykonania maszyn nicielnicowych i żakardowych dla tkactwa mechanicznego, następnie cewiarek i snowarek. Znaczny krok naprzód uczyniono w 1899-ym roku, rozpoczynając zakrojony na szeroką skalę wyrób mechanicznych krosien tkackich różnych systemów. Rezultatem nieustannej twórczej pracy było wybudowanie własnej odlewni i założenie działu wyrobu obrabiarek metali. Nakoniec podjęcie budowy dużych maszyn — krochmalarek (klejarek) było ostatnim ogniwem rozwoju, umożliwiające przedsiębiorstwu dostarczenie kompletnych urządzeń tkalni mechanicznych i oddziałów przygotowawczych. W marcu 1928 r. przedsiębiorstwo, powiększając znacznie swą wytwórczość, utworzyło Spółkę Akcyjną pod firmą „Bracia Lange" Fabryka Maszyn i Odlewnia Żelaza, Sp. Akc., Łódź, zyskując sobie nowe, znacznie szersze pola pracy.

FABRYKA WYRABIA:

Maszyny przygotowawcze: Cewiarki osnowowe. Krzyżówki bębnowe. Cewiarki wątkowe. Bardzo wydajne maszyny snowadlane. Snowarki konusowe. Maszyny krochmalne rozmaitych systemów. Pozatem: cewiarki dla wyrobów dzianych, wełnianych, bawełnianych, flor i sztucznego jedwabiu.

Maszyny tkackie: Mechaniczne krosna dla bawełny, wełny, lnu, juty i jedwabiu, — różnych systemów.

Maszyny pomocnicze: Maszynki nicielnicowe. Maszyny żakardowe różnych konstrukcji. Maszyny do wybijania, kopjowania i wiązania kart deseniowych i t. d.

Obrabiarki metali: Tokarki — Gryzarki — Szlifierki.

Piece do hartowania i odżarzania wraz z wentylatorami.



Prezydjum

TOWARZYSTWO KREDYTOWE MIASTA ŁODZI

Pięćdziesiąt pięć lat istnienia ma już poza sobą Towarzystwo Kredytowe miasta Łodzi, powołane wyłącznie do udzielania kredytu długoterminowego, hipotecznego w listach zastawnych, na nieruchomości łódzkie.

Od momentu swego powstania, w roku 1872, aż do wybuchu wojny światowej Towarzystwo oddawało obywatelstwu miejscowemu kapitalną pomoc, w kierunku łatwego i taniego kredytu, przy wznoszeniu nowych budowli, a miastu — cenne usługi pod względem zewnętrznego uporządkowania domów.

Niezmiernie trudna do wcielenia w życie, na ówczesne czasy, idea Towarzystwa Kredytowego Łódzkiego należy bezspornie do ś. p. Andrzeja Rosickiego, b. prezydenta miasta, złożonego z urzędu przez władze rosyjskie, w czasie powstania styczniowego, a następnie długoletniego, aż do roku 1904-go, dyrektora Towarzystwa.

Pierwszym prezesem Dyrekcji był ś. p. Karol Scheibler, następnymi zaś prezesami z kolei byli nieżyjący już Ludwik Grohmann, Edward Herbst i Juljusz Heinzel, a następnie — pozostający obecnie na stanowisku członek zarządu zjednoczonych zakładów Scheiblera i Grohmana — p. Leon Grohman. Po złożeniu mandatu przez tego ostatniego, obrany został przez obywateli p. Gustaw Klukow, pozostający obecnie na tem



Leon Gajewicz, dyrektor



Sala zebrań

stanowisku. Drugim z kolei dyrektorem Biura Towarzystwa, od początku istnienia Towarzystwa jest zajmujący obecnie to stanowisko niżej podpisany — Leon Gajewicz, prawnik z wykształcenia *).

Oparta na czystej wzajemności instytucja Towarzystwa Kredytowego nie wymagała przy swem założeniu żadnych prawie funduszów, ani specjalnych kapitałów, rozwinęła się przecież własnemi siłami, w imponujący sposób. Dość powiedzieć, że przy zastosowaniu Rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej o przerachowaniu zobowiązań prywatno prawnych z dnia 14 maja 1924 r. suma pożyczek Towarzystwa, podlegających przerachowaniu wynosiła Rub. 137.889.100.

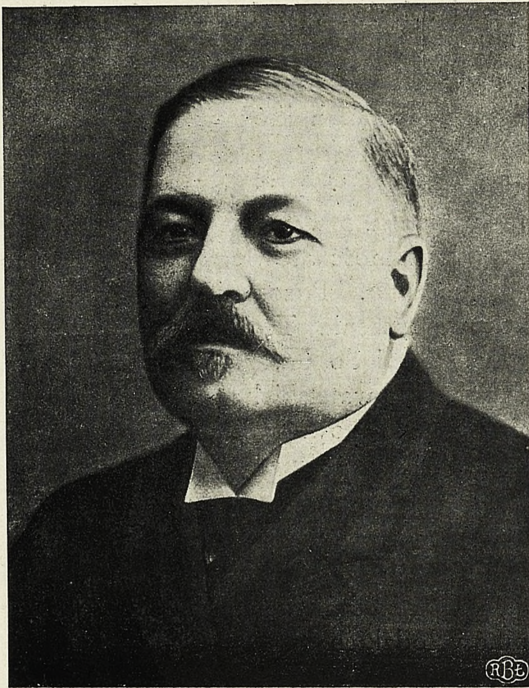
Kapitał zasobowy instytucji, którego częścią jest posiadany dom przy ul. Pomorskiej, wynosił przed wojną cztery miljony rubli. Dom zbudowany został wedle planów budowniczego Hilarego Majewskiego i zajęty był na potrzeby Towarzystwa w r. 1881.

Wojna światowa szczególnie ujemnie odbiła się na naszych Towarzystwach Kredytowych, operujących wyłącznie listami zastawnemi. Papiery te, przedstawiające przed wojną uprzywilejowaną lokatę oszczędności, wskutek drogości pieniądza, umiarkowanych odsetek, jakie one odrzucają i ogólnego zubożenia, utraciły dużo na swej powadze i pokupności.

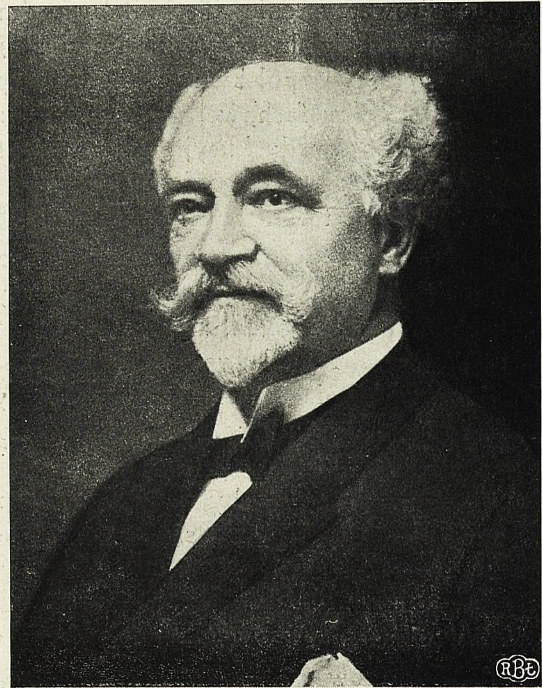
Cóżkolwiekbądź, kursy listów zastawnych znamiennie podnoszą się, chwila zatem, kiedy papiery odegrają swoją rolę w palącej kwestji rozbudowy miast, zdaje się być niedaleką. Dotychczasowe bowiem środki, inicjowane przez Rząd i zmierzające ku rozbudowie miast, nie wyszły, niestety, poza granice najlepszych chęci i paljatyw.

Leon Gajewicz.

*) Autor kilku prac, ogłoszonych drukiem z dziedziny kredytu długoterminowego.



Ś. p. inż. Józef Witkowski
pierwszy Prezes Stow. Techn. w Łodzi



Inż. Edward Wagner
obecny Prezes Stow. Techn. w Łodzi

STOWARZYSZENIE TECHNIKÓW

Ważną rolę w życiu kulturalnem Łodzi odgrywa miejscowe Stowarzyszenie Techników.

Równorzędnie ze wzrostem Łodzi, jako miasta wybitnie fabrycznego, wzmaga się oczywiście również liczba inżynierów i techników zatrudnionych w przemyśle łódzkim. Potrzeba zrzeszenia się narzucała się sama przez się.

Niestety, za czasów okupacji rosyjskiej nie było to rzeczą łatwą. Dopiero pod przykrywką Tow. popierania rosyjskiego przemysłu i handlu, centrala którego znajdowała się w Petersburgu, przy łódzkim oddziale tego Towarzystwa za prezesury znanego z zacności swego charakteru i wysokiej kultury społecznej, przemysłowca ś. p. Juljusza Kunitzera, utworzono w r. 1890 Sekcję Techniczną.

Sekcja Techniczna odrazu skupiła w swem gronie co najlepsze i najwięcej uspołecznione siły inżynierów łódzkich, że wymienimy chociażby kolejnych prezesów, jak inż. Jana Arkuszewskiego, St. Kossutha, J. Witkowskiego, następnie St. Lisieckiego, i wielu innych zaszczytnie zasłużonych na polu techniki i w działalności społecznej. Szereg odczytów fachowych ściągał do małej salki przy ul. Dzielnej 31 zawsze większe grono inżynierów, którzy podczas swobodnej przyjacielskiej pogawędki po odczycie poruszali niejedną myśl zacną i szczerze obywatelską, w przyszłości — pomimo argusowych oczu policyjnych władz rosyjskich — urzeczywistnioną.

Liczba członków Sekcji Technicznej nie sięgała 100, dopiero czasy rewolucji 1905 roku i lata porewolucyjne ściągnęły do szeregów Sekcji większą ilość inżynierów, szczególniej młodszych. Wówczas to ujawniła się potrzeba stworzenia organizacji więcej samodzielnej, przy której rozwinąćby się mogło i życie klubowe. Liberalniejsze nieco prądy ówczesnych rządów rosyjskich zamierzeniom tym dopomogły.

W roku 1908 gubernator piotrkowski zatwierdził ustawę Stowarzyszenia Techników w Łodzi, jako założyciele figurowali inż. Stanisław Bielicki, Leon Koźmiński i Stanisław Nakielski.

Pierwsze zebranie organizacyjne nowego Stowarzyszenia odbyło się 2 marca 1909 r., podczas którego na prezesa wybrano inż. Józefa Witkowskiego, dyrektora tramwai miejskich, ostatniego prezesa Sekcji Technicznej.

Sekcja Techniczna fikcyjnie dla zabezpieczenia się w razie rozwiązania nowego Stowarzyszenia — istniała jeszcze przeszło rok i zlikwidowaną została dopiero w r. 1910.

Młode Stowarzyszenie Techników odrazu rozwinęło żywą działalność w kierunku zorganizowania techników polskich w Łodzi i pogłębienia ich wiedzy fachowej przez urządzanie odczytów, wieczorów dyskusyjnych, utworzenie bogatej bibljoteki, przez zorganizowanie wreszcie licznych wycieczek technicznych.

Obok tego zaś w obszernym lokalu przy ul. Piotrkowskiej 262, urządzonym wspólnym wysiłkiem Stowarzyszonych, silnie zapulsowało życie towarzyskie i klubowe. Rychło też siedziba Stowarzyszenia stała się prawdziwym ośrodkiem życia kulturalnego szerokiego odłamu inteligencji polskiej w Łodzi, tembardziej, że w zrozumieniu potrzeby, wprowadzono w Stowarzyszeniu kategorję członków współdziałających — nie techników, — na których poczęli się coraz gromadniej zapisywać polscy lekarze, adwokaci, handlowcy i t. p.

Liczba członków poczęła szybko wzrastać: ze 150 w r. 1909 powiększyła się do 265 w roku 1913.

W roku 1912 ustąpił z prezesury z przyczyny obłożnej choroby zasłużony współzałożyciel Stowarzyszenia i pierwszy prezes inżynier Witkowski, na miejsce jego wybrany został inż. Edward Wagner, dyrektor fabryki Scheiblera, który godność tę zaszczytnie piastuje po dziś dzień.

Siedzibę Stowarzyszenia w r. 1911 przeniesiono do obszerniejszego lokalu przy ul. Spacerowej 21. Rozwój Stowarzyszenia trwał nieprzerwanie.

Nastał rok 1914, wybuch wojny światowej i wielki przełom w dziejach b. Kongresówki, co oczywiście odbiło się również na życiu Stowarzyszenia Techników w Łodzi.

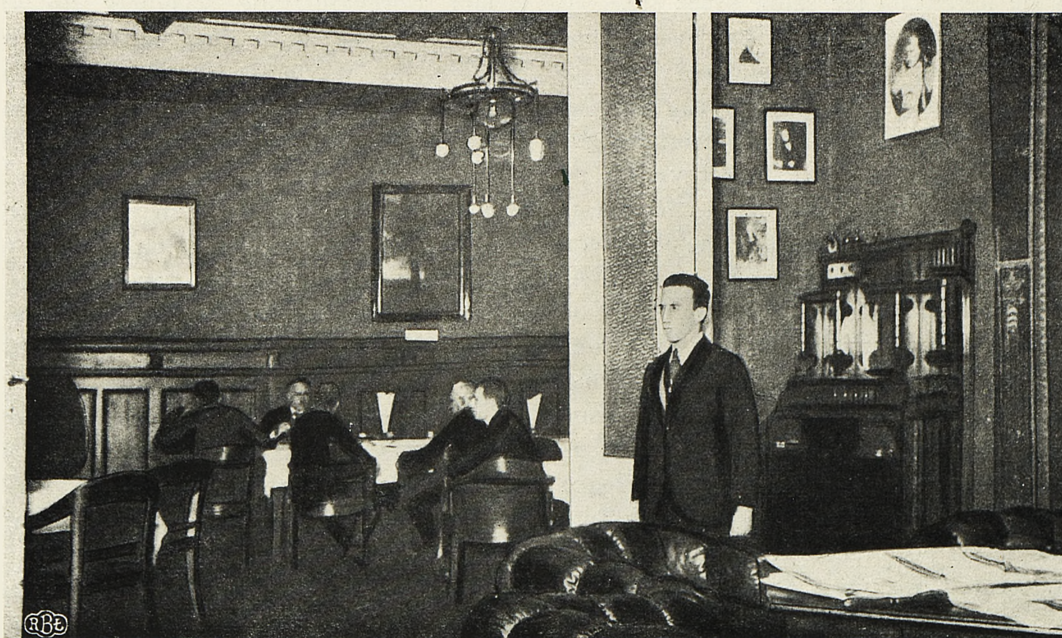
W Łodzi pozostało zaledwie około 100 członków, pod wpływem ogólnego przygnębienia uchwałą z d. 5 września 1914 r. zawieszono wszelką działalność Stowarzyszenia. Trwało to jednak niedługo. Pozostali w Łodzi członkowie Stowarzyszenia Techników, wszyscy bez wyjątku, stanęli do pracy w różnorodnych organizacjach obywatelskich, a obok tego zaś i na terenie samego Stowarzyszenia rychło wszczęto wielką akcję samopomocy dla członków i pomocy dla szerokich warstw robotniczych.

Powszechne wówczas hasło „Przetrwać" przez nikogo może nie zostało podjęte z takim zapałem i zrozumieniem, jak właśnie przez techników łódzkich.

20 października 1914 roku postanowiono działalność Stowarzyszenia wznowić.

Pod egidą i przy Stowarzyszeniu Techników dzięki energji i ofiarnej ich pracy powstają kolejno: tania kuchnia robotnicza, w której wydano przeszło 2 miljony obiadów 3 kopiejkowych, tania piekarnia, która wypiekła około 1 miljona funtów chleba, następnie wymienić należy — tanie herbaciarnie, I-sze kąpiele ludowe w Łodzi, stołownię dla inteligencji, wreszcie kasę zapomogowo-pożyczkową dla członków Stowarzyszenia.

Instytucje powyższe, o których śmiało można powiedzieć, iż dobrze się zasłużyły, uległy



Stołownia



Czytelnia

likwidacji w roku 1917 i 1918, kiedy ogólne warunki w kraju poczęły czynić je już zbędnemi.

Zaznaczyć należy, że w r. 1915, ze względów oszczędnościowych, przeniesiono siedzibę Stowarzyszenia do znacznie skromniejszego lokalu przy ul. Andrzeja 3.

Obok działalności filantropijnej w latach okupacji niemieckiej, a szczególnie ku końcowi jej, nie zaniedbano również i pracy na polu zawodowem: — od czasu do czasu organizowano odczyty, utworzono bardzo pożyteczną sekcję uruchomienia przemysłu, sekcję rzemieślniczą, biuro porad technicznych i inne. Wydano broszurę o uruchomieniu fabryk.

Pierwsze lata niepodległości wytworzyły warunki normalniejszego rozwoju Stowarzyszenia. Liczba członków w r. 1920 wzrasta już do 250. Jednak lato 1920 roku znowu życie Stowarzyszenia dezorganizuje: wyrywa do szeregów co młodszych członków Stowarzyszenia, starszych absorbuje na miejscu w pracy dla armji. Rok pełen chwały i ofiarności nie mógł Stowarzyszenia Techników pozostawić na uboczu. I dopiero w roku 1921 powracają do pracy na polu przemysłu rozproszeni pracownicy, przypuszczać należy, już na stałe.

Rozwój Stowarzyszenia wchodzi na tory normalne: — ilość członków stale wzrasta (w r. 1926 — 330 czł.), odczyty fachowe, ekonomiczne czy społeczne, co piątek zbierają licznych słuchaczy, bogata bibljoteka fachowa i beletrystyczna, obficie zaopatrzona czytelnia pism fachowych i codziennych — są zawsze na usługi członków.

Tworzy się pomoc dla pozbawionych pracy, fundusz zapomogowy na wypadek śmierci. Stowarzyszenie Techników oprócz tego na zewnątrz podejmuje inicjatywę w wielu sprawach społecznych, czy zawodowych, przyjmuje udział bezpośrednio, czy przez swych delegatów we wszystkich poczynaniach obywatelskich — wszędzie stara się nie tylko być, ale również pracować.

Piękny lokal przy ul. Piotrkowskiej 102, który Stowarzyszenie zajmuje od 1924 roku, dostatnio i wygodnie urządzony, z wielką salą i szeregiem pokoi klubowych, co wieczór zapełnia się większem gronem osób nie tylko z pośród techników, ale wogóle inteligencji polskiej Łodzi.

Swobodna pogawędka, radjo, bilard, czytelnia pism, dobry bufet, szachy, czy gra w karty wypełniają i umilają czas spędzony w lokalu Stowarzyszenia.

Atmosfera koleżeńskości i duch prawdziwie obywatelski — stale panują w Stowarzyszeniu Techników, stwarzając zeń placówkę dziś już nieodzowną w życiu społecznem Łodzi.



H. Miklaszewska



Ćwiczenia gimnastyczne

GIMNAZJUM ŻEŃSKIE
HELENY MIKLASZEWSKIEJ

Obecne 8=mio kl. Gimnazjum Żeńskie Heleny Miklaszewskiej powstało z 7=mio kl. Zakładu Naukowego Żeńskiego Zofji Piaskowskiej w Łodzi. Zakład ten o 4=ech klasach, liczący 84 uczenice, nabyła i objęła P. Helena Miklaszewska we wrześniu 1911 r. Do roku szk. 1914/15 istniało 7 oddziałów, obejmujących 3 klasy wstępne i 4 klasy szkoły średniej. W roku 1914/15 przeniesiono gimnazjum do nowego frontowego gmachu przy ulicy Sienkiewicza 61, gdzie dotąd mieści się na trzech piętrach wraz z pensjonatem dla kilkunastu uczenic zamiejscowych.



Trzy gwiazdy

W nowym lokalu otwarto w roku szk. 1914/15 klasę piątą. Od tego roku Zakład zyskał charakter szkoły wyłącznie chrześcijańskiej. Liczba uczenic i klas zwiększała się z roku na rok.

Ilość uczenic wzrasta w dalszym ciągu, przekraczając 500 i na wysokości tej utrzymuje się przez kilka lat. W okresie kryzysu ekonomicznego państwa liczba ta spada o 20%; w roku szk. 1926/27 uczęszcza do gimnazjum łącznie z trzema klasami wstępnemi 400 uczenic w 11 oddziałach.

W roku szk. 1919/20, z chwilą wprowadzenia klasyfikacji szkół średnich ogólno=kształcących przez Ministerstwo W. R. i O. P., gimnazjum zostało zaliczone do szkół, posiadających pełne prawa gimnazjum państwowego (kategorja A), a w roku 1924 otrzymało gimnazjum te same prawa „aż do odwołania". W roku 1925 i 1926 władze szkolne prawa te potwierdziły. W r. szk. 1921/22 obchodziła szkoła 10=lecie swego istnienia. Chwila ta została upamiętniona założeniem i urządzeniem kaplicy dla uczenic w budynku szkolnym. — W gmachu gimnazjum mieści się kaplica, 11 sal wykładowych, 6 sal rekreacyjnych i kilka gabinetów (Przełożonej, Dyrektora, Nauczycielski, Sekretarjat, Lekarski i Fizyko=chemiczny). W laboratorjum fizyko=chemicznem pracować może równocześnie cała klasa. Ćwiczenia gimnastyczne odbywają się w znajdującej się w pobliżu szkoły sali Tow. „Sokół". Gry i zabawy (dni sportowe) Zarząd gimnazjum organizuje na boisku nowonabytego w roku 1924 placu, leżącego w sąsiedztwie parku (Sienkiewicza 42), na placu tym w przyszłości ma stanąć nowy

gmach szkolny. Tu urządza się wiosną dla uczenic wszystkich klas gimnazjum zagonki, na których uczenice pielęgnują kwiaty i warzywa. W zimie kwitnie tu sport saneczkowy, na specjalnie usypanym pagórku do zjazdu i łyżwiarski na ślizgawce, zakładanej na boisku.

Program nauczania wraz z rozkładem zajęć szkolnych zastosowany jest w zupełności do programu ministerjalnego.

Życie młodzieży poza nauką szkolną ogniskuje się w organizacjach samorządowych szkolnych: Sodalicji Marjańskiej, Samopomocy uczniowskiej, w Kole Czerwonego Krzyża Młodzieży, w Kółku Literackiem i kilku Kółkach naukowych.

Na uwagę zasługuje również Kółko sportowe, którego działalność rozwija się coraz lepiej; dowodem tego są corocznie urządzane popisy gimnastyczne, rozrywki i zabawy na własnem boisku w t. zw. „Święta Sportowe młodzieży".

Kółko literackie wydaje trzeci rok z rzędu Gazetkę Szkolną, która jest obrazem życia szkolnego młodzieży oraz prób literackich uczenic wszystkich klas. Na szczególną uwagę zasługują dwa numery Gazetki Szkolnej z maja i z czerwca 1925 roku, poświęcone w całości pierwszej pielgrzymce młodzieży szkolnej do Rzymu w kwietniu 1925 r., w której uczestniczyło kilkanaście uczenic pod opieką Zarządu gimnazjum i Nauczycielstwa. Najczynniejszą Sekcją Kółka Literackiego jest Sekcja „Dobrej Książki", która posiada już przeszło 500 książek własnych, a liczy 75% uczenic całego Zakładu.



Grupa dziewcząt

Z dalszych wycieczek krajoznawczych i naukowych należy wymienić wycieczki do Poznania, Gniezna, Krakowa, Warszawy i Wilna.

Zarząd gimnazjum, łącznie z Radą Pedagogiczną, świadom wartości tkwiących w wychowaniu religijno-moralnem, intelektualnem i fizycznem, dokłada starań, aby przygotować Państwu Polskiemu zastęp dzielnych Polek-Obywatelek, przejętych ideałami chrystjanizmu.

L. K.



Gimnastyka szwedzka



WARSZAWA — ŁÓDŹ

Ogólne mniemanie, że Łódź to miasto brzydkie, jest już tak utartym komunałem, że walczyć z niem nie warto.

Rzecz prosta, wszystko zależy od punktu widzenia i od paradoksu.

Łódź np. może być tak brzydka, że aż staje się interesująca, a wiadomo że kobieta, jeżeli sobie już pozwolimy na to porównanie, kobieta interesująca staje się niewiadomo kiedy, z dnia na dzień, nagle modną, ładną, porywająco oszałamiająca — słowem pożądana, wielbiona, kochana!

Mam wrażenie, i to mi właśnie nasunęło porównanie Łodzi do kobiety, że nasze miasto jest właśnie na tej drodze.

Warszawa — Boże drogi — babcia, w najlepszym razie mamusia, owszem nawet wcale, wcale i zwłaszcza dzięki dzisiejszej odmładzającej modzie, Warszawa się garsonuje, onduluje, maluje, strzyże, rozbudowuje, nawet przedmieściom sprawia manicure.

Ale to nie zmienia stanu rzeczy, pod bokiem jej dorasta córa Łódź, i maluczko, jeżeli stolicy nie zakasuje — to w każdym razie stanie się rywalką, z którą nawet pod kątem piękna poważnie się będzie trzeba liczyć.

Tak, kochana Warszawo!

Łódź jest drugiem miastem w Polsce!

Brak jej, właśnie jak dorastającej pannie, tylko piękna!

Bo jak przy wyondulowanej mamie wygląda dorastająca córa?

Łapki czerwone, buzia umorusana, czuprynka rozwichrzona, nóżki przydługie, ruchy kanciaste, towarzysko niezgrabne, minka osowiała, słowem, jota w jotę, nasza kochana Łódź!

Jeszcze się jej do gości i do salonu nie prosi!

Ale jak ten dorastający podlotek, tak i Łódź, ma jedno: młodość, tężyznę, rozmach, uporek, przy rozwichrzonej czuprynce, przemysł w czerwonych łapkach, handel w kanciastym zgoła nietowarzyskim geście, i lada dzień z poczwarki rozwinie się motyl o barwnych skrzydłach — i podlotek stanie się pięknością first classe!

I co wtedy Warszawa?! — Fiume!

Z kwaśnym uśmieszkiem starzejącej się mondainy powie, że radują jej serce sukcesy córki?!

A co będzie, jak wtedy dorosła córa chrapkami zróżowionemi prychnie i zgoła wszem i każdemu z osobna powie, żeś Warszawo — macochą — Łodzi była?! — No, bo tak uderzywszy się w piersi, było i jest!

A może to instynktownie odczuta, jak zwykle zresztą wobec pięknych cór, obawa wcale rychłej i groźnej rywalizacji!

Warszawa ma Łazienki, Belweder, Zamek, Loursa, Krakowskie, Stare Miasto, Or-Ota i tyle, tyle innych ładnych rzeczy.

Sztuka! — Stolica!

Łódź, jako młoda panna, nie przeżyła jeszcze swego romansu, zgoła zbędne jej więc Białe domki, stawy, łabędzie i teatr na wyspie.

Na razie ma teatr na Cegielnianej, Krakowskie na Piotrkowskiej, Loursa w Grandzie, a choć nie ma mostu Poniatowskiego, w jej wieku nie ma się jeszcze mostów poza sobą, ale zato ma park Poniatowskiego! Wilanów!? Phi — za młoda na historję, zresztą ma Juljanów!

Nie ma Wisły — a to jej poco — nie jest syreną!

A zresztą będzie trzeba, to jak magistrat zechce przy nowej kanalizacji i rzeka środkiem miasta popłynie. Zresztą nasza Łódź nie pływa po wodzie — tylko po konjunkturach!

A Warszawa nawet nie wie co to znaczy!

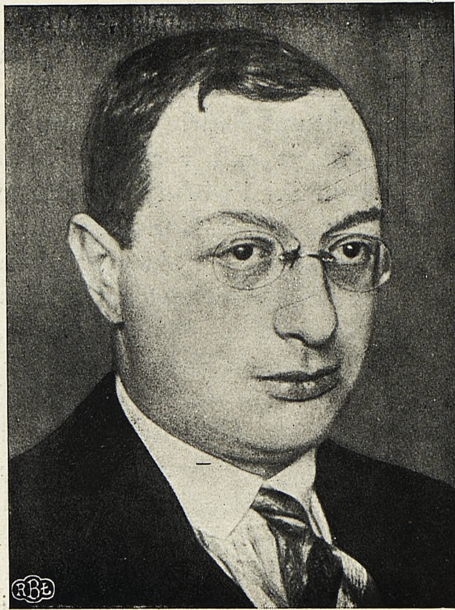
Bo konjunktura — to Łódź!

Przy konjunkturze będzie Łódź miała i muzea, i szkoły (już je ma), i zadrzewione ulice, i bibljoteki, i pomniki, i wielki teatr, i małe oazy, i dużo powietrza, bo z Konstantynowa zrobi Konstancin, z Englera — Fukiera, z Komara — Albrechta czyli mniejszościową mało mieszczańską, z alei Kościuszki — Marszałkowską, z Widzewa — Zjazd, z Starego Miasta dom Baryczków na wielką skalę, i tak to przy konjunkturze dojdzie z przędzy do pieniędzy, a Warszawa? Nie chcę tu parafrazować przysłowia, chcę tylko zgoła stwierdzić fakt, że Warszawa przędzy nie ma, a pieniędzy też nie? Więc — co ma — zapyta lodzermensch czystej krwi, rasy i manufaktury!? Pójdę się martwić, dodałby z uśmiechem szatanowsko-sardonicznym i poszedłby do — Malinowej.

Mors.



ROZWÓJ GOSPODARCZY ŁODZI



E. Rosset

W dziejach rozwoju wielkich miast europej= skich Łódź zajmuje miejsce zgoła wyjątkowe. Z pośród wszystkich aglomeracyj europejskich Łódź jest jedynem miastem, którego rozwój dokonał się nie drogą powolnej, stopniowej ewolucji, lecz w fenomenalnie szybkiem, ame= rykańskie stosunki przypominającem, tempie. Jeżeli sięgniemy do pracy prof. Ballod'a p. t. „Grundriss der Statistik" (Berlin 1913) i po= równamy zawarte tam dane o zaludnieniu naj= większych miast europejskich w latach 1800 i 1910, to przekonamy się, że w ciągu tych 110 lat ludność Lipska wzrosła 20=krotnie, Budapesztu — 16=krotnie, Berlina 12=krotnie, Brukseli, Glasgowa i Kolonji — 10=krotnie, pozostałych zaś 22 miast, liczących w 1910 roku ponad pół miljona mieszkańców — mniej niż dziesięciokrotnie. A w tym samym czasie lud= ność Łodzi wzrosła prawie 600=krotnie. Temu szczególnemu zjawisku, o którem jeden z dzie= jopisów mówi, że jest „baśnią XIX stulecia", warto się przyjrzeć bliżej.

Pierwsi łódzcy fabrykanci sukna przybyli z Gruenbergu na Śląsku w liczbie dziewięciu. Za nimi przybyli inni. Fabryki zaczęły wyrastać jedna po drugiej. I oto snuje się owa „baśń XIX stulecia", którą wyraża następujący szereg liczb mieszkańców Łodzi: 1827 r. — 939, 1837 r. — 10 tys., 1851 r. — 18 tys., 1860 r. — 32 tys., 1872 r. — 50 tys., 1893 r. — 150 tys., 1897 — 314 tys., 1912 r. — 459 tys., 1913 r. — 506 tys.

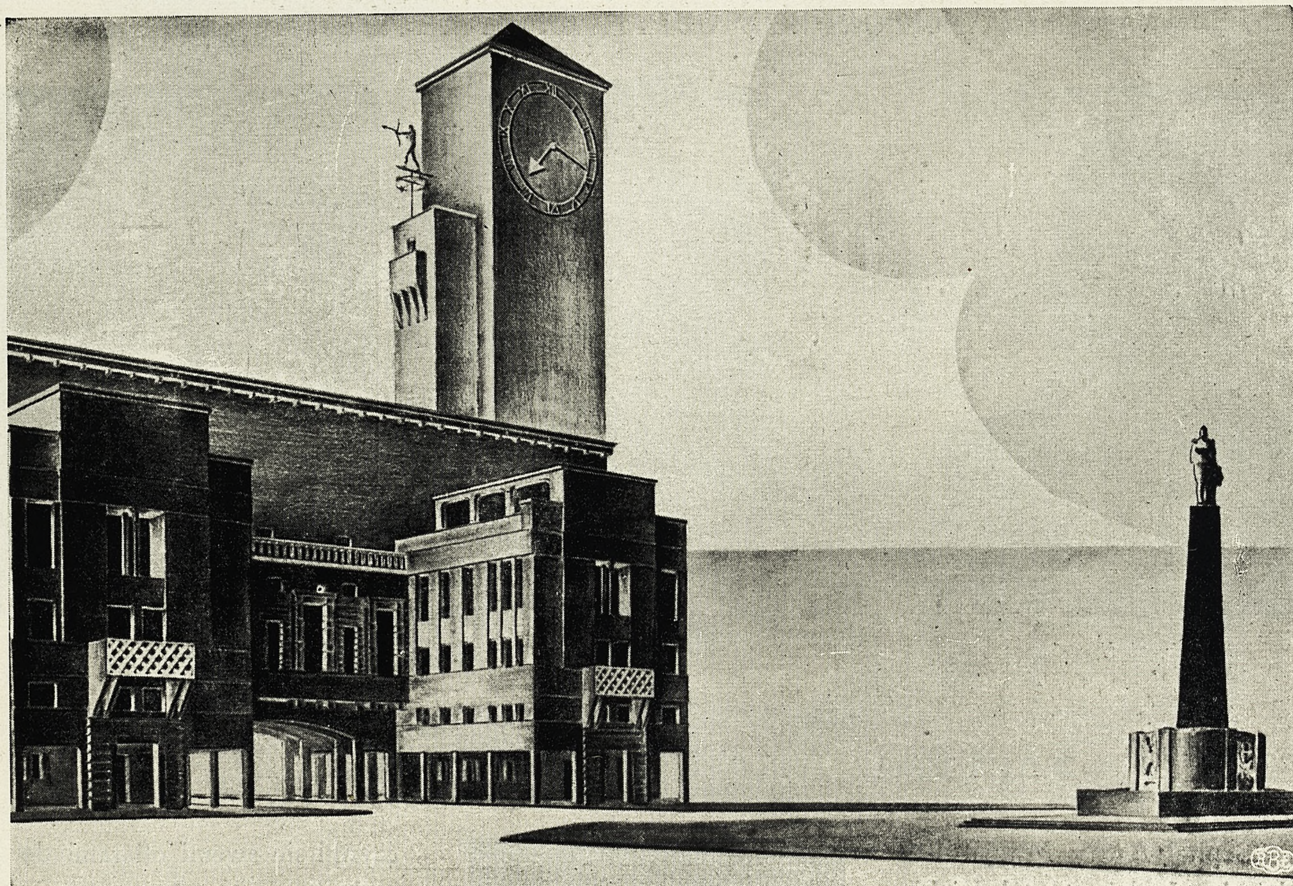
Ale liczby, które poznaliśmy, to tylko forma owej baśni. O treści jej daje pojęcie inny, nie= mniej fascynujący szereg liczb — liczby, wyra= żające wzrost wartości produkcji przemysłowej Łodzi. A więc: 1840 r. — 941 tys. rubli, 1860 r. 2.600 tys. rubli, 1873 r. — 10 milj. rb., 1885 r. — 40 milj. rb., 1910 r. — 187 milj. rb., 1912 r. — 196 milj. rb., (= 98 miljonów dolarów).

O potężnych rozmiarach, jakie osiągnął przemysł łódzki w ostatnich latach przed wojną, świadczą nadto cyfry uruchomienia i zatrudnie= nia w przemyśle. W 1911 r. przemysł włókien= niczy łódzki zatrudniał 86.442 robotników w 591 przedsiębiorstwach przemysłowych, liczących 1.529.216 wrzecion i 41.640 krosien. Na krótko przed wybuchem wojny światowej liczba ro= botników, zatrudnionych w przemyśle włókien= niczym łódzkim, przekroczyła 100 tysięcy.

Ten wspaniały rozkwit przemysłu łódzkiego był w wielkiej mierze zasługą samych łodzian, był tworem własnej energji, pracy i zdolności.

Zauważyć warto, że społeczeństwo rosyjskie i rząd rosyjski patrzyły na rozwój Łodzi nie= chętnem okiem. Z obawy o przyszłość wła= snego przemysłu włókienniczego, skoncentro= wanego w okręgu moskiewskim, przemysłowcy rosyjscy domagali się od rządu, aby utrudnił dalszy rozwój Łodzi. Wynikiem tych zabiegów był cały szereg rozporządzeń rządowych, go= dzących dotkliwie w przemysł łódzki. Dla stosunku społeczeństwa rosyjskiego do rozwoju przemysłu polskiego jest również charaktery= styczny fakt, że wybitny ekonomista rosyjski prof. Janżułł, wygłaszając podczas uroczystości jubileuszowej w uniwersytecie moskiewskim specjalną prelekcję o przemyśle Królestwa Pol= skiego, mówił o jego rozwoju, jako zjawisku dla interesów gospodarczych Rosji niekorzy= stnem, i wskazywał, że sprawa ta godna jest poważnej i głębokiej uwagi ze strony ogółu oraz rządu rosyjskiego.

Pasmo żywiołowego rozwoju Łodzi prze= cięła wielka wojna. Bezpośrednio po jej wy= buchu miasto zaczęło się wyludniać. Ludność Łodzi z 506 tys. w 1913 roku spadła w 1915 roku do 342 tys. Ubyło więc 164 tys. mie= szkańców, co stanowiło nieomal trzecią część ludności miasta w dobie przedwojennej. Przy= czyny tego wyludnienia były następujące: naj= pierw mobilizacja, dokonana przez ustępujące władze rosyjskie (zabrano około 15 tysięcy mężczyzn w sile wieku); potem pobór do



Projekt gmachu Rady Miejskiej arch. Przybylskiego z Warszawy

„cywilnych bataljonów robotniczych", z całą bezwzględnością przeprowadzony przez okupantów; wreszcie emigracja dobrowolna ludności niezamożnej, udającej się masowo na wieś w nadziei znalezienia tam pracy. O monstrualnym układzie stosunków domograficznych w Łodzi w dobie wojny dał dopiero pojęcie spis ludności, przeprowadzony w styczniu 1918 roku przez świeżo wówczas zorganizowany miejski wydział statystyczny. Okazało się m. i., że wśród ludności dorosłej (w wieku 21—55 lat) kobiety stanowiły 63%, a dalej, że 17,5% ogółu rodzin pozostawało bez głów rodzin, t. j. bez żywicieli. Choroby zakaźne, a w szczególności gruźlica w dosłownem tego słowa znaczeniu, dziesiątkowały znękaną i wygłodzoną ludność.

Przemysł w latach okupacji zamarł całkowicie. Przeciwko niemu było w głównej mierze wymierzone ostrze rekwizycyj, dokonanych przez okupantów. Było rzeczą jasną, że celem właściwym praktyk rekwizycyjnych jest zniszczenie podstaw przemysłu. Straty, jakie poniósł wskutek rekwizycyj przemysł łódzki, sięgają olbrzymiej kwoty 200 miljonów dolarów.

Z wojennego upadku Łódź zaczęła się dźwigać z chwilą wskrzeszenia niepodległego bytu Rzeczypospolitej. Życie Łodzi wkroczyło w nowy okres, któryby można nazwać „okresem odbudowy". We wszystkich dziedzinach życia dokonywa się z biegiem czasu nawrót do stanu z czasów normalnych. Ludności stale przybywa, przemysł stopniowo uruchamia się, ożywia się handel.

Nie będziemy tu mnożyli przykładów, świadczących o silnem wzmożeniu się tempa życia gospodarczego Łodzi. Z liczb, które przytoczyliśmy, dostatecznie jasno wynika, że pod względem ekonomicznym Łodzi stale rozwija się, już nietylko powracając do poziomu przedwojennego, ale nawet przekraczając ten poziom. Fakt ten zasługuje na tem silniejsze podkreślenie, że przemysł łódzki znalazł się po wojnie w niesłychanie trudnem położeniu.

Pomimo te trudności Łódź odbudowała się w szybkiem tempie, czem dała jeszcze jeden dowód swej niespożytej zdolności tworzenia, swej żywotności, która dla kraju ma tak doniosłe znaczenie.

Te zadziwiające walory twórczości gospodarczej dają rękojmię trwałego rozwoju Łodzi.

Edward Rosset.



Edward Herbst



Anna Marja Herbstówna



Matylda z Scheiblerów Herbstowa

SZPITAL ANNY MARJI W ŁODZI

Szpital Anny Marji dla dzieci w Łodzi powstał dzięki inicjatywie wybitnego działacza społecznego ś. p. D-ra Karola Jonschera.

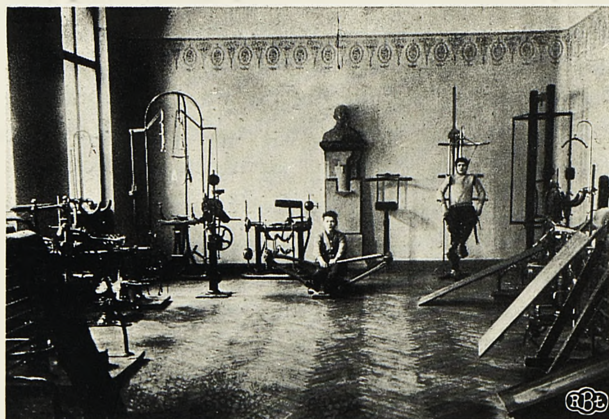
Głównymi fundatorami byli pp. Edwardowie Herbstowie, którzy postanowili wybudować wielki szpital dla dzieci dla uczczenia przedwcześnie zmarłej córki Anny Marji. Prócz pp. Herbstów i inni obywatele miasta przyczynili się swemi ofiarami do wykończenia szpitala.



Dr. Tadeusz Mogilnicki
Lekarz Naczelny szpitala

Największą kwotę złożyli między innymi pp. Emilowie Geyerowie, dzięki którym powstał przy szpitalu zakład ortopedyczny, wyposażony w najnowsze instrumenty i maszyny.

Szpital został otwarty dnia 17 maja 1905 roku, początkowo na 120 łóżek. Ilość łóżek w miarę rozwijania się szpitala



Oddział ortopedyczny



Oddział niemowlęcy

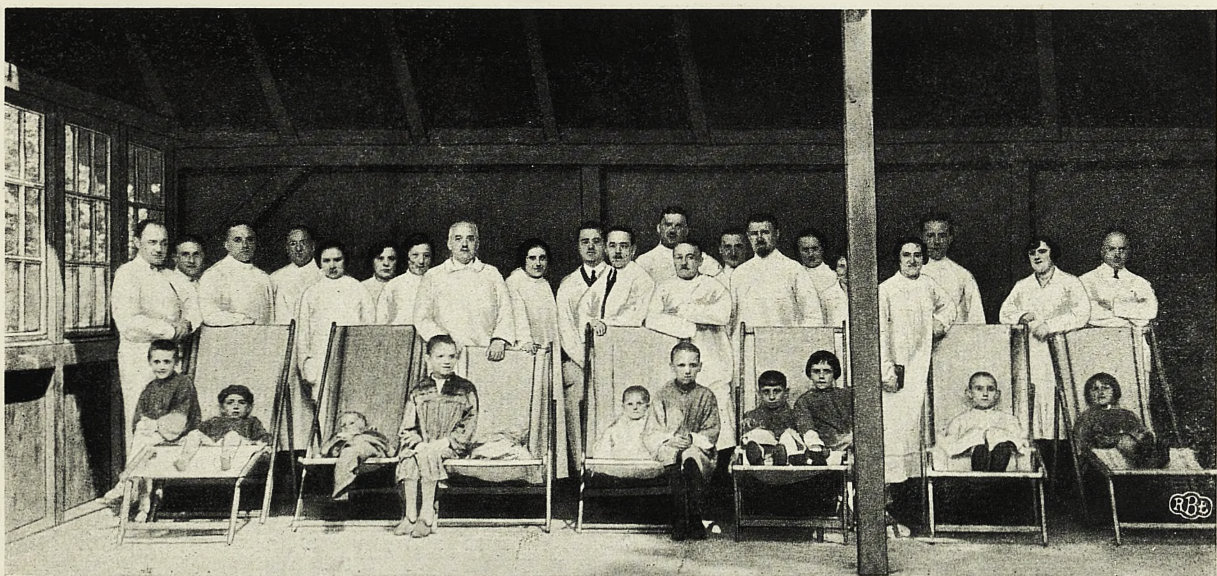


Widok ogólny szpitala w zimie

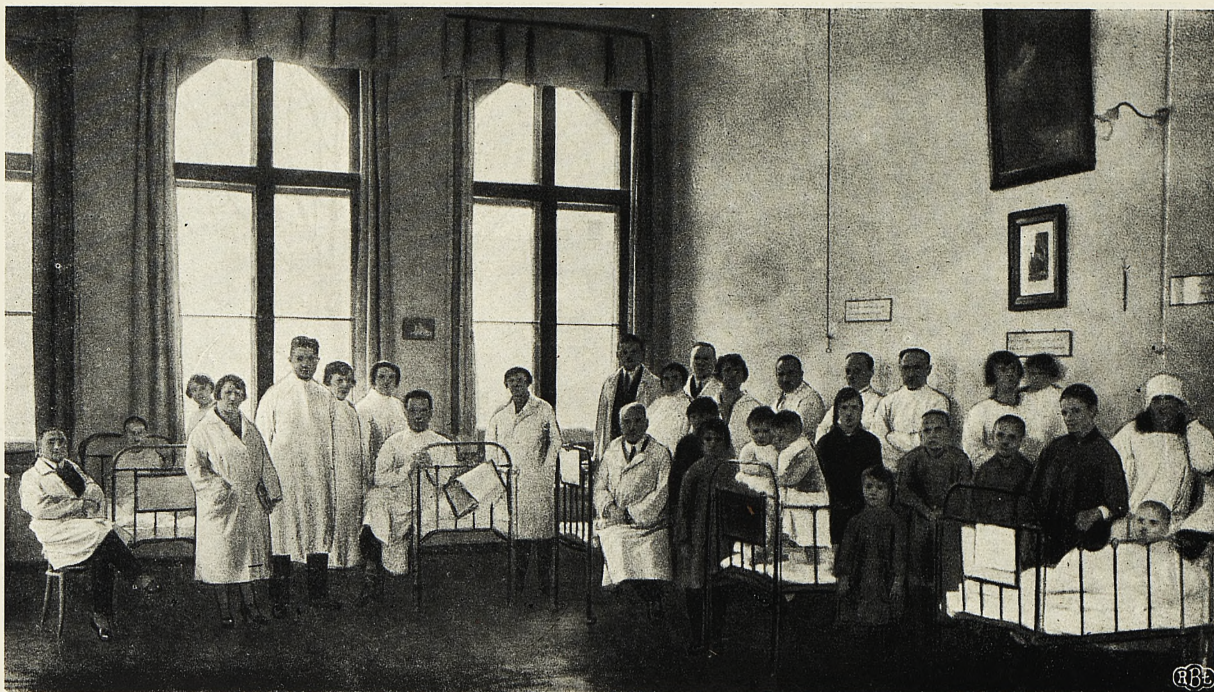
zwiększała się i doszła do 180. W chwili obecnej jest to największy szpital dla dzieci w Polsce. Położony w dużym, pięknym 4=o morgowym parku, imponujące robi wrażenie.

Pierwszym lekarzem naczelnym i głównym organizatorem szpitala był nieodżałowanej pa= mięci Dr. Józef Brudziński, późniejszy lekarz Naczelny Szpitala dla dzieci Karola i Marji w Warszawie, i pierwszy rektor Warszawskiej Wszechnicy.

W roku 1910 szpital przechodzi pod egidę Tow. Dobroczynności, stanowiąc autonomiczną jednostkę. Zarząd szpitala stanowią: Przewod= niczący Dr. Alfred Grohman, wiceprzewodniczący



Leżalnia dla chorych gruźliczych



Sala ogólna oddziału wewnętrznego

inż. Michelis, sekretarz inż. Racięcki, skarbnik J. Petters. Członkowie: p. Karolowa Geyerowa, Dr. Grohmanowa, Paweł Biederman, Otto Eisenbraun, Juljusz Kinderman, Dr. Skalski, Dr. T. Mogilnicki, Dr. Tomaszewski i Dyr. Zimowski.

Kuratorem Szpitala jest p. Otto Eisenbraun, zastępcą kuratora p. Paweł Biederman.

Przy szpitalu istnieje również pod przewodnictwem p. Dr. Grohmanowej komitet damski, który ma na celu zbieranie funduszów na kompletowanie bielizny, pościeli i t. p.

Komitet pań pracuje niezmiernie energicznie i przyczynia się w znacznym stopniu do rozwoju tej pożytecznej placówki.

Lekarzem naczelnym Szpitala od 1-go kwietnia 1923 roku jest Dr. T. Mogilnicki, który pracuje w szpitalu od jego założenia. Ordynatorem oddziału chirurgicznego jest Dr. M. Tomaszewska. Długoletnią przełożoną p. Teichman.

W szpitalu pracuje kilkudziesięciu lekarzy, zajmujących stanowiska ordynatorów, konsultantów i asystentów.

O ruchu w Szpitalu dostatecznie świadczą następujące cyfry: W latach ostatnich w poradni Szpitala było udzielanych porad od 10 do 15 tysięcy rocznie, do Szpitala było przyjmowanych około 2500 dzieci w przeciągu roku. Dzieci są leczone na koszt własny, Magistratu i Kasy Chorych.

Nieodnawiany oddawna i zaniedbany nieco podczas wojny i w okresie powojennym, szpital wymagał gruntownego remontu, który też został całkowicie wykonany w 1927 roku. W roku tym odnowiono wszystkie pawilony, przemalowując drzwi i okna, ściany i meble na kolor biały. Jednocześnie nadbudowano drugie piętro w pawilonie administracyjnym, otrzymując w ten sposób 12 pokoi dla zwiększającego się stale personelu szpitalnego. Powiększono pokój bibljoteczny, tworząc jednocześnie większą salę zebrań, w której odbywają się miesięczne posiedzenia Tow. Pedjatrycznego, a raz na tydzień posiedzenia naukowo-kliniczne z udziałem 25—30 lekarzy szpitalnych.

Przy przebudowie szpitala utworzono na oddziale niemowlęcym wzorową kuchnię mleczną dla przygotowywania niezbędnych dla chorych dzieci mieszanek, a na oddziale obserwacyjnym wybudowano 2 boksy dla możliwego odosobnienia dzieci podejrzanych o chorobę zakaźną.

W tym samym czasie otrzymano 2 lampy kwarcowe, zakupione za pieniądze, zebrane przez urzędników Kasy Chorych w Łodzi dla

uczczenia ustępującego Dyrektora Dr. Giebar⸗towskiego, zbudowano również ze składek do⸗browolnych miejscowych przemysłowców nowy aparat Roentgena kosztem 1800 dolarów (stary aparat Roentgena, istniejący od początku szpi⸗tala, nie odpowiadał już swemu zadaniu).

Na wiosnę 1928 roku zarząd zdecydował przystąpić do budowy nowego pawilonu, z za⸗pisu ś. p. Wünszego, dla dzieci gruźliczych. Pawilon obliczony na 30 do 35 łóżek, będzie miał okna zwrócone na południo⸗wschód i po⸗łudnio⸗zachód, a werandy i leżalnie na połu⸗dnie. Plany opracowane przez inż. Lisowskiego i zatwierdzone przez Departament Urzędu Zdro⸗wia, odpowiadają całkowicie najnowszym wy⸗maganiom wiedzy współczesnej. Wobec ogrom⸗nej ilości ofiar, jakie pochłania gruźlica w Łodzi, szczególniej pośród dzieci, powstanie takiego pawilonu będzie miało doniosłe znaczenie.

Należy przypuszczać, że nowy ten pawilon zostanie wykończony i oddany do użytku pu⸗blicznego już w połowie 1929 roku.

Podkreślić trzeba, że przy szpitalu istnieje dobrze uposażona pracownia chemiczno⸗bakte⸗rjologiczna, bibljoteka naukowa, złożona z dzieł pedjatrycznych, ufundowana przez lekarzy szpi⸗talnych bibljoteka dla chorych dzieci, złożona z 800 tomów i specjalny księgozbiór dla per⸗sonelu szpitalnego. W ten sposób szpital Anny Marji spełnia swe szczytne zadanie humanitarno⸗społeczne, lecząc i ratując życie tysiącom dzieci i jest jednocześnie instytucją naukowo⸗kulturalną.

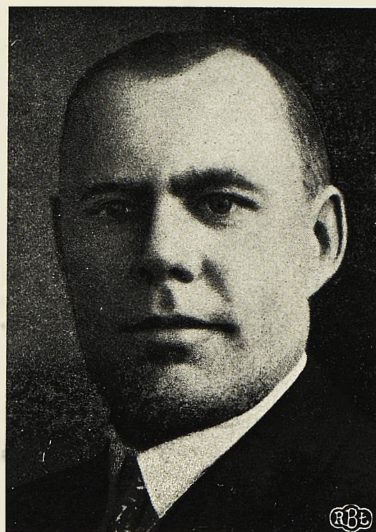
Dzięki wspaniałomyślnej ofierze Pani Ma⸗tyldy Herbstowej szpital w maju 1928 roku wybitnie rozszerzy swoją działalność. Zostaje bowiem otwarte w miejscowości niezmiernie suchej i zdrowej w Sokolnikach pod Ozorko⸗wem, Sanatorjum Anny Marji dla ozdrowieńców szpitala, obliczone na 50 dzieci. Dotąd dzieci osłabione i wyczerpane długotrwałą chorobą były zmuszone wracać bezpośrednio ze szpitala do warunków wysoce nieprzyjaznych pod wzglę⸗dem mieszkaniowym i hygienicznym. Obecnie dzieci te będą mogły spędzać kilka tygodni w idealnych warunkach, w pięknym sosnowym lesie, pod ścisłą kontrolą lekarską. Zarząd szpitala zamierza sanatorjum dla ozdrowieńców jako filję szpitala Anny Marji prowadzić cały rok.



Niemowlęta w ogrodzie



E. Guse, wiceprezes



A. Guse, prezes



A. Rzezać, wiceprezes

KLUB TURYSTÓW w ŁODZI

Klub Turystów egzystuje w Łodzi od 1896 r. Do roku 1918 klub firmował się jako Oddział „Touring-Klubu". Pierwszym prezesem (konsulem) był p. Edmund von Kegel. W pierwszych latach Łódzki Oddział uprawiał przeważnie sport kolarski i wybudował pierwszy tor wyścigowy w Helenowie. W październiku 1902 roku nastąpił zakaz urządzania wyścigów kolarskich i od tego czasu na pierwszy plan sportowy postawiona została turystyka, która też do wybuchu wojny stała się sportem przewodnim. W roku 1905 zaczęto uprawiać sport piłki nożnej. Wielkie zasługi nad rozwojem tego sportu w Łodzi położył p. Alfred Guse, który bawiąc w Wrocławiu, zapoznał się dokładnie z tym sportem i przeniósł go do Łodzi. W roku 1906 klub nasz urządził rozgrywkę w piłkę nożną, pierwszą w Łodzi.

Przechodząc różne koleje w swoim rozwoju, K. T. liczył w roku 1900 największą ilość członków w liczbie 267. Liczba ta z biegiem czasu ulegała różnym zmianom.

Wielkie zasługi nad rozwojem naszego klubu i utrzymaniem takowego położyli Antoni Rzezać i ś. p. redaktor A. Drewing, który niemal od samego początku egzystowania naszego klubu, aż do swej śmierci pozostawał gorliwym zwolennikiem takowego. Na znak uznania klub mianował go dożywotnim prezesem honorowym.

Obecnie klub liczy 146 członków, posiada cztery drużyny footbalowe, własny lokal klubowy przy ulicy Kilińskiego Nr. 145 i własne boisko sportowe przy ulicy Wodnej.

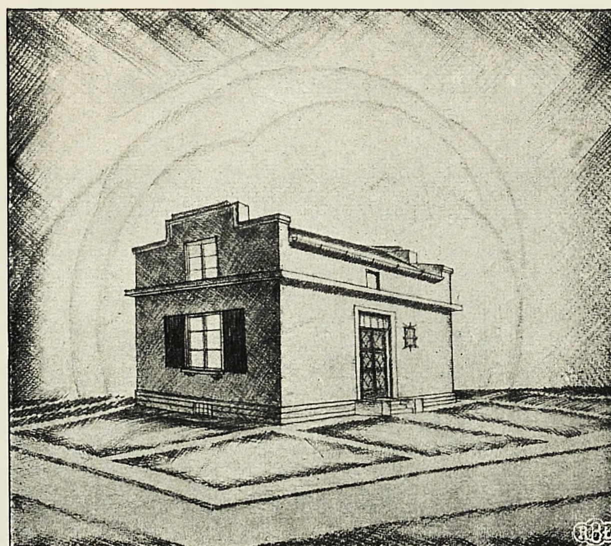
Zarząd klubu składa się z 12 członków, którzy mandaty swe spełniają honorowo.



Teren pierwszego osiedla robotniczego

TOW. BUDOWY DOMKÓW ROBOTNICZYCH

Dla walki z jedną z największych klęsk społecznych, jaką jest katastrofalny wprost głód mieszkaniowy, powołana została do życia na terenie Łodzi specjalna instytucja, której zadaniem jest dostarczenie ludności robotniczej nietylko dachu nad głową, ale i własnej siedziby. Inicjatywę powziął biskup łódzki, ks. Dr. Wincenty Tymieniecki, a spotkała się ona w miejscowych sferach przemysłowych z tak żywym oddźwiękiem, że w błyskawicznem wprost tempie mogła zostać zrealizowana. Miejscowe jednostki wielkoprzemysłowe włókiennicze, jak i innych działów produkcji, oraz wielkie prywatne instytucje użyteczności publicznej zgodziły się na samoopodatkowanie się w drodze regularnych wpłat na utworzenie kapitału zakładowego specjalnie w tym celu założonej spółki akcyjnej p. n. „Towarzystwo Budowy Domków Robotniczych". Kapitał Spółki ustalony został na 500.000 zł., przyczem jednak w myśl uchwały pierwszego Ogólnego Zebrania akcjonarjuszy żadne dywidendy, a nawet oprocentowanie kapitału tego wypłacane nie będą i organizacja



Projekt domku



Nagromadzone materjały

kierować się ma tylko zasadą stałego regenerowania kapitału, by móc obracać go stale na ten sam cel, t. j. na budowanie osiedli robotniczych.

Domki, do których budowy już przystąpiono, budowane są z żużlo-betonu, materjału o wypróbowanej trwałości, umożliwiającego o wiele szybsze wykończenie, aniżeli cegła, a w równej mierze gwarantującego ciepło i bezwzględną suchość. Każdy domek według planu, ustalonego na podstawie szeregu projektów, nagrodzonych i wyróżnionych na konkursie, obejmować będzie mieszkanie dla jednej rodziny, składające się z dwóch izb i kuchni na parterze i dwóch izb, jednej większej i jednej mniejszej, na piętrze. Do każdego domku należeć będzie ogródek. Domki nie będą odnajmowane, lecz tylko sprzedawane, przyczem jednak nabywcom przysługiwać będzie prawo oddawania izb na piętrze sublokatorom, co oczywiście wydatnie ułatwi im spłatę rozłożonej na długi szereg lat ceny nabywczej.

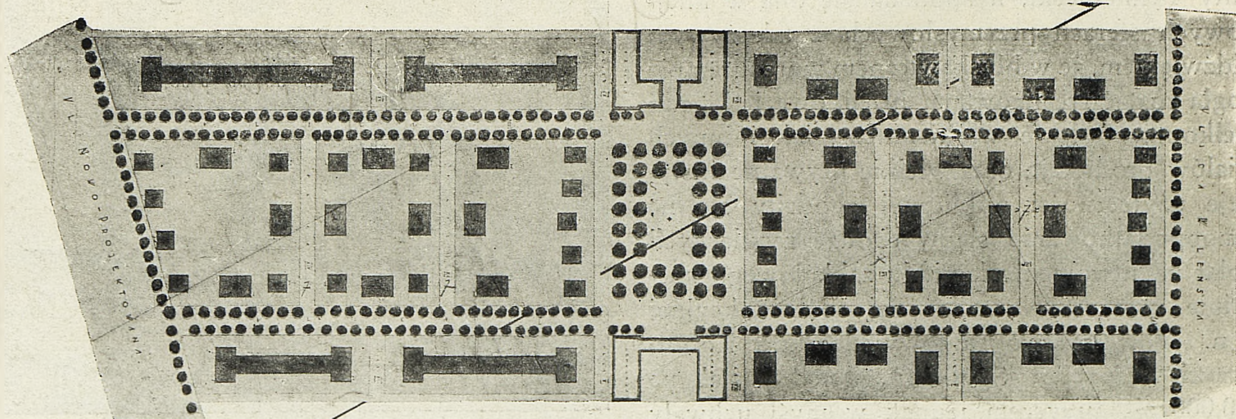
Kredyt, niezbędny do tego celu, Towarzystwo ma zapewniony ze strony Banku Gospodarstwa Krajowego, który okazał jak największe zainteresowanie tej pierwszej na tak szeroką skalę zakrojonej akcji.

Roboty koło budowy pierwszego osiedla, którego plany i widoki zamieszczamy, podjęte zostały w maju 1928 r. Stanąć tam ma ogółem 140 domków, z których 114 wykończone być mają już do jesieni tego roku. Drugie osiedle, dla którego plac już został nabyty, powstanie w innej zupełnie dzielnicy miasta i obejmować będzie teren nieco większy. Roboty na tym terenie podjęte zostaną w roku 1929.

Do Zarządu Spółki powołani zostali pp. K. W. Scheibler, prof. E. Ullmann, Ad. Osser, Gustaw Geyer, M. Kernbaum, jako członkowie, oraz pp. Dr. M. Barciński, W. Horodyński i Z. Fiedler, jako zastępcy. Prócz tego, na wniosek szeregu uczestników powołana została honorowa Rada Nadzorcza w składzie: J. E. ks. bisk. W. Tymienieckiego, p. wojewody Jaszczołta, prez. Dr. Alfreda Biedermanna i prez. Towarnickiego.

Zorganizowanie Spółki, której działalność poświęcona jest wyłącznie zwalczaniu najdotkliwiej odczuwanej przez sfery robotnicze klęski mieszkaniowej, stanowi czyn społeczny wielkiej miary i doniosły etap na drodze do rozwoju dobrobytu powszechnego.

Sfery przemysłowe innych ośrodków, zachęcone przykładem łódzkim, zamierzają w najbliższym czasie podjąć analogiczną akcję. W każdym razie jednak zaszczyt pierwszeństwa stanowić będzie zawsze chlubę przemysłu łódzkiego i głównego inicjatora akcji, ks. bisk. Tymienieckiego.



Plan ogólny pierwszego osiedla



Ł. K. S.

W roku 1908 z inicjatywy kilku zapaleńców sportowych utworzyło się w Łodzi Towarzystwo Sportowe pod nazwą „Łódzki Klub Sportowy" powszechnie znany i zwany Ł. K. S.

Wojna wszechświatowa przerwała życie normalne, wędrują liczni sportowcy do wojska. Klub zmuszony jest zawiesić swoją placówkę, jednak przerwa długo się nie utrzymuje, zostało kilka osób, które nie mogą pogodzić się z losem i starają za wszelką cenę powołać klub do życia, co też im się udaje.

W latach 1917 i 1918 Ł. K. S. uprawia zawody propagandystyczne, sprowadzając do Łodzi wszystkie drużyny legjonowe.

W 1920 roku na Odezwę Rady Obrony Państwa Ł. K. S. pierwszy zgłasza swój akces.

W 1921 roku bawiący w Łodzi por. Obrubański (sekretarz honorowy P. Z. P. N. i kapitan Związkowy) wstępuje do Ł. K. S., zostaje kapitanem 1-ej drużyny, zestawia ją bardzo szczęśliwie, odmładza i w rezultacie zdobywa mistrzostwo na 1921 rok. Szybki rozwój Klubu, zataczający szersze kręgi, nie może racjonalnie uprawiać sportu z braku odpowiedniego własnego boiska.

W 1922 roku powstaje w zarządzie bardzo szczęśliwa myśl urządzenia Parku Sportowego na obecnym wydzierżawionym od Magistratu placu przy ul. Alei Unji.

Roboty postępują szybko podług planu wykonanego przez Inż. Christelbaura i architekta Kowalskiego Stanisława.

W ciągu jednego roku oparkaniono cały plac na przestrzeni 1000 m. b., zbudowano domek, zniwelowano teren i wyszykowano 2 boiska, bieżnię, oraz ustawiono z 2-ch stron ławki.



I drużyna 1919 r.



Dyplom za mistrzostwo w r. 1912



—*Odpoczynek po treningu*

Park w obecnym stanie przedstawia się imponująco i jeżeli w takiem tempie posuwać się będą roboty, będzie to Park Sportowy najokazalszy w Polsce. Głównym kierownikiem budowy tego parku jest Dyr. Skibicki niewyczerpany inicjator przy prowadzeniu budowy.

Ogólna wartość inwestycji w obecnej chwili wynosi koło 20.000 zł.

Fundusze na te wydatki płynęły z obowiązkowych opłat w wysokości 5 zł. od każdego członka, z dobrowolnych ofiar, pożyczek długo i krótko terminowych oraz imprez sportowych.



Lekkoatletyczna sekcja pań Ł. K. S.

W 1912 r.	I	druż.	zdobyła	mistrz. kl.	A
"	II	"	"	" "	B
w 1923 r.	I	"	"	" "	A
"	II	"	"	" "	B
"	III	"	"	" swojej grupy.	

Prócz piłki nożnej, która jest prowadzona pod fachowym kierunkiem zaangażowanego trenera p. L. Zeislera (węgra), bardzo pomyślnie rozwija się sekcja lekkoatletyczna pod kierunkiem p. Dembowskiego.

Zaznaczyć wypada, iż Ł. K. S. przoduje w piłce koszykowej, drużyna jego nie była jeszcze pokonana przez nikogo.

Cały szereg osób położyło niepospolite zasługi w pracach nad rozwojem Towarzystwa, tych osób nie można pominąć milczeniem, więc kilka nazwisk: śp. Horroks, p. Wacław Taubwurzel sprawujący przez 10 lat godność prezesa (obecnie prezes honorowy), p. Heiman, p. Sienkiewicz, p. Krachulec, p. Czekalski, bracia Kowalscy, p. Woźniak Juljan (obecny prezes), p Feja, p. Hauke i wielu innych.

We wszystkich drużynach reprezentacyjnych Łodzi, poczynając od czasów przedwojennych do obecnych, udział graczy Ł. K. S. jest zawsze najliczniejszy.

Rok 1923 obfitował w momenty historyczne dla klubu, mian. trzej gracze Cyll Wawrzyniec, Lange Zygmunt i Kowalczyk Stefan obchodzili jubileusz 100go udziału w barwach Ł. K. S., prócz tego Cyll występował w reprezentacyjnej drużynie Polski przeciw Finlandji. Prócz wymienionych piłkarzy są tacy jak np. Czekalski, Lewelski, Kowalski Al., Kowalski Antoni i Piotrowski, którzy występowali w barwach Ł. K. S. około 100 razy. Zarząd Ł. K. S. daje zupełną gwarancję zrozumienia swego posłannictwa, praca przy utrzymaniu szeregu sekcji na pierwszem miejscu oraz praca przy rozbudowie Parku Sportowego wymaga zupełnego poświęcenia i pokonania wielu przeszkód, które potrafią wszyscy przezwyciężyć.

* * *

Obecnie Park Sportowy Ł. K. S. jest tak dalece doprowadzony, iż można urządzić bogaty program zawodów, w ciągu tygodnia, obejmujący wszystkie działy sportu.



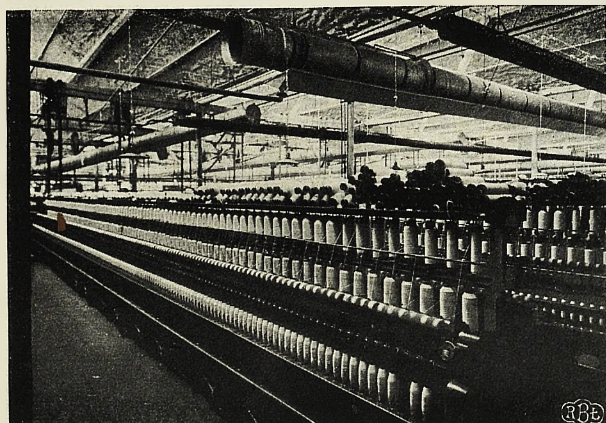
I drużyna z 1920 r.



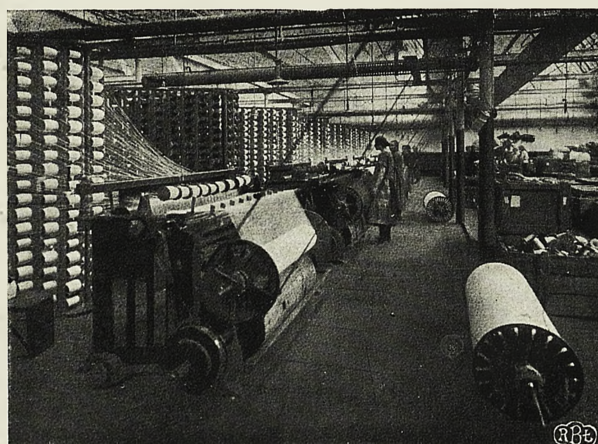
Ogólny widok

TOW. AKC. PABJANICKICH FABRYK WYROBÓW BAWEŁNIANYCH
„KRUSCHE i ENDER"

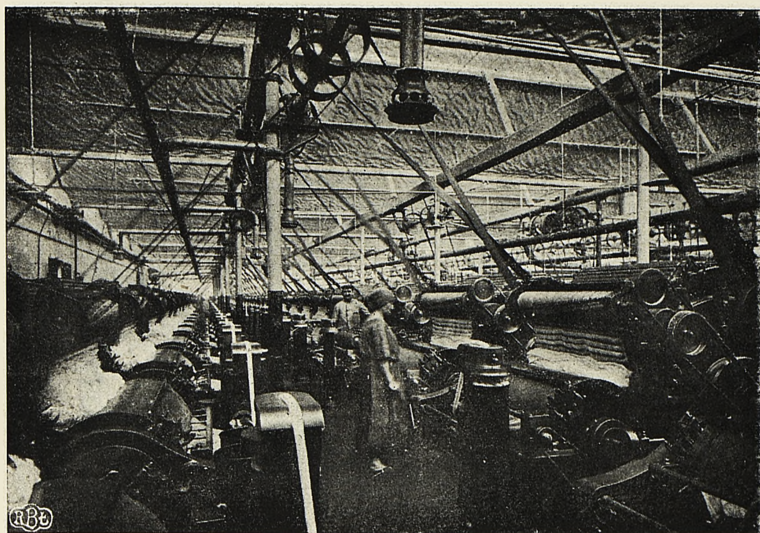
Fabryka została założona w roku 1826 przez ś. p. Benjamina Krusche i składała się początkowo z ręcznej tkalni i farbiarni towarów wełnianych i półwełnianych; krosna mechaniczne zostały sprowadzone w roku 1857. Przez blisko pół wieku fabryka była wyłączną własnością założyciela i prowadzona pod jego firmą. Dopiero w roku 1874, kiedy wstąpił do przedsiębiorstwa jako wspólnik ś. p. Karol Ender, firma została przemianowana na „Krusche i Ender" i od tego czasu datuje się też potężny rozwój fabryki. Warsztaty pracy zostały znacznie powiększone i rozszerzone i składały się: z tkalni o 70 krosnach ręcznych i 156 mechanicznych, farbiarni, drukarni i bielnika. Zatrudnionych było wtedy 780 robotników, zaś produkcja roczna wynosiła 43,000 sztuk towaru wartości około 570,000 rubli złotych. W tym też czasie została wybudowana



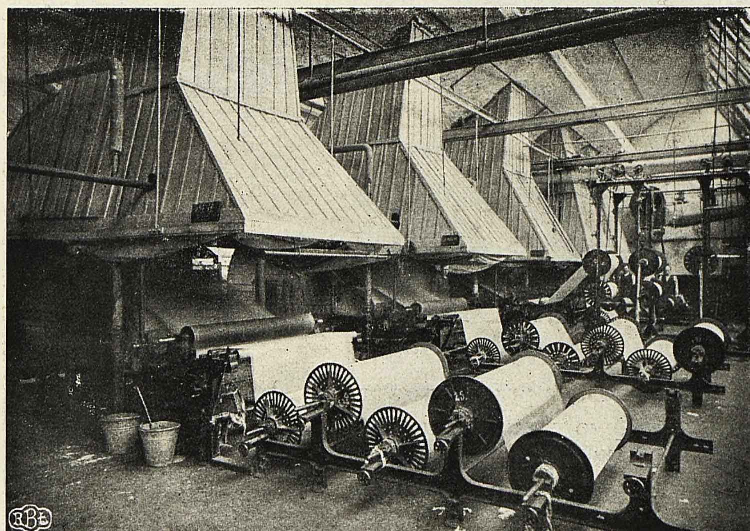
Przędzalnia — obrączniarki



Tkalnia — snowarki



Przędzalnia — zgrzeblarki



Tkalnia — krochmalarki



Apretura

przędzalnia odpadków, głównie w celu wytwarzania barchanów drapanych, które nieznane dotychczas ani w Polsce, ani w Rosji, cieszyły się ogromnem powodzeniem, jako ciepły i jednocześnie tani materjał odzieżowy.

Zmierzając stale do udoskonalenia wytworów bawełnianych, zaczęła fabryka stopniowo ograniczać produkcję tkanin wełnianych i półwełnianych, która całkowicie ustała w roku 1884.

W końcu ósmego dziesiątka lat zaczęto wyrabiać towary białe oraz kołdry t. zw. zefirowe, nie wyrabiane wówczas jeszcze przez żadną z krajowych fabryk. Produkcja tych kołder stale ulepszana doszła wreszcie do takiej doskonałości, że zjednała fabryce powszechne uznanie klijenteli i do dziś dnia stanowi specjalność firmy.

Szczupłe ramy spółki firmowej nie wystarczały już dla tak dużego przedsiębiorstwa, przeto przekształcono je w roku 1899 na „Towarzystwo Akcyjne" z kapitałem zakładowym rubli złotych 3,500,000. Fabryka stanęła w rzędzie pierwszych tego rodzaju zakładów przemysłowych w kraju, zatrudniając 4400 robotników. Wybuch wielkiej wojny w roku 1914 powstrzymał dalszy rozwój i działalność przedsiębiorstwa. Pomijając miljonowe straty (2 miljony rubli złotych) u dłużników na obszarze b. cesarstwa rosyjskiego, okupanci niemieccy zarekwirowali bez jakiegokolwiek odszkodowania i wywieźli następujące ilości surowca, towarów i różnych materjałów: 6422 bele bawełny, 164,182 kg przędzy, sześć miljonów siedemset tysięcy metrów tkanin, 304,255 sztuk kołder, 2830 walców miedzianych, motory, maszyny, pasy i artykuły techniczne — ogóln. wart. 11,340,000 franków złotych.

Pomimo tak olbrzymich szkód fabryka po zakończeniu wojny została uruchomiona częściowo już w r. 1918, natychmiast po wyjściu okupantów. Początkowo pracowano wyłącznie na potrzeby rządu,

dostarczając surówkę do „Puzapp'u". Stopniowo jednak zaczęto produkować i na własny rachunek, uruchamiając coraz to inne oddziały przedsiębiorstwa. Obecnie pracuje cała przędzalnia cienkoprzędna na dwie zmiany, 80% krosien tkalni, częściowo również na dwie zmiany, połowa maszyn drukarni, cała farbiarnia i wykończalnia. Produkcja tkanin przedstawia się po wojnie jak następuje:

w roku	1920	—	1,368,000	metrów
„	1921	—	4,604,000	„
„	1922	—	13,076,000	„
„	1923	—	16,414,000	„
„	1924	—	12,813,000	„
„	1925	—	16,355,000	„
„	1926	—	17,818,000	„

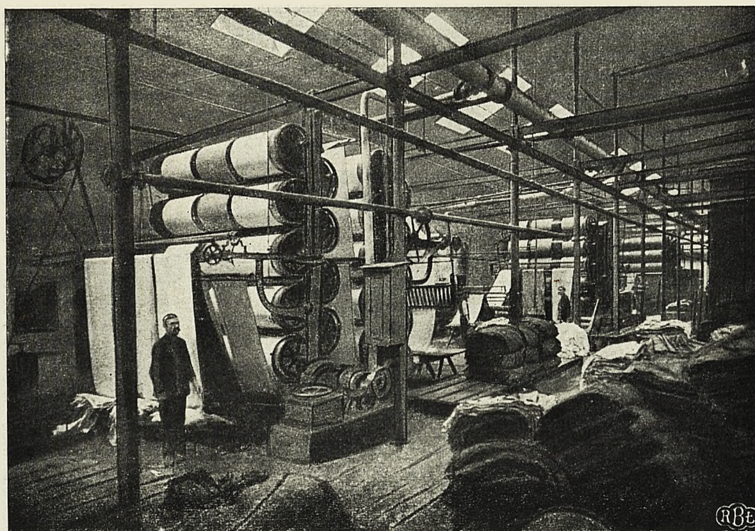
Obecnie produkcja przekroczyła zatem normy przedwojenne, mimo to, że pracuje obecnie 16% robotników mniej, niż przed wojną. Tak doskonałe rezultaty osiągnęła fabryka jedynie dzięki gruntownej reorganizacji metod pracy i zastosowaniu do produkcji najnowszych zdobyczy techniki.

Specjalną troskę firma zwracała na eksport towarów, który w roku 1923 dosięgał 20% produkcji. Niestety niepomyślne warunki gospodarcze (wysokie obciążenia podatkowe, nadmierne świadczenia socjalne i jak również konkurencja zagranicy) wstrzymały ten rozwój, tak, że firma wywozi obecnie zaledwie 10% produkcji.

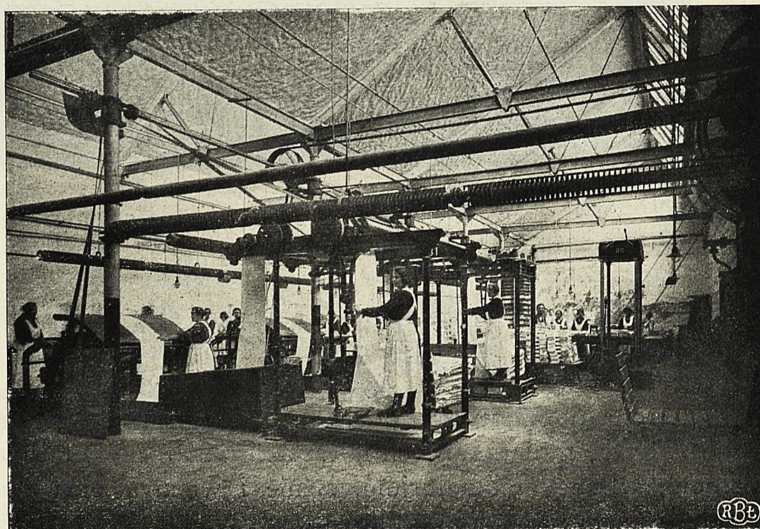
Firma eksportowała towary do następujących krajów: Rumunja, Łotwa, Rosja, Daleki Wschód, Ameryka Południowa i Afryka.

Stan przedsiębiorstwa przedstawia się w chwili obecnej w sposób następujący:

Kapitał zakładowy firmy wynosi zł. 9,310,000. Terytorjum fabryczne zajmuje obszar 87 ha. Fabryka zatrudnia 3800 robotników, posiada 12 kotłów parowych, 6 dużych maszyn parowych o sile 3100 HP., 130 silników elektrycznych o sile 2130 HP., 45,388 wrzecion cienkoprzędnych, 7916 wrzecion odpadkowych i 1756 krosien, prócz tego



Wykończalnia — kalandry



Pakownia — mierzarki



Czytelnia i bibljoteka



Przędzalnia — zewnętrzny widok

własną elektrownię i gazownię. Fabryka, starając się w miarę możności zaspokoić najelementarniejsze wymagania życia codziennego i kulturalnego robotnika, posiada: 39 domów robotniczych, dostarczających mieszkania 280 rodzinom, własne ambulatorjum, łaźnie i wanny z 28 kabinami, pralnię, bibljotekę i czytelnię, klub i boisko sportowe oraz orkiestrę.

Fabryka wyrabia wszelkie tkaniny bawełniane: białe, kolorowe, tkane, farbowane i drukowane, specjalność zaś firmy stanowią: towary białe bieliźniane, kołdry wszelkiego rodzaju, muśliny, barchany i flanele, obrusy, chustki i inne.

Firma posiada własny skład w Łodzi, składy komisowe w Warszawie, Lwowie i Poznaniu oraz przedstawicielstwa w Wilnie i Gdańsku.

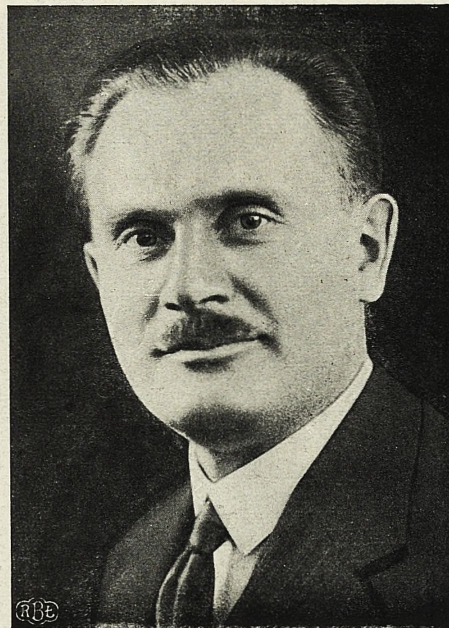
Zarząd firmy, mający siedzibę w Pabjanicach, stanowią Pp.: Feliks Krusche — prezes, Karol Ender — wiceprezes, Teodor Ender — wiceprezes, Stefan Ender — dyrektor, Włodzimierz Bagun-Bersin — dyrektor, Robert Arlet — dyrektor.



Towarzystwo Sportowe „Krusche i Ender"

ZAKŁADY GRAFICZNE

Bolesław KOTKOWSKI i S-ka



Bolesław Kotkowski

Dyrektor-Zarządzający — Prezes Zarządu

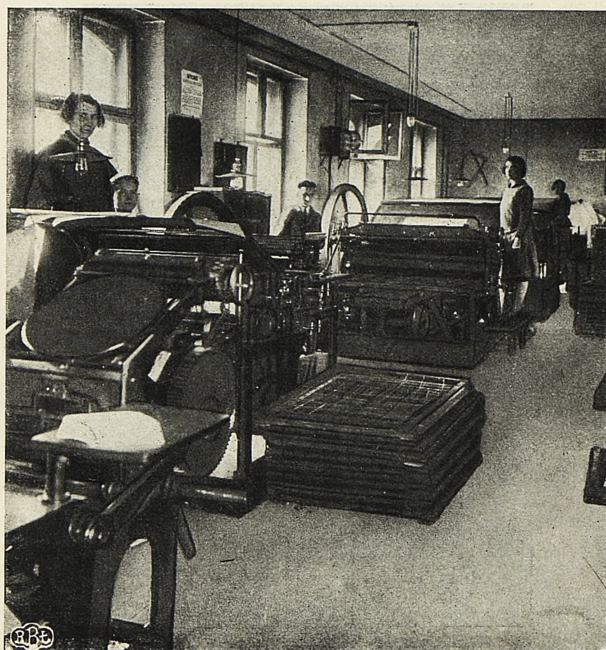
W roku 1912 były kierownik techniczny firmy R. Resiger w Łodzi założył mały Zakład Graficzny, zatrudniający kilkanaście pracowników. — W tym rozmiarze Zakład prowadzony był do roku 1918, poczem przeszedł na własność nowej firmy, w której udziałowcem został p. Bolesław Kotkowski, jako jeden z firmantów nowej Spółki. Nowo powstała firma przeprowadziła reorganizację Zakładów i w r. 1920 przekształciła się na Spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością pod firmą „Bolesław Kotkowski i S-ka", w której głównymi udziałowcami byli „Bank Ziemi Polskiej w Lublinie" i p. Bolesław Kotkowski. Przez dopływ świeżych kapitałów i dzięki inicjatywie p. B. Kotkowskiego firma powiększyła zakres swej działalności przez dokupienie nowych maszyn i rozszerzenie lokalu przedsiębiorstwa.

W tym stanie rzeczy Zakłady Graficzne rozwijały się coraz pomyślniej, zwiększając nieomal z miesiąca na miesiąc swoje obroty.

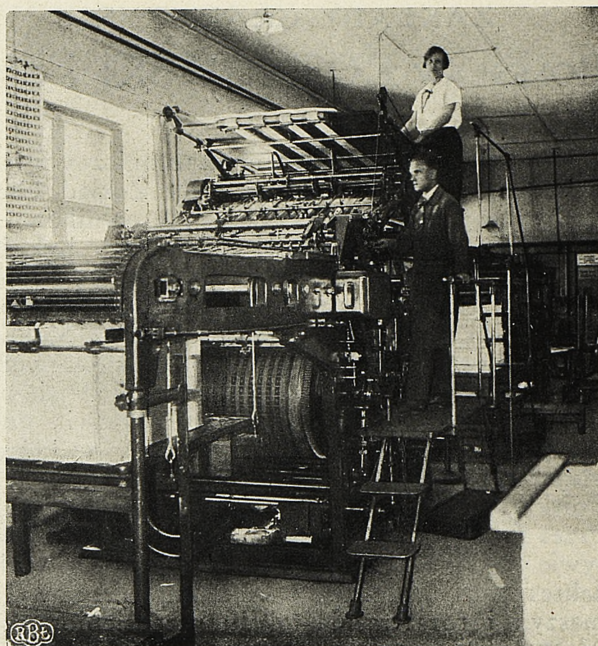
Okres od 1920 r. do 1922 r. był jakby przygotowawczym gruntem pod założenie obecnej firmy jako Spółki Akcyjnej, która dzięki inicjatywie p. B. Kotkowskiego zorganizowana została w styczniu 1923 roku. — W tymże roku Zakłady Graficzne, już jako Spółka Akcyjna nabywają jedną z drukarń w Łodzi i powiększają dział litografji, dzięki czemu dyrekcja firmy zdołała skierować ekspansję na większe ośrodki przemysłowe w kraju i zjednać sobie poważny zastęp najsolidniejszych firm w branży spożywczo-chemicznej. W roku 1924 dyrektor firmy p. Bolesław Kotkowski dokonuje większej tranzakcji w Londynie przez sprowadzenie najnowszych rotacyjnych maszyn litograficznych systemu „Offset", które w ciągu kilku miesięcy zostały zmontowane i uruchomione. — Wspomniane inwestycje umożliwiły firmie konkurencję nawet z zagranicą, dzięki czemu firma opanowała nieomal wszystkie rynki krajowe. Obecnie Zakłady Graficzne w dziale litograficznym należą do najpoważniejszych w kraju, bo posiadają największą ilość maszyn systemu „Offset",



Ogólny widok zakładów



Oddział maszyn drukarskich



Fragment litografji offsetowej

a przez rozszerzenie innych działów, jak działu kartonaży zdołały wyprzeć w dużej części wyroby zagraniczne w dziale specjalnych opakowań i pudełek kartonowych.

Zakłady Graficzne wyspecjalizowane są przeważnie na wielkie nakłady etykiet i opakowań dla fabryk spożywczych, chemicznych, kosmetycznych, wódczanych i włókienniczych. Pod względem jakości i artyzmu wyroby dorównują zagranicznym.

Kapitał zakładowy Spółki Akcyjnej wynosi zł. 250,000. Zarząd firmy stanowią: Prezes Zarządu i Dyrektor—p. Bolesław Kotkowski. Członkowie Zarządu: Aleksander Kotkowski i Jan Alojzy Kamieński. Zarządzającym Zakładami i prokurentem jest Józef Gruszczyński.

Zakłady zajmują w głównem centrum Łodzi specjalny budynek fabryczny, złożony z 6-ciu wielkich sal ogółem o powierzchni około 2000 mtr. kw.



Przedrukarnia

SKŁADY TOWAROWE „WARRANT“ SP. AKC.



Główne biura przy ul. Piotrkowskiej 56

Instytucja Składów Towarowych „Warrant“ założona została w 1899 r. w Łodzi. Od pierwszej chwili ująwszy akcję celowo, wykazała z jednej strony niezbędność, z drugiej istotną, nie dającą się obliczyć w owych czasach, wygodę i ułatwienie w przeprowadzeniu najróżnorodniejszych a nader żywotnych, w tak przemysłowo-handlowem środowisku jak Łódź, interesów.

W roku 1922 Towarzystwo otrzymało od Ministerstwa Skarbu koncesję na pierwsze w Łodzi koncesjonowane składy tranzytowe i wolnocłowe, w których przechowywane być mogą towary zagraniczne do 12 miesięcy bez opłaty cła. Zaś w styczniu 1925 roku dalszą koncesję na składy wolnocłowe i wolnoakcyzowe, w których zagraniczne wina i spirytualja zalegać mogą do 12 miesięcy bez. opłaty cła i akcyzy.

W roku 1925 również Towarzystwo nasze otrzymało od Ministerstwa Skarbu i Ministerstwa Przemysłu i Handlu koncesję na prowadzenie otwartego domu składowego według obowiązującego obecnie prawa polskiego.

Wzmożona działalność i z roku na rok zwiększająca się frekwencja, wymagała odpowiednich składów jak i budynków koniecznych do magazynowania towarów, win, spirytualji i t. p.

Obecnie Tow. „Warrant“ posiada w Łodzi przy ul. Targowej Nr. 6, Przejazd Nr. Nr. 60, 62 i 64 oraz Wodnej Nr. 1 wielkie składy towarowe, połączone własną bocznicą ze stacją Łódź-Fabryczna, które pomieścić mogą do 800 wagonów różnego towaru. Składy te są murowane.

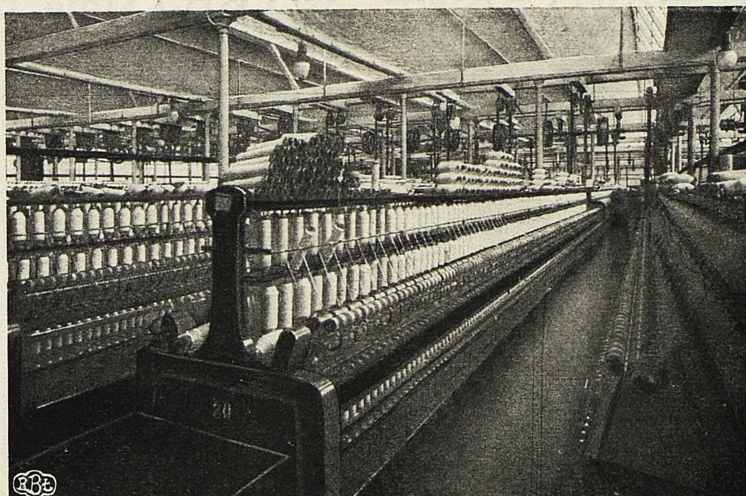


Składy tranzytowe i wolnocłowe

Radą nadzorczą tej rozwijającej się placówki o nader doniosłem znaczeniu dla przemysłu i handlu Łodzi stanowią: p.p. T. Szulborski, prezes, dr. A. Biederman, Adam Osser, Tadeusz Ender i J. Peters sen. Dyrekcję stanowią p. p. D. Graff i O. Szefer.

Działalność Tow. obejmuje: magazynowanie, ekspedycję, clenie, ubezpieczenia, inkaso, zaliczki pod zastaw towarów oraz finansowanie importu i exportu. Biuro centralne mieści się w Łodzi, ul. Piotrkowska 56.

Adres telegraficzny „Warrantbank“. Adres dla posyłek „Warrant“, Łódź-Fabryczna. Tow. posiada równocześnie oddział w Lesznie.



Przędzalnia

MOSZCZENICKA MANUFAKTURA

TEODOR ENDER SPADKOBIERCY

Przedsiębiorstwo powstało w roku 1898. Założycielem był ś. p. Teodor Ender, który po nabyciu dóbr Moszczenica, wybudował w ciągu 1899 roku przędzalnię bawełny o 5000 wrzecionach i tkalnię mechaniczną o 200 krosnach. W latach późniejszych fabryka była stopniowo powiększana i obecnie posiada: 1 maszynę parową o sile 1000 H. P., 1 maszynę parową o sile 30 H. P., 3 kotły parowe o 380 m² powierzchni ogrzewalnej, 18024 wrzecion cienkoprzędnych, 2374 wrzecion odpadkowych, 620 krosien tkackich, własne warsztaty mechaniczne, farbiarnię przędzy i bawełny oraz suszarnię.

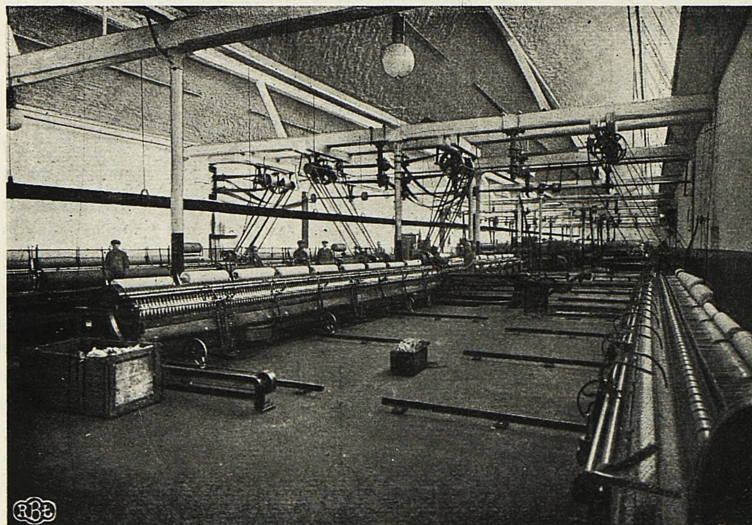
Po wybuchu wojny światowej fabryka została unieruchomioną. W ciągu kilkoletniego okresu okupacji austrjackiej zarekwirowano całkowitą ilość surowca i pasów, maszyn zaś nie zabrano i zostały one prawie w zupełnym porządku.

Produkcję wznowiono już w końcu 1917 roku. Początkowo wyrabiano materjały półwełniane z odcinków wełnianych i odpadków różnych gatunków, a w roku 1919 zaczęto wyrabiać tkaniny bawełniane dla „Puzappu". W latach następnych uruchomiano stopniowo coraz więcej warsztatów, produkcję rozszerzono i w styczniu 1923 roku doprowadzono do rozmiarów przedwojennych.

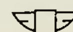
Dzienna produkcja stanowiła wtedy 10000 lbs. przędzy i 33000 mtr. tkanin. W roku 1924 wyrabiano dziennie około 6250 lbs. przędzy i około 19470 mtr. tkanin, obecnie zaś około 10000 lbs. przędzy i około 39000 metrów tkanin dziennie.

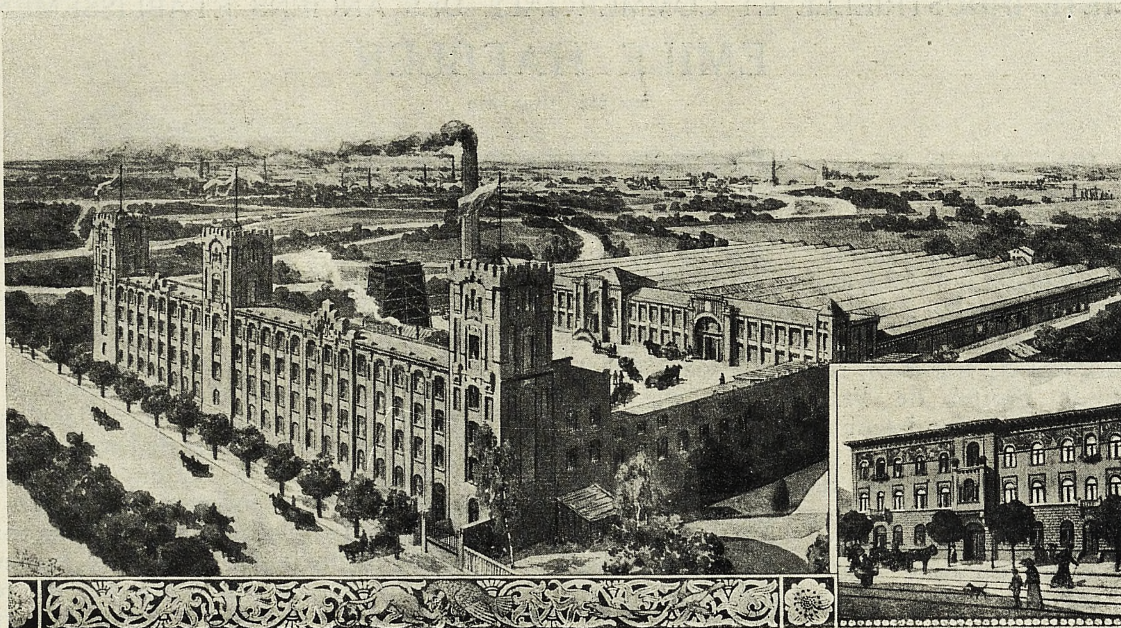
Fabryka zatrudnia obecnie 1300 pracujących i wyrabia tkaniny bawełniane, bieliźniane, barchany, zefiry i różne kolorowe.

Właścicielami firmy po śmierci ś. p. Teodora Endera są p. p. Karol Ender, Teodor Ender, Irena z Enderów Kindermanowa



Selfaktory





Ogólny widok fabryk

ZAKŁADY PRZEMYSŁU BAWEŁNIANEGO
JULJUSZA KINDERMANNA, SP. AKC., W ŁODZI

Na jednem z wybitniejszych miejsc przemysłu łódzkiego znajduje się niemal od czterdziestu lat firma Juljusza Kindermanna.

Od pierwszej chwili założenia swego w roku 1892 zaczęła zdobywać na rynku przemysłu bawełnianego w Łodzi coraz to wydajniejsze pole pracy.

Usilna praca i celowe zamierzenia najdobitniej zaznaczyły się już w roku 1897, gdzie przy ul. Łąkowej Nr. 23/5 wzniesiona została własna tkalnia, do której przeniesiono krosna i ześrodkowano inne oddziały zakładów z poprzednio wynajętych i dzierżawionych zabudowań fabrycznych.

Już w roku 1905 przystąpić musiano do wzniesienia nowych zabudowań, a zwłaszcza t. zw. budynków szedowych, jak również własnych wykończalni i farbiarni, co dzięki obszernym terenom fabrycznym pozwoliło całe składy ześrodkować na jednym własnym terenie.

Od tej chwili zakłady przemysłu bawełnianego J. Kindermanna z dniem każdym zyskiwać zaczęły na znaczeniu, powadze i powodzeniu.

Firma Juljusza Kindermanna, przetrwawszy klęski wojny, okupacji i rekwizycji podjęła na nowo trud, a przekształciwszy firmę w roku 1922 na spółkę akcyjną z pierwotnym kapitałem 25.000.000 marek, jeszcze w tym samym roku podwoiła kapitał zakładowy o drugie 25.000.000 mk.

Przy sporządzeniu złotowego bilansu kapitał zakładowy w roku 1924 ustalony został na sumę 3.000.000 złotych w złocie i kapitał zapasowy około 600.000 zł. w złocie.

Obecnie zakłady przemysłu baw. Juljusza Kindermanna Sp. Akc. zajmując imponujący teren przy ul. Łąkowej, rozporządzają gmachem przędzalni cienkoprzędnej o 8.000 wrzecion, tkalnią o 650 krosnach mechanicznych, zabudowaniami wykończalni, farbiarni, drukarni i bielnika.

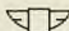
Jak owocnie przedstawia się dziś rezultat celowej, owocnej i świadomej czynu swego pracy najlepiej świadczą cyfry, ujmując kapitały własne spółki sumą

zakładowych zł. w złocie . . .	3.000.000
zapasowych „ „ . . .	637.000
amortyzacyjnych „ . . .	1.026.375

Zakłady wyrabiają w najnowszych deseniach: różne gatunki pluszu na ubiory damskie i męskie, kretony, flanele, rypsy i materjały na ubiory damskie: farbowane, kolorowo-tkane i drukowane.

Zarząd spółki stanowią: Juljusz Kindermann sr. Prezes, Klara Kindermann, Juljusz Artur Kindermann jr., Dr. Alfred Kindermann, Dr. Kurt Schweikert, August Deryng.

Zaznaczyć jeszcze należy, że obecnie biura zarządu mieszczą się w jednym z najpiękniejszych stylowych gmachów przy Piotrkowskiej, którego fasadę podaliśmy na str. 91 „Giewontu".



SOCIÉTÉ INDUSTRIELLE ET COMMERCIALE DES ANCIENS ETABLISSEMENTS

EMILE HAEBLER

Société Anonyme

En 1900, Mr. le Baron Charles-Emile de Haebler fonda une société anonyme dénommée „Société Industrielle & Commerciale des Anciens Etablissements Emile Haebler", dont il est encore actuellement le Président du Conseil d'Administration, à laquelle il fit apport de différents de ses Etablissements privés, société au capital de 5 Millions de francs-or, représenté par 50.000 actions de capital de Frs. 100.— chacune, et 50.000 parts de fondateur sans désignation de valeur.

En 1903, ce capital fut réduit à 4 Millions de francs-or par supression complète de 10.000 actions de capital, le nombre de parts de fondateur étant diminué également d'un pareil chiffre, ramenant ainsi le capital à 4 Millions de francs en 40.000 actions de 100 francs-or et 40.000 parts de fondateur, capital actuel. Cette réduction du capital était justifiée par le fait de la supression du commerce de charbons en gros figurant parmi les apports de l'origine de la Société.

Le siège de la Société et le bureau central sont situés à Bruxelles, 42, Avenue des Arts.

Les actions et parts de fondateur de la Société sont cotées à la Bourse de Bruxelles depuis 1911.

La Société exploite 4 usines distinctes, sises en Pologne: à Lodz, elle possède une filature de coton. A Piétrokow, elle possède une verrerie à vitres, une gobeletterie et une scierie, à laquelle est adjoint un atelier de menuiserie pour la fabrication des caisses nécessaires à l'emballage de ses produits, en un mot elle forme un tout complet. Il est à noter, — détail important, — que les usines de Piétrokow sont situées sur la ligne Varsovie-Vienne et raccordées au chemin de fer.

La Société possède en outre des bureaux de ventes dans les principaux centres, tels que Varsovie, Lemberg, Lodz, Posen, Bromberg.

Les Administrateurs-délégués, représentants autorisés de la Société, sont les Barons Armand et Achim de Haebler, qui assument également la Direction générale de toutes les usines.

Le bureau général pour la Pologne se trouve situé à Lodz, ulica Pusta No. 9. — C'est là que se trouvent également centralisés les services de la filature, tandis que ceux des trois usines de Piétrokow sont centralisés à Piétrokow même, dans un vaste immeuble appartenant à la Société, ulica Legjonów No. 9, sous la Direction de Mr. Reynhold Chrystman.

Outre le capital nominal de 4 Millions de francs-or la Société dispose de réserves s'élevant à plus de 3 Millions de francs-or également, après avoir amorti toutes les pertes résultant de la période de guerre.

La Société jouit d'une réputation de tout premier ordre et ses actions sont cotées toujours au-dessus de l'équivalent de la valeur nominale.

La Société occupe environ 2.500 employés et ouvriers, chiffre qui pourrait atteindre 3.000 si les usines donnaient leur pleine production.

Les ventes annuelles se chiffrent par 12 à 15 Millions de francs-or.

Le nombre de broches, à la filature, à Lodz, a été augmenté récemment de 10.000 pièces, ce qui porte le nombre total de broches à 32.000, outre 8.000 broches en action à la torderie. On est occupé en ce moment à faire des transformations à la filature, transformations qui permettront de travailler suivant le système dit de „Casablanca", ce qui permettra de réaliser une très notable économie dans le prix de revient.

L'usine produit des fils de coton simples et des fils de coton tordus, du No. 4 au No. 44, au gré de la clientèle.

En ce qui concerne la verrerie „Kara", elle est la plus importante de son genre en Pologne, et produit des verres à vitres de toute première qualité, en toutes grandeurs et en toutes épaisseurs, ainsi que des bouteilles et des bonbonnes à acides. — En 1923, les moyens de production de cette usine furent plus que doublés par l'agrandissement de ses bâtiments et par l'installation d'un second four à bassin, ce qui lui permet d'ateindre annuelement une production de 2 Millions de m². de verres à vitres.

Dès après la guerre, la Direction s'appliquait également à améliorer et à agrandir les installations de la gobeletterie, dénommée „Hortensja", de sorte que cette usine occupe aujourd'hui en Pologne le premier rang en ce qui concerne l'importance et la qualité de ses produits. Elle travaille au moyen de fours à pots et de fours à bassin avec trois équipes. Elle s'est surtout spécialisée dans la fabrication de la gobeletterie en verres uni, guilloché, gravé; en verres d'ornement pour lampes électriques, au pétrole et au gaz; en verres pressés de toutes sortes; en bocaux pour conserves; flacons de toilette et de parfumerie; des verres peints à froid ou recuits; des verres aiguisés, etc. etc. ainsi que dans la fabrication des cristaux de bohême blancs et colorés. En un mot, elle a réalisé la production des verres coulés et taillés de toutes sortes, allant des qualités ordinaires jusqu'aux qualités les plus fines actuellement connues.

Enfin, ainsi qu'il a été dit plus haut, la Société a installé, en s'inspirant des méthodes les plus modernes, un vaste atelier spécial, avec scierie, pour le travail du bois nécessaire à la fabrication des énormes quantités de caisses dont elle a besoin pour l'emballage et l'expédition de ses produits.

Nasz rekord!

Od wydawnictwa.

W dobie wszechświatowych rekordów i wszelakich „wyczynów“ sportowych, w dobie niezwykle trudnej dla mózgów, a jakże zwycięsko łatwej dla jednej pary nóg, w dobie upadku książki a triumfu dyska i oboli — dążymy i my do rekordu w swoim rodzaju.

Projekt „Giewontu“, ujmującego w jednym numerze Paryż—Warszawę—Zakopane, zrodził się pewnej deszczowej nocy na werandzie u Karpowicza. Było to po wydaniu pierwszego numeru, gdy zawsze tak pogodnie usposobiony ś. p. Stanisław Przybyszewski zauważył, że „Giewont“ jako wydawnictwo zakopiańskie się nie utrzyma — że Zakopane materjałem wyczerpie się wkrótce, a już zupełnie mowy być nie może o pokryciu kosztów. Ludwik Solski zaznaczył, że możnaby w „Giewoncie“ łączyć Kraków z Zakopanem, ale i Kraków spotkał się z zarzutem niemożności utrzymania tak kosztownego wydawnictwa. I wtedy to w gorączce dyskusji, a złośliwych dogadywań i sentencji, przemiłego Edmunda Biedera, poety-satyryka a zarazem rezydenta Krupówek, projekt poświęcenia każdego zeszytu „Giewontu“ innej miejscowości i stworzenia w ten sposób stopniowo monografji większych miast Polski, z ogólnem spotkał się uznaniem. Zaczęto wymieniać Poznań, Lwów, Wilno, Warszawę... Ale Bieder nie spał, spojrzał po obecnych i zakonkludował „Jeżeli Kraków z Zakopanem, to Warszawa chyba z Paryżem, haj!? — Dlaczego nie, pochwycił redaktor „Giewontu“, bardzo ciekawe zestawienie i choć trudne lecz warte pracy, teraz drugi zeszyt „Giewontu“ Kraków, — trzeci Łódź, — czwarty... No a czwarty... „Zakopane—Warszawa—Paryż“ zakończył śmiejąc się dobrotliwie St. Przybyszewski.

Rozkaz! — Słowo się rzekło!

Zapowiedź przyjęta głośnym a ogólnym aplauzem, rozbawiła całe towarzystwo. — A na drugi dzień na werandzie Karpowicza, między karykaturami Sichulskiego i innych, pojawiła się nowa, art. malarza Koniewicza, przedstawiająca redaktora Adama Kowalczewskiego-Siedleckiego jedną nogą wspartego na Giewoncie — drugą zwycięsko postawioną na wieży Eifla! — napis *„Giewont Nr. 4“.*

Karykatura ta wisi do dziś dnia.

Tempi passati. — Niema już ani Kasprowicza, ani Przybyszewskiego, których nazwiska zaszczyciły pierwszy nasz numer, minęły czasy okrągłego stołu na werandzie Przełęczy. — Mamy już za sobą — trzy zeszyty „Giewontu“, wydane z trudem i borykaniem, z zawiścią tak nieodłączną u nas każdemu poczynaniu i z ludźmi, tak dalekimi od wszelkich nikomu dziś nie potrzebnych wydawnictw. Mimo to, a może właśnie dlatego, — robimy swoje i zgodnie z zapowiedzią Nr. 4 „Giewontu“ damy, pod zawołaniem:

„ZAKOPANE—WARSZAWA—PARYŻ!“

Zdając sobie sprawę z ogromu podjętego zadania, zwracamy się do wszystkich zainteresowanych naszym wysiłkiem, o pomoc w współpracy, nadsyłanie materjału ilustracyjnego (sztychy, stare fotografje), korespondencji, pamiątkowych rękopisów, pism, treści anegdotycznej, ewentualnie zawiadomienia celem skopjowania na miejscu cenniejszego dokumentu lub t. p., zwłaszcza danych tyczących starej Warszawy, jak też emigracji paryskiej z 31 i 63 roku.

Do czwartego zeszytu „Giewontu“, który wydany będzie w dwóch językach (polskim i francuskim) pragniemy zaprosić najwybitniejsze pióra tak Polski jak Francji, mając już cały szereg nader cennych przyrzeczeń i zapowiedzi współudziału wraz z słowami życzliwej zachęty.

Bliższe dane, z całym szeregiem zaszczytnie znanych w literaturze nazwisk oraz z gronem kierowniczych redaktorów poszczególnych działów, a także adresem redakcji w Paryżu, podamy niebawem, w specjalnym ilustrowanym

PROSPEKCIE-BIULETYNIE,

jakim zazwyczaj poprzedzamy każdy numer „Giewontu“.

Zaznaczyć jeszcze możemy, że poza określonym planem, obejmującym treścią Zakopane—Warszawę—Paryż, w Nr. 4 „Giewontu“ zamieścimy cały szereg ilustracji i opisowych skrótów uzdrowisk Małopolski, Górnego Śląska, Kresów, i co piękniejszych krajobrazów i pamiątkowych zabytków z całej Polski, czerpiąc obficie z teki redakcyjnej, gromadzącej już od dawna olbrzymi materjał do zamierzonego największego naszego rekordu

„GIEWONT—AMERYKA“

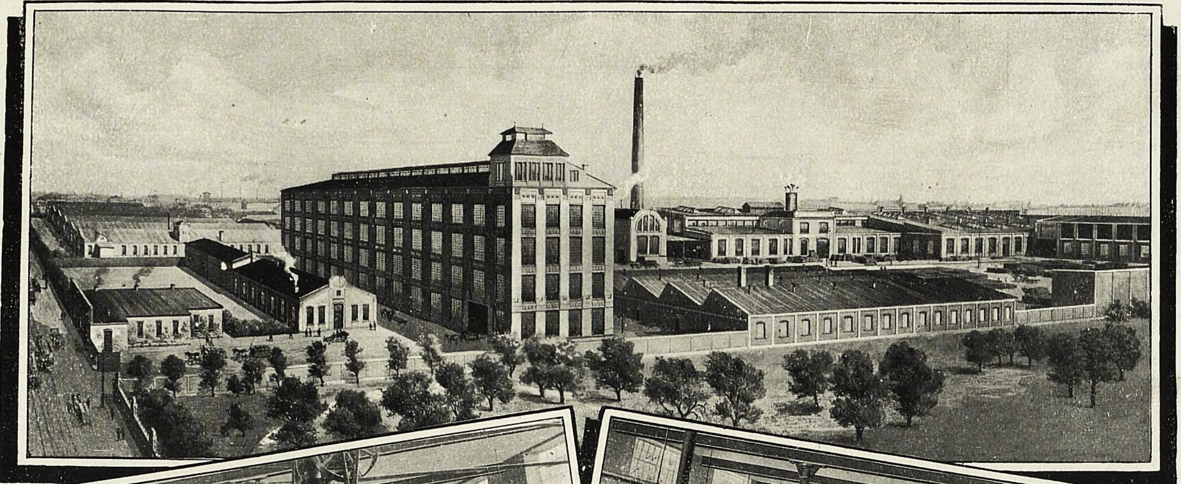
będzie nim zeszyt „Giewontu“ poświęcony rodakom naszym w Ameryce, po opracowaniu trzech dalszych numerów obejmujących w swej monografji miast — Lwów, Poznań, Wilno i t. d.

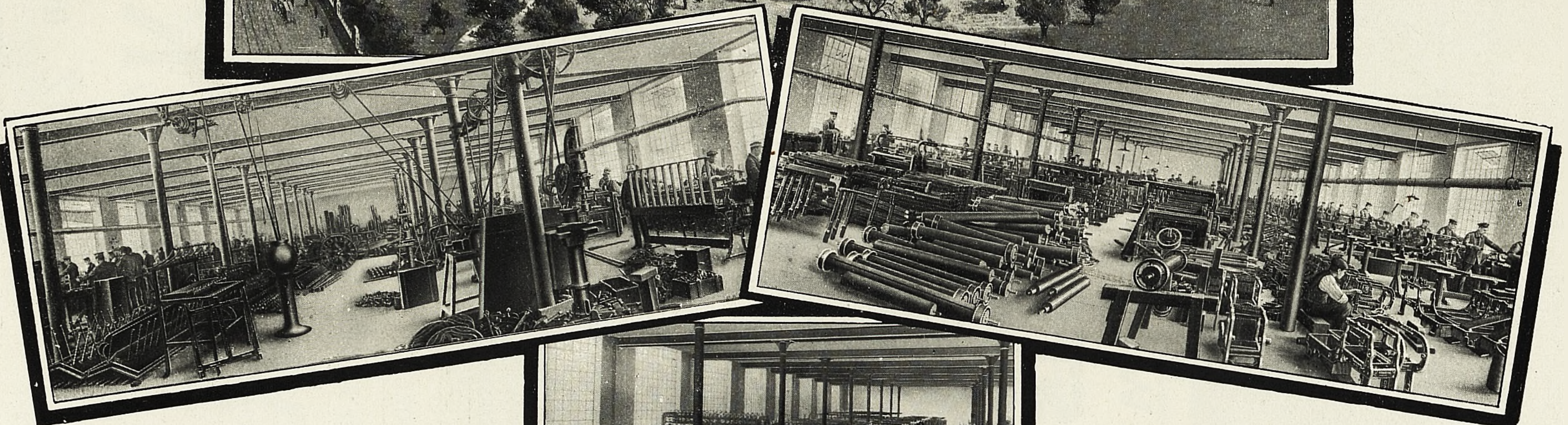
Adresy tymczasowe: Łódź, ul. Sienkiewicza 37 m. 15 „Giewont“, — Warszawa, Warecka 11 m. 21.

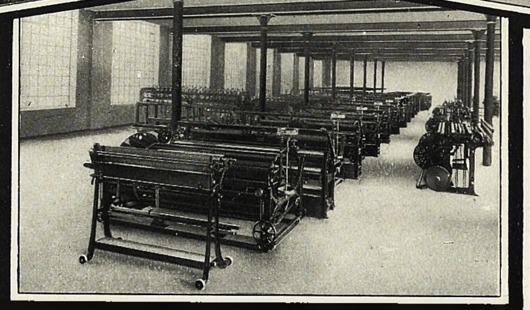
P. S. Artykuły czy też uprzejmie nadesłane prace literackie, które obecnie w № 3 nie znalazły miejsca, jak również pominięte przeoczeniem lub zbyt późno dostarczone sprawozdania, teksty, fotografje i t. p., zamieścimy w miarę ich celowości w № 4 „Giewontu“

lub w będącym w opracowaniu II tomie **(Dodatku-Suplemencie)**

do niniejszego numeru „Monografji Łodzi“, celem dopełnienia całości i zamieszczenia licznie obecnie napływających nowych zgłoszeń instytucji, stowarzyszeń i t. p.







Fabryka maszyn i odlewnia żelaza MÜLLER i SEIDEL, Sp. Akc.

Łódź, ul. St. Żeromskiego 96.

Założona w 1911 roku.

Spółka Akcyjna
dla Handlu i Wyrobu Towarów
Jedwabnych

Maurycy Tauman

w Łodzi

Juljusza 6/8 — Targowa 7/9

Telefony: Fabryka i biuro 6-22, Dyrekcja i Zarząd 23-75

Adres telegr.: „MAURYTAU"—ŁÓDŹ

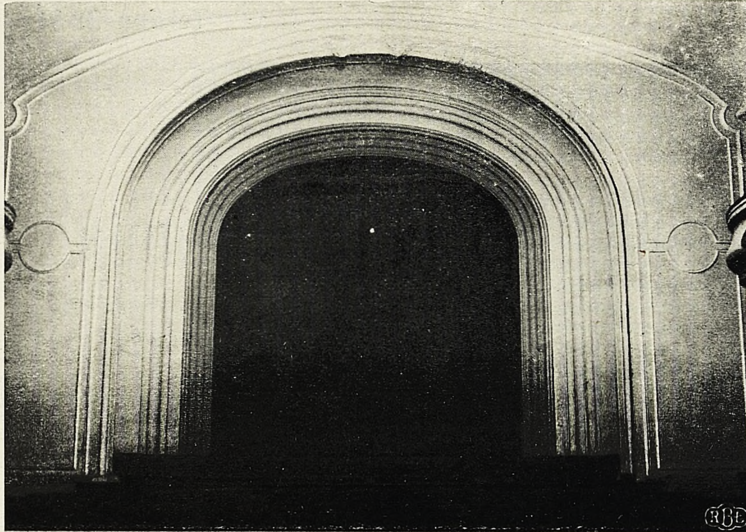


Skład Fabryczny:

Piotrkowska № 53, tel. 17-81

Fabryka wyrabia tkaniny jedwabne, półjedwabne
i z jedwabiu sztucznego wszelkiego rodzaju
Specjalne urządzenia
dla wyrobu Crêpe-de-Chine i Crêpe Georgette
Jedyna w Polsce skręcalnia jedwabiu na 5000 wrzecion

Przedstawicielstwa i składy konsygnacyjne
w Warszawie, Lwowie i Poznaniu



Najelegantsze

KINO

Łodzi

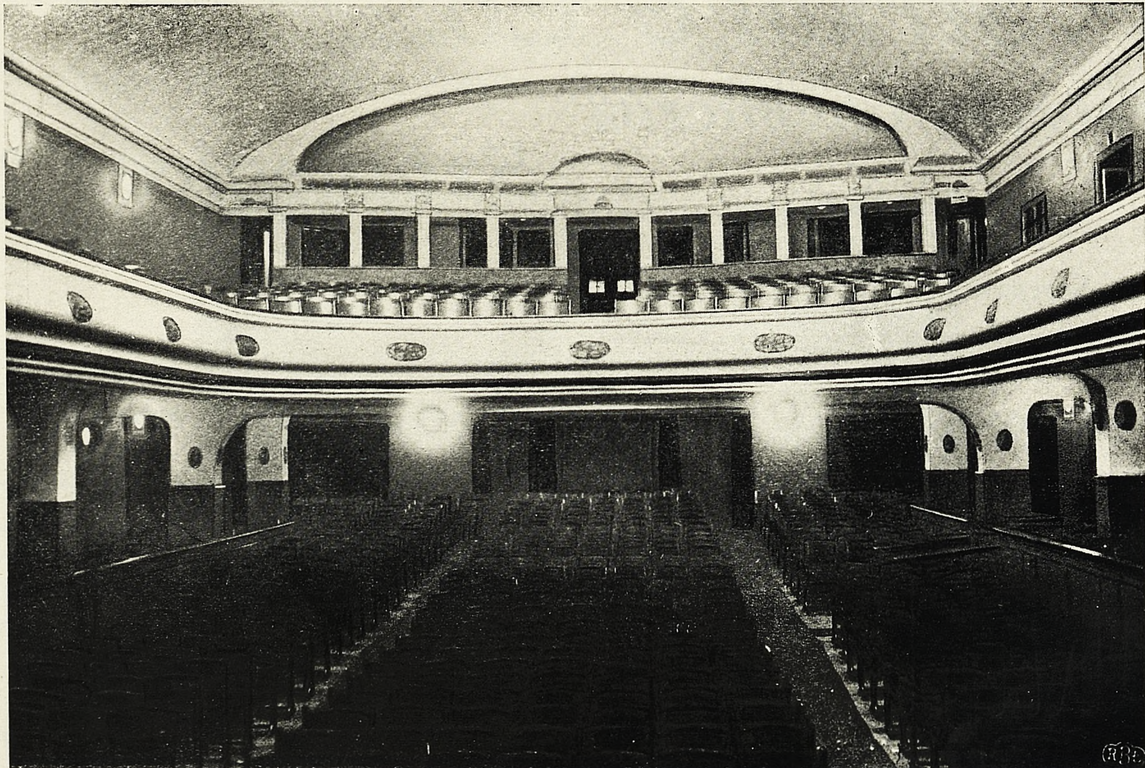
Rendez-vous

towarzyskie

to „CASINO"

Pierwszorzędne filmy zagranicznych wytwórni

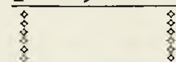
Artystyczny zespół orkiestry.



Odeon

Najsympatyczniejszy
Kino-Teatr w Łodzi.

Przejazd 2



Telefon 15-07



B-cia P. i M. Schwalbe

ŁÓDŹ, Piotrkowska 85.

NAJWIĘKSZY WYBÓR

OBUWIA WIEDEŃSKIEGO
KAPELUSZY
KRAWATÓW
POŃCZOCH
i BIELIZNY DAMSKIEJ i MĘSKIEJ

Nowootwarty wytworny

KINO=TEATR p. n. **WODEWIL**

Urządzony według najnowszych wymagań

róg Piotrkowskiej i Głównej.

ODDZIAŁY:

w Bydgoszczy, Jagiellońska 60, tel. 661

Poznaniu, Św. Marcina 15, tel. 37-97

Krakowie, Rynek Główny 16, tel. 33-03

Równem, 3-go Maja 67.



Reprezentacje, Inspektoraty i Ajentury

we wszystkich znaczniejszych miejscowościach Rzeczypospolitej.

TOWARZYSTWO UBEZPIECZEŃ
„EUROPA"

Sp. Akc.

w Warszawie, Królewska 18 (dom własny)

Oddział na Województwo Łódzkie: Łódź, Piotrkowska 18.

Dla amatorów dobrej herbaty!

Żądajcie wszędzie wykwintne gatunki

Herbaty Nr. Nr. 10, 12, 18 firmy

Krajowa hurt. herbaty

dawn. Tow. M. SZUMILIN Sp. Akc., **Warszawa, ul. Miodowa 25.**

Najstarsza w kraju polska firma herbaciana egzyst. od roku 1840.

Nagrodzone wieloma Medalami i Dyplomami Honorowemi na wystawach

Konserwy warzywne, Kompoty, Soki, Zaprawy do wódek i Wina owocowe „IVERCY"

poleca **Spółka Akcyjna Handlowo-Przemysł.** **JÓZEF WERNER, CYRAŃSKI i S-ka** **Warszawa, ul. Solec 41.**

Przedstawiciel na Łódź i okolice:

STANISŁAW KUBIAK

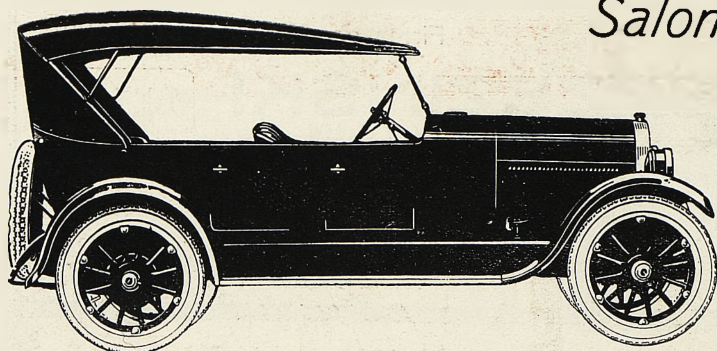
PRZEJAZD Nr. 4
TELEFON 7-46.

Fabryka Przetworów i Tektur Smołowcowych

Henryk Lubawski i S-ka

poleca: tekturę smołowcową w przedn. gatunkach różnych grubości, oraz smołę preparowaną, pak kamienno-węglowy i lepnik.

Łódź, Juljusza 24. Telefon 59-24. — Skr. telegr. „Henlub".



Salon Samochodowy

ZYGMUNT DMOWSKI

Wyłączne Przedstawicielstwo
SAMOCHODÓW:
Chevrolet, Oakland, Pontiac, Lasalle.

ŁÓDŹ
PIOTRKOWSKA 150
Telefon 29-50

Fabryka wyrobów włókienniczych

WŁADYSŁAW ZYLBERSZTAJN, Łódź

Skład: 6-go Sierpnia 2, tel. 52-62. Fabryka: Narutowicza 83, tel. 26-96.
Adres telegr.: „WŁADZYL".

Biuro Elektrotechniczne

JAN PACER

Łódź, Piotrkowska № 104.
Telefon 33-60.

ZAKŁAD TAPICERSKO-DEKORACYJNY
Magazyn Mebli, Firanek, Dywanów i Pokryć meblowych

W. ŁUCZAK

Łódź, Zamenhofa 2. Telefon 14-25.

FILJA: Piotrkowska 102. — Telefon 14-17.

M. KOŁODZIEJSKI

Łódź, ul. Andrzeja № 3.
Skład Towarów Galanteryjnych.
Wytworna konfekcja damska i męska. Bielizna, krawaty, pończochy i rękawiczki. — Wyroby trykotowe.

Zakład Zegarmistrzosko-Jubilerski

JANA CHMIELA

w Łodzi, ul. Piotrkowska 100. Tel. 25-35
Poleca: Zegary salonowe, automobilowe i t. d. krajowych i zagranicznych fabryk. Biżuterje w dużym wyborze.
Uwaga: Przy zakładzie warsztat reperacyjny.

CUKIERNIA
i Fabryka Wyrobów Cukierniczych

TADEUSZ SZANIAWSKI

ŁÓDŹ
ul. Piotrkowska Nr. 113.

Zakład Fryzjerski

R. SCHIELKEGO

(GRAND HOTEL).

Łódź, ulica Prez. Narutowicza № 27

W. SALWA

Kwiaty świeże, Bukiety, Wieńce, Fantazje teatralne.
Wykonanie artystyczne. Ceny konkurencyjne.



Wobec niepomiernych kosztów wydawnictwa egzemplarze „Giewontu" do ogłoszeń tylko za opłatą.

Odbito w Zakł. Graf. Z. Manitiusa w Łodzi, Żeromskiego 87.

ZAKŁADY FOTOCHEMIGRAFICZNE

SPECJALNOŚĆ

KLISZE do wszelkich druków reklamowych:
do gazet, pism, ulotek, cenników.
Nagłówki na papiery firmowe, papiery pakowe, etykiety, podpisy, dyplomy, plakaty e.t.c. e.t.c.

RYSUNKI i PROJEKTY REKLAMOWE

ZDJĘCIA FOTOGRAFICZNE
fabryk, zakładów, maszyn, aparatów i.t.p.

RETUSZ KOPJI FOTOGRAFICZNYCH
spos. amerykańskim.

SZYLDZIKI FIRMOWE

ROMAN BORKENHAGEN

TELEFON 11-72 ŁÓDŹ PIOTRKOWSKA 100

II^GI TOM "GIEWONTU"!!

Niezwykłe zainteresowanie Nr. 3 Giewontu, obejmującym Monografję Łodzi, sprawiło, że już po ukończeniu druku niemal w ostatniej chwili zaczęły nader licznie napływać zgłoszenia Stowarzyszeń, Instytucyj, Związków i t. d. jak też fotografje, wspomnienia tyczące Łodzi, ilustracje i t. p., które nie weszły do rzeczonego numeru. Nie chcąc opóźniać wydawnictwa, z drugiej strony pragnąc uzupełnić braki i dać możliwie całokształt życia Łodzi, zamierzamy wydać dodatkowo do Nr. 3 Giewontu

SUPLEMENT MONOGRAFJI ŁODZI.

Specjalny ten dodatek wydany będzie w tym samym formacie, na papierze kredowym, tworząc nietyle II^GI TOM ile całość jednolitą z Nr. 3 Giewontu.

Ostatni termin nadsyłania zgłoszeń, tekstów, fotografij i t. p. jak również reklamacyj co do możliwych w niniejszym zeszycie błędów, pominięć, sprostowań i t. p. najpóźniej do dnia 1-go Grudnia 1928 roku.

Adresować prosimy: „GIEWONT" ZAKŁ. GRAF. Z. MANITIUSA, ŁÓDŹ, ul. Żeromskiego 87, lub Red. „GIEWONT", ŁÓDŹ, ul. Sienkiewicza 37, m. 15.

Telefony: Redakcji 63-05, Drukarni 9-99.

II-gi TOM „GIEWONTU"!!

Niezwykłe zainteresowanie Nr. 3 Giewontu, obejmującym Monografję Łodzi, sprawiło, że już po ukończeniu druku niemal w ostatniej chwili zaczęły nader licznie napływać zgłoszenia Stowarzyszeń, Instytucyj, Związków i t. d. jak też fotografje, wspomnienia tyczące Łodzi, ilustracje i t. p., które nie weszły do rzeczonego numeru. Nie chcąc opóźniać wydawnictwa, z drugiej strony pragnąc uzupełnić braki i dać możliwie całokształt życia Łodzi, zamierzamy wydać dodatkowo do Nr. 3 Giewontu

SUPLEMENT MONOGRAFJI ŁODZI.

Specjalny ten dodatek wydany będzie w tym samym formacie, na papierze kredowym, tworząc niejako **II-gi TOM** ile całość jednolita z Nr. 3 Giewontu.

Ostatni termin nadsyłania zgłoszeń, tekstów, fotografij i t. p. jak również reklamacyj co do możliwych w niniejszym zeszycie błędów, pominięć, sprostowań i t. p. najpóźniej do dnia 1-go Grudnia 1928 roku.

Adresować prosimy: „GIEWONT" ZAKŁ. GRAF. Z. MANITIUSA, ŁÓDŹ, ul. Żeromskiego 87, lub Red. „GIEWONT", ŁÓDŹ, ul. Sienkiewicza 37, m. 15.

Telefony: Redakcji 63-05, Drukarni 9-99.

GIEWONT



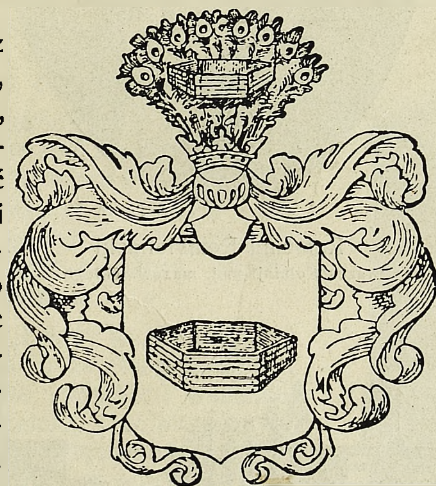
NR. 3. ŁÓDŹ — ZAKOPANE

WYDANIE PROSPEKTOWE BEZPŁATNE DO NR. 3 „GIEWONTU“ ŁÓDŹ — ZAKOPANE

OD WYDAWNICTWA.

Zgodnie z przyjętą już formą, jak poprzednie numery „Giewontu“, tak i obecnie zeszyt trzeci, poprzedzamy rodzajem „Prospektu - Biuletynu“, celem poinformowania z jednej strony, naszych Czytelników o treści i zadaniach podjętej pracy, z drugiej by przypomnieć i przyśpieszyć nadesłanie przyrzeczonych, a zaległych jeszcze, bądź to fotografji czy artykułów, które w tymże numerze „Giewontu“ mają znaleźć swe miejsce.

Zadaniem prospektu jest również zwrócenie uwagi tych wszystkich, którzy posiadając ciekawe pamiątki, fotografje, dokumenty z życia i przeszłości Łodzi, skłonni byliby podzielić się z naszymi czytelnikami i użyczyli ich celem reprodukcji na łamach „Giewontu“. Zmuszeni jesteśmy też do usprawiedliwienia powolności prac w wydaniu „Giewontu“ przy najlepszych chęciach, niezależnej niestety od redakcji. Zebranie odpowiedniego materjału, artykułów, a zwłaszcza przygotowanie i dokonanie zdjęć fotograficznych uzależnionych przy większych objektach, jak widoki, fabryczne sale i t. p., od światła, pogody, możności wreszcie skojarzenia dogodnych warunków w czasie przerw w zakładach przemysłowych, wszystko to złożyło razem specjalnie na gruncie łódzkim, tysiączne przeszkody, na które jedynem lekarstwem były cierpliwość i czas.



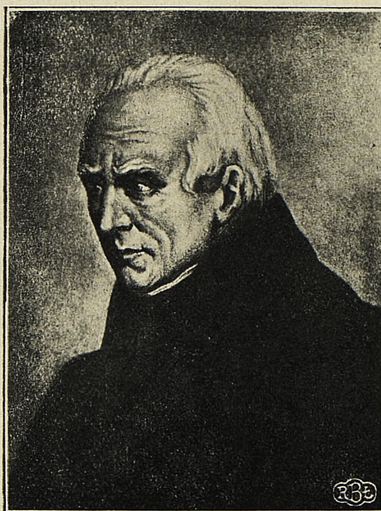
W monografji Łodzi, staraliśmy się ująć treść jaknajwszechstronniej. Od władz, instytucji miejskich i przemysłu, do literatury i sztuki, od kroniki towarzyskiej do związków, stowarzyszeń i grup społecznych. Od czworoboków fabryk, szkół i warsztatów pracy, do teatrów, gmachów, ulic, parków, od sprawozdawczego przeglądu chwili obecnej wreszcie, do retrospektywnego odzwierciadlenia Łodzi z 1830 roku i pierwszych zaczątków rozwoju bawełnianego grodu.

W Nr. 3 „Giewontu“ Łódź — Zakopane zebraliśmy olbrzymi, bo blisko tysiąca zdjęć liczący materjał ilustracyjny, pozyskaliśmy współpracę pierwszorzędnych piór, znanych wybitnie działaczy na polu społecznem, gospodarczem i przemysłowem. Prasa łódzka nader życzliwie poparła nasze usiłowania całym szeregiem prac i artykułów z życia i zagadnień Łodzi, gdy dodamy najchlubniej znane w literaturze naszej nazwiska, które ozdobią dział literacki „Giewontu“ na blisko 300 stronach druku kredowego papieru, z dwunastu planszami widoków Łodzi, fot. art. J. Urbanowicza, i kilkuset zdjęciami z życia łódzkiego wraz z bogato ilustrowanym dodatkiem Zakopanego, to wierzyć chcemy, odpowiemy zadaniu jakie podjęliśmy, rozpoczynając druk trzeciego zeszytu „Giewontu“ pod zawołaniem „Zakopane — Łódź“.

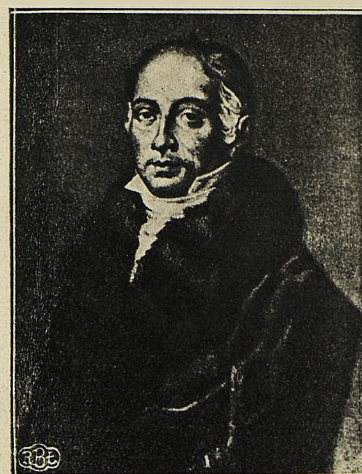
REDAKCJA.



Ksawery Książe Drucki-Lubecki
Minister Skarbu w 1821 r.



Stanisław Staszic



Tadeusz Mostowski
Minister Spraw Wewn. w 1829 r.

Łódź przed stu laty.

Dzisiejsza Łódź tętniąca życiem, zalana na Piotrkowskiej elektrycznem światłem tysiąca lamp, rozdzwoniona dzwonkami elektrowozów, wrzaskiem szybko mknących aut, stłoczona z obu stron jezdni publicznością spieszącą do domów, kawiarni, kin rozjarzonych stu tęcz kolorowych błyskiem, odsuwa w daleką zamierzchłą przeszłość XIII wieku to, co wertując stare manuskrypty, widzi kronikarz. — Oto gdzie dziś ulica Piotrkowska, ciągnie się droga, wstęgą wyboistej szosy, po obu stronach sterczą zbite czarne ściany sennie szumiącego lasu, z którego wydostawszy się na otwarty



Rajmund Rembieliński
Prezes Komisji woj. mazowieckiego.

już szlak do Piotrkowa, z ulgą oddycha podróżny.

Łodzi jeszcze niema. Niema Grand Hotelu, niema Casina, Malinowej, Teatralnej, wogóle nic niema, a najstarsze z dębów, buków, brzóz przez sen nawet nie zdradzają w szumie listowia, jazzbandowych dancingów dreszczy. W rozlicznych topieliskach, stawach i bajorach nie przegląda się, usta barwiczką mażąca, marząca pięknooka łodzianka, a brodaty, sędzielizną omszały łoś, łeb dostojny a już wówczas rogami strojny, nad wodą pochyla, tam gdzie dziś Plac Wolności i Magistratu osiedla.

Ciąg dalszy patrz Nr. 3 „Giewontu".



Nowy Rynek (w roku 1827) dzisiaj Plac Wolności.

Park Staszica z gmachem Wyższej Szkoły Realnej Zgr. Kupców Łodzi

Zakopane.

Zakopane jak i w poprzednich zeszytach „Giewontu“, tak i obecnie znajdzie wyraz w sprawozdaniu z ubiegłego sezonu, oraz bogato ujętej części ilustracyjnej: najpiękniejszych widoków, zawodów narciarskich, a zwłaszcza z pobytu obywateli Łodzi w sezonach letnim i zimowym.

Niezwykle duża frekwencja tak uroczych łodzianek jak i łodzian nawiązała już oddawna silne nici sympatji do gór, słońca no.. i dancingów u Trzaski. Słusznie więc, by „Giewont“ niejako w formie rewizyty, połączył w jednym z zeszytów Łódź z Zakopanem, obrazując tem niejako tęsknotę Łodzi do Tatr, piękna przyrody i cudnie czystego, rozbłękitnionego w śnieżnych puchach powietrza.

W zamian Zakopianie zobaczą „Łódź“ w „Giewoncie“ i miejmy nadzieję, z zaciekawieniem i zainteresowaniem, przekonają się, że i Łódź jako miasto niełądne i wszelkiej brzydoty pełne, ma też jednak swe zalety, i w swoim rodzaju rzeczy piękne i godne uwagi, w olbrzymich kompleksach fabryk, potędze maszyn i ogromnym wysiłku trudu i pracy, która pozwala czasem odetchnąć ozonem gór, nietylko bogatym ale i licznym szeregom pracowników, którzy życie całe spędzają w ciemnych biurach, młodzieży, która z szkolnej ławy rwie się na wycieczki i tylu, tylu innym, którym doprawdy tu w Łodzi życie idzie twardo jak po grudzie. Któż nie marzy o tem by raz choć jeden sezon spędzić w Zakopanem? Niechże więc „Giewont“ Łódź — Zakopane, zacieśni jeszcze węzły sympatji i wzmoże tęsknotę gór.



Łodzianka w górach

Fot. H. Szabenbeck.



Ogólny widok Zakładów Przemysł. Baweln. Ludwik Geyer, Sp. Akc., założonych w 1827 r.

FABR

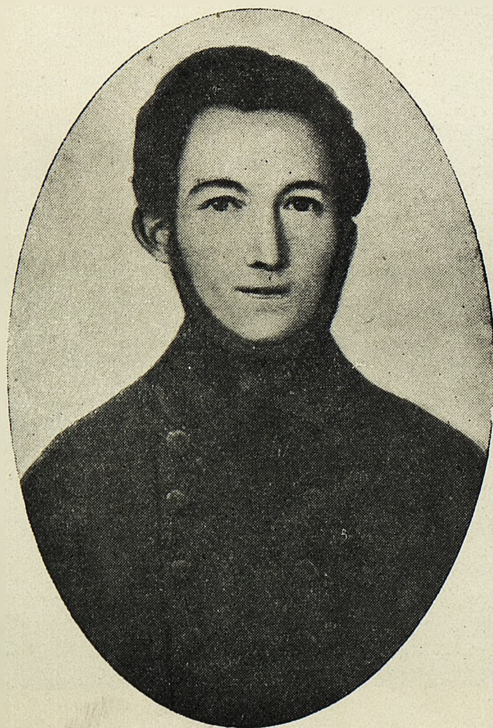
i PRZE

ŁO

Czem jest Łódź dzisiejsza w rzeczywistości, jakie są jej warsztaty pracy, kolosy fabryk, ogromy maszyn, ile trudu i kapitału, lat wreszcie zabiegliwej, skrzętnej a celowej w swem poczynaniu inicjatywy całych pokoleń żyje w każdem drgnieniu rozpędowych kół, wie przemysłowiec i robotnik, zdaje sobie sprawę łodzianin, domyśla się przyjezdny, a już słabo orjentuje się szeroka publiczność i ludność kraju.

To też jedną z główniejszych trosk redakcji „Giewontu" było zdobycie materjału, który pozwoliłby unaocznić i zobrazować przemysł łódzki w możliwym całokształcie. Usiłowaniom redakcji udzieliły życzliwej pomocy w współpracy koła przemysłowe, tak w dokonaniu zdjęć fotograficznych jak i zebrania materjału dotąd nie spotykanego w tych rozmiarach w żadnem z wydawnictw polskich.

Z zakładów przemysłowych Łodzi będziemy mogli w bogatej ilustracji i niezwykle interesującym materjale przedstawić rozwój najstarszych, bo od stu



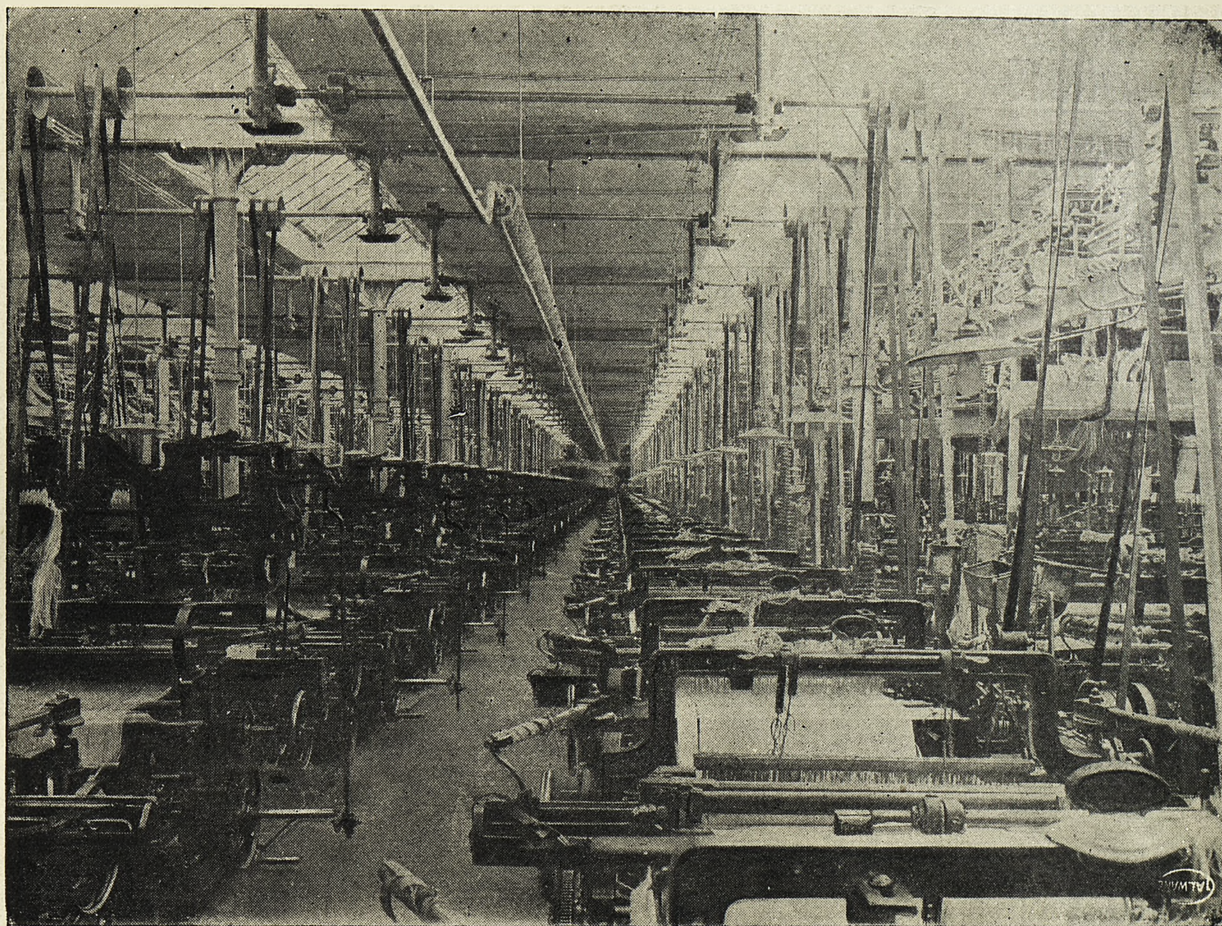
Ludwik Geyer
założyciel zakładów Geyerowskich w Łodzi (1827).



Ogólny widok Królewskiej Huty. Z nadesłanego dla „Gie



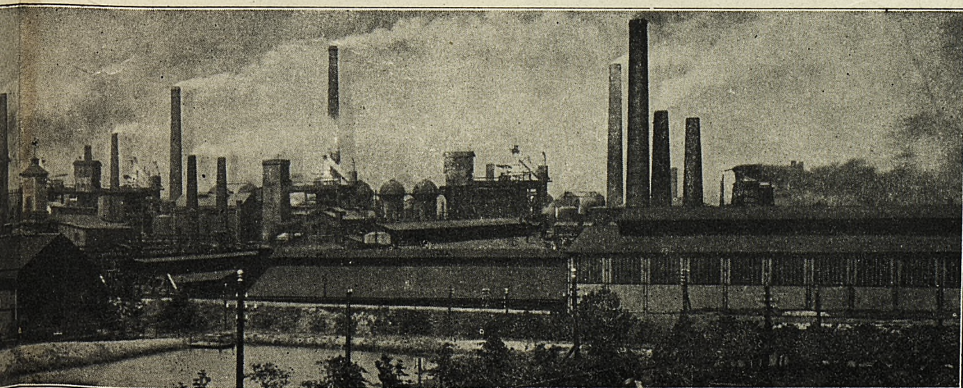
RYKI
EMYSŁ
ODZI



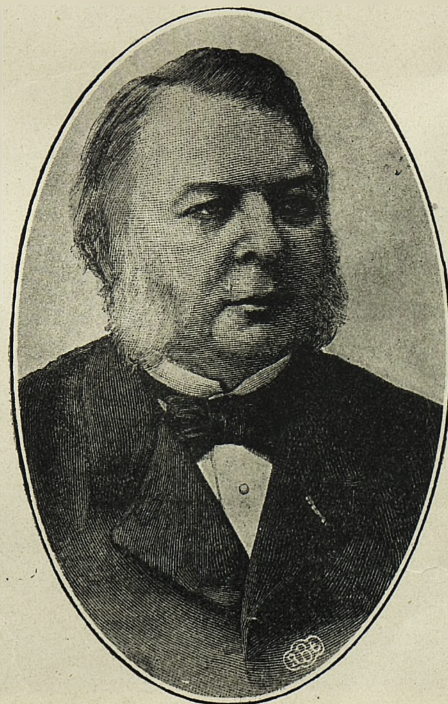
Tkalnia Nowa (sala o 1496 krosnach) w Zjedn. Zakł. Przemysł. K. Scheiblera i L. Grohmana

lat istniejących Zakładów Przemysłu Bawełnianego Ludwika Geyera, Zjednoczonych Zakładów Przemysłowych K. Scheiblera i L. Grohmana, Sp. Akc. Wyrobów Bawełnianych I. K. Poznańskiego, a dalej tak znane Łodzi nazwiska: Barcińskich, Kindermanów, Krusche Enderów, Steigertów i tyle innych firm, które ujęte w całość stworzą w monografji Łodzi istotny almanach przemysłu łódzkiego, nie w suchej statystyce cyfr i wymiarów, ale w formie żywej, barwnej i niezwykle ciekawej ilustracyjnie. Specjalne zainteresowanie zwłaszcza wzbudzą wysoce artystyczne zdjęcia hut szklannych w Piotrkowie, Belg. Tow. pod nazwą Emila Haeblera, które w kilkunastu precyzyjnych planszach wiodą czytelnika przez wszystkie fazy wytwórcze, od prostego szkła do tęczobarwnych pryzmatów kryształu, w tej nie pozbawionej poezji dziedzinie, jaką jest fabrykacja szkła.

Przewodnik Handlowy po Łodzi dopełnia wreszcie w końcowym swym dodatku, całości Przemysłu i Handlu w monografji „Giewontu" Łódź — Zakopane.



iewontu" artykułu Inż. *Józefa Kiedronia* o Górnym Śląsku



Karol Scheibler

Ilustracja „Giewontu“.

Olbrzymi materjał ilustracyjny Łodzi opracowały pierwszorzędne pracownie fotograficzne J. Urbanowicza (przepyszna panorama Łodzi w 12 planszach i cały szereg artystycznych zdjęć specjalnie dla „Giewontu“ w niezwykle trudnych warunkach atmosferycznych i świetlnych), A. Szenfelda (kronika towarzyska), J. Tyraspolski (władze i działacze społeczni); a dalej cały szereg nazwisk jak Peters, Liebe, i z dawnych zdjęć Wilkoszewski, Hube i inni, oraz zdjęcia z uprzejmie użyczonych zbiorów B. Ostrowskiego. Zdjęcia poszczególnych wielkich zakładów przemysłowych z niezwykle ciekawych sal fabrycznych, hal maszyn, warsztatów, kotłowni i t. p. zawdzięczamy uprzejmości dyrekcji i zarządów tow. przemysłowych, które po raz pierwszy zezwoliły na reprodukcję specjalnie dla „Giewontu“ zrobionych zdjęć, z niedostępnych dotychczas wnętrz, w takiej skali i tak bogatej kolekcji.

Nie możemy pominąć nadzwyczajnie ciekawych i pamiątkowych fotografji i dokumentów użyczonych dla redakcji przez wybitnych działaczy i obywateli miejscowych z epoki wojennej i czasów okupacji.



Huty szklanne „Kara“ i „Hortensja“ w Piotrkowie
Belg Tow. Akc. pod nazwą Przem.-Handl. Tow. Przedsięb. Emila Haeblera.

Fotografje wysoce artystycznych, przepięknych widoków Zakopanego dostarczyli p. p. T. i S. Zwolińscy, oraz znane już z poprzednich zeszytów „Giewontu“ atelier H. Szabenbecka. Wspomnieć jeszcze należy uprzejmie nadesłane liczne zdjęcia fotografów amatorów — łodzian i łodzianek, którzy bawiąc w Zakopanem nadesłali niezrównane w swym humorze i beztroskiej wesołości, fotografje z ubiegłego sezonu. Fotografje te, za które już na tem miejscu składamy podziękowanie, znakomicie przyczynią się do ożywienia „Giewontu“, i miłą stanowić będą pamiątkę z uroczego pobytu w Zakopanem dla niejednej z pięknych Czytelniczek i Czytelników „Giewontu“ w Łodzi.

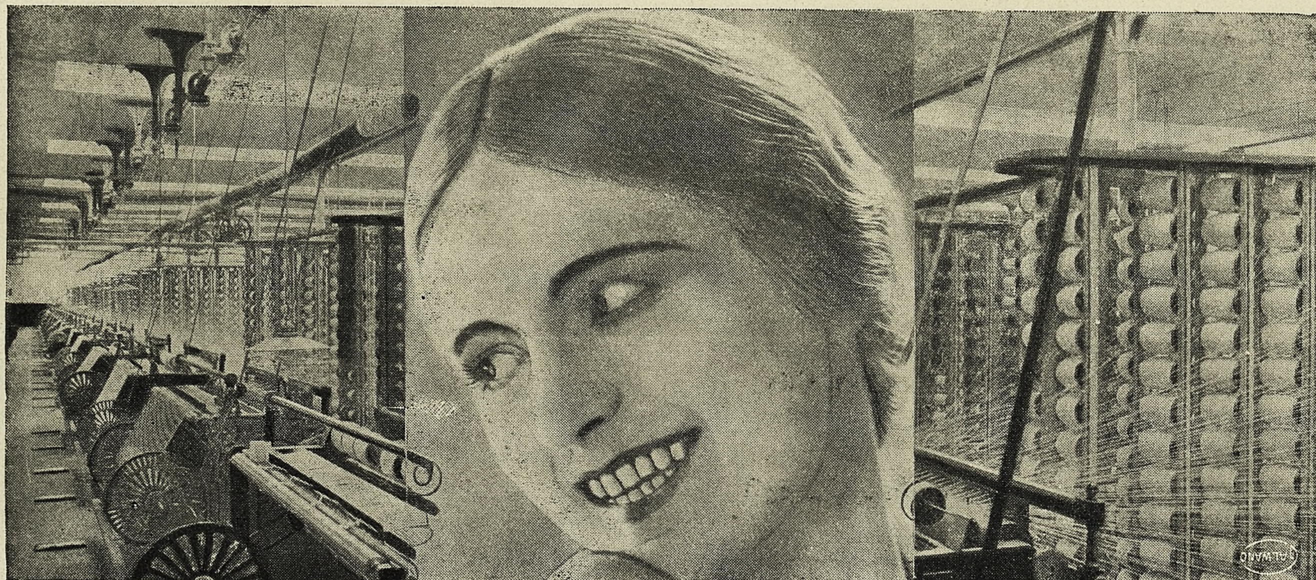


Gazownia Miejska w Łodzi

Dodatkowy Handlowy Przewodnik po Łodzi.

Celem nieprzeciążania wydawnictwa, działem reklamowo - ogłoszeniowym który zajmuje tylko ściśle ograniczone i oznaczone miejsce, dołączamy w formie dodatkowej „Przewodnik Handlowy po Łodzi z wykazem ogłoszonych firm, z podaniem adresu i specjalności.

Dział reklam i ogłoszeń zwykłych w Nr. 3 „Giewontu“ Łódź — Zakopane — zamknięty.



Fot. J. Urbanowicz.

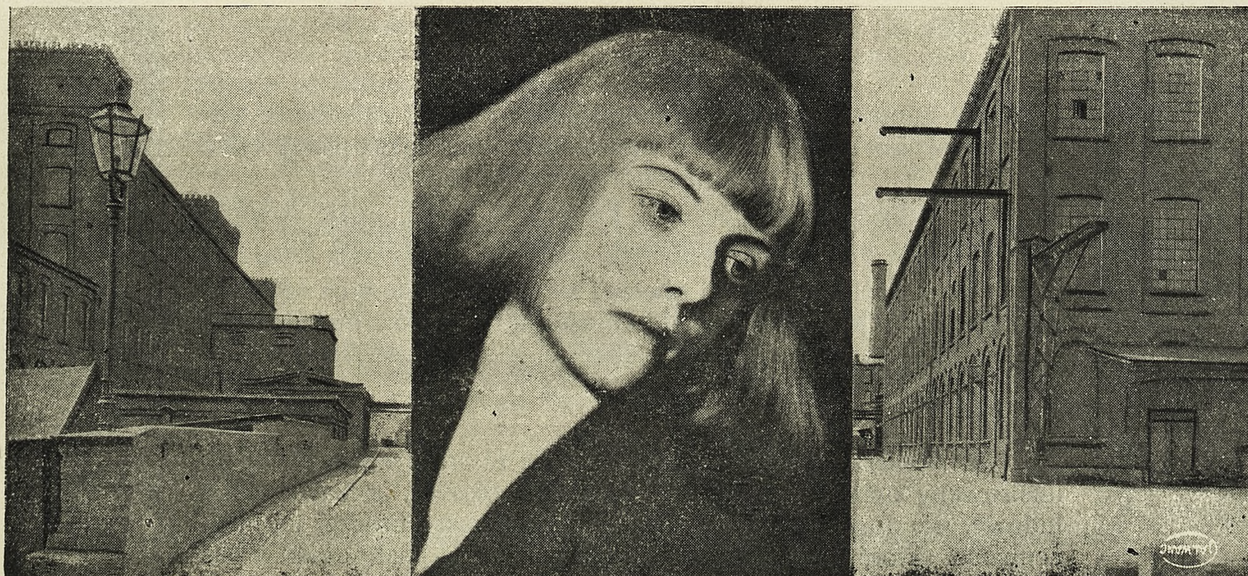
Treść Nr. 3 „Giewontu" Łódź — Zakopane.

Do literackiej treści trzeciego zeszytu „Giewontu" udało się nam pozyskać pierwszorzędne pióra znanych i cenionych pisarzy zamiejscowych, związanych jednakże z Łodzią czy to nicią wspomnień, czy przeżyć, czy też tylko przelotnej gościny.

Jak w pierwszym zeszycie „Giewontu" tak i obecnie w trzecim zabiera głos autor „Mściciela" *St. Przybyszewski, Wł. Perzyński*, autor również niedawno granego „Uśmiechu losu" w łódzkim Teatrze Miejskim. *Zygmunt Bartkiewicz*, który w swoim czasie czerpał swe tętniące życiem i prawdą tematy bezpośrednio na gruncie Łodzi. Dalej *Magdalena Samozwaniec, L. W. Evert, B. Herc, W. Czermański, K. Malinowski, J. Strzelecki.* Z Zakopanego ozwie się *Wł. Orkan, E. Bieder, Dr. S. Alberti, J. Kotarbiński, Helena Roj-Rytardowa, T. Gabryszewski, T. Zwoliński.* Łódź znajdzie niezwykle ciekawe ujęcie swych potrzeb kulturalnych i duchowych w całym szeregu artykułów i prac wybitnych działaczy miejscowych oraz przedstawicieli prasy łódzkiej.

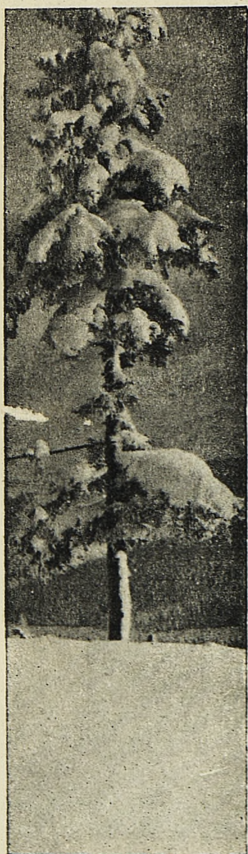
Z posiadanego już w tece redakcyjnej materjału zebranego z Łodzi o Łodzi, zgrupować możemy całość o walorach interesujących i ważkich dla opracowywanej przez nas „Monografji miast Polski".

Łódź zobrazowana i oświetlona w swym charakterystycznym całokształcie w Nr. 3 „Giewontu", bezprzecznie zainteresuje najszersze koła naszych Czytelników i da właściwe pojęcie o swej wartości kulturalnej, przyszłości gospodarczej i zadaniach pracy, stanowiąc równocześnie zebranym materjałem, dokument chwili niepozbawiony poważniejszej wartości dla całego kraju.



Fot. J. Urbanowicz.

Dzisiejsza Łódź.
Jeden z 12 widoków Łodzi, fot. art J. Urbanowicza, specjalnie zdjętych dla „Giewontu" Łódź — Zakopane.



OD ADMINISTRACJI.

Wobec niezwykłych kosztów wydawnictwa, celem unormowania nakładu prosimy uprzejmie o zamówienia wcześniejsze wraz z podaniem adresu **w Łodzi** w księgarni L. Fiszera, Piotrkowska 47, **w Krakowie,** w księgarni S. Krzyżanowskiego, linja A-B w Rynku, **w Zakopanem** w księgarni L. Zwolińskiego, Krupówki 39.

„GIEWONT"

Pierwszy numer „Giewontu" zakopiańskiego został całkowicie wyczerpany i jest zachowany w niewielkiej ilości egzemplarzy tylko dla prenumeratorów rocznych.

Nr. 2 do nabycia w księgarni L. Fiszera w Łodzi, gdzie również prosimy adresować nadesłane rękopisy czy zdjęcia fot.

P. T. Firmy, które do chwili obecnej tekstu zamówionych ogłoszeń nie nadesłały w łódzkim numerze „Giewontu" pomieszczone nie będą.

OD REDAKCJI.

W numerze 3 „Giewontu" znajdzie również miejsce bogato ilustrowany opis Myślenic. Przepiękna okolica, ciekawe stroje ludowe, jak doskonale ujęty skrót monograficzny uroczej tej miejscowości skłoni niejednego do odwiedzenia tego mało dotąd u nas znanego uzdrowiska.

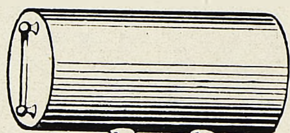


REDAKTOR i WYDAWCA: Adam Kowalczewski-Siedlecki.

Druk B. Kotkowski i S-ka, Sp. Akc. w Łodzi.

ST. WEIGT i SKA

TELEFON 2-87. **ŁÓDŹ** SENATORSKA 22.



WŁAŚCICIELE WILL, GARAŻÓW, BIUR, DWORÓW, MIESZKAŃ etc.

żądajcie, by

INSTALATORZY

stosowali do centralnego wodnego ogrzewania znane od wielu lat na Zachodzie

Kotły „ESWU"

które nie wymagają piwnic;

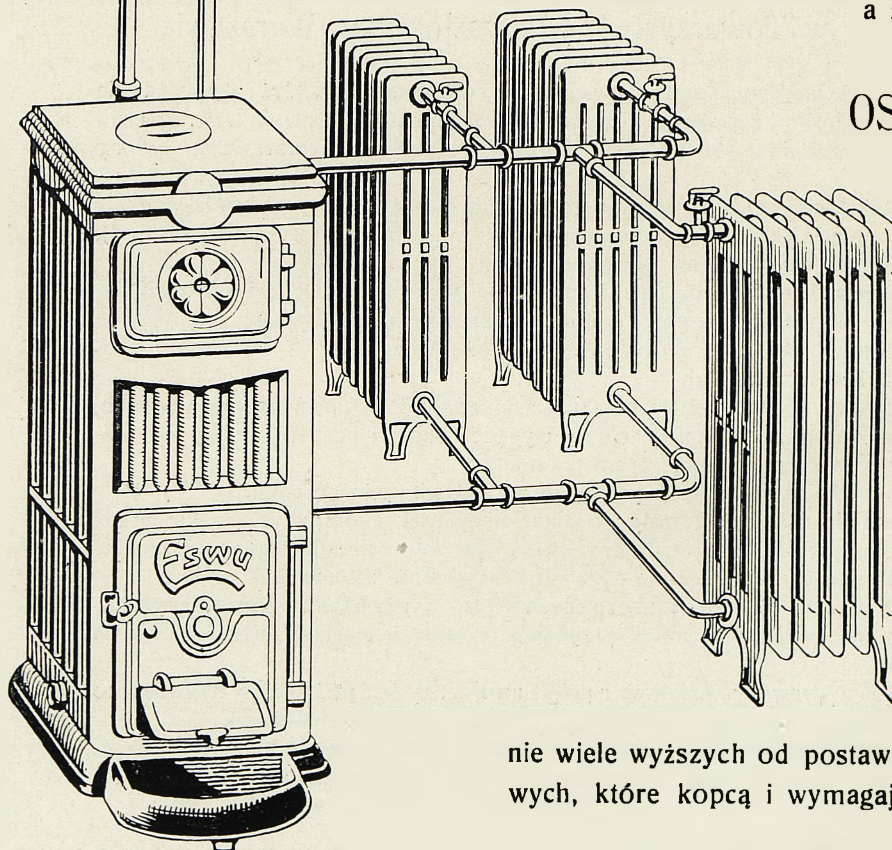
a zyskacie

oszczędność na opale,

higjenę,

komfort,

przy kosztach urządzenia



nie wiele wyższych od postawienia pieców kaflowych, które kopcą i wymagają ciągłej naprawy.

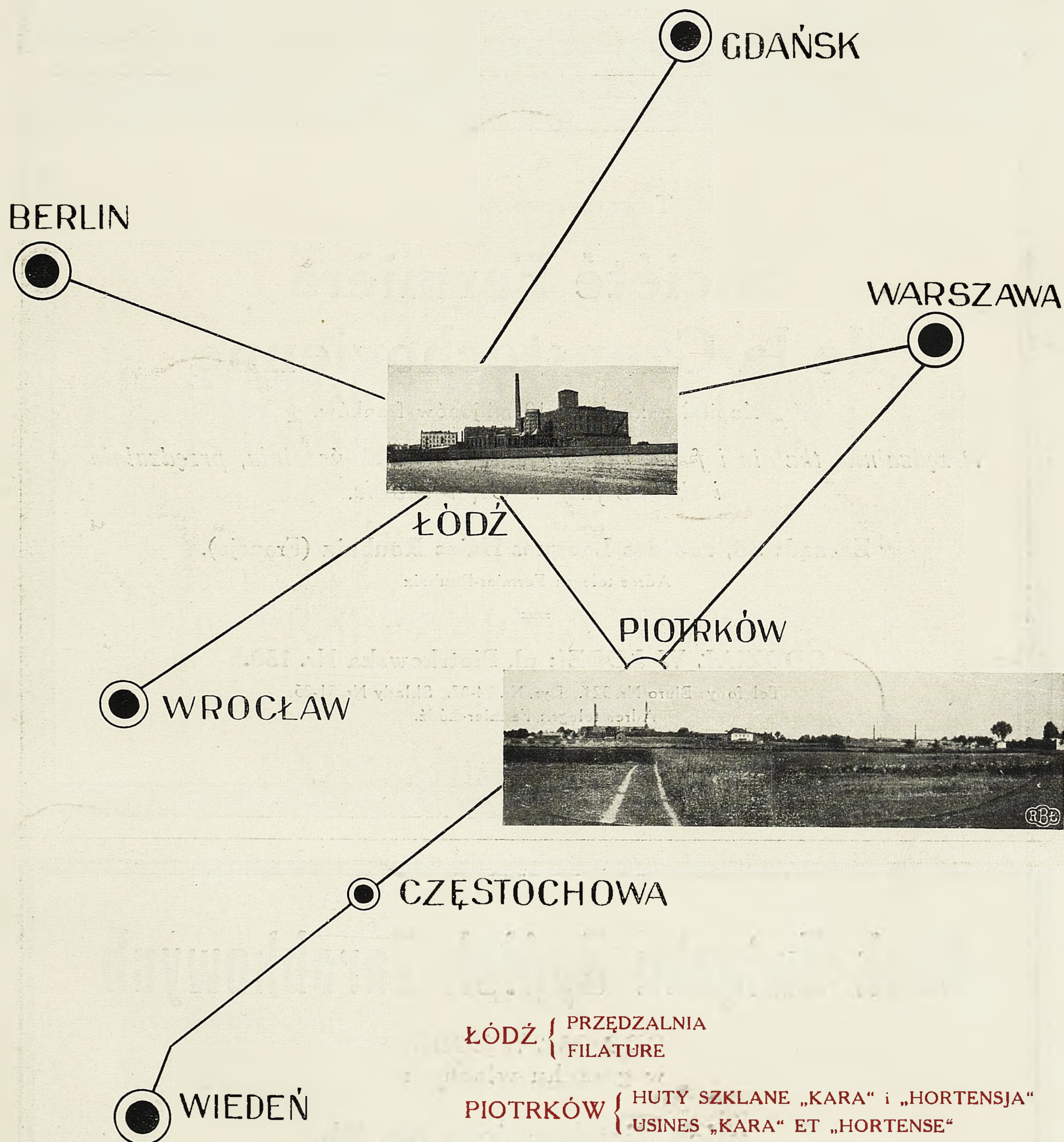
BELGIJSKA SPÓŁKA AKCYJNA „SOCIÉTÉ INDUSTRIELLE ET COMMERCIALE DES ANCIENS ETABLISSEMENTS **EMILE HAEBLER**".

„TOW. AKC. PRZEM. i HANDL. DAWNYCH PRZEDSIĘBIORSTW

EMILA HAEBLERA"

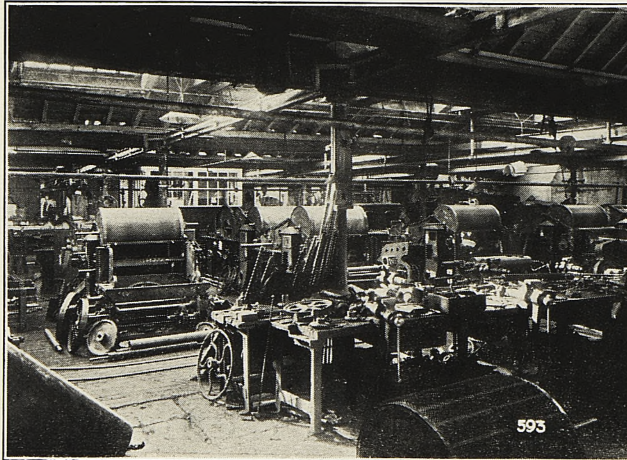
BRUXELLES

ŁÓDŹ — PIOTRKÓW



DOBSON & BARLOW LIMITED

Telegrams:
„Dobsons, Bolton"



Erecting Dept: Blowing Room Machinery.

Established in the year 1790, we are the oldest Textile Engineers in the world. Yet our works to-day represent the best examples of modern Engineering organisation that is to be found in the whole of the industry.

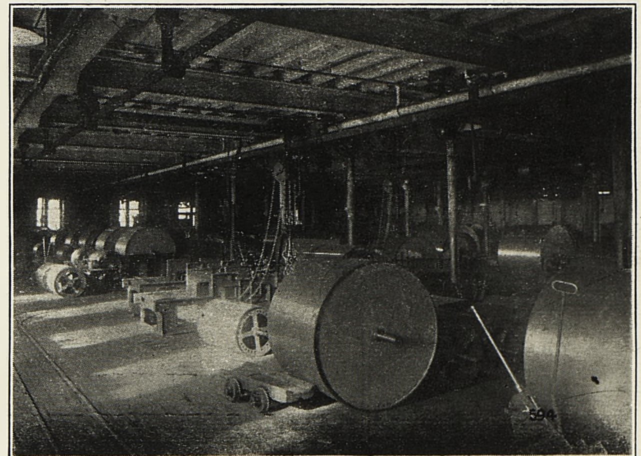
Our Kay Street Works, Bolton, occupy a total ground area of over nine acres.



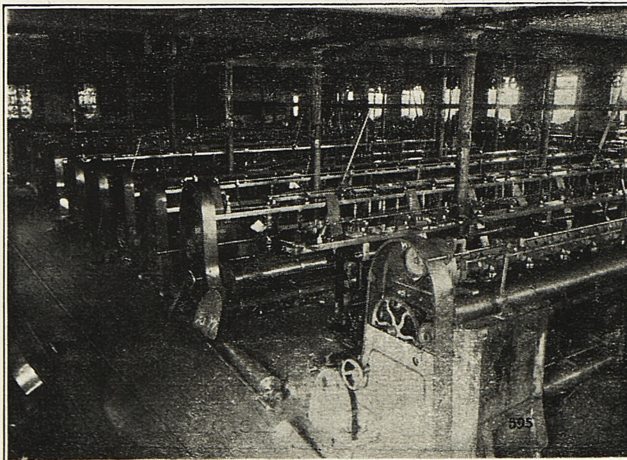
The raw materials used in our productions are thoroughly tested by a staff of expert chemists and metallurgists who ensure that the materials are up to certain specified standards of quality.

For this purpose we have the finest equipped Laboratory in the Textile Engineering Industry.





Erecting Dept: Carding Engines.



Erecting Dept: Fly Frames.

The demands for absolute accuracy in the manufacture of the component parts of the machines are fulfilled by working systematically at all times to limit gauges. These gauges are made and constantly checked in a specially appointed department equipped with the most modern plant and apparatus obtainable for the purpose.

The areas of our main departments are as follow:

Moulding - - - - -	8200	sq. yds.
Machine - - - - -	8400	„ „
Erecting - - - - -	24000	„ „
Packing - - - - -	3500	„ „
Total	44100	sq. yds.

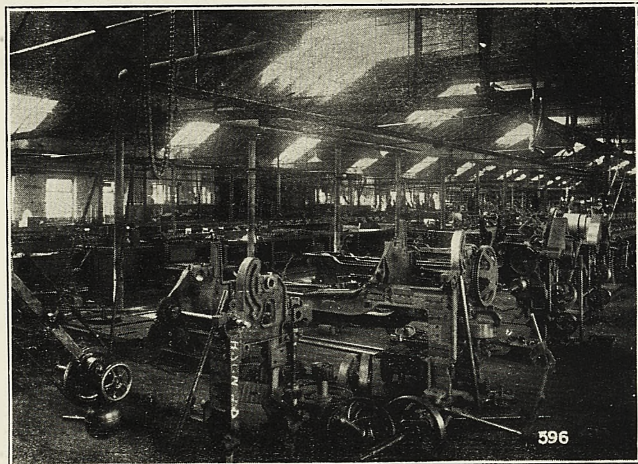
MAKERS OF TEXTILE MACHINERY

BOLTON · LANCS · ENGLAND.

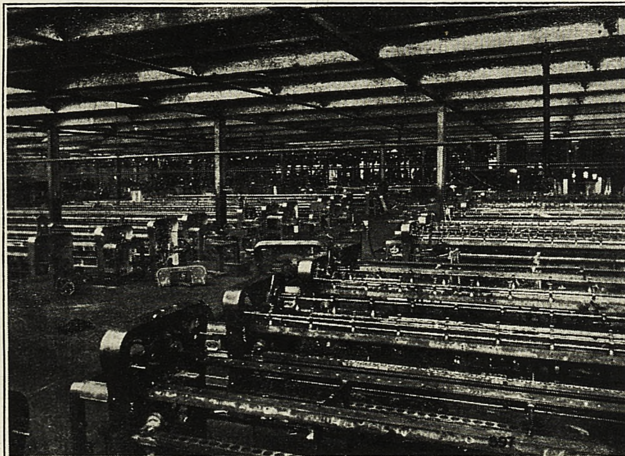
CODES: A. B. C. (6th Editon)
WESTERN UNION (6 Letter)
BENTLEY,' AND LIEBERT (5 Letter)

Our other works at Bradley Fold, near Bolton, are built entirely on a single storey plan and occupy a covered area of seven acres, although the Company own 40 acres in all. Each process or department is arrange in sequence throughout, which greatly facilitates rapid production. The dimensions of the department here are as follow.





Erecting Dept: Self Acting Motes.

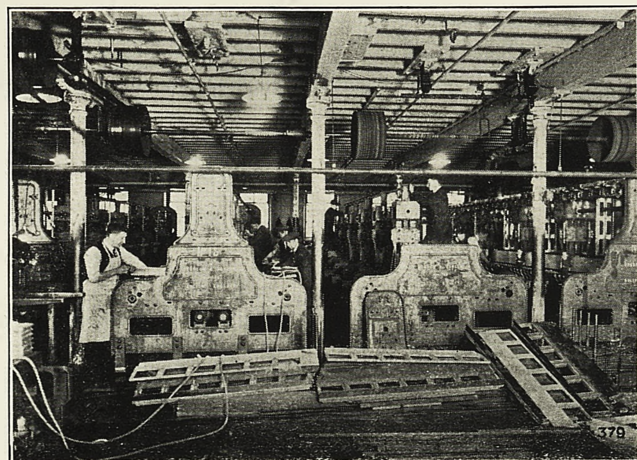


Erecting Dept: Ring Spinning and Doubling Machines.

Foundry & Dressing Dept.	9780	sq. yds.
Machine Depts. - - - -	10040	" "
Erecting Dept. - - - -	2820	" "
Packing Dept. - - - -	2310	" "
Joiners' & Saw Mill Dept.	5430	" "
Sheet Steel Dept. - - -	2490	" "
Roller Dept. - - - - -	4440	" "
Total	36410	sq. yds.



In addition to the production of Cotton Spinning and Preparing Machinery, we are supplying the entire Plant and Equipment for the manufacture of Viscose Artificial Silk, and several of the most modern Mills in Great Britain and Ireland have been completely equipped by us. Our association with the ateficial silk industry goes back for over a quarter ofa century.



Erecting Dept: Spinning Machines for Artifical Silk.

SINCE THE YEAR 1790.



A. KANTOR ◈ JUBILER

ROK ZAŁOŻENIA 1875.

ŁÓDŹ

GRAND HOTEL

NAJWYTWORNIEJSZA BIŻUTERJA

ZEGARKI „OMEGA"

KRYSZTAŁY

WYROBY „EMILE GALLÉ"

SREBRA.

№ 4. # „Giewont" № 4.

Zakopane — Warszawa — Paryż.

Najbliższy zeszyt „Giewontu" kolejny Nr. 4, zawierać będzie 750 stron druku na kredowym papierze przy 2000 ilustracji oraz 40 artystycznych planszach kolorowych z tekstem w języku polskim i francuskim, ujmującym w treści swej opisowo i ilustracyjnie:

Zakopane — Warszawę — Paryż

w szeregu cennych artykułów pierwszorzędnych sił literackich Polski i Francji.

„Giewont" № 4

da Czytelnikom w specjalnem wykonaniu zdjęć, najpiękniejsze widoki i najcenniejsze reprodukcje artystów malarzy obrazujących:

Zakopane: najpiękniejszą miejscowość polskich Tatr.

Warszawę: Stolicę Polski w dzisiejszym jej rozkwicie, z zarysem historyczno-retrospektywnym w reprodukcjach Canalettiego, Vogla i t. p. aż do artystów doby dzisiejszej.

Paryż: od pierwszej emigracji do chwili obecnej. — Życie kolonji polskiej, placówek narodowych, społecznych, dyplomatycznych i t. d. włącznie do literatury i sztuki polskiej nad Sekwaną.

„Giewont" № 4 wydany będzie w języku polskim i francuskim.

Wydawca i Redaktor: Adam Kowalczewski-Siedlecki.

Adresy Redakcji

„Giewont"

Łódź
ul. Sienkiewicza 37 m. 15.
Telefon 63-05.

Warszawa
ul. Warecka 11 m. 21.
Telefon 132-28.

Bliższe dane na str. 144 w artykule „Od Wydawnictwa" w № 3 Giewontu.